



# KARIN SLAUGHTER

O S T A T N I A  
W D O W A

*„Dostrzeganie szczegółów i prawdy przez Karin Slaughter nie ma sobie równych... Poszłabym za nią wszędzie.”*

*Gillian Flynn*

**Karin Slaughter**

# **Ostatnia wdowa**

Tłumaczenie:  
Dorota Stadnik

Tytuł oryginału: *The Last Widow*

Pierwsze wydanie: HarperCollins Publishers Limited, UK, 2019

Projekt okładki: CalderónStudio

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Alicja Oczko

Opracowanie redakcyjne: Jakub Sosnowski

Korekta: Roma Król

Copyright © Karin Slaughter 2019

Will Trent is a trademark of Karin Slaughter Publishing LLC.

Fragmenty piosenek:

„I'm on Fire” (written by Bruce Springsteen)

„Sara Smile” Hall & Oats (written by Daryl Hall, John Oates)

“Whatta Man” Salt-N-Pepa ft. En Vogue (written by Hurby „Luv Bug” Azor, Cheryl James with samples from the original song written by David Crawford and performed by Linda Lyndell)

„Love and Affection” (written by Joan Armatrading)

„Sure shot” Beastie Boys (written by Adam Keefe Horovitz, Adam Nathaniel Yauch, Jeremy Steig, Mario

Caldato, Michael Louis Diamond, Wendell T. Fife)

„Two Doors Down” (written by Dolly Parton)

„Smalltown Boy” Bronski Beat (written by Steve Bronski, Jimmy Somerville, Larry Steinbachek)

„Because the Night” Patti Smith Group (written by Bruce Springsteen, Patti Smith)

„What I Am” Edie Brickell & New Bohemians (written by Edie Brickell, Kenny Withrow, John Houser, John Bush, John Aly)

„Give It Away” Red Hot Chili Peppers (written by Michael Balzary (Flea), John Frusciante, Anthony Kiedis, Chad Smith)

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa, 2019

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Niniejsze wydanie zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers, LLC.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Cytat użyty jako motto pochodzi z powieści Kurta Vonneguta *Sinobrody* w przekładzie Michała Kłobukowskiego, Blue Lobster, Wydawnictwo Bellona, Warszawa 1993, s. 83.

Ilustracja na okładce: Shutterstock. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.  
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25  
tel.691962519

[www.harpercollins.pl](http://www.harpercollins.pl)

ISBN: 978-83-276-4454-1

## **Spis treści**

Karta redakcyjna

Motto

Część pierwsza

Prolog

Miesiąc później

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Część druga

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Wtorek, 6 sierpnia 2019 roku

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Część trzecia

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Epilog

PODZIĘKOWANIA

Raport

*Tak czy owaak jesteśmy skazani na powtarzanie błędów przeszłości.  
Właśnie na tym polega życie.*

KURT VONNEGUT  
przeł. Michał Kłobukowski

# **CZEŚĆ PIERWSZA**

NIEDZIELA, 7 LIPCA 2019 ROKU



## PROLOG

Michelle Spivey biegła po sklepie jak szalona, zaglądając w każdą alejkę w poszukiwaniu córki, a w głowie kłębiły jej się natrętne myśli: Jak mogłam stracić ją z oczu? Jestem beznadziejną matką! Moje dziecko porwał pedofil albo handlarz ludźmi. Zawiadomić ochronę sklepu czy lepiej od razu dzwonić na policję?

Ashley.

Michelle zatrzymała się tak gwałtownie, że omal nie straciła równowagi. Wciągnęła haust powietrza, usiłując wyrównać oddech i uspokoić serce. Jej córka nie została sprzedana handlarzom żywym towarem. Stała przy stoisku z kosmetykami do makijażu i testowała próbki.

Uczucie ulgi ustąpiło miejsca panice.

Jedenastolatka.

Wśród kosmetyków do makijażu.

I to po tym, jak powiedziały Ashley, że do dwunastych urodzin absolutnie nie może się malować, a gdy już osiągnie ten wiek, wolno jej będzie używać wyłącznie błyszczycyku do ust i różu bez względu na to, co robią jej koleżanki. Koniec kropka.

Michelle przycisnęła dłoń do piersi. Ruszyła wolnym krokiem alejką, dając sobie czas na przeistoczenie się w racjonalną i rozsądną osobę.

Ashley stała plecami do Michelle i z uwagą oglądała szminki. Odkręcała je zręcznym ruchem, ponieważ u koleżanek testowała już ich kosmetyki. Nabierały wprawy, malując jedna drugą, bo właśnie tak robią dziewczynki.

Przynajmniej niektóre dziewczynki. Michelle nigdy nie ciągnęło do fiokowania się i makijażu. Wciąż pamiętała reakcję matki, gdy odmówiła golenia nóg:

- Nigdy nie będziesz mogła nosić rajstop!

- I dzięki Bogu - odparła mała Michelle.

To było lata temu. Jej matka już dawno nie żyła, Michelle była dorosłą kobietą, miała dziecko i jak każda kobieta przyrzekła sobie, że nie powieli błędów własnej matki.

Czyżby przesadziła?

Czy obdarzona naturą chłopczycy nie odbierała czegoś córce? Czy Ashley była już wystarczająco duża na makijaż? Czy nie wykazując najmniejszego zainteresowania kredkami do oczu, tuszami do rzęs, samoopalaczami i całą resztą, którą Ashley godzinami oglądała na YouTube, pozbawiała córkę uczestnictwa w swoistym rytuale przejścia z dziewczęcości w kobiecość?

Sumiennie zgłębiła temat etapów rozwoju. Wiek jedenastu lat to ważny moment w życiu dziecka. Właśnie wtedy osiąga ono mniej więcej połowę siły dorosłego człowieka, a jeśli chodzi o rozwój psychiczny, to właśnie wtedy powinno się zacząć z dzieckiem negocjować, a nie tylko wydawać polecenia. W teorii brzmiało to przekonująco, ale okazało się niezmiernie trudne do zastosowania w praktyce.

- Och! - Na widok matki Ashley nerwowym ruchem odłożyła szminkę na półeczkę. - Ja tylko...

- W porządku. - Pogładziła córkę po długich włosach. Tyle butelek szamponu i odżywek do włosów pod prysznicem, mydeł i balsamów, a dbałość Michelle o urodę ograniczała się do odpornego na pot filtra przeciwsłonecznego.

- Przepraszam. - Ashley zaczęła wycierać błyszczak z ust.

- Jest ładny.

- Naprawdę? - Obdarzyła matkę promiennym uśmiechem, który zawsze poruszał czułą strunę w sercu Michelle. - Widziałaś? - wskazała półkę z błyszczakami. - Mają taki z kolorem, więc pewnie dłużej się trzyma. Ale ten ma smak wiśni, a Hailey mówi, że chło...

Chłopcy to lubią, w duchu dopowiedziała Michelle.

Różne złote myśli na ścianach sypialni Ashley nie uszły jej uwagi.

- Którą wolisz? - zapytała.

- Hm... - Ashley wzruszyła ramionami, ale niewiele było tematów, na które jedenastolatka nie miałaby własnego zdania. - Te kolorowe są trwalsze, prawda?

- To ma sens - odparła Michelle.

- Ten wiśniowy smakuje chemią, prawda? - z coraz większym zapałem mówiła Ashley. - Ja zawsze oblizuję... to znaczy pewnie bym ciągle oblizywała wargi, gdybym smarowała je błyszczkiem, bo on by je podrażniał, prawda?

Michelle skinęła głową, gryząc się w język, by nie powiedzieć córce: „Jesteś piękna, mądra, zabawna i utalentowana. Powinnaś robić tylko to, co cię uszczęśliwia, bo to przyciąga wartościowych chłopców, którym właśnie szczęśliwe i pewne swojej wartości dziewczyny wydają się interesujące”.

Ale zamiast tego powiedziała:

- Wybierz tę, która ci się podoba, a ja dam ci zaliczkę na twoje kieszonkowe.

- Mamo! - krzyknęła Ashley tak głośno, że zwróciła uwagę innych klientów. Taniec, jaki potem nastąpił, bardziej przypominał szaleństwo Tygrysa niż płasy Shakiry. - Serio? Przecież mówiłyście, że...

„Przecież mówiłyście”. Michelle jęknęła w duchu. Jak wyjaśnić tę nagłą zmianę zdania, skoro uznały, że Ashley nie może się malować przed ukończeniem dwunastu lat? Niedawno odbyły taką rozmowę:

- To tylko błyszczyk!

- Skończy dwanaście lat za pięć miesięcy!

- Wiem, że miała czekać do urodzin, ale ty pozwoliłaś jej na iPhone'a!

Tego argumentu użyje. Odwróci kota ogonem i poda przykład

iPhone'a, ponieważ w tej kwestii pozostawała niewzruszona.

Dlatego powiedziała do córki:

- Wyjaśnienia biorę na siebie, ale kupujesz tylko błyszczki. Nic innego. Wybierz ten, który cię uszczęśliwi.

I błyszczki uszczęśliwił Ashley. Uszczęśliwił tak bardzo, że Michelle uśmiechnęła się do kasjerki, która na pewno się domyśliła, że błyszcząca tubka jaskraworóżowego Sassafras Yo Ass! nie jest przeznaczona dla trzydziestodwuletniej w spodenkach do biegania i z przetłuszczonymi włosami ukrytymi pod bejsbolówką.

- To... - Ashley była tak wniebowzięta, że ledwie mogła wykrztusić słowo. - To cudowne, mamo. Bardzo cię kocham. Będę odpowiedzialna. Bardzo odpowiedzialna.

Uśmiech Michelle wykazywał już chyba pierwsze objawy stężenia pośmiertnego, gdy ładowała zakupy do płóciennych toreb.

iPhone. Musi nawiązać do iPhone'a, ponieważ obie w tej sprawie także doszły do porozumienia, ale wtedy wszystkie koleżanki Ashley pojawiły się na obozie letnim z iPhone'ami i kategoryczne „Nie, absolutnie wykluczone” przeszło w: „Nie mogłam pozwolić, żeby była jedynym dzieckiem bez iPhone'a”. Zresztą zdarzyło się to pod nieobecność Michelle, która wyjechała na konferencję.

Ashley radośnie zgarnęła torby, ruszyła do wyjścia, błyskawicznie wyjęła iPhone'a i zaczęła posuwać kciukiem po ekranie, powiadamiając koleżanki o błyszczku. Co czyniło wielce prawdopodobnym, że za tydzień ma szansę na niebieskie cienie do powiek i zrobienie tych kresek w kącikach oczu, które upodabniały dziewczęta do kotów.

Michelle dopadła katastroficzna wizja.

Od wspólnego używania środków do malowania oczu Ashley mogła nabawić się zapalenia spojówek, jęczmienia lub chronicznego zapalenia powiek. Opryszczki lub zapalenia wątroby typu C od błyszczka do ust lub kredki, nie mówiąc o podrażnieniu rogówki

szczoteczką do tuszu. A czy niektóre szminki nie zawierają metali ciężkich i ołowiu?

Gronkowiec, streptokoki, E.coli. Co ją omamiło? Przecież może otruć własną córkę! Są setki tysięcy udokumentowanych badań nad chorobotwórczym wpływem zanieczyszczeń różnych powierzchni w przeciwieństwie do względnie nielicznych wskazujących na pośredni związek guzów mózgu z telefonami komórkowymi.

Idąca przed nią Ashley zaśmiała się głośno. Koleżanki najwyraźniej zaczęły jej odpisywać. Wymachiwała torbami, zmierzając w stronę auta. Miała jedenaście lat, nie dwanaście. Nawet dwanaście lat to mało, bardzo mało. Makijaż to sygnał, to komunikat, że „jestem zainteresowana tym, by wzbudzać zainteresowanie”. Szalenie niefeministyczna deklaracja, ale w prawdziwym świecie jej córka nadal była dzieckiem, które nie potrafiło jeszcze odrzucać niechcianego zainteresowania.

Michelle pokręciła głową. Cóż za przeskok. Od błyszczyka do ust przez odporne na metycylinę szczepy gronkowca do konserwatywnej Phyllis Schlafly. Musiała uspokoić szalejące myśli w drodze do domu, by tam przedstawić racjonalne argumenty na rzecz kupna Ashley błyszczyka do ust, skoro się umówiły, że nie pozwolą jej na to do dwunastych urodzin.

To samo zrobiły z iPhone'em.

Sięgnęła do torebki po kluczyki. Na zewnątrz było już ciemno. Światła latarni nie wystarczały. A może potrzebowała okularów, ponieważ zaczynała się starzeć. Była wystarczająco stara, by mieć córkę, która już chciała wysyłać chłopcom zmysłowe sygnały. Za kilka lat mogła zostać babcią. Na samą myśl o tym poczuła nerwowe ściskanie w żołądku. Dlaczego nie kupiła wina?

Zerknęła na córkę, by się upewnić, czy w trakcie esemesowania Ashley nie wpadła na jakieś auto albo nie runęła z urwiska.

Otworzyła usta.

Obok jej córki zatrzymał się van. Boczne drzwi vana się otworzyły. Ze środka wyskoczył mężczyzna.

Michelle złapała kluczyki i rzuciła się pędem przed siebie, byle bliżej córki.

Zaczęła krzyczeć, ale było za późno.

Ashley zdążyła uciec, jak została tego nauczona.

Jednak mężczyzna nie nią był zainteresowany.

Chodziło mu o Michelle.

# **MIESIĄC PÓŹNIEJ**

NIEDZIELA, 4 SIERPANIA 2019 ROKU

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

NIEDZIELA, 4 SIERPANIA, GODZINA 13:37

Sara Linton odchyliła się na krzesło, mamrocząc cicho:

- Tak, mamó. - Natomiast w duchu rozważała kwestię, czy wreszcie kiedyś nadejdzie taka chwila, kiedy będzie już za duża na mamine połajanki.

- Daruj sobie ten pojednawczy ton. I tak mnie nie udobruchasz - odparła Cathy, z irytacją rzucając pęk fasolki na rozłożoną gazetę. Jej gniew wisiał nad kuchennym stołem jak ciężka ołowiana chmura. - Nie jesteś podobna do swojej siostry, nie skaczesz z kwiatka na kwiatek. W liceum był Steve, potem Mason z powodów, których do dzisiaj nie mogę pojąć, no i wreszcie Jeffrey. - Zerknęła znad okularów. - Skoro zdecydowałaś się na Willa, to naprawdę się na niego zdecyduj. Wiesz, o czym mówię.

Sara czekała, aż ciotka Bella doda do listy kilka brakujących męskich imion, ale tylko bawiła się naszyjnikiem z pereł, popijając herbatę z lodem.

- Twój ojciec i ja jesteśmy małżeństwem od prawie czterdziestu lat - ciągnęła Cathy.

- Nigdy nie powiedziałam, że... - zaczęła Sara.

Bella wydała z siebie odgłos przypominający kaszel połączony z kichnięciem kota.

Sara zlekceważyła to ostrzeżenie.

- Mamó, rozwód Willa dopiero co został sfinalizowany. Ciągle próbuję się odnaleźć w nowej pracy. Cieszymy się życiem. Powinnaś być z tego zadowolona.

Cathy zaatakowała fasolkę, jakby chciała ją zamordować.

- Źle, że spotykałaś się z nim, gdy był jeszcze żonaty.



Sara wzięła głęboki wdech i zatrzymała powietrze w płucach.

Spojrzała na zegar w kuchence.

Godzina 13:37.

Miała wrażenie, że już jest północ, a ona nie jadła jeszcze lunchu.

Powoli wypuściła z płuc powietrze, koncentrując się na cudownych zapachach wypełniających kuchnię. Właśnie dla nich poświęciła swoje niedzielne popołudnie. Smażony kurczak na kontuarze. Ciasto z wiśniami w piekarniku. Masło topione na patelni do chleba kukurydzianego. Babeczki, groch, nakrapiana fasolka, suflet z batatów, ciasto czekoladowe, placek z orzechami pekan i lody tak twarde, że można złamać łyżkę.

Sześć godzin na siłowni dziennie przez cały następny tydzień nie naprawi szkód, jakie zamierzała wyrządzić swojemu ciału, mimo to Sara zamartwiała się tylko tym, żeby nie zapomnieć zabrać do domu wszystkich resztek.

Cathy obrała kolejną fasolkę, wyrywając Sarę z zadumy.

W szklance Belli zabrzęczały kostki lodu.

Sara wsłuchiwała się w odgłosy kosiarki dochodzące z ogrodu za domem. Z niezrozumiałych dla niej powodów Will sam zaoferował pomoc jej ciotce w charakterze weekendowego ogrodnika. Na myśl o tym, że mógłby przypadkowo usłyszeć jakiś fragment tej rozmowy, ścierpła jej skóra.

- Saro... - Cathy wciągnęła głośno powietrze, by kontynuować temat. - Praktycznie z nim mieszkasz. Jego rzeczy są w twojej szafie.

Jego przybory toaletowe są w twojej łazience.

- Och, skarbie. - Bella poklepała dłoń Sary. - Nigdy nie dziel łazienki z mężczyzną.

- Twojego ojca to zabije - dramatycznym tonem dodała Cathy.

Eddie oczywiście nie umrze od tego, ale gdy się dowie, nie będzie zadowolony, ponieważ nigdy nie akceptował żadnych chłopaków i mężczyzn kręcących się wokół jego córek.

Z tego powodu Sara zachowywała swoje związki w tajemnicy.

Przynajmniej do pewnego stopnia.

Chciała zyskać przewagę w tej rozmowie.

- Mamo, właśnie przyznałaś się do tego, że myskujesz po moim domu. Mam prawo do prywatności.

Bella cmoknęła z dezaprobatą.

- Och, kochana, to takie urocze, że naprawdę tak myślisz.

Sara podjęła następną próbę.

- Will i ja wiemy, co robimy. Nie jesteśmy zadurzonymi nastolatkami zostawiającymi sobie liściki na korytarzu. Lubimy spędzać razem czas. To się liczy najbardziej.

Cathy chrząknęła, ale Sara była zbyt inteligentna, by uznać to za matczyną aprobatę.

- To ja jestem tu ekspertką - wtrąciła Bella. - Pięć razy wychodziłam za mąż i...

- Sześć - sprostowała Cathy.

- Dobrze wiesz, siostrzyczko, że tamto małżeństwo zostało unieważnione. Pozwól dziewczynie samej decydować o tym, czego chce, i samej dokonywać wyborów.

- Przecież jej nie mówię, co ma robić. Ja tylko radzę. Jeśli nie traktuje Willa poważnie, to powinna iść dalej i znaleźć kogoś, kogo będzie traktować poważnie. Jest zbyt rozsądna na luźne związki.

- Lepszy brak rozsądku niż uczucia.

- Charlotte Brontë jakoś mi nie pasuje mi na ekspertkę od uczuciowego dobrostanu mojej córki.

Sara potarła skronie, usiłując powstrzymać ból głowy. W brzuchu jej burczało, ale lunch miał być najwcześniej o drugiej, co i tak nie miało znaczenia, ponieważ jeśli ta rozmowa potrwa jeszcze chwilę, jedna z nich albo nawet wszystkie trzy zginą w tej kuchni.

- Skarbie, znasz tę historię, prawda? - zapytała Bella, a gdy Sara podnosiła wzrok, mówiła dalej: - Nie sądzisz, że zabiła swoją żonę, bo

miała romans? To znaczy jedna z nich miała romans, więc żona ją zabiła. – Puściła oko do Sary. – Właśnie tego bali się konserwatyści.

Małżeństwa homoseksualne odebrały znaczenie zaimkom.

Sara nie nadążała za Bellą, póki nie zorientowała się, że ciotka nawiązuje do artykułu w gazecie. Cztery tygodnie temu z parkingu centrum handlowego została uprowadzona Michelle Spivey. Pracowała naukowo w agencji rządowej CDC, czyli w Centrach Kontroli i Prewencji Chorób<sup>1</sup>, dlatego śledztwo przejęło FBI. Zdjęcie w gazecie pochodziło z prawa jazdy Michelle. Pokazywało atrakcyjną kobietę przed czterdziestką z błyskiem w oku, który uchwycił nawet kiepskiej jakości aparat fotograficzny w wydziale komunikacji.

– Śledziłaś tę historię? – zapytała Bella.

Sara pokręciła głową. Niechciane łzy napłynęły jej do oczu. Jej mąż zginął pięć lat temu. Jedyne, co wydawało się jej gorsze od straty ukochanej osoby, to niewiedza co do jej prawdziwego losu.

– Obstawiam morderstwo na zamówienie – ciągnęła Bella. – Zwykle okazuje się, że tak właśnie było. Żonie zachciało się nowszego modelu i musiała pozbyć się starego.

Sara powinna zostawić ten temat, ponieważ Cathy coraz bardziej gotowała się ze złości. Ale właśnie dlatego, że Cathy gotowała się ze złości, Sara zwróciła się do Belli:

– Nie wiem. Była przy tym jej córka. Widziała, jak ciągną jej matkę do vana. To pewnie naiwne, ale nie wierzę, by druga matka zrobiła coś takiego ich dziecku.

– Fred Tokars wynajął płatnego zabójcę, który zastrzelił jego żonę w obecności dzieci.

– Tam chodziło o polisę na życie, prawda? Poza tym prowadził jakieś szemrane interesy i chyba miał związki z mafią.

– I był mężczyzną. A normalna kobieta zawsze woli zabić własnymi rękami, prawda?

– Na miłość boską! – wybuchnęła w końcu Cathy. – Czy naprawdę

musimy rozmawiać o morderstwie w świętą niedzielę, w dzień pański? I siostró, akurat ty nie powinnaś dyskutować o niewiernych małżonkach.

Bella zabrzęczała kostkami lodu w pustej szklance.

- Och, myślę, że w tym skwarze mojito byłoby w sam raz, tak dla naszej przyjemności, prawda?

Cathy klasnęła w dłonie, gdyż obrała ostatnią fasolkę szparagową, po czym zwróciła się do Belli:

- Nie pomagasz, siostró.

Jednak Bella odparła rezolutnie:

- Och, siostró, w takich sprawach na siostrę Bellę nie należy liczyć.

Sara czekała z otarciem łez, aż Cathy odwróci się do niej plecami. Jej łzy nie umknęły jednak uwagi Belli, co oznaczało, że zaraz po wyjściu z kuchni Bella i Cathy wdadzą się w rozważania pod tytułem: Dlaczego? Sara nie umiałaby wyjaśnić swojej płaczliwości. Ostatnio wszystko, od smutnej reklamy po piosenkę o miłości zasłyszana w radiu, przyprawiło ją o łzy.

Sięgnęła po gazetę i udawała, że czyta. Nie było żadnych nowych informacji o zniknięciu Michelle. Miesiąc to zbyt długo. Nawet żona Michelle przestała błagać o jej bezpieczny powrót i zaczęła apelować do sumienia sprawcy lub sprawców uprowadzenia Michelle o ujawnienie miejsca ukrycia ciała.

Sarze zaczęło lecieć z nosa, ale nie sięgnęła po serwetkę, tylko wytarła go wierzchem dłoni.

Nie znała Michelle Spivey, ale w zeszłym roku spotkała jej żonę Theresę Lee na spotkaniu absolwentów Emory Medical School. Lee była ortopedą i wykładowcą w Emory, Michelle epidemiologiem w Centrach Kontroli i Prewencji Chorób. Z artykułu wynikało, że pobrały się w dwa tysiące piętnastym roku, co znaczyło, że sformalizowały swój związek, kiedy tylko pojawiła się taka możliwość. Przed ślubem były ze sobą piętnaście lat. Sara założyła, że po dwóch

dekadach znalazły swój sposób na dwie najczęstsze przyczyny rozwodów: akceptowalne dla obu stron ustawienie termostatu i przemykanie oczu na nieopróżnioną zmywarce.

Ona jednak nie była największą ekspertką w kwestii małżeństwa w tym pokoju.

- Saro? - Cathy odwróciła się plecami do blatu kuchennego. - Powiem to otwarcie.

- Spróbuj - zachichotała Bella.

- Nie ma nic złego w pójsciu naprzód - zaczęła Cathy. - Ułóż sobie życie na nowo z Willem. Jeśli naprawdę jesteś szczęśliwa, bądź naprawdę szczęśliwa. W przeciwnym wypadku na co czekasz, do cholery?

Sara starannie złożyła gazetę. Powędrowała wzrokiem w stronę zegara.

Godzina 13:43.

- Lubiłam Jeffrey'a, niech spoczywa w pokoju. Miał w sobie dumę. Ale Will jest taki miły. I kocha cię, skarbie. - Bella poklepała Sarę po ręce. - Naprawdę cię kocha.

Sara przygryzła wargi. Nie chciała, by niedzielne popołudnie stało się improwowaną sesją terapeutyczną. Nie musiała analizować swoich uczuć. Miała odwrotny problem niż bohaterowie w pierwszym akcie każdej komedii romantycznej: zdążyła zakochać się w Willu, ale nie miała pewności, jak go kochać.

Ze społecznym nieprzystosowaniem Willa umiała sobie radzić, ale jego koszmarne braki w komunikacji międzyludzkiej omal nie doprowadziły do ich rozstania. Nie raz, nie dwa, lecz wiele razy. Początkowo tłumaczyła sobie, że Will usiłuje pokazać się z jak najlepszej strony. To naturalne. Ona dopiero po pół roku związku zaczęła ubierać się do łóżka w swoją prawdziwą piżamę.

Po upływie roku Will nadal pozostawał skryty. W mało istotnych sprawach, gdy nie uprzedzał jej telefonicznie, że musi zostać dłużej

w pracy; że mecz bejsbolowy się przedłuży; że rower mu się zepsuł w połowie drogi; że w ten weekend zaoferował koledze pomoc w przeprowadzce. Za każdym razem wyglądał na zszokowanego, gdy Sara wściekała się na niego, że nie informuje jej o takich rzeczach. Przy tym Sarze wcale nie chodziło o to, by kontrolować Willa. Po prostu chciała zaplanować, co zamówić na kolację.

Te drobiazgi były wprawdzie irytujące, ale o wiele bardziej liczyło się coś innego. Will nie tyle ją okłamywał, ile znajdował sprytne sposoby na niemówienie prawdy, czy miało to coś wspólnego z groźnymi sytuacjami w pracy, drastycznymi szczegółami z jego dzieciństwa czy, co gorsza, z ostatnimi potwornościami popełnionymi przez jego irytującą i narcystyczną byłą żonę.

Sara teoretycznie rozumiała przyczyny takiego zachowania Willa. Dzieciństwo przeżył w rodzinach zastępczych, gdzie albo był zanedbywany, albo bardzo krzywdzony. Była żona używała jego emocji jako broni przeciwko niemu. Will nigdy nie funkcjonował w normalnym zdrowym związku. W jego przeszłości czaiły się demony. Może zachowywał się tak, bo czuł, że w ten sposób chroni Sarę. A może podskórnie czuł, że tak chroni siebie. Sęk w tym, że Sara nie miała pojęcia, które z jej przypuszczeń jest prawdziwe, ponieważ Will w ogóle nie przyjmował do wiadomości, że to problem.

- Saro, skarbie - zagadnęła Bella - niedawno wspominałam czasy, kiedy chodziłaś do szkoły i mieszkałaś w tym domu. Pamiętasz to, kochanie?

Sara uśmiechnęła się na wspomnienie lat nauki w college'u, ale na widok spojrzenia, jakie wymieniły jej matka i ciotka, uśmiech zgasł.

Coś wisiało w powietrzu.

Zwabiły ją tu obietnicą pieczonego kurczaka na obiad.

- Skarbie, będę z tobą szczerą - ciągnęła Bella. - Ten stary dom jest zdecydowanie za duży dla twojej ukochanej cioteczki Belli. Co myślisz o powrocie tutaj?

Sara zaśmiała się, ale śmiech uwiązł jej w gardle, gdy zorientowała się, że ciotka mówi poważnie.

- Mogłabyś wyremontować ten budynek, uczynić go swoim domem. Sara czuła, że porusza ustami, ale nie wydobyła z siebie ani słowa.

- Skarbie - ciągnęła Bella, ujmując jej dłoń. - Zawsze chciałam zapisać ci ten dom w testamencie, ale mój księgowy twierdzi, że ze względów podatkowych lepiej przekazać ci nieruchomościę poprzez fundusz powierniczy. Wpłaciłam już zaliczkę na mieszkanie w centrum. Ty i Will możecie wprowadzić się tutaj przed Bożym Narodzeniem. Hol pomieści pięciometrową choinkę, jest tu mnóstwo miejsca na... Słowa ciotki przestały docierać do Sary.

Zawsze uwielbiała ten wielki dom w stylu georgiańskim wzniesiony tuż przed Wielkim Kryzysem. Sześć sypialni, pięć łazienek, powozownia na dwie karety, ogrodowa altana, półtora hektara ziemi w jednej z najbogatszych dzielnic Atlanty. Dziesięć minut jazdy od centrum. Dziesięć minut piechotą od kampusu Emory University. W sąsiedztwie jednej z ostatnich realizacji architekta krajobrazu Fredericka Law Olmseteda, gdzie parki pięknie przechodziły w Fernbank Forest.

To była kusząca propozycja, póki mózg Sary nie skupił się na kalkulacjach.

Bella nie robiła w tym domu niczego od lat osiemdziesiątych. Ogrzewanie i klimatyzacja. Hydraulika. Instalacja elektryczna. Tynki. Nowe okna. Nowy dach. Nowe rynny. Spory z towarzystwem miłośników historii o każdy architektoniczny detal. Nie mówiąc już o straconym czasie, ponieważ Will na pewno chciałby wszystko robić sam, a jej nieczęste wolne wieczory i długie leniwe weekendy wypełniłyby się kłótniami o kolor ścian i pieniądze.

Pieniądze.

To one stanowiły prawdziwą przeszkodę. Sara miała ich o wiele

więcej niż Will. W jej małżeństwie było tak samo. Ciągle pamiętała wyraz twarzy Jeffrey'a, gdy pierwszy raz zobaczył wyciąg z jej rachunku transakcyjnego. Miała wrażenie, że słyszy jęk jego kurczących się jąder.

Musiała bardzo się postarać, żeby odzyskały dawny rozmiar.

- Oczywiście - ciągnęła Bella - pomogę w opłaceniu podatków, ale...

- Dziękuję - Sara weszła jej w słowo. - To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony, ale...

- To mógłby być prezent ślubny. - Cathy uśmiechnęła się słodko, siadając przy stole. - Czy to nie cudowne?

Sara pokręciła głową, ale nie w reakcji na słowa matki. Co było z nią nie tak? Dlaczego martwiła się o reakcję Willa? Nie miała pojęcia, ile Will ma pieniędzy. Za wszystko płacił gotówką. Kwestia, czy robił to z powodu niewiary w karty kredytowe, czy zamkniętej linii kredytowej, była kolejnym tematem, którego nigdy nie poruszyli.

- Co to było? - Bella przechyliła głowę w bok. - Słyszałyście ten dźwięk? Przypominał fajerwerki albo coś podobnego.

Cathy zignorowała tę uwagę.

- Mogłabyś stworzyć tu z Willem swój dom. A twoja siostra zajęć mieszkanie nad garażem.

Sara wiedziała już z całą pewnością, ku czemu to zmierza. Matka nie zamierzała ograniczyć się do kontrolowania jej życia. Chciała rozszerzyć kontrolę i objąć nią młodszą córkę.

- Nie sądzę, by Tessa chciała znowu mieszkać nad garażem - odparła.

- Czy teraz nie mieszka w glinianej chacie? - zapytała Bella.

- Cii, siostrze - odezwała się Cathy, po czym zwróciła się do Sary: - Rozmawiałaś z Tessą o przeprowadzce do domu?

- Niezupełnie - skłamała Sara. Małżeństwo jej młodszej siostry właśnie się rozpadało. Rozmawiały przez Skype'a dwa razy dziennie,



choć Tessa mieszkała w RPA. – Mamo, daruj sobie, to nie lata pięćdziesiąte i stać mnie na opłacanie rachunków. Mam fundusz emerytalny. Nie muszę być w zalegalizowanym związku z mężczyzną. Sama potrafię o siebie zadbać.

Wyraz twarzy Cathy obniżył temperaturę w pokoju.

– Skoro uważasz, że o to chodzi w małżeństwie, to nie mam już nic do powiedzenia w tym względzie. – Wstała od stołu i podeszła do kuchenki. – Powiedz Willowi, żeby się umył przed obiadem.

Sara zacisnęła powieki, by nie przewrócić oczami.

Wstała i wyszła z kuchni.

Jej kroki rozbrzmiały echem w ogromnym salonie, gdy szła wzdłuż krawędzi dywanu o orientalnym wzorze. Podeszła do pierwszych z brzegu przeszklonych drzwi i przycisnęła czoło do szyby. Will chował kosiarkę do szopy. Ogród wyglądał idealnie, Will przyciął nawet krzewy bukszpanu, nadając im prostokątny kształt. Zrobił to z istic chirurgiczną precyzją.

Co by powiedział na zaniedbany dom o wartości dwóch i pół miliona dolarów?

Nie była pewna, czy chce brać na siebie taką odpowiedzialność. Kilka pierwszych lat małżeństwa spędziła na pomaganiu Jeffreyowi w remoncie małego parterowego domu. Doskonale pamiętała fizyczne zmęczenie przy zdzieraniu starych tapet ze ścian i malowaniu balustrady schodów oraz towarzyszącą temu bolesną świadomość, że wystarczyłoby wypisać czek i zlecić tę pracę fachowcom, ale jej mąż był potwornym uparciuchem.

Jej mąż.

O to chodziło matce. Czy kochała Willa tak samo jak kochała Jeffreya? A jeśli tak, to dlaczego dotąd za niego nie wyszła? A skoro dotąd za niego nie wyszła, to po co marnowała na niego czas?

Dobre pytanie, lecz Sara poszła śladem Scarlett O'Hary, obiecując sobie, że pomyśli o tym jutro.

Ramieniem pchnęła okno tarasowe i uderzyła w nią fala gorąca. Przez dużą wilgotność Sara miała wrażenie, jakby powietrze się pociło. Zdjęła opaskę z włosów. Warstwę tkaniny na szyi odczuła jak dotknięcie rozgrzanej rękawicy kuchennej. Gdyby nie zapach świeżej trawy, pomyślałaby, że weszła do łaźni parowej. Ruszyła wolnym krokiem w górę. Tenisówki omsknęły się kilka razy na luźnych kamieniach. Wokół jej twarzy brzęczały owady, więc zaczęła je odganiać machnięciami rąk. Skierowała się w stronę tego, co Bella nazywała szopą, ale co w rzeczywistości było zaadaptowaną stajnią z miejscem dla koni zaprzęgowych i powozów.

Drzwi były otwarte. Will stał na środku pomieszczenia. Wsparty dłońmi o stół warsztatowy, patrzył przez okno. Był w nim spokój, którego Sara nie chciała zakłócać. Od dwóch miesięcy coś go dręczyło.

Wyczuwała to niemal w każdym aspekcie ich wspólnego życia. Pytała Willa o to, dając mu przy tym przestrzeń na przemyślenia. Próbowwała seksem zabić w nim ten niepokój. Will uparcie twierdził, że wszystko w porządku, ale ona przyłapywała go na tym, co robił teraz: na wpatrywaniu się w okno ze zbolalym wyrazem twarzy.

Odchrząknęła głośno.

Will się odwrócił. Zmienił koszulę, ale upał już przylepił materiał do piersi. Na nogawkach opinających umięśnione nogi wisały źdźbła trawy. Will był wysoki i szczupły, a pod wpływem uśmiechu, jakim ją obdarzył, Sara natychmiast zapomniała o wszystkich komplikacjach wynikających ze wspólnego życia.

- Czas na lunch? - zapytał.

Sara zerknęła na zegarek.

- Jest pierwsza czterdzieści sześć. Mamy dokładnie czternaście minut ciszy przed burzą.

Will uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Widziałaś tę szopę? Obejrzałaś ją dokładnie?

Sara uważała, że szopa jest całkiem niezła, ale Will był nią wyraźnie podekscytowany.

Wskazał przepierzenie w rogu.

- Tam jest pisuar. Prawdziwy działający pisuar. Super, nie?

- Super - mruknęła Sara tonem wyrażającym coś zupełnie odwrotnego.

- Patrz, jakie mocne belki. - Will miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, co wystarczyło, by chwycił się jednej z nich i podciągnął kilka razy. - Popatrz tam. Telewizor jest stary, ale ciągle działa. A w miejscu, gdzie kiedyś chyba żyły konie, jest pełna lodówka i kuchenka mikrofalowa.

Sara czuła, że się uśmiecha. Mieszczuch Will nawet nie wiedział, że to się nazywa boks.

- Kanapa trochę pachnie stęchlizną, ale jest naprawdę wygodna. - Rzucił się na rozdartą skórzaną kanapę i pociągnął Sarę za sobą. - Świetnie tu, prawda?

Sara zakasłała, gdy z kanapy wzbił się tuman kurzu. Usiłowała nie łączyć w myślach stosu starych numerów „Playboya” wujka ze skrzypiącą kanapą.

- Możemy się tu wprowadzić? - zapytał Will. - Żartuję tylko trochę.

Sara zagryzła wargi. Nie chciała, żeby żartował. Chciała usłyszeć od niego jasno i wyraźnie, czego chce.

- Patrz, gitara. - Will podniósł instrument i naciągnął struny. Kilka brzdąknięć później zaczął wydobywać z gitary rozpoznawalne akordy, które przeszły w piosenkę.

Sara poczuła dreszczyk emocji, który zawsze towarzyszył zaskoczeniu, gdy dowiadywała się o Willu czegoś nowego.

Zanucił pierwsze takty piosenki Bruce'a Springsteena „I'm on Fire”.

Po chwili przerwał.

- To raczej prostackie, nie? „Hey little girl is your daddy home?<sup>2</sup>”.

- A może: „Girl, You’ll Be a Woman Soon<sup>3</sup>”? Albo „Don’t Stand So Close to Me<sup>4</sup>”? Albo pierwsza linijka „Sara Smile<sup>5</sup>”

- Cholera. - Will przejechał palcami po strunach. - Hall i Oates też?

- Panic! At the Disco mają lepszą wersję. - Sara obserwowała długie palce Willa trącające struny. Uwielbiała jego dłonie. - Kiedy nauczyłeś się grać?

- W liceum. Sam - odparł wyraźnie zmieszany. - Pomyśl o każdej głupocie, jaką szesnastoletni chłopak zrobi dla zaimponowania szesnastoletniej dziewczynie, a ja będę wiedział, jak to zrobić.

Zaśmiała się, ponieważ nietrudno było to sobie wyobrazić.

- Miałeś fryzurę na Jamesa Deana?

- Się wie! - Will nie odrywał palców od strun. - Umiałem naśladować głos Peewee Hermana. Umiałem robić akrobacje na deskorolce.

Znałem na pamięć słowa „Thrillera”. Szkoda, że nie widziałaś mnie w spłowiałych džinsach i kurtce z napisem Member’s Only.

- Member?

- Taka sieć dyskontów z rzeczami za mniej niż dolara. Nigdy nie twierdziłem, że jestem milionerem. - Podniósł wzrok znad gitary, najwyraźniej uradowany rozbawieniem Sary. Potem gestem wskazał jej głowę i zapytał: - Co się w niej teraz dzieje?

Sara poczuła, jak wraca do niej wcześniejsze rozrzewnienie. Przepęłniła ją miłość. Will był zestrojony z jej uczuciami. A ona rozpaczliwie pragnęła, by wreszcie zrozumiał, że dla niej zestrojenie się z jego uczuciami jest czymś naturalnym.

Odłożył gitarę i musnął palcami twarz Sary, kciukiem wygładził ściągnięte czoło.

- Tak lepiej - powiedział.

Pocałowała go. Pocałowała naprawdę. Akurat to zawsze było łatwe. Przejechała palcami po jego wilgotnych od potu włosach. Pocałował ją w szyję, potem niżej. Przysunęła się do niego. Zamknęła oczy

i pozwoliła, by jego wargi i ręce rozproszyły po kolei wszystkie wątpliwości.

Przerwali, gdy kanapa nagle zatrzęsała się pod nimi.

- Co to było, do cholery? - zapytała Sara.

Will nie rzucił oczywistego w tej sytuacji żartu o swojej zdolności do poruszenia ziemi. Zajrzał pod kanapę. Wstał, sprawdził belki nad ich głowami, postukał kłykciami w spetryfikowane drewno.

- Pamiętasz tamto trzęsienie ziemi w Alabamie sprzed paru lat? Teraz było tak samo, ale silniej.

Sara wygładziła ubranie.

- Country Club urządza pokazy fajerwerków. Może próbują nowych układów?

- W biały dzień? - rzucił powątpiewająco, sięgnął po telefon leżący na stole warsztatowym i sprawdził wiadomości. - Nie ma żadnych ostrzeżeń. - Wybrał jeden numer. Potem drugi. I trzeci. Sara czekała w napięciu, ale Will kręcąc głową, oderwał telefon od ucha, by i ona mogła usłyszeć nagraną informację, że wszystkie linie są zajęte.

Zerknęła na godzinę w rogu wyświetlacza.

Godzina 13:51.

- W Emory jest syrena alarmowa. Włącza się, kiedy następuje naturalna katas... Buuum!

Ziemia zatrzęsała się ponownie. Sara musiała przytrzymać się kanapy, by nie stracić równowagi, po czym ruszyła za Willem na podwórko za domem.

Will spoglądał w niebo. Nad koronami drzew unosiły się kłęby czarnego dymu. Sara doskonale знаła kampus Emory University.

Piętnaście tysięcy studentów.

Sześć tysięcy pracowników.

Dwie silne eksplozje.

- Chodźmy. - Will ruszył w kierunku auta. Był agentem specjalnym GBI (Georgia Bureau of Investigation), stanowym biurem śledczym

powiązanych z federalnymi służbami kryminalnymi. Ona była lekarką. Oboje wiedzieli, co należy zrobić.

- Saro! - zawołała Cathy, stając w tylnych drzwiach. - Słyszałaś to?

- To w Emory. - Sara wpadła do domu w poszukiwaniu kluczyków do auta. Czuła narastające przerażenie.

Miejski kampus zajmował dwieście pięćdziesiąt hektarów. Mieściły się tam: szpital uniwersytecki; Szpital Dziecięcy Eglestona; Centra Kontroli i Prewencji Chorób; Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego; Narodowe Centrum Prymatologii imienia Yerkesa; Instytut Leczenia Nowotworów. A także laboratoria rządowe. Patogeny. Wirusy.

Atak terrorystyczny? Szkolna strzelanina? Atak samotnego wilka?

- Może to bank? - podsunęła Cathy. - Byli tacy rabusie, którzy próbowali wysadzić więzienie.

Martin Novak. Sara wiedziała, że w śródmieściu odbywa się ważne spotkanie, ale więzień był ukryty w bezpiecznym miejscu za miastem.

- Cokolwiek to jest, jeszcze nie mówią o tym w wiadomościach - oznajmiła Bella po włączeniu telewizora. - Mam tu gdzieś starą strzelbę Buddy'ego.

Sara w końcu namacała w torebce breloczek z kluczami.

- Zostańcie w domu. - Złapała matkę za rękę i ścisnęła mocno jej dłoń. - Zadzwoń do taty i Tessy i daj im znać, że nic ci nie jest.

Wiążąc włosy, ruszyła ku drzwiom, ale zastygła z bezruchu, zanim do nich dotarła.

Wszyscy zastygli w bezruchu.

Powietrze rozdarło donośne żałosne wycie syreny alarmowej.

## ROZDZIAŁ DRUGI

NIEDZIELA, 4 SIERPANIA, GODZINA 13:33

Will Trent oderwał dłoń od kosiarki, by otrzeć pot zalewający mu oczy. Ta czynność wiązała się z pewnymi komplikacjami. Najpierw musiał strzepnąć pot z dłoni. Potem wytrzeć palce w wewnętrzną stronę koszuli, by pozbyć się brudu. I dopiero wtedy mógł kolistym ruchem zaciśniętej pięści usunąć słone krople zebrane nad brwiami. Wykorzystując chwilową poprawę widoczności, zerknął na zegarek. Godzina 13:33.

Jaki idiota kosiłby półtora hektara pofałdowanej ziemi wczesnym sierpniowym popołudniem? Chyba tylko taki, który spędził ranek w łóżku ze swoją dziewczyną. I chociaż przyjemniej być nie mogło, Will naprawdę żałował, że nie może cofnąć się w czasie i wyjaśnić Willowi z Przeszłości, jak cholernie nieszczęśliwy będzie Will w Przyszłości.

Skręcił, ustawiając kosiarkę pod kątem, by pokonać zagłębienie terenu. Trafił nogą w norę susła. Chmara komarów latała mu przed oczami. Słońce paliło kark. Miał wrażenie, jakby ktoś smagał go biczem. Jedynym powodem, dla którego miał jeszcze jądra, było to, że warstwa ziemi, ściętej trawy i potu przykleiły mu je do ciała.

Przy kolejnym nawrocie zerknął na dom. Nie mógł się nadziwić jego ogromowi. Z dwuspadowego dachu wręcz kapąły pieniądze. Dom uosabiał książkę o designie, którą pożyczyła mu Bella. Witraże na klatce schodowej były dziełem Louisa Comforta Tiffany'ego. Misterne gzymsy wykonali rzemieślnicy sprowadzeni z Włoch. Dębowe parkiety mozaikowe. Kasetony na sufitach. Fontanna we wnętrzu. Wyłożona mahoniem biblioteka ze starym księgozbiorem. Drewno cedrowe w każdej garderobie. Krzykliwe żyrandole pokryte

prawdziwym złotem. Toaleta w piwnicy dla służby, pamiętająca czasy Jima Crowa. W spiżarni za ukrytą płyciłą mieścił się nawet sejf wielkości człowieka, gdzie trzymano rodzinne srebra.

Za każdym razem, gdy Will wjeżdżał na podjazd, czuł się jak Jethro Bodine z „Bogatych biedaków”.

Stęknął, przedzierając się przez kępę kociego pazura, wyższą od każdego prawdziwego kota.

Kiedy Will poznał Sarę, szybko zorientował się, że jest zamożna. Nie dlatego, że zachowywała się inaczej czy mówiła inaczej, ale jako detektyw był wytrawnym obserwatorem. Po pierwsze, zajmowała penthouse w luksusowym budynku. Po drugie, jeździła bmw. Po trzecie, była lekarką, więc umiejętności śledcze Willa nie były konieczne, by się domyślić, że ma w banku pieniądze.

W tym miejscu sprawy się komplikowały. Sara powiedziała Willowi, że jej ojciec był hydraulikiem. To prawda. Nie dodała jednak, że Eddie Linton jednocześnie inwestował w nieruchomości i że wciągnął ją w rodzinny biznes; i że zarobiła mnóstwo pieniędzy na wynajmowaniu i sprzedaży domów; i że spłaciła pożyczkę wziętą na studia medyczne; poza tym przed przeprowadzką do Atlanty sprzedała swoją praktykę pediatryczną w hrabstwie Grant; na dodatek dostała jeszcze pieniądze z polisy na życie swojego zmarłego męża i rentę po nim, a jako wdowa po oficerze policji była zwolniona z płacenia podatków stanowych, zatem w kwestiach finansowych wyprzedzała Willa o lata świetlne.

Co niespecjalnie mu przeszkadzało.

Miał osiemnaście lat, gdy pierwszy raz ktoś włożył mu pieniądze do kieszeni. Na bilet autobusowy do schroniska dla bezdomnych, ponieważ jako pełnoletni wyrósł z systemu opieki zastępczej nad dziećmi. Zakwalifikował się do otrzymania stypendium na studia w college'u. Skończył, pracując dla tego samego stanu, który go wychował. Jako policjant przywykł do tego, że jest zarówno



najbiedniejszym facetem w towarzystwie, jak i tym, który ma największe szanse na postrzał w głowę w trakcie wykonywania pracy.

Dlatego zadawał sobie pytanie: czy Sarze to nie przeszkadza?

Zakasłał, wykrztuszając grudkę ziemi, która wystrzeliła mu w twarz spod kół kosiarki. Splunął na ziemię. W brzuchu mu zaburczało na myśl o nadchodzącym lunchu.

Rezydencja Belli nie dawała mu spokoju. Niepokoiło go to, co reprezentowała. Co mówiła o przepaści między nim a Sarą, ponieważ na studiach mieszkał w domu przeznaczonym do rozbiórki z powodu azbestu użytego do jego budowy, a nie w rezydencji znajdującej się w Krajowym Rejestrze Domów Historycznych.

Ciotka Sary była nadziana. I lubiła popijać przez cały dzień, co Will wywnioskował z zapachu jej mrożonej herbaty. Wyglądało na to, że dorobiła się dzięki kolejnym małżeństwom. Co go nie obchodziło, póki nie stał się obiektem wyjątkowej hojności Belli.

W zeszłym tygodniu podarowała mu maszynki do strzyżenia warte co najmniej dwieście dolców. Tydzień wcześniej gdy zauważyła, że Will podziwia kolekcję płyt jednego z jej nieżyjących mężów, wręczyła mu przy drzwiach karton z tym płytami.

Oryginalna „A Night in Opera” Queensów, „Paralel Lines” Blondie.

Duży singiel „Imagine” Johna Lennona.

Will mógł kosić ten cholerny trawnik przez dwa następne tysiąclecia, a i tak nie byłby w stanie się jej odwdzięczyć.

Przystanął, by otrzeć czoło i pot pokrywający rękę zmieszał się z potem płynącym po twarzy. Will otworzył usta i wciągnął gorące powietrze w płuca, połykając przy tym komara.

Godzina 13:37.

Nie powinien tu być.

W tej chwili w centrum miasta trwało spotkanie grubych ryb. Takie ważne wydarzenia odbywały się przez ostatni miesiąc i dwa razy w poprzednim miesiącu. GBI współpracowało z biurem szeryfa

federalnego, z ATF, czyli Biurem do spraw Tytoniu, Alkoholu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych, oraz z FBI w sprawie przeniesienia więźnia skazanego za napady na banki. Martin Novak przebywał w tajnej kryjówce w oczekiwaniu na wyrok, jaki miał zapisać w sądzie mieszczącym się w Russell Federal Building. Novak nie czekał na wyrok w więzieniu, ponieważ kumple usiłowali zorganizować mu ucieczkę, wybijając otwór w ścianie budynku. Ich wysiłki spełzły na niczym, ale służby nie chciały ryzykować kolejnych prób.

Novak w niczym nie przypominał typowego więźnia. Był geniuszem zbrodni, który kierował grupą świetnie wyszkolonych zbirów. Zabijali każdego, kto się nawinął. Cywilów. Ochroniarzy. Policjantów. Nieważne, kto stał naprzeciwko, kiedy pociągali za spust. Brali na celownik banki i czyścili je do zera. Wszystko wskazywało na to, że banda Novaka nie pozwoli zgnieć ich przywódcy w więzieniu federalnym.

Jako policjant Will gardził takimi przestępcami – nie było nic gorszego albo nic rzadszego niż naprawdę inteligentny zbir – ale jako człowiek tęsknił za tym, by znaleźć się w ferworze akcji. Dawno temu zrozumiał, że najbardziej przemawia do niego ta część pracy, która obejmuje polowanie. Nigdy nie zastrzeliłby zwierzęcia, ale myśl o czatowaniu z bronią wycelowaną w środek tułowia jakiegoś zbira, z palcem na spuście, drżącym z chęci ulżenia światu i sprzątnięcia kolejnego nędznika, przyprawiała go o radosne podniecenie.

Nigdy nie przyznałby się Sarze do takich myśli. Wiedział z pewnego źródła, że jej mąż był taki sam. Jeffrey Tollivera zabiło prawdopodobnie jego zamiłowanie do polowania. Mając do wyboru walkę lub ucieczkę, Will wybrałby walkę. Nie chciał jednak, by Sara umierała ze strachu za każdym razem, gdy on wychodził z domu.

Znowu zerknął przez ramię na dom, kosząc kolejny fragment trawnika.

Odsuwając na bok bogate ciotki na rauszu, Will czuł, że sprawy z Sarą dobrze się układają. Wypracowali wspólną rutynę. Nauczyli się akceptować swoje wady, a przynajmniej nie zauważać tych najgorszych, jak niechęć do przykładowego śłania łóżka każdego ranka albo upartego trzymania się zwyczaju wyrzucania słoika z resztką majonezu na dnie, która wystarczyłaby do posmarowania jeszcze jednej kanapki.

Ze swojej strony Will starał się otwarcie komunikować Sarze, co czuje. Okazało się to łatwiejsze, niż sądził. Po prostu co poniedziałek zapisywał sobie w kalendarzu, by powiedzieć jej o czymś, co go martwi.

Jedna z jego największych obaw zniknęła jeszcze przed zapoczątkowaniem poniedziałkowych sesji wyznań. Will bardzo się bał wspólnej pracy z Sarą w Biurze Śledczym Stanu Georgia, czyli w GBI. Ale wszystko poszło gładko, głównie dlatego, że sama Sara o to zadbała. Oboje trzymali się swoich działek. Sara była lekarką i specjalistką w dziedzinie medycyny sądowej. Tym samym zajmowała się w hrabstwie Grant. Jej mąż był szefem policji, wiedziała więc, co oznacza życie z gliniarzem. Jeffrey Tolliver, podobnie jak Will, nie był chyba na liście przewidzianych do awansu. Chociaż jaki awans mógłby dostać Jeffrey, skoro znalazł się już na szczycie łańcucha pokarmowego?

Will odsunął od siebie te czarne myśli, które mogłyby zaprowadzić go na manowce.

Wyglądało na to, że Cathy, matka Sary, zaczyna się do niego przekonywać. Wczoraj wieczorem przez pół godziny opowiadała mu historie z pięciu pierwszych lat swojego małżeństwa. Will uznał, że to postęp. Przy pierwszym spotkaniu nie ukrywała swojej wściekłości. Może jego walka z oporną materią trawnika wstawionej siostry Cathy przekonała ją, że Will nie jest taki zły. A może zauważyła, jakim uczuciem Will darzy jej córkę. W oczach Cathy to musiało się liczyć.

Will potknął się, gdy kosiarka podskoczyła na kolejnej nierówności. Rozejrzał się dokoła i ze zdumieniem skonstatował, że prawie skończył.

Sprawdził godzinę.

Godzina 13:44.

Gdyby się pośpieszył, zdążyłby opłukać się węzem ogrodowym, ochłonać i spokojnie poczekać na dzwonek wzywający na obiad.

Skosił ostatni długi rząd trawy i popędził do szopy. Zostawił kosiarkę na kamieniach, by ostygła. Miał ochotę ją kopnąć, ale nogi miał jak z waty.

Zdjął koszulę, podszedł do zlewu i włożył głowę pod strumień lodowatej wody. Dokładnie się umył kostką mydła o strukturze papieru ściernego. Czysta koszula ślizgała się po mokrej skórze, gdy ją wkładał. Oparł się dłońmi o stół warsztatowy, rozstawił szeroko nogi i czekał, aż wyschnie.

Na ekranie jego komórki pojawiło się powiadomienie. Faith przysłała mu wiadomości ze spotkania grubych ryb, na które on nie dostał zaproszenia. Najpierw obrazek klauna celującego sobie w głowę z pistoletu na wodę. Potem nóż. I młotek. Potem kolejny klaun i z jakiegoś powodu słodki ziemniak.

Gdyby chciała poprawić mu samopoczucie, batat nie byłby ostatnią wiadomością przed metą.

Wyjrzał przez okno. Nie uważał się za pępek świata, ale patrząc na fachowo skoszony trawnik, nie umiał opędzić się od natrętnych myśli.

Dlaczego nie siedział teraz na spotkaniu grubych ryb?

Nie zazdrościł Faith tej możliwości. Nie miał jej za złe nepotyzmu. Ich szefowa Amanda zaczynała karierę w policji jako partnerka matki Faith. Były najlepszymi przyjaciółkami, co wcale nie znaczyło, że Faith wykorzystywała swoje koneksje. Przeszła całą drogę od patrolowania ulic w radiowozie przez pracę w wydziale zabójstw w Atlancie po stanowisko agentki specjalnej w GBI. Była dobrą

policjantką. Zaszła na każdy awans, jaki dostała.

Dla Willa upokarzające było coś innego. Pomijając konieczność powiedzenia Sarze, że Faith awansowała, Will musiał przyzwyczajać się do nowej partnerki. A raczej to nowa partnerka musiała przyzwyczaić się do niego. Will nie najlepiej radził sobie w kontaktach z ludźmi, a przynajmniej w kontaktach ze znajomymi gliniarzami. Był za to świetny w rozmowach z przestępcami. Wczesna młodość upłynęła mu na omijaniu prawa. Znał sposób myślenia przestępców. Zamknięci w jakimś pomieszczeniu wymyśliliby kilkanaście sposobów na wydostanie się stamtąd, ale żaden z tych sposobów nie zakładałby zwykłego poproszenia o otwarcie drzwi.

Will zamykał sprawy. Miał dobre efekty. Był świetnym strzelcem. Nie rozpychał się łokciami. Nie miał potrzeby grać pierwszych skrzypiec. Nie marzył o medalu za wykonywanie swojej pracy.

Chciał tylko wiedzieć, dlaczego nie zaproszono go na to spotkanie.

Ponownie zerknął na telefon.

Nic prócz słodkiego ziemniaka.

Spojrzał przez okno. Wyczuł, że jest obserwowany.

Sara chrząknęła.

Will poczuł, że nastrój mu się poprawia. Na widok Sary za każdym razem uśmiechał się jak głupi do sera i nie umiał nad tym zapanować. Jej długie kasztanowe włosy opadały swobodnie na ramiona. Uwielbiał, gdy nosiła rozpuszczone włosy.

- Pora na lunch? - zapytał.

Spojrzała na zegarek.

- Jest pierwsza czterdzieści sześć. Mamy dokładnie czternaście minut ciszy przed burzą.

Will przyglądał się uważnie jej pięknej twarzy, na której dostrzegł nad brwią podejrzaną smugę, która wyglądała jak rozgnieciony robak. Sara posłała mu pytające spojrzenie.

- Widziałaś szope? - zapytał, chcąc podstępem zwabić ją na

kanapę. Był wykończony koszeniem trawy. Umierał z głodu. I z obawy, że Sara zostanie z biednym gliniarzem tylko pod warunkiem, że ten biedny gliniarz będzie miał ambicje.

- Świetnie tu, prawda?

Sara zakasłała, gdy z kanapy wzbił się tuman kurzu. Mimo to oplotła nogą udo Willa. Objęła go ramieniem. Palcami pogładziła mokre końcówki jego włosów. W jej obecności na Willa zawsze spływał spokój.

Jakby jedyną rzeczą, która naprawdę się liczyła, była łącząca ich więź. - Możemy się wprowadzić? - zapytał. - Żartuję tylko trochę - dodał.

Zaciekawienie w oczach Sary ustąpiło miejsca rezerwie.

Will wstrzymał oddech. Żart nie wypalił. A może to wcale nie był żart, ponieważ od jakiegoś czasu krążyli wokół tematu wspólnego zamieszkania. Will już właściwie mieszkał z Sarą, ale ona nie poprosiła go, żeby wprowadził się oficjalnie, a on nie wiedział, czy to znak, a jeśli znak, to jaki: stopu czy nakazu jazdy, a może znak, którym waliła go w głowę, tyle że on tego nie dostrzegał?

- Zobacz. Gitara - rzucił, rozpaczliwie usiłując zmienić temat.

Przejechał palcami po strunach. Kiedy był nastolatkiem, cierpliwości wystarczyło mu tylko na nauczenie się jednej piosenki w całości. Zaczął powoli, nucąc melodię, by przypomnieć sobie akordy. Po chwili zamilkł. Zaczął się zastanawiać, skąd w ogóle przyszło mu do głowy, że „I'm on fire” to piosenka, która przekona dziewczynę, by pozwoliła mu dotknąć piersi.

- To raczej prostackie, nie? „Cześć, mała, tatuś w domu?”

- A może „Mała, niedługo staniesz się kobietą”? Albo „Nie stój tak blisko mnie”? Albo pierwsza linijka „Saro, uśmiechnij się”?

Will trącił struny gitary, słysząc w głowie śpiewającego Daryla Halla...

„Baby hair with a woman's eyes...<sup>6</sup>”.

- Cholera - mruknął. Dlaczego każdy kawałek soft rocka z czasów szkolnych był przestępstwem pierwszego stopnia? - Hall i Oates też?

- Lepszą wersję mieli Panic! At the Disco.

Will był zachwycony, że Sara to wie. Początkowo zaniepokoiła go kolekcja płyt Dolly Parton w jej aucie. Potem zobaczył listę na iTunes, obejmującą wszystko od Adama Anta przez Kraftwerk po Led Zeppelin, i zrozumiał, że wszystko się ułoży.

Sara uśmiechała się do niego, obserwując jego palce wędrujące po strunach.

- Kiedy nauczyłeś się grać?

- W szkole średniej. Sam. - Odgarnął jej włosy do tyłu, by lepiej widzieć twarz. - Pomyśl o każdej głupocie, jaką szesnastoletni chłopak zrobiłby dla zaimponowania szesnastoletniej dziewczynie, a ja będę wiedział, jak to zrobić.

Sara zaśmiała się głośno.

- Miałeś fryzurę na Jamesa Deana? - zapytała.

- Ba! - Will wymienił wszystkie swoje żalosalne dokonania, które nie przyciągnęły ani jednej dziewczyny. - Powinnaś widzieć mnie w spranych dżinsach i kurtce z Member's Only.

- Member?

- To dyskont z rzeczami za dolara i mniej. Nie udawałem milionera.

- Will nie był w stanie dłużej ignorować rozgnieczonego robaka. Skinął głową w stronę smużek nad brwią Sary. - Co się tu dzieje?

Sara potrząsnęła głową.

Will odstawił gitarę na miejsce. Kciukiem starł resztki truchełka z jej czoła.

- Tak jest lepiej.

Z jakiegoś powodu zaczęła go całować. Prawdziwie. Namiętnie. Objął ją w talii. Przysunęła się do niego. Pocałowała go głębiej. Oparła mu palce na ramionach i nacisnęła mocno. Kiedy osunął się na kolana, myśląc, że nigdy nie będzie miał dość jej smaku, poczuł,

jak drży pod nim ziemia.

Sara usiadła.

- Cholera, co to było? - zapytała.

Will otarł usta. Nie mógł zażartować, że poczuła drżenie ziemi z jego powodu, ponieważ ziemia naprawdę się zatrzęsała. Zajrzał pod starą sofę, by sprawdzić, czy przypadkiem się nie rozpada. Wstał i opukał belki nośne, co było chyba głupim pomysłem, ponieważ cała szopa mogła runąć im na głowy.

- Pamiętasz trzęsienie ziemi w Alabamie sprzed paru lat? - Obserwował wtedy przestępcę w północnej Georgii. Jego autem zachybotало, wstrząs odrzucił je od krawężnika. - Zupełnie jak wtedy, ale znacznie mocniej.

Sara zaczęła zapinać spodnie.

- Słyszałam jakiś dźwięk. Country club urządza pokazy fajerwerków. Może to próba nowego pokazu?

- W biały dzień? - Will sięgnął po telefon leżący na stole warsztatowym i sprawdził godzinę.

Godzina 13:49.

- Nie mam żadnej informacji - powiedział.

Sara też pracowała dla GBI. Wiedziała, że stan Georgia dysponuje systemem powiadamiania wszystkich służb na wypadek ataku terrorystycznego.

Will analizował położenie miejsca, w jakim się znajdowali, i rodzaj kataklizmu, jaki dałby się tu odczuć. Przypomniawszy sobie wykład agenta FBI, który był w Strefie Zero. Mimo upływu ponad dziesięciu lat mężczyzna nie umiał znaleźć słów na opisanie straszliwej energii kinetycznej wywołanej upadkiem walącej się wieży.

Zupełnie jakby miał do czynienia z trzęsieniem ziemi o sile przekraczającej skalę.

Lotnisko w Atlancie leżało ponad jedenaście kilometrów od centrum. Obsługiwało dziennie ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy



pasażerów.

Will znowu spojrzął na komórkę. Próbował sprawdzić wiadomości i maile, ale na ekranie widział tylko obracającą się po okręgu strzałkę. Wybrał numer Faith, ale nie uzyskał połączenia. Wybrał numer Amandy. To samo. W końcu wybrał numer siedziby GBI.

Nic nie działało.

Oderwał telefon od ucha, by Sara też mogła usłyszeć trzy sygnały, a potem nagrany komunikat o zajętych liniach. Upuścił telefon na ławkę. W tej chwili był równie przydatny jak cegła.

Na twarzy Sary malował się niepokój.

- W Emory jest syrena alarmowa. Uruchamia się w przypadku katas ...

Bum!

Will omal nie stracił równowagi. Wybiegł z szopy i spojrzął w niebo. Za linią drzew wzbijała się w niebo smuga ciemnego dymu.

To nie były fajerwerki.

To były dwie eksplozje.

- Chodźmy! - zawołał i popędził w stronę podjazdu.

- Saro, słyszałaś to? - zawołała Cathy przed tylnych drzwi.

Will patrzył, jak Sara rusza w stronę domu. Domyślił się, że chodzi o kluczyki. Wolał, żeby została w domu, ale wiedział, że tego nie zrobi.

Zbiegł po pochyłości od frontu. Spodziewał się wkrótce policyjnych blokad. Mógł nie mieć gdzie zaparkować. Pewnie prędzej dobiegłby na miejsce, niż dojechał. Pomyślał o swojej broni zamkniętej w schowku bmw Sary, ale jeśli miejscowym policjantom będzie potrzebny, to raczej do zapanowania nad tłumem.

Dotknął stopami ulicy w chwili, w której powietrze rozdarł dźwięk syreny alarmowej. Dom Belli stał przy prostym odcinku Lullwater Road. Pięćdziesiąt metrów dalej zaczynał się zakręt biegnący wzdłuż pola golfowego na Druid Hills. Will sprintem połykał kolejne metry.

Gdy znalazł się niemal przy zakręcie, usłyszał inny dźwięk. Nie kolejną eksplozję, lecz trzask generowany przez zderzenie dwóch aut. Po chwili rozległ się następny trzask. Will zacisnął zęby i zamarł w oczekiwaniu. Wraz z syreną alarmową zawył klakson samochodu.

Już wbiegając w zakręt, widział, co się stało. Między dwoma samochodami stała zgnieciona niebieska furgonetka.

Z przodu stał czerwony porsche boxer S. Starszy model, z wolnossącym sześcioturbinowym silnikiem. Bagażnik wozu był otwarty. Kierowca leżał na kierownicy z twarzą wciśniętą w przycisk klaksonu.

Niebieski ford F-150 miał drzwi wgniecione pod wpływem uderzenia. Jakiś mężczyzna usiłował wydostać się ze środka przez otwarte okno. Drugi, z twarzą zalaną krwią, stał oparty o maskę.

Srebrny czterodrzwiowy chevrolet malibu wbił się w tył furgonetki. Kierowca i dwaj pasażerowie na tylnym siedzeniu nie ruszali się.

Policyjny instynkt nakazał Willowi natychmiast przypisać komuś winę. Porsche zahamowało zbyt gwałtownie. Furgonetka i chevrolet jechały w zbyt małej odległości od niego, prawdopodobnie przekraczając dozwoloną prędkość. Ustalenie szczegółów przebiegu wypadku i tak należało do ekipy z drogówki.

Will spojrzał dalej w stronę ronda przy North Decatur Road wypełnionego samochodami. Minivan. Ciężarówka. Mercedes. Bmw. Audi. Wszystkie porzucone, z otwartymi drzwiami. Kierowcy i pasażerowie stali na ulicy, zapatrzeni w kłęby wzbijającego się w niebo dymu.

Will zwolnił do truchtu, po chwili jak reszta zastygł w miejscu.

Spomiędzy drzew dobiegał świergot ptaków. I szelest liści poruszanych delikatnymi podmuchami wiatru. Dym wisiał nad kampusem Emory. Will zaczął wyliczać w myślach: studenci, personel, dwa szpitale, siedziba FBI, CDC, czyli Centra Kontroli i Prewencji Chorób. - Will...

Drgnął. Sara zatrzymała się obok niego. Jej bmw X5 było hybrydą. Przy niskich prędkościach bateria szybciej się wyczerpywała.

- Mogę wstępnie ocenić ich stan, ale potrzebuję twojej pomocy - powiedziała.

Musiał odchrząknąć, by wrócić myślami na miejsce.

- Kierowca porsche wygląda źle - odparł.

Sara wysiadła z auta.

- Spod silnika wycieka paliwo - oznajmiła.

Podbiegła do porsche. Kierowca nadal leżał bezwładnie na kierownicy. Okna były podniesione. Tak jak składany dach.

Próbowała otworzyć drzwi, ale bez powodzenia. Zaczęła walić pięścią w okno.

- Proszę pana! - zawołała. Klakson nie przestawał wyć. Podniosła głos, by przekrzyczeć ten dźwięk. - Proszę pana, musimy wydostać pana z auta.

Woń benzyny gryzła Willa w nozdrza. Iskra z klaksonu w każdej chwili mogła wywołać zapłon paliwa pod autem.

- Cofnij się - rzucił do Sary.

Miał w kieszeni nóż sprężynowy, którym usuwał pnącza bluszczu z drzew Belli. Złapał rękojeść obiema rękami i wbił dziesięciocentymetrowe ostrze w miękki składany dach. Nóż był częściowo ząbkowany. Will próbował rozciąć dach, ale materiał wraz z warstwą izolacyjną okazał się za gruby. Schował nóż i rozdarł palcami poszycie na tyle, by włożyć rękę do środka i sięgnąć do blokady dachu.

W końcu przekręcił kluczyki w stacyjce.

Klakson zamilkł.

Will otworzył drzwi. Kilka sekund później Sara zaczęła kręcić głową.

- Złamane kręgi szyjne. Nie miał zapiętych pasów, ale to dziwne.

- Co w tym dziwnego?

- Nie jechali na tyle szybko, by doznał akurat takich obrażeń. Chyba że cierpiał na jakieś ukryte schorzenie. Ale nawet w takim przypadku... - Sara znowu pokręciła głową. - To nie ma sensu.

Will spojrzał na ślady hamowania. Były krótkie, co wskazywało, że porsche jechało dość wolno. Wytarł kciuk w koszulę. Kluczyki były lepkie od krwi. Klamka przy drzwiach również, chociaż wokół wcale nie było dużo krwi. Na przednim siedzeniu leżały rozrzucone papiery.

- Proszę pani. - Za porsche stał kierowca furgonetki F-150. Z włosami w strąkach i brodą à la chłopaki z ZZ Top wyglądał jak typowy wieśniak; facet, który codziennie przyjeżdża samochodem z głębi gór, by tu budować tarasy i montować regipsy. Palcami trzymał brzegi rany na głowie. - Jest pani pielęgniarką?

- Jestem lekarką. - Sara delikatnie odsunęła mu rękę, by przyjrzeć się ranie. - Ma pan zawroty głowy albo mdłości, panie...?

- Merle. Nie, pani doktor.

Will spojrzał na asfalt. Między furgonetką a porsche zobaczył ślady krwi. Czyli Merle sprawdził stan kierowcy porsche i wrócił do swojego wozu. W jego zachowaniu nie było nic podejrzanego. A jednak intuicja zwykle Sary nie zawodziła. Skoro wydawało się jej, że coś jest nie tak, coś rzeczywiście musiało być nie tak.

W takim razie co mu umykało?

- Co się stało? - zapytał pasażera furgonetki.

- Wybuchł gaz. Musieliśmy stamtąd wiać. - Mężczyzna przypominał kolesia wyjętego wprost z kapeli Lynyrd Skynyrd. Z trzech metrów Will czuł od niego papierosowy dym. Mężczyzna machnął ręką w stronę chevroleta malibu. - O nich powinniście się martwić. Gość z tyłu źle wygląda.

Sara już kierowała się w stronę sedana. Will ruszył za nią, chociaż nie potrzebowała jego pomocy. Jej podejrzliwość uruchomiła w nim wewnętrzny alarm. Rozejrzał się po ulicy. Niektórzy sąsiedzi stali w drzwiach domów, ale nikt nie podchodził bliżej. Dym z eksplozji

wypełnił powietrze odorem spalonego węgla.

- Przyjaciół potrzebuje pomocy. - Kierowca chevroleta zatoczył się po wyjściu z auta. Miał na sobie niebieski uniform, jaki nosili ochroniarze na uniwersytecie. Otworzył tylne drzwi. Jeden z pasażerów leżał na siedzeniu. Był w takim samym niebieskim uniformie.

- Ona jest lekarzem - oznajmił Merle.

Kierowca chevroleta zwrócił się do Willa:

- Na budowie wybuchł gaz - powiedział.

- Dwa razy? - zapytał Will. - Słyszeliśmy dwie eksplozje.

- Nie wiem. Może wybuchło coś innego. Całe miejsce wyparowało.

- A ofiary?

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Budowlańcy nie pracują w weekendy, ale na wszelki wypadek ochrona ewakuuje cały kampus. Rozpętało się piekło, kiedy włączyły się alarmy.

Will nie zapytał strażnika z Emory, dlaczego sam nie pomaga w ewakuacji kampusu. Spojrzał w tamtym kierunku. Pojedyncza smuga dymu przybrała dziwny granatowy kolor.

- Proszę pana, jak się pan czuje? - Sara kucnęła przy otwartych drzwiach samochodu, by móc rozmawiać z mężczyzną na tylnym siedzeniu.

- Ma na imię Dwight - oznajmił kierowca chevroleta. - Ja jestem Clinton.

- A ja Vince - dodał pasażer furgonetki.

Will skinął głową. W końcu usłyszał sygnały radiowozów pędzących po Oakdale Road, równoległej do Lullwater. Nad głowami przeleciał im śmigłowiec lotniczego pogotowia ratunkowego. Z oddali dobiegały syreny wozów strażackich. Żaden nie wjechał w ulicę Belli. Pewnie doszło do wypadku przy styku Lullwater i Ponce de Leon. Nie wiadomo, ilu ludzi wcisnęło gwałtownie hamulce, kiedy nastąpiła

eksplozja. Dlaczego więc ten wypadek sprawiał wrażenie innego?

- Dwight? - Sara podniosła mężczyznę z pozycji leżącej do siedzącej. Okna były mocno przyciemnione. Przez otwarte drzwi Will widział, jak głowa Dwighta opada na bok. Spod opuchniętych powiek białka oczu wyglądały jak kości. Z nosa kapłała mu krew. On też nie miał zapiętego pasa. Pewnie stracił przytomność po uderzeniu w siedzenie przed nim.

- Musimy go stąd zabrać. - W głosie Clintona był teraz przestraszony.  
- Zawieźć go do szpitala. Emory jest zamknięty. Izba przyjęć też. Wszystko jest zamknięte, stary. Co robić, kurwa, co robić?

Will położył mu rękę na ramieniu w uspokajającym geście.

- Może pan powiedzieć, co się dokładnie stało?

- Już mówiłem! - Clinton strząsnął z ramienia dłoń Willa. - Widzisz ten dym, brachu? Wszystko jebnęło. To się stało. Wóz skasowany i żaden z nas nie może się stąd wydostać. Myślisz, że przyślą karetkę po mojego kumpla? Czy gliny mnie aresztują za walnięcie w tę pieprzoną furgonetkę?

- Clintonie, to niczyja wina. - Do rozmowy włączył się drugi pasażer z tylnego siedzenia. Po trzydziestce, starannie ogolony. W Tshircie i džinsach. Splecione dłonie przyciskał do dachu.

Will wyczuł zagrożenie emanujące od tego faceta jak żar emanujący ze słońca.

Co mu umykało?

- Jestem Hank - przedstawił się mężczyzna.

Will skinął powściągliwie głową, ale swojego imienia nie zdradził. Dziwiło go, że mężczyźni się przedstawiają. Dziwiło go, że kierowca porsche ma złamany kark. Jeszcze dziwniejszy wydawał mu się spokój Hanka w obliczu śmierci kumpla.

Człowiek nie zachowuje się tak spokojnie, chyba że całkowicie panuje nad sytuacją.

- Usłyszeliśmy następny wybuch - zaczął Hank - a potem ten gość

w czerwonym aucie zatrzymał się, o tak. – Pstryknął palcami. – Wtedy furgonetka uderzyła w czerwone auto. A my wjechaliśmy w furgonetkę i...

– Will? – ton głosu Sary uległ zmianie. Trzymała w ręce breloczek z kluczykami do bmw. Will dostrzegł leciutkie drżenie jej dłoni, a przecież miała za sobą lata pracy w medycynie ratunkowej i nigdy nie traciła głowy.

Co mu umykało?

– Przynieś mi torbę lekarską ze schowka w moim aucie – powiedziała.

– Ja mogę przynieść – zaofiarował się Merle.

Will wziął kluczyk. Opuszkami palców musnął palce Sary. Poczł nagły przypływ paniki, gdy dotarł do niego ukryty sens nietypowej prośby.

Sara woziła torbę w bagażniku, ponieważ schowek w aucie był za mały. Poza tym w schowku Will trzymał broń, gdy nie musiał nosić jej przy sobie.

Sara nie prosiła o torbę.

Wyraźnie dała mu do zrozumienia, że ma wziąć broń.

Nagle poczuł w ustach nadmiar śliny. Jak strzałki w centralnym punkcie tarczy, jego myśli skupiły się na analizie sytuacji. Pierwsze zderzenie usłyszał, gdy biegł w stronę zakrętu na drodze. Żadnego wybuchu bomby wtedy nie było. Potem nastąpiło kolejne zderzenie, kiedy chevrolet malibu wjechał w tył furgonetki. Klakson porsche rozbrzmiał co najmniej pięć sekund później.

Pięć sekund to sporo czasu.

W ciągu pięciu sekund można wydostać się z furgonetki, otworzyć drzwi porsche i skrócić facetowi kark. Co wyjaśniałoby ślady krwi prowadzące od furgonetki do porsche.

Dwaj strażnicy z Emory, którzy uciekli, zamiast wykonywać swoje obowiązki. Jeden ubrany tak, by móc wmieszać się w tłum. Dwaj

wyglądający jak złote rączki, jakich widać na każdym kroku w całej Atlancie. Mogli być nieznajomymi, ale nie byli.

Już wiedział, co mu umknęło.

Ci mężczyźni tworzyli jeden zespół.

Bardzo dobry zespół. Zanim zdał sobie z tego sprawę, on i Sara zostali zamknięci w trójkącie taktycznym.

Clinton stał za nimi.

Hank przed nimi.

Na wierzchołku trójkąta, między Willem a jego bronią, stali Vince i Merle.

Dwight był nieprzytomny, ale Hank kuśtykając, obszedł auto z tyłu, by stanąć obok Sary.

Will podrapał się po brodzie, szukając ich słabych punktów.

Nie znalazł ani jednego.

Wszyscy byli uzbrojeni. Broni Hanka nie widział, ale tacy faceci zawsze mieli jakiś pas. Wypukłość przy kostce Vince'a zdradzała ukryty rewolwer. Clinton miał przy pasie glocka, który stanowił element jego uniformu. Rewolwer Merle'a tkwił za paskiem spodni z tyłu. Will widział zarys rękojeści, kiedy Merle skrzyżował ręce na potężnych piersiach. Stał jak policjant z szeroko rozstawionymi nogami i z wygiętą kością ogonową, ponieważ kilkunastokilogramowy pas służbowy z całym wyposażeniem mógł złamać kręgosłup.

Oni wszyscy stali w taki sam sposób.

- Pomóż nam, wielkoludzie. - Udawana bezsilność Clintona gdzieś uleciała. Gestem dał znak Willowi, by pomógł mu wyciągnąć Dwighta z samochodu. - Chodźmy.

- Czekaście - odezwała się Sara. - On może mieć uraz szyi albo...

- Przepraszam panią. - Merle nie tyle usunął ją z drogi, ile stał przed nią, póki sama się nie odsunęła. On i Clinton wydobyli Dwighta z auta. Facet był bezwładny. Runął na asfalt jak worek ziemniaków.

Will przeniósł wzrok na Sarę. Nie patrzyła na niego. Taksowała



otoczenie, usiłując zdecydować, czy uciekać, czy nie. Hank stał za nią. Za blisko. Większość ogrodów przed domami miała wymiary boiska do futbolu. Gdyby zaczęła biec, Hank z łatwością trafiłby ją w plecy.

Co oznaczało, że Will musi go zastrzelić, zanim do tego dojdzie.

- Przyniosę ci torbę - rzucił do Sary.

Nie próbował ściągnąć na siebie jej spojrzenia. Zamiast tego przewiercał Hanka wzrokiem, który mówił, że jeśli Sarze spadnie włos z głowy, przestawi mu szczękę.

Od bmw dzieliły go trzy metry. Sara zaparkowała auto w poprzek drogi, by zatrzymać ewentualny ruch. Will szedł tak, że zachował dystans między Merle'em a Clintonem, którzy wlekli bezwładnego Dwighta.

Czuł, że emocje w nim opadają. Serce zwolniło do normalnego rytmu. Niektórzy ludzie uspokajają się, gdy mają nad czymś kontrolę. Will tyle razy w życiu nie miał nad niczym kontroli, że znajdował spokój w chaosie. Nadstawił uszu. Słyszał stęknienia i buty szorujące o asfalt, syreny i klaksony. Sara nie wydała żadnego dźwięku. Ani słowa. Czuł na sobie jej wzrok, zupełnie jakby przyciągała go do siebie wiązką ściągającą.

Jakim cudem do tego dopuścił?

Spojrzał na swoją dłoń. W breloczku krył się drugi kluczyk. Wysunął go dyskretnie. Wzorował się na Faith, która zawsze trzymała pęk kluczy tak, że najdłuższy wystawał z zaciśniętej pięści jak ostrze noża. Kusilo go, by dodatkowym kluczykiem poderznąć Hankowi gardło. Widok własnej krtani wiszącej mu pod brodą na pewno wytrąciłby go z równowagi.

Sukinsyn.

Nie zamierzali ograniczyć się do zabrania bmw. To było łatwe: wystarczyło wyciągnąć broń, wskoczyć do auta i odjechać. Bez niepotrzebnego gadania. Ale oni gadali. Podali swoje imiona, stosując

jedną z technik przesłuchań: nawiąż dobry kontakt z przesłuchiwanym. Zmyślili historyjkę o wybuchu instalacji gazowej. Jeden z nich był ranny, drugi nieprzytomny. Nie mogli jechać do szpitala, ale pilnie potrzebowali pomocy lekarskiej.

Chcieli zabrać Sarę.

Każdą cząstkę Willa zalała fala furii, która zelektryzowała jego nerwy. Mózg zaczął pracować na najwyższych obrotach. Will zyskał całkowitą jasność myśli. Widział wszystko ostro i wyraźnie.

Nóż sprężynowy w kieszeni.

Klucz między palcami.

Broń w schowku.

Nie mógł sięgnąć do kieszeni, wcisnąć przycisku, zwolnić ostrze i zdążyć zrobić cokolwiek, zanim wypuści nóż z ręki, padając na ziemię powalony strzałem.

Kluczyk mógł się sprawdzić w walce wręcz, ale Will nie miał szans w starciu jeden przeciwko dwóm.

Musiał zdobyć broń.

Czterej uzbrojeni gliniarze albo byli gliniarze. Może pięciu, o ile Dwight odzyska przytomność. Tego nie sprawdził, ale facet powinien mieć w kaburze glocka jako element wyposażenia strażnika.

Element przebrania, chociaż mimo wszystko prawdziwa broń.

Will mógł udać, że pomaga Dwightowi wsiąść do auta, i wyrwać mu z kabury glocka. Nawet wtedy musiał działać szybko. Najpierw Clinton. Ten miał broń przy biodrze. Potem Merle, ponieważ jemu więcej czasu zajęłoby sięgnięcie po rewolwer zatknięty z tyłu za paskiem spodni.

Instruktorzy na strzelnicy zawsze powtarzali: strzelaj, by powstrzymać, ale realne zagrożenie dla Sary zmieniło reguły gry. Will zamierzał strzelać, by zabić tych wszystkich sukinsynów.

Wreszcie znalazł się przy bmw. Otworzył drzwi, pochylił się nad siedzeniem pasażera. Wsunął kluczyk do schowka. Podniósł wzrok,

by lokalizować Sarę.

I zamarł.

Krew zastygła mu w żyłach. Poczł skurcz mięśni. Rozrywanie ścięgien. Dziwne, nienaturalne drzenie w kościach. W jednej chwili plan rozprawienia się ze zbirami uleciał mu z głowy.

Ze strachu.

Sara już nie stała. Klęczała na ziemi z twarzą zwróconą w jego stronę. Trzymała ręce za głową w pozycji, jaką policjant nakazywał przyjąć podejrzanemu, by móc go przeszukać i skuć.

Hank stał za Sarą. Obok niego stała inna kobieta. Obok, nie z nim. Miała krótkie, niemal białe włosy i zapadnięte policzki. Obiema rękami podtrzymywała rozpięte spodnie khaki. Wewnętrzne strony nogawek miała poplamione krwią, tworzącą między jej nogami upiorne odwrócone V. Spojrzała na Willa, błagając go wzrokiem, by z tym skończył.

Michelle Spivey.

Porwana miesiąc temu. Pracowała naukowo w Centrach Kontroli i Prewencji Chorób.

To nie był wybuch spowodowany wyciekiem gazu.

To był atak.

- Dobra! - krzyknął Hank do Willa. - Teraz powoli wyjdź z auta i podnieś ręce. - Wyjął z kieszeni pistolet PKO-45. Wylot lufy ledwie wystawał poza jego palec ułożony nad kabłąkiem spustu w sposób charakterystyczny dla policjanta. Spod nasady pięści wyglądał magazynek. Kieszonkowa czterdziestka piątka. Nieduża, ale o wielkiej sile rażenia.

Mogła odstrzelić kobiecie mózg.

Odstrzelić Sarze mózg.

Hank celował jej w głowę.

Will poczuł nagłe osłabienie. Wykonał polecenie Hanka, powoli unosząc ręce. Patrzył na Sarę. Jej dolna warga drżała. W oczach

lśniły łzy. Jej strach był tak namacalny, że Will czuł, jakby ktoś pięścią wyciskał mu krew w serca.

Merle dźgnął go rewolwerem w bok.

- Nic do ciebie nie mamy, wielkoludzie. Chcemy tylko pożyczyć panią doktor. W końcu ją odzyskasz.

Spojrzenie Willa powędrowało ku strużce krwi wypływającej pomiędzy nóg Michelle. Otworzył usta, ale nie był w stanie wziąć oddechu. Dwie strużki potu ściekały mu ze skroni. Zerknął na rewolwer smith and wesson, którego lufę Merle wciskał mu w żebra. Czy jeśli dostanie strzał w brzuch, zdoła jeszcze chwycić jeden z rewolwerów?

Zdoła osłaniać Sarę, żeby umożliwić jej ucieczkę?

Przed czterema uzbrojonymi facetami? Na otwartej przestrzeni?

Czuł, jakby miał w gardle, piersiach i płucach okruchy szkła.

Uprowadzą Sarę.

A jego zabiją.

Mógł tylko na to patrzeć albo przyśpieszyć bieg wydarzeń.

Clinton wsadził nieprzytomnego Dwighta na tylne siedzenie bmw. Dwight osunął się na bok. Kaburę miał pustą. Vince był za daleko, by Will mógł zabrać mu broń. Zdażył już usiąść za kierownicą auta Sary. Kluczyki tkwiły w stacyjce, więc mógł uruchomić samochód wciśnięciem guzika. Bateria zastartowała, lecz silnik nie zareagował.

- Tak to jest, jak kradniesz hybrydę. Podziękujmy liberałom - zaśmiał się Vince.

Will z trudem panował nad drzeniem rąk. Strach ustąpił miejsca wściekłości. Nie mógł do tego dopuścić. Nie mógł pozwolić na skrzywdzenie Sary. Połknąłby wszystkie naboje w rewolwerach, gdyby to mogło ich powstrzymać.

- Spokojnie, stary. - Clinton położył rękę na kolbie glocka.

- Jestem gliną - powiedział Will. - Wy jesteście glinami. To nie musi się tak skończyć.

- Potrzebujemy lekarza! - zawołał Hank. - Bez urazy, bracie. Złe miejsce, dobry moment. Idziemy, szanowna pani. Wsiadaj do samochodu.

Hank próbował pociągnąć Sarę, by wstała z ziemi, ale wyrwała się z jego uścisku.

- Nie. - Mówiła cicho, ale odmowa zabrzmiała jak krzyk. - Nie jadę z wami.

- Droga pani, kampus nie wyleciał w powietrze z powodu wybuchu gazu. - Hank zerknął na Willa. - To my wysadziliśmy dziesiątki, może setki ludzi. Sądzisz, że twoja krew robi na mnie wrażenie?

Will dostrzegł ból na twarzy Sary. Myślała o szpitalach, o pacjentach, o dzieciach, o personelu, o wszystkich, którzy stracili życie.

Will nie myślał o nich. Zależało mu tylko na Sarze. Ci ludzie byli bezwzględnyimi mordercami. Jeśli ją uprowadzą, za kilka godzin nie będzie już żyła. Jeśli odmówi i nie pójdzie z nimi, zginie tam, gdzie właśnie klęczała.

- Nie - powtórzyła Sara. Dokonała takich samych kalkulacji co on. Łzy płynęły jej po policzkach. W jej głosie nie było już strachu. Wyglądała na pogodzoną z losem. - Nie pojedę z wami. Nie pomogę wam. Będziecie musieli mnie zabić.

Willa piekły oczy, ale nie mógł odwrócić od niej wzroku.

Skinął głową.

Wiedział, że Sara mówi serio.

Wiedział, dlaczego to mówi.

- A jeśli zabiję ją? - Hank przycisnął broń do głowy Michelle Spivey.

Nawet nie drgnęła, nie zapłakała, tylko wycedziła:

- Zrób to. No dalej, ty gnido.

Clinton zaśmiał się, chociaż Michelle wydawała się równie pogodzona z losem co Sara.

- Ciągłe uważasz się za porządnego człowieka. - Michelle zwróciła głowę w stronę Hanka. Dłonie, którymi podtrzymywała spodnie, były zaciśnięte w pięści. - Co powie twój ojciec, kiedy się dowie, kim naprawdę jesteś?

Hank zaczynał tracić spokój, bo słowa Michelle trafiły w czuły punkt.

Spędziła z tymi mężczyznami miesiąc i z pewnością знаła ich słabości.

Hank zacisnął szczęki.

- Na łożu śmierci będzie myślał, jakiego potwora pomógł sprowadzić na ten świat.

Clinton znowu się zaśmiał.

- A niech mnie, laluniu, pod wpływem twojego gadania zaczynam się zastanawiać, jak ciasna jest cipka twojej córki.

Zawsze przychodzi taka chwila, w której zła sytuacja staje się jeszcze gorsza.

Ułamek sekundy.

Mgnienie oka.

Will przeżył wystarczająco dużo złych sytuacji, by wiedzieć, kiedy ta chwila nadchodzi. W powietrzu zaszła zmiana. Czuł to, gdy wciągnął je w płuca. Zupełnie jakby dostały więcej tlenu albo jakby nagle przebudziła się nigdy nieużywana część mózgu i zaczęła działać, przygotowując go do tego, co za chwilę nastąpi.

Palec Hanka zsunął się z kabłąka spustu na spust.

Kiedy Hank się odwrócił, nie mierzył do Michelle Spivey. Nie mierzył też do Sary. Ramię Hanka zatoczyło łuk w stronę mężczyzny, który w specyficznym stylu zażartował o zgwałceniu jedenastoletniej dziewczynki. A potem...

Nic.

Tylko metaliczne klik, klik, klik.

Częsty problem z kieszonkową bronią: kłaczki.

Rewolwer się zablokował.

- Ty skurw... - krzyknął Clinton.

Wszystko zwolniło.

Clinton wyszarpnął glocka z kabury.

Will poczuł, jak smith and wesson odrywa się od jego żeber.

Merle wyciągnął rękę, żeby powstrzymać Clintona.

Will chwycił rewolwer. Poszło gładko. Zadziałał efekt zaskoczenia.

Smith and wesson się nie zaciął. Sześciostrzałowy rewolwer był jedną z najbardziej niezawodnych broni na rynku. Co do celności, to zależała od strzelca i odległości. Will był dobrym strzelcem. Z tej odległości nawet trzyletnie dziecko zdołałoby zabić człowieka.

I Will właśnie to zrobił.

Merle osunął się na ziemię, umożliwiając Willowi oddanie czystego strzału do Vince'a, który sięgał do kabury na kostce, gdy trafiła go kula Willa. Sukinsyn został ranny. Wypadł z auta.

Jeden nie żył. Drugi był ranny. Został Dwight, Hank, Clinton...

Kątem oka Will dostrzegł jakiś ruch,

Clinton rzucił go na ziemię. Will stracił rewolwer. Głową uderzył w chodnik. Clinton nie dobrał się do jego twarzy. Nie zabija się człowieka, łamiąc mu czaszkę. Odbiera mu się życie, uszkadzając organy wewnętrzne.

Mięśnie Willa napięły się, by przyjąć grad ciosów, jaki spadł na jego tułów. Ból zapierający dech w piersiach omal go nie obezwładnił. Jednak nie było to pierwsze pobicie w życiu Willa. Dlatego nie użył rąk do odparcia ciosów. Sięgnął do kieszeni. Palcami namacał składany nóż. Zwolnił blokadę. Ostrze wyskoczyło z rękojeści.

Will zamachnął się na oślepa. Rozciął Clintonowi czoło.

- Jezu! - Clinton cofnął się, zalany krwią. Uniósł ręce, przyjmując bojową postawę.

Chrzanić to. Nie ma takiej rzeczy jak uczciwa walka.

Will wbił dziesięciocentymetrowe ostrze prosto w pachwinę

przeciwnika.

Clinton gwałtownie wciągnął powietrze. Zgiął się wpół. Przewrócił na chodnik. Zakasłał. Splunął. Zaczął rzezić.

Will zamrugał, bo widział jak przez mgłę. Krew spływała mu do gardła.

Usłyszał trzask drzwi auta. Echo rozbrzmiało jak uderzenia w kotły. Czy to Sara zawołała go po imieniu?

Przewrócił się na bok. Próbował wstać. Poczuł w ustach zawartość żołądka. Każda cząstka jego wnętrzości płonęła jak przypalana rozgrzanym żelazem. Zdołał tylko dźwignąć się na kolana. I padł jak kłoda. Dyszał ciężko, czując przeszywający ból w całym ciele. Znowu spróbował się podnieść.

Wtedy zobaczył przed sobą robocze buty. Stalowe noski były poplamione krwią. Patrzył, jak jeden z butów odchyła się do tyłu. Wyczekał na odpowiedni moment i unieruchomił nogę w niedźwiedzim uścisku.

Padnij i przeturlaj się.

Obaj runęli na ziemię.

To nie był Clinton.

To był Hank.

Will go przygniótł. Pięściami zaczął okładać po twarzy. Chciał wcisnąć mu gałki oczne w głąb czaszki. Zabić go za to, że przystawił Sarze broń do głowy. Chciał zamordować wszystkich tych drani.

- Will! - krzyknął ktoś.

Głos Sary, a jednak nie jej.

- Przestań!

Will podniósł wzrok.

To nie była Sara.

To była jej matka.

Cathy Linton trzymała w obu dłoniach dubeltówkę. Will czuł ciepło emanujące z wylotu lufy. Cathy pociągnęła za pierwszy spust. Drugi



był odbezpieczony.

Wpatrywała się w drogę.

Bmw wchodziło w zakręt z piskiem opon. Will opadł na ziemię. Wirowało mu w głowie. Ciągle paliło go w gardle. Próbował policzyć głowy w samochodzie.

Cztery?

Pięć?

Spojrzał za siebie, spodziewając się zobaczyć ciało Sary.

- Gdzie...

- Odjechała. - Z piersi Cathy wydobyło się łkanie. - Zabrali ją, Will.

## ROZDZIAŁ TRZECI

NIEDZIELA, 4 SIERPANIA, GODZINA 13:33

Faith Mitchell zerknęła na zegarek, udając zainteresowanie schematem Russell Federal Building na gigantycznym ekranie z przodu sali. Nudny dupek z biura szeryfa omawiał plan transportu, który godzinę temu omawiał już inny dupek z biura szeryfa.

Rozejrzała się po sali. Nie ona jedna miała kłopoty z koncentracją. Trzydzieścioro ludzi, przedstawiciele różnych gałęzi organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości, opadało z sił przy stolikach. Miasto w swojej nieskończonej mądrości wyłączało na weekendy klimatyzację we wszystkich budynkach rządowych. W sierpniu. Przy oknach, których nie da się otworzyć, by nikt z nich nie wyskoczył gnany pragnieniem, by poczuć na twarzy powiew wiatru w trakcie swobodnego spadania.

Faith przeniosła wzrok na materiały szkoleniowe. Kropla potu spadła jej z czubka nosa i rozmazała kilka słów. Faith zdążyła przeczytać już całość, i to dwukrotnie. Szeryf dupek był piątym prelegentem w ciągu trzech ostatnich godzin. Chciała się skupić. Naprawdę chciała się skupić. Ale czuła, że jeśli kolejny mówca nazwie Martina Eliasa Novaka „więźniem specjalnego znaczenia”, to zacznie krzyczeć. Spojrzała na zegar wiszący na ścianie nad ekranem.

Godzina 13:34.

Była gotowa przysiąc, że wskazówka sekundowa przesuwająca się do tyłu.

- Wóz pościgowy podjedzie tutaj. - Szeryf wskazał trójkąt na końcu przerywanej linii oznaczony jako „wóz pościgowy”. - Przypominam wszystkim, że Martin Novak jest więźniem specjalnego znaczenia.

Faith ledwie powstrzymała się przed prychnięciem. Nawet Amanda traciła cierpliwość. Nadal siedziała na krześle wyprostowana jak struna, pozornie czujna i uważna, ale Faith doskonale wiedziała, że Amanda potrafi spać z otwartymi oczami. Matka Faith również posiadała tę umiejętność. Obie pracowały w policji w Atlancie i świetnie umiały się przystosować. Były jak dinozaury, które nauczyły się używania narzędzi i wysyłania przeterminowanych memów sprzed dwóch miesięcy.

Otworzyła laptopa. W wyszukiwarce miała osiem otwartych stron. Każda oferowała rady, jak uczynić swoje życie bardziej efektywnym. Faith zamknęła wszystkie. Jako samotna matka z dwulatką w domu i dwudziestolatkiem w college'u o efektywności mogła tylko pomarzyć. O wysypianiu się również. O spokoju w trakcie posiłków. O korzystaniu z łazienki przy zamkniętych drzwiach. O czytaniu książki bez konieczności pokazywania zdjęć wszystkim pluszacom w pokoju.

O głębokim oddychaniu. O chodzeniu w linii prostej. O myśleniu.

Faith rozpaczliwie pragnęła odzyskać mózg; swój mózg sprzed ciąży, który wiedział, jak być w pełni wydolnym i kompetentnym dorosłym. Czy tak było przy Jeremym? Urodziła go, mając zaledwie piętnaście lat. Nie przywiązywała wagi do tego, co się dzieje z jej umysłem. Była pochłonięta opłakiwaniem straty ojca Jeremy'ego, którego rodzice wysłali na północ do krewnych, by dziecko nie zrujnowało mu świetlanej przyszłości.

Przy córce Faith była już świadoma zmian atakujących jej zdolności umysłowe. Radziła sobie z wielozadaniowością, ale ledwie umiała skupić się na jednym zadaniu. Niepokój i czujność, nieodłączne elementy policyjnego fachu, wyostrzyły się do entej potęgi. Nigdy nie spała głębokim snem, ponieważ jej uszy czuwały nieustannie. Płacz Emmy wywoływał drżenie rąk i warg, a czasem, gdy nocna lampka córki oświetlała jej delikatne rzęsy, serce Faith wypełniało tyle

miłości, że wychodziła na korytarz i zalewała się łzami.

Sara wyjaśniła jej naukowo tajemnicę zmiennych nastrojów. W trakcie ciąży i karmienia piersią mózg kobiety zalewają hormony, które wpływają na działanie istoty szarej w rejonach mózgu odpowiedzialnych za kontakty społeczne, potęgując empatię i umacniając więź z dzieckiem.

Natura doskonale to urządziła, ponieważ gdyby inna ludzka istota zachowywała się wobec nas jak małe dziecko - rzucała jedzeniem w twarz, negowała wszystko, rozwijała całą folię aluminiową z rolki, rzucała sztućcami, zmuszała do zmywania kupy z tyłka, sikała w naszym łóżku, domagała się powtarzania wszystkiego przynajmniej szesnaście razy, a potem wrzeszczała, że za dużo gadamy - wtedy pewnie mielibyśmy ochotę ją zabić.

- Omówmy teraz czworobok taktyczny, który utworzyliśmy na ulicach prowadzących na zachód - powiedział szeryf.

Faith powoli zamrugwała. Potrzebowała czegoś więcej poza pracą i Emmą. Jej matka nazywała to eufemistycznie równowagą między pracą a życiem, ale w ten delikatny sposób Evelyn komunikowała, że Faith potrzebuje seksu.

A Faith nie oponowała.

Tyle że znalezienie odpowiedniego mężczyzny graniczyło z cudem. Faith nie zamierzała spotykać się z gliną, ponieważ wystarczyło iść na randkę z jednym gliniarzem, a cała reszta gliniarzy uznałaby, że może ją przelecieć. Tinder nie wchodził w rachubę. Mężczyźni, którzy nie wyglądali na żonaty, wyglądali jak osobnicy, których należy przykuć do ławki pod salą rozpraw. Faith próbowała Match.com, ale żaden z frajerów, którzy wydali jej się choćby odrobinę interesujący, nie przeszedł wstępnego sita, jakim było sprawdzenie jego przeszłości. Co mówiło więcej o typie mężczyzn, jacy ją pociągali, niż o portalach randkowych w Internecie.

W tej sytuacji jedyną metodą na seks była wyobraźnia.

- Więc tak! - Szeryf klasnął głośno w dłonie. Za głośno. - Więc przypomnijmy sobie życiorys Martina Eliasa Novaka. Sześćdziesiąt jeden lat, wdowiec, jedna córka, Gwendolyn. Żona zmarła przy porodzie. Służył w wojsku jako ekspert od materiałów wybuchowych. Nie taki znowu ekspert. W dziewięćdziesiątym szóstym stracił dwa palce lewej ręki. Został zwolniony. Potem pracował dorywczo w ochronie. W dwa tysiące drugim roku był w Iraku z prywatnym oddziałem najemników. W dwa tysiące czwartym namierzyliśmy go, kiedy przyłączył się ze znajomymi weteranami do obywatelskiego patrolu granicznego w Arizonie. - Szeryf złączył palce dłoni i wolno pochylił głowę. - Tam widzieliśmy go po raz ostatni. To był dwa tysiące czwarty. Potem Novak odciął się od świata. Nie korzystał z karty kredytowej. Zamknął konta. Wycofał akcje zakładów użyteczności publicznej. Wyprowadził się z wynajmowanego mieszkania. Czeki z emeryturą i rentą wracały jako niedoreczone. Był duchem do dwa tysiące szesnastego roku, kiedy objawił się nam w nowej roli: bankowego rabusia.

Faith zauważyła, że szeryf pominął niezmiernie istotną część tej układanki. To samo robili inni w trakcie wcześniejszych spotkań.

Novak był antyrządowym świrem. Nie takim, który po prostu nie chce płacić podatków i słuchać nakazów władzy. W końcu żaden dziarski Amerykanin tego nie chciał. Udział w tak zwanym obywatelskim patrolu granicznym wzniósł go na wyższy poziom sprzeciwu. Przez pół roku Novak przebywał w towarzystwie mężczyzn przekonanych, że rozumieją konstytucję lepiej niż cała reszta. Co gorsza, planowali chwycić za broń i coś z tym zrobić. A to oznaczało, że dzięki napadom na bank ktoś gdzieś miał pół miliona dolarów na rzecz sprawy.

I nikt w tej sali nie wydawał się tym przejmować.

- Dobrze. - Szeryf znowu klasnął w dłonie. Ktoś w pierwszym rzędzie podskoczył nerwowo. - A teraz agent specjalny Aiden Van Zandt

z FBI wyjaśni, dlaczego Novak jest więźniem specjalnego znaczenia.

Faith poczuła, że znowu przewraca oczami.

- Dziękuję, szeryfie. - Agent Van Zandt bardziej przypominał Humperdincka niż Westleya. Faith nie ufała mężczyznom w okularach. Ale Van Zandt przynajmniej nie zaklaskał i nie wygłosił długiego wstępu.

Zamiast tego zwrócił się w stronę monitora i powiedział: - Obejrzyjmy wideo. Novak wchodzi jako pierwszy. Widać brak palców w lewej dłoni.

Agent Van Zandt włączył nagranie. Faith pochyliła się na krześle. Wreszcie coś nowego. Dotąd przeczytała wszystkie raporty policyjne, ale nie widziała żadnych materiałów filmowych.

Na ekranie pojawiło się wnętrze banku w pełnym kolorze.

Piątek, 24 marca 2017 roku, godzina 16:03.

Czterej kasjerzy w okienkach. Co najmniej dwunastu klientów w kolejce. Przez cały dzień spory ruch. Ludzie realizowali czeki przed weekendem. Żadnego przeszklenia czy krat przy stanowisku kasjerskim. Podmiejski oddział Wells Fargo pod Macon, gdzie banda Novaka dokonała pierwszego skoku.

Na ekranie wszystko działo się szybko. Faith omal nie przeoczyła Novaka w drzwiach banku, chociaż miał na sobie czarny strój bojowy i kominiarkę na twarzy. Na prawym ramieniu wisiał mu karabin AR-15. Na lewym plecak. W lewej dłoni brakowało mu małego i serdecznego palca.

Strażnik wszedł w kadr po prawej stronie Novaka. To Pete Guthrie, rozwiedziony ojciec dwójki dzieci. Sięgał do kabury po broń, ale AR-15 zwrócił się w jego stronę i Pete Guthrie padł martwy na ziemię.

Ktoś w sali jęknął, jakby oglądał film, a nie prawdziwy koniec czyjegoś życia.

Reszta bandy Novaka wpadła do banku i szybko zajęła pozycje. Sześciu ludzi, wszyscy w identycznych bojowych strojach. Wszyscy

wymachiwali AR-15, wszechobecnymi w Georgii jak brzoskwinie. Nagraniu nie towarzyszył dźwięk, ale Faith widziała otwarte usta krzyczących klientów. Po chwili została zastrzelona kolejna osoba, siedemdziesięciodwuletnia babcia sześćioletniej dziewczynki, Edatha Quintrell, która według zeznań świadków za wolno kładła się na podłogę.

- Wojsko - zauważył ktoś.

Nie musiał tego mówić. Było oczywiste, że napastnicy są oddziałem taktycznym. Nie upłynęło dziesięć sekund od wejścia, a już otwierali szuflady kasjerów, odrzucali ukryte pojemniki z farbą, a pieniądze chowali do białych płóciennych toreb.

- Przejrzeliśmy nagrania z czterech poprzednich miesięcy. Chcieliśmy sprawdzić, czy ktoś nie obserwował banku, ale nic na to nie wskazuje - powiedział Van Zandt. - Spójrzcie na stoper w jego ręce. Do najbliższego posterunku jest dwanaście minut drogi. Najbliższy patrol znajduje się o osiem minut od banku. Novak wie, ile mają czasu. Co do sekundy. Wszystko jest dokładnie zaplanowane.

Napastnicy nie przewidzieli jednak, że jednym z klientów będzie policjant po służbie. Rasheed Dougall, dwudziestodziewięcioletni policjant na co dzień patrolujący ulice, wstąpił do banku w drodze na siłownię. Miał na sobie czerwone spodenki koszykarskie i czarny Tshirt. Faith odnalazła go w prawym dolnym rogu ekranu. Leżał na brzuchu. Nie trzymał rąk na głowie, ale wzdłuż tułowia blisko sportowej torby. Wiedziała, co nastąpi potem. Rasheed wyciągnął z torby miniaturowy pistolet i strzelił najbliższemu napastnikowi prosto w pierś.

Dwa strzały w klatkę piersiową. Tak jak ich szkolili.

Rasheed przetoczył się po ziemi i trafił drugiego napastnika w głowę. Mierzył do trzeciego, kiedy Novak odstrzelił mu dolną połowę twarzy.

Novak wydał się nieporuszony tą nagłą masakrą. Spojrzał na

stoper. Poruszył ustami. Z zeznań świadków wynika, że powiedział swoim ludziom:

- Posprzątajcie to, chłopaki.

Czterech mężczyzn postąpiło naprzód. Dwóch ujęło pod ramiona jednego nieżywego kumpla, dwóch drugiego i powlekli ciała ku drzwiom.

Novak zgarnął białe torby z gotówką. Potem wykonał swój zwyczajowy ruch, czyli sięgnął do plecaka. Wzniósł nad głowę bombę rurową, zrobił to tak, by wszyscy ją zobaczyli. Bomba nie była przeznaczona do wysadzenia bankowego skarbcza. Novak chciał ją zdetonować, gdy tylko ich auto znajdzie się poza zasięgiem wybuchu. Ale przed wyjściem miał zamknąć drzwi na łańcuch, by nikt stamtąd nie wyszedł.

To był przemyślany plan. W małych miastach brakowało ratowników i innych służb, by poradzić sobie z więcej niż jedną katastrofą w tym samym momencie. Wybuch w banku, ofiary wypadające z wybitych okien i roztrzaskanych drzwi, to największa katastrofa, jaką miejscowi kiedykolwiek zobaczą.

Na ekranie Novak przykleił bombę do ściany. Faith wiedziała, że użył kleju dostępnego w każdym markecie budowlanym. Ocynkowana rura. Gwoździe. Pinezki. Drut. Wszystkie elementy niemożliwe do namierzenia, tak powszechne, jak tylko można sobie wyobrazić. Odwrócił się ku drzwiom. Zaczął wyjmować z plecaka łańcuch i kłódkę.

I nagle runął na ziemię twarzą w dół.

Krew trysnęła mu z ciała jak z deszczownicy.

Niektórzy uczestnicy spotkania wydali z siebie okrzyki radości.

W kadrze pojawiła się kobieta, to Dona Roberts. Mierzyła z colta 1911 w głowę Novaka. Oparła mu stopę na kości ogonowej, by go unieruchomić. Była emerytowaną pilotką samolotu transportowego marynarki wojennej, która akurat przyszła do banku otworzyć konto



dla córki.

Miała na sobie sukienkę bez ramiączek i sandały.

Obraz na ekranie znieruchomiał.

- Novak dostał dwie kulki w plecy - powiedział Van Zandt. - Stracił nerkę i śledzionę. Podratowali mu zdrowie z waszych podatków. Telefon, którym miał zdetonować bombę, był w plecaku. Według naszych ludzi pierwszy zbir trafiony w brzuch mógł przeżyć pod warunkiem szybkiej interwencji medycznej. Zbir postrzelony w głowę oczywiście zginął na miejscu. W średnicy trzydziestu pięciu kilometrów nie znaleziono żadnych porzuconych ciał. Żaden szpital nie zgłosił ran postrzałowych zgodnych z opisem. Nie mamy pojęcia, kim są jego wspólnicy.

Novak nie pękł w trakcie przesłuchania.

Nie pękł, ponieważ nie był zwyczajnym bankowym rabusiem. Większość tego typu idiotów aresztowano, zanim zdążyli dokładnie przeliczyć łup. FBI powstało, by powstrzymać ludzi przed napadami na banki. Wskaźnik rozwiązanych spraw sięgnął znacznie powyżej siedemdziesięciu pięciu procent. Napad na bank był głupim przestępstwem z wysokim prawdopodobieństwem niepowodzenia oraz karą dwudziestu pięciu lat więzienia. Wystarczyło podejść do okienka i podać kasjerowi czy kasjerce karteczkę z napisem: TO JEST NAPAD. Machanie bronią, groźby, strzelanie do ludzi oznaczało dożywotnią odsiadkę w więzieniu o zaostrzonym rygorze przy założeniu, że nie dostanie się kary w postaci śmiertelnego zastrzyku.

- A teraz... - Szeryf wrócił i znów klasnął w ręce. Ten facet naprawdę lubił klaskać. - Podyskutujmy to tym, co się stało na tym nagraniu.

Faith sprawdziła wiadomości w apple watchu, modląc się o jakąś nagłą sytuację rodzinną, która wyrwałaby ją z tego koszmaru.

Nic. Niestety.

Jęknęła w duchu.

Godzina 13:37.

Weszła w wiadomości. Will nie miał pojęcia, jakim jest farciarzem, że ominęła go ta idiotyczna nasiadówka. Wysłała mu klauna z pistoletem na wodę przy głowie. Potem nóż. Potem młotek. Chciała wysłać mu awokado, którego oboje nie znosili, ale na małym wyświetlaczu palec jej się omsknął i przypadkowo wysłała batata.

- Spójrzmy na ten diagram. - Szeryf wyświetlił schemat blokowy, który wyszczególniał wszystkie agencje zaangażowane w transport więźnia. Policja z Atlanty. Policja z hrabstwa Fulton. Biuro szeryfa w Fulton. Biuro szeryfów federalnych. FBI. ATF. I licho wie, kto jeszcze, a Faith miała przed sobą dwie godziny składania wypranych rzeczy, albo i sześć, jeśli jej ukochana córka uprze się, żeby pomóc mamie.

Sprawdziła, czy Will odpisał. Nie. Pewnie grzebał przy samochodzie, robił pompki albo inne rzeczy, którymi się zajmował, gdy udało mu się wywinąć od ciągnących się w nieskończoność spotkań.

Najpewniej ciągle był w łóżku z Sarą.

Faith spojrzała w okno. Westchnęła ciężko.

Will był straconą szansą. Teraz to widziała. Przy pierwszym spotkaniu nie zrobił na niej szczególnego wrażenia, ale Sara go odmieniła. Zaciągnęła go do prawdziwego salonu fryzjerskiego. Dotąd Will chodził do gościa z kostnicy, który strzygł włosy w zamian za kanapki. Namówiła na garnitury na miarę. Przestał więc przypominać wieszak z wyprzedaży rzeczy XXL i zaczął wyglądać jak manekin na wystawie sklepu Hugo Bossa. Wyprostował się, nabrał pewności siebie. Był mniej spięty i skrepowany.

Potem ujawnił uroczą stronę swojej natury.

Gwiazdką oznaczał dni w kalendarzu, gdy Sara zrobiła sobie fryzurę. Chciał pamiętać o uraczeniu jej komplementem. Nieustannie znajdował sposoby na wypowiedanie jej imienia. Słuchał jej, szanował

ją, uważał za mądrzejszą od siebie, i słusznie, ponieważ Sara była lekarką, ale jaki mężczyzna by to przyznał? Will ciągle zasypywał Faith mądrościami zasłyszanyymi od Sary:

- Wiedziałaś, że mężczyźni też mogą używać balsamu do suchej skóry?

- Wiedziałaś, że powinno się jeść hamburgera z sałata i pomidorem?- Wiedziałaś, że mrożony sok pomarańczowy ma mnóstwo cukru?

Faith chorowała na cukrzycę, więc wiedziała wszystko o cukrze. Pytanie, jakim cudem Will tego nie wiedział? Przecież to powszechna wiedza, że dzięki sałacie i pomidorom można sobie pozwolić na frytki. Faith wiedziała, że Will wychował się w patologii, ale ona mieszkała pod jednym dachem z dwoma nastoletnimi chłopakami: najpierw ze starszym bratem, potem z synem. Nie mogła zostawić w łazience butelki balsamu, bo obaj go podbierali.

Jak to się stało, że Will nie wiedział o balsamie?

- Dziękuję, szeryfie - zabrała głos major Maggie Grant.

Faith poprawiła się na krześle, usiłując wyglądać jak wzorowa uczennica. Maggie była jej idolką, kobietą, która przeszła wszystkie szczeble policyjnej drabiny od przeprowadzania dzieci przez ulicę po dowodzenie operacjami specjalnymi, nie stając się przy tym kastrującą mężczyzn wredną suką.

- Przypomnę krótko zasady transportu specjalnego z punktu widzenia policji w Atlancie. Wszyscy działamy według doktryny postępowania z aktywnym strzelcem. Żadnych negocjacji. Wchodzimy i wychodzimy. Ze względów taktycznych zachowamy pustą przestrzeń wokół tego... - na chwilę zawiesiła głos - więźnia specjalnego znaczenia przez cały czas.

Tylko Amanda i Faith zaśmiały się głośno. W sali były tylko trzy kobiety. Reszta to mężczyźni, którzy chyba od czasów podstawówki nie pozwolili kobiecie mówić tak długo bez przerywania.

Ktoś podniósł rękę. Tyle w kwestii nieprzerywania. – Zważywszy na wyjście awaryjne dla więźnia... Faith sprawdziła godzinę.

Godzina 13:44.

Otworzyła zakładkę ORGANIZER w laptopie i podjęła próbę skrócenia listy zakupów, którą dziś rano podyktowała Siri: jajka, pieczywo, sok, masło orzechowe, pieluchy i – nie, Emmo, wykluczone; do jasnej cholery, zostaw to, Emmo; nie, przestań – słodycze.

Technologia ułatwiała nadrabiać braki w jej fatalnym rodzicielstwie.

Czy zawsze taka była? Kiedy Jeremy poszedł do pierwszej klasy, ona miała dwadzieścia dwa lata i uczyła się pracy w radiowozie. Jej rodzicielskie umiejętności oscylowały między „Pajęczyną Charlotty” a „Władcą much”. Jeremy do dzisiaj wypominał jej w żartach liścik, jaki zostawiła mu w pudełku na lunch:

*Chleb jest czerstwy. Tak się dzieje, gdy nie zamykasz torebki.*

Przysięgła sobie, że dla Emmy będzie lepszą matką, ale tak naprawdę co oznacza: „Jestem dobrą matką”?

Czy dobra matka nie układa niezłożonego prania na kanapie w salonie? Nie zapomina o opróżnieniu przepełnionego worka odkurzacza, by nie śmierdział paloną gumą przy każdym użyciu? Orientuje się dużo wcześniej niż o trzeciej w nocy, że pudło z zabawkami śmierdzi zgniłymi roladkami owocowymi, ponieważ Emma chowała na dnie wszystkie roladki, jakie Faith jej dawała?

Dzieci to potwornie upierdliwe istoty.

– Jestem Amanda Wagner, zastępczyni dyrektora GBI.

Faith omal nie zaczęła zanosić modlitwy dziękczynnej do Jezusa, ponieważ zgodnie z planem Amanda była ostatnim prelegentem.

Amanda oparła się o stół z przodu sali i czekała, aż wszyscy obecni skupią na niej swoją uwagę.

– Mieliśmy sześć miesięcy na przygotowanie tego transferu. Jakikolwiek niepowodzenie będzie wynikiem ludzkiego błędu.

Obecni w tej sali są ludźmi, którzy mogą popełnić ten błąd. Proszę opuścić rękę.

Facet siedzący z przodu opuścił rękę.

Amanda spojrzała na zegarek.

- Jest pięć po drugiej. Mamy tę salę do trzeciej. Zróbcie sobie dziesięć minut przerwy. Po przerwie wracajcie i jeszcze raz przejrzyjcie materiały. Nie wolno wynieść stąd żadnych dokumentów. Żadnych plików w laptopach. Jeśli macie jakieś pytania, przekażcie je na kartce waszemu bezpośredniemu przełożonemu. - Amanda posłała uśmiech Faith, jedynej agentce w sali, której szefowała. - Dziękuję, panowie.

Otworzyły się drzwi. Faith zobaczyła hol. Rozważała konsekwencje udania, że idzie do łazienki, i wyslizgnięcia się tylnymi drzwiami.

- Faith. - Amanda szła w jej kierunku, uniemożliwiając ucieczkę.

- Zaczekaj chwilę.

Faith zamknęła laptop.

- Będziemy się zastanawiać, dlaczego nikt się nawet nie zająknie, że nasz „więzień specjalnego znaczenia” uważa, że obali tajną władzę jak Katniss z „Igrzysk śmierci”?

Amanda zmarszczyła brwi.

- Myślałam, że Katniss jest bohaterką pozytywną?

- Mam problem z kobietami u władzy.

Amanda potrząsnęła głową, po czym oznajmiła:

- Will potrzebuje połamania ego.

Faith na chwilę straciła rezon. To stwierdzenie było zaskakujące z dwóch powodów. Po pierwsze, Will jeżył się przy każdej próbie prowadzenia za rękę; po drugie, Amanda karmiła się raczej tłamszeniem ego.

- Przeżywa, że nie został wybrany do tego zadania - powiedziała Amanda.

- Wybrany? - Faith straciła sześć niedziel z powodu tej nudy. - My-

ślałam, że to kara za... - Nie była na tyle głupia, by wyliczyć powody.

- Że siedzę tu za karę.

Amanda nie przestawała kręcić głową.

- Faith, kiedyś ci faceci będą rządzić wszystkim. Muszą przywyknąć, że uczestniczysz w rozmowie. To się nazywa nawiązywanie kontaktów.

- Nawiązywanie kontaktów? - Faith starała się nie podnosić głosu. Sama zawsze kierowała się mottem: „Po co iść na całość, skoro mogę iść do domu?”.

- To lata twoich najwyższych zarobków, Faith. Pomyślałaś o tym, że kiedy Emma będzie w college’u, ty będziesz się już kwalifikować do emerytalnego ubezpieczenia zdrowotnego?

Faith poczuła, jakby ktoś wbił jej nóż w serce.

- Nie możesz wiecznie pracować w terenie - dodała Amanda.

- A Will może? - Faith była zdezorientowana. Amanda była dla Willa niczym matka. Taka, którą podejrzewasz, że chce cię przejechać autem. - Skąd to zachowanie? Will jest twoim ulubieńcem. Dlaczego zamykasz mu drogę rozwoju?

Zamiast odpowiedzieć, Amanda przerzuciła strony broszury zadrukowane tekstem o pojedynczych odstępach między linijkami.

Faith nie potrzebowała wyjaśnienia.

- On jest dyslektykiem, nie analfabetą. W liczeniu jest ode mnie lepszy. Może przeczytać materiały informacyjne. Tyle że dłużej to potrwa.

- Skąd wiesz o jego dysleksji?

- Ponieważ... - Faith sama nie wiedziała, skąd o tym wie. - Ponieważ z nim pracuję. Zwracam uwagę na różne rzeczy. Jestem detektywem.

- Ale on sam nigdy ci o tym nie powiedział. I nigdy nikomu o tym nie powie. Dlatego nie możemy oferować mu ułatwień. I dlatego nigdy nie wejdzie na wyższe szczeble drabiny.

- Jezu - mruknęła Faith. Amanda ot tak sobie zamykała Willowi przyszłość.

- Mandy. - Do sali weszła Maggie Grant. Przyniosła dwie butelki zimnej wody dla nich obu. - Czemu tu jeszcze siedzicie, na litość boską? W holu jest chłodniej.

Faith ze złością odkręciła korek butelki. Nie mogła uwierzyć w te słowa o Willu. Amanda nie miała prawa decydować o tym, co Will potrafi, a czego nie.

- Jak mama? - zapytała ją Maggie.

- Dobrze. - Faith zebrała swoje rzeczy. Musiała stąd wyjść, zanim powie coś głupiego.

- A Emma?

- W porządku. Nie narzekam. - Faith wstała z krzesła. Przeupocona bluzka przykleiła jej się do pleców. - Powinnam...

- Pozdrów je ode mnie - powiedziała Maggie i zwróciła się do Amandy: - Jak twój chłopiec?

Miała na myśli Willa. Wszyscy przyjaciele Amandy nazywali go jej chłopcem. To sformułowanie przypominało Faith pierwsze zetknięcie z Michonne w „Żywych trupach”.

- Radzi sobie - odparła Amanda.

- Na pewno - stwierdziła Maggie i ponownie zwróciła się do Faith:

- Powinnaś się koło niego zakręcić, zanim pojawiła się Sara.

- Jest dla niego za mało urocza i słodka - dodała Amanda ze śmiechem, który można by nazwać rehotliwym.

- Co to niby, kurwa, znaczy? - Faith uniosła rękę, by uniknąć dekapitacji. - Przepraszam. Obudziłam się o trzeciej nad ranem, ciągnąc pudło z zabawkami do ogrodu. Niebo się obudziło, więc i ja się obudziłam.

Przed dalszym przeinaczaniem tekstu z „Krainy lodu” uratował ją dzwonek telefonu.

- To mój - powiedziała Maggie. Podeszła do okna i odebrała.

Wtedy zaczął dzwonić telefon Amandy.

W holu rozległo się więcej dzwonek. Faith miała wrażenie, że rozdzwoniły się wszystkie telefony w budynku.

Spojrzała na zegarek. Przed spotkaniem wyciszyła sygnał powiadomień, ale teraz go włączyła. O godzinie 14:08 nadeszła informacja z Systemu Powiadamiania Służb:

WYBUCHY NA UNIWERSYTECIE EMORY. WIELE OFIAR. TRZEJ PODEJRZANI BIALI MĘŻCZYŹNI UCIEKLI SREBRNYM CHEVROLETEM MALIBU LP# XPR 932. MAJĄ ZAKŁADNICZKĘ. UZBROJENI I NIEBEZPIECZNI. ZACHOWAĆ OSTROŻNOŚĆ.

Przez chwilę do Faith nie docierała treść komunikatu. Poczula nerwowe nudności. Takie same jak wtedy, kiedy otrzymywała wiadomość o strzelaninie w szkole albo ataku terrorystycznym. Nagle przyszło jej do głowy, że przecież grupa Novaka lubowała się w wybuchach. Jednak szpital to nie ich modus operandi. Poza tym kryjówka Novaka znajdowała się daleko za miastem.

- Wyślijcie wszystkich dostępnych agentów - warknęła do telefonu Amanda. - Potrzebuję szczegółów. Rysopisów. Przybliżonej liczby ofiar. Niech jednostka specjalna razem z biurem ATF zabezpieczy kampus. Powiadom mnie, kiedy gubernator wezwie Gwardię Narodową.

- Amando - powiedziała Maggie opanowanym głosem. To było jej miasto, to była jej odpowiedzialność. - Mój helikopter czeka na dachu.

- Idziemy. - Amanda dała znak Faith.

Faith złapała torebkę. Nerwowe mdłości zamieniły się w kamień w żołądku, gdy zaczęła analizować, co zaszło. Eksplozja w szpitalu.

Zakładniczka. Wiele ofiar. Uzbrojeni i niebezpieczni.

Kiedy znalazły się przy schodach, wszyscy już biegli. Ruszyły z Maggie na górę, ale pozostali uczestnicy spotkania zbiegali w szaleńczym tempie po schodach, ponieważ to właśnie robią



policjanci, gdy dzieje się coś złego. Pędzą w stronę dziejącego się zła.

- Upoważniam do... - Maggie krzyknęła do telefonu, gdy pokonała kolejne półpiętro - dziewięć-siedemdwadwaczteryalfadelta. Dziesięć-trzydzieści dziewięć dla wszystkich wolnych radiowozów. Poderwać wszystkie śmigłowce. Przekaż dowódcy, że jestem za pięć minut.

- Jeden z zamachowców został ranny. - Amanda w końcu miała konkretne informacje. Zerknęła przez ramię na Faith. Była wstrząśnięta. - Zakładniczką jest Michelle Spivey.

Maggie zaklęła pod nosem. Złapała się poręczy, pokonując kolejną kondygnację. Słuchała rozmówcy, po czym zaraportowała.

- Dwóch rannych, o Spivey nic nie wiadomo. - Dyszała ciężko, ale nie przerwała, by złapać oddech. - Jeden ze sprawców został ranny w nogę, drugi w ramię. Kierowca miał na sobie mundur ochroniarza Emory.

Słuchając tych słów rozbrzmiewających echem na klatce schodowej, Faith poczuła, że pokrywający ją pot staje się lodowaty.

- Pielęgniarka rozpoznała Spivey. - Amanda rozłączyła się. Podniosła głos, by przekrzyczeć tupot trzech par nóg po betonie. - Informacje są sprzeczne, ale...

Maggie przystanęła na kolejnym zakręcie schodów. Uniosła rękę, chcąc uciszyć Amandę.

- Naoczny świadek z oddziału policji w DeKalb mówi, że dwie bomby wybuchły na wielopoziomowym parkingu naprzeciw szpitala. Druga detonacja nastąpiła, kiedy na miejsce przybyły pierwsze służby ratownicze. Co najmniej piętnaście osób zostało tam uwięzionych.

Dziesięć ofiar na ziemi.

Faith poczuła, że zawartość żołądka podchodzi jej do gardła. Spojrzała pod nogi. Na ziemi leżały niedopałki. Pomyślała o mundurze galowym w szafie, o pogrzebach, w których będzie uczestniczyć w nadchodzących tygodniach, o tym, ile razy będzie musiała stać na baczność w obecności zrozpaczonych rodzin.

- To nie koniec. - Maggie znowu ruszyła schodami w górę. Jej kroki nie były już tak energiczne. - W podziemiach znaleziono ciała dwóch zamordowanych strażników. Dwaj policjanci z DeKalb zginęli, gdy zamachowcy uciekali z miejsca wybuchu. Zastępczyni szeryfa z hrabstwa Fulton została ranna i jest teraz operowana. Rokowania są kiepskie.

Faith zwolniła tempo. Te wieści zadziały jak cios w brzuch, po którym nie można złapać tchu. Pomyślała o dzieciach. O matce, która też była policjantką. Znała smak czekania na informacje, tę niepewność, czy rodzic żyje czy nie, czy może został ranny, i poczucie bezradności, gdy można było jedynie siedzieć przed telewizorem i wmawiać sobie, że wszystko będzie dobrze.

Amanda zatrzymała się na chwilę i położyła Faith dłoń na ramieniu.

- Ev wie, że jesteś ze mną.

Faith skupiła się na pokonywaniu schodów. Tylko tyle mogła teraz zrobić. W tej chwili tylko to im pozostało.

Mama pilnowała Emmy. Jeremy był z kolegami na turnieju gier wideo. Wszyscy wiedzieli, że Faith jest na spotkaniu w centrum, ponieważ narzekała na to w obecności każdego, kto tylko zechciał jej słuchać.

Dwaj strażnicy zamordowani.

Dwaj policjanci zamordowani.

Zastępczyni szeryfa, która prawdopodobnie nie przeżyje operacji.

Pacjenci szpitala. Chorzy dorośli. Chore dzieci, ponieważ w Emory był też Szpital Dziecięcy Egleston. Ile to razy Faith w środku nocy wiozła tam Emmę na ostry dyżur? Życzliwe pielęgniarki. Cierpliwi lekarze. Wokół szpitala stały piętrowe parkingi. Po eksplozji jeden z nich mógł zawalić się na szpital.

A wtedy co? Ile budynków zostało zniszczonych jedenastego września w trakcie wstrząsów następczych?

W końcu Maggie otworzyła drzwi na szczycie schodów. Słońce

oślepiło Faith, ale ona i tak miała już oczy pełne łez złości.

„Druga detonacja nastąpiła, kiedy na miejsce przybyły pierwsze służby ratownicze”.

Słyszała narastający warkot śmigieł helikoptera. Czarny UH-1 Huey był jej rówieśnikiem. SWAT używał go do spuszczenia liny i do ratownictwa pożarowego. Z tyłu siedzieli już członkowie jednostki specjalnej w pełnym wyposażeniu, z karabinami AR-15. Mieli przeszukać pomieszczenie po pomieszczeniu, by upewnić się, że nie ma tam więcej bomb czekających na odpalenie.

Warkot stawał się ogłuszający.

Myśli Faith współgrały z rytmem obracających się śmigieł.

Dwóch-strażników-dwie-rodziny.

Dwóch-policjantów-dwie-rodziny.

- Mandy! - Maggie przekrzykiwała ryk silnika. Ton jej głosu sprawił, że powietrze stężało. - Chodzi o Willa, Mandy. Zranili twojego chłopca.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

NIEDZIELA, 4 SIERPANIA, GODZINA 13:54

Sara odnotowała w pamięci przybliżony czas zgonu kierowcy porsche, sprawdzając uszkodzenie powłok czaszki kierowcy fordą F-150.

- Wybuchł gaz. Musieliśmy stamtąd wiać. - Pasażer furgonetki wskazał na srebrnego chevroleta malibu. - To o nich powinniście się martwić. Gość z tyłu źle wygląda.

Sara ucieszyła się, że Will podąży za nią, gdy pobiegła do chevroleta. Coś jej się nie zgadzało w obrazie tego wypadku. Uderzenie furgonetki w tył auta nie było aż tak poważne, by spowodować złamanie kręgów szyjnych u kierowcy. Tę tajemnicę będzie musiał rozwikłać lekarz medycyny sądowej w Atlancie, to on wyda ostateczne orzeczenie. Ale nie wiadomo, ile czasu potrwa sprzątanie po wybuchu gazu. Co za szczęście, że na budowie nie było robotników.

Mimo to...

Skręcony kark. Żadnych innych urazów. Żadnych ran szarpanych. Żadnych stłuczeń.

Dziwne.

Kierowca malibu powiedział do Willa:

- Przyjaciół potrzebuje pomocy.

- Ona jest lekarzem - wyjął Merle.

- Proszę pana. - Sara kucnęła, by sprawdzić stan nieprzytomnego mężczyzny na tylnym siedzeniu chevroleta. Pasażer siedzący obok niego śledził każdy jej ruch. Drogi oddechowe czyste. Oddech normalny.

- Wszystko w porządku?

Za plecami słyszała imiona.

Dwight, Clinton, Vince, Merle.

- Dwight? - zapytała. Przyciemnione szyby były niemal czarne, przez co niewiele widziała. Przesunęła nieprzytomnego mężczyznę bliżej światła. Źrenice zareagowały. Kręgosłup nie był uszkodzony, a tętno mocne i regularne. Skóra lepka, ale w sierpniu wszyscy lepili się od potu.

- Jestem Hank - przedstawił się pasażer obok. - Jest pani lekarką?

Sara kiwnęła głową, ale tylko tyle mogła mu dać. Ten idiota stracił przytomność, ponieważ nie chciało mu się zapiąć pasów. Jednak wybuch gazu spowodowałby poważne rany: oparzenia, ciężkie urazy mózgu, zmiżdżenia, urazy mechaniczne.

Hank otworzył drzwi i wysiadł z auta.

Sara podniosła wzrok.

Tylna część nogawki Hanka była zakrwawiona.

Hank odwrócił się i oparł ręce na dachu auta. Z przodu za paskiem miał zatknietą broń. Sara usłyszała, jak mówi:

- To niczyja wina, Clintonie.

Spojrzała na swoje dłonie. Nie były lepkie od potu. Lepiły się od krwi. Wytarła dłoń o plecy Dwighta. Otwór o nierównych brzegach w lewym ramieniu wskazywał na ten sam typ obrażenia co u Hanka.

Rana postrzałowa.

Złamane kręgi szyjne u kierowcy porsche. Krótkie ślady hamowania na drodze. Ślady krwi prowadzące do furgonetki. Imiona. Czy Will załapie, że są nieprawdziwe? Dwight Yoakam. Hank Williams. Merle Haggard. Vince Gill. Clint Black. Wszyscy byli muzykami country.

Wzięła głęboki wdech, by zapanować nad narastającą paniką.

Ostrożnie omiotła wzrokiem chevroleta w poszukiwaniu broni.

Kabura Dwighta była pusta. Na podłodze nic nie leżało. Zajrzała między przednie siedzenia i omal nie krzyknęła.

Jakaś kobieta leżała wciśnięta w miejscu na nogi. Drobna, o krótkich platynowych włosach. Mocno oplatała ramionami nogi. Przez cały ten czas nie poruszyła się, nie wydała z siebie głosu, ale teraz uniosła głowę i pokazała twarz.

Serce zamarło Sarze w piersi.

Michelle Spivey.

Zaginiona.

Jej oczy nabiegły krwią od łez. Miała spuchnięte policzki i popękane krwawiące wargi. Bezgłośnie wydobyła z siebie rozpaczliwe:

- Pomocy.

Sara otworzyła usta. Z trudem nabrała powietrza. Miała w uszach inne słowo; to samo, jakie przychodzi do głowy każdej kobiecie otoczonej przez agresywnych mężczyzn.

Gwałt.

- Will. - Drżącymi rękami wyjęła z kieszeni kluczyki. - Przynieś mi torbę lekarską ze schowka w moim aucie - powiedziała.

Błagam cię, powtarzała w myślach, weź stamtąd swoją broń i skończ z tym.

Will wziął od niej breloczek z kluczykami. Poczowała muśnięcie jego palców. Nie patrzył na nią. Dlaczego na nią nie patrzył?

- Pomóż nam, wielkoludzie - odezwał się Clinton. - Chodźmy.

- Czekajcie. - Sara usiłowała ich opóźnić. - On może mieć uraz szyi albo...

- Przepraszam panią. - Merle miał długą brodę, ale włosy obcięte na jeża. Był policjantem albo wojskowym. Wszyscy byli policjantami albo wojskowymi. Stali jednakowo, poruszali się jednakowo, wykonywali polecenia jednakowo.

Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Już i tak zdobyli przewagę.

Will najwyraźniej też kalkulował w ten sposób. Teraz spoglądał na nią. Czuła na sobie jego wzrok. Nie mogła się obejrzeć i skrzyżować z nim spojrzenia, ponieważ wiedziała, że wtedy się rozklei.

- Przyniosę ci torbę - powiedział.

Hank pokuśtykał wokół samochodu. Stanął za Sarą - niezbyt blisko, ale wystarczająco, by czuła go za plecami jak toksyczną substancję grożącą poparzeniem.

Will ruszył do bmw, zaciskając pięść na kluczykach. Był zły. To dobrze. W przeciwieństwie do większości mężczyzn, wściekłość u Willa przekładała się na jasność myśli. Miał napięte mięśnie. W tej chwili cała siła i nadzieja Sary spoczywała na jego szerokich barkach.

- Vale - powiedział Hank do Vince'a. Już nie używał pseudonimów. Koniec udawania. Albo Sara lub Will czymś się zdradzili, albo Hank zorientował się, że radiowozy policyjne jadące na sygnale zbliżają się i niedługo tu będą.

Hank dał Vale'emu znak głową, by poszedł za resztą do auta.

- Wyjdź - cicho rozkazał Michelle. Trzymał w ręku rewolwer. Mały, ale zawsze groźny.

Michelle skrzywiła się, przeczołgując się nad konsolą środkową. Podtrzymywała spodenki jedną ręką. Zamek był rozpięty. Krew spływała jej po zaciśniętej pięści i nogach.

Serce Sary zamarło.

Gołe stopy Michelle zetknęły się z asfaltem. Nagły zawrót głowy zmusił ją do oparcia się o auto. Między palcami stóp miała otwarte rany. Ślady igieł. Odurzali ją, cięli, a spomiędzy nóg płynęła krew.

Gwałt.

- Nie krzycz - powiedział Hank.

Zanim Sara zdołała zareagować, poczuła przeszywający ból biegnący od nadgarstka przez ramię po łopatkę. Została zmuszona, by paść na kolana, a drobinki asfaltu wbiły jej się w skórę. Hank znowu wykręcił jej rękę. Za chwilę trzymała już ręce za głową.

Will podszedł do bmw i zajrzał do środka.

Podniósł wzrok.

Zacisnął szczęki tak mocno, że Sara mogła zobaczyć kontur kości.

Śledziła drogę jego spojrzenia. Najpierw Hank celujący jej w głowę. Potem Michelle podtrzymująca zakrwawione spodnie. Trzech uzbrojonych mężczyzn wokół niego. Nie miał możliwości ocalenia Sary, nawet gdyby zdecydował się poświęcić siebie.

Pod wpływem tej prawdy na jego twarzy pojawiło się coś, czego Sara dotąd nie widziała.

Strach.

- Pozwoliłeś mu... - chrypliwym głosem powiedziała Michelle do Hanka. - Po... pozwoliłeś mu mnie zgwałcić.

Sara poczuła, jakby ktoś wbił jej nóż w serce.

- N...n...nie możesz... - zaczęła Michelle, głośno przełykając ślinę. - Nie możesz udawać, że t...to się nie dzieje. Teraz ci to mówię. Wiesz, że on...

- Dobra! - krzyknął Hank do Willa, nie reagując na jej słowa. - Powoli wyjdź z auta i podnieś ręce.

Sara mogła tylko patrzeć, jak Will wykonuje polecenie Hanka. Rzucił dokoła baczne spojrzenia. Jego mózg pracował na pełnych obrotach w poszukiwaniu wyjścia z sytuacji.

Nie było wyjścia.

Bandyci chcieli go zabić. Najpierw zmuszą ją do opatrzenia im ran, a potem rozerwą jej serce.

- Pozwoliłeś mu - wyszeptała Michelle. - Pozwoliłeś mu zrobić mi k...krzywdę. Pozwoliłeś mu...

- Potrzebujemy lekarza! - krzyknął do Willa Hank. - Bez urazy, bracie. Złe miejsce, dobry moment. Idziemy, szanowna pani. Wsiadaj do samochodu.

Sara czekała na tę chwilę, ale nie spodziewała się, jak zabrzmie jej odpowiedź:

- Nie.

Nie ruszyła się ani o milimetr.

Kolana przyrosły jej do asfaltu.



Była nieporuszona jak góra.

W college'u została zgwałcona. Zgwałcona brutalnie, okrutnie, barbarzyńsko. Odebrano jej możliwość posiadania dzieci. Odarto z poczucia własnej wartości, odebrano poczucie bezpieczeństwa. To tragiczne doświadczenie zmieniło ją na wiele sposobów, które po prawie dwudziestu latach ciągle odkrywała. Przysięgła sobie, że nigdy więcej nie pozwoli, by spotkało ją coś podobnego.

Hank zacisnął palce na jej ramieniu.

- Nie! - Sara wyrwała rękę z jego uścisku. Strach uleciał. Wołała zginąć zamiast pozwolić się zabrać. Niczego w życiu nie była bardziej pewna jak tego. - Nie jadę z wami.

- Droga pani, kampus nie wyleciał w powietrze z powodu wybuchu gazu. - Hank zerknął na Willa. - Właśnie wysadziliśmy dziesiątki, może setki ludzi. Sądysz, że twoja krew zrobi na mnie wrażenie?

Te słowa były dla niej jak cios obuchem w głowę. Pomyślała o chorych w szpitalach i o rannych. O studentach, o dzieciach, o personelu, który poświęcał się pomaganiu innym.

- Nie - powtórzyła. Płakała, nie kryjąc łez. Ostatecznie i tak ją zabiją. Jedyne, nad czym miała kontrolę, to te chwile między tym, co tu i teraz, a nieuniknionym końcem.

- Wsiadaj do auta, paniusiu.

- Nie pojedę z wami. Nie pomogę wam. Będziecie musieli mnie zabić. - Sara spojrzała na Willa z rezygnacją. Chciała, żeby zrozumiał, dlaczego odmówiła bandytom pomocy.

Will przełknął ślinę. Oczy zalśniły mu od łez.

Po chwili długiej jak wieczność powoli skinął głową.

- A jeśli zabiję ją? - Hank przytknął broń do głowy Michelle Spivey.

- Zrób to. No dalej, ty gnido - powiedziała tym razem bez zająknięcia. Ścisnęła pięścią spodnie w talii. Sara widziała zakrwawiony bandaż, pęknięte szwy na linii bikini.

Czyżby ją operowali?

- Ciągłe uważasz się za porządnego człowieka - Michelle zwróciła się do Hanka. - Co powie twój ojciec, kiedy się dowie, kim naprawdę jesteś? Słyszałam, jak o nim mówisz; jak go podziwiasz; jak chcesz, żeby był z ciebie dumny. On jest chory. Umrze. A na łożu śmierci będzie myślał, jakiego potwora pomógł sprowadzić na ten świat.

Clinton wybuchnął śmiechem.

- A niech mnie, laluniu, pod wpływem twojego gadania zaczynam się zastanawiać, jak ciasna jest cipka twojej córki.

Nad głową Sary coś przemknęło. Hank odwrócił się gwałtownie i wycelował w Clintona.

Rozległo się metaliczne klik, klik, klik.

Rewolwer się zablokował.

- Ty skurw... - krzyknął Clinton, wyszarpując glocka z kabury.

Hank pociągnął Michelle na ziemię, gdy rewolwer wystrzelił. Sara zamknęła oczy. Zastygła na kolanach z rękami za głową i czekała na kulę.

Kuli nie było.

Usłyszała dwa strzały jeden po drugim.

Otworzyła oczy. Martwy Merle leżał na ziemi. Vince/Vale był ranny. Wypadł z otwartych drzwi auta. Plama krwi z rany w boku rosła w oczach.

To było dzieło Willa. Teraz odwracał się, by strzelić do Clintona, ale ten rzucił się na niego i przygwoździł do ziemi.

Sara podniosła się i zerwała do biegu.

Szarpnięcie osadziło ją w miejscu.

Hank unieruchomił jej szyję przedramieniem i odciął dostęp powietrza. Mroczki zaczęły latać jej przed oczami. Wbiła paznokcie w skórę Hanka.

- Puść mnie! - krzyknęła, łapiąc powietrze jak ryba, drapiąc go i kopiąc.

Kątem oka dostrzegła coś ciemnego. To była charakterystyczna

długa lufa glocka 22. Nazywali go eliminatorem, ponieważ amunicja kaliber czterdzieści unieszkodliwiała człowieka raz na zawsze.

Hank celował w ziemię. Jego palec spoczywał nad kabłąkiem spustu, gotów do oddania strzału.

To nie było konieczne.

Clinton okładał Willa pięściami. Używał rąk jak młotka. Walił w tułów, w wątrobę, śledzionę, trzustkę, nerki.

- Powstrzymaj go - błagała Sara. - On zabije...

Ręka Willa dosięgła twarzy Clintona. Nóż sprężynowy. Dziesięciocentymetrowe ostrze. Z rany pociekła krew.

Clinton cofnął się gwałtownie.

Will dźgnął go w pachwinę.

Sara wstała, ale Hank nie pozwolił jej uciec, bo nadal oplatał przedramieniem jej szyję. Trzymał glocka skierowanego w dół, ale nie spuszczał palca z kabłąka spustu. Mięśnie jego ramienia były mocne jak lina.

- Will... - Głos uwiązł Sarze w gardle.

Will zakasłał, plując krwią. Przekręcił się na bok. Trzymając się za brzuch, próbował wstać i szukał wzrokiem rewolweru.

- Idziesz z nami albo strzelę mu w serce - powiedział Hank do Sary.

Szloch wyrwał jej się z piersi. Wyciągnęła przed siebie ręce, jakby tym gestem mogła mu pomóc.

Will napiął mięśnie nóg. Znowu próbował wstać. Zwymiotował.

Z tyłu głowy kapała mu krew. Dźwignął się na kolana, ale padł jak kłoda.

Sara krzyknęła, jakby to ona runęła na ziemię.

- Pani doktor? - Hank uniósł broń, mierząc do Willa.

Ruszyła w stronę bmw. Ledwie mogła się wyprostować. Kolana uginały się pod nią z każdym krokiem. Will ciągle wił się na ziemi z bólu. Rzuciła okiem na ulicę. Na chodniku stała jej matka. Trzymała w rękach strzelbę. Starą dubeltówkę, która od pięćdziesięciu lat

zbierała kurz nad kominkiem Belli.

Sara potrząsnęła głową, błagając Cathy wzrokiem, by się nie wtrącała.

Hank pociągnął Michelle w stronę bmw. Pchnął ją do Vale'a, by się nią zajął, a sam ruszył w kierunku Willa z glockiem u boku.

- Obiecałeś. - Już wypowiadając to słowo, Sara zdała sobie sprawę, jaką głupotą jest ufanie masowemu mordercy.

- Ty prowadzisz. - Vale popchnął ją mocno na siedzenie kierowcy. Przez otwarte drzwi po stronie pasażera widziała wszystko. Will był na czworakach. Z ust leciały mu wymiociny pomieszane z krwią. Miał zamknięte oczy. Pot ściekał mu po twarzy.

- Cholera - mruknął Clinton, zajmując miejsce za Sarą. - Jezu, ale syf. Wynośmy się stąd.

Sara patrzyła bezradnie, jak Hank robi zamach nogą. Chciał kopnąć Willa w głowę.

- Will! - krzyknęła z całych sił.

Will złapał Hanka za nogę i przewrócił na chodnik. Nie było walki. Will usiadł na nim okrakiem i zaczął okładać pięściami po twarzy.

Szybko, metodycznie, wściekle.

- Zostaw go! - wrzasnął Clinton.

Vale schylił się z wysiłkiem, by sięgnąć po rewolwer ukryty przy kostce. Przeraził się na widok koszuli przesiąkniętej krwią z rany w boku.

- Powiedziałem, zostaw go! - Clinton wycelował glocka w głowę Vale'a. - Ale już!

- Jezu, Carter! - Vale usadowił się na miejscu dla pasażera. - Nie możemy zostawić Hurleya.

Clinton. Hank. Vince.

Carter. Hurley. Vale.

- Ruszaj! - Sara dostała w tył głowy lufą glocka. - Jedź!

Uruchomiła silnik i zawróciła. Zobaczyła Willa w bocznym lusterku.

Obok niego leżał martwy Merle. Will nadal siedział okrakiem na Hanku, Hurleyu czy jak mu tam było.

Jego też zabij, pomyślała. Zatlucz go na śmierć.

Rozległ się wystrzał. Cathy celowała w opony, ale trafiła w tylne obblachowanie.

- Kurwa! - krzyknął Vale. - Co jest, Carter?

- Stul pysk! - Carter walnął pięścią w siedzenie Sary. Krew kapłała mu z rany ciętej na czole. Rękojeść noża Willa wystawała mu z uda. - W prawo! W prawo!

Sara zrobiła ostry skręt w prawo. Serce waliło jej tak mocno, że czuła zawroty głowy. Ścisnęło ją w żołądku. Miała pełen pęcherz i bała się, że za chwilę popuści. Vale siedział obok niej. Carter tuż za nią, przyciśnięty ramieniem do Michelle. Nieprzytomny Dwight zajmował miejsce za Vale'em, ale nie wiadomo było, jak długo potrwa ten stan. Znalazła się w pułapce z trzema potworami. Jedynym pocieszeniem był fakt, że Will nadal żyje.

- Cholera! - Vale potarł twarz, poziom adrenaliny opadał. Jego ciało zaczynało rejestrować szok wywołany raną postrzałową. Miał szybki urywany oddech. Panikował. - Trafił mnie w pierś, stary! Nie mogę... nie mogę oddychać!

- Zamknij się, mięczaku!

W ich stronę zmierzał policyjny radiowóz na sygnale. Sara modliła się w duchu, by się zatrzymał, ale przemknął obok w zawrotnym tempie.

- Skręć w lewo! - Głos Cartera był przenikliwy i ostry jak syrena radiowozu. - Tutaj! W Lewo!

Sara z piskiem opon wjechała w Oakdale. Póki się dało, śledziła wzrokiem radiowóz. Zobaczyła czerwone światła stopu, gdy skręcał w lewo w Lullwater.

W stronę Willa.

- Czuję, że powietrze ze mnie uchodzi! - W głosie Vale'a było

przerażenie. Najpewniej brał udział w bombowym ataku na szpital, ale lamentował nad dziurą w boku. – Pomóż mi! Co robić?

Sara milczała. Myślała o Willu. Stłuczone żebra. Złamany mostek. Jeśli śledziona pękła, mogło dojść do krwotoku wewnętrznego w jamie brzusznej. Poświęciła się tylko po to, by on umarł na ulicy? A rozhisteryzowany facet żądał od niej pomocy?

– Jesteś lekarzem! – zawodził Vale. – Pomóż mi!

Nigdy w życiu nie odczuwała tak mało empatii dla innej ludzkiej istoty jak w tej chwili.

– Zatkaj ranę – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Vale podwinął koszulę i trzęsącą się dłoń przyłożył do dziury po kuli.

– Wsadź palec do środka – poleciała, wiedząc, że to bzdura. Jama klatki piersiowej Vale'a wypełniała się krwią. Z każdym oddechem zasysał więcej powietrza do jamy opłucnej, która napierała na przebite płuco, powodując jego szybsze zapadanie się. W końcu ciśnienie przeniesie się na drugie płuco, serce i żyły, również powodując ich zapadnięcie.

Sara martwiła się tylko tym, że jego umieranie potrwa za długo.

– Jezu! – wrzasnął Vale. Ten idiota naprawdę wsadził palec do rany. Z bólu zaparło mu dech. Wytrzeszczył oczy tak mocno, że pokazały się białka. Na szczęście za bardzo cierpiał, by się poskarżyć.

Sara wiedziała, że to nie Vale jest jej zmartwieniem. Carter był wściekły i gotów na wszystko, byle tylko stąd uciec. Zdawała sobie sprawę, że w każdej chwili może wyciągnąć ręce i złapać ją od tyłu za szyję.

Sprawdziła czas.

Godzina 14:04.

Zegar odliczał czas złotej godziny Willa. Krwotok wewnętrzny można powstrzymać operacyjnie, ale jak szybko zdołają zawieźć go do chirurga? Musieliby przetransportować go śmigłowcem do

centrum urazowego. Kto miałby to zrobić? Wszyscy policjanci w okolicy jechali na miejsce eksplozji.

Dwie bomby zdetonowane na terenie kampusu. Nie mogła o tym myśleć. Nie będzie o tym myśleć. Liczył się tylko Will.

- Wymiń ich! - wrzasnął Carter. - Wjedź na drugi pas!

Pomknęła pod prąd drugim pasem. Rozległ się przeraźliwy pisk opon. Jedno auto uderzyło w drugie. Vale znowu krzyknął. Sara dodała gazu. Zbliżali się do Ponce de Leon.

- Przejedź na czerwonym!

Sara zapięła pasy. Przejechała na czerwonym świetle. Zatrąbiły klaksony. Koła oderwały się od ziemi, gdy Sara walczyła, by utrzymać prosto kierownicę.

Właściwie po co?

Rozbić auto o jakieś drzewo. Wjechać w słup telefoniczny. W dom. W kierownicy miała poduszkę powietrzną. Zapięła pasy. Nie miała dziury w płucu, noża w nodze ani rany postrzałowej ramienia.

Michelle.

Michelle siedziała pośrodku na tylnym siedzeniu. Gdyby doszło do zderzenia, najpewniej wyleciałyby przez przednią szybę i złamała kręgi szyjne, a skręcony metal i rozbite szkło rozerwałyby tętnicę. Samochód mógłby po niej przejechać, zanim zdołałaby się odczołgać.

„Zrób to”, rzuciła Michelle Hankowi prosto w twarz, patrząc w czarny otwór lufy rewolweru. „No dalej, ty gnido”.

Przed nimi był ostry wiraż.

Sara postanowiła pojechać prosto. Rozbić samochód o ceglany dom tuż za światłami.

Will wiedział. Rozumiał, dlaczego powiedziała bandytom, żeby ją zastrzelili. Wiedział, że nie ma w tym jego winy.

Z barków i ramion Sary zeszło napięcie. Jej umysł był jasny. Wewnętrzny spokój, jaki ogarnął całe jej ciało, był wyraźnym znakiem, że postępuje słusznie.

Zakręt się zbliżał. Trzydzieści metrów. Dwadzieścia pięć. Dodała gazu. Zacisnęła dłonie na kierownicy. Znowu spróbowała odnaleźć Michelle w lusterku.

Michelle miała szeroko otwarte oczy. Płakała. Była przerażona.

W ostatniej chwili Sara skręciła kierownicę w prawo, potem w lewo, pokonując zakręt na dwóch kołach. Samochód opadł znowu na ziemię. Minęła dwa znaki stopu. Zdjęła nogę z gazu. Poszukała Michelle w lusterku, ale ta uniosła nogi i ukryła twarz między kolanami.

- K...kurwa. - Vale'owi zaświszczało w nosie, gdy próbował wciągnąć powietrze w zapadające się płuca. Zrozumiał zamiar Sary, ale nie był w stanie jej powstrzymać.

- Zwolnij - mruknął nieświadom sytuacji Carter. - Jezu, jaja mnie palą. - Walnął pięścią w oparcie Sary. - Jesteś lekarką. Powiedz, co mam robić.

Sara nie mogła mówić. W gardle miała watę. Gdzie się podziała jej wcześniejsza determinacja? Dlaczego przejęła się tym, co spotkało Michelle? Musiała zacząć myśleć o sobie: jak wydostać się z tej matni, czy to uciekając, czy decydując o momencie i rodzaju śmierci.

- Ej, gadaj! - Carter znowu walnął w oparcie jej siedzenia. - Co mam robić?

Sara sięgnęła do wstecznego lusterka. Trzęsącymi się rękami ledwie zdołała ustawić je pod kątem, który pozwalał zobaczyć ranę Cartera. Nóż tkwił po rękojęść w wewnętrznej stronie prawego uda. Will wbił ostrze od dołu. Mięsień trzymał je w miejscu.

Tętnica udowa. Żyłka udowa. Nerw płciowoudowy.

Próbowała odchrząknąć. Język jej kołowaciał. Miała w ustach posmak żółci.

- Nóż uciska nerw. Wyciągnij go.

Carter wiedział swoje. Ostrze mogło blokować ranę w tętnicy.

- A potem potnę ci nim buźkę? Co ty na to? Skręć w prawo, potem



na światłach w lewo.

Sara skręciła w prawo przy znaku stopu. Na zielonym świetle skręciła w lewo w Moreland Avenue. Little Five Points. Na ulicy widziała tylko parę aut. Parkingi przed sklepami i restauracjami były pustawe. Ludziom pewnie nakazano pozostać tam, gdzie są, albo siedzieli w domach i oglądali wiadomości. A może policja wyznaczyła tak ścisłe granice terenu wokół szpitala, że bmw znalazło się poza ich zasięgiem. - Wyłącz ten przeklęty dźwięk - warknął Carter.

Chodziło mu o sygnał informujący o niezapiętych pasach na siedzeniu pasażera. Dotąd Sara nie zwracała na to uwagi, ale teraz słyszała tylko ten dźwięk.

Jednak Vale nawet nie próbował zapiąć pasów, by przerwać drażniący sygnał. Zamknął oczy. Zacisnął usta. Nadal trzymał palec w ranie.

Każdy wybój, każdy skręt musiał być torturą.

Sara omiotła wzrokiem drogę w poszukiwaniu dziur i nierówności.

- Wyłącz to! - wrzasnął Carter. - I pomóż mu, do jasnej cholery!

Michelle pochyliła się do przodu i wsunęła rękę między siedzenia. Poruszała się wolno, z najwyższym wysiłkiem. Zasnęta krew na jej dłoniach utworzyła bordową warstewkę. Michelle przeciągnęła pas nad kolanami Vale'a. Jej dłoń zawisała kilkanaście centymetrów nad klamrą.

Vale trzymał broń za paskiem dzinsów.

Sara zeszywniała. Modliła się, by Michelle wyrwała mu rewolwer zza paska i zaczęła strzelać.

Klamra kliknęła i sygnał zamilkł, a Michelle odchyliła się z powrotem na siedzenie.

Sara rzuciła okiem na kolana Vale'a.

Serce jej pękło na milion kawałków.

Michelle przycisnęła pasem bezpieczeństwa rewolwer do brzucha Vale'a.

Dlaczego?

- Stary, mam użyć swojego telefonu? - Z głosu Cartera przebijały nerwowość i niepewność.

Vale nie odpowiedział, tylko szcząkał zębami.

- Stary? - ponaglił go Carter, kopiąc w tył siedzenia.

- Nie! - krzyknął Vale. Złapał za uchwyt przy drzwiach. Przez jego zaciśnięte zęby z sykiem wydostało się powietrze. - Rozkazy - powiedział. - Nie możemy... - Urwał wstrząsany paroksyzmem bólu.

- Cholera. - Carter starł krew z oczu i zwrócił się do Sary: - Jedź cały czas prosto. Do międzystanowej.

Czyli drogą dwieście osiemdziesiąt pięć. Było oczywiste, że jechali poza granice miasta, a kierunek nie wyglądał na przypadkowy. Jeśli ci mężczyźni naprawdę byli gliniarzami albo wojskowymi, na pewno mieli plan B, na przykład inny samochód, umówione miejsce spotkania, bezpieczną kryjówkę, w której mogli przeczekać, aż sprawa ucichnie.

Sara usilnie myślała nad sposobem zatrzymania auta przed wyjazdem na drogę międzystanową. Radiowóz policyjny, który skręcił w Lullwater, był jej jedyną nadzieją. Jeśli Will nie będzie w stanie tego zrobić, to Cathy poda policjantowi szczegóły, a policjant zawiadomi dowództwo, które roześle komunikat na wszystkie telefony i komputery na obszarze trzech sąsiadujących stanów.

Trzech podejrzanych rodzimych terrorystów. Uzbrojeni. Dwie zakładniczki.

Bmw było w pełni wyposażone. Radio satelitarne. Nawigacja GPS. Nad lusterkiem wstecznym przycisk SOS. Sara nigdy dotąd go nie używała. Wiedziała, że to element telemetrycznego systemu wspomagania, nie miała jednak pojęcia, czy wysyłał sygnał bezgłośnie, czy też po naciśnięciu rozlegnie się głos zadający pytanie: „W czym mogę pomóc?”.

- Dash? - Carter próbował ocucić mężczyznę na tylnym siedzeniu.

Nie Dwight.

Dash.

- Stary, obudź się. - Sięgnął ręką ponad Michelle i poklepał Dasha po policzku. - No już, otwórz oczy. Obudź się.

Dash poruszył ustami i zaczął coś mamrotać. Sara znowu zmieniła położenie wstecznego lusterka. Widziała, jak gałki oczne Dasha poruszają się w lewo i w prawo pod zamkniętymi powiekami.

Spojrzała na drogę, ale nie w poszukiwaniu wybojów i dziur w jezdni. Im bardziej oddalali się od Emory, tym więcej było aut na ulicach. Może powinna mrugać reflektorami? Może powinna jechać wężykiem? Czy naraziłaby na niebezpieczeństwo człowieka, który próbowałby przyjść z pomocą?

- Dlaczego on się nie budzi? - Carter odwracał głowę Dasha raz w prawo, raz w lewo. - Vale, podaj apteczkę ze schowka.

Vale się nie ruszył, ale Sara zobaczyła, że kluczyk ciągle jest w zamku. Broń.

- Dash! - krzyknął Carter, bijąc go po policzkach. - Niech to szlag!

- Powinien znaleźć się w szpitalu - powiedziała Sara, odrywając wzrok od kluczyka. - W apteczce mam tylko plastry i płyn do dezynfekcji.

- Cholera! - Carter huknął pięścią w tył jej siedzenia. - Dash, obudź się, stary!

Sara znowu odchrząknęła. Przycisnęła dłoń do piersi. Serce łomotało jej w tempie kliknięć stopera.

Myślmyślmyślmyśl.

- Jest nieprzytomny od prawie piętnastu minut - zwróciła się do Cartera. - Pewnie jest w śpiączce. - Kolejne kłamstwo, bo mózg Dasha właśnie próbował się zresetować. - Powinniśmy zostawić go w pobliżu jakiejś remizy, gdzie strażacy mu pomogą.

- Cholera, mówimy o Dashu! Nigdzie go nie zostawimy. - Carter znowu wyciągnął rękę ponad Michelle.

- Nie! - krzyknęła, usuwając mu się z drogi, to znaczy gramoląc się przez oparcie fotela do przestrzeni ładunkowej. Przywarła plecami do szyby, rozpostarła ramiona i spojrzała na Sarę z paniką w oczach.

Sara popatrzyła na Michelle we wstecznym lusterku. Potem jej wzrok powędrował na prawo.

Jej torba medyczna leżała w pojemniku.

Skalpele. Igły. Środki uspokajające.

Michelle zerwała kontakt wzrokowy. Zwinęła się w kłębek, przyciągnęła nogi do klatki piersiowej i oparła głowę na kolanach.

- Co z nim? - Carter pstryknął palcami tuż przed twarzą Dasha.

Powieki mu drgnęły i uniosły się lekko, ale Dash nie reagował.

- Dash? No, stary, ocknij się.

Sara zerknęła na zegarek.

Godzina 14:08.

Cathy zajmie się Willem. Dopilnuje, by zabrali go do szpitala. Wypyta lekarzy. Będzie przy nim, gdy obudzi się po operacji. Będzie go broniła jak Jeffrey'a.

Czy aby na pewno?

- Pani doktor?

Sara zerknęła w lusterko. To była Michelle.

- Niech mu pani pomoże. Dash nie jest... Jest zły, ale nie tak jak...

- Stul pysk! - warknął Carter. Jedyne, co powstrzymało go przed przeskoczeniem siedzenia, był nóż tkwiący w nodze po rękojęść.

Sara przesyłała Michelle bezgłośnie prośbę: „Spójrz w prawo, otwórz czarną torbę”.

Michelle wpatrywała się w odbicie Sary. Potrząsnęła głową jeden raz. Wiedziała o torbie, ale nie zamierzała niczego zrobić.

Sara poczuła gorzki zawód. Została zupełnie sama.

- Ej! - Carter znowu uderzył Dasha w policzek na tyle mocno, że donośne plaśnięcie wypełniło całe auto. - Mów, co robić, suko.

Sara musiała szybko zapomnieć o rozczarowaniu.

- Potrzebny mu bodziec - powiedziała.

Carter powtórzył policzek.

- Przecież go stymuluję, do cholery.

- Wsadź palec do otworu po kuli w ramieniu.

- Tak, na niego zadziałało świetnie.

Sara popatrzyła na Vale'a beznamiętnym wzrokiem. Jego świszczący oddech spowolnił, wargi nabrały niebieskiego odcienia, a nozdrza kurczyły się i rozszerzały, gdy desperacko usiłował nabierać powietrza w zapadające się płuca.

- Ej, chyba się budzi - zauważył Carter.

Dash zamrugął, z jego gardła wydobył się bulgot. Podniósł rękę, prawą wyżej niż lewą, i rozcapierzył palce jak marionetka.

- Co on robi? - zapytał zaniepokojony Carter.

Sara milczała. Próbowwała odszukać wzrokiem Michelle, ale znowu się skuliła i ukryła twarz.

- Co się dzieje? Co mu jest? - dopytywał Carter.

Dash otworzył oczy. Gulgotanie w gardle przeszło w serię pomruków. Mrugnął raz, potem drugi, i powoli potoczył wzrokiem po wnętrzu samochodu, spoglądając na pasażerów. Michelle. Carter. Vale. Potem ze zdumieniem spojrzał na Sarę.

- Kto to? - wybełkotał. - Co to za jedna?

- Z...zabraliśmy lekarkę - zająknął się Carter. Był wyraźnie przestraszony, co oznaczało, że Dash jest kimś ważnym. - Straciliśmy Hurleya i Morgana.

- Co... - zaczął Dash - Co...

- Zabraliśmy lekarkę - powtórzył Carter, nie odpowiadając na niedopowiedziane pytanie. - Mam w pachwinie nóż, z Vale'em jest źle.

Dash znowu zamrugął. Nadal był dezorientowany, ale zaczynał dochodzić do siebie.

- Ma nieruchome źrenice - skłamała Sara. - To wygląda na

krwawienie wewnątrzczaszkowe. Tętniak albo...

- Kurwa. - Carter otarł twarz z potu. Omiótł wzrokiem drogę.

Dash chrząknął.

- Co się stało? - Spojrzał na Sarę. - Co to za jedna?

- Mówiłem ci... - Carter się poddał, wiedział, że z Dashem w tym stanie się nie dogada, i zwrócił się do Sary: - Co mu jest?

- Amnezja pourazowa. - Zastanawiała się gorączkowo, jak przerazić go tak bardzo, by porzucił Dasha na poboczu. - To oznaka poważnego uszkodzenia mózgu. Musimy zostawić go w szpitalu. - Jasny gwint.

Dash uniósł dłoń i dotknął policzków. Zacisnął powieki. Czekwały go mdłości i dezorientacja, ale wracał do siebie. Sara poznała to po jego kontrolowanych ruchach, po sposobie, w jaki skupiał wzrok na konkretnych obiektach.

- Szlag by to trafił. - Carter popatrzył przez przednią szybę. - Nawet nie próbuj zatrzymywać tego gościa.

Z naprzeciwka jechał radiowóz. Sara wstrzymała oddech w oczekiwaniu, aż policjant rozpozna jej bmw, które na pewno było już w systemie powiadomień.

Dash niezdarnie włożył rękę między siedzenia i oparł ją na ramieniu Sary. - Spokojnie, paniusiu.

Powiedział to cicho i łagodnie, ale to, że on tu rządzi, było oczywiste. Vale był mięczakiem, Carter miał gorącą głowę, natomiast Dasha wszyscy słuchali.

Sara patrzyła, jak radiowóz znika w bocznym lusterku. Światła stopu się nie zapaliły, radiowóz nie zwolnił. Z tyłu i z przodu był zamontowany skaner tablic rejestracyjnych i w konkretnych sytuacjach system uruchamiał alarm dźwiękowy. Ale nie uruchomił.

Co oznaczało, że bmw nie znalazło się w bazie systemu powiadomień.

Dash skrzywił się, opadając na siedzenie. Po odzyskaniu

przytomności wyglądał starzej. Wokół oczu miał siateczkę zmarszczek.

- Czy kula ciągle tkwi w ranie? - zapytał Cartera.

- Tak, ale krew za bardzo nie leci.

- To może być dobry albo zły znak. - Dash próbował dokładnie wymówić każde słowo. Do końca mu się nie udało, ale starał się robić wrażenie, że panuje nad myślami i mową. - Prawda, pani doktor?

Sara nie odpowiedziała. Ramię to głównie kości i chrząstki. Wchodząc w ciało, kula była rozżarzona do białości, powodując przyżeganie tkanki.

Zła wiadomość dla Sary. Dobra dla Dasha.

Jęknął, podnosząc nogę i opierając ją na kolanie.

- Carterze, zdejmij mi sznurowadło i przywiąż nim nóż do nogi.

Chyba nie chcesz dalszych uszkodzeń. Zrób węzeł węzowy.

Carter zaczął rozwiązywać but Dasha.

- Pani doktor, potrzebujemy opieki medycznej. Wszyscy - powiedział Dash.

- Jestem pediatrą - odparła Sara, co z formalnego punktu widzenia było prawdą. Z tym że była jeszcze dyplomowaną specjalistką medycyny sądowej i śledczą badającą miejsca przestępstwa. - Nie jestem chirurgiem, a to są poważne przypadki medyczne.

- Rze...szyście poo...waszne. - Dash znowu tracił kontrolę nad mową, a oczy zaczęły mu łzawić, bo światło słoneczne okazało się za silnym bodźcem. Najwyraźniej doznał wstrząśnienia mózgu. Sara nie wiedziała jednak, na ile silnego. Każdy mózg reagował na uraz po swojemu.

Dash chrząknął i potarł palcami załzawione oczy.

- Carterze, nie pomyślałeś, że jedziemy skradzionym wozem z GPsem i że można nas namierzyć?

- Nie mieliśmy wiele możliwości. - W najwyższym skupieniu pracował nad węzłem. - Musieliśmy stamtąd wiać. Prawda, Vale?

Vale wymruczał coś niewyraźnie. Jego palec wskazujący ciągle tkwił w ranie postrzałowej. Drugą dłonią trzymał się klamki w drzwiach.

Carter miał ręce zajęte przywiązywaniem noża. Dash miał opóźniony refleks. Mogła więc...

- Proszę pani... - Dash położył jej rękę na ramieniu - niech pani jedzie za tą furgonetką.

Biała furgonetka skręcała z Moreland Avenue w kierunku klubu ze striptizem. Na znaku z napisem Club Shady Lady widniała skąpo odziana kobieta. Parking wypełniały ciężarówki. Biała furgonetka zwolniła, po czym skręciła w prawo za budynek. Na boku miała logo chipsów Lays.

- Mamy szczęście. Jedź za nią.

Sara wjechała powoli w wąską uliczkę, potem w kolejny zakręt. Po prawej stał budynek, po lewej rosła gęsta kępa drzew. Wiedziała, że nie zdąży sięgnąć do schowka, otworzyć go i wyjąć broń Willa, zanim ją zastrzelą. Mogła otworzyć drzwi i wyturlać się z auta. Carter nie mógł jej gonić z nożem w nodze, Vale był zbyt przerażony, by się ruszyć, a Dash nie dałby rady jej ścigać.

Czy Michelle okazałaby jej pomoc? Czy raczej czekałaby biernie na rozwój wypadków?

Biała furgonetka zaparkowała obok wejścia służbowego. Dostawca wysiadł. Zerknął przelotnie w ich kierunku, otworzył drzwi wozu i zaczął wyjmować skrzynki.

- Stań tu - polecił Dash.

Gdy Sara przymierzała się do zaparkowania, muzyka z klubu ze striptizem dudniła tak głośno, że poczuła wibracje w klatce piersiowej.

Znowu spojrzała w stronę schowka.

- Vale - odezwał się Dash - czy mógłbyś podać mi to, co leży w schowku i budzi takie zainteresowanie naszej pani doktor?



Sara skierowała wzrok ku drzewom. Usłyszała kliknięcie zamka, a potem tłumiony okrzyk Vale'a na widok służbowej broni Willa.

Dash wyjął mu ją z rąk.

- Dziękuję uprzejmie - powiedział.

Sara zamknęła oczy. Pomyślała o środkach bezpieczeństwa w bmw. Drzwi blokowały się automatycznie już przy dwudziestu pięciu kilometrach na godzinę, a żeby je otworzyć, trzeba dwukrotnie pociągnąć za rączkę. Czy zdoła zrobić to na tyle szybko, by uciec?

Nagle Dash coś sobie uprzytomnił.

- A gdzie Hurley i Monroe? - zapytał.

- Nie żyją - odparł Carter. - Musieliśmy ich zostawić. Ten pieprzony koleś wyrósł jak spod ziemi, zupełnie jakbym okładał worek kamieni.

Sara zerknęła na niego we wstecznym lusterku. Miał opuszczoną głowę. Nadal był zajęty pracą nad węzłem.

Dash zwrócił się do Sary:

- Co jest naszemu przyjacielowi z przedniego siedzenia?

- Nie mam odpowiedniego sprzętu diagnostycznego - odparła, dając do zrozumienia, że takowy jest potrzebny - ale to mi wygląda na zapadanie się płuca.

- Proszę wybaczyć, ale nie może pani włożyć mu jakiejś rurki i napełnić płuca powietrzem?

Sara nie wiedziała, czy Dash ją sprawdza. Cienka folia spożywcza pewnie pomogłaby uszczelnić ranę. Poza tym w torbie medycznej Sara miała strzykawkę, którą mogłaby zmniejszyć ucisk na płuco.

Postanowiła odpowiedzieć pytaniem na pytanie.

- Włożyłby pan rurkę do flakowatej opony, żeby ją ponownie napompować?

Vale wziął kilka płytkich oddechów. Ciągle trzymał palec w otworze w boku. Sara miała ochotę polecić mu, żeby wsadził palec głębiej. Jeśli nie zabiłby go wstrząs wywołany bólem, to zrobiłaby to infekcja.

- Powinniśmy się poznać - stwierdził Dash. - Jak się do pani zwracać?

- Sara. - Obserwowała kierowcę białej furgonetki, który robił swoje, czyli układał pudła na wózku, raz po raz sprawdzając zamówienie na tablecie.

- A nazwisko?

Sara się zawahała. To nie było kurtuazyjne pytanie. Dash mógł poszukać informacji w Internecie, a Sara widniała na stronie GBI jako agentka specjalna powiązana z biurem koronera. Była przepaść między porwaniem pediatry a porwaniem agentki rządowej.

- Earnshaw - odparła, podając nazwisko panięskie matki.

Dash skinął głową. Wiedział, że skłamała, co Sara wyraźnie wyczuła.

- Ma pani dzieci?

- Dwoje.

- Dobrze, pani doktor Saro Earnshaw. Wiem, że nie chce pani tu być, ale jeszcze przez chwilę będzie pani naszym kierowcą, a potem odstawimy panią do męża i dzieci.

Sara przygryzła wargi i również skinęła głową. Wiedziała, że Dash też kłamie.

Gdy otworzył drzwi, dudniące w klubie basy wprawiły w drgania bębenki w uszach.

Dash uniósł rękę, by osłonić oczy przed słońcem, po czym oznajmił:

- Michelle, dołącz do mnie.

Posłusznie przelazła przez tylne siedzenie i z odrazą odsunęła się od Cartera. Unikając pytającego spojrzenia Sary, wyskoczyła z auta. Wciąż rozpięte spodnie żałośnie na niej wisały, a żwir musiał kłuć ją w bosc stopy, ale niczego nie dała po sobie poznać.

Co jej zrobili, że zachowywała się tak ulegle?

- Idziemy. - Dash dał jej znać, żeby ruszyła w stronę furgonetki. Wsunął dłoń w przestrzeń między guzikami, tworząc prowizoryczny

temblak. Kula ominęła kość ramienną, tylko uszkodziła mięsień, co powodowało ból przy każdym poruszeniu ręki, ale nie uniemożliwiało ruchów.

- Co on robi? - wymruczał Carter.

Sara wiedziała, co robi Dash, chociaż modliła się w duchu, by do tego nie doszło.

Dostawca wyszedł z budynku z pustym wózkiem. Zamykając drzwi furgonetki, stanął plecami do Dasha i Michelle. Dash wyjął z kabury broń Willa. Dostawca odwrócił się i to był ostatni świadomy ruch w jego życiu.

Dash dwukrotnie strzelił mu w twarz.

Sara obserwowała zamknięte drzwi na tyłach budynku. Nikt stamtąd nie wyszedł. Nie słyszeli strzałów, bo zagłuszyła je dudniąca muzyka. A może słyszeli, ale w tej okolicy odgłosy strzałów nie były niczym nadzwyczajnym.

- Jeśli mu powiesz, co się tam wydarzyło, gorzko pożałujesz - powiedział Carter.

Sara spojrzała w lusterko.

- O czym? Że zostawiłeś Hurleya? Czy że twój kumpel Hurley próbował cię zabić?

Carter spojrzał przez przednią szybę. W milczeniu obserwował, jak Dash i Michelle pakują ciało martwego dostawcy do furgonetki.

- Potrzebuję mniej niż dziesięciu minut, żeby zmienić to twoje złe nastawienie. Przez usta.

Sara poczuła, jak gardło jej się zaciska. Spojrzała na swoje palce kurczowo obejmujące kierownicę pokrytą skórą. Przeniosła na nią krew z rany na ramieniu Dasha. Krew Merle'a też musiała na niej być. Sara dotknęła jego rany na głowie na miejscu wypadku. Krew z nogi Cartera musiała wsiąknąć w tylne siedzenie jej auta, a Vale zostawił swoje DNA na przednim siedzeniu.

- Ciesz się tym uczuciem pieczenia w jajach - zwróciła się do

Cartera, krzyżując z nim spojrzenia we wstecznym lusterku. - To ostatni raz, kiedy czujesz swoją mosznę. Po wyjęciu noża przestaniesz czuć cokolwiek.

Vale wciągnął ze świstem powietrze.

- Za...zamknij się! - Wymierzył w Sarę rewolwer. Ręka mu nie drżała. Trzymał broń pewnie. - Wsiadaj.

Sara wyciągnęła rękę w stronę klamki i spojrzała na zegarek.

Godzina 14:17.

Nie pociągnęła klamki.

Jej apple watch.

Carter otworzył tylne drzwi. Ostrożnie zsunął się z siedzenia i wysiadł. Zamknął drzwi. Stał przy aucie i czekał.

Sara gorączkowo analizowała wszystkie możliwości, gdy powoli pociągała dwukrotnie za klamkę. Jej inteligentny zegarek miał funkcję telefonu i nawigacji GPS. Mogła zadzwonić, ale z mikrofonu byłoby słychać głos dzwoniącego, a wysłanie wiadomości było zbyt kłopotliwe. Miała w smartwatchu aplikację walkietalkie, ale musiałby wybrać ikonkę, przewinąć ekran z kontaktami, odnaleźć właściwą osobę i przytrzymać żółty przycisk wystarczająco długo, by wysłać powiadomienie.

Wysiadła z auta. Poruszała się powoli, by zyskać trochę czasu.

- Idź na przód auta i pomóż Vale'owi. - Carter pokazał jej glocka na wypadek, gdyby zapomniała o jego istnieniu. - Nie opieprzaj się, bo wpakuję ci kulkę w łeb.

Sara próbowała grać na zwłokę.

- Powinieneś go zostawić. On i tak umrze.

- Nie zostawiamy swoich.

- Czy Hurley o tym wie?

Carter uderzył ją w żołądek. Przeszywający ból dotarł do najdalszych zakamarków ciała. Sara zgięła się wpół i opadła na kolana. Dostała zawrotów głowy, nie mogła złapać powietrza.

- Wstań, suko.

Przycisnęła czoło do ziemi. Ślina poleciała jej z ust, ręce automatycznie powędrowały na brzuch. Kurcz mięśni potęgował ból. Zamrugała. Wyświetlacz zegarka się jarzył. Wybrała przycisk „walkietalkie”. Pierwszą na liście kontaktów była Faith. Wcisnęła żółte kółko, przytrzymała i powiedziała:

- Carterze, naprawdę uważasz, że gliny nie zauważą białej furgonetki z chipsami na dwieście osiemdziesiątej piątej?

- To nie twoje zmartwienie.

Pod kołami zachrząścił żwir. Furgonetka zatrzymała się przed nimi.

Sara uniosła głowę. Świat dokoła niej wirował. Z trudem dźwignęła się z ziemi. Ból brzucha nie pozwolił jej się wyprostować. Starła się nie myśleć o Willu, który doświadczał tego samego, ale jeszcze intensywniej. Skulona dowlokła się do auta, przytrzymała się go i przeszła na drugą stronę.

Vale już otworzył drzwi. Jego wargi były sine, powieki opadły. Dekompensacja następowała szybciej, niż Sara się spodziewała.

- Daj mi to - powiedział Carter, odbierając rewolwer Vale'owi.

Sara nie miała wyjścia, musiała pomóc rannemu wysiąść z auta. Vale objął ją ramieniem, a drugą rękę wciąż trzymał przy tułowiu, zatykając palcem ranę postrzałową.

- Pośpiesz się. - Carter machnął rewolwerem w stronę Sary.

Vale usiłował podnieść się z siedzenia i stanąć na własnych nogach. Był muskularny, o wiele cięższy, niż się wydawało. Sara cofnęła się o krok, podczas gdy on spodziewał się, że postąpi krok naprzód. Instynktownie próbowała uratować go przed upadkiem, ale nie zdążyła.

Vale wylądował na plecach. Resztką powietrza, jaką jeszcze miał w płucach, uszła z niego jak z przebitego balonu. Z trudem łapał oddech szeroko otwartymi ustami. Miał błędny wzrok.

Sara opadła na kolana. Miała gdzieś rannego, po prostu chciała

uniknąć następnego ciosu. Udawała, że bada Vale'a, czyli sprawdziła źrenice i przyłożyła ucho do serca. Miał podwiniętą koszulę. Z rany ciekła strużka krwi. Była jasnoczerwona, a więc tętnicza. Kula weszła przez pachę, gdzie spotykają się nerwy i tętnice.

Dash wysiadł z furgonetki, pomógł Vale'owi usiąść i zwrócił się do Sary:

- Zechce pani podać pomocną dłoń mojemu przyjacielowi?

W jego uprzejmym i spokojnym tonie było coś wręcz upiornie władczego. Dash nie był spanikowany jak Vale ani zaślepiony wściekłością jak Carter. Sara zaliczyła go do tego typu ludzi, którzy używają swojego gniewu jak niosącego zagładę miecza. Nigdy nie chciałyby tak bardzo mu się narazić, by ten miecz skierował przeciwko niej.

Podtrzymując Vale'a ramieniem, wraz z Dashem pomogła mu wstać i zaprowadzili go do furgonetki. Na tylne siedzenie Vale wdrapał się sam.

Sara poczuła na ramieniu dłoń Dasha.

- Zechce pani to zdjąć.

Zauważył jej zegarek.

Sara opuściła głowę i odpięła pasek, ale zamiast oddać smartwatcha Dashowi, wrzuciła go między drzewa.

- Dziękuję - powiedział Dash, jakby właśnie na tym mu zależało, po czym skinął na Michelle. Nie musiał udzielać jej instrukcji. Bez słowa pomogła przenieść ciało dostawcy z furgonetki do bmw.

Skąd w niej ta uległość?

- Zajebię cię - szepnął Carter do Sary. Wsiadł do vana na tyłku, ciągnąc sztywną nogę po podłodze.

Drzwi od strony kierowcy zostały zamknięte. Michelle zapięła pasy, przekręciła kluczyk w stacyjce i położyła ręce na kierownicy. Patrzyła przed siebie, czekając na dalsze instrukcje.

Dlaczego?

- Potrzebuję jeszcze chwili. - Dash otworzył wlew paliwowy w bmw, po czym wyjął z kieszeni flarę ostrzegawczą i zapalił czubek, który przypominał główkę gigantycznej zapałki. Strzeliły białe iskry jak z zimnych ogni. - Lepiej niech się pani pośpieszy - rzucił w stronę Sary.

Wsiadła na tył furgonetki. Przed zasunięciem drzwi zobaczyła, jak Dash wrzuca płonąca flarę do zbiornika z paliwem.

Po chwili wskoczył na przednie siedzenie. - Jedź.

Michelle wcisnęła gaz do dechy. Furgonetka szarpnęła i ruszyła gwałtownie, Michelle skręciła ostro za budynek.

Benzyna się paliła, ale tylko opary mogły wywołać eksplozję. Dash dobrze wszystko wyliczył. Byli czterdzieści metrów dalej, gdy podmuch wybuchu sięgnął furgonetki.

Kiedy policja znajdzie bmw, wszystkie ślady już strawi ogień.

Krew na kierownicy. Krew na siedzeniach. Ciało dostawcy.

Wszystko zniknęło.

- Cholera - mruknął Carter. - Jasna cholera. - Mimo jego wysiłków nóż się przemieścił i Carter trzymał się za krocze. Trawiony bólem i wściekłością, bezsilnie zerknął na Sarę.

Odwróciła wzrok.

- W porządku, bracia?

- Tak - wymamrotał Vale.

- Tak, jasne - odparł Carter schrypniętym głosem.

Sara słuchała jednostajnego szumu kół. Włożyła rękę do pustej kieszeni. Kciukiem starannie wydobyła wszystko, co miała pod paznokciami. Gdy Vale upadł, podrapała go po plecach i zebrała jego naskórek.

Na miejscu wypadku dotknęła rany na głowie Merle'a i wytarła palce w szorty. Przejechała dłonią po przestrzelonym barku Dasha. Przeniosła krew Hurleya z tylnego siedzenia malibu. Miała zamiar

włożyć dłoń w kałużę krwi kapiącej z nogi Cartera, kiedy porywacze będą wywlekać ją z furgonetki.

Znała statystyki. Zabierali ją do drugiej kryjówki. Szanse na przeżycie zmalowały do dwunastu procent.

Nie chciała skończyć jak Michelle Spivey: niby żywa, lecz z obumarłą duszą.

Zrobi wszystko, co konieczne, by oni ją zabili. Jej jedynym zadaniem między obecną chwilą a chwilą śmierci było zabranie ze sobą części każdego z nich.

Chciała dać najbliższym satysfakcję, że winni zostaną ukarani. Chciała dać Willowi możliwość zemsty.

Jej pot znajdował się na szortach z tej prostej przyczyny, że miała je na sobie. Komórki naskórka Vale'a były w kieszeni. Krew Merle'a zostanie pobrana z jej dłoni. Krew Dasha. I wreszcie krew Cartera.

Ich DNA ponad wszelką wątpliwość powiąże tych pięciu mężczyzn z nią, gdy w końcu ktoś odnajdzie jej ciało.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

NIEDZIELA, 4 SIERPANIA, GODZINA 14:01

- Dokąd ją zabierają? - Will złapał Hankę za koszulę i potrząsnął nim potężnie. - Gadaj, do jasnej cholery!

Hank patrzył na niego tępo. Jego twarz przypominała miazgę. Miał wybite zęby, złamany nos i przestawioną szczękę.

Will podniósł z chodnika rewolwer. Odciągnął kurek Wycelował.

- Nie zabijaj go! - krzyknęła Cathy.

Will przeżył powtórny wstrząs. Usłyszał głos Sary, ale to nie była ona.

- Zniknęła! - Cathy trzymała strzelbę w obu rękach, trzęsąc się z nerwów. - Pozwoliłeś im porwać moją córkę!

Oczy Willa zaszkliły się od łez. Słońce go raziło, musiał zmrużyć powieki.

- To przez ciebie! - Cathy patrzyła prosto na niego. Prosto w niego. - Mój zięć nigdy by do tego nie dopuścił.

Te słowa zaboląły Willa bardziej niż jakikolwiek przyjęty cios. Zwolnił kurek. Powoli wytarł usta wierzchem dłoni. Uciszył tę część swojego mózgu, która przyznawała Cathy rację.

Zawyła syrena i radiowóz policji zahamował z piskiem opon niecałe dziesięć metrów od nich.

Will rzucił rewolwer na chodnik, podniósł ręce i zwrócił się do Cathy:

- Odłóż b...

- Rzuć broń! - krzyknął policjant, opierając swoją na otwartych drzwiach radiowozu. - Rzuć broń! Natychmiast!

Cathy powolnym ruchem położyła dubeltówkę u swoich stóp i uniosła rękę.

- Jestem z GBI. - Will starał się mówić spokojnie. - To jeden z ludzi, którzy podłożyli bombę. Miał wspólników. Uprawdzili kob... - Gdzie twoja odznaka?

- Nie mam przy sobie portfela. Numer mojej odznaki to trzydziesięć-osiem. Kobieta została... - Will urwał. Zawartość żołądka podeszła mu do gardła. Musiał zwymiotować. - Została porwana. Srebrne bmw. Numer rejestracyjny... - zawiesił głos. Nie pamiętał numeru. Czuł, jakby zamiast mózgu miał balon, który za chwilę wzbije się w powietrze. - Bmw X5 hybryda. Jest jeszcze czterech mężczyzn.

Trzech.

Cholera!

Musiał zamknąć oczy, by świat przestał wirować. Trzech czy czterech? Ciało Merle'a leżało między nim a policjantem. Hurleya pozbawił przytomności.

- Trzech mężczyzn - sprecyzował. - Powiadom kolegów. Bmw X5. Kobieta... Dwie kobiety uprowadzone.

- Komunikacja radiowa jest zablokowana. - Policjant się zawahał.

Chciał wierzyć Willowi. - Telefony nie działają. Nie mogę... Will nie miał czasu na tłumaczenia.

Dźwignął Hanka z ziemi i rzucił na maskę radiowozu. Wykręcił mu nadgarstki i chwycił jedną ręką. Kopniakiem rozstawił mu nogi. Obszukał kieszenie. Telefon z Androidem. Złożone banknoty. Kilka monet. Prawo jazdy i karta ubezpieczenia.

Zdjęcie z prawa jazdy było zdjęciem Hanka, ale litery układające się w imię i nazwisko skakały Willowi przed oczami jak pchły. Podał dokumenty policjantowi ze słowami:

- Nie mam okularów.

- Hurley - przeczytał policjant. - Robert Jacob Hurley.

- Hurley - powtórzył Will. Zauważył otwór po kuli w tylnej części jego nogi. Miał ochotę wsadzić tam ołówek. - Wykrwawi się. Musimy

zawieźć go do szpitala.

Złapał Hurleya za kołnierz koszuli. Zatoczył się, ziemia pod nogami wygięła się jak w beczce śmiechu.

- Dobrze się... - zaczął policjant.

- Otwórz drzwi. - Will wepchnął Hurleya na tylne siedzenie i trzasnął drzwiami tak mocno, że wóz się zakołysał.

Oparł ręce na dachu. Zamknął oczy, próbując odzyskać równowagę. Nagle poczuł palący ból w całym ciele. Dotarło do niego, w jakim jest stanie. Miał rozharatane kłykcie, po szyi ciekły strużki krwi, szarpiący ból targał wnętrzności. Miał wrażenie, że każdy organ ma ciasno spięty tysiącem gumek recepturek. Żebra stały się ostre jak brzytwy.

Obszedł radiowóz. Przednie drzwi były dalej niż powinny. Zamrugał oczami. Z trudem dosięgnął klamki.

Radiowóz ruszył, kiedy tylko Will wgramolił się do środka.

Nie patrzył na Cathy, gdy odjeżdżali.

Zwróciła się do niego po imieniu.

Will.

Głos Sary, a jednak nie jej.

- Chyba się odblokowało - powiedział policjant. Trzymał telefon przy uchu. - Jest sygnał.

- Kobieta była... - Willa chwyciły mdłości. Pochylił się i wymiotował na podłogę radiowozu. Wymiociny zabryzgały wszystko dokoła.

Musiał wytrzeć twarz. - Przepraszam.

Policjant opuścił przednie okna.

Willowi zamykały się oczy. Czuł, że jego ciało chce się poddać.

- Srebrne bmw. Była z nimi Michelle Spivey - powiedział.

- Mich... - policjant otworzył szeroko usta.

- To była jedna grupa. Gliniarze. Wojskowi.

- Cholera, przestał dzwonić. - Policjant odłożył słuchawkę

i ponownie wybrał numer. Radiowóz wjechał w pustą uliczkę. Przejechał przez Emory Village. W stronę szpitala biegli ludzie. W Druid Hills mieszkali lekarze, personel szpitala i pracownicy Centrów Kontroli i Prewencji Chorób. Robili to, co zrobili Will i Sara - zmierzali na miejsce katastrofy najszybciej, jak to możliwe.

Will spojrzął na zegarek. Zamazane cyfry tańczyły mu przed oczami.

Wiele wysiłku kosztowało go skupienie wzroku i odczytanie godziny. Godzina 14:06.

- Nareszcie - wymamrotał policjant. - Tu trzydziestódziesięć--cztery.

Willowi ciężar spadł z serca. Policjant w końcu uzyskał połączenie.

- Muszę rozmawiać z dowódcą. Aresztowałem jednego z podejrzanych o wywołanie wybuchu. Mam szczegóły dotyczące...

- S...s...srebrne bmw - zaczął Will. Język mu się plątał. - T...t...trzej po...podejrzani. Uprawdzili dwie ko... - urwał. Głos wiązał mu w gardle. Głowa nie chciała trzymać się prosto. - Amanda Wagner. Zawiadomcie ją, że oni... mają Sarę. Powiedzcie jej... - Musiał zamknąć oczy. Słońce go oślepiało. - Powiedzcie jej, że schrzaniłem sprawę.

Ciężkie powieki Willa uniosły się nieco. W tej samej chwili tysiące igieł wwierciły mu się w źrenice. Z kącików oczu pociekły łzy, gdy siłą woli starał się zachować przytomność. Nie dotknęła go ani chwilowa dezorientacja, ani amnezja. Dokładnie pamiętał, co się stało, i wiedział, gdzie jest.

Gdy przerzucił nogi przez krawędź szpitalnego łóżka, omal nie runął jak długi na podłogę.

- Spokojnie. - Nate, policjant z radiowozu, ciągle z nim był. - Straciłeś przytomność. Jesteś na ostrym dyżurze.

Will ledwie go słyszał w szpitalnym zgiełku.

- Znaleźli Sarę?

- Jeszcze nie.

- A samochód? - dociekał. - Nie mogą znaleźć samochodu?

- Trwa obława na wielką skalę. Znajdą ją.

Willowi zależało nie tylko na odnalezieniu Sary. Chciał, by odnaleźli ją żywą. Musieli odnaleźć ją żywą.

- Może powinieneś się położyć, stary - powiedział Nate.

Will potarł oczy. Jaskrawe fluorescencyjne światło wywoływało ból. Zorientował się, że siedzi na jednym z dziesiątek łóżek ustawionych po obu stronach holu. Pacjenci krwawili, jęczeli, płakali. Ich twarze pokrywał szary pył. A jednak mimo tej fali odgłosów panował tu niezwykle spokój. Nikt nie krzyczał, nie strzelał, tylko pielęgniarki i lekarze w rutynowym pędzie biegali w tę i z powrotem z tabletami pod pachą. Personel szpitala był na to przygotowany. Prawdziwa panika panowała na ulicach.

- Ilu ludzi zginęło? - zapytał.

- Nie ma jeszcze oficjalnych danych. Może dwudziestu, a może pięćdziesięciu.

Mózg Willa nie był w stanie przyswoić tych liczb. Gdy usłyszał eksplozję, rzucił się na pomoc ocalałym, w jednej sekundzie był gotów na wszystko, byle uratować jak najwięcej ludzi.

Jednak w tej chwili obchodziła go tylko Sara.

- Ewakuują każdy budynek po kolei. Szukają więcej...

Will zsunął się z łóżka. Czekał na ponowny atak nudności albo zawrotów głowy. Ani jedno, ani drugie nie wróciło, ale głowa pulsowała mu w rytm uderzeń serca.

Zacisnął powieki, wziął kilka głębokich oddechów.

- Co z bmw? - zapytał.- Jest w systemie, ale system... - Która godzina?

- Druga trzydzieści osiem.

To oznaczało, że Sara zniknęła ponad pół godziny temu. Głowa opadła mu na piersi. Żołądek wykonywał dzikie harce w jamie

brzuszej. Dłonie mu krwawiły od okładania Hurleya, kiedy te zbiry uprowadzały Sarę.

„Mój zięć nigdy by do tego nie dopuścił”.

Jej zięć.

Mąż Sary.

Szef miasta.

Nigdy by do tego nie dopuścił.

- Ej, chcesz wody albo czegoś innego? - zapytał Nate.

Will potarł brodę palcami. Nadal czuł na dłoniach zapach Sary.

- Will! - zawołała Faith, pędząc ku niemu korytarzem. Za nią podążała Amanda, która rozmawiała przez telefon satelitarny.

Miał tak suche gardło, że ledwie wykrztusił pytanie.

- Znalazłaś ją?

- Cały stan jej szuka. - Faith przycisnęła dłoń do jego czoła tym samym gestem, jakim sprawdzała, czy Emma ma gorączkę. - Dobrze się czujesz? Co się stało?

- Pozwoliłem, żeby ją uprowadzili.

Faith znowu dotknęła jego czoła.

- Zatrzymaliśmy się, żeby im pomóc. - Will podał szczegóły wypadku. - Odjechali The By Way. Tam widziałem ją ostatni raz. Nie wiem... - Urwał i zakasłał. Miał wrażenie, że znowu ktoś go okłada po brzuchu. - Nie wiem, dlaczego z nimi pojechała.

- Czemu jesteś taki zgięty?

Zanim zdążył odpowiedzieć, Amanda podniosła mu koszulę. Czerwone i fioletowe plamy zdradzały miejsca uszkodzonych naczyń krwionośnych pod skórą.

- Jezu - szepnęła Faith.

Amanda zwróciła się do Nate'a:

- Może pan odejść. Proszę złożyć meldunek w swoim oddziale. Faith, znajdź lekarza. Powiedz, że Will może mieć krwotok wewnętrzny.

- Ja nie... - Will próbował słabo zaprotestować.

- Przymknij się. - Amanda siłą posadziła go z powrotem na łóżku. - Nie mam zamiaru bawić się z tobą w kotka i myszkę. Nie wyślę cię do domu, żebyś mi gdzieś po drodze zniknął. Zatrzymam cię przy sobie. Usłyszysz wszystko, co ja usłyszę, ale pod warunkiem, że zrobisz dokładnie to, co ci powiem.

Will pokiwał głową na znak zgody, ale tylko po to, by Amanda mówiła dalej.

- Po pierwsze musisz to wziąć. To aspiryna. Pomoże na ból głowy.

Will popatrzył na okrągłą tabletkę w jej dłoni. Nienawidził leków.

Amanda przełamała tabletkę na pół.

- Ostatni raz idę na kompromis. Albo przestrzegasz moich zasad, albo nie.

Will wrzucił tabletkę do ust i połknął bez popijania. A potem czekał.

- Dziś rano Michelle Spivey została przyjęta na ostry dyżur - zaczęła Amanda. - Pękł jej wyrostek. Od razu wylądowała na stole operacyjnym. Robert Jacob Hurley przedstawił ją jako swoją żonę, Veronicę Hurley. W chwili przyjęcia pokazał na recepcji swoją kartę ubezpieczenia grupowego. Rozwiódł się z żoną, ale nadal figuruje na jego SHPB jako uprawniona do ubezpieczenia.

- Stanowy program ubezpieczeń zdrowotnych - powiedział Will. - A więc Hurley jest gliniarzem.

- Jeszcze półtora roku temu służył w stanowej policji drogowej. Zastrzelił nieuzbrojonego mężczyznę podczas próby zatrzymania.

- Hurley - powtórzył Will. Powiązanie tego nazwiska ze stanową drogówką przypomniało mu, w jakim kontekście je usłyszał. Śledził tę historię jak każdy policjant śledzi tego typu zdarzenia z nadzieją, że strzał był uzasadniony, ponieważ w przeciwnym wypadku wchodziło w rachubę oskarżenie o morderstwo pierwszego stopnia. - Hurley został oczyszczony z zarzutów - powiedział.

- Zgadza się, ale sam nie potrafił sobie przebaczyć. Rzucił służbę

pół roku później. Prochy i alkohol. Żona go zostawiła.

- Kto był z nim? Kto podłożył bomby?

- Nieznani sprawcy. FBI używa programu do rozpoznawania twarzy do analizy nagrań z monitoringu. Jeden z nich zostawił odciski palców, ale nie ma ich w najnowszym systemie FBI.

Najnowszy system identyfikacji działał w taki sposób, że jeśli nieznany sprawca kiedykolwiek służył w organach ścigania czy w wojsku albo został poddany przeglądowi swojej przeszłości w procesie rekrutacji lub starań o prawo jazdy, jego dane miały być przechowywane w bazie wraz z danymi przestępców.

- Dokąd mogli ją zabrać? - zapytał Will. - Wysadzenie szpitala zaplanowali. Sarę uprowadzili przypadkiem.

Ciągle miał w uszach słowa Hurleya: „złe miejsce, dobry moment”.

- Dokąd jadą? Czego chcą? Dlaczego wysadzili...

- Doktorze, tutaj! - Amanda przywołała gestem mężczyznę w stroju chirurga.

- Rozczaruję panią. Więcej niż pielęgniarza pani nie dostanie. - Mężczyzna uniósł koszulę Willa i zaczął przesuwac palce po jamie brzusznej. - Czy w którymś miejscu boli bardziej niż według pana powinno?

Przy pierwszym dotknięciu Will zacisnął zęby z bólu. Pokręcił przecząco głową.

Pielęgniarz przykładał stetoskop w różne miejsca i słuchał. Kiedy skończył, odezwał się do Amandy zamiast do Willa:

- Wszystkie urządzenia do rezonansu są zajęte. Możemy zrobić tomografię komputerową i sprawdzić, czy nie ma krwotoku wewnętrznego.

- Ile to trwa? - zapytał Will.

- Pięć minut, jeśli da pan radę zejść sam po schodach.

- On może chodzić. - Amanda pomogła Willowi wstać z łóżka. Czubek jej głowy znalazł się na wysokości jego pachy. Will wsparł się



na niej mocniej, niż powinien. Mięśnie brzucha paliły go jak przypiekane na wolnym ogniu.

- Dlaczego podłożyli bombę w szpitalu? - zapytał.

- Żeby uciec - wyjaśniła Amanda. - Potrzebowali Michelle, ale nie mamy pojęcia dlaczego. Musimy działać wedle założenia, że bomba w szpitalu miała odwrócić uwagę. Mogli dokonać o wiele większych zniszczeń, spowodować o wiele więcej ofiar śmiertelnych i rannych w wielu innych lokalizacjach. Nie możemy skupiać się na „co”. Musimy dokopać się do powodów.

Will zacisnął powieki. Nie był w stanie logicznie przeanalizować słów Amandy. Mózg miał pełen szklanych paciorków. - Sara. Nie mogłem, nie... - Znajdziemy ją.

Faith dołączyła do nich na schodach. Ruszyła przed nimi i idąc tyłem, podawała Amandzie najnowsze wieści.

- Znaleźli uszkodzony telefon z klapką w bocznej uliczce. Spece od materiałów wybuchowych uważają, że użyto go do detonacji bomb. Zabieramy aparat do laboratorium, może znajdą odciski palców. Ze wstępnych ustaleń wynika, że są takie same jak te, które zostawił jeden ze sprawców.

Will skrzywił się, gdy stopa zsunęła mu się ze schodka. Żebra zamieniły się w noże.

- GPS - powiedział. - W bmw Sary jest...

- Robimy, co możemy. Przekazujemy informacje najszybciej, jak możemy - przerwała mu Amanda.

- Tutaj. - Pielęgniarz, który czekał na dole schodów, przytrzymał otwarte drzwi.

Will nie ruszył się z miejsca.

Było coś, o czym mu nie mówiły. Wyczuwał napięcie między Amandą a Faith. Jedna z nich była doskonałym kłamcą. Druga także, z wyjątkiem sytuacji, kiedy chodziło o niego.

- Czy ona nie żyje? - zapytał Faith.

- Nie - odpowiedziała Amanda. - Oczywiście, że nie. Gdybyśmy coś wiedziały, powiedziałybyśmy ci o tym.

Will nie spuszczał wzroku z Faith.

- Obiecałam, że jeśli się dowiemy, gdzie ona jest, to ci powiem.

Will postanowił uwierzyć Faith tylko dlatego, że musiał.

- W prawo - oznajmił pielęgniarz.

Amanda poprowadziła Willa korytarzem do pracowni. Pośrodku stał ogromny metalowy pierścień z wysuwającym stołem. Will dotknął dłonią potylicy. Wyczuł pod palcami ostry brzeg klamry spinającej rozciętą skórę głowy.

Kiedy to się stało?

- Zaczekamy na zewnątrz - oznajmiła Amanda.

Drzwi pracowni się zamknęły.

Kobieta obsługująca urządzenie pomogła Willowi położyć się na stole, po czym zniknęła w ciasnej kabinie i wyjaśniła, co ma robić. Kazała mu leżeć bez ruchu, nabrać powietrza, zatrzymać w płucach i po chwili wypuścić. Potem stół zaczął przesuwać się w przód i w tył przez pierścień, a Will musiał zacisnąć powieki, ponieważ metalowy pierścień zamienił się w ćwierćdolarówkę wirującą na krawędzi.

Nie myślał o Sarze. Myślał o swojej żonie.

Byłej żonie.

Angie zniknęła, robiła to nieustannie. Też wychowała się w placówkach opiekuńczych i właśnie tam Will ją poznał. Miał wtedy osiem lat. Kochał ją całym sercem, jak się kocha to jedyne, czego można się uczepić.

Angie nie wytrzymała długo w jednym miejscu. Nie winił jej, że odchodziła, i w skrajnym napięciu czekał na jej powrót. Nie dlatego, że tęsknił. Kiedy Angie go porzucała, robiła straszne rzeczy. Raniła ludzi, robiła to celowo i bezsensownie. Zawsze czuł się odpowiedzialny, gdy po przebudzeniu widział, że jej rzeczy zniknęły. Zupełnie jakby była wściekłym psem, którego nie zdołał upilnować

przed zerwaniem się z łańcucha.

Z Sarą było zupełnie inaczej.

Utratę Sary - bo dopuszczał tę myśl, że mu ją ukradli - odczuwał jak własne umieranie. Jakby Sara tchnęła w niego życie, a bez niej to życie z niego uchodziło.

Już nie umiał być sam.

- W porządku.

Skanowanie tomografem dobiegło końca. Kobieta wyszła z za przepierzenia i pomogła Willowi zejść ze stołu. Potarł oczy, bo znowu widział podwójnie.

- Chce pan usiąść? - zapytała.

- Nie.

- Nudności? Zawroty głowy?

- Nic mi nie jest. Dziękuję. - Ruszył do wyjścia, by zrobić miejsce kolejnej osobie. Pacjentką okazała się pielęgniarka w kitlu. Strużki krwi płynęły jej po twarzy. Była pokryta betonowym pyłem. Mamrotała pod nosem, by ktoś zawiadomił jej męża.

Will zastał Amandę w pokoju po drugiej stronie holu. Światła były wyłączone, co uznał za dar niebios. Palący ból oczu stopniowo przechodził w nieznaczne pieczenie.

Na jego widok znany mu już pielęgniarz uniósł lekko brodę.

- Brzuski się opłaciły, stary.

- To dolna okolica pańskiego brzucha. - Radiolog wskazywał na ekranie niewyraźne kształty, które według przypuszczeń Willa były jego organami wewnętrznymi. - Nie widzę krwawienia. Większość stłuczeń jest powierzchowna. Co do brzuszków, to pełna racja. Wycwiczony mięsień brzucha stworzył wokół organów wewnętrznych swoisty gorset. Ale tutaj ma pan mikrouszkodzenie okostnej. - Lekarz zatoczył kółko wokół żebra, które wyglądało, jakby nadal było w jednym kawałku. - Okostna to cienka błona osłaniająca kość od zewnątrz. Musi pan robić zimne okłady trzy razy dziennie. Niech pan

weźmie advil albo coś silniejszego, jeśli będzie trzeba. Umiarkowana aktywność jest dopuszczalna, ale forsownego wysiłku należy unikać.

- Lekarz spojrział na Willa. - Szczęście panu dopisało, ale teraz potrzebuje pan spokoju.

Faith zerknęła w telefon.

- Amando, właśnie dostałam wideo.

Will nie zapytał, o jakim wideo mowa. Najwyraźniej robiły coś za jego plecami.

- Chodźmy gdzie indziej. - Amanda ruszyła ku schodom zlokalizowanym naprzeciwko tych, którymi schodzili. Wskazała Willowi stopień. - Siadaj - zarządziła.

Posłuchał jej, ponieważ i tak musiał usiąść.

Amanda wyjęła z torebki kawałek gumy w papierku. Usłyszał cichy trzask, potem Amanda podsunęła mu to pod nos.

Cofnął się gwałtownie. Serce załomotało mu w piersi. Umysł odzyskał jasność. Wszystko stało się wyraźniejsze. Nagle zobaczył spoinę między betonowymi blokami.

Amanda pokazała mu paczuszkę, którą wziął za gumę do żucia.

- Ampułka z amoniakiem - wyjaśniła.

- Odurzyłaś mnie? - Will wpadł w panikę.

- Nie bądź dzieckiem. To sole trzeźwiące. Obudziłam cię, bo musisz się skupić.

Leciało mu z nosa, więc Amanda podała mu chusteczkę higieniczną, a potem usiadła obok niego.

Faith stanęła po drugiej stronie barierki i wyciągnęła rękę z telefonem, by wszyscy mogli obejrzeć nagranie.

Było czarnobiałe, ale wyraźne. Will zobaczył parking. Kobieta szła z córką w stronę subaru.

Ciemne włosy, drobna budowa ciała. Will rozpoznał w niej kobietę z relacji medialnych sprzed miesiąca, nie tę, którą widział dzisiaj.

Michelle Spivey.

Jej córka szła przed nią. Patrzyła w ekran telefonu. Machała torbami z zakupami. Michelle grzebała w torebce, najwyraźniej w poszukiwaniu kluczyków, kiedy ciemna nieoznaczona furgonetka zatrzymała się przy córce. Przez szybę nie było widać twarzy kierowcy. Boczne drzwi się otworzyły. Ze środka wyskoczył mężczyzna. Córka uciekła.

Mężczyzna rzucił się na Michelle.

Faith zatrzymała nagranie i powiększyła twarz napastnika.

- To on - powiedział Will. Był to kierowca chevroleta malibu. - Clinton. Tak się do niego zwracali, ale to na pewno fałszywe imię. - Gdy Faith mruknęła coś pod nosem, spytał: - Kto to?

- Nie ma go w systemie. - Amanda dała znak Faith, żeby zamknęła plik. - Pracujemy nad sprawą. To kolejny kawałek układanki.

Will potrząsnął głową. Amanda popełniła błąd, używając soli trzeźwiących. Stan przymulenia minął.

- Okłamujesz mnie - powiedział.

W tej samej chwili zadzwonił telefon satelitarny Amandy. Gestem nakazała im milczenie i odebrała.

- Tak?

Will wstrzymał oddech.

Amanda pokręciła głową.

Nic.

Weszła do holu. Drzwi zamknęły się za nią.

Will nie patrzył na Faith, gdy zapytał:

- Znasz jego nazwisko, prawda?

Faith westchnęła ciężko.

- Adam Humphrey Carter. Siedział parę razy za kradzież mienia o dużej wartości, kradzież z włamaniem, przemoc domową, groźby karalne.

- I gwałt - dopowiedział Will.

Faith wzięła głęboki wdech.

- I gwałt - potwierdziła.

To słowo zawisło między nimi, przejmując Willa grozą.

Drzwi na klatkę się otworzyły.

- Faith. - Amanda przywołała ją do siebie, po czym szepnęła jej coś na ucho.

Faith ruszyła schodami w górę. Położyła Willowi dłoń na ramieniu, ale ten gest wcale nie dodał mu otuchy.

- Windy są za wolne - powiedziała Amanda. - Dasz radę pokonać sześć pięter?

Will chwycił się poręczy i dźwignął na nogi.

- Mówiłaś, że powiesz mi wszystko.

- Powiedziałam, że usłyszysz wszystko, co ja usłyszę. Chcesz mi towarzyszyć w rozmowie z Hureleyem czy nie? - Amanda nie czekała na niego, tylko zaczęła wspinać się po schodach. Jej wysokie obcasy stuknęły głośno na każdym stopniu. Na półpiętrze zakreśliła, nie oglądając się za siebie.

Will mozolnie piął się za nią. Mózg podsuwał mu wydobyte z pamięci obrazy. Sara w drzwiach szopy. Sara biegnąca przed nim do chevroleta. Przerazenie na jej twarzy, kiedy podawała mu kluczyki z breloczkiem. Wiedziała, że coś jest nie tak, zanim on to wiedział. Dała temu wyraz już przy porsche. Powinien był odciągnąć ją do bmw i zabrać do domu.

Spojrzał na zegarek.

Godzina 15:06.

Minęła ponad godzina od zniknięcia Sary. W tej chwili mogła już przekraczać granicę Alabamy. Mogła leżeć gdzieś w lesie związana i rozrywana przez Adama Humphreya Cartera na pół.

Ścisnęło go w żołądku. Znowu zbierało mu się na wymioty.

„Pozwoliłeś zabrać moją córkę”.

- Stańmy. - Amanda zatrzymała się na podeście schodów czwartego piętra. - Na minutkę.

- Nie potrzebuję minuty.

- To może spróbuj wejść w tych obcasach. - Amanda zdjęła but i pomasowała stopę. - Muszę złapać oddech.

Will spoglądał w dół schodów. Starał się odsunąć od siebie wszystkie czarne myśli. Znowu zerknął na zegarek.

- Jest siedem po trzeciej. Sara zniknęła ponad...

- Dziękuję, Captain Kangaroo. Znam się na zegarku. - Amanda wsunęła nogę do buta. Zamiast kontynuować wchodzenie, rozpięła zamek w torebce i zaczęła w niej grzebać.

- Ten facet... Ten Carter to gwałciciel.

- Nie tylko.

- Ma Sarę.

- Wiem.

- Może ją skrzywdzić.

- Może ratować swoje życie.

- Nie jesteś ze mną całkiem szczerą.

- Wilburze, nigdy nie jestem całkiem jakakolwiek.

Will nie miał siły kręcić się w kółko. Oparł się o ścianę. Zacisnął dłonie na poręczy. Spojrzał na swoje sportowe buty. Miały zielone plamy od koszenia trawy. Na łydkach zobaczył smugi zaschniętej krwi zmieszanej z ziemią. Nadal czuł na kolanach dotyk zimnej kamiennej podłogi szopy. Zamknął oczy. Próbował przywołać na pamięć ten szczęśliwy moment sprzed chwili, w której wszystko poszło źle, lecz wspomnienia zamierały w dręczącym poczuciu winy.

- Siedziała za kierownicą - powiedział, a gdy Amanda spojrzała na niego znad torebki, mówił dalej: - Kiedy odjechali, to Sara prowadziła. Nie musieli jej ogłuszyć ani... - Potrząsnął głową. - Powiedziała, żeby ją zabili. Nie chciała z nimi jechać. Ale pojechała. Sama ich stamtąd wywiozła.

Opuścił wzrok. Amanda ścisnęła go za rękę. Miała chłodną skórę i szczupłe palce. Zawsze zapominał, że jest taka drobna.

- Od dziecka tak się... - Był idiotą, że jej to wyznaje, ale desperacko pragnął rozgrzeszenia. - Od dziecka tak się nie bałem. - Amanda pogładziła kciukiem jego nadgarstek. - Ciągle myślę o tym, co mogłem zrobić, ale może... - Próbował ugryźć się w język, ale nie potrafił. - Może postąpiłem źle, bo się bałem.

Amanda znowu ścisnęła mu dłoń.

- Tak to jest, kiedy kogoś kochasz, Will. To osłabia.

Zabrakło mu słów.

Amanda poklepała go po ramieniu, dając tym gestem znak, że chwila zwierzeń minęła.

- Zbierz się do kupy. Robota czeka. - Ruszyła dalej schodami.

Will powłókł się za nią. Próbował rozszyfrować sens jej słów. Nie wiedział, czy było to potępienie, czy wyjaśnienie.

A może ani jedno, ani drugie. Nie całkiem.

Na szczycie kolejnego podestu wziął głęboki wdech. Przeszywający ból w żebrach przeszedł w tępe ćmienie. Przemieszczając się, Will poczuł lekką poprawę. Pulsowanie w głowie ustało, przelewająca się w brzuchu lawa zaczęła się uspokajać. Odzyskiwał ostrość widzenia. Mózg, który ulatywał mu z głowy jak balon zerwany z uwięzi, wrócił na swoje miejsce w czaszce.

Wybiegł myślą naprzód, poza przesłuchanie Hurleya. Był pewien, że niczego się od niego nie dowiedzą. Musiał jechać do domu po samochód. Poszuka Nate'a, żeby go podwiózł. W szafie w korytarzu miał policyjny skaner. Chciał go zabrać i urządzić poszukiwanie w miejscach, w których nikt inny nie szukał. Dorastał w samym śródmieściu. Znał złe ulice, zrujnowane domy, gdzie ukrywali się przestępcy.

Po dotarciu na szóste piętro Amanda otworzyła drzwi prowadzące z klatki schodowej na długi korytarz. Will zobaczył policjantów, dwóch na obu końcach korytarza, jednego przy windzie, dwóch pozostałych przy rozsuwanych szklanych drzwiach.



Tym przy drzwiach Amanda pokazała odznakę.

Drzwi się rozsunęły.

Will spojrział na próg i zobaczył metalowe szyny wpuszczone w płytki. Wciągnął w płuca tyle powietrza, ile zdołał. Nie mógł zmusić się do zapomnienia, że Sarę uprowadził człowiek skazany za gwałt, ale mógł zachować pozory spokoju, by zrobić wszystko, czego Amanda będzie od niego wymagać, byle tylko uzyskać informacje od Hurleya.

Wszedł do szpitalnej sali.

Hurley był przykuty do łóżka. Toaleta i umywalka znajdowały się na otwartej przestrzeni. Prywatność zapewniała jedynie cienka zasłonka. Przez otwarte żaluzje wpadało do środka słońce. Jaskrawe światła były zgaszone. Rozjarzony monitor rejestrował pracę serca.

Hurley spał. A może tylko udawał. Szwy upodobniły jego twarz do monstrum doktora Frankensteina. Złamany nos został nastawiony, ale szczeka zwisała krzywo.

Serce biło miarowo, jak wahadło regularnie wychylające się w lewo i w prawo.

Amanda otworzyła kolejną ampułkę z solami trzeźwiącymi i podsunęła Hurleyowi pod nos.

Wzdrygnął się gwałtownie, odrzucił głowę, otworzył szeroko oczy.

Nozdrza rozszerzyły mu się nienaturalnie.

Monitor pracy serca rozbrzmiał jak alarm pożarowy.

Will spojrział w stronę drzwi, spodziewając się pielęgniarki.

Nikt nie przybiegł.

Policjanci nawet nie odwrócili się w tę stronę.

Amanda wyjęła odznakę.

- Amanda Wagner, zastępczyni dyrektora GBI. Agenta Trenta już miałeś okazję poznać.

Hurley spojrział na odznakę, potem na Amandę.

- Nie przeczytam ci twoich praw, ponieważ to nie jest oficjalne

przesłuchanie. Dostałeś morfinę, więc nic, co powiesz, nie zostanie użyte przeciwko tobie w sądzie. - Urwała, czekając na jego reakcję, ale Hurley milczał. - Lekarze ustabilizowali twój stan. Masz zwichniętą szczękę. Zrobią ci operację, kiedy skończą się zajmować pilniejszymi pacjentami. A teraz mamy kilka pytań w związku z dwiema uprowadzonymi kobietami.

Hurley zamrugał. Czekał. Demonstracyjnie ignorował Willa. Co Willowi odpowiadało, ponieważ gdyby facet spojrział na niego krzywo, mogłaby zostać z niego krwawa miazga.

- Chcesz pić? - Amanda rozsunęła zasłonkę przy umywalce i toalecie. Sięgnęła po plastikowy kubeczek, odkręciła kran.

Will oparł się plecami o ścianę. Wsadził ręce do kieszeni.

- Byłeś policjantem. - Amanda napełniła kubek wodą. - Znasz zarzuty. Zamordowałeś lub współuczestniczyłeś w zamordowaniu kilkudziesięciu cywilów. Pomogłeś w uprowadzeniu dwóch kobiet. Uczestniczyłeś w spisku mającym na celu użycie broni masowego rażenia. Nie mówiąc o wyłudzeniu świadczenia zdrowotnego na podstawie fałszywych danych. - Amanda podeszła do łóżka z kubkiem wody. - To przestępstwa federalne, Hurleyu. Nawet jeśli jakimś cudem ława przysięgłych nie będzie zgodna co do kary śmierci, i tak nigdy więcej nie odetchniesz świeżym powietrzem.

Hurley sięgnął po kubek. Kajdanki zadzwoniły o ramę łóżka.

Amanda przez długą jak wieczność chwilę trzymała kubek, w ten sposób komunikując Hurleyowi, kto tu rządzi. W końcu przysunęła mu kubek do ust. Końcami palców docisnęła mu dolną część szczęki, by mógł chwycić wargami krawędź kubka.

Przełykał głośno każdy haust wody. Opróżnił cały kubek.

- Jeszcze? - zapytała.

Nie odpowiedział, tylko opadł na poduszkę i zamknął oczy.

- Te kobiety muszą wrócić do domu całe i zdrowe, Hurleyu. - Amanda wyjęła z torebki chusteczkę. Przetarła nią kubek i wyrzuciła

go do kosza. – To jedyna chwila w całej tej historii, kiedy dysponujesz jakąkolwiek siłą przetargową.

Will wpatrywał się w kubek.

Co Amanda właśnie mu dała?

– Średnio piętnaście lat zajmuje administracji federalnej zarządzenie kary śmierci. – Amanda przysunęła sobie krzesło i usiadła przy łóżku Hurleya. Założyła nogę na nogę. Strzepnęła kłaczki ze spódnicy. Spojrzała na zegarek. – To ironia losu, ale czy wiesz, że Timothy McVeigh wpadł przez wykroczenie drogowe?

Zamachowiec z Oklahoma City. McVeigh zdetonował bombę umieszczoną w ciężarówce przed budynkiem władz federalnych. Zabił prawie dwieście osób, ranił prawie tysiąc.

– McVeigh został skazany na karę śmierci. Spędził cztery lata w więzieniu o podwyższonym rygorze we Florence, zanim złożył wniosek do sądu o wyznaczenie daty egzekucji.

Hurley znowu oblizał wargi. Coś się zmieniło. Jej słowa – a może to, że podstępem skłoniła go do napicia się wody – zachwiały jego spokojem. Amanda ciągnęła swój wywód.

– Ted Kaczynski, Terry Nichols, Dżokhar Tsarnaev, Zacarias Moussaoui, Eric Rudolph... – Przerwała wyliczanie krajowych terrorystów odsiadujących wielokrotne dożywocie w rzędzie cel zwanym „Rzędem Zamachowców”. – Wiesz, jak jest w ADX?

Amanda pytała Willa, nie Hurleya.

Will wiedział, mimo to zapytał:

– Jak?

– Więźniowie siedzą w celach przez dwadzieścia trzy godziny na dobę. Jeśli dostaną pozwolenie, mogą je opuścić tylko na godzinę. Decyzja o tym zależy od uznania strażników. A myślisz, że strażnicy są łaskawi dla ludzi, którzy wysadzają innych w powietrze?

– Nie – odparł Will.

– Właśnie – powiedziała Amanda. – Ale w celi jest wszystko, co

potrzebne do przeżycia. Toaleta jest twoją umywalką i wodotryskiem. Jest czarnobiały telewizor, jeśli masz ochotę oglądać programy edukacyjne albo religijne. Przynoszą ci jedzenie. Okienko ma szerokość dziesięciu centymetrów. Myślisz, że przez dziesięć centymetrów da się zobaczyć wiele nieba, Will?

- Nie - powtórzył.

- Pysznic bierzesz w pojedynkę. Jesz w pojedynkę. Jeśli masz fart i zezwolą ci wyjść na spaceriak, niewiele użyjesz. Mają tam dół, który wygląda jak pusty basen. Z jednego końca na drugi jest dziesięć kroków. Trzydzieści, jeśli zaczniesz chodzić w kółko. Ma ponad cztery metry głębokości. Widzisz niebo, ale nie możesz napisać o tym do domu. Przestali dawać osadzonym ołówki, ponieważ rozdierali sobie nimi gardła.

Hurley otworzył oczy. Wbił wzrok w sufit.

Amanda znowu spojrzała na zegarek.

Will zrobił to samo.

Godzina 15:18.

- Hurleyu - ciągnęła Amanda - nie obchodzą mnie inne twoje zarzuty. Zależy mi na bezpiecznym powrocie obu kobiet. Oto moja propozycja... - zawiesiła głos.

Hurley czekał.

Will poczuł ściskanie w żołądku.

- Umrzesz w więzieniu. Na to nic nie poradzę. Ale mogę ukryć twoją tożsamość przed mediami. Mogę dać ci nowe nazwisko, nową kartotekę policyjną. Szeryfowie nadzorują wielu więźniów w ramach programu ochrony świadków. Będziesz siedział z innymi więźniami, w zastrzonym rygorze, ale nie będziesz trzymany w klatce jak zwierzę, powoli tracąc rozum. - Przerwała na moment. - Jedyne, co musisz zrobić, to powiedzieć mi, gdzie znaleźć te kobiety.

Hurley prychnął. Odwrócił głowę w stronę okna na spotkanie błękitnego nieba i słońca na twarzy. Rytm serca wrócił do

normalnego stanu. Był spokojny, ponieważ czuł, że to on kontroluje sytuację, tak samo jak na miejscu wypadku.

Przynajmniej póki Michelle Spivey nie otworzyła ust i nie zaczęła mówić o jego ojcu.

„Jest twoim bohaterem... chciałeś, żeby był z ciebie dumny”.

- Twój ojciec jest chory, prawda? - odezwał się Will. - To mówiła Michelle. Że umrze.

Hurley gwałtownie odwrócił głowę w jego stronę. Oczy zapłonęły mu z wściekłości.

To tak można było do niego trafić. Nie obchodzili go ludzie, których zamordował. Cokolwiek skłoniło go do popełnienia aktu terroryzmu, nie skłaniało go do pójścia na kompromis. Każdy człowiek ma słaby punkt. Dla wielu mężczyzn będących na bakier z prawem tym słabym punktem był ojciec.

- Twój stary był gliną? - Will spojrzał w okno ponad głową Hurleya.  
- Dlatego poszedłeś do drogówki?

Hurley spiorunował go wzrokiem. Monitor pokazał przyspieszone wartości tętna.

- Założę się, że był z ciebie dumny, kiedy zaczęłeś pracę. Złożyłeś przysięgę jak on. Jego. Syn. - Will wyartykułował te słowa pojedynczo. Wiele razy słyszał weteranów, którzy tak mówili o swoich dzieciach. Nie jak o indywidualnych osobach, lecz jak o przedłużeniu siebie. - Założę się, że nie poczuje dumy, gdy się dowie, że pomogłeś gwałcicielowi uprowadzić następną kobietę.

Tempo sygnałów przyspieszyło.

- Pamiętam, kiedy umierał mój ojciec. Byłem z nim w szpitalu, gdy wydał ostatnie tchnienie.

Amanda milczała. Wiedziała, że Will zobaczył twarz swojego ojca pierwszy raz, gdy identyfikował jego ciało.

- Nigdy przedtem nie trzymałem go za rękę. Może kiedy byłem mały i potrzebowałem pomocy przy przejściu przez ulicę, ale

w dorosłym życiu nigdy. Był zupełnie bezbronny. Ja też czułem się bezbronny. Tak jest, kiedy się kogoś kocha. Czujesz się słaby. Chcesz ulżyć ukochanej osobie w bólu. Zrobisz wszystko, żeby była bezpieczna.

W kąciuku oka Hurleya zawisła łza.

- Pod koniec dłonie i stopy taty były zimne - ciągnął Will. - Włożyłem mu skarpetki. Rozcierałem mu skórę, ale już nic nie mogło go rozgrzać. Tak działa ciało. Całe ciepło kieruje do mózgu i organów wewnętrznych. Trzymasz umierającego za rękę, ale nie możesz go zatrzymać.

Amanda zwolniła mu krzesło. Will usiadł. Przysunął się bliżej Hurleya. Zapanował nad odrazą, gdy ujął go za rękę.

Robił to dla Sary.

Dzięki temu mieli ją odnaleźć.

- Nie wymażesz tego, co zrobiłeś, Hurleyu, ale możesz spróbować to naprawić. - Poczuł, jak palce mężczyzny zaciskają się wokół jego palców. - Ocal te dwie kobiety. Nie pozwól ich skrzywdzić. Daj swojemu tacie następny powód do dumy.

Hurley głośno przełknął ślinę.

- Powiedz nam, gdzie znaleźć te kobiety - ciągnął Will, chcąc za wszelką cenę uniknąć błagalnego tonu. - Nie jest jeszcze za późno na zapobieżenie temu, co je spotka. Niech w ostatniej chwili życia twój tata pomyśli, że jego syn był dobrym człowiekiem, który wyrządził zło.

A nie złym człowiekiem, który nie potrafił czynić dobra.

Hurley znowu zamknął oczy. Poduszka zaczęła wilgotnieć od jego łez.

- Już dobrze. - Will spojrzał na ich splecione dłonie. Hurley ścisnął go tak mocno, że zdarta skóra na kłykciach Willa znowu zaczęła krwawić. - Powiedz nam tylko, jak je uratować. Bądź takim człowiekiem, jakiego chce cię widzieć ojciec.

Hurley spazmatycznie wciągnął powietrze. Łzy ciekły mu jak grochy. Spojrzał nie na Willa, lecz na Amandę, a gdy poruszył wargami, w szczękę coś mu przeskoczyło z cichym chrupnięciem.

- Ghh... - Hurley zmarszczył twarz z wysiłku. Nie mógł ułożyć warg, by wypowiedzieć słowo. - Gaa...

- Gilder? Gwinnett? Gordon? - Po trzeciej nazwie hrabstw Amanda dała za wygraną i zajrzała do torebki. - Mam kartkę i długopis, możesz to napisać.

- Waa... - Hurley wyrwał dłoń z uścisku Willa . - W... Waaah... - zirytowany nie dawał za wygraną.

Will przysunął się i wyteżył słuch.

- Wa... - Hurley złapał ramę łóżka i potrząsnął nią wściekłe. - Wal się.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

NIEDZIELA, 4 SIERPANIA, GODZINA 14:13

Faith obijała sobie kość ogonową o plastikowe siedzenie w tylnej części śmigłowca. Czuła się jak uwięziona we wnętrzu przeładowanej pralki. Słońce rozgrzewało metalowy korpus hueya. Po lewej stronie z szeroko rozstawionymi nogami siedziało sześciu potężnych mężczyzn w uniformach SWAT uzbrojonych w karabiny AR-150. Mieli ramiona jak pnie drzew i srogie miny. Byli źli i gotowi do akcji.

Na razie jednak czekali, bo na szpitalnym lądowisku pierwszeństwo miały helikoptery lotniczego pogotowia ratunkowego. W śmigłowcu panował nastrój przedłużającej się męki oczekiwania. Komandosy byli gotowi do akcji, pragnęli jak najszybciej wyskoczyć z ciasnego wnętrza, lecz tak się stanie dopiero w chwili lądowania, a milczenie pilota w masywnych słuchawkach stawało się nie do zniesienia. Mimo trzasków Faith wyteżała słuch. Tylko Maggie i Amanda zdjęły słuchawki i odbywały prywatną rozmowę, krzycząc sobie do ucha. Amanda wyglądała na wściekłą, co byłoby zrozumiałe, gdyby ktoś jej nie znał. Ona nigdy nie wyglądała na wściekłą. Zwykle w środku burzy zachowywała spokój.

A było wiele powodów do wściekłości.

Will został na oddziale ratunkowym. Ani śladu Sary. Nie wiadomo, kim są jej porywacze, dlaczego podłożyli bomby, co jeszcze planują.

Piętnaście potwierdzonych ofiar śmiertelnych. Trzydzieści osiem osób rannych. Zamordowani policjanci. Zamordowani strażnicy. Zastępczyni szeryfa umarła na stole operacyjnym.

- Ewakuowali połowę budynków w kampusie. - Głos Maggie rozległ się znowu w słuchawkach. Brzmiał, jakby mówiła w metalowej puszcze. - Pierwsza bomba wybuchła na piątym poziomie parkingu



przy Lowergate East. Spowodowała zawalenie się dachu. Druga była znacznie większa. Umieszczona na poziomie minus jeden, przytwierdzona do głównej kolumny nośnej w taki sposób, by wszystko się zawaliło.

- To nie była eskalacja! - krzyknęła Amanda. - To sposobność.

Maggie wskazała słuchawki. Linia nie była bezpieczna.

- Mamy pozwolenie na lądowanie - poinformował pilot.

Śmigłowiec zanurkował ostro i pomknął w stronę kampusu. Żołądek podszedł Faith do gardła. Nie z powodu gwałtownego obniżenia wysokości, ale na widok leja po wybuchu na parkingu.

W powietrzu unosił się dym. Faith naliczyła sześć wozów strażackich walczących z osobnymi pożarami. Ziemię pokrywała warstwa szklanych odłamków i kawałków betonu. Samochody zdmuchnięte z parkingu siłą wybuchu spadły na sąsiednie budynki jak pociski. Na górze przeszklonego łącznika nad Clifton Road leżała kołami do góry furgonetka, przypominająca umierającego karalucha. Faith zobaczyła buty, dokumenty, metal wygięty jak spinacze do papieru. Przypomniała sobie czasy, kiedy mały Jeremy podkradał jej rzeczy z biurka do zabawy.

- Kierowca porsche. - Maggie dostała kolejną porcję informacji przez telefon. - To lekarz ze Szpitala Dziecięcego. Uważają, że złamanie kręgów szyjnych nastąpiło po wypadku. Zamachowcy nie chcieli zostawić żadnych świadków. Złe miejsce, zły moment.

Faith pomyślała o tym, że ten wypadek nie należał do żadnego planu, tylko zdarzył się przypadkowo. Nieszczęsny lekarz pewnie marzył o tym, by położyć się we własnym łóżku, kiedy furgonetka nie zdążyła wyhamować i uderzyła w tył jego auta.

- Studenci są wywożeni autobusami. - Amanda wskazała kolejkę młodych ludzi z plecakami i walizkami. W białych namiotach odbywała się wstępna ocena stanu pacjentów. Umundurowani stróże prawa kłębili się na betonowym pobojowisku. Strażacy i cywile

usuwali gruz, podając sobie wiadra z rąk do rąk.

Maggie zwróciła się do Amandy:

- Konferencja prasowa za piętnaście minut. Chcesz tam być?

- Nie, ale przygotuję komunikat. - Amanda wyjęła notes i zaczęła pisać.

Helikopter zbliżał się do lądowiska, a Faith usiłowała zorientować się w terenie. Znajdowali się nad miejscem zwanym Clifton Corridor. Zniszczony przez bomby parking był usytuowany naprzeciwko szpitala po drugiej stronie ulicy, za trzema budynkami kliniki i Centrum Leczenia Nowotworów, przecnicę od Szpitala Dziecięcego. Jeszcze dalej od akademików i bibliotek po drugiej stronie Clifton.

Spośród wszystkich miejsc, gdzie terroryści mogli zdetonować bomby, piętrowy parking gwarantował najmniejsze straty. Zabili kilkanaścioro ludzi, ale mogli zabić o wiele więcej.

To nie była eskalacja.

Śmigłowiec wylądował twardo. Faith odbiła się od siedzenia.

- Naprzód! - krzyknął dowódca oddziału SWAT.

Wyskakiwali szybko, by maszyna zwolniła miejsce następnej karetce lotniczego pogotowia. Faith wyskoczyła z pomocą sanitariusza. Pobiegli do budynku. Drzwi wyjściowe na dach były już otwarte. Na noszach leżał pacjent przypięty pasami. Czekał na następny helikopter. Antyterroryści popędzili schodami w dół z dłońmi zaciśniętymi na kolbach karabinów.

Oczy Faith łzawiły tak bardzo, że ledwie widziała. Zakasłała. Powietrze było tak gęste, że można je było jeść. Woląła nie wiedzieć, czym oddycha. Zmrużyła oczy, skupiła wzrok na plecach granatowego żakietu Amandy i ruszyła za nią po schodach.

Piętro niżej powietrze było już czystsze. Schodziły bez zatrzymywania. Rąbkiem bluzki Faith przetarła oczy. Maggie rozmawiała już przez telefon satelitarny. Było jak przedtem.

Zbiegając, rzucała przez ramię krótkie komunikaty:

- Facet, którego Will zastrzelił na miejscu wypadku. Sprawdzili jego odciski palców. Nie ma go w bazie danych. - Przerwała, by posłuchać rozmówcy. - Telefon Roberta Hurleya jest wyczyszczony. Dzwonił tylko na jeden numer. Telefon na kartę. Próbuje go namierzyć.

Odsunęły się, by zrobić miejsce biegnącym po schodach sanitariuszom.

- Moi ludzie prędzej zdobędą nakaz. My zajmiemy się papierami - powiedziała Amanda.

- Dobrze - odparła Maggie, pokonując kolejne półpiętro. - Zwróć się do Murphy'ego. Nie mogę niczego obiecać.

- Ja też nie. - W głosie Amandy znowu dało się słyszeć wściekłość. Oddychała ciężko. Obcasy wysokich butów stukały donośnie o każdy stopień.

Faith spojrzała na zegarek.

Godzina 14:17.

Informacja o eksplozjach powinna już być w wiadomościach. Evelyn założyła, że Faith działa z Amandą. Zadzwoń do Jeremy'ego i powie mu, że rozmawiała z Faith i wszystko jest w porządku. Potem, zajmując się Emmą, złamie zasadę iPada i uda, że to raczej zabawka niż odwracacz uwagi. Matka Faith była policjantką przez trzydzieści lat i wiedziała, jak okłamywać rodzinę.

Faith zakręciła na kolejnym półpiętrze. Teraz przeskakiwała po dwa schody. Dotarły do drugiego piętra. Sierżant policji przytrzymał im drzwi.

- Lekarz nie mógł czekać. Powiedział, żeby go znaleźć, kiedy tu dotrzecie - zwrócił się do Maggie.

- Znajdź go. - Maggie zamachała rękę. - I mów.

Sierżant w kilku podskokach zrównał się z nimi i zaczął relacjonować:

- Zostawili kulę w nodze Hurleya. Tak jest bezpieczniej. Muszą mu zadrutować szczękę, ale przed nim są jeszcze pacjenci w poważniejszym stanie. Szóste piętro zostało opróżnione, Hurleya dobrze pilnujemy. Nikt się nie opierdala. Ups, przepraszam panią.

- Tak trzymać, sierżancie - odparła Maggie. - Nie opierdalajcie się. Czy Hurley jest przytomny?

- Budzi się i zasypia. Odmówił przyjmowania środków przeciwbólowych, kiedy przenieśli go z izby przyjęć.

- Nie chce się z czymś wygadać - zauważyła Amanda i zwróciła się do sierżanta: - Dopilnujcie, żeby jego szczeka nadal miała niski priorytet. Niech go boli, wtedy szybciej zacznie mówić. A on musi mówić. Ma być w pokoju sam. Nie może spoglądać w okno. I nie dawajcie mu wody.

Sierżant zerknął na Maggie, która skinęła głową na znak aprobaty.

- Weź to. - Amanda wyrwała kartkę z notesu. - Przekaż dziennikarzom, że to oficjalne stanowisko GBI. I przeczytaj słowo w słowo.

- Rozumiem. - Maggie wymieniła papier na swój telefon satelitarny. - Jeśli będziesz mnie potrzebować, znajdź jednego z moich ludzi.

Powodzenia.

Amanda ruszyła korytarzem, wołając do Faith:

- Jeszcze jedno piętro. Chcę porozmawiać z pielęgniarką.

Chodziło o Lydię Ortiz. Faith usłyszała o niej w helikopterze. Ortiz rozpoznała Michelle Spivey na oddziale pooperacyjnym i wezwała ochronę, ale zanim ochroniarze dotarli, rozpętało się piekło.

- Tędy. - Amanda minęła windę oraz bliższe schody, na których pracowali technicy kryminalistyczni poszukujący śladów.

Robert Jacob Hurley wyciągnął Michelle Spivey z sali pooperacyjnej na trzecim piętrze. Na schodach na drugim piętrze dołączył do współników. Kiedy schodzili na parter, natknęli się na

dwóch policjantów, którzy zareagowali na sygnał SOS wysłany przez Lydię Ortiz. Obaj zginęli od strzałów w głowę. Przed budynkiem czekała na nich zastępczyni szeryfa. Dostała postrzał w klatkę piersiową, kiedy zamachowcy biegli do srebrnego chevroleta malibu. Udało jej się jeszcze zranić Hurleya w nogę, a jego współnika w ramię, zanim Hurley odwrócił się i strzelił jej w twarz.

Faith otworzyła drzwi.

- Zdetonowali bomby na parkingu, kiedy odjeżdżali - powiedziała.

- Zgadza się - potwierdziła Amanda.

- Jak Novak. On zawsze podkładał bomby dla odwrócenia uwagi, a nie jako środek prowadzący do celu - zauważyła Faith.

- Zuch dziewczyna. Trochę to trwało, ale konkluzja słuszna.

Amanda pośpieszyła schodami na górę i dotarły do sali pooperacyjnej na trzecim piętrze. Zobaczyły rzędy mobilnych łóżek oddzielonych od siebie zasłonami, stanowisko pielęgniarki, wyraźnie oznakowaną łazienkę i maszynę do lodu. W sali byli tylko trzej technicy kryminalistyczni i jeden policjant. Łóżko w drugiej zatoczce okalała żółta taśma policyjna. Na podłodze widniały ślady krwi prowadzące w stronę drugich schodów.

Amanda pokazała identyfikator stojącemu przy drzwiach policjantowi, a Faith wpisała ją i siebie do rejestru wchodzących na miejsce przestępstwa.

- Doktor Lawrence już tu idzie. Służył na dwóch zmianach w Iraku. Konkretny gość - powiedział policjant.

- Jesteście z policji? - Przy stanowisku pielęgniarskim pojawiła się kobieta. Była zapłakana i wyraźnie roztrzęsiona. - Nie mogłam nic poradzić. Próbowalam, ale...

- Lydia Ortiz? - zapytała Amanda.

Pielęgniarka zasłoniła twarz dłońmi. Była w stanie tylko skinąć głową. Płakała. Na parkingu pewnie byli jej przyjaciele, poza tym została skonfrontowana ze zbiorowym morderstwem i kobietą

uprowadzoną na oczach jedenastoletniej córki.

- Proszę się nie śpieszyć. - Faith wyjęła z torebki notes, przerzuciła kilkanaście pustych kartek i otworzyła pióro.

- Jakie są symptomy zapalenia wyrostka? - zapytała Amanda.

- Uhm... - Ortiz nie spodziewała się takiego pytania. - Nudności, wymioty, nagła wysoka gorączka, zaparcie.

- Czy to boli? - Amanda próbowała skierować uwagę roztrzęsionej Ortiz na znane jej tematy.

- Tak, ból wykracza poza skalę. Jest umiejscowiony tutaj. - Położyła dłoń w dolnej części brzucha po prawej stronie. - Oddychanie, kaszel, każdy ruch wywołuje przeszywający ból. Jak dźgnięcie nożem. - Po jakim czasie następuje pęknięcie?

Lydia Ortiz pokręciła głową, ale odpowiedziała:

- Od dwudziestu czterech do siedemdziesięciu dwóch godzin od wystąpienia pierwszych objawów. Wyrostek nie pęka jak balon. Pęknięcie wyrostka bardziej przypomina rozdarcie. Bakterie dostają się do krwiobiegu, co prowadzi do sepsy.

Faith mogła wszystko sprawdzić w Internecie, ale pilnie zapisywała te informacje w notesie.

- A teraz proszę powiedzieć, jak to było, kiedy pierwszy raz zobaczyła pani Michelle Spivey - ciągnęła Amanda. - Przywieźli ją na salę pooperacyjną. I co dalej?

Lydia Ortiz wyjęła z kieszeni chusteczkę i wydmuchała nos.

- Leżała w drugiej zatoczce. Jeden z portierów przyprowadził z poczekalni jej męża, który przedstawił się jako Hurley. Ja też mu się przedstawiłam. Sprawowałam nad nią rutynową pooperacyjną opiekę.

- Zadawał jakieś pytania dotyczące zdrowia Michelle, kuracji?

- Nie, ledwie mnie słuchał.

- W ogóle o nic nie pytał?

- A tak, pytał o recepty. O antybiotyki i leki generyczne, to znaczy

zamienniki, które można kupić w Walmarcie. Odniosłam wrażenie, że chciał szybko to załatwić i opuścić szpital.

- Jakie były rokowania?

- Nie powinnam tego mówić z powodu regulacji dotyczących praw pacjenta, ale chrzanić to. Michelle Spivey powinna zostać w szpitalu, ale jej mąż odmówił. Podpisała formularz o wyjściu na własną prośbę wbrew medycznym zaleceniom. Lekarz nafaszerował ją antybiotykami, ale potrzebna jej będzie opieka. Sepsa to nie żarty.

- Umarłaby bez operacji?

- Tak, i nadal może umrzeć. Hurley sprawiał wrażenie, jakby nie zależało mu na zapewnieniu jej właściwej opieki.

Faith patrzyła w notatki. Ortiz nie wiedziała o wypadku ani o tym, że Hurley miał wspólników i banda uprowadziła lekarkę. Faith zapisała pytanie, nad którym zamierzała się zastanowić: „Hurley potrzebował Michelle żywej. Po co?”.

- Kiedy pani rozpoznała w pacjentce Michelle Spivey? - zapytała Amanda.

- Nie rozpoznałam, w każdym razie nie od razu. To jej mąż wzbudził moją czujność. Było w nim coś dziwnego, coś niepokojącego. Czasami mamy do czynienia z tak zwanymi przemocowcami. Mąż nie odstępuje żony, bo się boi, że gdy zostawi ją samą, ona poprosi o pomoc.

- Czy Michelle Spivey nosiła ślady przemocy?

- Wyglądała na niedożywioną. Dałam jej kilka ciepłych pledów, a potem zauważyłam, że ma bosc stopy. Zaczęłam wkładać jej skarpetki i zobaczyłam ślady po igle. - Gdy Faith podniosła głowę znad notatnika, Lydia Ortiz dodała: - To się stało właśnie wtedy. Naciągałam jej skarpetki, spojrzałam na jej twarz pod innym kątem i coś mi zaświtało. Miała obcięte i tlenione włosy, ale ją poznałam. Wtedy ona spojrzała na mnie, popatrzyła mi prosto w oczy i wyszeptała: „Pomocy”.

Faith chciała się upewnić, że dobrze zrozumiała, dlatego spytała:

- Tak wprost poprosiła panią o pomoc?

- Nie na głos, może nawet nie szepnęła, ale można wyczytać słowo z ruchu warg, prawda? - Ortiz podeszła do łóżka. - Byłam tutaj.

Ona siedziała.

- Czy jej mąż to widział?

- Nie, znaczy się nie jestem pewna. Wróciłam do dyżurki, wcześniej mówiąc Michelle, że przyniosę wazelinę, bo miała potwornie spierzchnięte usta. Przekazałam kod alarmowy naszemu portierowi Danielowi, a on zachował zimną krew i tak po prostu wyszedł jakby nigdy nic. Jednak mąż coś wyczuł, bo kiedy się odwróciłam w ich stronę, pomagał Michelle wkładać szorty. Nie mogła ich zapiąć, bo szwy puściły, a ona krwawiła i zaczęła płakać. Nie pozwolił jej włożyć koszuli, tylko dał jej swoją bluzę i pociągnął na schody. Wtedy widziałam ich ostatni raz. Usłyszałam strzały na dole. Rozbrzmiał sygnał alarmu nakazującego ukrycie się w miejscu przebywania, a po chwili eksplodowały bomby. - Lydia Ortiz potrząsnęła głową. - Mówią, że z Hurleyem była cała banda i że zastrzelili wielu ludzi.

Amanda nie uściśliła tych informacji, tylko obesza łóżko, spojrzała na podłogę i spytała:

- To jej koszula? - Gdy Ortiz potaknęła, schyliła się i ołówkiem rozgarnęła koszulę. Była z bawełny, krótki rękaw, rozpinana, biała z czerwonymi pionowymi paskami. - Ręcznie tkana - zauważyła.

Faith kucnęła obok niej. Szwy wyglądały na ręcznie szyte. Materiał mógł pochodzić z worka na mąkę.

- Dziękuję, pani Ortiz. - Amanda wstała. - Spotkamy się w holu - zwróciła się do Faith.

Faith sfotografowała koszulę telefonem, ustawiając zoom na szwy. Guziki miały ten sam kolor, ale każdy był inny. Michelle Spivey pracowała w Centrach Kontroli i Prewencji Chorób, biegła maratony, miała jedenastoletnią córkę, prowadziła aktywny tryb



życia. Nie należała do kobiet, które same szyją sobie ubrania w długie i puste zimowe wieczory, do tego wykorzystując materiały z samodziału, czyli tkane na archaicznych ręcznych warsztatach.

- Przykro mi - powiedziała Lydia Ortiz. - Powinnam... sama nie wiem. Powinnam go zatrzymać.

- Zabiłby panią - bez ogródek oznajmiła Faith i wyjęła wizytówkę. - Proszę zadzwonić, jeśli przypomni sobie pani coś jeszcze, dobrze?

Na klatce schodowej Amanda kończyła rozmowę przez telefon satelitarny.

- Matka Sary twierdzi, że córka pojechała z porywaczami, by chronić Willa - powiedziała.

Faith łatwo była w stanie to sobie wyobrazić, ale umieszczenie tej uwagi w policyjnym raporcie wiązałoby się z przykrymi następstwami dla dalszej kariery Willa w organach ścigania, zwłaszcza gdyby prasa dotarła do tej informacji.

- Poprosiłam, żeby dała sobie czas na ochłonięcie, zanim podpisze zeznanie. Nie jestem pewna, czy to usłyszała. Napadła na mnie jak wściekła suka.

Faith poczuła ściskanie w żołądku. Też zachowałaby się jak wściekła suka, gdyby ktoś uprowadził któreś z jej dzieci.

- Kto nosi ubrania z samodziału? - zapytała Amandę.

- Na pewno nie kobieta, która zarabia sto trzydzieści tysięcy rocznie.

Faith próbowała uporządkować znane im fakty.

- Hurley porywa Michelle Spivey. Zmusza ją, by nosiła ubrania z samodziału. Zabiera ją do szpitala na usunięcie wyrostka, zamiast porzucić na poboczu. Wzywa kumpli z bombami, żeby ułatwili jemu i Michelle ucieczkę... - To wszystko nie składało się w logiczną całość. - Dlaczego?

Amanda wychyliła się przez poręcz.

- Doktor Lawrence?

- Tak, to ja. - Oczom Faith ukazał się niski krępy mężczyzna. Miał na sobie prążkowane spodnie od pizamy i eleganckie buty. Całości dopełniała chirurgiczna bluza poplamiona krwią. Wokół oczu miał rozmazaną obwódkę czarnego tuszu. Wyglądał, jakby zwlókł się z łóżka po szalonej nocnej imprezie i popędził do szpitala na dźwięk syreny. Nie wydawał się skrępowany swoim wyglądem i nie poczuwał się do wyjaśnień. Za to oznajmił: - Mogę wstrzymać zdrutowanie szczęki, jak długo trzeba. Zasłużył, by cierpieć.

- A co z moim człowiekiem na dole?

- Założyłem mu klamrę na ranę na czaszce. Jest zdezorientowany, doznał wstrząśnienia mózgu. Zadano mu mnóstwo ciosów w dolną część brzucha. Prawdopodobnie ma złamane żebro, może dwa. Potrzebuje tomografii, by wykluczyć krwotok wewnętrzny.

- Co może mu pan dać, żeby natychmiast postawić go na nogi? - zapytała Amanda.

Lawrence zastanawiał się przez chwilę, zanim odparł:

- Mogę mieć przez to kłopoty, ale tabletki percocetu 10 mg powinna zadziałać. Jeśli chce pani, żeby pozostał przytomny, niech mu pani da połówkę.

- A jeśli samo zachowanie przytomności to za mało?

Lawrence podrapał się w brodę pokrytą kłującym zarostem.

- Wciągnięcie amonu mogłoby...

- Amfa? - wyrzuciła z siebie oburzona Faith. - Chyba nie mówi pan poważnie.

- To nie amfa, tylko substancja drażniąca nos. Spowoduje, że weźmie naprawdę głęboki wdech i dostarczy do płuc mnóstwo tlenu - wyjaśnił, po czym zwrócił się do Amandy: - Mamy trochę tego na dole. Niech mu pani to da, kiedy będzie musiał wrócić do gry.

Faith pokręciła głową z dezaprobatą. Nie wierzyła w powodzenie tego planu.

- Jeśli chce pani leków, niech pani poszuka Conrada - rzucił na

odchodnym Lawrence.

- Will nie weźmie lekarstwa - powiedziała Faith. Wiedziała, że leczył bóle głowy piwem korzennym i większą dawką ćwiczeń.

- Weźmie - mruknęła Amanda, po czym stwierdziła: - Mam przeczucie, że Robert Hurley nie uprowadził Michelle Spivey. Myślę, że zrobił to Adam Humphrey Carter. Spędził w więzieniu na północy stanu sześć lat za napaść na tle seksualnym. I myślę, że w tej chwili jest z Sarą.

Faith zakryła dłonią usta. W stanie Georgia istniało rozróżnienie między gwałtem a napaścią na tle seksualnym. To drugie dotyczyło sytuacji, w której sprawca miał nad ofiarą zwierzchnictwo. Mógł to być nauczyciel, opiekun albo...

- Carter był policjantem w hrabstwie Newman - potwierdziła jej domysły Amanda. - Zatrzymał dwudziestodwuletnią kobietę, zaciągnął do lasu, zgwałcił, skatował i zostawił na pewną śmierć.

- Skąd... - Faith miała kłopot ze sformułowaniem pytania. - Nie wyciągnęłaś nazwiska Cartera z kapelusza. Dlaczego sądzisz, że jest w to zamieszany?

- O pewnych rzeczach na razie nie mogę ci powiedzieć. To przeczucie, ale poparte konkretami. - Amanda dała Faith chwilę na przetrwanie tej informacji. - Poprosiłam znajomego, by przesłał nagranie z uprowadzenia Spivey na twojego prywatnego maila.

- Zaraz, to jest nagranie? - Faith śledziła tę historię od miesiąca. Uważała, że to jedno z tych strasznych przypadkowych porwań. - W informacjach podawali, że brak podejrzanych.

Amanda nie wyjaśniła celu tego przekłamania, natomiast powiedziała:

- W tej chwili musimy złożyć w całość odpowiedzi na pytania: Czy to Carter jest na nagraniu z uprowadzenia Spivey? Jeśli Carter jest porywaczem, czy Will zidentyfikuje go jako jednego z mężczyzn, którzy uprowadzili Sarę?

Na myśl, że to Carter może mieć Sarę, Faith zrobiło się słabo.

- A potem? - zapytała.

- A potem oni nie będą mogli już zaprzeczać, że Michelle została sprzedana. Słyszałaś o śladach po igłach. Mogą powiedzieć, że Carter skończył z Michelle, a potem sprzedał ją Hurleyowi. Transakcja, nie sojusz.

Im więcej mówiła, tym bardziej wszystko się komplikowało.

- Kim są ci „oni”, którzy chcą temu zaprzeczać? I jakie znaczenie ma motywacja? - Faith poczuła na nadgarstku impulsy dotykowe z zegarka. W ten sposób jej smartwatch sygnalizował nadejście pilnego powiadomienia. Zerknęła na przegub, mówiąc: - Operator chyba...

*Sara Linton próbowała się skontaktować, ale byłaś niedostępna.* - O cholera. - Faith sprawdziła opcje w walkietalkie. - Sara...  
*Porozmawiaj z Sarą.*

*Otwórz walkietalkie.*

- O cholera - powtórzyła.

- Faith, na miłość boską! - zawołała odezwała się Amanda. - Co Sara?

- Próbowała nawiązać ze mną kontakt przez walkietalkie o drugiej siedemnaście. To dwadzieścia jeden minut temu. - Sara mogła już być w drodze do Tennessee, Karoliny Północnej albo Południowej, Alabamy czy na Florydę. Niech to szlag!

- Co napisała?

- To tak nie funkcjonuje. - Faith zaczęła wyjaśniać, że aplikacja działa na platformie FaceTime, ale przypomniała sobie, do kogo mówi. - To jak prawdziwe walkietalkie. Nie nagrywa i nie zachowuje wiadomości. Trzeba jej słuchać, kiedy przychodzi.

Amanda westchnęła ciężko i zacisnęła wargi.

- Dziesięć minut temu znaleźli bmw - powiedziała w końcu, a gdy Faith otworzyła usta, dodała szybko: - Auto wybuchło. Zbiornik gazu

został podpalony. Na tylnym siedzeniu jest ciało. Na razie nie wiedzą nawet, czy to kobieta czy mężczyzna. Auto musi wystygnąć, dopiero potem technicy wejdą do środka.

Faith wyciągnęła ręce do tyłu, by poszukać ściany. Potrzebowała czegoś solidnego, by nie upaść. Sara była nie tylko dziewczyną Willa, ale również jej przyjaciółką, może nawet najlepszą.

- Will nie może się o tym dowiedzieć. - Amanda ruszyła schodami w dół. - Nie pomoże nam, jeśli zacznie lamentować.

Faith powlokła się za nią. Była skołowana. Will miał prawo wiedzieć, co się dzieje. Był jej partnerem i powinna być z nim szczerą. Przynajmniej na tyle, na ile to możliwe,

Amanda otworzyła kolejne drzwi i znalazły się na oddziale ratunkowym. Zatrzymała pierwszą osobę z personelu, która jej się nawinęła. - Szukam Conrada - powiedziała.

Will siedział na łóżku na końcu korytarza. Faith podbiegła do niego, wołając po imieniu.

Zamrugał długo i powoli. Patrzył na nią, ale jej nie widział.

- Znalazłaś ją?

- Nie. Cały stan jej szuka. - Faith uznała, że nie ma sensu informować go o spalonym bmw, póki nie upewni się, kto był w środku. Łagodnie ujęła go pod brodę, by unieść mu głowę i spojrzeć w twarz. - Dobrze się czujesz?

Willowi broda opadła na piersi.

- Pozwoliłem im ją uprowadzić.

Faith znowu próbowała unieść mu głowę, ale odepchnął jej dłoń.

- Poszło szybko. Szopa, potem ulica, ale przed eksplozją. A potem samochody. Zabrali ją.

Amanda nie miała cierpliwości do wysłuchiwanie nieskładnej opowieści Willa.

- Czemu siedzisz taki zgięty? - Faith próbowała zmusić go do przyjęcia pozycji leżącej i uniosła mu koszulę. - Jezu - szepnęła, gdy

zobaczyła krwawe wykwity przypominające połączenie atramentowych plam używanych w teście Rorschacha.

Amanda spiorunowała ją wzrokiem, nakazując zapanowanie nad emocjami, i nakazała:

- Znajdź lekarza. Powiedz, że Will może mieć krwotok wewnętrzny.

Faith poszła wykonać polecenie. Gdy wierzchem dłoni przetarła oczy, drobinki gruzu podrapały jej skórę. Serce ją bolało na widok Willa w takim stanie. Odwróciła się i zobaczyła, jak Amanda podsuwa mu tabletkę, a on pokręcił głową na znak odmowy. Jednak gdy przełamała ją na pół, Will niechętnie wrzucił ją sobie do ust.

- Znowu mnie potrzebujecie? - Pielęgniarsz stanął przed nią z dłońmi zaciśniętymi na stetoskopie. Na plakietce widniało nazwisko CONRAD. - Pani szefowa to jędza.

- Sam jej pan to powie, kiedy będzie pan pomagał mojemu partnerowi. - Faith otworzyła drzwi toalety. Weszła do pierwszej kabiny z brzegu, usiadła i podparła głowę rękami. Nie płakała. Siedziała tam, aż minęła jej ochota zwinięcia się w kłębek.

Adam Humphrey Carter.

Dlaczego Amanda wymieniła jego nazwisko? Nagranie z uprowadzenia Michelle Spivey zostało wysłane na prywatne konto mailowe Faith, by ominąć służbowe kanały komunikacji. Amanda nazwała to przeczuciem, ale najwyraźniej pracowała nad jakąś teorią. Czy właśnie to wykrzykiwała do ucha Maggie, gdy czekały na lądowanie helikoptera? To by wyjaśniało nietypową dla niej wściekłość.

Nie eskalacja. Możliwość.

Faith sprawdziła czas.

Godzina 14:42.

Nic.

Spuściła wodę w toalecie, obmyła twarz i spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

Musiała skończyć z patrzeniem na las i zacząć się przyglądać poszczególnym drzewom. Amanda powiedziała, że muszą powiązać Cartera i Hurleya jako członków jednej grupy. Gdyby Will zidentyfikował ich obu z miejsca wypadku, wtedy zyskaliby dowód na związek między nimi. W tej chwili tylko o to musiała się martwić. Po wykazaniu tego związku zrobi krok ku następnemu drzewu. To jedyny sposób na przejście całego lasu.

Otworzyła drzwi. Na końcu holu Amanda pomagała Willowi pokonać schody. Ważył ponad czterdzieści kilogramów więcej od niej i był przynajmniej o trzydzieści centymetrów wyższy. Ta scenka byłaby nawet komiczna, gdyby nie tragizm sytuacji.

Minęła ich, zeszła niżej i zaczęła schodzić tyłem na wypadek, gdyby Will upadł. Bełkotał, gdy zaczął pytać o Hurleya i GPS w aucie Sary.

- Robimy, co w naszej mocy. Przekazujemy informacje najszybciej, jak możemy - próbowała go uspokoić Amanda.

- Tutaj. - Conrad stanął przy otwartych drzwiach.

Amanda próbowała wprowadzić Willa do tunelu, ale jego potulność właśnie się wyczerpała. Spojrzał na Faith.

- Czy ona nie żyje? - zapytał.

Faith otworzyła usta, ale uprzedziła ją Amanda:

- Ależ skąd. Gdybyśmy coś wiedziały, powiedziałybyśmy ci o tym.

Faith z najwyższym wysiłkiem spojrzała mu w oczy. Przedstawiła mu jedyną prawdę, na jaką umiała się zdobyć:

- Obiecuję, że jeśli się dowiemy, gdzie ona jest, to ci powiem.

Will skinął głową. Faith puściła go z Amandą przodem, by przypadkiem się nie wygadać. Spojrzała na zegarek. Byli na poziomie piwnicy, więc zasięg zanikł. Musiała iść na górę albo poszukać loginu do WiFi.

Amanda była już w holu sama i szukała czegoś w torebce. W końcu wyjęła pudełeczko z tabletkami.

- Faith, nie mogę znaleźć okularów do czytania. Znajdź niebieskie

owalne tabletki. Potrzebuję dwóch.

- Jesteś... - Faith już miała zapytać Amandę, czy jest chora, kiedy zobaczyła na niebieskiej tabletkce maleńkie literki.

XANAX 1.0.

- Włóż je tutaj. - Amanda otworzyła małą plastikową buteleczkę. Faith wrzuciła tabletki do środka. Amanda zaczęła kręcić nakrętką jak w młynku do pieprzu, a na widok miny Faith powiedziała: - Wyluzuj, to nie dla Willa. Muszę rozluźnić Hurleya. A zanim zaczniesz mnie pouczać, zadzwoń do matki i zapytaj o jej sławetne pigułki na gadulstwo.

Faith ugryzła się w język. Nie znosiła, kiedy Amanda mówiła straszne rzeczy o jej matce.

Amanda wrzuciła pojemniczek do kieszeni żakietu.

- Prawa człowieka są prawami kobiet. W ten sposób wyrównujemy szanse.

W holu pojawił się mężczyzna.

- Proszę pani, jestem radiologiem. Doktor Schooner - przedstawił się. - Wasz człowiek zasnął nam na stole, więc pomyśleliśmy, że damy mu trochę czasu, zanim pojawi się następny pacjent.

Gestem zaprosił je do ciemnego pokoju pełnego rozjarzonych ekranów. Conrad siedział na krześle ze skrzyżowanymi rękami. Na ścianach wisiały przyklejone taśmą kartki z informacjami, co robić na wypadek wystąpienia reakcji alergicznej, jakie są numery ośrodka kontroli zatruc i hasło do WiFi.

Faith zaczęła wpisywać hasło w telefonie, jednocześnie słuchając doktora Schoonera, który przedstawiał wyniki badań Willa:

- Brak obrzęku. Brak krwotoku. Żadnych złamań w obrębie czaszki, chociaż kości są stłuczone. Musi gdzieś poleżeć z zamkniętymi oczami i przy zgaszonych światłach, a także unikać silnych bodźców. Za tydzień powinna nastąpić poprawa, ale pełne wyzdrowienie potrwa około trzech miesięcy.



- Dopilnujemy, żeby odpoczął - zadeklarowała Amanda.

Faith poszła do holu, by oddać się przeżywaniu poczucia winy. Zadawała sobie pytanie, czego Sara oczekiwałaby od niej w tej chwili. Martwiłaby się o Willa. Na pewno chciałaby, żeby Faith go ogłuszyła, zawlokła do domu i położyła w zaciemnionym pokoju, by spał, ile wlezie, i w spokoju wracał do zdrowia.

Lecz Will w końcu by się obudził. I nigdy by jej tego nie wybaczył.

Sprawdziła pocztę. Nagranie jeszcze nie przyszło.

Otworzyła wyszukiwarkę, zalogowała się na bezpieczną stronę GBI i odnalazła kartotekę Adama Humphreya Cartera. Poczwała w żołądku kolejny supeł. Carter nie był tylko gwałcicielem, ale także złodziejem samochodów, włamywaczem i oprawcą. Kobieta wystąpiła do sądu z wnioskiem o zakaz zbliżania. Jego kartoteka pękała w szwach od oskarżeń o przemoc domową, ponieważ tacy mężczyźni zawsze mieli na koncie przemoc domową. Nienawiść do kobiet zapowiadała przyszłe przestępcze zachowania w takim samym stopniu, jak znęcanie się nad zwierzętami czy moczenie nocne.

Przemoc zawsze obracała się przeciwko kobietom.

Faith przewinęła kartotekę Cartera na koniec. Miał na koncie dwa nakazy doprowadzenia do sądu. Jeden w sprawie o kradzież, drugi o czynną napaść w barze. Oba sprzed dwóch lat. Co nie miało sensu. Sędziowie wydawali nakaz doprowadzenia, gdy przestępcy nie stawiali się na procesie. W przypadku Cartera została ustalona kaucja. Chodziło o dwa poważne zarzuty. Poręczyciel wyznaczyłby ponad sto tysięcy dolarów nagrody za jego głowę.

Dlaczego więc Cartera nie zgarnęli?

Na ekranie pojawiła się informacja:

*Anon4AnonA@gmail.com przysłał ci plik wideo.*

Faith wróciła do pokoju.

- Właśnie dostałam maila, Amando - powiedziała.

- Chodźmy stąd.

Will i Faith poszli za nią na drugi koniec korytarza.

Przeszli przez kolejne drzwi.

Znowu znaleźli się na schodach.

Amanda gestem nakazała Willowi usiąść na stopniu. Zanim Faith zdążyła się zorientować, podsunęła mu pod nos otwartą ampułkę z amoniakiem.

- O kurwa! - Will wyrzucił w górę ramiona i cofnął się gwałtownie.

- Odurzyłaś mnie?

- Nie bądź dzieckiem. To sole trzeźwiące.

Faith patrzyła na kręcące się kółko na ekranie telefonu, aż w końcu plik z nagraniem się otworzył.

Oglądanie nagrania z uprowadzenia Michelle Spivey nie było takim wstrząsem, jakim teoretycznie powinno być. W pracy i w telewizyjnych magazynach kryminalnych naoglądała się niezliczonych czarnobiałych nagrań kobiet uprowadzanych pod czujnym okiem monitoringu. W tym przypadku ścisnął ją za serce widok Ashley SpiveyLee, córki Michelle, która radośnie pisała coś w telefonie, gdy tuż obok niej zatrzymała się furgonetka.

Dziewczynka zaczęła biec.

Michelle sięgnęła do torebki i otworzyła usta w niemym krzyku.

Faith zatrzymała nagranie, kiedy z furgonetki wyskoczył mężczyzna. Powiększyła twarz napastnika. Rozpoznała tego bydlaka z policyjnego zdjęcia. Modliła się w duchu, by Will tego nie zrobił.

- To on - powiedział Will. - Clinton. Tak się do niego zwracali, ale to nieprawdziwe imię.

- Cholera - mruknęła Faith pod nosem.

- Nie ma go w systemie. - Amanda dała znak Faith, żeby z niczym się nie zdradziła.

- Kłamiecie - powiedział Will. Nie zgadywał. Faith skutecznie ukrywała prawdę tylko wtedy, gdy czuła, że ma istotny powód, by ją ukrywać.

Zadzwoił telefon satelitarny Amandy.

Przyłożyła słuchawkę do ucha i czekała.

Wszyscy czekali. Will na wieści o Sarze, Faith na ustalenie tożsamości zwęglonego ciała w aucie.

Amanda pokręciła głową i wyszła na korytarz. Zamknięciu drzwi towarzyszyło głośnie kliknięcie zamka.

Potem zapadła cisza, w której Faith słyszała łomot własnego serca.

- Znasz jego nazwisko, prawda? - zapytał Will.

Podawała mu prawdziwe nazwisko i streściła zawartość kartoteki, jednak pewne fakty pominęła.

Will nie był głupi. Wiedział, że coś przed nim ukrywa.

- I gwałt - dopowiedział.

Musiała przełknąć ślinę, zanim była w stanie wykrztusić to słowo.

- I gwałt - potwierdziła.

Drzwi na klatkę się otworzyły. Amanda gestem przywołała ją do siebie i szepnęła jej na ucho:

- Zwęglone zwłoki to mężczyzna. Dostawca. Jego porzuconą furgonetkę znaleźli przy Bullard Road obok zjazdu I-16. - Czyli kierunek Floryda, Alabama, Karolina Południowa. - Na górze usłyszysz różne rzeczy - szeptała dalej Amanda. - Daj im popalić. Niczego, co powiedzą, nie bierz za pewnik. Zawsze jest jakiś ukryty motyw.

Faith nie zadawała pytań, na które Amanda nie mogła odpowiedzieć w obecności Willa. Ścisnęła go tylko za ramię, gdy ruszała schodami w górę, które prowadziły na parter drugiego budynku.

Centrum Leczenia Nowotworów. Poznała to wejście. Powietrze świstało jej nad głową. We wszystkich oknach po stronie wschodniej wyleciały szyby. Klimatyzacja została wyssana. Faith słyszała sygnały akustyczne ciężkiego sprzętu, ryk silników diesla. Miała wrażenie, że oddycha piaskiem. Oczy zaczęły jej łzawić. Z nosa ciekło jej tak, że

zaczęła szukać w torebce chusteczek.

- Mitchell.

Agent FBI ze spotkania poświęconego Martinowi Novakowi machał do niej z drugiego końca holu. Duszna sala konferencyjna wydawała się odległa o wieczność. Oboje wyglądali fatalnie. Gdzieś zniknął zasadniczy agent federalny. Mostek w jego okularach trzymała biała taśma chirurgiczna. Twarz miał szarą od kurzu. Białą jeszcze niedawno koszulę pokrywały strużki krwi, jeden z rękawów był rozerwany, z ramienia sączyła się krew.

- Jesteśmy tam. - Minął windę, potem skręcił w lewo za schodami. Światła u sufitu były zgaszone. Faith nigdy nie była w tej części budynku. - Dziwię się, że Amanda przysłała ciebie.

- Przypomnij mi swoje nazwisko.

- Aiden Van Zandt. Mów mi Van. Tak jest łatwiej. - Rękawem wytarł twarz. - Oszczędź mi gadania. Przez trzy ostatnie lata nasz tajny informator był pewny.

Faith nie zapytała, kim jest tajny informator. Nigdy nie wchodzi w słowo gadule.

- Dzięki jego informacjom wkurzyliśmy albo przymknęliśmy ważne cele.

Faith zachowała obojętny wyraz twarzy.

- Wiem, co wasza szefowa myśli o tej operacji, ale pamiętaj, że to ona nas wykorzystała. - Van Zandt zerknął na Faith. - A my byliśmy gotowi. I wszystko zorganizowaliśmy. - Znowu otarł twarz, jeszcze bardziej rozmazując brud.

Faith miała w torebce chusteczki, ale chrzanić Van Zandta.

- Nadal możemy tam umieścić innego agenta. Nie wiedzą, jak wygląda. Wiedzą tylko, że to gość, który miał jakieś kłopoty.

Faith poczuła, że zapala jej się w głowie lampka. Jeszcze nie do końca, ale coś jej świtało. Czy dlatego Will nie brał udziału w spotkaniach dotyczących Novaka? Czyżby Amanda trzymała go

z dala od tej zgrai, ponieważ chciała, by jako tajny agent wziął udział we wspólnej operacji z FBI?

Próbowała sformułować pytanie, z którego łatwo mogła się wycofać:

- Kiedy Will miał zostać w to włączony?

- Omawialiśmy terminy, ale to była kwestia dni. Internetowa dyskusja o tej grupie ostatnio była bardzo gorąca. Szykują jakiś komunikat. A wierz mi, ci goście mają rozmach.

Grupa?

Faith zaschło w ustach. Urowadzenie Michelle i atak to coś więcej niż wypadek z udziałem czterech mężczyzn. Stała za tym jakaś organizacja; komórka przygotowująca jakiś akt zniszczenia.

- Bomby nie były eskalacją - zacytowała Amandę.

- Nie, chodziło o pomoc dla Spivey i zagwarantowanie im drogi ucieczki, by przeżyć i dalej walczyć. Klasyczna taktyka odwrócenia uwagi. Przestępstwo polega na czym innym niż podłożenie bomby.

Faith postanowiła wybadać grunt.

- A Novak?

- Uważaj - ostrzegł Van Zandt. - Tutaj.

Otworzył jej drzwi. W sali konferencyjnej królował ogromny stół, przy którym stało około dwudziestu krzeseł. Elegancka blondynka wstała na widok Faith i podeszła do niej z ręką wyciągniętą na powitanie. Była mniej więcej w wieku Amandy, ale wyższa i szczuplejsza, do tego piękna w sposób deprymujący dla kogoś, kto nie dorównywał jej urodą.

- Kate Murphy, asystentka dyrektora wykonawczego FBI. - Kobieta miała mocny uścisk. - Czy Aiden wprowadził panią w temat?

Faith przytłoczył ten tytuł. „Asystentka” to zupełnie coś innego niż sekretarka. Murphy stała zaledwie trzy szczeble niżej od dyrektora FBI. Nadzorowała służby gromadzące dane wywiadowcze w każdym biurze terenowym w kraju.

Faith zmięknęła kolana. Chciała myśleć, że Amanda powierzyła jej to zadanie w dowód zaufania, ale wysłanie lokaja na spotkanie z dyrektorką wysokiego szczebla było niczym pokazanie środkowego palca. - Agentko Mitchell?

Faith zebrała się w sobie. Nie pracowała dla FBI. Pracowała dla Amandy, która kazała dać im popalić.

- Moja szefowa ma dość waszych głodnych kawałków. Chce informacji.

Murphy wymieniła spojrzenia z Vanem.

„Niczego, co powiedzą, nie bierz za pewnik. Zawsze jest jakiś ukryty motyw”.

- I? - Faith znacząco zawiesiła głos.

Murphy się zawahała, potem wyjęła z aktówki teczkę, otworzyła ją i rzuciła na stół.

Adam Humphrey Carter.

Dlatego Carter miał na koncie dwa nakazy, ale nikt go nie przymknął. FBI zrobiło z niego tajnego informatora.

- Wasz informator uprowadził dwie kobiety. Jedną z nich jest agentka GBI.

- A druga specjalistką od chorób zakaźnych w CDC. - Murphy otworzyła drugą teczkę. Do pliku dokumentów wyglądających na urzędowe było przyklejone kolorowe zdjęcie.

Michelle Spivey w scenerii jakiegoś kraju Trzeciego Świata. W wojskowych kamaszach w wodzie. Z wojskowym namiotem za plecami. W mundurze moro. Na kołnierzyku miała kapitańskie belki. Faith zawsze zapominała, że CDC jest powiązane ze służbami mundurowymi poprzez marynarkę wojenną. Zaczęło jako jednostka pilnująca kwarantanny statków, by uniknąć zawleczenia chorób do portów, i rozwinęło się w centrum badawcze na rzecz zdrowia publicznego.

- To doktor Spivey w Puerto Rico po uderzeniu huraganu Maria -

oznajmiła Murphy.

A więc nie Trzeci Świat, lecz zapomniane terytorium USA.

- Co tam robiła? - zapytała Faith.

- Monitorowała sytuację na wypadek epidemii cholery i innych chorób zakaźnych występujących w następstwie katastrof naturalnych. - Murphy odsunęła dwa krzesła i zajęła jedno z nich. - Spivey jest oficerem Służby Nadzoru Epidemiologicznego, jednostki szybkiego reagowania w stałym kontakcie z centrum operacji nadzwyczajnych.

Faith opadła na krzesło i wyjęła notes. Członkowie tej służby pracowali w terenie w strefach zagrożenia. Zakres ich działań był bardzo szeroki: od powiązania plantacji sałaty z masowymi zatruciami salmonellą po powstrzymanie epidemii eboli.

- Media przedstawiają Spivey jako badaczkę, która spędza całe dnie z okiem przyklejonym do mikroskopu - powiedziała.

- Bo ona jest naukowcem, ale jest też lekarką z dyplomem z dziedziny zdrowia publicznego i doktoratem z chorób zakaźnych i wakcynologii.

- Czyli szczepienia, tak? - zapytała Faith.

- Ostatnio badała zjawisko powrotu krztuśca, inaczej napadowego kaszlu, w Stanach Zjednoczonych. Ale pracowała też nad innymi tajnymi projektami. Ma certyfikat bezpieczeństwa zerosześć. Ściśle tajne.

Faith spojrzała na pustą kartkę notesu.

- Skąd w tym wszystkim Carter?

Murphy skinęła w stronę Vana.

- Miejscowi śledczy założyli, że Spivey padła ofiarą uprowadzenia i gwałtu. W nagraniu z monitoringu dość wyraźnie widać Cartera, ale informacja o nagraniu nie poszła do mediów. Śledczy przepuścili jego wizerunek przez RISC. - Chodzi o bazę osób szczególnej uwagi. - Kiedy go zaangażowaliśmy, wprowadziłem dane biometryczne

Cartera do bazy danych na wypadek, gdyby gdzieś wypłynął.

- Na wypadek, gdyby znowu porwał i zgwałcił kobietę, jak podczas pracy w policji? - zapytała sarkastycznie Faith.

Van odpowiedział po dłuższej chwili:

- Carter dostarczał nam wielu cennych informacji o NAPie.

Faith skinęła głową, chociaż nie miała pojęcia, co to jest NAP. Dilerzy nie nazywali swoich organizacji. Byli częścią mafii rosyjskiej, japońskiej yakuzy, meksykańskiego kartelu Sinaloa. Hurley i Carter byli biali, co wykluczało gangi uliczne w rodzaju Latin Kings czy Black Disciples. Pozostawały Hells Angels, Hammerskins czy inne neonazistowskie grupy, z którymi Carter wszedł w kontakt podczas jednej z licznych odsiadek.

- Zwerbowaliście go w więzieniu? - zapytała.

Murphy znowu się zawahała. Faith nie potrafiła wyczuć, czy to element manipulacji, czy autentyczna powściągliwość.

- Wypłynął w trakcie niepowiązanego z nim śledztwa.

Faith wątpiła, czy śledztwo faktycznie nie było powiązane z Carterem. Tę kobietę otaczała aura kłamstw.

- Możemy powiedzieć tyle: początkowo było jasne, że Carter nie jest autentycznym zwolennikiem. Przyłączył się do NAPu dla czystej przyjemności bycia brutalnym sukinsynem. Wiadomo, w czym rzecz: bójki w barach, rozbijanie głów na politycznych wiecach. Kilka miesięcy temu musiałam szarpnąć smyczą, a on zaczął się przeistaczać w dobrego żołnierza. Obciął włosy, zgolił brodę i przestał pić, co było wyraźnym sygnałem ostrzegawczym. Aż wreszcie zniknął nam z pola widzenia. Wtedy różnymi kanałami zaczęły do nas docierać pogłoski o tym, że szykuje się coś spektakularnego. Cartera zobaczyłam dopiero na nagraniu.

- NAP nakazała mu porwanie Spivey - zauważyła Faith.

- Niekoniecznie - zaproponowała Murphy. - Biuro nie jest przekonane, czy NAP jest zamieszana w to porwanie. Carter to



kiepski aktor z wieloma przestępstwami na koncie.

Żarówka w głowie Faith stała się słonecznym rozbłyskiem.

To Kate Murphy była tymi „onymi”, do których nawiązywała Amanda, mówiąc o usunięciu wątku handlu żywym towarem z tego równania. Jeśli FBI kierowało wspólną operacją z GBI, to wyznaczało kryteria. I jeśli Amanda nie zagra według ich reguł, wtedy nie będzie już mowy o wspólnej operacji.

Do Faith należało przekonanie FBI, że się mylą. Michelle nie została uprowadzona dla seksu. Powód był o wiele bardziej złowieszczy.

- Mój partner już zidentyfikował Adama Humphreya Cartera jako porywacza Michelle Spivey - oznajmiła Faith, patrząc na Murphy. - Rozpoznał jego twarz, ponieważ Carter był jednym z mężczyzn, którzy uprowadzili Sarę Linton. - Gdy Murphy uniosła brwi, Faith ciągnęła dalej: - Carter należał do grupy, która przywiozła Michelle Spivey do szpitala. Bez operacji Spivey by umarła, a oni zaryzykowali wszystko, by zachować ją przy życiu. Nie narażasz się na zdemaskowanie, jeśli porywasz kobietę dla seksu. Kiedy zachoruje, kroisz ją na kawałki i chowasz do walizki albo wyrzucasz gdzieś z auta i jedziesz dalej, bo zawsze możesz porwać z ulicy inną. Zakładając, że kręcą cię czterdziestoletnie matki lesbijki.

Faith odruchowo pochyliła się do przodu jak podczas przesłuchania, redukując w ten sposób osobistą przestrzeń Kate Murphy i dając jej do zrozumienia, kto tu rządzi.

Poszła za głosem instynktu.

- Albo Michelle Spivey ma złotą cipkę, albo ma kluczowe znaczenie dla planów NAPu. O tym chodzą słuchy. Planują atak na wielką skalę i potrzebują do tego pomocy Michelle, lekarki z CDC.

Murphy odchyliła się na krześle. Spojrzała na Faith, jakby zobaczyła ją pierwszy raz, po czym oznajmiła:

- Wszystko, co mówisz, to tylko przypuszczenia. Pokaż mi konkrety,

które by ich powiązały. Daj mi dowód, jaki mogłabym przedstawić sędziemu, by zdobyć nakaz.

- Do diabła, to wy jesteście z FBI. - Faith miała nieodpartą ochotę przewrócić oczami. - Wyłamcie parę drzwi, po prostu zróbcie, co należy zrobić. Przecież Carter daje wam wszelkie możliwe powody, jakich potrzebujecie.

Van uznał, że musi wkroczyć do rozmowy:

- Nie ma drzwi do wyłamania. NAP to nomadyczna grupa, żyją w namiotach na kompletnym odludziu. Znajdujemy jeden obóz, a oni zmywają się i urządzają następny. Mają swoich ludzi u nas, u was, wszędzie. I bez urazy, ale wasza szefowa nie była zbyt pomocna.

- Georgia i Nowy Jork to jedyne stany, których konstytucje nie podporządkowują w kategoriyczny sposób grup militarnych władzy cywilnej. Ale szczerze mówiąc, administracja każdego stanu odwraca wzrok na prywatną milicję i grupy paramilitarne - dodała Murphy.

Grupy paramilitarne.

Faith czuła, jak oblewa ją zimny pot.

Tego punktu zaczepienia szukała przez cały dzień.

Martin Elias Novak, ich „więzień specjalnego znaczenia”, spędził trochę czasu z tak zwanym obywatelskim patrolem granicznym w Arizonie. Ci mężczyźni uważali, że administracja federalna robi za mało dla zabezpieczenia południowej granicy, chwycili więc za strzelby i karabiny, by wyręczyć władzę. Z tego, co wiedziała, wynikało, że większość tych mężczyzn szukała pretekstu do biwakowania, ucieczki od żon i udawania, że są ważniejsi niż w rzeczywistości, w której wiedli banalne życie jako księgowi czy sprzedawcy używanych aut. Reprezentanci groźniejszych odłamów wyznawali teorię, że obecną władzę należy obalić i przywrócić białym chrześcijańskim mężczyznom.

Najwyraźniej nie mieli dostępu do zdjęć większości amerykańskich kongresmanów, prezydenta, jego gabinetu oraz sędziów

zasiadających w sądach stanowych i federalnych.

- Na terenie USA działa obecnie około trzystu grup paramilitarnych. To nie jest problem regionalny, każdy stan się z tym boryka, ale dopóki te organizacje siedzą cicho, nie ma sensu ich drażnić. Nie chcemy kolejnego Waco albo Ruby Ridge - powiedziała Murphy.

Nie były to płonne obawy. Obie akcje skończyły się nie tylko katastrofą wizerunkową dla FBI, ale stały się bodźcem do niezliczonych aktów przemocy od zamachu w Oklahoma City po podłożenie bomb na trasie maratonu bostońskiego, a być może nawet szkolnej masakry w Columbine.

FBI zlekceważyło poufne informacje na temat zamachowca z Parkland, Larry'ego Nassara, zamachowca z klubu nocnego Pulse w Orlando, ataku w Teksasie i niezliczone przecieki w sprawie udziału Rosji w rozmaitych niecznych sprawkach. Nie mówiąc już o jednym z ich tajnych informatorów, który właśnie pomógł swoim kumpłom zdetonować dwie bomby.

Van chyba czytał jej w myślach, gdyż oświadczył:

- Te wielowątkowe śledztwa wymagają środków i cierpliwości. Mamy nadzieję, że po ostatnim wydarzeniu władze potrząsną kiesą. Novak napadał na banki nie bez powodu. Siedzą na workach z gotówką. Według naszego gaduły szykuje się coś wielkiego.

- Novak niekoniecznie ma z tym związek. - Murphy konsekwentnie łagodziła wydźwięk słów Vana. Nikt nie docierał tak wysoko w FBI bez politycznego instynktu. - W tej chwili NAPu nie można powiązać z nikim prócz Cartera. Tak, mamy gadułę, ale nie bez powodu ma tę ksywkę. To może nic nie znaczyć. W biurze nie wyciągamy pochopnych wniosków, tylko przygotowujemy solidne oskarżenia w oparciu o zaskarżalne dowody. Twój partner miał pracować pod przykrywką i zebrać dowody, ale teraz to niemożliwe, bo oni wiedzą, jak wygląda.

Faith dręczyło jedno pytanie:

- Dlaczego agent GBI ma pracować pod przykrywką, skoro to dochodzenie FBI?

Murphy znowu uniosła brwi. Była albo zaskoczona, albo pod wrażeniem przenikliwości Faith.

- Nie możemy zdobyć środków - wyjaśnił Van. - Przy obecnym klimacie w biurze przeważa pogląd, że biali mężczyźni wyznania chrześcijańskiego nie mogą być terrorystami.

- Aidenie - upomniała go Murphy.

Na co Van niecierpliwie machnął ręką i oświadczył:

- Moja babcia i prababcia przeżyły obóz koncentracyjny. Traktuję te sprawy bardzo poważnie.

Murphy wstała i nakazała:

- Proszę cię na korytarz.

Faith nie czekała, aż zamkną się za nimi drzwi, i nie próbowała podsłuchiwać, jak Murphy udziela Vanowi reprimendy, tylko zaczęła przeglądać dokumenty.

NAP.

Niewidzialna Armia Patriotów<sup>7</sup>.

Czarnobiałe zdjęcia przedstawiały grupy młodych białych mężczyzn w strojach polowych. Niektórzy maszerowali w szyku bojowym. Inni ćwiczyli musztrę na placu pośrodku obozu dla rekrutów otoczonego drutem kolczastym. Każdy z nich miał przy sobie jakąś broń, większość dwie lub trzy sztuki. W pasie kabura i pochwa na nóż, a przez ramię przewieszono AR-15.

Znalazła zdjęcie Michelle Spivey w Puerto Rico. Ta kobieta poświęciła życie, by ratować ludzi, szczepić dzieci, powstrzymać pandemię w najbardziej niegościnnych częściach świata.

Do dokumentów była przypięta jeszcze inna fotografia, selfie pokazujące Michelle z jej żoną i córką. Jedenastolatka tryskała radością i energią, w tle stała choinka, otwarte prezenty leżały na

kanapie. Michelle ze zdjęcia miała przed sobą sześć miesięcy życia, które na początku lipca miało odmienić się na zawsze. W związku z tym nasuwało się pytanie:

Czego dobrze wykształcona i zasobna organizacja paramilitarna chciała od kobiety, której specjalnością była prewencja chorób zakaźnych?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

NIEDZIELA, 4 SIERPANIA, GODZINA 14:26

Sara znowu zamknęła oczy w ciemnościach. Przy każdej nierówności na drodze czuła wibracje w całym ciele. Znajdowały się w tyle furgonetki, jaką można wynająć do przeprowadzki. Michelle i Sara zostały przykute do poręczy po przeciwległych stronach. Były zakneblowane, by nie mogły ze sobą rozmawiać ani wezwać pomocy, zupełnie jakby ich głos mógł się wzbić ponad warkot silnika i łoskot kół na drogach, którymi jechali.

Co oznaczało, że wiadomość Sary wysłana przez aplikację walkietalkie do Faith o białej furgonetce była już nieaktualna. Na zamkniętej stacji benzynowej za zjazdem z drogi dwieście osiemdziesiąt pięć czekali na nich dwaj mężczyźni, obaj umięśnieni, młodzi i z kwadratowymi szczękami. Takich widywało się na służących rekrutacji plakatach armii amerykańskiej. Jeden z mężczyzn odjechał białą furgonetką, a drugi ruszył za nim w tak bardzo nijakim, że aż trudnym do opisania aucie.

Sara wiedziała, że porzucą furgonetkę możliwie najdalej od rzeczywistego celu podróży. A fakt, że nie zadali sobie trudu, by zasłonić twarze, źle wróżył.

Wiedziała za dużo, a czego nie wiedziała, tego mogła się domyślić.

Dash ani razu nie podniósł głosu, ale jego słowa działały jak słowa generała na polu bitwy. Kiedy prowadzili ją do furgonetki, podsłuchiwała instrukcje, jakie wydawał łagodnym głosem do telefonu na kartę. Wyłapała kilka nazwisk – Wilkins, Peterson, O’Leary – zanim złamał telefon na pół i wyrzucił do lasu. Wszyscy mężczyźni, z którymi miała do czynienia od chwili wypadku, wyglądali i zachowywali się jak żołnierze. Wyprostowani, patrzący przed siebie,

zaciskający pięści. Ewidentnie tworzyli strukturę organizacyjną. Popełnili akt terroryzmu przeciwko szpitalowi.

Milicja. Wolni Ludzie Montany. Weathermen. Partyzanci. Ekoterroryści. Antifa.

Grupy nosiły różne nazwy, ale przyświecał im jeden cel: przemocą nagiąć resztę Ameryki do ich woli.

Właściwie jakie to miało znaczenie?

Świat Sary skurczył się do czterech ścian, w których została uwięziona. Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło od opuszczenia stacji benzynowej, ale wystarczająco dużo od chwili porwania, by jej myśli krążyły wokół tego samego.

Martwiła się o Willa. Martwiła się, że Cathy się nim nie zajmie. Martwiła się bólem nadgarstków od wrzynających się w skórę kajdanek. Duchota wysysała z niej płyny. Ciemność odebrała orientację w czasie i kierunku jazdy. Martwiła się o Willa.

Tylko od czasu do czasu jakąś myślą wyrywała się z tego zakłętego kręgu i martwiła się o siebie.

Wiedziała, co ją czeka.

Michelle Spivey została zgwałcona i odurzona. W ten sposób oprawcy skłonili ją do uległości. Nawet jeśli rana powstrzyma Cartera przed przemocą, pojawią się inni mu podobni, jego towarzysze broni.

Takich organizacji było wiele.

W zaduchu ciężarówki, z rękami skutymi nad głową, Sara próbowała pogodzić się z tym, co nieuchronne.

Kiedyś już to przetrwała.

Czy naprawdę?

W college' u przeżyła gwałt, ale w tej tragedii miała szczęście.

Może to dziwne, ale nie brała pod uwagę przemocy fizycznej. Ten akt był najbardziej druzgocącym momentem w jej życiu do śmierci jej męża.

Szczyście przyszło później.

Była młodą wykształconą białą kobietą. Pochodziła z porządnej rodziny z klasy średniej. W tamtym czasie miała tylko jednego partnera seksualnego, swojego chłopaka ze szkoły średniej. Wolą chodź w spodniach dresowych niż minispódnickach. Rzadko się malowała. Właściwie nie piła. W szkole średniej raz spróbowała trawki, i tylko po to, by udowodnić swojej siostrze, że nie jest sztywniarą. Większość życia spędzała z nosem w książkach i tyłkiem na krześle przy biurku.

Innymi słowy, obrońca gwałciciela nie miał zbyt wielu przesłanek, by użyć ich do zrzucenia winy na Sarę.

Do ataku doszło w kabinie damskiej toalety w Grady Hospital. Sara została skuta. Zgwałcona dopochwowo. Dźgnięta w bok ząbkowanym nożem myśliwskim. Krzyknęła „nie!” tylko raz, zanim sprawca zakleił jej usta taśmą izolacyjną. Żadne argumenty nie przemawiały za jej zgodą. Nie pamiętała szczegółów sprzed tego zdarzenia i tuż po nim – taka jest natura traumy – ale do dziś potrafiła przywołać z pamięci twarz gwałciciela.

Jasnoniebieskie oczy.

Długie włosy w strąkach.

Gęsta broda cuchnąca papierosami i smaženiną.

Lepka blada skóra.

Miała szczęście, że napastnik został uznany za winnego gwałtu. Że nie zaproponowano mu ugody w zamian za lżejszy zarzut. Że miała szansę zostać wysłuchana w sądzie. Że sędzia nie wykazał się pobłażliwością. Że jej oprawca zgwałcił też inne kobiety, nie była więc jedyną oskarżającą go o ten czyn.

Co miało o wiele większe znaczenie, niż powinno.

Miała szczęście, że po procesie rodzice zmusili ją do powrotu do domu. Rzuciła z trudem wywalczone stypendium na oddziale chirurgii neonatologicznej. Przestała płacić rachunki. Przestała



wychodzić. Przestała jeść. Przestała oddychać jak przedtem, spać jak przedtem, widzieć świat tak samo jak przedtem.

Ponieważ nic nie było już takie samo.

Kiedy wyjechała do college'u, przyrzekła sobie, że nigdy więcej nie zamieszka w hrabstwie Grant, ale odkryła, że jest mu wdzięczna za swojskość. Znała prawie wszystkich w miasteczku. Miała przy sobie matkę i siostrę, które tuliły ją, gdy dostawała ataku niekontrolowanego szloch. Ojciec spał na podłodze jej sypialni, póki nie poczuła się na tyle bezpiecznie, by zostać na noc sama.

Jednak od tamtego czasu przestała czuć się tak bezpieczna jak wcześniej.

W końcu jakoś doszła do siebie. Pozbierała rozsypane kawałki i poskładała je w całość. Znowu zaczęła chodzić na randki. Wyszła za męża. Okłamała męża, kiedy przyszło jej wyjaśnić, dlaczego nie może mieć dzieci. Nawet kiedy wreszcie powiedziała Jeffreyowi prawdę, nigdy nie drążyli tego tematu. Chociaż Jeffrey był oficerem policji, nie przechodziło mu przez gardło słowo „gwałt”. Z rzadka, gdy wypływała ta sprawa, oboje odnosili się do niej jak do „tego, co zdarzyło się w Grady”.

Opony furgonetki wpadły w koleinę.

Sara uniosła się w powietrze, potem opadła. Poczowała ostry ból w plecach i kości ogonowej. Przy nagłym szarpnięciu kajdanki otarły jej nadgarstki.

Czekała z zaciśniętymi zębami, póki droga znowu nie stała się równa.

Wzięła głęboki wdech. Płuca wypełniło ciężkie wilgotne powietrze. Zaciśnęła powieki i próbowała wrócić myślami na poprzedni tor: Will potrzebował pomocy lekarskiej. Cathy się nim nie zajmie. Nadgarstki bolały ją coraz bardziej. Była odwodniona z gorąca. Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło i gdzie są.

Will.

Cathy mu pomoże. Zmusi do pozostania w szpitalu. Będzie robić zimne okłady na czoło, ponieważ wie, że Sara go kocha.

Czy na pewno?

Will był tematem ich kłótni, niczego więcej. Nigdy nie powiedziała matce, jak bardzo go kocha. Wtedy w kuchni powinna jej powiedzieć, że nadal czuje motyle w brzuchu, gdy Will staje w drzwiach. Na lustrze w łazience szminką rysowała dla niego serduszka. Zaufała mu od pierwszej chwili ich znajomości. Do tego stopnia, że opowiedziała mu o tym, co zaszło w Grady, zanim jeszcze zostali parą.

W dzieciństwie zaznał wiele przemocy. Nie próbował uspokajać Sary, zmieniać jej zachowania albo łagodzić języka, gdy o tym rozmawiali, ponieważ nie mógł znieść prawdy. Rozumiał instynktownie, dlaczego przypadkowy hałas nadal mógł ją przerazić; dlaczego nigdy nie biega po zmroku nawet z psami; dlaczego potrafi okrążyć parking dwadzieścia razy, by znaleźć miejsce jak najbliżej drzwi; dlaczego czasami nie spuszcza wody w nocy z obawy, że szum zagłuszy kroki intruza. Właśnie to powie matce, jeśli wyjdzie cało z tej opresji... Will rozumiał, dlaczego ciągle uważała się za szczęściarę.

Gdy furgonetka zaczęła zwalniać, Sara nadstawiła uszu. Każdy odgłos z zewnątrz mógłby coś powiedzieć o ich lokalizacji.

Biegi zazgrzytały, silnik zadudnił. Sara zatoczyła się na ścianę, gdy samochód zaczął cofanie. Zapiszczały hamulce i stanęli.

Usłyszała męskie głosy. Niewyraźny pomruk. Domyśliła się, że to Dash. Potem krzyki. Chrzęst żwiru pod stopami. Nieutwardzona droga oznaczała jakiś teren na uboczu. Dość długo nie zatrzymywali się na światłach ani przed znakami stopu. Zrobiło się chłodniej. Być może znaleźli się na większej wysokości. Od jakiegoś czasu nie słyszała żadnego innego samochodu.

Gdy drzwi poszły w górę, Sara zamknęła oczy oślepiona blaskiem. Słońce. Ciągle dzień.

Spojrzała na Michelle, która siedziała naprzeciwko niej z rękami skutymi nad głową. Knebel wypadł jej z ust, ale przez całą drogę nie wypowiedziała ani słowa.

- Doktor Earnshaw. - Ręka Dasha wisiała na prawidłowo założonym temblaku. Biały brzeg bandaża wystawał zza kołnierzyka świeżego Tshirtu. Ktoś wyjął mu kulę z ramienia. Obok niego stał mężczyzna ze strzelbą. - A może powinienem zwracać się do pani per miejscowa lekarka? - Milczał przez chwilę, czekając na reakcję Sary, ale nie dała mu tej satysfakcji. - Tak panią nazywają w radiu: „Miejscowa lekarka została wzięta jako zakładniczka, kiedy śpieszyła z pomocą do szpitala”.

Sara próbowała przełknąć ślinę, ale za bardzo zaschło jej w ustach. Nie wiedziała, jakiej reakcji spodziewał się po niej Dash: Ulgi, że jej szukają? Wdzięczności za przekazanie informacji? Już wiedziała, że jej szukają. Prędzej wydlubałaby sobie oko, niż okazała temu człowiekowi jakąkolwiek wdzięczność.

- Może nie podają mojego nazwiska, bo nie chcą, byście grozili mojej rodzinie, tak jak Carter groził jedenastoletniej córce Michelle - powiedziała.

Dash pokręcił głową.

- Jestem pewien, że to były tylko wygłupy.

- Powiedział dokładnie tak... - Sara musiała odchrząknąć, by mówić dalej: - „Pod wpływem twojego gadania zaczynam się zastanawiać, jak ciasna jest cipka twojej córki”.

Dash odwrócił wzrok.

- W ustach kobiety taki język razi - skwitował.

- Spróbuj tego słuchać z bronią wycelowaną w głowę.

Dash skinął na kogoś na parkingu.

- Wyciągnij ją stąd i zaprowadź do klimatyzowanego pokoju. Upał chyba rzucił jej się na głowę.

Potężny owłosiony mężczyzna wszedł na tył ciężarówki. Miał broń

w kaburze po jednej stronie i nóż w pochwie po drugiej stronie pasa.

Wyjął z kieszeni pęk kluczy i rozpiął Sarze kajdanki.

Roztarła obolałe nadgarstki. Umysł podsuwał jej rozmaite pomysły. Mogła kopnąć włochatego w krocze. Spróbować zabrać mu broń albo nóż.

A potem co?

- Doktor Earnshaw? - odezwał się Dash tonem sugerującym, że Sara ma wybór, chociaż obecność uzbrojonych mężczyzn wykluczała próbę ucieczki.

Stała na drżących nogach i osłoniła oczy przed słońcem. Zgadywała, że jest między trzecią a piątą po południu. Za klubem ze striptizem zegarek pokazywał siedemnaście po drugiej. Godzina, może dwie w drodze. Mogli być gdziekolwiek.

Dash wyciągnął rękę, oferując jej pomoc przy zejściu.

Odmówiła. Schodząc o własnych siłach, przyjrzała się otoczeniu. Parkowali przed jednopiętrowym motelem z długą werandą ciągnącą się wzdłuż wszystkich pokoi. Budynek zaprojektowany w rustykalnym stylu przypominał chatę dla wędkarzy. Sara nie mogła się zorientować, czy motel jest nieczynny, czy pusty, tak czy inaczej na parkingu nie było ani jednego samochodu. Okolica była zdecydowanie wiejska, górzysta i zalesiona. Sara nie słyszała odgłosów ruchu drogowego. Naprzeciw motelu zobaczyła tandetny, odpychający bar. Na szyldzie widniał Piotruś Królik z kreskówki z kuflem piwa w łapce.

- Proszę tędy. - Dash wskazał jeden z pokoi.

Drzwi były już otwarte. Ściana chłodu zderzyła się z rozgrzanym powietrzem. Sara stanęła w progu, Michelle Spivey była tuż za nią. Zobaczyła plastikowy stół i krzesła. Telewizor na ścianie. Komodę. Minilodówkę. Szafkę nocną między dwoma podwójnymi łóżkami. Vale leżał na łóżku przy ścianie, Carter siedział na drugim przy oknie. Drobinki kurzu tańczyły w promieniach słońca. W pokoju wisiał

intensywny zapach mocnego płynu czyszczącego.

Vale odwrócił głowę i spojrzał na Sarę. Miał w oczach desperację. Jego klatką piersiową wstrząsał gwałtowny suchy kaszel.

Za plecami Sary ożył silnik furgonetki, spod kół wystrzelił żwir, gdy ruszyła.

Sara popatrzyła za nią. Biała, bez logo po bokach, podobna do tysięcy białych furgonetek na drogach i autostradach.

- Pani doktor? - Dash czekał, aż wejdzie do środka, by zamknąć za nią drzwi.

Towarzyszyło mu trzech mężczyzn. Dwaj byli uzbrojeni i podobni do reszty, jeden miał na sobie swobodniejszy strój, czyli koszulę z podwiniętymi rękawami i luźne krótkie bojówki wiszące na chudych biodrach. Włosy miał dłuższe niż pozostali, kilkudniowy zarost i wielki plecak przerzucony przez ramię. Nad amerykańską flagą widniał czerwony krzyż.

Polowy zestaw pierwszej pomocy.

Sara poszukała wzrokiem Michelle, która poszła w najdalszy kąt pokoju, usiadła na podłodze, opuściła głowę, otoczyła ramionami kolana i przycisnęła je do klatki piersiowej.

Czy Carter nauczył ją tak siadać, czy był to po prostu instynkt samozachowawczy?

- Doktor Earnshaw. - Dash podał Sarze butelkę wody i skinieniem głowy nakazał dwóm mężczyznom ustawić się pod drzwiami na zewnątrz, natomiast ten w swobodnym stroju położył plecak na stole.

- Mój przyjaciel Beau z przyjemnością pani pomoże.

Sara nie mogła wydobyć głosu. Monotonia jazdy furgonetką stłumiła przerażenie, które teraz wróciło w zwielokrotnionej postaci. Znalazła się w obskurnym motelu osaczona przez mężczyzn nabuzowanych testosteronem. Michelle postąpiła słusznie, kuląc się w kącie.

Beau otworzył polową apteczkę i zaczął wyjmować zestaw do

kroplówki. W tylnej przegródce leżała torebka soli fizjologicznej. Beau miał wyposażenie wystarczające do przeprowadzenia lżejszej operacji.

Obserwowała ruchy jego rąk. Były pewne i szybkie, wyraźnie wiedział, co robi. Co ważniejsze, będzie wiedział, co robi Sara. Tym sposobem straciła możliwość natychmiastowego zamordowania Vale'a i Cartera albo uśmiercenia ich w wyniku zaniedbania.

- Cholera, stary - powiedział Carter. - Podepnij mnie wreszcie pod to. Jaja mnie palą.

Beau zignorował te prośbę. Otworzył kroplówkę i było oczywiste, że robił to już tysiące razy. Sara przypuszczała, że to on wyjął kulę z ramienia Dasha.

- Bracie, chodź do mnie - nalegał Carter.

- Najpierw stan poważny - odparł Beau.

- Ja jestem w poważnym stanie. Mam nóż o centymetr od klejnotów. Beau zerknął na ranę Cartera.

- Za mocno go przywiązałeś, bracie. Nie naprawisz waginy, powiększając otwór.

Dash zachichotał, ale szybko powiedział:

- Lepiej wstrzymajmy się ze sprośnymi rozmowami w obecności pań. - Sięgnął po pilota i włączył telewizor.

Sara wlepiła wzrok w ekran. Helikopter stacji telewizyjnej latał nad miejscem wybuchu bomby. Piekące łzy wezbrały jej pod powiekami. Z trudem rozpoznała kampus i teren szpitala. Spędziła tam siedem lat życia, szkoląc się, pomagając ludziom i starając się być dobrym lekarzem.

- Dobrze. - Dash zwiększył głośność.

Na podwyższeniu stała kobieta w mundurze policyjnym. Na pasku widniała informacja, że konferencja prasowa została nagrana wcześniej. - ...wszystkie służby poszukują uprowadzonej kobiety... - To pani - powiedział Dash. - Miejscowa lekarka.

Sara puściła mimo uszu jego uwagę, wsłuchując się w komunikat policjantki:

- Mogę potwierdzić, że zostały podłożone dwie bomby nastawione na około...

Dash ściszył głos.

Sara powędrowała spojrzeniem w dół ekranu, gdzie przewijał się pasek z informacjami:

*Osiemnaście potwierdzonych ofiar śmiertelnych. Czterdziestu jeden rannych. Wśród zabitych jest dwóch policjantów z hrabstwa DeKalb, zastępczyni szeryfa hrabstwa Fulton i dwóch strażników.*

- Jaki przystojny diabeł - zauważył Dash.

Policja udostępniła nagranie ze szpitalnego monitoringu. Pokazano kilka różnych ujęć Dasha, ale nawet Sara, która spędziła z nim kilka ostatnich godzin, nie rozpoznała w nim mężczyzny z ekranu. Konsekwentnie trzymał głowę nisko, a kapelusz miał nasunięty na czoło. Carter nie był tak ostrożny, ale miał szczęście, bo zbliżenie jego twarzy okazało się niewyraźne. Trzeci zestaw zdjęć przedstawiał Hurleya ciągnącego Michelle po schodach w dół.

- Spoczywaj w pokoju, bracie - mruknął Dash.

Sara się nie ruszała. Dash nadal myślał, że Hurley nie żyje. Carter i Vale utwierdzili go w tym przekonaniu, kłamiąc o tym, co nastąpiło po wypadku. Nie ukrywa się informacji przed szefem, chyba że człowiek wie, jak wściekłyby się szef, gdyby poznał prawdę. Nie mieli poczucia winy, że porzucili jednego ze swoich braci. Bali się, że Dash ich ukarze za pozostawienie świadka.

W oczywisty sposób nasuwało się pytanie, jak mogłaby wykorzystać tę informację przeciwko nim?

- Doktor Earnshaw? - Beau czekał na nią ze stetoskopem w dłoni.

Sara oderwała wzrok od telewizora. Zdążyła jeszcze zobaczyć na pasku komunikat:

*Rannych dwóch strażaków i trzech policjantów z ATL. Wśród*

*zabitych są dwaj policjanci z hrabstwa DeKalb, zastępczyni szeryfa z Fulton i dwaj strażnicy.*

Podali dokładne dane, a Will służył jako agent specjalny. Czy powinna wziąć to za dobry znak, że nie pojawił się na liście rannych?

- Nie mam zestawu do drenażu opłucnej - oznajmił Beau.

Sara popiła wodę z butelki. Musiała skupić się na zadaniu. Na studiach medycznych wbili jej do głowy, że uroczysta przysięga składana przed rozpoczęciem praktyki zobowiązuje do leczenia każdego potrzebującego pomocy. Politykę i osobiste przekonania odkłada się na bok. Naprawia się ciało, nie pacjenta.

Najwyższym wysiłkiem starała się odszukać w sobie tamtą młodą entuzjastyczną studentkę, która gorąco wierzyła, że to możliwe.

Podawała butelkę Dashowi.

- Potrzebuję trzech takich butelek, srebrną taśmę izolacyjną i rurki. Muszę zrobić zastawkę wodną, więc korek byłby lepszy. Dwie pozostałe butelki będą regulować ciśnienie i zbierać krew. Jeśli macie wiertarkę, końcówka musi mieć nieco mniejszą średnicę niż rurki.

Dash otworzył drzwi i przekazał prośbę Sary jednemu z mężczyzn.

Sara złapała spojrzenie Michelle. Ponieważ pracowała w CDC, w najgorszym wypadku miała wykształcenie weterynaryjne, mogła też skończyć medycynę.

- Nie ruszaj się - powiedział Beau do Vale'a, rozcinając nożyczkami koszulę.

Pierś Vale'a falowała. Kiedy Sara podeszła do łóżka, był spanikowany, a suchy kaszel wstrząsnął całym ciałem.

Sara włożyła nitrylowe rękawiczki. Zawiesiła na szyi słuchawki. Znalazła w apteczce okulary ochronne i maseczkę chirurgiczną.

- Jeśli masz midazolam, podaj dwa miligramy, potem jeden miligram co pięć minut, jeśli będzie taka konieczność - zwróciła się do Beau.



- To nie spowolni jego oddechu?

- Może spowolnić, ale nic nie zrobię, jak będzie się ruszał.

- Na wszelki wypadek będę miał adrenalinę pod ręką. - Beau podszedł do apteczki na stole. Prócz midazolamu miał opakowania z ampułkostrzykawkami. Sara rozpoznała charakterystyczną dziesiątkę w bordowym kwadraciku. Pięć pojedynczych dawek o objętości dziesięciu miligramów morfiny.

Mogła użyć ich do unieszkodliwienia mężczyzn w pokoju.

Mogła użyć ich na sobie.

- Midazolam podany - oznajmił Beau.

Sara oderwała myśli od obiecujących możliwości morfiny i uklękła na podłodze obok Vale'a.

Obok ciała.

Zobaczyła kolejny efekt działania Beau. Rana postrzałowa została zaklejona opatrunkiem okluzyjnym Halo Chest Seal, samoprzylepną wersją przezroczystej folii. Dobrze, chociaż opatrunek wentylowy Russell Chest Seal, który widziała w polowej apteczce, byłby lepszy.

Beau coś umiał, ale nie wiedział wszystkiego.

Zbadała żebra pacjenta, wyczuwając pod palcami ostre brzegi kości. Czyli złamanie z przemieszczeniem. Licząc od brodawki sutkowej, kula przeszła między siódmym a ósmym żebrem. Skóra była napięta. Jama opłucnej napełniła się powietrzem. Sara przyłożyła stetoskop do klatki piersiowej. Po prawej stronie brakowało odgłosu oddechów. W klatce piersiowej był słyszalny pogłos. Żyła szyjna była patologicznie rozszerzona.

Vale zakasłał, krzywiąc się z bólu.

Sara spojrzała na Beau. Kontrolował ciśnienie krwi Vale'a. Strzykawka z adrenaliną leżała obok na wszelki wypadek.

Ponownie osłuchiwała Vale'a, wędrując stetoskopem po klatce piersiowej. Sprawdziła odgłos jelit. Dokładnie zbadała palpacyjnie brzuch, macała miejsce koło miejsca. Te czynności były niepotrzebne,

ale chciała zyskać trochę czasu na obejrzenie brzegu wyłożonej na spodnie koszuli Beau. Poniżej ostatniego guzika zobaczyła rozdarcie w kształcie półksiężyca.

Nie tylko rozdarcie. Powtarzalne ślady, według których identyfikowała NN w kostnicy. Cieśle mieli drobne karby na przednich zębach od trzymania gwoździ w ustach. Magazynierzy świetnie rozwinięte łydki bez względu na obwód w pasie. Kierowcy ciężarówek UPS odciski na palcach serdecznych, ponieważ na nich zawieszali kluczyki, kiedy wysiadali z samochodów.

A barmani często używali brzegów koszul do otwierania butelek.

To nie był przypadkowy motel czy chata dla wędkarzy. Zajechali tu dla Beau. Pewnie pracował w barze po drugiej stronie ulicy.

Zakończyła pozorowaną część badania.

- Odma wentylowa - rzuciła do Beau.

Skinął głową raz, ale widać było po nim, że jest świadom innych problemów. Objawy zapadniętego płuca były najbardziej widocznym znakiem obrażeń, ale w klatce piersiowej Vale'a tkwiła kula. Sądząc po złamanych żebrach, odbiła się w środku rykoszetem, zanim utknęła na dobre. Przy ranach w obrębie klatki piersiowej serce było zawsze głównym zmartwieniem, ale prawdę mówiąc, obawy budził cały ten obszar ciała, czyli nerwy, tętnice, żyły i płuca.

Sara nie była kardiochirurgiem. Mogła przynieść ulgę, lecz Vale potrzebował kogoś o wyższych kwalifikacjach, kto poza umiejętnościami dysponował na tyle zaawansowanym sprzętem, by naprawić uszkodzenia ciała.

Beau musiał o tym wiedzieć. Mimo to podał Sarze cewnik dożylny z zestawu do transfuzji.

Sara wyznaczyła środek obojczyka, a gdy Beau przemył miejsce środkiem odkażającym, włożyła cewnik pionowo w skórę tuż pod obojczykiem.

Syk powietrza uchodzącego przez rurkę przypomniał dźwięk

wydawany przez flaczejący balon.

Pierś Vale'a uniosła się wyraźnie. Vale zrobił gwałtowny wdech, otworzył oczy i zamrugął.

Wszyscy w pokoju zdawali się oddychać lżej wraz z nim.

- Dobra, teraz moja kolej - powiedział Carter.

Sara zerknęła na Beau w oczekiwaniu na jego reakcję. Musiała sobie przypomnieć, że facet nie jest jej niańką. Był złym człowiekiem.

Z własnej woli opatrywał innych złych ludzi.

Zwróciła się do Dasha:

- Mogę poprawić Vale'owi samopoczucie, ale operacja wykracza poza moje umiejętności.

Dash potarł palcami brodę.

Musiała odwrócić wzrok. Will robił to samo, gdy martwił się albo denerwował.

- Pani doktor mówi prawdę - potwierdził Beau. - Jeśli nie zabierzesz go do szpitala, dren tylko opóźni to co nieuniknione.

- On umrze? - zapytał Dash.

- Jezu! - Głos Cartera oscyłował między agresją a błaganiem. - Czemu tracisz na niego czas, skoro zaraz stracę mosznę?

Dash namyślał się, pocierając brodę, wreszcie polecił:

- Dobrze. Wyciągnij mu nóż z nogi.

Beau wrócił do apteczki.

Sara walczyła z odrazą. Leczenie Vale'a było czymś zupełnie innym. Był przerażony, na przemian tracił przytomność i ją odzyskiwał. Pacjent w stanie krytycznym. Ale za każdym razem, gdy Carter otwierał usta - groził gwałtem córce Michelle albo mówił Sarze, jak uwolni ją od złego nastawienia - przypominała sobie, jak go nienawidzi.

Beau już rozcinał dzinsy Cartera. Szedł wyżej i wyżej, aż odsłonił nagą dolną połowę ciała.

Carter posłał Sarze szyderczy uśmiezek. Nie odezwał się, ale

wiedziała, o czym myśli.

Zignorowała go.

Will zrobił z niego Kena, mężką Barbie.

- Jaki jest plan? - zapytał Beau.

- Jeśli mam to zrobić, musisz go uśpić.

- Mogę go zgłuszyć. - Beau wprowadził dawkę midazolamu do strzykawki. Nie zwracał sobie głowy solą fizjologiczną. Wbił igłę w ramię Cartera z taką siłą, że plastikowa rurka uderzyła o skórę.

Zatem Beau też nie był fanem Cartera.

Na minilodówce przy łóżku zaczął układać rzeczy potrzebne do zabiegu. Zaciski, skalpele, gazę, kleszcze.

- Niech... ta... suka... - Lek zaczął działać i mowa Cartera spowolniła. Broda opadła mu na piersi. Rozdziawił usta. Zmrużył oczy, próbując śledzić ruchy Sary i Beau.

Sara zmieniła rękawiczki. W myślach starała się oddzielić Cartera szumowinę od pacjenta z nożem w nodze. Przyjrzała się pozycji ostrza. Przywołała na pamięć swoją wiedzę o anatomii trójkąta udowego. Nerw, tętnica, żyła, kanał udowy i naczynia limfatyczne.

Beau obciął sznurowadło, zostawiając kawałek przy nożu. Palcem przytrzymał go w miejscu.

Oboje widzieli pulsowanie rękoności.

Albo ostrze zmieniło położenie, albo Carter miał przez cały czas szczęście, ponieważ w jego tętnicy udowej był otwór. Z każdym uderzeniem serca na zewnątrz wylatywała natleniona krew. W efekcie wyglądało to jak wąż wysokociśnieniowy. Przed wykrwawieniem się ratował Cartera tylko bok ostrza zatykający dziurę.

- Nie jestem chirurgiem naczyniowym - stwierdziła Sara.

- Rozumiem - odparł Beau.

- Mogę zrobić nacięcie, a ty będziesz trzymać nóż w jednej pozycji. Spróbuję założyć zacisk i zatamować krwawienie. Nie mamy ssaka.

Będę szukać po omacku.

- Rozumiem - powtórzył Beau, podając jej skalpel.

Zaczynali operację.

Sarę nadzwyczaj mocno ekscytowała perspektywa zanurzenia skalpela w ciele tego człowieka. Operacja to zły czas na introspekcję; to moment czystej arogancji. Jeśli zrobi to za wolno i jeśli pojawi się za wiele krwi, uniemożliwiając założenie zacisku, Carter umrze w ciągu minuty. Vale był już prawie martwy. Jeśli umrą obaj, przestanie być potrzebna.

Albo - co gorsza - znajdą dla niej inne przeznaczenie.

- Pani doktor? - Beau wytrącił ją z zadumy.

Wstrzymała powietrze, po czym powoli wypuściła je przez usta.

- To musi nastąpić szybko. Musisz zatkać ranę gazą, gdy zacznę.

Możesz trzymać otwarty zacisk?

Beau kiwnął głową, ale dodał:

- Potrzebna nam trzecia para rąk.

Sara czuła na plecach palące spojrzenie Michelle. Prawdopodobnie od lat nikogo nie operowała, jeśli w ogóle kiedykolwiek to robiła, ale mogłaby przytrzymać nóż, by nie zmienił położenia.

- Dysponuję tylko jedną ręką. - Dash wskazał temblak.

- Kuh...wa - wymamrotał półprzytomny Carter. - Ona nie... tknie...

Mówił o Michelle.

- Wychodzi na to, że nie masz wyboru - zauważył Dash.

Sara nie wiedziała, czy Dash zwraca się do Cartera, czy do Michelle, ale w ostatecznym rachunku to i tak nie miało znaczenia. Michelle powoli dźwignęła się w podłogi. Ciągle miała spuszczone głowę i wzrok wbity w ziemię.

W ostatniej chwili Sara zauważyła, że zaciska pięści.

To, co nastąpiło potem, było z pewnością zaplanowane. Może Michelle myślała o tym w trakcie wypadku, może kiedy wchodziła do tego obskurnego pokoju, a może robiła to w wyobraźni przez ostatnie

cztery tygodnie. Jednak KIEDY nie miało znaczenia. Natomiast JAK okazało się spektakularne.

Michelle odczekała, aż znajdzie się przy łóżku. Wybiła się w górę, opadła okrakiem na Carterze, wyrwała mu nóż z nogi i zaczęła go dźgać.

Raz, drugi, trzeci.

Ostrze wydawało z siebie taki sam dźwięk przy każdym przebiciu skóry

Nie wykonała ani jednego fałszywego ruchu. Atak był perfekcyjnym uosobieniem głębokiej znajomości ludzkiej anatomii.

Żyła szyjna. Tchawica. Tętnice pachowe. Serce. Płuca. Wreszcie wydała z siebie pierwotny okrzyk i zadała ostateczny cios w wątrobę.

A potem osunęła się bezwładnie.

Beau wstrzyknął jej resztkę midazolamu.

Echo krzyku Michelle brzmiało jeszcze w ścianach pokoju. Nikt się nie ruszał. Oddech Vale'a zestroił się z rytmem pulsowania krwi tryskającej z tętnicy szyjnej Cartera.

Powolnym ruchem Sara zdjęła zakrwawione okulary ochronne. Na twarzy i włosach miała rozbryzgi krwi.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi pokoju. Dwaj strażnicy stanęli w progu z bronią gotową do strzału.

Dash uniósł rękę.

- Spokojnie, chłopcy. Potrzebujemy jej żywej.

Mężczyźni nie ruszyli się z miejsca. Nie wiedzieli, co robić.

Sara wytarła twarz. Starła krew z czoła. Cały pokój nosił krwawe ślady jatki, od łóżek po wiszący telewizor.

Nawet w obliczu śmierci Carter był nie do zniesienia. Trzymał się jeszcze przez dwadzieścia sekund, w gardle mu bulgotało, czerwone bąbelki tańczyły na jego siniejących ustach, wpatrywał się jak zahipnotyzowany w nóż wystający z brzucha. Stracił kontrolę nad pęcherzem i zalał moczem spodnie. Dłonie i palce kurczyły się

i drgały. Strużka krwi popłynęła z otwartych ust. Impet krwi tryskającej z tętnicy szyjnej osłabł. Ciekła strużką jak w ogrodowym zraszaczu, w którym nagle spadło ciśnienie. Ostatni oddech wziął w stanie najwyższego przerażenia.

W każdej sekundzie poprzedzającej śmierć dobrze wiedział, co nadchodzi.

Sara położyła dłoń na piersi. Serce jej trzepotało jak ptak w klatce. Była uszczęśliwiona jego cierpieniem.

- Cóż. - Dash wszedł do łazienki.

Po chwili wyszedł z niej, wycierając twarz ręcznikiem. Drugi ręcznik rzucił Sarze. Złapała go w powietrzu. Dash spojrzał na Michelle. Nieprzytomna leżała między nogami Cartera.

Sara spodziewała się, że nadnaturalny spokój Dasha w końcu go opuści, ale się przeliczyła.

- Ciekawe, dlaczego to zrobiła? - powiedział tylko.

Przyłożyła czysty ręcznik do twarzy i potrząsnęła głową.

- Panowie, uprzątnijcie pokój - wydał polecenie.

Słyszała, jak podnoszą Michelle z łóżka.

- Umieśćcie ją w sąsiednim pokoju. Skujcie ją. Nie chcemy więcej takiego zamętu.

Zamętu?

Sara wytarła twarz. Ramiona Michelle opadły na boki, gdy mężczyźni wynosili ją za drzwi. Miała zamknięte oczy. Z jej twarzy Sara wyczytała spokój.

- Doktor Earnshaw? Może mnie pani oświeci?

Sara obrzuciła go baczny spojrzeniem. Naprawdę nie wiedział, że Carter zgwałcił Michelle?

- On... - zaczęła.

Poczuła na ramieniu dłoń Vale'a. Scena nagłej przemocy wytrąciła go ze stanu przymulenia środkiem do zwiotczania mięśni. Otworzył oczy, w których czał się strach.

Dash odczekał chwilę.

- Doktor Earnshaw? - ponaglił Sarę.

Sara strząsnęła z siebie rękę Vale'a.

- Zgwałcił ją, i to wielokrotnie. Groził, że zgwałci mnie.

Dash zacisnął szczęki. Wyraz jego twarzy zaczął się zmieniać. Sara obserwowała powolne przejście od przyjacielskiej miny po wściekłość.

Spojrzał na Vale'e, nie na nią, i zapytał:

- To prawda?

Vale potrząsnął gwałtownie głową.

- Czy to prawda, żołnierzu?

Vale nie przestawał potrząsać głową.

Dash odwrócił się od niego i potarł brodę palcami.

Po chwili okręcił się na pięcie do Vale'a i strzelił mu dwukrotnie w pierś.

Sara podskoczyła z wrażenia. Była na tyle blisko, że czuła ciepło kul przelatujących obok jej twarzy.

Dash włożył broń do kabury.

- Mam nadzieję, pani doktor, że nie uważa nas pani za zwierzęta, które wykorzystują gwałt jako narzędzie wojenne.

Sara milczała. Zdetonowali bomby w szpitalu i uprowadzili dwie kobiety. Udawanie, że jest się ponad taką drobnostką jak gwałt, było śmiechu warte.

Beau złapał rękojeść sprężynowego noża Willa, wyciągnął go z brzucha Cartera i wytarł ostrze bawełnianą gazą. Złożył nóż i wsunął go do kieszeni, potem zaczął pakować apteczkę. Zużyte rzeczy położył na stole. Wyjął kartkę i zaczął robić inwentaryzację.

A może chciał się upewnić, że Sara niczego nie zabrała.

Dash obszukał kieszenie Vale'a. Znalazł trochę gotówki, ale nic więcej. To samo zrobił z Carterem. Tym razem znalazł telefon komórkowy. Nie zwykły, lecz iPhone.



Ekran był popękany.

- Co za pech. - Dash podszedł do drzwi. - Masz komórkę? - zapytał wartownika.

- Nie, oczywiście, że nie. Żaden z nas nie ma. Rozkaz był wyraźny. Zostawiliśmy wszystko, co możliwe do zidentyfikowania, w Obozie. W Obozie?

- Dziękuję. - Dash zamknął drzwi i usiadł na łóżku obok Cartera. Jedną ręką spróbował przyłożyć jego palec do przycisku uruchamiającego telefon.

- Nie działa, kiedy człowiek jest martwy - wyjaśnił Beau. - Potrzebny jest sygnał elektryczny w skórze, by aktywować telefon. To znaczy, że serce musi bić.

- Naprawdę? - Dash wziął telefon do ręki. Wpatrywał się w niego, jakby chciał przeświecić wzrokiem jego zawartość. - Nie chcemy używać żadnych twoich urządzeń, prawda?

- Nie, nie chcemy. - Ton Beau wskazywał, że wyraża swoje stanowisko.

Może więc nie był tak powiązany z grupą jak inni? Były rekrut? Wynajęty morderca? Medyk, który liczył sobie za usługę w zależności od rodzaju obrażenia?

Dash rzucił telefon Cartera na stolik przy łóżku. Znowu potarł brodę i odwrócił się do Sary.

- Pani doktor, proszę o uwagę. - Wskazał przednią i tylną część pokoju. - Oba wyjścia są zablokowane. Mogę panią przykuć do łóżka albo może mi pani uwierzyć na słowo.

Sara głośno przełknęła ślinę.

- Wierzę panu.

Dash wyszedł, ale napięcie nie opuściło czterech ścian pokoju.

Beau był zły. Szarpnął zamki apteczki. Zużyte rzeczy ułożył w stos: zakrwawioną gazę, nożyczki, nawet butelki. Wacikiem nasączonym alkoholem starannie wytarł apteczkę. Sara przygryzła wargi, by

powstrzymać uśmiech. Krew Cartera zostanie w szwach, w ząbkach zamka błyskawicznego. Wiąż z tą grupą - jakkolwiek miała charakter - uwikła Beau w sprawę podwójnego zabójstwa.

Spojrzała na telewizor i siłą woli zapanowała nad drżeniem warg. Zaczęła czytać tekst na pasku u dołu ekranu:

*...dwaj policjanci z hrabstwa DeKalb, zastępczyni szeryfa z Fulton, dwaj ochroniarze wśród ofiar śmiertelnych... Oficjalny komunikat: GBI wydeleguje agentów ATL w służbie czynnej do pomocy funkcjonariuszom miejscowych i stanowych organów ścigania...*

Zasłoniła dłonią usta. Serce jej załomotało. Oczy podążyły za tekstem, zanim zniknął z ekranu:

*...wydeleguje agentów ATL w służbie czynnej do pomocy funkcjonariuszom miejscowych i stanowych organów ścigania...*

Patrzyła w telewizor mimo przerwy reklamowej. Starła się przeanalizować na chłodno fakty. Za treść komunikatu do mediów odpowiadała Amanda. Czy wyczytała zbyt wiele z tego oficjalnego języka? Czy tak desperacko czekała na wieści, że na siłę doszukiwała się drugiego dna?

„Wydeleguje czynnych agentów. ATL. Pomoc miejscowym i stanowym organom ścigania”.

Łzy napłynęły jej do oczu. Gorąco chciała wierzyć, że Amanda napisała ten komunikat specjalnie dla niej, ponieważ jego ukryte znaczenie przyniosło jej otuchę.

Will był agentem specjalnym w służbie czynnej.

ATL to powszechnie używany skrót od Atlanty, ale w policyjnym slangu rozwinięcie tego skrótu brzmiało:

Attempt to Locate.

Próba zlokalizowania.

Will był cały. Szukał jej wraz z miejscowymi i stanowymi organami ścigania.

- Dash jest podejrzliwy - odezwał się Beau, a gdy Sara otarła łzy,

dodał: – W informacjach nie ma nic o Michelle. Ciągłe tylko gadają o zaginionej miejscowej lekarce.

Sara musiała wziąć się w garść. Znała zasady. GBI nie ujawniało nazwisk.

– Mówisz „zaginiona”, jakbym wyszła z domu i nie wróciła. Zostałam uprowadzona. Michelle została uprowadzona. Obie zostałyśmy porwane. Jesteśmy przetrzymywane wbrew naszej woli i zmuszane do robienia rzeczy, których nie chcemy robić.

Beau zacisnął szczęki.

– To budzi jego podejrzenia. Tylko tyle chciałem powiedzieć.

– Twoi przyjaciele spowodowali eksplozję dwóch bomb w kampusie uniwersyteckim. Osiemnaście osób nie żyje, około pięćdziesięciu odniosło rany. Zamordowali troje policjantów i dwóch ochroniarzy. Ta polowa apteczka i twoje umiejętności mówią mi, że jesteś byłym wojskowym, ale pomagasz grupie seryjnych morderców. Tylko tyle chciałam powiedzieć.

Beau ze złością wrzucił śmieci do plastikowego worka.

Sara śledziła przewijający się pasek. Chciała znowu zobaczyć tę informację, potwierdzenie, że z Willem wszystko w porządku. Że przeżył. Że jej szuka.

Czas był podany w prawym dolnym rogu.

Godzina 16:52.

Ponad dwie i pół godziny, odkąd wysłała Faith tę bezużyteczną wiadomość.

Trzy godziny, odkąd przyciskała wargi do warg Willa w szopie.

– Nie zgrywaj głupiej, dobrze? Dash jest uprzejmy do czasu, a kiedy przestaje być uprzejmy, nie będziesz chciała tego oglądać.

Sara nie odrywała wzroku od telewizora. Napis się powtórzył:

*Oficjalny komunikat: GBI wydeleguje agentów ATL w służbie czynnej do pomocy funkcjonariuszom miejscowych i stanowych organów ścigania...*

Beau w końcu wyszedł, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.

Sara wstała i podeszła do okna od frontu. Zasłony były zaciągnięte.

Widziała wielki cień stojącego pod drzwiami wartownika.

Nasłuchiwała, wstrzymując oddech. Wyłapała przytłumiony głos Dasha, który rozmawiał z Beau. Byli blisko, ale nie za blisko.

Opadła na kolana i pochyliła głowę. Z szafki nocnej wzięła iPhone'a Cartera.

Beau miał rację, że identyfikacja przez odcisk palca wymaga impulsu elektrycznego. Ciało ludzkie jest zasadniczo kondensatorem elektrycznym. Protony naładowane dodatnio i elektrony naładowane ujemnie warunkują zdolność przewodzenia energii elektrycznej przez ciało, tworząc coś w rodzaju baterii. Dlatego kiedy przeciągnie się wełniane skarpetki po dywanie, a potem dotknie innej osoby, czuje się lekkie kopnięcie. Prąd o niskim napięciu w ciele był tym, co aktywowało czytnik linii papilarnych w starszych modelach iPhone'ów.

Po śmierci ten prąd zniknął, lecz nie tak szybko, jak sądził Beau. Skóra wysychała w ciągu około dwóch godzin. Odwodnienie było prawdziwą przyczyną, dla której Beau nie zdołał uruchomić telefonu palcem Cartera.

W przeciwieństwie do Vale'a nie dostał kroplówki z solą fizjologiczną. Skwar i uraz sprawiły, że pocił się w ciągu tych paru godzin. Odwodnienie spowodowało spłaszczenie linii papilarnych. Czytnik wykrywał impuls elektryczny, ale nie rozpoznawał odcisków.

Sara uniosła rękę Cartera.

Wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

Włożyła jego palec wskazujący do ust.

Opanowała odruch wymiotny, trzymając zaciśnięte usta. Musiała wytworzyć tyle śliny, by wystarczyło do nawodnienia skóry.

Zapalenie wątroby typu B. Zapalenie wątroby typu C. HIV.

Nie wiadomo, jakie choroby przynosił ten człowiek.

Trzymała jego palec w ustach, ssąc go, by przesunąć ślinę dookoła. Wędrowała spojrzeniem od drzwi do zegara w telewizorze i z powrotem, oczekując minutę.

Ręce jej drżały, gdy wcisnęła palcem Cartera przycisk START.

Ekran był popękany. Carter mógł zaprogramować uruchamianie telefonu kciukiem lub innym palcem niż wskazujący. W drzwiach mógł stanąć Dash i na widok Sary z iPhone'em Cartera mógł strzelić jej dwa razy w pierś jak Vale'owi.

Nic takiego się nie stało.

Ekran się otworzył.

Sara nie miała czasu na celebrację. Stuknęła palcem w ikonkę telefonu. Nic. Rysa zaczynała się w dole ekranu i biegła ku górze. Ekran nie zareagował na jej dotyk. Wybrała ikonkę wiadomości. Na ekranie pojawiła się klawiatura. Rysa uniemożliwiła wybranie większości liter.

Z trudem zdołała wprowadzić numer telefonu Willa.

Nigdy nie pisała do niego słowami. Wysyłała mu pliki dźwiękowe albo emotikony, by oszczędzić mu kłopotów z odczytywaniem wiadomości.

Nacisnęła ikonkę mikrofonu. Otworzyła usta, by zacząć mówić, ale z gardła wydostał się tylko szloch.

Will...

Nacisnęła przycisk WYŚLIJ. Miała wrażenie, że ma w piersi metronom, tak jej waliło serce w oczekiwaniu na komunikat, że plik poszedł do odbiorcy.

Ponownie wybrała ikonkę mikrofonu. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale co?

Nazwa baru po drugiej stronie ulicy. Beau. Dash. Carter. Vale. Furgonetka dostawcy. Że ci ludzie to zorganizowana grupa. Że kocha Willa. Że tęskni za nim. I wie, że on już jej szuka.

Zacząła mówić, ale gałka w drzwiach się przekręciła.

Dash otworzył drzwi. Nadal stał plecami do niej.

Ciągle rozmawiał z Beau.

- Dobrze, synu, jestem pewien, że nam się uda.

Sara wyłączyła telefon i rzuciła go na stolik obok łóżka, zanim Dash odwrócił się do niej.

Wstała. Wygładziła szorty. Niedawno chciała przenieść na nie DNA Cartera, ale teraz była prawie skąpana w jego krwi.

- Powiedział pan, że wrócę do rodziny, kiedy wam pomogę.

- Rzeczywiście, właśnie tak powiedziałem. - Patrzył w telewizor. Akurat pokazywali ujęcia zniszczonego wybuchem parkingu z powietrza. - Czym się zajmuje pani mąż?

Sarze przyszło do głowy, że prawda może zadziałać na jej korzyść.

- Jestem wdową. Mój mąż był policjantem. Zginął na służbie.

- Bardzo mi przykro z powodu tej straty. W dzisiejszych czasach ulice to bardzo niebezpieczne miejsca. - Dash spojrzał na nią uważnie, ciągle pełen podejrzeń. - Proszę mi powiedzieć, pani pediatro, czy zetknęła się pani z odrą?

Sara poczuła, że potrząsa głową, ale tylko po to, by zyskać trochę czasu na doszukanie się w tym pytaniu ukrytego sensu.

- Tak - odpowiedziała.

- To dobrze, bo w naszym Obozie mamy problem z odrą. Wybuch epidemii, jak wy to nazywacie. Jeśli jest pani otwarta na współpracę, to są u nas bardzo chore dzieci, którym przydałaby się pani pomoc.

Odra?

Czy dlatego uprowadzili Michelle Spivey? Uznali, że potrzebują specjalistki od chorób zakaźnych, by poradzić sobie z epidemią odry?

- Doktor Earnshaw? - ponaglił Dash.

- Pyta pan, jakbym miała wybór.

- Wszyscy mamy wybór, pani doktor. Czasem mamy dobre opcje, a czasem złe. Ale sytuacja braku wyboru nie istnieje.

- Muszę iść do łazienki.

- Czy pusty pęcherz pomoże pani w podjęciu decyzji?

Sara nie odpowiedziała, a jednocześnie nie śmiała wyjść bez jego pozwolenia.

Dash sięgnął po telefon Cartera, rzucił go na podłogę i zmiażdżył butem. Potem schylił się i palcami rozgarnął resztki. Znalazł kartę SIM i baterię. Pierwsza zawierała wszystkie informacje zgromadzone w telefonie. Druga wysyłała sygnał pozwalający na lokalizację telefonu.

Sara zacisnęła usta. Widziała wysyłąną wiadomość, mały niebieski pasek przemknął po ekranie. Metadata będzie zawierać czas i lokalizację.

Tylko czy na pewno?

Dash schował do kieszeni resztki telefonu.

- Ten pokój będzie gruntownie sprzątnięty do jutra rana, a ciała zostaną usunięte. Nawet nie będzie pani wiedziała, że tu byliśmy.

Sara wiedziała, że Dash nie blefuje. Beau był bardzo dokładny. Przeliczył nawet warstwy gazy, by wpisać te dane do karty kontrolnej.

- Pani pediatro, czekam na odpowiedź. - Dash poprawił temblak.

- Czy mogę liczyć na pani pomoc w leczeniu naszych maluchów?

- Jeśli z panem wyjdę, nigdy więcej nie zobaczę swojej rodziny.

- Wszystko jest do ustalenia.- To, co Carter zrobił Michelle... - Pani się to nie przytrafi.

Wierzyć na słowo temu potworowi było czystą głupotą.

Mimo to odparła:

- Dobrze, zgadzam się.

Dash skinął głową w stronę drzwi łazienki, czyli otrzymała zgodę.

Mijając go, zacisnęła pięści. Zamknęła drzwi. Odkręciła wodę i zmyła Cartera z ust. Osuszyła twarz innym ręcznikiem.

Powiedziała sobie: Wiadomość została wysłana, sygnał zostanie namierzony, motel zostanie zlokalizowany, ciała Cartera i Vale'a

odnalezione. A Beau zostanie przesłuchany.

- Pani doktor, wychodzę na chwilę - zawołał Dash.

Jej uszu dobiegł dźwięk otwieranych drzwi w sąsiednim pokoju. Po nim nie nastąpiło jednak kliknięcie zamka. Dash czekał na jej ruch. Rozejrzała się po łazience. W wąskim oknie nad kabiną prysznicową było widać czubek strzelby skierowany w niebo.

Zdjęła szorty, usiadła na sedesie i siłą woli rozluźniła mięśnie. Pęcherz był pełen. Dźwięk jego opróżniania odbił się echem w wyłożonym płytkami wnętrzu.

W końcu zamek w drzwiach kliknął.

Dawno temu Will powiedział jej, że najspokojniejsi podejrzani są zawsze najbardziej winni. Wydają się rozluźnieni, ponieważ sądzą, że panują nad sytuacją. Po prostu przechytrzyli wszystkich i niemożliwe, by wpadli.

Dash był idealnym przykładem tego aroganckiego spokoju. Szacunek, z jakim ją traktował, polecenia w formie próśb, stwarzanie pozorów otwartości i racjonalności, były narzędziami do kontrolowania Sary.

Może próbował tego samego z Michelle i poniósł porażkę. Dlatego przekazał ją Carterowi. Co oznaczałoby, że doskonale wiedział, co Carter jej robi. Vale brał w tym udział, ale i tak miał umrzeć. Dwa strzały w pierś za gwałt czyniło z Dasha honorowego dowódcę.

Sara postanowiła szanować te pozory honoru, póki to miało gwarantować jej bezpieczeństwo.

Dash nie miał pojęcia, że Will jej szuka.

Nie wiedział, że Sara ma szczęście.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

NIEDZIELA, 4 SIERPANIA, GODZINA 16:26

Will skulił się na przednim siedzeniu w lexusie Amandy, która wiozła go do mieszkania Sary. Wrócił mu ból głowy, ale nie miał poprzedniej siły, a blask słońca nie powodował już bólu oczu. Było jednak dość późne popołudnie, więc słońce nikogo już boleśnie nie raziło.

Powtarzał sobie, że Sara nadal żyje. Że jest bezpieczna. Dźgnął Cartera w krocze, drugiego zabił strzałem w pierś, trzeci był cały czas nieprzytomny. Zostali unieszkodliwieni na dłużej. Bez Hurleya mogą pójść każdy w swoją stronę.

Albo przegrupować się i urosnąć w siłę.

Amanda zatrzymała się na światłach i włączyła migacz.

- Masz jakieś pytania? - zwróciła się do Willa.

Will wpatrywał się w czerwone światło. Analizował wszystko, co od niej usłyszał. Zostało tylko jedno pytanie:

- Przeczucie ci mówi, że Carter uprowadził Michelle na polecenie grupy o nazwie Niewidzialna Armia Patriotów. Mamy dowód, że zamordowali paru gliniarzy, wysadzili parkingowiec, porwali agentkę GBI. Nawet gdy usuniemy z tego równania możliwość udziału Martina Novaka, nadal pozostają terrorystami. A skoro tak, to dlaczego FBI nie wypruwa sobie flaków, żeby ich dorwać?

Amanda westchnęła ciężko. Dłonie trzymała mocno zaciśnięte na kierownicy. Zamiast odpowiedzieć na pytanie Willa, powiedziała:

- Ruby Ridge. Zamordowanie szeryfa federalnego. Śmierć żony i syna Randy'ego Weavera. Impas trwał jedenaście dni. Weaver został uniewinniony. Rodzina dostała trzy miliony dolarów odszkodowania za spowodowanie śmierci. FBI zostało publicznie rozerwane na

strzępy. Zapaliło się zielone światło. Amanda wzięła zakręt.

- Rok później nastąpiło oblężenie w Waco. - Skręciła w ulicę prowadzącą do mieszkania Sary. - Zginęło czterech agentów, sześciu odniosło rany. Śmierć poniosło osiemdziesięciu sześciu członków sekty Gałęzi Dawidowej, wśród nich wiele kobiet i dzieci. Cały naród patrzył na płonące zabudowania. Nikt nie winił przywódcy sekty, faceta molestującego dzieci, za to na FBI nie pozostawiono suchej nitki. Prokurator generalna Janet Reno nigdy nie doszła do siebie.

- Amando...

- Sprawa Clivena Bundy'ego. Okupacja rezerwatu przyrody Malheur National Wildlife Refuge. Uzbrojona milicja próbowała przejąć tereny federalne, a kiedy kurz opadł, większość została uniewinniona przez sprzyjającą im ławę przysięgłych. Dwóch antyrządowych podpalaczy uzyskało prezydenckie ułaskawienie. - Amanda zwolniła, podjeżdżając pod dom Sary. - Większość agentów FBI to ciężko pracujący i wierzący w nasz kraj patrioci, ale są też tacy, którym politycy i inni mieszają w głowach różnymi ideologiami. Albo nie chcą podjąć decyzji z obawy o skutki polityczne, albo, co gorsza, podzielają poglądy grup, które powinni spacyfikować, a niektórych członków pozamykać.

- Wyślij mnie w teren jako tajniaka. Nie potrzebujemy FBI. To sprawa stanowa. Zdobędę dowody i...

- Will...

- Sama mówiłaś, że NAP planuje coś dużego. Wszelkie znaki na to wskazują. Van, ten agent, powiedział to Faith na spotkaniu. Chodzą słuchy...

- Nie ma dziennikarzy. To dobrze. - Amanda rozglądała się za miejscem do parkowania. - Poprosiłam rodzinę Sary o zachowanie milczenia. Jej matka nie wygląda na osobę dyskretną, ale być może ojciec Sary przekonał ją, że naprawdę wiemy, co robimy.

Will uważał, że matka Sary raczej nie ulega perswazjom.

- Amando...

- Jeśli to wyjdzie w trakcie rozmowy, musisz im obojgu uświadomić, że nie należy ujawniać nazwiska Sary. Wystarczy, że NAP ma Michelle. Jeśli się zorientują, że mają też lekarkę sądową i agentkę specjalną GBI w jednej osobie...

- Chcę pracować pod przykrywką. Zaryzykuję.

Amanda zaparkowała przy drzwiach wejściowych, odwróciła się do Willa i oznajmiła:

- Wykluczone. Nie będę się powtarzać. Koniec tematu.

Zamachowcy widzieli twarz Willa. Carter i człowiek, który przedstawił się jako Vince, nadal byli na wolności, i gdyby któryś z nich rozpoznał Willa, bez żadnych skrupułów natychmiast by go zabił.

Will spojrzał na zegarek.

Godzina 16:28.

- Jak długo zamierzasz ukrywać, że zatrzymaliśmy Hurleya? Mogłabyś zasugerować, że zaczął sypać, posłużyć się nim jako przynętą, żeby wywabić ich z kryjówek.

- To zadanie policji.

Maggie Grant kierowała śledztwem w sprawie wybuchów i była jedną z najdawniejszych przyjaciółek Amandy. Niemożliwe, żeby nie uzgadniały ze sobą strategii.

- Naprawdę uważasz, że Hurley wyda swoich? - zapytał.

- Myślę, że potrzebuje jeszcze paru godzin na rozważenie swoich ograniczonych możliwości wyboru. Mamy tylko jedną szansę, żeby go wkurzyć, ale nie dojdzie do tego, jeśli jego twarz znajdzie się na okładce „New York Timesa”. Stanie się wtedy męczennikiem za sprawę, a ci ludzie uwielbiają rozgłos. Wiem z pewnego źródła, że ma wyciec zdjęcie Cartera. Nie to niewyraźne ze szpitalnego monitoringu, tylko prawdziwa fotografia z kartoteki policyjnej. Carter widnieje w dostępnej bazie danych, więc reporterzy łatwo wykonają

resztę roboty.

Will potarł brodę. Miał sztywne palce. Były poobcierane i obolałe od serii ciosów wymierzonych w twarz Hurleya.

- Robimy wszystko, co w naszej mocy, i zapewniam cię, że Sara robi wszystko, co w jej mocy, by do ciebie wrócić.

Will nie był pewien, czy Sara może zrobić cokolwiek. Nie mieli pojęcia, gdzie jest, a nawet w jakim kierunku pojechała. Jej apple watch znaleziono w lesie obok spalonego bmw. Wiadomość do Faith wysłana z użyciem aplikacji walkietalkie zniknęła kilka sekund po nagraniu.

Dlaczego Sara nie próbowała się z nim skontaktować? Czy pamiętała, że jego telefon został w szopie? A może też go obwiniała?

„Mój zięć nigdy by do tego nie dopuścił”.

Głos Cathy był podobny do głosu Sary. Kiedy Will powtarzał te słowa w myślach, brzmiały jak oskarżenie rzucone wspólnie przez matkę i córkę.

- Idź się przebrać, Wilburze. - Amanda poklepała go po nodze. - Weź prysznic i zajmij się psami. Kupię nam jedzenie z Mary Mac's, wracam za jakieś dwadzieścia minut. Potem pojedziemy Panthersville Road.

Czyli do siedziby GBI.

Ciało człowieka, który przedstawił się jako Merle, leżało w kostnicy, bmw Sary przeszukali śledczy od podpaleń, białego dostawczaka zbadali technicy kryminalistyczni. Brygada antyterrorystyczna przygotowywała informacje o ładunkach wybuchowych, jednostka do uwalniania zakładników czekała w pogotowiu, Hurley miał całodobowy nadzór na wypadek, gdyby zdecydował się mówić. Grupa agentów pracowała nad profilem Adama Humphreya Cartera. Kontaktowano się z byłymi współpracownikami i współwziętniami, badano więzy rodzinne oraz powiązania z grupami przestępczymi i gangami.

Agenci mieli przekazać swoje ustalenia Amandzie. Z pewnością wykonują dobrą robotę, ale nie taką, która stworzy podstawy do działania.

A Will łaknął działania.

Otworzył drzwi auta. Wsiadając, poczuł ból w całym ciele. Ciągle miał na sobie szorty pobrudzone trawą i przepocony Tshirt. Ruszył w stronę wejścia do budynku, powłócząc nogami. Mógł jechać do siebie, do maleńkiego domu z dwoma sypialniami, który bez Sary wydawał się jeszcze mniejszy. Ale większość ubrań trzymał u Sary, tak samo jak przybory do golenia i szczoteczkę do zębów.

A także psa.

Swoje życie.

Minął schody i nacisnął guzik, by przywołać windę. Ból brzucha przeszedł w przytłumione ćmienie, a ból głowy wręcz przeciwnie, spotęgował się pod wpływem sztucznego oświetlenia. W oczekiwaniu na otwarcie drzwi windy Will oparł się o ścianę. Był kompletnie wyczerpany. Serce pękało mu z bólu. Nie powinien zajmować się czymś tak przyziemnym jak prysznic czy wyprowadzenie psów, ale czy miał inne wyjście?

Zerknął na zegarek.

Godzina 16:31.

Drzwi windy się otworzyły. Wsiadł i wcisnął guzik na piętro Sary.

Oparł się plecami o ścianę i zamknął oczy.

Tego ranka Sara pocałowała go w windzie. To był prawdziwy pocałunek. Wciąż czuł na sobie dotyk jej dłoni. Pogładziła go po karku i szepnęła do ucha:

- Tak seksownie wyglądasz w dłuższych włosach.

Dlatego jak osioł płacił sześćdziesiąt dolarów za strzyżenie, podczas gdy facet z kostnicy zrobiłby to w zamian za kanapkę.

Gdy zadzwieczał dzwonek, Will otworzył oczy i spojrzał na zegarek.  
Godzina 16:32.

Szedł korytarzem, ciągnąc nogi po wykładzinie. Jego klucze zostały w torebce Sary, zapasowe trzymała na występie nad drzwiami. Wyciągnął rękę, by je znaleźć, gdy niespodziewanie drzwi mieszkania się otworzyły.

W progu stał Eddie Linton, ojciec Sary. Miał przekrwione oczy i poszarzałą twarz.

- Znalazłeś ją?

Will potrząsnął głową i opuścił rękę. Czuł się jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku.

- Bardzo mi przykro, proszę pana.

Eddie zostawił otwarte drzwi i poszedł w głąb mieszkania.

Charty Sary podbiegły do Willa. Były zaniepokojone, bo ich codzienny rozkład dnia uległ zakłóceniu. Sara już powinna tu być. Betty, chihuahua, którą Will przypadkowo adoptował, pętała się wokół jego nóg, póki nie wziął jej na ręce. Wtuliła głowę w jego pierś. Język i ogon ruszały się w przeciwnych kierunkach.

Will usiłował uspokoić zwierzęta, zarazem obserwując matkę Sary, która krzątała się po kuchni. Mieszkanie było nowoczesne, z otwartą przestrzenią pełniącą funkcję pokoju dziennego, jadalni i kuchni. Cathy otwierała i zamykała szafki kuchenne, aż wreszcie znalazła szklanekę i nalała herbatę z dzbanka. Usiadła przy wyspie, przed nią stały miseczki z niedokończonym jedzeniem.

Spojrzała na Willa, po czym odwróciła wzrok.

- Wszystkie stacje powtarzają ten sam komunikat co trzydzieści minut. Nikt nic nie wie - powiedział Eddie ze wzrokiem utkwionym w ściszony telewizor w salonie.

Will powędrował za jego spojrzeniem. Na pierwszym planie stał reporter Jake Tapper.

- Znaleźliśmy twój telefon w szopie. - Eddie wskazał telefon Willa ładujący się na drugim końcu kuchennej wyspy. - Tess przylatuje, będzie we wtorek rano. Lot trwa piętnaście godzin, ale trzeba jeszcze

doliczyć dojazd na lotnisko i... - Zamilkł na moment. - Nie mówiliśmy nikomu, tylko Tess, że Sara została porw... zabrana. Stosujemy się do poleceń policji, nie ujawnimy jej tożsamości, żeby ci ludzie nie mogli zajrzeć do komputerów i dowiedzieć się, kim naprawdę jest. Nie chcemy narazić śledztwa. Chcemy tylko, żeby wróciła do domu. - Potarł się po brzuchu. - Myślisz, że zażądają okupu? - Gdy Cathy znieruchomiała, natychmiast zmienił temat: - Jesteś głodny?

Will miał tak ściśnięte szczęki, że zdołał tylko pokręcić głową. Betty polizała go po szyi, a on postawił ją na podłodze. Jej pazurki skrobały po drewnianej podłodze, gdy pobiegła dołączyć do chartów na psim legowisku.

- Siadaj i zjedz coś. - Eddie wskazał pusty stółek obok Cathy.

Jednak Cathy zerwała się jak oparzona, poszła do kuchni i znowu zaczęła otwierać i zamykać szafki. Will nie wiedział, czy naprawdę czegoś szuka, czy po prostu lubi trzaskać drzwiczkami szafek.

Usiadł na stołku, na którym zawsze siadała Sara, i przechylił telefon, ale zobaczył tylko tapetę. Na zdjęciu była Sara z chartami po bokach i Betty na kolanach. Uśmiechała się do Willa.

Godzina 16:38.

Cathy zamknęła drzwi szafki z takim trzaskiem, że zabrzęczało szkło.

Will odchrząknął.

- Czy... - zaczął.

Cathy rzuciła mu wściekłe spojrzenie, po czym schyliła się i zaczęła przeszukiwać dolne szafki. Z hukiem postawiła pusty pojemnik do przechowywania na blacie, potem następny, i zaczęła szukać pokrywek. Will wiedział, że nie znajdzie pasującej. Sara mawiała, że pokrywki są jednorożcami w Krainie Magazynów.

- Powinienem... - Will próbował podnieść się ze stołka i omal nie zgiał się wpół pod wpływem przeszywającego bólu w żebrach. - Przyszedłem wziąć prysznic. I zmienić ubranie. Do pracy. Mam tu

swoje ubrania. Wszystkie swoje...

- Rzeczy - dokończyła Cathy. - Masz tu wszystkie swoje rzeczy.

Twój pies tu jest. On tu mieszka, Eddie. Wiedziałaś o tym?

Te słowa zabrzmiały jak oskarżenie.

Eddie usiadł obok Willa i położył splecione dłonie na kontuarze. - Nie, nie wiedziałem.

Will przygryzł koniuszek języka. Dlaczego Sara nie powiedziała o nim ojcu?

- Nie możesz... - Cathy przyłożyła pięść do ust. Jej gniew się wzmógł. - Sara jest moją starszą córką. Moją pierworodną. Nie masz pojęcia, najmniejszego pojęcia, przez co przeszła.

Will milczał, ale wiedział, przez co przeszła Sara. Żył z nią i dzielił z nią łóżko. Kochał bardziej niż jakąkolwiek inną kobietę. Spędzał z nią każdą wolną chwilę.

Ale tą informacją nie podzieliła się z rodzicami.

- Nie jest wojowniczką! - Cathy mówiła, a raczej krzyczała do Eddiego. - Myślisz, że jest, ale to nieprawda! Jest moim dzieckiem. Nigdy nie powinniśmy pozwolić jej odejść z domu. Nic dobrego z tego nie wyszło. Nic!

- Cath. - Eddie pokręcił głową, najwyraźniej dotknięty tymi oskarżeniami. - Nie teraz.

- Jest za późno! - wrzasnęła Cathy. - To koszmarne miejsce znowu ją pochłonęło. To potworne miasto. Z tym...

Will czekał na doprecyzowanie, czym jest w życiu Sary.

Nie jej mężem. Nie zięciem Cathy. Nie kimś, o kim Sara rozmawiała z ojcem.

- Ja... uhm... - Will znowu odchrząknął. Musiał wyjść z tego pokoju.

Zsunął się ze stołka, unikając obezwładniającego bólu. Psy wygramoliły się z legowiska przeświadczone, że wychodzą na spacer. Will minął je w drodze na korytarz. Miał do pokonania niecałych pięć metrów, ale poruszał się, jakby jego stopy uwięzły w betonowych



blokach.

Każda część tego mieszkania przywoływała wspomnienie Sary. Kanapa, na której leżała oparta o niego w niedbałej pozie, kiedy oglądali telewizję. Stół w jadalni, przy którym poznał jej znajomych ze szpitala. Nigdy wcześniej nie był na uroczystej kolacji. Denerwował się, ponieważ nie bardzo sobie radził w kontaktach z ludźmi, ale tym razem poszło dobrze, oczywiście dzięki Sarze. Dla niego to zrobiła. Dzięki niej wszystko szło dobrze.

Odwrócił się.

Spojrzał na jej rodziców. Cathy stała ze skrzyżowanymi rękami. Rozzłoszczona patrzyła w podłogę. Tylko Eddie patrzył Willowi w oczy. Czekał, aż coś powie, usprawiedliwi swoją obecność w tej przestrzeni należącej do ich ukochanej starszej córki.

Will nie miał ochoty nic mówić, ale słowa po prostu popłynęły mu z ust:

- Słucha Dolly Parton, kiedy jest smutna. Cathy nie odrywała wzroku od podłogi.

Wyraźnie zakłopotany Eddie uniósł brwi.

- Nie słucha jej ze mną - ciągnął Will. - Przynajmniej nie jak wtedy...

Kiedy wasz zięć ją zdradził albo kiedy dał się zabić, ponieważ jego ego było ważniejsze od jego żony.

- Przejechaliśmy rowerami szlak Silver Comet. Opowiedziała wam? Eddie zawahał się, po czym odparł:

- Pokazała nam to... to coś satelitarne.

- GPS - wymamrotała Cathy i wytarła oczy zaciśniętą pięścią, ale wciąż nie patrzyła na Willa.

- Namówiła mnie, żebym zmienił fryzurę - ciągnął. - I garnitury. Musiałem pozbyć się starych. Trochę tego było. - Pokręcił głową, ponieważ źle to zabrzmiało. - Nie zmusiła mnie wprost, ale wystarczyło, by powiedziała, że lepiej mi będzie w krótszej

marynarce, a ja zanim się zorientowałem, już wydawałem pieniądze w centrum handlowym.

Eddie uśmiechnął się z lekką rezerwą, jakby znał tę taktykę.

- Spuszcza mi łomot w tenisa. Serio. Nie daje mi wygrać. Ale ja jestem lepszy w koszykówkę. I się nie przeziębiam. Co jest dobre, bo ona strasznie się złości, kiedy ktoś choruje. Nie pacjenci, ale ludzie, których zna. Troszczy się. Martwi. Mówi, że to nieprawda, ale tak jest.

Eddie już się nie uśmiechał, ale wyglądał, jakby czekał na ciąg dalszy.

- Razem oglądaliśmy ponownie wszystkie odcinki „Buffy”. Lubimy te same filmy i pizzę. Zmusza mnie do jedzenia warzyw. Przestałem jeść lody przed snem, ponieważ cukier nie pozwalał mi zasnąć, o czym nie wiedziałem. I...

W ustach miał raptem tyle śliny, że musiał przerwać, by ją przełknąć.

- Ja też jestem dla niej dobry. Mówię to wszystko na wypadek, gdybyście nie wiedzieli. Nie zdawali sobie sprawy. Naprawdę jestem dobry dla waszej córki.

Eddie wciąż czekał.

- Rozśmieszam ją. Nie cały czas, ale śmieje się z moich żartów. Ona sprząta mieszkanie, ale ja czyszczę łazienki. Ona pierze, a ja składam pranie. I prasuję. Ona mówi, że źle jej to wychodzi, ale ja wiem, że po prostu nie lubi tego robić. - Zaśmiał się, ponieważ dopiero teraz to sobie uświadomił. - Uśmiecha się, kiedy mnie całuje. I...

Nie mógł wprowadzić jej rodziców w szczegóły. Że Sara czasem rysuje serduszka w jego kalendarzu. Że kiedyś poświęciła sporo czasu, by zrobić mu na brzuchu malinkę w kształcie serca.

- W każdy wtorek jemy razem lunch w pracy. Jest świetna w tym, co robi. Rozmawiamy o różnych rzeczach. O dochodzeniach. O sprawach. I wiem. Wiem, że została zgwałcona.

Zaskoczona Cathy otworzyła usta.

W końcu spojrzała na niego.

Will znowu przełknął ślinę.

- Powiedziała mi już dawno, zanim zaczęliśmy się spotykać. Że została zgwałcona. A potem zdradziła szczegóły. Że ją dźgnął nożem, że zeznawała na rozprawie. Jak było po powrocie do domu. O wszystkim, co musiała porzucić. Wiem, że pomogliście jej przez to przejść, wy wszyscy. Wiem, że była wdzięczna losowi, że miała szczęście.

Złączył dłonie, jakby błagał ich o zrozumienie.

- Powiedziała mi o gwałcie, bo mi ufa. Dorastałem z dziećmi, które były... były gwałcone. Więcej niż gwałcone.

Jezu, ciągle mówił o gwałcie.

- Wiem, że to co innego, bo Sara była wtedy w college'u, ale tak naprawdę nieważne, w jakim wieku to się przytrafia, prawda? Przemoc seksualna na zawsze z człowiekiem zostaje. Wnika do DNA. Jest jak cień. Człowiek się odwraca i nigdy nie ma tak, żeby go nie było. Można tylko nauczyć się z nim żyć.

Podszedł do Cathy. Musiał zyskać pewność, że go słucha.

- Sara powiedziała mi kiedyś, że prędzej umrze, niż da się znowu zgwałcić. Dlatego kiedy znaleźliśmy się na tamtej ulicy, kiedy klęczała z bronią przy skroni, powiedziała temu człowiekowi, żeby ją zastrzelił. Miała dwie możliwości i była gotowa umrzeć zamiast z nimi jechać. Zamiast ryzykować ponowny gwałt. Uwierzyłem jej. Facet z bronią też jej uwierzył.

Will musiał usiąść. Oparł się o kontuar. Miał złączone dłonie, ponieważ błagał o odpowiedź.

- Dlaczego pojechała? - zwrócił się do Cathy. - Tego nie pojmuję.

Dlaczego z nimi pojechała?

Po policzkach Cathy spłynęły łzy. Zamknęła oczy. Pokręciła głową.

- Powiedz mi. Proszę - ciągnął Will błagalnie. - Spojrzała prosto na

mnie, kiedy mówiła tamtemu facetowi, żeby ją zastrzelił. Chciała, żebym wiedział, dlaczego podjęła taką decyzję. - Otarł oczy. - Nie chciała, żebym żył z poczuciem winy, a teraz ty mówisz, że powinienem. - W tej chwili padłby na kolana, gdyby to mogło skłonić Cathy do udzielenia odpowiedzi. - Wy tłumacz mi, dlaczego mnie obwiniasz. Wy tłumacz, co zrobiłem nie tak.

Wargi Cathy zadrżały. Odwróciła się od Willa. Urwała kawałek ręcznika papierowego i wytarła oczy. Potem wydmuchała nos.

Will sądził, że nie doczeka się odpowiedzi. Ale się mylił.

- Nie obwiniam cię.

„Pozwoliłeś im ją zabrać”.

- To nie twoja wina.

„Mój zięć nigdy by do tego nie dopuścił”.

Cathy stanęła twarzą do Willa, złożyła ręcznik papierowy i osuszyła oczy.

- Złapało ją dwóch mężczyzn, podnieśli i zanieśli do auta. Próbowano z nimi walczyć, ale nie dała rady.

Will pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Obaj byli ranni. Sara jest silna. Wiem, że nie uważasz jej za wojowniczkę, ale mogła pokonać ich obu.

- Próbowano. Obezwładnili ją.

- Ale prowadziła auto.

- Nie miała wyboru. - Cathy znowu wytarła oczy. - Załamano się. Will, znam swoją córkę o wiele dłużej niż ty. Łatwo powiedzieć w pewnej chwili, że chce się umrzeć, ale ta chwila już minęła. Patrzyłam na to. Zawlekli ją do auta, przykuli do kierownicy, przyłożyli broń do głowy i kazali jechać. Możesz kwestionować wszystko, co chcesz, ale tak to właśnie wyglądało. I tak zeznam pod przysięgą.

- Ale... - zaczął.

Ostre spojrzenie Cathy odebrało mu ochotę do polemiki.

Z pomocą przyszedł mu Eddie, który obszedł kontuar, objął żonę i powiedział do Willa:

- To był długi dzień, synu. Weź prysznic i przebierz się.

Will był zadowolony, że może się od nich uwolnić. Tyle razy stał w tym samym miejscu, co teraz Eddie, i obejmował Sarę.

Betty podreptała za nim długim korytarzem. Był zbyt obolały, by schylić się i znowu wziąć ją na ręce. Pobieгла przed nim i wskoczyła na łóżko. Zatrzymał się w progu. Pościel wciąż była skotłowana od ich ciał. Wszędzie czuł zapach Sary. Nie używała perfum, ale było coś magicznego w jej mydle. Na niczym i nikim innym nie pachniało tak jak na niej.

W łazience Will nie wiedział, co zrobić z brudnymi rzeczami. Gdyby dorzucił je do kosza do ubrań Sary, byłaby w tym ciągłość. Obietnica, że Sara je upierze, a on je poskłada.

Ostatecznie zostawił je na podłodze i wszedł pod prysznic.

Gorąca woda wreszcie przyniosła ciału ulgę. Pozwolił jej spływać swobodnie, pilnując, by nie zamoczyć klamry na głowie. Ciągłe miał we włosach żdźbła trawy. Piana z płynu do kąpieli przybrała szarą barwę od potu pomieszanego z brudem. Spojrzał na odpływ. Patyczki i gałązki z podwórka Belli tańczyły na sitku.

Pomyślał o dwóch mężczyznach łapiących Sarę i niosących ją do samochodu. Jeden miał nóż w nodze. Drugi otwór w boku.

Wyszedł spod prysznic, przetaił zaparowane lustro, starannie uczesał włosy i umył zęby. Potarł szorstką szczecinę na twarzy. Zwykle golił się rano, potem po powrocie z pracy. Sara lubiła, kiedy miał gładkie policzki.

Zostawił maszynkę na blacie i poszedł do garderoby. Włożył szary garnitur i niebieską koszulę, którą Sara wybrała dla niego na Boże Narodzenie. Z szafki na broń wyjął sig sauera P365. Pistolet był prezentem świątecznym od Sary. Jego służbowego glocka znajdują śledczy w spalonym bmw Sary albo policjanci odbiorą jakiemuś

zbirowi.

A może uda mu się go odzyskać, znajdzie porywacza Sary i strzeli mu w twarz.

Zebrał się w sobie przed wyjściem na korytarz. Rodzice Sary przenieśli się na kanapę. Tę samą, na której oglądał z Sarą telewizję.

- Zaopiekujemy się twoim psem - zakomunikował Eddie.

- Dziękuję. - Will złapał telefon z kontuaru.

Godzina 16:56.

Amanda czekała na dole. Pomyślał o wzięciu jakichś rzeczy. Nie mógł tu dzisiaj spać. To by jednak oznaczało powrót do sypialni, przejście korytarzem i ponowne pożegnanie się z rodzicami Sary. I ponowną pokusę zapytania Cathy, dlaczego znowu kłamie.

- Dam wam znać, jeśli czegoś się dowiem - powiedział na odchodnym.

Nie czekał na odpowiedź, tylko zamknął za sobą drzwi i wcisnął guzik przywoływania windy.

Telefon zawibrował, komunikując nadejście wiadomości.

Zaklął, spodziewając się Amandy, ale numeru nadawcy wiadomości nie rozpoznał. Otworzył tekst. Plik dźwiękowy został wysłany o czwartej pięćdziesiąt cztery. Czas nagrania wynosił mniej niż sekundę.

Wstrzymał oddech.

Jedyną osobą, która przysyłała mu wiadomości głosowe, była Sara.

Przełknął ślinę tak intensywnie, że zabolowało go w gardle. Ręka mu drżała. Musiał dwukrotnie przycisnąć strzałkę, by odtworzyć nagranie.

Dźwięk był niewyraźny, jakby ktoś odchrząknął.

Zwiększył głośność.

Przycisnął telefon do ucha.

- Wi...

Sara.

Lexus gotował się z gorąca, gdy Amanda zjechała z rozjazdu na autostradzie stanowej. Wiadomość głosowa Sary posłużyła jako sygnał naprowadzający. W Atlancie ustalili tylko, że sygnał został przechwycony przez nadajnik sieci komórkowej w Karolinie Północnej. Amanda ruszyła w stronę śródmieścia, podczas gdy firma telekomunikacyjna namierzała sygnał. Dziesięć minut później otrzymali informację, że mają kierować się na północny wschód, więc Amanda wjechała na międzystanową osiemdziesiątą piątą. W aucie panowała nieznośna cisza, aż nagle ostatecznie znane położenie komórki zostało zawężone do obszaru o promieniu sześciu metrów. Gdy Amanda skręciła w Lanier Parkway, policjanci z biura szeryfa hrabstwa Rabun rozpoczęli nalot na King Fisher Camping Lodge.

Dwaj martwi mężczyźni. Żadnych świadków. Żadnych podejrzanych.

- Jest - powiedziała Amanda, wjeżdżając z piskiem opon na parking przed motelem.

Spod kół wystrzelił żwir. Prawie dwugodzinną trasę Amanda pokonała w pół godziny. Z każdą minutą wydawało się Willowi, że ubywa mu rok życia. Ani śladu Sary. Ani śladu Michelle. Żadnych tablic rejestracyjnych, za którymi można podążyć. Żadnych świadków. Żadnych podejrzanych. Nikogo, z kim można by porozmawiać i dowiedzieć się czegokolwiek.

Amanda wpasowała lexusa w przestrzeń między recepcją motelu a autobusem techników kryminalistycznych GBI.

Will sięgnął do klamki.

Amanda położyła mu rękę na ramieniu.

- Uważaj, co mówisz. - Kiwnęła głową w stronę policjantów kłębiących się na frontowym ganku motelu.

Byli tam zastępcy szeryfa hrabstwa Rabun, stanowa policja drogowa, wydział policji w Clayton.

- Nie ufasz im? - zapytał Will.

- To małe miasto. Nie ufam ludziom, z którymi będą rozmawiać w kościele albo nad smażonym kurczakiem w barze. - Zdjęła mu rękę z ramienia. - Jest Zevon.

Zevon Lowell, agent GBI z wydziału narkotykowego okręgu Appalachów, podszedł do lexusa z dwoma kubkami kawy w rękach.

Amanda wysiadła i wzięła od niego jeden kubek.

- Zreferuj mi, co i jak - nakazała.

- Nic nowego, szefowo. Charlie sprawdza pokój najszybciej, jak się da. Ma do pomocy dodatkowy zespół z Atlanty.

Will patrzył na pokój pośrodku budynku. Drzwi były otwarte, lecz przesłaniała je foliowa zasłona, zatrzymując wewnątrz schłodzone klimatyzacją powietrze. Werandę rozświetlały smugi reflektorów wydostające się zza zasłon w oknach. Charlie Reed na czworakach przeczesywał wykładzinę w poszukiwaniu dowodów. Był najlepszym technikiem kryminalistycznym w Georgii i ściśle współpracował z Sarą. Robił wszystko, co w jego mocy, by pomóc w jej odnalezieniu.

- Motel był pusty przez ponad rok. - Zevon otworzył wyjęty z kieszeni notes. - Właścicielem był Hugo Hunt Hopkins, prawnik od nieruchomości z Atlanty. Zmarł, nie zostawiając testamentu. Sprawa o podział majątku utknęła w sądzie. Walczy o niego dwoje dzieci Hopkinsa.

- Są stąd?

- Jedno z dzieci mieszka w Michigan, drugie w Kalifornii. Bywa tu dozorca, który pilnuje, żeby dach nie przeciekał czy rury nie zamarzły. - Zevon przesunął się, żeby Amandy nie oślepiało słońce. - Spójrz ponad moim ramieniem.

Naprzeciwko motelu Will zobaczył blaszak obłożony deską szalunkową, która upodabniała go do chaty myśliwskiej. Parking był pusty. Na szyldzie przed wejściem widniał królik z kuflem piwa w łapce.

- Piotruś Królik - powiedziała Amanda. - To nie jest hrabstwo



z zakazem sprzedaży alkoholu. Dlaczego bar jest pusty?

- To klub towarzyski i ma swoje godziny otwarcia. Budynek od ośmiu lat jest własnością spółki wyduszki. Facet, który prawdopodobnie prowadzi ten interes, nazywa się Beau Ragnersen. Jest też dozorcą w motelu. Pieniądze zarabia w Macon.

- Aha. - Amanda ściągnęła usta. Nazwisko zabrzmiało jej znajomo, ale niczego nie wyjaśniła. - Poprowadź w moim imieniu tę próbę chóru. - W policyjnym slangu „próba chóru” oznaczała grupę plotkujących policjantów. - Idziemy - zwróciła się do Willa.

Poszedł za nią do pokoju. Część parkingu była oddzielona taśmą policyjną. Na ziemi widniały ślady, gdzie samochód dostawczy parkował tyłem. Koła zatrzymały się sto osiemdziesiąt centymetrów od werandy. Opony straciły przyczepność na żwirowym podłożu, ale Charlie zdążył już wylać gips w najlepiej widoczne ślady.

Will patrzył na miejsce, w którym parkowała furgonetka. Żwir był nierówny tam, gdzie ktoś mógł postawić stopy, ale może to było tylko jego życzeniowe myślenie. Chciał wierzyć, że Sara wyskoczyła z auta z własnej woli. Że nie ciągnęli jej wierzgającej i krzyczącej. Że nie ogłuszyli jej, nie związali i nie odurzyli, by zmusić do uległości.

- Tutaj. - Amanda znalazła dwie pary ochraniaczy na buty w torbie Charliego leżącej pod drzwiami.

Włożyła ochraniacze i odczekała kilka chwil, by zebrać się w sobie przed wejściem do pokoju.

Idąc za nią, Will odruchowo pochylił głowę, bo sufit był niski. Pokój okazał się klaustrofobicznym wnętrzem. Brązowy dywan z długim włosiem i beżowe ściany. Rozglądając się dookoła, zrozumiał, dlaczego Amanda musiała przygotować się mentalnie na wejście do środka. Sam widział setki miejsc zbrodni. Widział gorsze rzeczy, ale nigdy nie czuł się gorzej.

Ciemne smugi zaschłej krwi znaczyły cały pokój wraz z wyposażeniem, czyli dwa łóżka, minilodówkę, szafkę nocną,

telewizor, komodę, sufit i koszmary dywan. Krew najpewniej pochodziła od mężczyzny, który siedział na łóżku przy oknie z głową opuszczoną na piersi. Tułów miał rozerwany, jakby wyskoczyło z niego dzikie zwierzę, które pazurami utorowało sobie drogę na zewnątrz.

Will przełknął ślinę, panując nad odruchem wymiotnym. Mężczyzna był nagi od pasa w dół. Jego penis był czarny od krwi.

- Z tego telefonu Sara wysłała wiadomość.

Will oderwał wzrok od martwego mężczyzny na łóżku.

Charlie Reed miał na sobie biały kombinezon. Trzymał w ręku torebkę na dowody z częściami roztrzaskanej komórki w środku.

- Numer seryjny zgadza się z danymi w firmie telefonicznej. Niedługo dostaniemy nakaz ujawnienia nazwiska użytkownika - oznajmił Charlie.

- Dobrze - powiedziała Amanda. - Nie trać czasu na przekonywanie mnie, że nie znasz się na medycynie. Jak umarli ci mężczyźni?

Charlie wskazał łóżko przy ścianie.

- Ten otrzymał pomoc medyczną krótko przed śmiercią. Rana postrzałowa w boku została zabezpieczona opatrunkiem okluzyjnym do ran penetracyjnych klatki piersiowej. W prawej ręce miał kroplówkę. Igły użyto do zmniejszenia ucisku wywołanego prawdopodobnie odłą opłucnową.

- Sara - domyśliła się Amanda.

- Tak przypuszczam - odparł Charlie. - A właściwie modłę się, żeby tak było.

Willa modlitwy nie obchodziły.

- To facet, który przedstawił się jako Vince - oznajmił. - Był pasażerem F-150. Strzeliłem do niego w bmw Sary.

Amanda nie odpowiedziała.

- Ktoś strzelił do niego znowu, i to dwa razy, w tym pokoju - ciągnął Charlie. - Jedna z kul weszła w materac, druga wciąż tkwi

w piersi. Zrobimy analizę balistyczną i przekonamy się, czy dowiemy się czegoś o broni.

- A drugi? - zapytała Amanda.

- Nie będąc lekarzem... - Charlie urwał pod jej groźnym wzrokiem.

- Możemy założyć, że został zadźgany. Spójrzcie na ślad dłoni na zagłówku.

Charlie wskazał miejsce, w którym Will dostrzegł teraz krwawy kształt czterech szczupłych palców i kciuka zaciśniętego na drewnianej krawędzi.

- Przypuszczam, że to albo kobieta, albo bardzo drobny mężczyzna

- dodał Charlie.

Will spojrzał na swoją dłoń, jakby długie i częste trzymanie Sary za rękę mogło mu pomóc w identyfikacji krwawych śladów, jakie zostawiła na wezglowiu. Czy mogłaby zabić człowieka w ten sposób? Usiąść okrakiem i dźgać w szyję i klatkę piersiową tyle razy, że skóra zamieniła się w miazgę?

Miał nadzieję, że tak.

Amanda pstryknęła palcami, by się skupił. Czekwała.

Obszedł łóżko, kucnął na podłodze, podniósł głowę. Smak nazwiska tego człowieka przyprawiał o mdłości.

- Adam Humphrey Carter.

- Ma ranę w górnej części uda - powiedział Charlie. - Tętnica udowa została draśnięta. Ma rozcięte spodnie. Domyślam się, że ktoś przygotowywał się do usunięcia noża. Wtedy...

- „Wtedy” się nie liczy. - Will spojrzał na Amandę. - Na miejscu wypadku było pięciu facetów. Merle... tak zwany Merle leży w kostnicy, Vince nie żyje, Carter nie żyje, a czwarty, czyli Dwight, przez cały czas był nieprzytomny. Hurley jest jedynym, który może mnie zidentyfikować, ale leży przykuty do szpitalnego łóżka i pilnuje go uzbrojony strażnik.

Amanda zacisnęła wargi. Zignorowała Willa i spytała:

- Coś jeszcze, Charlie?

Charlie znalazł się między młotem a kowadłem, co bardzo mu się nie podobało.

- Myślę, że kogoś przenieśli do sąsiedniego pokoju. Na narzucie są ślady krwi, ale nie po krwotoku. Nie wiem, czy to wyczuliście, ale ja po otwarciu drzwi poczułem woń spirytusu do odkażania. Ktoś usiłował usunąć stąd wszystkie odciski palców. Stół jest wytarty, więc ta osoba musiała przebywać w pobliżu okna. Będę musiał użyć luminolu w całym motelu. Trzeba się upewnić, że nic nie przeoczyliśmy. Ale jeśli znajdziemy we krwi odcisk palca, to powiąże tę osobę z miejscem morderstwa.

- A co z grupą krwi? Mamy pewność, że nikt inny tu nie krwawił? - zapytała Amanda.

- Absolutnej pewności nie mam, ale wydaje się prawdopodobne, że większość krwi to krew Cartera. Niewidoczne na pierwszy rzut oka linie papilarne dadzą nam najszybszą odpowiedź. Odciski Sary są w bazie danych, tak samo jak Michelle Spivey. Muszę wziąć laptopa z drugiego autobusu, żeby zrobić porównanie. Połowa mojego sprzętu jest w naprawie. Zacząłem bez ekipy tylko i wyłącznie przez wzgląd na Sarę. Chciałem się przekonać, czy coś od razu rzuci mi się w oczy.

- I co, rzuciło się?

Charlie milczał przez chwilę, po czym oznajmił:

- Na podłodze w łazience są krwawe odciski butów. Męska siódemka, może damska dziewiątka, co pasowałoby do Sary. - Dał im znak, żeby poszli za nim, i zatrzymał się przed ciasną łazienką. - Woda w toalecie nie jest spuszczone, ale ktoś opuścił deskę. Dziwne, bo ci goście nie wyglądają na takich, którzy siadają przy sikaniu.

Rzeczywiście dziwne.

Will pochylił głowę pod framugą i rozejrzał się po łazience. Pierwsze, co poczuł, to woń uryny. Pierwsze, co zobaczył, to krwawe

ślady stóp na całej powierzchni laminowanej podłogi. Ściany były wyłożone takim samym laminatem. Podwieszany sufit wisiał niemal trzydzieści centymetrów niżej od sufitu w pokoju. Prawdopodobnie chodziło o zasłonięcie przecieku. Niżej stała umywalka z tworzywa sztucznego z szafką. W misce, w której ktoś mył ręce, była krew. Toaletę upchnięto tuż przy wannie z funkcją kabiny prysznicowej. Na sklejce przyśrubowanej do ściany był uchwyt.

Czuł tu obecność Sary, tak samo jak czuł ją wcześniej na parkingu.

- Sprawdziłeś przestrzeń nad sufitem? - zapytała Amanda.

- Znalazłem tylko pajęczyny i szczurze odchody - odparł Charlie. - Nie ma połączenia z pokojem obok. Zrobili to chyba dla dekoracji.

- Will, skończ oględziny i wyjdź ze mną. Musimy się przegrupować - zarządziła Amanda.

Will nie ruszył za nią od razu. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że coś mu umyka. Omiótł ostatnim spojrzeniem maleńką łazienkę. Pochylił głowę pod futryną i wtedy...

Może spowodował to widok uchwytu, a może wielokrotnie powtórzone słowo „gwałt” w rozmowie z rodzicami Sary, ale Will spojrzał na sufit.

Sara została zaatakowana w publicznej toalecie. Gwałciciel przeczołgał się przez podwieszany sufit w męskiej toalecie sąsiadującej z damską i wskoczył do jej kabiny. Zanim zdążyła zrobić coś więcej, niż wydać z siebie zduszony okrzyk, przykuł jej ręce do poręczy po obu stronach sedesu.

- Gdzie twoja lampa UV? - zapytał Charliego.

- W drugim autobusie. Czemu pytasz?

- Sara pokazywała ci tę sztuczkę?

Charlie uśmiechnął się szeroko, poszedł do torby leżącej za drzwiami i wrócił z dwoma markerami oraz rolką przezroczystej taśmy klejącej. Potem wyjął komórkę.

- Musisz nałożyć warstwy - przypomniał Will, chociaż Charlie

doskonale wiedział, co robi.

Dzięki Sarze. Jej zamiłowanie do nauki sięgało głęboko. Jedyną rzeczą, jaką kochała bardziej niż pomaganie ludziom, było hojne dzielenie się z nimi magią nauki.

Charlie przykleił taśmę na światło telefonu i markerem zrobił na niej niebieskie kółko. Na nie nakleił kolejny kawałek taśmy. Na tej warstwie narysował fioletowe kółko i zakleił trzecim kawałkiem taśmy.

Will wyłączył światła i zamknął drzwi. Zasłony już były zaciągnięte, pokój pogrążył się w ciemności.

Charlie włączył w telefonie funkcję latarki. Rozbryzgi krwi w pokoju zaczęły świecić, ponieważ na tym polegała tajemnica lampy UV: pod wpływem promieniowania ultrafioletowego płyny ustrojowe zaczynały świecić. Uryna także.

- Skieruj to na sufit w łazience - polecił Will.

Charlie stanął w drzwiach i oświetlił telefonem sufit.

Will zamrugał na widok rozjarzonych zielonkawo-żółtych liter, które Sara zostawiła na podwieszanym suficie. Cała wiadomość zajmowała cztery płytki w poziomie i trzy w pionie. Na każdej płytce widniało jedno słowo.

Charlie zaczął czytać:

- Beau. Bar. Dash. Myśli. Hurley. Nie. Żyje. Spivey. Ja. OK. Na. Razie.

Will słyszał słowa wypowiedane przez Charliego, ale w tym momencie nie one były najważniejsze. Całą uwagę skupił na nieforemnym serduszku, które Sara narysowała dla niego w rogu.

# **CZEŚĆ DRUGA**

PONIEDZIAŁEK, 5 SIERPNIA 2019 ROKU

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

PONIEDZIAŁEK, 5 SIERPANIA, GODZINA 5:45

Sarę obudził pot spływający z czoła. Zmrużyła oczy, usiłując dojrzeć godzinę na zegarku, ale zobaczyła, że nie ma go na przegubie. Odwróciła się, by sprawdzić, czy Will jest w łóżku, ale nie było ani Willa, ani łóżka. Zasnęła w kącie oparta plecami o ścianę.

Obóz.

Przypuszczała, że to Obóz. Poprzedniego wieczoru czarna furgonetka zabrała ich z motelu. Wsadzili Sarę na tył, przewiązali oczy opaską, zakneblowali i skuli z Michelle, która była nieprzytomna przez większą część podróży. Nawet kiedy ocknęła się z narkotykowego stuporu, nie powiedziała ani słowa. Jedynym odgłosem, jaki z siebie wydała, był pełen cierpienia szloch, gdy po otwarciu drzwi furgonetki zorientowała się, gdzie są.

A tak naprawdę to gdzie właściwie były?

Sara wstała z trudem, trzymając się ściany. Miała kompletnie zeszywniałe nogi. Brudne ubrania ocierały jej ciało. W świetle lampy widziała tylko jednoizbową chatę. Długą na dwanaście kroków, tak samo szeroką i z sufitem wysoko nad głową. Bez okien, z blaszanym dachem, z surowego drewna, otoczoną drzewami.

Wiadro przy drzwiach służyło za toaletę, a w wiadrze w przeciwnym kącie była woda z chochlą w środku. Na prymitywnej drewnianej ramie leżał siennik. Podtrzymywała go prowizoryczna siatka zrobiona z liny powiązanej w supły w równych odstępach. Sara wybrała miejsce w kącie zasłanianym przez otwierające się drzwi. Chciała zapewnić sobie chwilę na przygotowanie się, gdy nadejdzie intruz.

Sprawdziła gałkę u drzwi. Kłódka uderzyła o futrynę. Obeszła



pokój. Ściany były zrobione z surowego drewna. Między słupkami konstrukcyjnymi brakowało izolacji. Nie było prądu, ale światło słoneczne wpadało do środka przez szczeliny między deskami. Wyjrzała przez jeden z otworów i zobaczyła zielone listowie oraz ciemne pnie drzew, i usłyszała szmer wody. Czyli był tu strumień, może nawet rzeka. Gdyby nadarzyła się okazja, ruszyłaby w dół tej rzeki.

Przeniosła się na drugi koniec pokoju i przez szparę zobaczyła to samo, czyli gęsty las. Niezbyt mocno nacisnęła deskę otwartą dłonią i bacznie się przyjrzała. Gwoździe rdzewiały, konstrukcja nie była zbyt mocna. Gdyby naparła z odpowiednią siłą, mogłaby wypchnąć deski na dole i wyczołgać się z chaty.

W kłódce zazgrzytał klucz.

Sara odsunęła się od ściany, zaciskając pięści.

Dash uśmiechnął się do niej. Wciąż miał rękę na temblaku, ale przebrał się w dżinsy i koszulę.

- Dzień dobry, doktor Earnshaw. Pomyślałem, że zje pani z nami śniadanie po obejrzeniu naszych pacjentów.

Na myśl o jedzeniu poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła, ale musiała zachować siły na wypadek, gdyby nadarzyła się okazja do ucieczki.

- Mogę znowu panią skuć, ale sądzę, że już się pani zorientowała, jak daleko od cywilizacji jesteśmy - oznajmił Dash.

Sara nie miała pojęcia, gdzie są, ale kiwnęła głową.

- Grzeczna dziewczynka. - Odsunął się, by wyszła z chaty przed nim.

Zdusiła w sobie złość za tę „dziewczynkę”, jakby była dzieckiem albo kłaczą wyścigową. Musiała zachować spokój. Pod drzwiami stał jeden z wartowników z motelu w czarnym stroju polowym i AR-15 na ramieniu.

Postawiła stopę na kłodzie, która służyła za schodek. Próbowwała

zorientować się w topografii terenu. Las był gęsty, ale za chatą biegła wyraźna ścieżka. Zmrużyła oczy. Słońce wyglądało znad gór. Było około wpół do szóstej rano. Znajdowali się u stóp łańcucha Appalachów, chociaż to w żaden sposób nie ułatwiało lokalizacji. Gdyby założyć, że motel leżał w zachodniej części Georgii, mogli być w Tennessee lub Alabamie. Ale równie dobrze mogli być na wschodnich stokach gór północnej Georgii niedaleko obu Karolin.

Ruszyła ścieżką. Zamiast ominąć zwalone drzewo, postanowiła nad nim przejść. Wyczuła, że Dash wyciąga ręce, by jej pomóc, ale odsunęła się od niego, ignorując udawaną galanterię.

- Myślę, że będzie pani mile zaskoczona tym, co tu zobaczy - zagadnął.

Sara przygryzła wargi. Póki na końcu tej ścieżki nie znajdzie auta, które zawiezie ją do domu, nie spodziewała się niczego miłego.

- Jestem zakładniczką. Przebywam tu wbrew swojej woli.

- Miała pani wybór. - W tonie Dasha była nutka zbytnej zażyłości i lekkości. Próbował wprowadzić swobodę w ich kontaktach, jakby rewolwer w kaburze i uzbrojony strażnik nie dawali mu przewagi.

Sara odsunęła gałąź od twarzy. Jej skórę pokrywała gruba warstwa brudu, krwi i potu. Dyskretnie obmyła się chłodną wodą z wiadra, musiała jednak z powrotem włożyć brudne ubrania. Szorty miała sztywne od zaschniętej krwi, a koszulka cuchnęła potem. Miała wrażenie, że stanik i majtki zamieniły się w papier ścierny. W tej chwili była chodzącym materiałem dowodowym dla techników kryminalistyki. Zastanawiała się, co mogłaby zrobić: skaleczyć się gałązką jeżyn, zostawić ślady krwi, oznaczyć nią ścieżkę dla Charliego Reeda i Willa, by wiedzieli, że tu była. Will.

W motelu najpierw narysowała dla niego serduszko na suficie. Ryzykowała, zostawiając wiadomość, ale bardzo chciała mu przekazać, że wie o rozpoczętych poszukiwaniach.

- Tatusiu! - zawołała radośnie mała dziewczynka.

Sara patrzyła na dziecko biegnące po polanie. Po sposobie poruszania się oceniła dziewczynkę na pięć, najwyżej sześć lat. Mimo sprawności motorycznej nie umiała jeszcze koordynować ruchów podczas szybkiego biegu. Upadła, ale zaraz podniosła się rozchichotana. Miała na sobie prostą białą sukienkę do ziemi z kołnierzykiem zapiętym pod szyją. Rękawki sukienki kończyły się tuż poniżej łokci. Jasne włosy sięgały do pasa. Sara poczuła, że nie tyle cofnęła się w czasie, ile wylądowała na planie serialu „Domek na prerii”.

Rozejrzała się po polanie wielkości boiska do koszykówki i między drzewami zobaczyła osiem kolejnych chat. Były większe niż jej jednoizbowa cela, miały okna, drzwi o poziomych skrzydłach, ceglane kominy. Robiły wrażenie trwałych i jednocześnie nietrwałych. Na krzeselkach siedziały kobiety obierające kukurydzę i fasolkę. Niektóre zamiatały obejścia chat. Inne doglądały gotujących się na ognisku potraw albo mieszały w kadziach pranie. Wszystkie miały długie włosy upięte na czubku głowy. Żadnych pasemek, żadnych farb, ani śladu makijażu. Były ubrane w proste białe sukienki z długimi rękawami i wysokimi kołnierzykami. Z biżuterii miały wyłącznie obrączki.

I same białe twarze.

- Cukiereczku! - Dash podniósł dziewczynkę zdrową ręką i posadził sobie na biodrze. - A buziak?

Mała cmoknęła go w policzek.

- Tatusiu! - zawołała inna dziewczynka. Potem jeszcze jedna. W końcu pięć dziewczynek podbiegło do Dasha i wtuliło się w niego, obejmując go w pasie. Najmłodsza miała około pięciu lat, najstarsza nie więcej niż piętnaście. Wszystkie były ubrane w jednakowe proste białe sukienki z długimi rękawami i wysokimi kołnierzykami. Młodsze dziewczynki nosiły rozpuszczone włosy, ale piętnastolatka miała już kok jak starsze kobiety. Spojrzała na Sarę nieufnie, gdy obejmowała

ojca w pasie.

W sumie sześć dziewczynek, które nazwały go ojcem. Wśród nich para bliźniaczek. Reszta mogła być córkami różnych kobiet albo jednej, której życie od kilkunastu lat wyznaczały kolejne ciążę i okresy karmienia.

- Bracie! - zawołał młody mężczyzna z przeciwległego końca polany. Kontrast z kobietami był uderzający. Ten mężczyzna był ubrany na czarno jak strażnik i na ramieniu niósł karabin, ale w przeciwieństwie do strażnika był jeszcze nastolatkiem. Pasował na skauta albo sprawcę strzelaniny w szkole. - Oddział wrócił z misji, bracie - oznajmił Dashowi.

Z misji?

- Wystarczy, moje panny. - Dash uwolnił się z objęć córek.

Wszystkie karnie ustawiły się w rzędzie, by ucałować go w policzek. Najstarsza dziewczynka była jedyną, która sprawiała wrażenie niezadowolonej z tego rytuału. Rzuciła Sarze kolejne czujne spojrzenie. Trudno było powiedzieć, czy przemawia przez nią troska o ojca, czy zakłopotanie charakterystyczne dla nastolatek.

- Doktor Earnshaw, proszę mi wybaczyć. Moja żona zjawi się za chwilę - powiedział.

Sara patrzyła za nim, jak wchodzi na strome wzgórze. W dziennym świetle wyglądał na starszego, niż sądziła, teraz dałaby mu ze czterdzieści pięć lat, z tym że miał ten rodzaj chłopięcej twarzy, która utrudniała dokładne określenie wieku. Jego uprzejmość i opanowanie bez cienia złości czyniły go nieodgadnionym. Spośród wszystkich ludzkich uczuć gniew był najszybszym i najbardziej bezpośrednim sposobem komunikowania emocji. Sara nie chciała znaleźć się w polu rażenia prawdziwych emocji Dasha, gdyby kiedykolwiek wybuchł.

- Jestem głodna! - zawołała jedna z dziewczynek.

Roześmiana grupka zaczęła się oddalać, popychając się, szturchając, wskakując na siebie jak rozbrykane kocięta, z wyjątkiem

najstarszej, która znowu rzuciła w stronę Sary badawcze spojrzenie, zmierzając do strefy kuchennej.

Sara usiłowała pochwycić jej wzrok, ale dziewczyna unikała patrzenia jej w oczy. Zamiast tego obserwowała młodsze siostry. Dziewczynki kręciły się dookoła własnej osi, aż do zawrotów głowy. Ich widok przypomniał Sarze siostrzenicę, co kazało jej pomyśleć o siostrze, a potem o efekcie domina uruchomionego jej zniknięciem. Od chwili, kiedy ostatni raz widziała matkę stojącą na ulicy ze strzelbą Belli, kamienie domina pewnie już zaczęły się przewracać. Tessa przyleci z RPA. Eddie natychmiast przyjedzie z hrabstwa Grant. Bella będzie zbyt roztrzęsiona, żeby gościć ich u siebie, więc wylądują w mieszkaniu Sary, co oznacza, że Will zostanie stamtąd wyeksmitowany.

Poczuła, że znowu chce jej się płakać.

Rodzice go przytłoczą. Będzie bał się powiedzieć coś nie tak, przez co powie coś jeszcze bardziej niezręcznego, wtedy Cathy na niego warknie, a Eddie zechce załagodzić sytuację niewyszukanym kalamburem, którego Will nie zrozumie, ponieważ dysleksja jest zaburzeniem w przetwarzaniu języka, więc zamiast uśmiechnąć się czy wręcz zaśmiać, by rozładować napięcie, przechyli głowę na bok i pośle jej ojcu to swoje zdziwione spojrzenie, które każe Eddiemu zadać sobie pytanie, co z tym facetem jest nie tak, i Sarze pozostawała tylko nadzieja, że podróż Tessy nie potrwa dłużej niż dobę, ponieważ jej siostra była jedyną osobą na świecie, która mogła uratować Willa przed jej rodzicami.

Zamrugnęła, by powstrzymać napływające łzy. Próbowwała zająć umysł zdroworozsądkowym rozumowaniem. Will po nią przyjedzie. Wiedziała to na pewno. Musiał tylko wiedzieć, z czym ma do czynienia, by ułożyć plan.

Omiotła wzrokiem las. Nie dostrzegła tego wcześniej, ale co najmniej sześciu uzbrojonych mężczyzn siedziało na ambonach

myśliwskich między drzewami. Czego strzegli? Na pewno nie jej. Wypatrywali intruzów czy pilnowali mieszkańców obozu? Na polanie naliczyła osiem dorosłych kobiet i trzynaścioro dzieci od trzech do piętnastu lat. Dash zniknął za szczytem wzniesienia. Przypuszczała, że jest tam więcej chat, więcej mężczyzn, kobiet i dzieci oraz więcej strażników.

Dlaczego?

Poszukiwanie odpowiedzi na to pytanie przerwały jej okrzyki radości. Dzieci zaczęły zabawę w chowanego. Najmłodsza córka Dasha zasłoniła oczy i zaczęła odliczanie, a pozostałe dziewczynki rozpierzchnęły się po terenie. Część pobiegła do lasu, część wybrała ścieżki rozchodzące się z polany. W sumie Sara doliczyła się pięciu ścieżek. Gęste listowie zapewniało chatom osłonę. Z helikoptera czy samolotu Obóz byłby niewidoczny. Sara zastanawiała się, czy chaty są pozostałością po dawnych osadnikach. Ale teren wyglądał na nietknięty ludzką ręką. Wiele drzew miało grube pnie, co znaczyło, że rosną tu od bardzo dawna.

W oparciu o czas spędzony w furgonetce wydedukowała, że nadal znajduje się na terenie Georgii. Eddie Linton regularnie ciągnął rodzinę na biwaki w górach, ale to doświadczenie nie pomogło Sarze dokładniej określić swojej lokalizacji. Jeśli już, to raczej pogłębiło poczucie izolacji. Chattahoochee National Forest zajmował obszar ponad trzech i pół tysiąca kilometrów kwadratowych i leżał na terenie osiemnastu hrabstw. Trzy tysiące dwieście kilometrów dróg i szlaków. Dziesięć obszarów dzikiej przyrody. Springer Mountain w Paśmie Błękitnym była początkiem Szlaku Appalachów, liczącego sobie około trzech i pół tysiąca kilometrów i kończącego się w Maine.

Ten teren był naturalną siedzibą dla kojotów i lisów, pod kamieniami chowały się jadowite węże, a latem baribale wędrowały w górę pasma w poszukiwaniu owoców i jagód.

Sara obserwowała dwójkę dzieci zrywających jabłka z drzewa.

- Jestem Gwen. - Kobieta, która podeszła do niej, najpewniej była tuż po trzydziestce, ale wyglądała na starszą. To wrażenie pogłębiały blada wymizerowana twarz i zgaszone spojrzenie. - Podobno jest pani lekarką. - Sara. - Wyciągnęła rękę na przywitanie.

Gwen wyglądała na zakłopotaną, jakby straciła umiejętność witania się z ludźmi. Z ociąganiem wyciągnęła dłoń, która była mokra od potu jak u Sary. Skórę miała stwardniałą od pracy. - Macie tu epidemię odry, tak? - zapytała Sara.

- Tak. - Gwen wytarła dłonie w fartuch i ruszyła w stronę odległego długiego baraku.

Sara poszła za nią, a kiedy znalazły się bliżej, zobaczyła na dachu baraku panele słoneczne. Na zewnątrz były prysznic i umywalka.

- Zaczęło się sześć tygodni temu. Kwarantanna nie pomogła, było coraz gorzej - powiedziała Gwen.

Sara nie była zaskoczona. Odra to jedna z najbardziej zaraźliwych chorób zakaźnych znanych człowiekowi, przenoszona drogą kropelkową albo powietrzną. Przebywanie w pomieszczeniu, w którym dwie godziny wcześniej była osoba zarażona, już niesło ryzyko zachorowania. Dlatego tak ważne było zaszczepienie jak największej liczby zdrowych dzieci.

- Ile osób zostało zarażonych? - zapytała.

W oczach Gwen zalśniły łzy.

- Dwoje dorosłych i dziewiętnaścioro dzieci. Jedenaścioro nadal jest odizolowanych. Straciliśmy... straciliśmy dwoje naszych aniołków.

Sara starała się opanować gniew. Dwoje dzieci umarło z powodu choroby, która w Stanach Zjednoczonych praktycznie została wyeliminowana przed dwudziestu laty.

- To na pewno odra, nie różyczka?

- Na pewno, pani doktor. Jestem pielęgniarką i znam różnicę między odrą a różyczką...

Sara zagryzła wargi, żeby nie wybuchnąć.

Jej reakcja nie uszła uwadze Gwen, która szybko wyjaśniła:

- Jesteśmy zamkniętą społecznością.

Sara nie zdołała ugryźć się w język i wypaliła:

- Jedna z zarażonych dorosłych osób musiała przywlec odrę z zewnątrz. Twój mąż i jego ludzie byli wczoraj w Atlancie. Zamordowali dziesiątki ludzi, wśród nich policjantów, i podłożyli dwie bomby. - Przyglądała się reakcji Gwen. Na jej twarzy nie było ani zaskoczenia, ani zawstydzenia, więc Sara skupiła się na omówieniu medycznych skutków. - Codziennie miasto odwiedzają tysiące cudzoziemców. Każdy z waszych ludzi mógł tu przywlec krztusiec, świnkę, rotawirusa, pneumokokowe zapalenie płuc, zapalenie opon mózgowych. - Gdy Gwen spuściła nisko głowę i znów wytarła dłonie w fartuch, Sara spytała: - Gdzie jest Michelle?

- Pękł jej wyrostek robaczkowy, zanim usunęli go operacyjnie. Dałam jej czterysta miligramów moksyflokscyny i zszyłam nacięcie.

Sara wydała z siebie długie westchnienie. Zakrwawiony bandaż chirurgiczny na podbrzuszu Michelle w końcu nabrał sensu.

- Potrzebuje co najmniej pięciu dni rekonwalescencji. Podawaj jej lek i klarowne płyny. Musi odpoczywać. Ma leżeć. Dopilnuj tego.

- Dopilnuję.

- Dlaczego przywieźli ją tutaj? Co miała robić?

Gwen nie podniosła głowy, tylko gestem wskazała barak i powiedziała: - Tędy.

Sara poszła przed nią. Nie skończyła jeszcze wyciągać z niej informacji.

- Widać, że znacie procedury kwarantanny i możecie wdrożyć leczenie wspomagające, bo macie dostęp do antybiotyków. Dlaczego porwali Michelle?

Gwen wpatrywała się w swoje stopy, jakby musiała skoncentrować się na stawianiu kroków. Była przygarbiona, skulona ze strachu jak Michelle. Znowu przyłożyła ręce do fartucha i zaczęła je wycierać.



Sara usłyszała śmiech dzieci, ale innych niż te na polanie. Dobiegał z kierunku północnowschodniego, w którym poszedł Dash. Przypuszczała, że w drugiej części Obozu przebywali zdrowi członkowie społeczności. Pytania pojawiały się jedno po drugim: Ilu ludzi mieszka w tych górach? Dlaczego zabrali Michelle do Atlanty, skoro bliżej mieli dziesiątki innych szpitali? Dlaczego podłożyli bomby? Dlaczego tak im zależało na zachowaniu Michelle przy życiu? Czego chcieli od niej?

- Tutaj. - Gwen zatrzymała się przy umywalce przed barakiem.

Sara umyła dłonie mydłem naturalnym. Woda była gorąca, więc wyszorowała całe ręce, szyję i twarz.

- Mogłaby pani dostać czyste ubranie - powiedziała Gwen.

- Nie, dziękuję. - Sara nie miała zamiaru upodobnić się strojem do dziecka z epoki wiktoriańskiej. - Ilu dorosłych przebywających tutaj zostało zaszczepionych?

Gwen przejrzała jej intencje i odpowiedziała na trochę inne pytanie:

- Mamy dwunastu nieszczepionych mężczyzn i dwie kobiety.

- A reszta?

- Są w obozie głównym.

Sara miała rację co do niezainfekowanej części terenu. Pomyślała o Dashu, który dał się córkom pocałować w policzek, zanim ruszył ścieżką w górę. Jeśli któraś z nich była zarażona, przeniósłby wirusa na drugą stronę.

- Moja mała Adriel wciąż przechodzi kwarantannę.

- Masz siedmioro dzieci? - Sara popatrzyła na nią z niedowierzaniem. Ta kobieta ledwie przekroczyła trzydziestkę. Nic dziwnego, że wyglądała na kompletnie wyczerpaną.

- Bóg jest dobry - odparła Gwen.

Sara sięgnęła po ręcznik ze stosu przy umywalce i wytarła ręce. Ręcznik był lniany, nie frotté, bez metki i wieszaczka. Szew wyglądał

na ręczny. Czyżby Obóz był zamieszkały przez wyznawców jakiejś sekty? Tego typu organizacje raczej nie wysadzały niczego w powietrze. Członkowie takich grup raczej wypijali truciznę albo pikietowali pogrzeby.

- Czy wasza religia zakazuje szczepień? - zapytała Sara.

Gwen pokręciła głową i odparła pytaniem na pytanie:

- Ma pani dwoje dzieci, tak?

Sara musiała wzmóc czujność, zanim odpowiedziała:

- Tak, dwie córki.

Kąciki zaciśniętych warg Gwen uniosły się nieznacznie w słabym uśmiechu.

- Dash mówił, że pani mąż zginął na służbie. Wygląda na to, że świat jest pełen wdów.

Sara nie zamierzała nawiązywać bliskiej więzi z tą kobietą.

- Czy Vale i Carter mają tu żony?

Uśmiech Gwen zniknął.

- Nie żyli między nami. Byli najemnikami.

- Najemnicy walczą na wojnach.

- Jesteśmy na wojnie. - Gwen podała Sarze maseczkę chirurgiczną.

- Musimy wykorzystywać wszystkie zasoby, jakimi dysponujemy. Cyrus był poganinem, ale przywrócił porządek na świecie.

Sara przez całe swe życie wysłuchiwała mnóstwo opowieści biblijnych snutych przez matkę.

- Król Cyrus głosił też tolerancję i współczucie. Powiesz to samo o swoim mężu?

- Zadmiemy w trąbę z góry - odparła Gwen. - „Ja tworzę światło i stwarzam ciemności, sprawiam pomyślność i stwarzam niedolę<sup>8</sup>”.

Tak mówi Pan.

Sara zawiązała maskę, by ukryć pod nią emocje. Nie była przeciwniczką religii tak bardzo jak ludzie, którzy używali tego jako broni. Pokochała medycynę między innymi z powodu niezmienności

naukowych faktów. Liczba atomowa helu zawsze wynosiła dwa. Punkt potrójny wody był bezsporną podstawą definicji skali Kelvina. Nie potrzeba wiary religijnej, by wierzyć w te dane. Wystarczyła matematyka.

Weszła po schodach. Otwieraniu drzwi towarzyszył dźwięk ssania. Uderzyła ją w nozdrza woń środka do dezynfekcji. Barak był długi i wąski, chłodzony przez dwa przenośne klimatyzatory szumiące łagodnie w kątach. Duża szafka na leki była pełna alkoholu do dezynfekcji, gazików, strzykawek, woreczków strunowych z kolorowymi pigułkami.

Kroplówki leżały w przepelnionych lodówkach turystycznych.

Wśród pacjentów krążyły trzy kobiety i nacierały ich kawałkami tkaniny moczzonej w zimnej wodzie. Zachowanie kobiet zmieniło się, gdy Gwen podeszła do szafki. Jej ciężkim krokom towarzyszyło skrzypienie drewnianej podłogi. Każda z kobiet szybko podeszła do następnego pacjenta, a Sara zauważyła, że wymieniły między sobą ukradkowe spojrzenia. Wiedziała, że w pewnych sytuacjach należy zwracać szczególną uwagę na takie subtelności. Te kobiety bały się Gwen, co oznaczało, że miały ku temu powód.

Omiotła wzrokiem salę, gdy Gwen kładła potrzebne rzeczy na wózek. Naliczyła dwadzieścia łóżek polowych, w tym jedenaście zajętych.

Białe prześcieradła otulały drobne ciała, blade buzie stapały się z białymi poduszkami. Czuła ich cierpienie każdą cząstką siebie. Kaszel, kichanie, dreszcze, płacz. Najgorzej było z tymi, które leżały bez ruchu.

Ogarnął ją bezbrzeżny smutek.

- Mamy to... - Gwen wskazała wózek, na którym leżały rękawiczki, stetoskop, wziernik do badania kanału słuchowego i błony bębenkowej oraz oftalmoskop do badania oczu.

Dziewczynkę leżącą w kącie męczył atak kaszlu. Jedna z kobiet

podbiegła do niej i podstawiła wiaderko pod buzię. Inna dziewczynka zaczęła cicho płakać. Reszta dzieci dołączyła do niej jedno po drugim.

Wszystkie cierpiały i rozpaczliwie potrzebowały pomocy.

Sara otarła łzy wierzchem dłoni i zwróciła się do Gwen:

- Powiedz, skąd zacząć.

- Od Benjamina. - Poprowadziła ją do chłopca leżącego pod oknem. Białe prześcieradło zasłaniało szybę, by chłopcu łatwiej było znieść upał.

Obok łóżka stało krzesło. Sara usiadła i ujęła chłopca za rękę. Drżał na całym ciele mimo rozpalonej skóry. Na twarzy miał wysypkę, która w końcu obsypie go całego. Zmiany na skórze zaczynały się łączyć. Z każdym kasznięciem policzki chłopca czerwieniały coraz bardziej.

- Jestem doktor Earnshaw - przedstawiła się Sara. - Spróbuję ci pomóc, dobrze?

Powieki chłopca uniosły się nieco. Kaszel dudnił mu w piersi. Zwykle Sara wyjaśniała wszystko, co robi i dlaczego, ale ten mały pacjent był zbyt chory, by ją zrozumieć. Mogła tylko zbadać go jak najszybciej, by mógł znowu zapaść w sen.

Przy łóżku znalazła kartę informacyjną. Osiem lat, ciśnienie 85/60, temperatura 37,8°C. Choroba zaczynała się od gorączki, apatii, braku łaknienia oraz kaszlu, nieżytu śluzowego nosa i zapalenia spojówek. Benjamin kasłał już bez przerwy. Z nosa ciekło mu tak obficie, że śluz zasychał nad górną wargą. Jego oczy wyglądały, jakby ktoś polał je wybielaczem. Według zapisu w karcie temperatura ciała utrzymywała się na poziomie 37,8°C od trzeciej nad ranem.

Odra jest infekcją wirusową, a nie bakteryjną, którą można wyleczyć antybiotykami. Mogli jedynie podać chłopcu tylenol, kroplówki i przecierać ciało tkaniną zmoczoną w letniej wodzie. A potem pozostawała tylko modlitwa, by nie wystąpiły powikłania, takie jak utrata wzroku, utrata słuchu, zapalenie mózgu, lub też po siedmiu, czasem dziesięciu latach, a nawet jeszcze później podostre

stwardniające zapalenie mózgu, choroba degeneracyjna prowadząca do śpiączki i śmierci.

- Benjamin to nasz najnowszy przypadek - wyjaśniła Gwen. - Krostki pojawiły się dwa dni temu.

Potem przyszła wysypka. Chłopiec prawdopodobnie miał kontakt z wirusem czternaście dni temu, co oznaczało, że poddanie go kwarantannie mogło powstrzymać epidemię. Marne pocieszenie dla rodziców, którzy już stracili swoje dzieci albo będą się borykać z ciężkimi i nieodwracalnymi powikłaniami.

- Jego kaszel nasilił się w nocy - dodała Gwen.

Sara ugryzła się w język, by znowu na nią nie naskoczyć. Nie mogła uwierzyć, że kobieta z wykształceniem pielęgniarskim naraża życie swoich dzieci, dając wiarę wielokrotnie obalonym tezom pseudonauki i słowom byłej modelki „Playboya”. Jeśli ktokolwiek potrzebowałby prawdziwego dowodu na absolutną konieczność szczepień, powinien poznać historię życia Helen Keller.

Sara włożyła rękawiczki.

- Benjaminie, teraz cię zbadam. Postaram się zrobić to najszybciej, jak się da. Otworzysz buzię, żebym mogła do niej zajrzeć?

Chłopiec z najwyższym wysiłkiem starał się trzymać otwartą buzię, gdy przyszedł kolejny napad kaszlu.

Sara wykorzystwała światło wziernika, by obejrzeć buzię dziecka. Plamki Koplika wystąpiły na podniebieniu miękkim i w części ustnej gardła. Wyraźnie widziała biały środek otoczony czerwoną obwódką.

- Musimy obniżyć mu gorączkę - powiedziała.

- Mogę kazać przynieść lód.

- Niech przyniosą, ile się da. Śmiertelność w ostrym zapaleniu mózgu wynosi piętnaście procent. Powikłania neurologiczne występują u dwudziestu pięciu procent chorych.

Gwen skinęła głową, ale jako pielęgniarka sama to wiedziała.

- Nasze dwa aniołki odeszły przez to.

Sara nie wiedziała, czy ma się pieklić, czy płakać.

- Gwen? - zawołała jedna z kobiet, która stała nad łóżkiem innego śmiertelnie chorego dziecka.

Sara wzięła krzesło i usiadła przy łóżku trzy, może czteroletniej dziewczynki, której jasne włoski rozrzucone na poduszce ułożyły się w wachlarz. Miała skórę bladą jak kreda. Leżała na prześcieradle wilgotnym od potu. Oddychała ciężko, jej ciałem raz po raz wstrząsał suchy kaszel. Wysypka przybrała miedziany odcień, co oznaczało, że mała choruje od tygodnia. Sara włożyła nową parę rękawiczek i uniosła dziewczynce powieki. Gwen podała jej oftalmoskop. Sara struchlała. Spojówki były czerwone, powieki spuchnięte. Objawy wskazywały na zapalenie rogówki. Osłuchiwała płuca. Z obu dobiegało charakterystyczne rżenie.

Jeśli obustronne zapalenie płuc jej nie zabije, dziewczynka prawdopodobnie będzie niewidoma przez resztę życia.

- To moja Adriel - powiedziała Gwen.

Sara walczyła z narastającym poczuciem bezradności.

- Potrzebujemy testów laboratoryjnych, by stwierdzić, czy zapalenie płuc jest bakteryjne, czy wirusowe.

- Mamy zithromax - odparła Gwen.

Sara zdjęła rękawiczkę i położyła dłoń na czole Adriel. Dziewczynka płonęła z gorączki. Antybiotyk mógł zrujnować przewód pokarmowy małej, musiały jednak zaryzykować.

- Podaj go jej - poleciała.

Gwen otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Po namyśle zmieniła zdanie.

- Jeśli da mi pani listę, spróbuję zdobyć to, co według pani może pomóc.

Pomóc mogłoby lotnicze pogotowie ratunkowe, które zabrałoby te chore dzieci do cywilizacji.

Przy jednym z łóżek Gwen znalazła notes i ołówek.

- Możemy kupić to hurtem w aptece. Proszę powiedzieć, czego potrzeba. Zaaplikować możemy sami.

Sara spojrzała na ostrą końcówkę ołówka leżącego na pierwszej stronie notesu. Próbowwała zebrać myśli.

- Dziesięć tubek tobreksu w maści, dziesięć w postaci kropli. Dziesięć vigamoksu. Nie wiemy, czy infekcje oczu i uszu się rozprzestrzenia. - Sara zmieniała rękawiczki. Obserwowała ruchy ołówka wędrującego w dół strony, gdy Gwen zapisywała najpierw ilość, stawiała myślnik, a po nim wpisywała nazwę leku. - Pięć dogoxinu, pięć seroquelu, dwadzieścia albo więcej tubek hydrokortyzonu na wysypkę. Dziesięć erytromycyny, pięć tubek lamisilu na zakażenia grzybicze... Nadążasz?

Gwen potwierdziła skinieniem.

- Dziesięć erytromycyny, pięć limisilu.

Sara dyktowała, aż Gwen wypełniła całą kartkę. Nie mogły jechać do najbliższej apteki, co oznaczało, że leki musi dostarczyć ktoś z zewnątrz.

- Przypuszczam, że nie chcecie mojej licencji czy numeru identyfikatora?

- Nie. - Gwen przeglądała listę, stukając ołówkiem w każde zapisane na kartce słowo. - Sama nie wiem... Dużo tego.

- Macie tu mnóstwo chorych dzieci. Ktokolwiek pójdzie do apteki, przekaz mu, że na liście są leki w kolejności od najważniejszych. Coś jest lepsze niż nic.

Gwen wydarła kartkę z notesu i przekazała listę jednej z kobiet, która bez słowa wyszła z baraku.

Sara włożyła końcówki stetoskopu do uszu. Odwróciła się do dziewczynki na sąsiednim łóżku. Ta miała na imię Martha. Pokryte wysypką kąciki ust były popękane i zarażone drożdżakami. Jenny, dziewczynka leżąca obok Marthy, cierpiała na zapalenie płuc. Sara przeszła do kolejnych chorych. Dzieci były w wieku od czterech do

dwunastu lat. Prócz Benjamina leżały tam same dziewczynki. Sześć z zapaleniem płuc. Zapalenie spojówek Adriel przeszło na inne dziecko. Dwie dziewczynki miały objawy infekcji ucha, które można by zdiagnozować w każdym gabinecie pediatrycznym. Sara mogła jedynie doradzić ciepłe okłady i mieć nadzieję, że dzieci nie stracą słuchu.

Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, kiedy skończyła oględziny ostatniej chorej, ciemnowłosej i niebieskookiej czteroletniej Sally, która kasłała tak bardzo, że w prawym oku pękło jej naczynko. Sara wróciła do najbardziej chorych dzieci. Z braku innych możliwości mogła tylko potrzymać je za rękę i pogłaskać po głowie, sprawiając wrażenie, że jako lekarka ma magiczną moc przywrócenia im zdrowia. Że wkrótce znowu będą się bawić, rysować kredkami, biegać i kręcić się jak bączki, aż zawiruje im się w głowie i padną w trawę.

Te kłamstwa ciążyły Sarze jak kamienie na piersiach utrudniające zaczerpnięcie oddechu. Wychodząc z baraku, zdjęła rękawiczki. Upał ją osaczył. Umyła ręce w umywalce. Woda była tak gorąca, że parzyła skórę, chociaż z powodu odrętwienia nie czuła bólu. Nie mogła opanować drżenia całego ciała. Jedno, może jeszcze dwoje dzieci czekała śmierć. Powinny leżeć w szpitalu, potrzebowały opieki pielęgniarskiej i lekarskiej, badań diagnostycznych, sprzętu medycznego i nowoczesnych technologii, które wróciłyby im siły i uratowały życie.

Gwen schodziła po schodach, znowu wycierając dłonie w fartuch.

- Dash wysłał listę do naszego dostawcy. Dostaniemy leki po południu około...

Sara zaczęła oddalać się od Gwen. Nie wiedziała, dokąd idzie. Wiedziała tylko, że nie powinna odejść zbyt daleko. Przecinając polanę, zobaczyła, że uzbrojeni strażnicy wzmagają czujność. Dwóch zeskoczyło z ambon. Dwóch wychynęło zza drzew. Mieli noże przy



pasie, broń w kaburze, strzelby w umięśnionych rękach. Wszyscy byli młodzi, niektórzy jeszcze przed dwudziestką. I wszyscy bez wyjątku biali.

Zignorowała ich. Udała, że ich obecność nie ma znaczenia, ponieważ w tej chwili naprawdę tak było. Usłyszała szmer wody, czyli w pobliżu był strumień. Wybrała jedną z krętych ścieżek. Szmer przeszedł w szum. Strumień okazał się rzeką. Sara opadła na kolana przy brzegu. Skały utworzyły w tym miejscu wodospad. W rwącej lodowatej wodzie zanurzyła dłonie, potem głowę. Potrzebowała silnego bodźca, by otrząsnąć się z tego koszmaru.

Kontakt z lodowatą wodą nie pomógł. Usiadła na stopach, oparła dłonie na kolanach. Z mokrych włosów pozlepianych w grube strąki ściekała woda. Czowała się bezużyteczna, bo nic nie mogła zrobić dla tych nieszczęsnych dzieci. Czy Michelle czuła to samo? Była tu od miesiąca. Patrzyła na śmierć dwójki dzieci, obserwowała rozwój infekcji w Obozie. Wiedziała, co się wydarzy, i nie była w stanie temu zapobiec.

Ona też nie mogła.

Zakryła twarz dłońmi, łzy pociekły jej z oczu. Nie mogła opanować płaczu. Cała się trzęsła, zgięła się w pół, dając się ponieść emocjom. Płakała nie tylko z obawy o los tych dzieci, ale także nad własną stratą. Przed laty pogodziła się z niemożnością posiadania dziecka, ale wezbrała w niej nienawiść do Gwen i reszty kobiet w Obozie, które naraziły własne dzieci na tak wielkie niebezpieczeństwo.

Za plecami usłyszała trzask gałązki.

Zerwała się na równe nogi, unosząc pięści, i zobaczyła Dasha.

- Dziękuję za pomoc, pani doktor. Wiem, że to trudne - powiedział.

Miała ochotę plunąć mu w twarz.

- Kim wy jesteście? Co tu robicie?

- Jesteśmy rodzinami, które postanowiły żyć z darów ziemi.

- Te dzieci są chore. Niektóre...

- Dlatego pani tu jest, pani doktor. Pan w swojej łaskawości zesłał nam pediatrę.

- Powinien wam zesłać namioty tlenowe, antybiotyki dożylnie, respiratory...

- Zdobędziemy wszystko, co wpisała pani na listę. Gwen powiedziała, że wierzy w pani umiejętności.

- A ja nie! - Sara uświadomiła sobie, że zaczęła krzyczeć, ale nie dbała o to. - Jeśli wierzy pan w cuda, to niech się pan modli o cud. Pańska córka jest ciężko chora. Życie wszystkich dzieci jest zagrożone. Rozumiem religijne uprzedzenia wobec szczepień, ale pan takowych nie ma. Najwyraźniej nie kontestujecie współczesnej medycyny. Zawieźliście Michelle do szpitala. Moglibyście pomóc waszym dzieciom, ale zamiast tego pozwalacie im cierpieć w imię... w imię czego?

Dash splótł dłonie, ale nie do modlitwy. Chciał dać Sarze czas na ochłonięcie, jakby można było otrząsnąć się z dramatu, w który została wciągnięta.

W końcu powiedział:

- Wygląda na to, że ma pani do mnie różne pytania.

Sara nie wierzyła w szczere odpowiedzi Dasha, ale nie chciała zmarnować szansy.

- Po co istnieje to miejsce?

- Ach - rzucił Dash, jakby Sara mówiła obcym językiem, który tylko on mógł zrozumieć. - Chce pani wiedzieć, skąd się tu wzięliśmy, tak?

Wzruszyła ramionami. I tak usłyszy od Dasha tylko to, co chce jej powiedzieć.

- Jesteśmy w tych górach od ponad dekady. Żyjemy prostym życiem. Sami się o siebie troszczymy. Jedność rodzin jest nierozzerwalna. Szanujemy ziemię. Nie bierzemy więcej, niż potrzebujemy, i oddajemy nadwyżkę, o ile możemy. W tę ziemię wsiąka nasza krew. - Dash urwał w oczekiwaniu, że Sara wpisze się

w tonację opowieści białego nacjonalisty o krwi i ziemi.

Kiedy nie zareagowała, ciągnął:

- Przywiódł nas tu ojciec Gwen, prawy zwolennik Konstytucji i amerykańskiej suwerenności.

Sara czekała na ciąg dalszy.

- Naszego przywódcy nie ma już między nami, ale kontynuujemy jego misję bez niego. Na tym polega piękno tego systemu. Nie potrzebujemy przywódcy aż tak bardzo, jak potrzebujemy zwolenników świata, do którego próbujemy powrócić. Świata prawa i porządku, gdzie ludzie znają swoje miejsce i rozumieją swoją pozycję w systemie. Każde koło potrzebuje trybiku, by właściwie się obracać. W tej krucjacie prowadzi nas wiara, a nie konkretny przywódca. Kiedy jeden upada, inny wstaje, by go zastąpić.

- I tak się jakoś składa, że przywódcą zawsze jest mężczyzna?

Dash uśmiechnął się.

- To naturalny porządek. Mężczyźni prowadzą, kobiety podążają.

Sara zignorowała tę upraszczającą świat brednię.

- Należycie do jakiejś grupy religijnej czy...

- Wśród nas są wierzący szczerze i prawdziwie, ale ja się do nich nie zaliczam ku wielkiemu rozczarowaniu mojej żony. Większość z nas to pragmatycy. To nasza religia. Jesteśmy Amerykanami. To nas łączy.

- Michelle też jest Amerykanką.

- Michelle to lesbijka, która urodziła mieszańca.

Sara poczuła się jak ogłuszona. Chodziło nie tyle o słowa Dasha o córce Michelle, ale o sposób, w jaki opadła z niego maska, spod której wyłoniła się odrażająca twarz. To był prawdziwy Dash. Ten Dash, który podkładał bomby i bez skrępowań zabijał.

Równie szybko maska wróciła na swoje miejsce.

Dash poprawił temblak na szyi i uśmiechnął się.

- Doktor Earnshaw, jest pani dobrą kobietą. Szanuję to, że

zdecydowała się pani tu przyjechać i pomóc naszym dzieciom. – Puścił do niej oko, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że to żart. – Jak mówiłem wczoraj, kiedy nasze maluchy otrzymają pomoc, będzie pani mogła odejść stąd wolno.

Sara nie mogła zapomnieć jego haniebnych słów o córce Michelle. To był prawdziwy Dash, a nie ta uprzedzająco grzeczna karykatura, którą prezentował światu.

– Jest pan terrorystą. Widziałam, jak zastrzelił pan człowieka z zimną krwią. I mam wierzyć panu na słowo?

Dash zachował swój wystudiowany spokój.

– Vale został stracony za przestępstwa wojenne. Jesteśmy żołnierzami, nie zwierzętami. Działamy zgodnie z Konwencją Genewską.

Wojna.

To słowo wciąż się pojawiało, najpierw w ustach Gwen, a teraz Dasha.

– Przeciwno komu walczyacie?

– Nie walczymy przeciwko czemuś, doktor Earnshaw. My walczymy o coś. – Posłał jej uśmiech pełen samozadowolenia, ale tacy mężczyźni zawsze byli z siebie zadowoleni, żywiąc przekonanie, że reszta świata się myli, a tylko oni poznali prawdę. – Wiem, że ominęło panią śniadanie, ponieważ zajęła się pani naszymi pacjentami. Za chwilę podadzą lunch. Mam nadzieję, że pani do nas dołączy.

Myśl o siedzeniu przy jednym stole z tym człowiekiem i zjedzeniu z nim posiłku budziła większą odrazę niż sama myśl o jedzeniu, ale Sara musiała zachować siły. Nie mogła ulec rozpaczycy. Nie mogła dać się złamać jak Michelle.

– Tędy proszę. – Dash wskazał jej ścieżkę i czekał.

Sara ruszyła w kierunku polany. Ręce wciąż jej drżały, a treść żołądka podchodziła do gardła. Brudne i cuchnące ubranie budziło w niej odrazę. Cała czuła się odrażająca. Przyczesła mokre włosy

palcami. Głowa jej parowała. Słońce stało wysoko nad grzbietami gór. Na chwilę oślepił ją błysk światła. Promienie słońca padły na szybę. Potknęła się o kamień.

Odzyskała równowagę, zanim Dash zdążył ją złapać.

Nie zatrzymując się, szła z wyprostowaną głową, lecz rzucała spojrzenia na boki.

Tuż za drzewami znajdowała się szklarnia.

W drodze nad rzeczkę przeoczyła szklaną konstrukcję. Dach był na środku szpiczasty, przez świetliki uchodziło gorące powietrze. Szklarnia miała szerokość przyczepy campingowej. Wewnątrz szklanej konstrukcji stał namiot. Odbijał światło, miał kolor folii aluminiowej.

Przewody elektryczne biegły na zewnątrz do drewnianej szopy. Sara zobaczyła możliwy do holowania generator z tłumikiem i kolejne panele słoneczne. Złowiła cichy szum jakichś urządzeń za szklanymi ścianami, w namiocie. Dźwięk metalu trącego o metal. Odgłos przesuwania.

Tłumionych ludzkich głosów.

Słyszała pracujących ludzi, nawet kiedy budowla zniknęła jej z oczu.

Obóz.

Kobiety i chore dzieci. Chłopcy bawiący się w żołnierzy. Kompleks ukryty między drzewami. Szklarnia z odblaskowym namiotem termoizolacyjnym, który uniemożliwiał śmigłowcom z kamerami termowizyjnym zajrzenie do środka.

Kiedy zapytała Gwen o męża, ta zacytowała proroka Izajasza:

„Ja tworzę światło i stwarzam ciemności, sprawiam pomyślność i stwarzam niedolę”.

Piętnaście osób straciło życie w Emory. Jeden z ich grupy zginął podczas ucieczki. Na jej oczach Dash zamordował przypadkowego dostawcę chipsów oraz jednego ze swoich najemników.

Jaką jeszcze niedzielę planował sprowadzić na innych?

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

PONIEDZIAŁEK, 5 SIERPANIA, GODZINA 6:10

Will siedział po drugiej stronie biurka Amandy w siedzibie GBI przy Panthersville Road. Zegar ścienny wskazywał dziesięć po szóstej rano. Will obserwował, jak Amanda czyta raporty z nocy. Wyniki sekcji zwłok mężczyzny, którego Will zastrzelił w miejscu wypadku, oraz dwóch mężczyzn znalezionych w motelu. Wyniki oględzin porzuconej furgonetki dostawczej, bmw Sary i pokoju w motelu.

„Beau. Bar. Dash. Myśli. Hurley. Nie. Żyje. Spivey. Ja. OK. Na. Razie.”.

Will splótł dłonie. Kłykcie miał spuchnięte i posiniaczone. Głowa mu pękała, pulsujący ból czaił się za gałkami ocznych, był nieznośny i dokuczliwy. Mózg generował serie natrętnych myśli. Ból brzucha promieniował na nerki. Will siedział na skraju krzesła, ponieważ pozycja z podpartymi plecami byłaby udręką.

- Sara napisała, że na razie jest okay. Wiadomość głosową przesłała wczoraj o czwartej pięćdziesiąt cztery. To trzynaście godzin temu.

Szesnaście po uprowadzeniu.

Amanda zerknęła na niego znad okularów do czytania.

- Cokolwiek jest w tych papierach - ciągnął Will - nie zmieni faktu, że trzech mężczyzn z wypadku nie żyją, a jeden jest w naszych rękach. Nikt nie wie, jak wyglądam, ani nawet że tam byłem. Poślij mnie tam pod przykrywką. NAP straciła czterech ludzi. Potrzebują kogoś z konkretnymi umiejętnościami do zrealizowania kolejnego planu. Muszę do nich przeniknąć. Tylko tak się dowiemy, jak ich powstrzymać.

Amanda milczała przez długą chwilę, robiąc wrażenie, że rozważa prośbę Willa, po czym stwierdziła:

- Tajny informator FBI był naszym dojściem do NAPu. Niestety leży w kostnicy.

Adam Humphrey Carter nie mógł być jedynym dojściem.

- Znam cię, Amando. Nie posłałabyś mnie tam bez swojego tajnego informatora. Masz kogoś w środku, kto może za mnie poręczyć. Amanda nie zaprzeczyła, mówiąc przy tym:

- Zapomniałeś, że w miejscu wypadku było pięciu ludzi? Nie możesz mieć pewności, że Dwight cię nie widział.

- Przez cały czas był nieprzytomny.

- A Michelle?

Na to pytanie Will nie mógł odpowiedzieć. Nie miał pojęcia, co się stanie, jeśli Michelle Spivey go rozpozna. W jednej chwili zachowywała się brawurowo, w drugiej umierała ze strachu.

- Wilburze...

- A co z wiadomością Sary? - zapytał. - Pierwsze słowo, jakie napisała, to „Beau”. Drugie to „Bar”. Może podsłuchiwała Beau, gdy rozmawiał z Dwightem. Albo poszli do baru. Wiem, że ty...

- Oto co wiem. - Amanda rzuciła w jego stronę jeden z raportów. - To wyniki badań Charliego w motelu.

Will wpatrywał się w zapisane kartki. Za bardzo bolała go głowa, by rozszyfrowywać słowo po słowie. Nie chciał pomagać sobie linijką przy dzieleniu słowa na literki jak pierwszoklasista, zwłaszcza w obecności Amandy.

Zdecydował się na zaczepne:

- No i?

Amanda wyrwała mu raport z rąk.

- Michelle Spivey zadźgała Cartera. Jej odciski palców były na wezglowiu łóżka. Dowody wskazują, że rzuciła się na niego, usiadła okrakiem na jego nogach, oparła prawą rękę o wezglowie nad jego ramieniem, a potem zadała mu siedemnaście ciosów w szyję, klatkę piersiową i brzuch.



Will próbował przekuć morderczy szal Michelle w pozytywny.

- Ona stawia opór. Walczy. Mogłaby być naszym sprzymierzeńcem.

- Jest niebezpieczna i nieprzewidywalna. Nie mogę ryzykować, że odbije jej przy tobie. W najgorszym wypadku cię zadźga. W najlepszym może powiedzieć swoim porywaczom, gdzie cię poznała.

Will wzruszył ramionami, ponieważ już sobie przyrzekł, że kiedy następnym razem będzie chodziło o życie Sary albo jego, to on podejmie decyzję za nich oboje.

Amanda przewracała strony następnego raportu.

- Teraz człowiek, którego zabiłeś w miejscu wypadku. Przedstawił się jako Merle. Został zidentyfikowany jako Sebastian James Monroe. Służył w wojskowym korpusie inżynieryjnym. Karnie zwolniony za przemoc domową. Od tamtego czasu unikał kłopotów, ale ewidentnie coś szykował.

Will nie zapytał, skąd miała tę informację. Zwykle Pentagon nie ujawniał szczegółów bez nakazu i kilometrów papierów.

- Przemoc domowa. Gwałt też?

- Nie.

Will nie umiał stwierdzić, czy Amanda kłamie.

- A Vince? Ten, którego postrzeliłem w pierś?

- Oliver Reginald Vale. Też były żołnierz, ale nie znaleźliśmy żadnych punktów styecznych z Monroe. Honorowo zwolniony ze służby pięć lat temu. Żadnej kartoteki. W oparciu o fakt, że goście przybrali pseudonimy od piosenkarzy country, których imiona zaczynają się na taką samą literę, co ich prawdziwe imiona, możemy założyć, że Dwight to Dash z wiadomości pozostawionej przez Sarę w łazience. To ewidentnie ksywka.

- Dash - powtórzył Will. To imię sprawiło, że zagotował się z wściekłości. Nie pamiętał żadnego szczegółu prócz przeciętnego wzrostu, wagi i karnacji. Całą jego uwagę skupili przytomni

mężczyźni. Uznał, że to Hurley kieruje grupą.

- Z wiadomości od Sary wynika, że Dash uważa Hurleya za martwego.

- I tak ma zostać.

Amanda nie rozumiała sensu słów Willa, a raczej udała, że nie rozumie. Sara przekazała im, że to, co Dash myśli o Hurleyu, jest ważne. Co oznaczało, że powinni się skupić na zidentyfikowaniu Dasha. Jeśli nie poznają jego tożsamości, nie będą wiedzieli, jak go odnaleźć. A jeśli nie odnajdą Dasha, to przypuszczalnie nigdy nie odnajdą Sary.

Musieli zrobić, co następuje: ustalić numery ubezpieczenia Hurleya, Cartera, Vale'a i Monroe. Zajrzeć do historii kredytowej, w których są adresy, numery telefonów komórkowych, dane z kart kredytowych, numery rejestracyjne samochodów. Pogadać z sąsiadami o wyjazdach i przyjazdach. Ustalić numery telefonów, na które dzwoniли, sklepy i restauracje, w których bywali. Szukać punktów stychnych. Metodycznie analizować zdobyte dane, póki prawdziwe nazwisko Dasha albo jego charakterystyka powiedzą im, kim jest.

Will mógł też zrobić numer swojemu głupiemu mózgowi i zadać Amandzie oczywiste pytanie:

- Czy odciski Dasha są w wojskowej bazie danych?

- Nie ma ich w żadnej istniejącej bazie danych. Dysponujemy próbką krwi z rany Dasha na tylnym siedzeniu chevroleta malibu, ale jej obróbka potrwa jeszcze dwadzieścia cztery godziny. Wiesz równie dobrze jak ja, że skoro linii papilarnych Dasha nie ma w bazach danych, to jest mało prawdopodobne, by jego profil DNA zaprowadził nas pod frontowe drzwi Dasha. W najlepszym przypadku zyskamy potwierdzenie po fakcie.

Will potarł podbródek i poczuł ostry zarost. Nie golił się dziś rano. Miał na sobie ten sam szary garnitur co wczoraj. Całą noc

przesiedział na kanapie, odsłuchując wiadomość od Sary i doszukując się w niej potwierdzenia, że wszystko z nią w porządku.

I wciąż wracał myślami do punktu wyjścia:

Sara wysłała mu wiadomość o czwartej pięćdziesiąt cztery.

Co się stało o czwartej pięćdziesiąt pięć?

- Dash stoi na czele NAPu - powiedział.

- Zgadza się - potwierdziła Amanda. - Carter powiedział FBI, że Dash rozdaje karty w tej grupie. Nie założył Niewidzialnej Armii Patriotów, ale kręcił się przy niej od ponad dziesięciu lat. Gdy stanął na jej czele, stworzył ramy organizacyjne i sprecyzował cele. FBI raczyło podzielić się ze mną tą informacją dopiero dziś rano. Rysopis Dasha, jakim dysponują, jest bezużyteczny jak ten, który ty przekazałeś. Nagranie z kamery monitoringu w Emory też nic nie dało, bo Dash doskonale znał rozmieszczenie kamer, miał czapkę i cały czas trzymał opuszczoną głowę. Jest mistrzem unikania identyfikacji. Można powiedzieć, że faktycznie wcielił w życie niewidzialność Niewidzialnej Armii Patriotów.

Will splótł dłonie i oparł je na biurku.

- Amando, błagam cię, daj mi pracować pod przykrywką. Znajdę Dasha. Podam ci go na srebrnej tacy.

Sięgnęła po następny raport i zaczęła czytać:

- Broń to zarejestrowany Glock 19 Gen5 z odwróconym zatrzaskiem magazynka i blokadą przesuwaną zamka dostosowaną dla leworęcznego strzelca. NIST z pomocą algorytmu wykorzystującego metodę CMC wyliczyła współczynnik prawdopodobieństwa... - To moja broń - przerwał jej Will.

- Z twojego Glocka zastrzelono Vale'a w pokoju motelowym.

Will próbował wzruszyć ramionami, ale powstrzymał go kłujący ból w żebrach.

- Wystrzeliłeś ze swojej broni dwukrotnie w miejscu wypadku samochodowego. Zabiłeś podejrzanego. Postrzeliłeś drugiego

podczas ucieczki. Spuściłeś łomot trzeciemu. Teoretycznie powinieneś zostać zawieszony na czas wewnętrznego śledztwa.

- Zawieś mnie. - Will miał plan. Sebastian James Monroe. Oliver Reginald Vale. Adam Humphrey Carter. Robert Jacob Hurley. Osaczy ich jak kojot na polowaniu.

- Nie wstawaj, Wilburze. - Amanda popatrzyła ponad jego ramieniem w stronę holu. - Co masz? - zapytała.

Faith położyła na biurko zapieczętowane torebki z dowodami, spojrzała na Willa i zawahała się.

- Faith? - ponagliła ją Amanda.

Faith położyła dłoń na ramieniu Willa i zaczęła mówić:

- To cała zawartość kieszeni Ragnersena. Teraz badają jego ciężarówkę. Zevon już znalazł obrzyna pod siedzeniem.

Will potarł brodę. Nazwisko Ragnersen nic mu nie mówiło, ale Zevon Lowell był agentem GBI, który czekał na nich wczoraj wieczorem w motelu.

- Co się dzieje? - zapytał Amandę.

- Toczy się śledztwo. A myślałeś, że co? - Przesunęła torebki po blacie biurka. Zawierały męski skórzany portfel, iPhone'a, komplet kluczyków do samochodu, nóż sprężynowy.

- Czekaj. - Will obrócił nóż w torebce na różne strony, by lepiej mu się przyjrzeć. - To mój. Dźgnąłem nim Cartera. Kiedy go widziałem ostatni raz, wystawał mu z krocza.

- Wyobrażam sobie to dziesięciocentymetrowe ostrze wielokrotnie wbijane w tułów i pierś Cartera - powiedziała Amanda.

Will nie odrywał wzroku od noża. Skupił wszystkie myśli wyłącznie na nim. Właśnie tym nożem dźgnął Cartera. Michelle użyła go do tego samego. Ktoś usunął nóż z ciała Cartera, co oznaczało, że ktoś, kto miał nóż, był wczorajszej nocy w motelu.

Skórzany portfel. Breloczek do kluczy z logo GMC Denali. iPhone w czarnym silikonowym etui.

Will musiał przełknąć ślinę, by wydobyć z siebie głos.

- Skąd to masz?

Amanda gestem nakazała Faith zamknąć drzwi, rozsiadła się wygodniej w fotelu, zdjęła okulary i skrzyżowała ramiona.

- Znaleźli go przy Beau Ragnersenie.

Beau. Bar.

- To były sanitariusz wojskowy powiązany z siłami specjalnymi - mó-wiła dalej. - Zielone berety. Jego akta są tak tajne, że nie mogę do nich zajrzeć. Wysłaliśmy papiery do Pentagonu drogą służbową, ale czekanie na odpowiedź potrwa co najmniej miesiąc. Mój kontakt powiedział mi tylko, że Ragnersen brał udział w ciężkich walkach w Iraku i Afganistanie. Został odznaczony Purpurowym Sercem i zarobił szrapnelem w plecy.

Will przypomniał sobie enigmatyczną rozmowę Zevona z Amandą wczorajszego wieczora. Agent specjalny pracował w wydziale narkotykowym. Nie zebrał tych informacji o Beau Ragnersenie w ciągu dwóch godzin, kiedy Amanda jechała do hrabstwa Rabun.

Will zacytował Zevona:

- On robi pieniądze w Macon.

Faith usiadła obok Willa i posłała mu niespokojne spojrzenie.

- Ragnersen rozprowadza czarną heroinę.

- Jezu. - Will nie był w stanie ukryć szoku. Czarna heroina była zwykle łączona z czarną pastą do butów, czasem nawet z ziemią. Charakterystyczna dla Georgii czerwona glina dawała jej brązowy odcień. Zażywali ją tylko desperaci albo pragnący śmierci.

- Kiedy byłam w czynnej służbie - zaczęła Amanda - widziałam mnóstwo weteranów palących heroinę po powrocie z Wietnamu. Wstrzykiwanie jej powoduje zwapnienie żył. Zażywanie w postaci kropli do nosa może spowodować uduszenie się własną krwią. Czopki prowadzą do krwotoków wewnętrznych. Nie ma łatwej drogi wyrwania się z hery, która nie prowadziaby przez kostnicę.

Dlatego Will tak nienawidził prochów. Jako dziecko widział zbyt wielu dorosłych robiących straszne rzeczy dla zdobycia jednej działki.

- Meksykanie kontrolują przepływ prochów na przedmieścia - powiedziała Amanda. - Na czarną heroinę głównie jest popyt wśród mniejszości etnicznych, a w Macon to oznacza Afroamerykanów. Cena sięga poziomu działki cracku z połowy lat osiemdziesiątych. Ragnersen nie jest wielkim graczem na tym rynku, obsługuje rynek niszowy. Faith wyjęła notatnik i dodała:

- Najlepiej zarabia na tabletkach, ale nie takich, o jakich myślisz. Antybiotyki, insulina, statyny. To legalne leki, których ludzie potrzebują, ale nie stać ich na nie. W Macon działa potężny czarny rynek. Mieszka tu mnóstwo ludzi bez ubezpieczenia z chorobami przewlekłymi. Policja w Macon dwukrotnie zatrzymała go z pigułkami w schowku, w nieoznakowanych woreczkach strunowych. Przyjęli, że to opiaty. W maju dwa tysiące siedemnastego przyszły wyniki z laboratorium. Okazało się, że to metformina i Beau został oczyszczony z zarzutów. Drugi raz, w lutym dwa tysiące osiemnastego, znaleźli coś, co się nazywa gabapentyna. Używa się tego w wielu przypadkach, ale głównie przy bólach neuropatycznych. Sędzia posłał go za kratki.

Pałeczkę przejęła Amanda:

- Policja w Macon podejrzewa, że Ragnersen jest też sanitariuszem na wezwanie. W wojsku nabył odpowiednie umiejętności. Pracuje głównie z miejscowymi gangami. Jeśli cię postrzelą i nie chcesz, żeby gliniarze maglowali cię w szpitalu, to służę pomocą.

- Tu mam prawdziwą rewelację - oznajmiła Faith, a Amanda czekała na ciąg dalszy. - Bank Wells Fargo, gdzie zatrzymano Martina Novaka, leży na obrzeżach Macon. Jeden z ludzi Novaka dostał postrzał w brzuch. Wczoraj na spotkaniu powiedzieli nam, że facet nie mógłby przeżyć takiego postrzału bez pomocy medycznej. - Faith zawiesiła głos w oczekiwaniu, że Amanda znowu się włączy. Nie

doczekawszy się tego, zwróciła się do niej: - Myślisz, że to Beau Ragnersen wyjął kulę?

Amanda podała jej raport z sekcji zwłok.

- Sebastian James Monroe vel Merle, człowiek, którego Will zabił w miejscu wypadku, miał na brzuchu rozległą bliznę po poprzednim postrzale, powstała nie wcześniej niż w ostatnich dwóch latach. Z opisu wynika, że został opatrzony przez kogoś z wiedzą medyczną, weterynarza albo pielęgniarkę chirurgiczną.

- Albo byłego sanitariusza ze służb specjalnych. - Faith pstryknęła palcami. - Bingo. To wiąże Monroe z Wells Fargo, co z kolei wiąże go z Novakiem. Mamy więc dowód na powiązania Novaka z NAPem.

Musisz poinformować FBI. Niech rozpętają piekło.

- Wszystko, co powiedziałaś, to albo spekulacja, albo myślenie życzeniowe - odparła Amanda. - W FBI już znają twoją teorię. Nie są przekonani.

Faith rzuciła raport na stos dokumentów na biurku.

- Oczywiście. Nic nowego.

- Powiem to jasno i wyraźnie, żeby nie było wątpliwości: skupiamy się na odnalezieniu Sary i Michelle Spivey. To wszystko. Większe kawałki tej układanki nie leżą w naszej gestii. Ludzie z agencji rządowej US Marshals Service pilnują Novaka. Szukanie powiązań Novaka z NAPem nie należy do GBI. FBI prowadzi śledztwo w sprawie bomb w kampusie. Szukanie powiązań NAPu z wybuchami w kampusie nie należy do GBI. My pracujemy nad sprawą uprowadzenia i porwania.

- Więc mamy młotek, ale nie możemy go użyć do wbicia gwoźdźcia?

- Posłuchaj. - Amanda zabębniła palcami w blat biurka dla podkreślenia wagi słów. - Naprawdę muszę wam przypominać o Waco i Ruby Ridge? FBI ma do czynienia z paramilitarnymi organizacjami białych nacjonalistów o wiele dłużej niż my.

- Tak. I pod ich czujnym okiem stały się zbyt białe, żeby upaść.

- Faith! - Amanda w widoczny sposób starała się zachować spokój.  
- Musimy uczyć się na błędach przeszłości. Chcesz, żeby GBI uczyniło z Dasha i NAPu grupę męczenników, która będzie inspirować następne pokolenia krajowych terrorystów, czy wolisz raczej, żebyśmy powoli i metodycznie rozpracowali tę sprawę i doprowadzili do skazania na mocnych podstawach?

Will miał gdzieś metodyczne gromadzenie dowodów. Chciał znaleźć Dasha, ponieważ w ten sposób znajdzie Sarę.

- Gdzie jest Beau? Tutaj?

Faith czekała, aż Amanda skinie głową na znak przyzwolenia.

- Uspokaja się na dole - odparła, po czym zwróciła się do Amandy:  
- Plusem jest to, że aresztowaliśmy go za napaść na agenta. Trochę się wkurzył, że go wyciągają z łóżka w środku nocy. Uderzył Zevona i złamał mu nos.

Środek nocy.

Ta fraza uaktywniła mózg Willa. Beau nie został aresztowany z powodu czyjejś spontanicznej decyzji. Amanda przywiozła go tu, kiedy Will siedział na kanapie w oczekiwaniu na dźwięk budzika, by ruszyć do działania i odnaleźć Sarę.

- Wilburze, masz coś do powiedzenia? - zapytała Amanda.

Miał mnóstwo do powiedzenia, ale ograniczył się do:

- Chcę z nim porozmawiać.

- Nie wątpię.

Telefon komórkowy Beau w jednej z torebek na dowody nagle się ożywił. Na ekranie wyświetliło się powiadomienie o nowej wiadomości. Faith przeczytała treść powiadomienia.

- To mail z konta na gmailu z przypadkowymi literami i cyframi. W temacie jest ASAP. Bez kodu dostępu więcej nie przeczytam.

Amanda wstała zza biurka. Zdjęła zakiet z oparcia krzesła i włożyła go, po czym powiedziała:

- Faith, przynieś ten telefon.



Will otworzył drzwi. Trzymał dłoń na gałce, ponieważ świat zawirował mu przed oczami. Amanda minęła go w drzwiach z BlackBerry w rękach. Jej palce biegały wprawnie po klawiaturze. Powlókł się za nią, z trudem utrzymując równowagę. Czuł się jak na rozkołysanym pokładzie statku. Jaskrawe światło pulsowało, wdzierając się boleśnie w głąb mózgu. Pomyślał, że może właśnie dostał udaru.

- Wyglądasz koszmarnie - syknęła Faith. - Jedź do domu albo poproś Amandę o drugą połówkę tej tabletki.

Will zacisnął zęby, ale to tylko pogłębiło ból głowy. To światło było źródłem jego cierpienia. Lampy świeciły zdecydowanie za jasno.

- Nie możesz nawet iść prosto. - Faith zarzuciła dyskretny szept. - Jeśli chcesz pomóc Sarze, musisz wyglądać jak normalny człowiek.

Weź tę cholerną tabletkę.

Will szedł, wodząc palcami po ścianie. Faith się o niego martwiła. Zawsze krzyczała, kiedy się martwiła. Chyba powinien okazać jej wdzięczność.

- Nic mi nie jest - wydukał.

- Jasne, matole. - Faith otworzyła zębami torebkę na dowody i złapała wypadający z niej iPhone X Beau. To był model większy niż przeciętny iPhone, bez klawisza HOME. Will domyślał się, że handel czarną heroiną i lekami to całkiem lukratywny biznes.

Amanda otworzyła drzwi na klatkę schodową.

- Faith, dziś po południu musisz odbyć jeszcze jedno spotkanie.

Faith mruknęła coś pod nosem, tocząc się za Amandą schodami w dół. Oglądała iPhone'a Beau. Ekran nadal był zablokowany. Etui z czarnego silikonu miało żłobiony uchwyt. Faith oderwała rogi, by sprawdzić, czy znajdzie coś między telefonem a etui. Nic.

Drzwi pod nimi się otworzyły. U dołu schodów stanęło dwóch agentów. Czekali z wejściem na schody, by przepuścić Amandę, i unieśli lekko brody na widok Willa. Pewnie chcieli dać mu do

zrozumienia, że wiedzą, przez co przechodzi. Sara była jedynym powodem, dla którego go zauważali. Will przez długie lata nie czuł koleżeńskiej wspólnoty z nikim z tego budynku prócz Faith i Charliego. Potem Sara zaczęła tu pracę i po piętnastu latach nagle zaczął przynależeć do wspólnoty.

Amanda była już w połowie holu. Will musiał wydłużyć krok, by za nią nadążyć. Otworzyła drzwi do pomieszczenia dla obserwatorów, ale nie weszła do środka. Skinęła na Faith, nakazując jej iść dalej.

- FBI aresztowało Hurleya - powiedziała do Willa. - Wywożą go poza granice stanu. Nie dostaniemy drugiej szansy na przesłuchanie. Zamach bombowy to śledztwo federalne. Ale jak długo FBI będzie utrzymywać, że to nie ma związku z NAPem, mamy Dasha wyłącznie dla siebie.

- Musimy przejrzeć numery ubezpieczenia i...

- Wszystkim się zajęliśmy, Will. Pracujemy nad tym od wczorajszego wieczora. - Amanda zmrużyła oczy. - Jesteś gotowy?

Will wszedł do pokoju dla obserwatorów. W środku było ciemno i dokuczliwy ból głowy natychmiast złagodniał. Will stanął przed dwustronnym lustrem z rękami w kieszeniach. Patrzył na mężczyznę, którym, jak się domyślał, był Beau Ragnersen. Były żołnierz siedział przy stole ze skutymi rękami. Łańcuch biegł przez metalową obręcz wystającą z blatu. Naprzeciw niego stały dwa plastikowe krzesła. Beau miał zwieszoną głowę, a pot spływał mu z twarzy. Przedtem był aresztowany dwukrotnie, ale przez policję w Macon. Człowiek, który zmonopolizował rynek dla zrozpaczonych chorych ludzi, znał różnicę między zatargiem z miejscową policją a konfrontacją ze stanowymi organami ścigania.

Faith otworzyła drzwi.

- Ej, dupku.

Beau podniósł głowę.

Faith pokazała mu jego iPhone'a. Program do rozpoznawania

twarży przeskanował rysy Beau i odblokował ekran.

- Kurwa! - Beau szarpnął łańcuchem, ale stół był przymocowany do podłogi, więc mógł tylko kopniakiem posłać krzesło na ścianę.

Po drugiej stronie lustra Will usłyszał tłumiony łomot. Ściany w pokoju przesłuchań były wyłożone grubymi akustycznymi panelami, by mikrofony wyłapywały każde pociągnięcie nosem, prychnięcie, kaszel czy wymamrotane przyznanie się do winy.

Faith weszła do pokoju dla obserwatorów z triumfalnym uśmiechem.

- Mail do Beau z ASAP w temacie brzmi: „Spotkanie dziś w stałym miejscu o 16:00”. Potem następuje długa lista leków, przy każdym z nich podana jest ilość. „Tobrex -10. Vigamox -10. Digoxin -10. Seroquel -5. Hydrokortyzon maść -20. Erytromycyna -10. Lamisil -5.

Phenytoin -5. Dilantin -10. Zovirax -10. Lido...

- Zaraz, zaraz. - Amanda zaglądała Faith przez ramię. - Hydrokortyzon. Erytromycyna. Lamisil. Phenytoin. W co układają się pierwsze litery tych nazw?

- O cholera, ale numer! - niemal wykrzyczała Faith. - Spójrz na dalszy ciąg listy. Lidokaina. Ibuprofen. Neosporyna. Taxol. Ofloxacin. NebuPent.

- Mądra dziewczyna! - Amanda wzniosła pięść w geście triumfu.

Faith uniosła dłoń, by przybić z Willem piątkę, a on odwzajemnił się słabym klepnięciem. Nie miał pojęcia, skąd ten wybuch entuzjazmu z powodu listy leków.

- Will! - Faith pokazała mu telefon. - W tej liście jest ukryta wiadomość. Zignoruj resztę liter. Patrz tylko na to. Pierwsze litery nazw leków układają się w szyfr: HE-LP, a potem LI-NT-ON.

Will potrząsnął głową. Słyszał, co mówi Faith, ale nie rozumiał.

- Tę listę podyktowała Sara. Przesłała nam ukrytą wiadomość. „Pomóżcie Linton”.

Pomóżcie Linton.

Słowa zabrzmiały echem w uszach Willa. Oparł się ręką o ścianę. Przestał oddychać, przestał myśleć, przestał odbierać bodźce zewnętrzne.

Był skupiony wyłącznie na jednym: Sara znowu wyciąga do niego rękę.

Po pomoc.

- Tutaj. - Faith powiększyła listę, jakby to miało poprawić sytuację. Wskazała litery. - HE-L...

Will skinął, więc przestała. Widział cyfry, ale słowa tańczyły mu przed oczami. Najważniejsza była ta część komunikatu. Szósta czterdzieści dziewięć rano. Sara żyła i była w stanie przesłać zaszyfrowaną wiadomość.

- Wiemy, że Sara spotkała Beau. - Amanda spojrzała na Faith. - Musiała dojść do wniosku, że to właśnie on będzie realizował tę listę.

- Plastry z opatrunkiem. Izotonik gatorade - czytała dalej Faith. - Maść Boudreaux's Butt. To na pieluszkowe zapalenie skóry, ale można używać tego na spierzchniętą skórę, oparzenia, zadrapania. Większość wygląda jak z listy specyfików dla dzieci. Amoksylicyna, cefuroksym, acetaminophen w płynie. W szafce z lekami mam tego mnóstwo.

- Aspiryna - przeczytała Amanda. - Nie dałabyś tego dziecku z powodu niebezpieczeństwa wystąpienia zespołu Reye'a.

- Potrzebujemy lekarza, który zerknie na tę listę i powie nam, czy coś przeoczyliśmy - powiedziała Faith.

- Idź - rzuciła Amanda, ale Faith już była za drzwiami.

- W temacie maila jest ASAP - powiedział Will. - Beau ma się spotkać z kimś od nich, żeby przekazać leki. Chcę tam być. Wymyślimy jakąś wiarygodną historyjkę.

- To nie Dash spotka się z Ragnersenem. Sam to mówiłeś. Dowódca nie ułatwia spraw. Przyśle swojego posłańca.

- Posłaniec może... - Will znowu musiał oprzeć się o ścianę, by

odzyskać równowagę. - Posłaniec może mnie do nich zabrać. Naprowadzić. Znajdę sposób, żeby się tam dostać. Potrzebuję tylko gościa, który...

- Gadaj sobie dalej, a ja wyślę maila. - Amanda znowu zatopiła się w swoim BlackBerry. Pisała tak szybko, że Will nie nadążał za ruchem jej kciuków.

Odwrócił wzrok. Jasny ekran atakował jego oczy wiązkami maleńkich igiełek. Mózg znowu zamienił się w balon. Will czuł, jak uderza w czaszkę od środka. Wciągnął w płuca tyle powietrza, ile zdołał, potem wypuścił je powoli, na ile pozwoliły obolałe żebra. Odsunął od siebie ten sam strach, który nękał go przez całą noc.

Sara przysłała zaszyfrowaną wiadomość o szóstej czterdzieści dziewięć dzisiaj rano.

Co się stało o szóstej pięćdziesiąt?

- Chcesz usiąść? - zapytała Amanda.

Pokręcił głową, co tylko pogłębiło zawroty. Nie rozumował jasno, nie dostrzegał związków między faktami. Odtwarzał w pamięci entuzjastyczną rozmowę Amandy z Faith, póki nie odzyskał jasności myśli na tyle, by sformułować pytanie:

- Powiedziałaś Faith: wiemy, że Sara spotkała Beau. Masz jakiś dowód na to? Na suficie Sara napisała tylko „Beau” i „Bar”. To wcale nie znaczy, że go spotkała. Mogła usłyszeć jego imię. Może Dash albo jeden z jego ludzi...

Amanda uniosła palec, nakazując mu zamilknąć. Skończyła maila, włożyła telefon do kieszeni i spojrzała na Willa.

- Wczoraj w motelu Charlie znalazł częściowy odcisk palca na dolnej krawędzi plastikowego stołu przy drzwiach. Odcisk pasuje do Beau Ragnersena.

Will przypomniał sobie kolejny szczegół, jaki Zevon przekazał Amandzie.

- Beau jest dozorcą w motelu. Jego odciski są pewnie wszędzie.

- Ragnersen zostawił odciski we krwi Cartera. Według Charliego struktura odcisku wskazuje, że krew była świeża, kiedy Ragnersen jej dotknął. Co oznacza, że był tam w chwili zadźgania Cartera. Dzięki temu dostaliśmy nakaz przeszukania jego domu. Odcisk jest niezbitym dowodem, że był w pokoju w chwili morderstwa. Zrobiliśmy nalot o trzeciej nad ranem.

Trzecia nad ranem. O tej godzinie Will siedział na kanapie, odtwarzając nagranie Sary jak zrozpaczony nastolatek. Czuł, jak szczęka zaciska mu się ze złości. Nie na Amandę. Równie dobrze mógłby się wściekać na węża za pełzanie. Złościł się na siebie. Nie powinien był jechać do domu. - Dlaczego mi tego nie powiedziałaś wczoraj wieczorem?

- Bo potrzebowałaś odpoczynku. Wciąż go potrzebujesz. Powinieneś być sam w ciszy i w ciemności. Masz poważne wstrząśnienie mózgu. Zabiłeś człowieka, drugiego postrzeliłeś. Straciłeś kobietę, z którą jak głupek nie ożeniłeś się natychmiast po sfinalizowaniu jej rozwodu, a ja mogę albo tu zostać i zmienić ci pieluchę, albo razem wejdziemy do tego pokoju i zmusimy Beau Ragnersena, żeby zabrał cię pod przykrywką na spotkanie, na którym przekonasz posłańca Dasha, żeby ci pomógł dotrzeć do NAPu.

Will spiorunował ją wzrokiem. Dopiero po chwili dotarł do niego sens jej słów.

Spojrzał przez lustro weneckie. Beau wciąż trzymał splecione dłonie na stole. Miał długą brodę, ale fryzurę żołnierza. Był żylasty i umięśniony jak zawodnicy MMA. Sprzedawał czarną heroinę zdesperowanym ćpunom i brał gotówkę za łątanie rannych przestępców. W tej chwili był jedyną szansą Willa na odzyskanie Sary.

- Masz drugą połówkę tej aspiryny? - zapytał Amandę.

Sięgnęła do kieszeni żakietu. Jej pudełeczko na leki było srebrne z różową różyczką na wieczku.

- W torebce mam więcej. Jeśli będziesz ich potrzebował, musisz poprosić. Aspiryna może ci zniszczyć żołądek.

Will połknął tabletkę bez popijania. Nie pozwolił Amandzie wyjść pierwszej z pokoju obserwatorów. Nie przytrzymał jej drzwi. Wyszedł na korytarz i ruszył prosto do pokoju przesłuchań. Jaskrawe światło lamp wdarło się do źrenic. Oczy zaczęły mu łzawić. Otworzył drzwi.

Tym razem Beau nie podniósł głowy. Wpatrywał się w swoje dłonie naprężony jak skradziony nóż Willa i stukał piętą w podłogę. Albo był ćpunem na głodzie, albo zrozumiał, że skończyło się dla niego dotychczasowe życie. Może jedno i drugie. Człowiek nie nosi w sierpniu długich rękawów, chyba że próbuje ukryć blizny na ramionach.

Will napiął mięśnie brzucha, by podnieść krzesło, które Beau kopnął pod ścianę. Delikatnie postawił je przy stole, obiema dłońmi złapał oparcie i czekał.

- Dzień dobry, kapitanie Ragnersen. - Amanda wparowała do pokoju i zajęła drugie krzesło. - Nazywam się Amanda Wagner, jestem zastępczynią szefa GBI. A to agent specjalny Will Trent.

Beau w końcu podniósł głowę i zmierzył Willa baczny wzrokiem. Will rozprostował palce na oparciu, prezentując krwiaki i rozcięcia.

Chciał dać Beau do zrozumienia, że nie stroni od rękoczynów.

- Kapitanie Ragnersen - zaczęła Amanda - pańskie prawa zostały już panu odczytane. Chcę tylko przypomnieć, że wszystko, co mówi pan w tym pokoju, jest nagrywane. Powinien pan również wiedzieć, że okłamywanie agenta z Biura Śledczego Stanu Georgia jest przestępstwem zagrożonym karą do pięciu lat więzienia. Czy pan to rozumie?

Beau nie spuszczał wzroku z Willa. Najwyraźniej nie lubił sytuacji, w których górował nad nim inny mężczyzna. Uniósł arogancko brodę w odpowiedzi na pytanie Amandy.

- Odnotowuję, że aresztant potwierdził skinieniem głowy -

powiedziała Amanda. – Kapitanie Ragnersen, został pan aresztowany za napaść na agenta Zevona Lowella, ale od naszej ostatniej rozmowy dodano do listy kilka innych zarzutów.

Beau oderwał wzrok od Willa. Zmierzył Amandę wzrokiem od stóp do głów i skrzywił usta skryte w gęstwinie brody. Ewidentnie nie akceptował kobiet w roli przełożonych, co z kolei dla Willa stanowiło największą zaletę kobiet u władzy.

– W oparciu o wyniki analiz pańskiego samochodu dodaliśmy do listy zarzutów następujące punkty: nielegalna przeróbka lufy broni przeznaczonej do strzelania z ramienia, co jest pogwałceniem paragrafu szesnaście kodeksu karnego stanu Georgia. Ponadto lufa została skrócona do czterdziestu pięciu centymetrów, prawie o siedem milimetrów krócej niż zezwala ustawa o broni palnej z tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku. To przestępstwo czwartej klasy zagrożone karą od dwóch do dwudziestu lat więzienia. Jeśli udowodnimy, że miał pan przy sobie tę broń jako osoba zamieszana w inne przestępstwa, a mianowicie porwanie, zabójstwo, gwałt, rabunek, to winduje nielegalne posiadanie broni do przestępstwa drugiej klasy zagrożone karą od dwudziestu lat więzienia do dożywocia. I to jeszcze zanim zajmiemy się pańskim biznesem heroinowym i lekowym w Macon.

Beau poruszał ustami, ale nie wydał z siebie głosu.

Amanda rozsiadła się wygodniej na krześle i założyła ręce. Gnębiła łotrów dłużej niż żył ten typek. Beau Ragnersen uważał, że milcząc, kontroluje sytuację, tymczasem realizował ten sam scenariusz, jak każdy głupi przestępca przed nim.

– Cieszę się, że na razie wybiera pan milczenie, kapitanie Ragnersen – powiedziała Amanda. – Niech pan wysłucha mnie uważnie, ponieważ kiedy skończę, czeka pana podjęcie ważnej decyzji. I sędzę, że będzie mnie pan błagał, bym przyjęła każdą formę pomocy, jaką może pan zaoferować.



Podobną mowę skierowała w szpitalu do Hurleya, lecz Ragnersen nie był Robertem Hurleyem.

- A jeśli zażadam adwokata? - zapytał.

- Ma pan do tego prawo.

- Jasne, należy mi się. - Łańcuch zazgrzytał przeciągany przez krawędź stołu, gdy Beau powoli odchylił się na krzesło. Prychnął w sposób, w jaki prychną kryminaliści, kiedy nie mogą rzucić przedstawicielowi organów ścigania w twarz, żeby się walił.

A jednak nie poprosił o adwokata. Zamiast tego powiedział:

- Niech pani każe swojemu goryłowi usiąść.

Will czekał na znak od Amandy. Aspiryna jeszcze nie zadziałała. Musiał napiąć wszystkie mięśnie, by opuścić się na krzesło bez wykrzywienia się z bólu.

- Ile wyciskasz na ławeczce, stary? - rzucił Beau w stronę Willa.

Will zachował obojętny wyraz twarzy, jakby nie odczytał prowokacji zawartej w tym pytaniu.

- Proszę opowiedzieć nam o Dashu - odezwała się Amanda.

Beau wzruszył jednym ramieniem, po czym odparł:

- Czasem razem robimy interesy.

- Jakie interesy? Leki? Operacje w trybie nagłym? Czarna heroina?- Czarna heroina to drag czarnuchów. Nie sprzedaję tego gówna białym. - Wszyscy mamy zasady.

- Jasne, że tak. - Beau pochylił się w stronę Amandy. - Ja pomagam ludziom, paniusiu. Rząd nas zawiódł. Zostawił chorych ludzi, by umierali na ulicy. Porzucił naszych żołnierzy. Zamknął nasze fabryki.

Odebrał nam jedzenie. Ktoś musi przeciwko temu wystąpić.

Amanda zignorowała tę przemowę w taki sam sposób, w jaki zignorowała rasistowską odzywkę.

- Cena modelu Yukon Denali GMC 2019, jakim pan jeździ, zaczyna się od siedemdziesięciu jeden tysięcy dolarów w wersji podstawowej. To całkiem wysoki próg jak na dobrego samarytanina.

- Cholera. - Beau znowu wzruszył arogancko ramieniem. - Czego ode mnie chcesz, suko? Już bym siedział, gdybyście ze mną skończyli. Chcecie ubić jakiś interes. Jaki?

- Dowie się pan w swoim czasie. Najpierw musimy ustalić, czy jest pan wart tej rozmowy. Kapitanie Ragnersen, proszę opisać zdarzenia, w jakich uczestniczył pan wczoraj z Dashem między czwartą a piątą po południu w King Fisher Camping Lodge.

Beau milczał. Najwyraźniej układał w myślach odpowiedź, która zapewni mu najszybsze wyjście z pokoju przesłuchań. Nie był głupi, ale świadomość, że znalazł się w potrzasku, zawęziła mu perspektywę. W przeciwnym wypadku zmartwiłby się pytaniem, które zakładało, że on i Dash byli w motelu wczoraj w tym samym czasie, kiedy Sara wysłała wiadomość Willowi.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Chcecie prawdy, tak? Dotarłem tam już po wszystkim. Dwaj faceci nie żyli. Wszędzie była krew. Ta blondynka, nie znam jej imienia, była w pokoju obok. Na podłodze siedziała inna kobieta, ruda.

Will przygryzł wewnętrzną stronę policzka tak mocno, że uszkodził skórę.

- Proszę wymienić wszystkich tam obecnych - powiedziała Amanda.

- Dash, trzech jego ludzi. Nie znam nazwisk. Dwaj przy drzwiach wejściowych, trzeci przy tylnym wyjściu. Pilnowali tych dwóch kobiet. Tylko że jednej odbiło z tym nożem. Drugi gość na łóżku dostał w klatkę piersiową. Nie żył, kiedy się tam zjawiłem. Dash chciał, żebym sprzątnął tej bajzel, ale odmówiłem. Niech sam sobie to sprząta. Po niecałej minucie w tym pokoju siedziałem już w swoim samochodzie. Przejechałem na drugą stronę, strzeliłem sobie piwko i próbowałem zapomnieć o tym, co widziałem.

- Wytarł pan stół w motelu - zauważyła Amanda.

Beau się zawahał.

- To nie ja. Pewnie jedna z tych kobiet.

Amanda uniosła brew, ale nie przeszkodziła w dokończeniu historii.

- Mówię prawdę. - Beau nerwowo potarł nadgarstki pod kajdankami. - Dash powiedział, że wyjadą. Poszedłem do baru, jest po drugiej stronie drogi. Nie czekałem na nich, jasne? To nie moja sprawa.

A potem pamiętam tylko to, że jest ciemno i słyszę syreny. Wyglądam przez okno, a tam mnóstwo glin. Wskoczyłem do furgonetki i pojechałem do domu. To nie ma nic wspólnego ze mną. - Znowu wzruszył ramieniem. - To wszystko, co wiem.

Will poruszał dłońmi pod stołem. Mimo mózgu rozsadzającego czaszkę potrafił wychwycić luki w relacji Beau. Jak Dash w ogóle dostał się do pokoju w motelu? Zamek w drzwiach nie był uszkodzony. Beau twierdził, że był w pokoju krócej niż minutę. Skąd wiedział, że Vale został trafiony w pierś bez obojętności go? Skąd wiedział, że Michelle jest w drugim pokoju? Skąd wiedział, że Dash posłał wartownika na tyły budynku?

A co najważniejsze: skąd wziął się u niego nóż Willa?

- Proszę powiedzieć o zakładnikach. Ilu ich było? - zapytała Amanda.

- Dwie kobiety. Już mówiłem. - Beau znowu wzruszył ramieniem. Jedyne, co powstrzymało Willa przed dźgnięciem go w to ramię, była świadomość, że właśnie uzyskali i nagrali potwierdzenie, iż Beau wie o Sarze i Michelle przetrzymywanych jako zakładniczki.

- Jak się zachowywały? - zapytała Amanda.

- Normalnie. To znaczy ta ruda próbowała pomóc. Dash mi powiedział, że to lekarka. - Tu dostrzegł sprzyjającą dla siebie okoliczność.

- Dlatego mnie nie potrzebowali. Już mieli lekarza.

Więc czemu tam w ogóle byłeś, dupku?

- Czy Dash powiedział, jak nazywa się ta lekarka? - kontynuowała Amanda.

Beau udał, że się zastanawia.

- Ernest? Early?

Earnshaw.

- A druga zakładniczka?

- Farbowana blondynka, małe cycki, starsza. Milczała. To była taka grobowa cisza. Nie powiedziała ani słowa, ale... - Urwał nagle i zacisnął usta. Wypchał językiem policzek. Zorientował się, że popełnił błąd. - Wyprowadzali ją z pokoju, kiedy tam wszedłem.

Widziałem, że idą do drzwi obok. Stąd wiedziałem, że jest w sąsiednim pokoju.

- Musieli wyłamać zamek - zauważyła Amanda.

- Drzwi nie były zamknięte. Wszystkie.

- Pozostawienie otwartych pokoi to nieodpowiedzialność ze strony dozorczy. - Amanda zawiesiła głos. - Rozmawiałam z córkami pana Hopkinsa, które mieszkają w Michigan i w Kalifornii. Powiedziały mi, że pośrednik nieruchomości płaci panu za dogłądanie posiadłości w ich imieniu. Czy powodem pańskiego pobytu w motelu była kontrola stanu nieruchomości?

Beau był na tyle inteligentny, by zrozumieć, że wpadł w tarapaty, i nie powinien się pogrążyć.

- Podsumujmy pańskie zeznanie - powiedziała Amanda, spoglądając na zegarek. - Był pan w motelu, ale bez konkretnego powodu. Wszystkie drzwi były otwarte, więc Dash i jego ludzie nie musieli się włamywać. W ciągu sześćdziesięciu sekund spędzonych w pokoju motelowym zobaczył pan dwóch martwych mężczyzn na łóżkach: jednego zadźganego nożem, drugiego z raną postrzałową w piersi. Dwie zakładniczki. O jednej zdążył się pan dowiedzieć, że jest lekarką. Drugą zobaczył pan, kiedy prowadzono ją do sąsiedniego pokoju. Dwaj członkowie NAPu pilnowali drzwi wejściowych, trzeci pilnował tylnych drzwi, co w tajemniczy sposób też zdołał pan zobaczyć. Z jakiegoś powodu złapał się pan dolnej krawędzi stolika

od spodu, pozostawiając odcisk palca umoczonego w świeżej krwi. Potem odwrócił się pan na pięcie i wyszedł z pokoju, wsiadł do furgonetki, przejechał na drugą stronę, opuścił żaluzje i nalał sobie piwa. – Podniosła wzrok znad zegarka. – Sam opis zajął trzydzieści osiem sekund. Jest pan pewien, że spędził pan w tym pokoju tylko sześćdziesiąt sekund?

Beau oblizwał wargi. Skupił się na odcisku palca pod blatem stołu.

– Nie pamiętam, czego dotykałem. Spanikowałem. Mówiłem, że oni już nie żyli. Musiałem stamtąd wyjść. Nie wiem, czego dotykałem.

Tam może być więcej moich odcisków.

– To zrozumiałe. Czy mój zespół techników zidentyfikuje krew Adama Humphreya Cartera na zamkach apteczki polowej znalezionej w pańskiej sypialni za regałem z książkami?

Język Beau znieruchomiał na wargach.

– Brak tam jednego z opatrunków Halo Chest Seals, ale przypadkiem taki opatrunek miał Vale na klatce piersiowej z dziurą po kuli. Nawiasem mówiąc, został postrzelony trzykrotnie. Raz przed przyjazdem do motelu i dwukrotnie, tym razem śmiertelnie, kiedy leżał w łóżku. – Amanda znowu pochyliła się w stronę Beau. – Bardzo trudno usunąć krew z metalu, kapitanie Ragnersen. Nawet pan nie wie, jak trudno. Weźmy taki ząbek zamka błyskawicznego. Rękojeść noża sprężynowego. W środku jest sprężyna, przekładnia, przycisk otwierania ostrza, szczelinki, w których mogą zaschnąć mikroskopijne cząsteczki krwi.

Pot Beau roztaczał chemiczną woń. Will czuł to, siedząc metr od niego.

– Kapitanie Ragnersen, pamięta pan początek naszej rozmowy, kiedy powiedziałam, że okłamywanie agenta GBI jest przestępstwem? I że może grozić panu nawet dożywocie, jeśli udowodnimy pana współudział w porwaniu i zabójstwie z posiadaniem nielegalnie skróconej broni?

- Obrzyn był w mojej furgonetce.
- Która stała zaparkowana w strefie ochrony dzikiej przyrody w Chattahoochee Forest, gdzie trzymanie niezabezpieczonej naładowanej broni w samochodzie jest nielegalne.

Desperacja Beau przeszła we wrogość.

- Przeklęta suka z ciebie, wiesz?
- Wiem, że poznał pan Adama Humphreya Cartera w trakcie służby w stanowej policji drogowej.

Beau z wrażenia opadła szczęką.

Will spuścił wzrok i spojrzał na dłonie, by ukryć własne zaskoczenie. Doznał nagłego wstrząsu. I nie dlatego, że Amanda ewidentnie ukrywała tę informację. Nareszcie ostatni kawałek układanki wskoczył na swoje miejsce.

Wczoraj wieczorem w motelu agent specjalny Zevon Lowell miał mnóstwo informacji o Beau Ragnersenie: że jest dozorcą motelu; że prowadzi klub towarzyski po drugiej stronie drogi; że oba te biznesy są jakoś powiązane. Tego typu informacji nie zdobywa się ciągu dwóch godzin, tak jak Amanda nie rozszyfrowała powiązania między Beau Ragnersenem a Adamem Humphreym Carterem dziś rano. Dokopywanie się do potrzebnych danych pochłaniało mnóstwo czasu. Trzeba było wisieć na telefonie, rozmawiać z ludźmi prowadzącymi konkretne sprawy, znaleźć klucz do połączenia szczegółów w jedną całość.

A to oznaczało, że Amanda miała Beau na radarze od jakiegoś czasu.

To oznaczało też, że Will miał rację. Amanda nie zaufała by tajnemu informatorowi FBI w kwestii wprowadzenia Willa do NAPu. Miała własnego człowieka. Człowieka, który teraz wypacał z siebie całą wodę.

- Kapitanie Ragnersen, z pańskiej kartoteki wynika, że Carter aresztował pana w dwa tysiące dwunastym roku za posiadanie

torebki oksykodonu w schowku w aucie podczas rutynowej kontroli. Niestety sprawę umorzono, gdy zaginął dowód rzeczowy. Carter nie oznaczył go prawidłowo, co jest poważnym błędem jak na tak doświadczonego oficera policji. Chociaż ja powiedziałabym, że fałszowanie dowodów jest pięknym początkiem przyjaźni.

Will podniósł głowę. Chciał zobaczyć minę Beau w chwili, gdy się zorientuje, że mierzą mu w serce z bazooki.

- Carter był człowiekiem do wynajęcia. Przez lata wykorzystywał go pan do pomocy w windykacji długów i nalotów na hurtownie leków. Carter skontaktował pana z ludźmi, którym mogłyby się przydać pańskie umiejętności. Jedną z osób, którym pana przedstawił, był Dash.

Od tamtego czasu współpracuje pan z nim i z NAPem.

Beau otworzył szeroko oczy.

Will czuł jego desperację wynikającą z niepewności, co jeszcze udało się Amandzie ustalić.

- Jak dobrze zna pan Dasha? - zapytała.

Beau zaczął potrząsać głową.

- Nie znam go. Do wczoraj spotkałem go może ze trzy razy w ciągu mniej więcej pięciu lat. Dash to dobry klient. Przysyła zamówienie mailem, jeden z jego ludzi zjawia się z torbą gotówki. Nie prosi o główniane substancje, tylko antybiotyki, statyny, inne leki, środki opatrunkowe. Normalka. Czasem łatam kogoś w motelu, bo młodzi faceci robią głupie rzeczy. A to bójka na noże wymknie się spod kontroli, a to jakiś kretyn postrzeli się w stopę. To wszystko.

- To się zawsze odbywa w motelu?

- Tak, choć czasami spotykamy się na stadionie we Flowery Branch przy drodze międzystanowej dziewięćset osiemdziesiąt pięć.

- Dash przyjeżdża na te spotkania?

- Przecież mówiłem, że przysyła jednego ze swoich ludzi z gotówką. Towarzyszy mu drugi jako wsparcie, ale zawsze zostaje w furgonetce.

Za każdym razem przyjeżdża inny człowiek. Nie wiem, jak się nazywają. Nie przedstawiamy się sobie. Siadam na odkrytej trybunie. Facet wpada na chwilę z gotówką. Wymieniamy się torbami, tabletki za gotówkę, on odchodzi z lekami, ja odczekuję jeszcze chwilę, biorę pieniądze i też odchodzę. Zupełnie jak w kinie.

- Wczoraj Dash dzwonił do pana osobiście - powiedziała Amanda, zgadując raczej niż stwierdzając fakt.

- Był w opałach - potwierdził Beau. - Nie miałem z nim kontaktu od miesiący. Dash był człowiekiem Cartera, rozumiecie? A ja zawsze musiałem brać Cartera do spółki, ponieważ to chciwa i przebiegła menda. Nigdy nie byłem jego przyjacielem. W żadnym sensie. Cieszę się, że nie żyje. Był chorym skurwielem. Wszyscy wiedzą, za co go skazali. Co zrobił tej kobiecie. Mam siostrę. Matkę. Nie mógłbym tak skrzywdzić kobiety.

- Nie sugeruję, że jest pan do tego zdolny, kapitanie Ragnersen. Prawdę mówiąc, dobrze wiem, jakim jest pan człowiekiem, ponieważ pana obserwowałam.

Beau był zbyt wstrząśnięty, aby zareagować.

- W pańskiej furgonetce było urządzenie lokalizujące. W harleyu drugie. Umieściłam nawet lokalizator w pańskiej łodzi. Słuchałam pełnego płaczu wyznania pańskiej matki o pańskim uzależnieniu od narkotyków na spotkaniach anonimowych narkomanów w piwnicy jej kościoła. Kupiłam gumę w 7-Eleven, gdzie pracuje pańska siostra, i rozmawiałam z pańską byłą żoną w ośrodku opieki dziennej niedaleko Route Eight.

Wiem, kim pan jest, czym pan jest, gdzie pan jest w każdej chwili.

Beau wyglądał na przestraszonego, ale nie odpuszczał.

- Nic o mnie nie wiesz, suko.

- Wiem, że ból po trafieniu odłamkiem w Kandaharze wpędził pana w uzależnienie od oksykodonu, co doprowadziło do uzależnienia od



heroiny. Wiem, że ślady, jakie zasłania pan długimi rękawami, są śladami po czarnej heroinie. Wiem, co jest w pańskiej apteczce. Wiem, że używa pan brązowego sznurowadła z żołnierskiego buta do podwiązywania przy zabiegach. Wiem, gdzie pan jeździ strzelać, z kim pan strzela, komu pan sprzedaje towar, któremu gangowi zapewnia obsługę medyczną, kto bierze od pana pigułki, kto jest panu winien kasę, komu pan jest winien kasę, i wiem, że w tym momencie, kapitanie Ragnersen, mam pana na widelcu.

Nozdrza Beau rozszerzyły się pod wpływem emocji. Ogarnięty paniką, szukał drogi wyjścia, ale nie znalazł, bo każdy strzał Amandy trafił do celu. Matka. Siostra. Była żona. Biznes. Nałóg.

W końcu podjął desperacką decyzję:

- Czego ode mnie chcecie?

Amanda uśmiechnęła się, rozsiadła wygodnie na krześle i strzepnęła paproch z rękawa żakietu.

- Dziękuję, kapitanie Ragnersen. Myślałam, że nigdy pan nie zapyta.

# ROZDZIAŁ JEDENASTY

PONIEDZIAŁEK, 5 SIERPNIA, GODZINA 16:30

Sara przemierzała celę w chacie tam i z powrotem. Dwanaście kroków wzdłuż, dwanaście w poprzek. Kiedy wyrównała krok, zorientowała się, że pomieszczenie nie jest kwadratowe. Uklękła i zaczęła mierzyć odległość rękami. Pośrodku izby straciła rachubę i musiała zacząć od nowa. Potem ukryła twarz w dłoniach i starała się nie krzyknąć, ponieważ znużenie tym więzieniem doprowadzało ją do szaleństwa.

Upłynęły co najmniej cztery godziny, odkąd Dash odprowadził ją do chaty. Promienie słońca przeciskające się przez deski w ścianie służyły za zegar słoneczny przesuwający się po podłodze. Sara zacisnęła mocno powieki, by powstrzymać galopadę myśli. Przywołała obraz szklarni. Konstrukcja nie powstała w ciągu jednej nocy, las zdążył już ją obrosnąć. Właśnie tego strzegli wartownicy w myśliwskich ambonach i uzbrojeni mężczyźni w lesie.

Dlaczego?

Starała się przeanalizować logistykę, jaka stała za wzniesieniem tego typu konstrukcji na takim odludziu. Musieli mieć w pobliżu dostęp do drogi, po której ciężarówki mogłyby kursować z elementami konstrukcyjnymi. Stalowy szkielet został najpewniej przywieziony w częściach i złożony w całość na miejscu. Przetransportowanie wielkich i grubych szyb wymagało specjalnego sprzętu. Potem trzeba było je podnieść i fachowo zamontować w szkielecie. Generator miał rozmiar olbrzymiego domku dla lalek, ciężkiego na tyle, że wymagał przyczepy.

Nie podłączali do kontaktów lamp i narzędzi, a pobór energii wynosił około piętnastu kilowatów, wystarczająco dużo na zasilenie

niewielkiego domu.

Ktoś włożył mnóstwo wysiłku w obmyślenie tego projektu. Szkło i namiot termoizolacyjny były przesadą, o ile Sara prawidłowo odgadła ich przeznaczenie. Kamery termowizyjne zamontowane w większości policyjnych śmigłowców wykrywały promieniowanie podczerwone, czyli źródła ciepła, o długości fal w zakresie od siedmiu do czternastu mikronów. Przez szkło takie promieniowanie nie przenikało, więc z góry szklarnia byłaby praktycznie niewidzialna. Namiot termoizolacyjny zapewniał podobne zabezpieczenie, uniemożliwiając wykrycie promieniowania cieplnego. Co doprowadziło Sarę do przekonania, że namiot nie służył temu, by ukryć obiekt z lotu ptaka, lecz temu, by osłonić go przed ciekawskimi spojrzeniami na ziemi.

Musiała dostać się do środka.

Ale jak, skoro nawet nie mogła wyjść z chaty?

Spojrzała w sufit, walcząc z przygnębieniem. Jej palce zaplątały się w brudne włosy. Pod wpływem wilgoci loki zamieniły się w sztywny kołtun. Skórę miała suchą i ściągniętą od gospodarczego mydła z ługu, którym próbowała się umyć. Tęskniła za balsamem do ciała. Porządny, dobrej jakości, jaki kupowała w centrum handlowym. Za szminką ochronną do ust La Mer, która kosztowała więcej niż pełny bak paliwa. Za seksowną czarną sukienką, którą Will uwielbiał, ponieważ była zapowiedzią seksu. Za grzebieniem. Szamponem. Dobrym mydłem. Świeżymi majtkami. Czystym stanikiem. Hamburgerem. Frytkami. Książkami.

Boże, jak brakowało jej książek.

Pochyliła się i dotknęła czołem ziemi. Przez całe dorosłe życie pragnęła mieć więcej czasu, ale nie takiego czasu. Nie tej ciągnącej się w nieskończoność i boleśnie nużącej nicości zmarnowanego czasu.

Udało jej się zasnąć, ale sen był niespokojny. Przeszkadzał jej

nawał myśli przeskakujących z tematu na temat, krążących między książkami, piosenkami, głupimi zestawieniami. Próbowwała wymienić nazwy wszystkich domów z „Harry’ego Pottera”, recytować fragmenty piosenki „Goodnight Moon”, którą pamiętała z czasów pracy pediatrycznej, wyliczyć wszystkie elementy w układzie okresowym pierwiastków od wodoru po loren i odwrotnie, liczyć sekundy i zaznaczać upływające minuty, wydrapując kreskę na ścianie, ale w końcu zapomniała, gdzie wydrapała ostatnią kreskę i dała sobie spokój, bo jaki był sens oznaczania upływającego czasu? Miała pozostać zamknięta w tym drewnianym grobowcu, póki znowu nie będą jej potrzebować.

- Po co? - zapytała na głos w pogrążającej się w szarości chacie. Kobiety w baraku robiły wszystko, by zapewnić dzieciom najlepszą opiekę i komfort. Nie była potrzebna do momentu pojawienia się leków.

O ile w ogóle się pojawią.

Czy mogła żywić nadzieję, że to Beau zrealizuje zamówienie? Powinien już być aresztowany. W łazience w motelu napisała jego imię na suficie jako pierwsze. Czy była głupia, gdy miała nadzieję, że lista podyktowana Gwen jakimś cudem wpadnie w ręce Willa? Czy była jeszcze głupsza, gdy sądziła, że Will odczyta zaszyfrowaną wiadomość?

Faith zauważy litery. Amanda też. I Charlie. Will miał wokół siebie ludzi, którzy mogli mu pomóc.

- Pomocy. - Sara wyszeptała to słowo najciszej, jak umiała.

Była świadoma obecności strażnika przed jej celą. Przez większość czasu siedział na schodach ze strzelbą na kolanach. Pięciocentymetrowa szczelina pod drzwiami pozwalała zobaczyć jego lewe ramię. Czasem wstawał, rozprostowywał kości i chodził wzdłuż chaty w tę i z powrotem, a od czasu do czasu patrolował najbliższe otoczenie. Sara słyszała, jak powłóczy nogami, pociąga nosem, kaszle

i raz po raz uwalnia gazy, na szczęście z wiatrem.

Dźwignęła się z brudnej podłogi. Kręciło jej się w głowie. Przycisnęła dłoń do brzucha, w którym przelewało się i burczało. Nie zjadła za wiele na lunch. Warzywa i sarnina wyglądały apetycznie, ale to nie jedzenie było problemem.

Obserwacja Dasha grającego dobrego ojca dla swoich kochających córek przyprawiła ją o mdłości. Ewidentnie robił to na pokaz. Widziała prawdziwego Dasha nad rzeką, kiedy opadła z niego maska dżentelmena. Mówił o córce Michelle tak, jakby jej pochodzenie czyniło z niej mniej niż człowieka. Mniej niż Amerykankę.

Jeffreya zamordował gang neonazistowskich skinów. Słowa Dasha, który powtarzał argumenty rasistowskiej ideologii, kazały Sarze spojrzeć na jego dzieci innym okiem. Ich blond włosy, niebieskie oczy i białe sukienki upodabniające je do figurek z weselnego tortu, teraz kojarzyły się bardziej ze Stepford niż domkiem na prerii Laury Ingalls Wilder.

Zamrugnęła w ciemności.

Kto napisał „Żony ze Stepford”? W pierwszej ekranizacji tej powieści grała... aktorka, która zagrała córkę pani Robinson w „Absolwencie”... czy nie grała też w westernie „Butch Cassidy i Sundance Kid”?

Imiona i nazwiska wyleciały jej z pamięci. Czowała, że jej mózg zamienia się w magmę. Musiała coś zjeść. Musiała dostać się do szklarni.

Musiała wydostać się z tej dusznej puszkii.

Odwróciła się, ruszyła przed siebie i piętą tenisówki przydepnęła rąbek ciągnącego się za nią prześcieradła. Zakłęła pod nosem. Materiał uległ rozdarciu. Ubrudził się na dole, gdy klęczała na podłodze.

W końcu zmieniła brudne ubrania. Na oczekaniu wykombinowała szatę z prześcieradła. Istnieje sposób wiązania togi, który oszczędza

człowiekowi wyglądu idioty, ale ona nie posiadała tej umiejętności. Sfrustrowana wieloma nieudanymi próbami owinęła się prześcieradłem jak ręcznikiem kąpielowym i zrobiła na prawym ramieniu gigantyczny węzeł przypominający zajęcze uszy. Wyglądała jak Joanna d'Arc, tyle że starsza, bardziej spocona i umierająca z bezczynności.

- Cholera.

Dotarła do drugiej ściany. Znowu. Oparła dłonie o deski. Na zewnątrz strażnik raz po raz pociągał nosem. Najwyraźniej czuł się źle.

Kaszel rozrywał mu klatkę piersiową.

Miała nadzieję, że facet umrze na zapalenie płuc.

Odwróciła się i przeszła izbę po przekątnej. Potem ruszyła zygzakiem, co okazało się miłą odmianą. Wykonała kilka ćwiczeń. Wypady, przysiady, głębokie skłony. Pomyślała o siłowni w swoim budynku. O bieżni. O orbitreku. Nie brakowało jej telefonu, komputera czy telewizora. Brakowało jej klimatyzacji. Brakowało zajęcia. Brakowało Willa.

Nie tylko brakowało.

Tęskniła za Willem tak samo, jak w pierwszym roku ich związku. Zresztą w pierwszych miesiącach trudno było nazwać to związkiem. Angie, żona Willa, nadal była obecna w jego życiu, a Sara wciąż opłakiwała Jeffrey'ego. Poznali się na szpitalnym oddziale ratunkowym w Grady Hospital. Will popatrzył na nią jak mężczyzna patrzy na kobietę. Do tamtej chwili nie uświadamiała sobie, jak bardzo łaknie takich spojrzeń. Pragnienie w jego oczach przyciągnęło ją do niego. Jednak prawdę powiedziawszy, zakochała się w Willu z powodu jego ręki.

A ściślej mówiąc, z powodu lewej ręki.

Stali w jednym z długich podziemnych korytarzy szpitala. Will zapadł w milczenie, które jak zwykle przedłużało się nieznośnie.

Kiedy zniechęcona tym Sara miała odejść, nieoczekiwanie złapał ją za rękę.

Jego lewa ręka. Jej prawa.

Splótł palce z jej palcami. Wtedy poczuła, jak budzi się każdy nerw w jej ciele. Will powiódł kciukiem po wewnętrznej stronie jej dłoni, wędrując śladem linii i wgłębień. Potem lekko przycisnął go do jej nadgarstka. Musiała zamknąć oczy. Próbowwała ze wszystkich sił nie mrużyć jak kotka, myśląc tylko o tym, jak smakowałyby jego usta. Nad górną wargą miał bliznę, ledwie widoczną różową linię sięgającą nosa.

Spędziła długie godziny, wyobrażając sobie, jak to będzie dotknąć tej blizny wargami. W końcu zrozumiała, że to ona musi zrobić pierwszy krok. Will nie odebrałby sygnału i nie zareagował zgodnie z jej oczekiwaniami.

Uwiodła go w swoim mieszkaniu. Zaraz za progiem. Rozpięła mankiet jego koszuli i powiodła językiem po bliźnie, która biegła w górę przedramienia. Will wstrzymał oddech. Musiała mu przypomnieć, żeby wypuścić powietrze z płuc. Jego wargi smakowały cudownie. Jego ciało, dłonie, język. Pragnęła go tak bardzo, tak długo czekała na tę chwilę, że zaczęła dochodzić w chwili, gdy się w niej znalazł.

Przerwała marsz po chacie i spojrzała na sufit. Słońce przypiekało blaszany dach. Strużki potu ściekały jej po ciele. Torturowała się dalej. Wspomnieniami.

Za pierwszym razem nawet nie zdążyli dojść do łóżka. Drugi raz był powolniejszy, ale jeszcze bardziej ekscytujący. Mimo nieumiejętności odczytywania sygnałów, Will okazał się świetny w łóżku. Doskonale wiedział, co robić i kiedy. Ostry seks. Zmysłowy seks. Pieprzny seks. Perwersyjny seks. Z miłości. Z nienawiści. Seks na zgodę. Po misjonarsku. Wzajemna masturbacja. Seks oralny.

- Cholera - szepnęła do siebie, ale to nie wspomnienia o Willu

sprowokowały tę reakcję. Nagle wróciła do niej wielokrotnie słyszana piosenka. O facecie, który znał się na rzeczy i umiał zadowolić swoją kobietę, a ona z tego powodu nazywała go Killerem, pogromcą cieniasów.

Jęknęła, nie mogąc wydobyć z zakamarków pamięci tytułu tej piosenki.

Pokręciła głową. Pot ciekł jej po nagich plecach.

Dwie raperki. Lata dziewięćdziesiąte. Jedna z nich miała wygolony bok głowy.

„He’s got the right potion... Baby, rub it down and make it smooth like lotion”<sup>9</sup>.

Zatkała uszy, usiłując przypomnieć sobie linię melodyczną. Tessa melorecytowała jej ten utwór przez telefon. Ona opowiadała o Willu, a jej siostra nagle zaczęła rapować o bzykaniu na potęgę i...

„From seven to seven he’s got me open like SevenEleven<sup>10</sup>”. ... Zaczęła się śmiać. Nie mogła przestać. Zgięła się w pół. Popłakała się ze śmiechu. Było coś komicznego w białej kobiecie w todze przetrzymywanej jako zakładniczka w obozie samozwańczej milicji, i usiłującej przypomnieć sobie słowa rapowanego utworu o facecie, który umiał dymać jak nikt inny.

- O Jezu. - Sara wyprostowała się w końcu i otarła oczy. Próbowwała pomyśleć o innej piosence, by wyrzucić tamtą z głowy. Tę o kelnerce pracującej w... gdzie to było? W motelowym barze? W hotelu?

Znowu potrząsnęła głową, licząc na zresetowanie pamięci. Willa strasznie złościło, gdy pamiętała tylko fragmenty piosenek. Budziła go w nocy i prosiła, by dokończył zwrotkę, podał nazwę zespołu, tytuł albumu, rok wydania. A teraz była zdana na swoją dziurawą pamięć.

Nagle wszystko wskoczyło na swoje miejsce.

- Saltn-Pepa! - Tak głośno wykrzyczała nazwę zespołu, że jej głos odbił się od sufitu. „Whatta Man”. To była piosenka, którą Tessa rapowała jej przez telefon.



Złożyła ręce i spojrzała w sufit.

- Dziękuję - powiedziała, chociaż miała pewność, że nie o to chodziło matce, gdy zalecała jej częstszą modlitwę.

Za drzwi dobiegły głosy dwóch osób. Poznała charakterystyczny tenor Dasha, ale nie mogła rozróżnić słów. Strażnik prawdopodobnie informował go, że Sara zaczęła krzyczeć do desek w ścianie.

„Nikt nie jest doskonały”, jak powiedziałyby dziewczyny z Salt-Pepa.

Dobiegł ją zgrzyt kłódki. Dash otworzył drzwi. Uniosła dłoń, by osłonić oczy przed jaskrawym światłem. Słońce stało tuż nad szczytami gór. Zorientowała się, że źle oszacowała czas. To oznaczało, że niespełna trzygodzinna izolacja wystarczyła, by zacząć osuwać się w szaleństwo.

Dash uniósł brwi na widok jej zaimprovizowanej sukni z prześcieradła, ale swoją opinię zachował dla siebie.

- Doktor Earnshaw, może zechce pani dołączyć do nas na popołudniowe modlitwy. - Puścił do niej oko. - Uczestnictwo nie jest obowiązkowe.

Mogłaby ryczeć wniebogłosy „Ave Maria”, gdyby to zagwarantowało jej wyrwanie się z tej ciasnej izby. Wyszła na zewnątrz i stanęła na kłodę, a strażnik obrzucił ją zaciekawionym spojrzeniem. Miał obwisłe powieki, z zatkanych nozdrzy ze świstem wydobyło się powietrze. Wyraźnie brała go choroba. Sara nie zapytała, czy był zaszczepiony.

Chciała, żeby zamartwiał się swoim zdrowiem.

- Pani doktor. - Dash wskazał jej drugą ścieżkę prowadzącą za chatę. Wcześniej jej nie zauważyła. - Studiujemy Pismo nad rzeką.

Sara wybrała swoją ścieżkę. Słowa Dasha brzmiały dziwnie oficjalnie, jakby uczył się mówić, słuchając nagrań pogawędek przy kominku Franklina Roosevelta. W innych okolicznościach zastanawiałaby się, czy angielski jest jego ojczystym językiem.

Poczuła szarpnięcie. Zobaczyła, że zaczepiła o krzew kolcorośli.

- Pani pozwoli. - Dash wyciągnął rękę, by ją uwolnić.

Nie czekając na jego pomoc, jednym szarpnięciem uwolniła materiał z kolczastej pułapki. Od niechcienia zwróciła głowę w lewo, usiłując zlokalizować szklarnię. Promienie słońca padały teraz pod innym kątem, więc nie mogła liczyć na oślepiający odblask szkła zdradzający położenie obiektu.

- Jak się nazywa? Ten facet pod drzwiami chaty? - zapytała Dasha.-  
Lance.

- Lance? - zaśmiała się. To imię pasowało do gościa, który robi z balonów zwierzaki w parku, a nie do partyzanta z AR-15.

- Domyślam się, że to nie jest jedyne pani pytanie?

Wydawało się, że chce ją skłonić do mówienia, więc Sara zaczęła mówić:

- Znaleźli więcej ciał? - Gdy Dash nie odpowiedział, odwróciła się do niego. - W Emory. Kiedy ostatni raz oglądałam telewizję, mówili o osiemnastu ofiarach śmiertelnych i pięćdziesięciu rannych.

- Liczba ofiar wzrosła do dwudziestu jeden, to dane sprzed paru minut. Poinformuję panią o pechowych ocalałych, kiedy uzyskam najświeższe dane. - Dash wydawał się niewzruszony tymi liczbami.

Ani tym, że dał jej niezbity dowód stałego kontaktu ze światem zewnętrznym.

Na terenie Obozu musiał znajdować się telefon albo tablet z dostępem do Internetu.

- Przepraszam, niemal zapomniałem. Coś pani przyniosłem - powiedział.

Sara zobaczyła, że Dash wyjmuje z temblaka jabłko. Nie wzięła owocu. Umierała z głodu, ale była podejrzliwa.

- Nie jestem wężem, chociaż pani w tym przebraniu mogłaby być Ewą. - Dash odgryzł kawałek jabłka przy ogonku, by udowodnić, że nie jest zatrute. - Z moich obliczeń wynika, że nie jadła pani od

dwunastu godzin.

Nawet więcej. Sara wzięła od niego jabłko. Nie poszła dalej, lecz natychmiast wbiła zęby w miąższ i odgryzła największy kęs, jaki mogła. Wyborny smak został jej w ustach. To nie było pryskane plastikowe jabłko ze sklepu w pobliżu domu. Już zapomniała, jak powinno smakować prawdziwe jabłko.

- Możemy dać pani ser, jeśli sobie pani życzy. Przypuszczam, że nie jadła pani naszych posiłków, bo jest pani wegetarianką.

Sara nie miała pojęcia, skąd to przypuszczenie.

- Ser może być. Fasolka, soczewica, groszek. Cokolwiek zdobędziecie.

- Powiem Gwen, żeby przekazała to kuchni. Pani zamówienie przybędzie niedługo. - Dash obserwował ją uważnie. - Wysłałem po leki jednego z moich ludzi. Powinien wrócić za kilka godzin.

Sara skinęła głową. Zastanawiała się, czy to oznacza, że dzieli ich odległość kilku godzin od Atlanty, czy od motelu.

- Powtarzam to, co mówiłam poprzednio. Dzieci muszą znaleźć się w szpitalu.

- To już nie pani zmartwienie. - Dash wskazał jej ścieżkę. - Pani pierwsza.

Sara dokończyła jabłko w drodze. Analizowała słowa Dasha. Odnosił się do fałszywej obietnicy, że puści ją wolno, czy do kolejnej zaplanowanej akcji? Nerwowo omiatała wzrokiem las w poszukiwaniu szklarni. Kolejna zaplanowana akcja miała jakiś związek z tym, co działo się pod namiotem. Równoległe do ścieżki, którą szła, biegła inna ścieżka. Gdyby Sarze udało się wymknąć z chaty, mogłaby zakraść się do szklarni. Prędzej czy później Lance w końcu zaśnie. Szukała wzrokiem charakterystycznych punktów, którymi mogłaby się kierować w ciemności. Tak była zajęta obmyśleniem strategii, że nie zauważyła, co dzieje się kilka metrów przed nią.

Michelle Spivey zmierzała ścieżką z naprzeciwka. Zamiast iść dalej

prosto, skręciła na rozwidleniu w lewo od Sary.

Obrała kierunek na szklarnię.

Sara zwolniła i podążyła spojrzeniem za Michelle, która musiała wiedzieć o jej obecności, ale nie oderwała wzroku od ziemi. Utykała. Była blada, wręcz upiornie blada. Miała na sobie taką samą ręcznie tkaną suknię jak reszta kobiet w Obozie. Przyciskała dłoń do podbrzusza. Cierpiała z bólu. Za nią szedł uzbrojony strażnik. Po drodze muskał dłonią krzewy dzikiego bzu. Nie zwracał uwagi na Michelle. Nie musiał. Z daleka widać było, że jest bardzo chora.

- Ona powinna odpoczywać - powiedziała Sara do Dasha. - Jest zakażona. Bakteria w układzie krwionośnym ją zabije.

- Odpocznie, jak skończy.

Sara nie zapytała, co ma skończyć Michelle. Wiedziała tylko, że specjalistka od chorób zakaźnych nie została uprowadzona i przywleczona w góry, by powstrzymać epidemię odry. Michelle była tu z powodu tego, co robili w szklarni. Jej wkład w ich pracę był tak cenny, że Dash ryzykował zawieszenie jej do szpitala, by zachować ją przy życiu.

A to oznaczało, że Michelle kończy projekt, który zaczęła. W przeciwnym wypadku daliby jej czas na powrót do zdrowia.

„To już nie pani zmartwienie”.

- Tatusiu? - Piętnastolatka o nieufnym spojrzeniu stanęła przed nimi z rękami na biodrach. - Mama mówi, żebyś się pośpieszył.

Dash zachichotał.

- Jest już na tyle duża, że zaczyna gderać.

Sara wyrzuciła ogryzek między drzewa, potem spróbowała poprawić węzeł na ramieniu. Nad rzeką korony drzew się przerzedziły, a słońce paliło teraz niemiłosiernie. Rude włosy szły w parze ze skórą wrażliwą na słońce. Sara już czuła, że odsłonięte ramię zaczyna ją piec.

Do listy rzeczy, za którymi tęskni, dopisała w myślach krem

przeciwsłoneczny.

Nad samą wodą temperatura nieco spadła. Wszystkie dzieci Dasha prócz Adriel siedziały w kręgu. Otaczały Gwen, która siedziała w środku na drewnianym stołku, czytając na głos Biblię.

- Stamtąd poszedł do Betel. Kiedy zaś postępował drogą, mali chłopcy wybiegli z miasta i naśmiewali się z niego wzgardliwie, mówiąc...<sup>11</sup>Gwen podniosła głowę znad Biblii i spojrzała na Sarę, marszcząc brwi.

Sara odpowiedziała tym samym. Nie była pewna, dlaczego Gwen wybrała akurat ten moment na opowiedzenie córkom historii o niegrzecznych dzieciach rozszarpanych przez niedźwiedzie. One już straciły dwoje przyjaciół, a ich siostra leżała w baraku poważnie chora.

- Nie zostałeś sobie właściwie przedstawione - stwierdził Dash.  
- Dziewczynki, to pani doktor Earnshaw. Doktor Earnshaw, to - wskazywał dziewczynki po kolei - Esther, Charity, Edna, Grace, Hannah i Joy.

Joy była najstarsza, a jej czujny wzrok jawnie kontrastował z radosnym imieniem.

- Cześć. - Sara musiała podwinąć tył prześcieradła, by swobodnie usiąść na ziemi. Uśmiechnęła się, powtarzając sobie w duchu, że nie może karać tych dzieci za złych rodziców. - Miło was poznać.

Grace, na oko dziewięcio-, może dziesięciolatka, powiedziała:

- Mama nam mówiła, że miałaś męża.

- Miałam. - Sara zerknęła na Gwen, ale ta spuściła już głowę, zatopiona w lekturze Biblii.

- Miałaś wielki ślub? - zapytała druga z dziewczynek.

Sara wzięła ślub z Jeffreyem w ogrodzie przy domu rodziców. Matka milczała uparcie, wściekła, że ceremonia nie odbywa się w kościele. - Poszliśmy do sądu. Tam sędzia udzielił nam ślubu.

Zabrzmiało to bardzo prozaicznie i nawet Joy wydawała się

rozczarowana. Sara pomyślała, że pewnie wpojono im, że tylko „prawdziwe” małżeństwo nadaje wartość kobiecie, a może w ich dziewczęcych marzeniach ślub był po prostu romantycznym wydarzeniem jak z bajki.

- Opowiem wam inną historię. - Sara zmieniła pozycję, usiłując poprawić prześcieradło stanowiące jej tymczasowe okrycie. - Jest coś, co na uczelni medycznej nazywa się Ceremonią Białego Fartucha. Podczas tej ceremonii pierwszy raz wkłada się biały fartuch. I składa przysięgę, że zawsze będzie się pomagać ludziom. - Uznała, że tego wątku nie będzie rozwijać. - To wielka sprawa. Cała moja rodzina uczestniczyła w tej uroczystości. Potem mieliśmy przyjęcie w domu mojej cioci. Moja mama pierwsza wzniosła toast, po niej mój tata, potem moja ciocia. Na końcu toastów byłam już wstawiona. Wtedy pierwszy raz w życiu piłam prawdziwego szampana.

- Twój mąż tam był? - zapytała Grace.

Sara się uśmiechnęła.

- Wtedy jeszcze go nie znałam. Ale twoja mama też miała taką ceremonię. Prawda, Gwen? U pielęgniarek odbywa się to chyba przed rozpoczęciem pracy w szpitalu?

Gwen wzięła głęboki wdech, zamknęła Biblię, wstała i oznajmiła:

- Mam coś do zrobienia.

Dash nie przejął się zbyt jej odejściem. Zajął miejsce na stołku, wyciągnął rękę, a Joy usiadła mu na kolanach i oparła głowę na jego ramieniu. On położył jej dłoń na biodrze.

Sara zapatrzyła się w wodę przelewającą się przez kamienie. Nieswojo się czuła, widząc piętnastolatkę na kolanach dorosłego mężczyzny, nawet jeśli ten mężczyzna był jej ojcem.

- Gwen nie lubi rozmawiać o swoim poprzednim życiu - wyjaśnił Dash.

- Powinna być dumna. Ukończenie szkoły pielęgniarskiej to

poważne osiągnięcie.

Dash poklepał się po nodze. Grace wdrapała się na jego drugie kolano i wsunęła palce do temblaka. Dash pogłaskał ją po głowie.

Sara znowu odwróciła wzrok. Może przesadzała, ale w jej odczuciu było coś niepokojącego w sposobie, w jaki Dash dotykał swoich dzieci.

- Moje córki pewnie odpowiedziałyby pani, że praca w domu i opieka nad rodziną to też poważne osiągnięcie.

- Moja matka w pełni poparłaby ten punkt widzenia. Była bardzo szczęśliwa, że mogła wybrać ten model życia dla siebie. Tak jak ja byłam szczęśliwa, wybierając coś zupełnie innego.

Joy utkwiała wzrok z Sarze. Rezerwa w jej oczach zamieniła się w ciekawość. Nie wydawała się zawstydzona faktem, że siedzi na kolanach ojca. Wziąwszy pod uwagę ich izolację i zinfantylizowany strój, poziomem dojrzałości mogła odbiegać od typowej piętnastolatki.

Mimo to coś w tej sytuacji budziło niepokój Sary.

- Doktor Earnshaw - odezwał się Dash - tutaj prowadzimy proste życie z tradycyjnym podziałem ról. Tak pierwsi Amerykanie nie tylko żyli, ale rozkwitli. Każdy człowiek jest szczęśliwszy, kiedy wie, czego się od niego oczekuje. Mężczyźni wykonują męskie zajęcia, kobiety kobiece. Nie pozwalamy, by współczesny świat ingerował w nasze wartości.

- Czy te panele słoneczne na baraku przyplłynęły tu z Niñą, Pintą i Santa Marią?

Dash zaśmiał się zaskoczony. Najwyraźniej nie przywykł do kwestionowania jego racji, zwłaszcza przez kobietę.

- Dziewczynki, Niña, Pinta i Santa Maria to nazwy statków, które przywiozły Pielgrzymów do Nowego Świata - wyjaśnił córkom.

Sara ugryzła się w język. Dash musiał wiedzieć, że na tych statkach wyruszyła z Hiszpanii ekspedycja Krzysztofa Kolumba. Pielgrzymi

przybyli ponad sto lat później. To podstawowe fakty, które znało prawie każde amerykańskie dziecko przed ukończeniem podstawówki. Dzieci uczyły się o tym piosenek, musiały odtwarzać tę historię w szkolnych przedstawieniach na Święto Dziękczynienia.

- Niektórzy uważają, że Mayflower Compact było przymierzem z samym Bogiem do szerzenia chrześcijaństwa w Nowym Świecie.

Sarę zżerała ciekawość, do jakiej puenty zaprowadzi Dasha ten tok myślenia.

- Tak naprawdę Mayflower Compact był aktem społecznej umowy, zobowiązującej osadników do przestrzegania ustalonych praw. - Mówiąc to, Dash w zamyśleniu gładził Grace po włosach. - Właśnie taką wspólnotę tu założyliśmy, doktor Earnshaw. Jedni z nas są purytanami, drudzy osadnikami, inni poszukiwaczami przygód czy rzemieślnikami, ale wiąże nas wszystkich wiara w te same prawa i przepisy. To cecha cywilizowanego społeczeństwa.

Przynajmniej tutaj odrobił lekcję i uważnie przeczytał Wikipedię.

- Pielgrzymi zajęli tereny należące do króla, tak jak ziemia, na której my się znajdujemy, należy do rządu federalnego - zauważyła Sara.

- Doktor Earnshaw, czy pani próbuje zmanipulować mnie, żebym potwierdził naszą lokalizację? - z uśmiechem skwitował Dash.

Sara miała ochotę skopać sobie tyłek za taką nieudolność.

- Prawo Stanów Zjednoczonych góruje nad wszystkimi regulacjami, jakie ustanowiliście w obrębie waszego Obozu. To przywilej i cena za obywatelstwo. Mój dziadek mawiał: „Nie zadzieraj z administracją Stanów Zjednoczonych. Wygrali dwie wojny i mogą drukować własne pieniądze”.

Dash skwitował jej słowa wybuchem śmiechu.

- Pani dziadek brzmi jak mój człowiek. Powinna jednak pani zrozumieć, że my pozostajemy wierni oryginalnej wersji Konstytucji Stanów Zjednoczonych. Nie interpretujemy jej ani nie poprawiamy. Przestrzegamy prawa ściśle według tego, co zostawili nam Ojcowie



Założyciele.

- W takim razie zakładam, że wie pan, iż spośród trzech przestępstw karnych wymienionych w Konstytucji, zdrada jest wymieniona jako pierwsza. Twórcy naszej konstytucji nałożyli karę śmierci dla każdego, kto wydaje wojnę Stanom Zjednoczonym.

- Thomas Jefferson uczył, że drobny bunt od czasu do czasu jest czymś dobrym i tak samo potrzebnym w świecie polityki, jak burze w świecie przyrody - odparł Dash. - Większość kraju zgadza się z tym, co tu robimy. Wszyscy jesteśmy patriotami, doktor Earnshaw. Tak się nazywamy. NAP. Niewidzialna Armia Patriotów.

Armia.

- NAP? Słyszałam już ten skrót.

- Lubię piwo<sup>12</sup> - Dashowi uśmiech nie schodził z twarzy. - Benjamin Franklin, inny wielki patriota, napisał, że piwo jest dowodem miłości Boga do nas i jego pragnienia, byśmy byli szczęśliwi.

Tak naprawdę Franklin mówił o francuskim winie, ale Sara nie poprawiła Dasha. Wygładziła fałdy swego okrycia, pociła się niemiłosiernie. Owady latały jej wokół twarzy. Słońce paliło skórę. Ale wszystko to było lepsze od siedzenia w chacie.

- Zauważył pan, że George Clooney nigdy nie opowiada ludziom, jaki jest przystojny? - Gdy Dash uniósł brwi w oczekiwaniu dalszego ciągu, spuentowała: - Ciekawi mnie jedno: jeśli jest pan prawdziwym patriotą, naprawdę musi pan zaznaczać to w nazwie organizacji?

Dash zachichotał i potrząsnął głową.

- A ja się zastanawiam, doktor Earnshaw, jak opisałbym panią w książce, gdybym był pisarzem.

Sara czytała książki pisane przez takich mężczyzn jak on. Skupiłby się na kolorze jej włosów, rozmiarze piersi i kształcie tyłka.

- Pisze pan książkę? Manifest?

- Powinienem. - W jego głosie nie było już żartobliwych tonów. -

To, co tu robimy, co tu stworzyłem, musi zostać powielone, jeśli nasi ludzie mają przetrwać. Świat będzie potrzebował strategii działania, gdy runą jego filary.

- Jakie filary?

- Dash! - rozpaczliwy krzyk Lance'a przerwał im rozmowę.

Sara odruchowo zerwała się na równe nogi. Lance wyglądał jak na granicy hysterii. Biegł w ich stronę ze strzelbą w rękach z szeroko otwartymi ustami.

- Tommy upadł! Jest źle. Nogę ma całą... - Zatrzymał się półtora metra przed nimi i zgiął wpół, by złapać oddech. - To się stało w czasie ćwiczeń. Jego noga... - Lance znowu urwał, nie umiejąc oddać słowami tego, co zobaczył. - Gwen kazała przyprowadzić lekarkę.

Dash przyglądał się bacznie Lance'owi. Nie ruszył się z miejsca, dziewczynki też. Joy czekała na sygnał. Dopiero kiedy poklepał ją po nodze jak psa, zeszła z jego kolan.

- Mam nadzieję, że pójdzie pani ze mną? - zwrócił się do Sary.

Po raz pierwszy od spotkania z tym sadystą Sara rzeczywiście miała ochotę mu towarzyszyć. Chciała zobaczyć miejsce, w którym Tommy wykonywał ćwiczenia.

Dash szedł przed las swoim zwyczajowym tempem. Lance wysforował się naprzód, pędził jak szalony i potknął się o kłodę. Wypuścił strzelbę z rąk i próbował wstać, ale znowu upadł.

- Spokojnie, bracie. - Dash podniósł strzelbę, wytarł ją i oddał Lance'owi. - Oddychaj głęboko.

Oddech Lance'a był płytki. A przy wydechu pachniał czymś kwaśnym.

- Dobrze, stary. - Dash poklepał go w ramię i ruszył ścieżką przed siebie.

Był inteligentny, Sara musiała mu to oddać. Sama posługiwała się tą techniką na oddziale ratunkowym. Trauma podkręcała emocje

i kiedy wszyscy wokoło wariowali, zachowanie spokoju natychmiast stawiało człowieka na pozycji lidera.

- Tędy proszę. - Dash oddalał się od szklarni. Szedł w stronę wzgórza, za którym, jak przypuszczała Sara, znajdował się główny obóz.

Z oddali słyszała syrenę, ale po chwili uświadomiła sobie, że to nie syrena, tylko ktoś wył mrożącym krew w żyłach wysokim głosem, jaki wydobywa z siebie człowiek cierpiący z powodu zagrażającego życiu potwornego bólu.

Puściła się biegiem w stronę źródła tego dźwięku. Ścieżka zaprowadziła ją na kolejną polanę, co najmniej dwa razy większą niż ta, którą już знаła. Więcej chat, więcej kobiet gotujących na wolnym ogniu. Nie zwolniła, by policzyć ludzi czy przyjrzeć się uważniej otoczeniu. Uniosła szatę i pobiegła w stronę wyjącego człowieka.

Na grzbiecie wzgórza zobaczyła otwartą konstrukcję. Była masywna, ale niedokończona. Stał tylko szkielet, czyli ściany z drewnianych belek, na podłodze płyty ze sklejki, otwarte schody, poręcz zabezpieczająca. Dwie kondygnacje. Drugi poziom tworzył balkon biegnący dokoła podłogi poziom niżej. Nie było dachu, regipsów, sidingu. Za sufit służyły płachty brezentowe ułożone w dwóch warstwach. Spodnia warstwa dodatkowo była okryta srebrną folią termoizolacyjną. Wierzchnia warstwa była ciemnozielona, co ułatwiało wtopienie się konstrukcji w las.

U podstawy schodów stała grupka mężczyzn. Wszyscy mieli na sobie czarne mundury polowe i watowane kamizelki. Wchodząc do środka, Sara podniosła głowę. To był budynek, a dokładniej model budynku. Jedna płachta brezentu nie wystarczała do przykrycia całej powierzchni. Dach tworzyło osiem połączonych płacht, a łączna powierzchnia budowli wynosiła mniej więcej tyle, ile połowa boiska do futbolu. Ściany i podłoga konstrukcji były zachlapane farbą w różnych kolorach, prawdopodobnie z pistoletów do paintballa. Papierowe tarcze przedstawiały sylwetki ochroniarzy. Ubłocone

odciski stóp wskazywały, któredy mężczyźni wbiegli i któredy wybiegli.

Sarze przychodził do głowy tylko jeden powód wzniesienia takiej makiety. Można było tu trenować zdobywanie prawdziwego budynku, a także zabijanie lub uprowadzanie ludzi przebywających w środku.

### *Ćwiczenia.*

Mężczyźni rozstąpili się, by wpuścić Sarę do środka kręgu. Gwen miętosła fartuch dłońmi. Wyglądała na zaskoczoną. Wszyscy wyglądali na zaskoczonych, jakby nigdy nie przyszło im do głowy, że podczas zabawy w żołnierzyki komuś może stać się krzywda.

Ranny spadł z wyższej kondygnacji. Leżał na plecach, ale nie płasko. Wylądował na jedynym meblu w zasięgu wzroku, metalowym biurku z krzesłem obrotowym na kółkach. Leżał wygięty nienaturalnie do tyłu. Głową złamał plastikowy podłokietnik krzesła. Odcinek lędźwiowy kręgosłupa przewieszał się przez krawędź biurka, a nogi dyndały tuż nad ziemią. Biały kawałek kości sterczał z uda jak płetwa grzbietowa rekina. Lewa stopa przekręciła się w kostce. Czubek buta był zwrócony do tyłu w stronę biurka.

Sara ujęła go za rękę. Miał lodowatą skórę, palce proste i bez życia.

- Cześć - powiedziała, ponieważ nikt nie mówił do niego ani nie próbował dodać mu otuchy.

Popatrzył na nią. Wyglądał na osiemnaście lat. Miał bardzo jasne włosy. Krew leciała mu z oczu jak łzy. Przestał krzyczeć. Miał fioletowe wargi. Jego szybkie rozpaczliwe oddechy przypomniały jej Vale'a.

- Jestem Sara. - Dotknęła jego twarzy. Chłopak nie miał czucia od szyi w dół. - Tommy, możesz na mnie spojrzeć?

Oczy zaczęły mu uciekać w głąb czaszki i szybko zamrugał.

Sara bez badania wiedziała, że złamał kręgosłup. Żebra miał zgniecione, miednicę zgruchotaną. Otwarte złamania nóg były najbardziej widocznym i przerażającym obrażeniem, choć

jednocześnie najmniejszym z jego problemów. Nawet natychmiastowa interwencja chirurgiczna prawdopodobnie nie uratowałaby mu stopy, którą trzeba by amputować. I to przy założeniu, że udałoby się ustabilizować jego stan do transportu.

Dash nigdy nie zgodzi się na przetransportowanie Tommy'ego drogą lotniczą z tej góry.

- Posłałam ludzi po szynę, żeby unieruchomić złamaną kończynę - oznajmiła Gwen.

Sara czuła, jak zaciskają się jej szczęki. Pogładziła Tommy'ego po głowie.

- A potem?

- Oczywiście zabierzemy go do szpitala. Nie zostawiamy naszych ludzi. Jesteśmy żołnierzami, nie zwierzętami - powiedział Dash.

Sarze robiło się niedobrze od słuchania tych frazesów, jednak Tommy najwyraźniej w to wierzył, bo na jego twarzy odmalowała się ulga. Patrzył na Dasha z dziecięcym oddaniem.

- Bracia! - Dash zwrócił się do zgromadzonych. Ich strach dawał się wyczuć w powietrzu. - To, co spotkało jednego z naszych najlepszych żołnierzy, jest straszne, ale nie wpłynie na zmianę naszych planów. Do ćwiczeń wrócimy nieco później. Jesteśmy zbyt blisko, by odpuścić przygotowania. W tej chwili jednak wszyscy zasłużyliście na czas wolny. Geraldzie, weź furgonetkę. Dajmy naszym chłopcom trochę czerwonego mięsa.

- Tak jest. - Gerald był najstarszy w grupie, wyglądał na nieco ponad czterdzieści lat i zachowywał się jak żołnierz. Reszta była w podobnym wieku, co połamany chłopiec leżący na biurku. Mieli chude szyje, ręce i nogi jak patyki. Sara powiedziałaaby, że bawią się w przebieranki, tyle że to nie była gra.

Wzniesli tę konstrukcję, by trenować infiltrację, oblężenie, atak terrorystyczny. Sara przyjrzała się balkonowi na piętrze. Konstrukcja nie miała żadnych cech charakterystycznych. Mogła być modelem

holu w biurowcu, hotelu, kinie. Tylko jedno wiedziała na pewno: cokolwiek planowali, niedługo miało się wydarzyć.

„Jesteśmy zbyt blisko, żeby odpuścić przygotowania”.

- Żołnierze, wymaszerować. - Gerald wyprowadził chłopców. Ich buty dudniły ciężko o sklejkę na podłodze. Po chwili zniknęli za grzbietem wzgórza.

Przy Tommym zostali tylko Gwen, Dash i Sara. Sara przycisnęła mu palce do szyi, by sprawdzić puls. Miała wrażenie, że dotyka skrzydeł motyla.

- Cóż... - Dash poprawił temblak. Dotąd nie zwrócił się bezpośrednio do Tommy'ego. Już sam ten fakt świadczył o nim jako o przywódcy. - Zastanawiam się, co to biurko tu robiło.

Gwen wpatrywała się w niego intensywnie. Nie padło ani jedno słowo, ale coś się między nimi wydarzyło.

Dash skinął lekko i odszedł.

Sara poczuła nienawiść i obrzydzenie, gdy zniknął jej z pola widzenia. Zamiast siedzieć z przerażonym umierającym chłopakiem, któremu zależało tylko na tym, by przysłużyć się dowódcy i zdobyć jego uznanie, Dash wracał do córek, by połechtać swoje ego.

Nie stać jej było na luksus jego tchórzostwa. Wciąż przyciskała dłoń do boku twarzy Tommy'ego.

- Tommy, czy możesz otworzyć oczy? Zrób to dla mnie - poprosiła.

Chłopak powoli uniósł powieki i spojrzał na Sarę. Białko lewego oka było podbiegnięte krwią. Poruszył wargami, ale wydobył z siebie tylko pomruk. Był owładnięty przerażeniem. Nie miał czucia w kończynach. Mózg nie przewodził bodźców bólowych. Był wystarczająco świadomy, by rozumieć, że nie zejdzie z tej góry. I wiedział równie dobrze jak Sara, że Dash zrzucił z siebie odpowiedzialność za jednego ze swoich „najlepszych żołnierzy”.

- Pr...proszę.

Sarze pękało serce na widok desperacji Tommy'ego. Oczy ją

zapięły, ale nie mogła pozwolić, by zobaczył, że płacze. Musiała zachować pozory spokoju. Nie odrywała dłoni od jego policzka. Kropla krwi wypłynęła z jego ucha.

- Musimy... - zwróciła się do Gwen, ale nie była w stanie dokończyć zdania.

Tommy umierał. Pozostała tylko kwestia, jak i kiedy. Pień mózgu mógł w końcu powiększyć się na tyle, by uniemożliwić oddychanie. Mogło też dojść do zapadnięcia płuc. Po trzech minutach straciłby przytomność, po kolejnych pięciu po prostu by się udusił. Albo organy wewnętrzne mogły wyłączać się kolejno, zapoczątkowując powolny proces świadomego konania. Tommy był młody i silny, więc jego ciało łatwo się nie podda. Bez pomocy z zewnątrz Sara mogła tylko ulżyć mu w cierpieniu, przyspieszając to, co nieuchronne.

Osiemnaście lat.

- Masz może chlorek potasu albo morfinę... - zaczęła.

Lecz nie zdążyła dokończyć, gdyż Gwen odepchnęła ją tak mocno, że upadła na plecy.

W pierwszej chwili była zbyt zszokowana, by wstać. Potem zebrała się w sobie i dźwignęła na nogi, żeby zatrzymać bieg wypadków.

Gwen jedną dłonią zatkała Tommy'emu usta, a palcami drugiej chwyciła za nos, odcinając dopływ powietrza.

- Nie! - Sara złapała ją za rękę, próbując oderwać palce od ust i nosa chłopca, ale Gwen miała silny chwyt. Wysiłki Sary nie miały sensu. Nic nie miało sensu.

- Nie możemy... - Głos Gwen łamał się z wysiłku, nie z emocji. Ramiona jej drżały, gdy całym ciałem napierała na dłonie. - Nie możemy marnować zapasów.

Ta zimna kalkulacja odebrała Sarze mowę. To dlatego Dash odesłał innych mężczyzn. To tego nie był w stanie znieść.

Morderstwa.

Tommy otworzył szeroko oczy. Nagły wyrzut adrenaliny przywrócił mu pełnię świadomości. Jego struny głosowe zawibrowały wysokim dźwiękiem. Patrzył na Gwen z przerażeniem. Gardło zaciskało się coraz bardziej, usiłując złowić choćby haust powietrza. Bezżyteczne kończyny drżały, gdy nerwy próbowały odpalić w trybie awaryjnym. Oderwał wzrok od Gwen i przeniósł go na Sarę.

- Jestem tutaj. - Uklękła przy nim i przycisnęła dłoń do jego policzka. Gorące łzy Tommy'ego spłynęły jej po palcach. Nie pozwoliła sobie na luksus odwrócenia wzroku. W myślach odliczała sekundy i minuty, które upływały powoli, rozciągnięte między jego życiem a śmiercią.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

PONIEDZIAŁEK, 5 SIERPNIA, GODZINA 14:30

Faith przewijała maile, czekając w pustej sali konferencyjnej w gmachu mieszczącym siedzibę Centrów Kontroli i Prewencji Chorób. Miejsce przypominało Fort Knox. Przy bramie wjazdowej musiała oddać broń, kazali jej otworzyć bagażnik i podnieść maskę auta, a mężczyzna z lusterkiem na końcu kijka sprawdził podwozie na obecność bomb. Na koniec świetnie wyszkolony owczarek belgijski zignorował rozsypane pod siedzeniami płatki śniadaniowe, gdy obwąchiwał wnętrze auta w poszukiwaniu pozostałości materiałów wybuchowych.

Wziąwszy pod uwagę wszelkie paskudztwa przechowywane w ich laboratoriach, nie dziwiły obostrzenia dotyczące wstępu na teren CDC. Faith zachodziła jednak w głowę, dlaczego to tajemnicze spotkanie odbywało się w właśnie tu. Amanda ograniczyła się do esemesa, w którym kazała jej być w CDC punktualnie o drugiej trzydzieści, ale nie przekazała żadnych dodatkowych informacji. Faith nie знаła nawet nazwiska osoby, do której miała się zgłosić. Drogą eliminacji najmniej prawdopodobnych wariantów doszła do wniosku, że ma tu otrzymać poufne informacje o Michelle Spivey. Ta sama grupa, która porwała Michelle, uprowadziła Sarę. Być może przy odrobinie szczęścia i z boską pomocą dzięki pozyskanej tu wiedzy trafi po nitce do kłębka, czyli wprost do Dasha, sukinsyna, który wciąż przetrzymywał obie zakładniczki.

Dash.

Faith nienawidziła gościa za samą idiotyczną ksywkę. Jeśli to był skrót, to od czego? A może nazywał się Dash, bo bardzo szybko biegał, pracował jako dostawca, zawsze się śpieszył albo ciągle go

goniło z powodu skłonności do biegunek?

Nie miała pojęcia i to ją wkurzało.

Cały wieczór zmarnowała, usiłując namierzyć przywódcę NAPu. A skoro mowa o Niewidzialnej Armii Patriotów, wyszukiwarka wygenerowała trzy miliony trzysta czterdzieści siedem tysięcy wyników do tego hasła. Przypominało to szukanie igły w stogu siana, kiedy człowiek nie ma pojęcia, jak wygląda igła. Will był bezużyteczny. FBI było bezużyteczne. Faith musiała znać przedział wiekowy. Znaki szczególne, na przykład blizny czy tatuaże. Auto. Ulubione miejsce. Ostatnie miejsce zamieszkania. Nawet lokalny akcent mógł być wskazówką.

Na szczęście było coś takiego, co przestępcy robili niezawodnie, a mianowicie spędzali czas z innymi przestępcami. Należało więc znaleźć kogoś, kto zna kogoś, kto był w tarapatach i chciał ubić interes. Telewizyjne opowieści o niekablowaniu należało włożyć między bajki. Wszyscy kablowali, jeśli w ten sposób mogli wywinąć się od więzienia. Faith skoncentrowała swoje poszukiwania na Carterze, Vale'u, Monroe i Hurleyu. Szukała transakcji kartami kredytowymi, wypłat z bankomatów, numerów telefonów, biletów parkingowych, lokalizacji GPS, która powiązałaby ich z Dashiellem, Dasherem, Dashym czy innym nieboszczykiem, którego imię lub nazwisko zaczynało się na D.

Nic.

Wstała i podeszła do okna.

W tej chwili wiedziała tylko jedno: że Michelle Spivey pracowała w tym budynku. Albo w innym należącym do tego kompleksu. Na terenie stało ich kilka. Między nimi były mosty, skalny ogród i dzienne centrum opieki dla dzieci pracowników. Uderzający kontrast z gigantycznym białym prostopadłościanem, w którym mieściło się GBI, chociaż CDC ledwie przedło do pamiętnych „pocztowych ataków węglikiem” w dwa tysiące pierwszym roku.

Kongres zorientował się nagle, że może dobrze by było dofinansować organizację, która profesjonalnie zareaguje na ataki z użyciem węglika. W podjęciu decyzji pomogło też to, że wśród ludzi, którzy otrzymali pocztą zabójczą bakterię, było dwóch senatorów Stanów Zjednoczonych. Przepiękstwo zyskiwało na randze, gdy jej ofiarą padał podrzędny polityk.

Telefon Faith zawibrował, oznajmiając nadejście nowej wiadomości. Listę leków sporządzoną przez Sarę przesłała do dwojga pediatrów i lekarza rodzinnego. Cała trójka nie zauważyła w tym niczego nienormalnego, ale na podstawie listy żadne z nich nie wysnuło wniosku o konkretnej chorobie, którą tym zestawem leków można by leczyć. Nowa wiadomość przyszła od pediatry Emmy i zawierała sugestię:

*Może to gruźlica prosówkowa?*

Faith słyszała o gruźlicy, ale nigdy o takiej odmianie tej choroby. Natychmiast wpisała tę nazwę do wyszukiwarki. „Prosówkowy” odnosiło się do zmian w płucach o wyglądzie ziaren prosa, widocznych w obrazie RTG. Symptomy tej choroby były straszne, zwłaszcza jeśli dotyczyły dziecka.

*Kaszel, gorączka, biegunka, powiększenie śledziony, wątroby, węzłów chłonnych... niewydolność wielonarządowa, niewydolność nadnerczy, odma płucna... 1,3 mln przypadków śmiertelnych rocznie na świecie...*

Uruchomiła aplikację medyczną i znalazła listę szczepień Emmy.

*Varicella - ospa wietrzna; MMR - odra; świnka/różyczka; DTaP - błonia/tężec/krztusiec; BCG - gruźlica.*

Westchnęła z ulgą i wróciła do Google'a. Wczoraj Kate Murphy powiedziała, że ostatnio Michelle Spivey pracowała nad krztuścem, zwanym inaczej kokluszem.

*Katar, gorączka, suchy napadowy kaszel prowadzący do wymiotów, czasem do złamania żeber... odkrztuszanie gęstej wydzieliny*

*z charakterystycznym „pianiem”... ta faza trwa około 10 tygodni... powikłania: zapalenie płuc, drgawki, zapalenie opon mózgowodzeniowych... 58 700 zgonów w 2015 roku...*

Zamknęła wyszukiwarkę. Mogła oglądać rozkładającego się trupa zamordowanego dilera, ale myślenie o cierpieniu dzieci kosztowało ją zbyt wiele.

Zapadła się w fotelu i westchnęła ciężko. Przemęczenie nie było dla niej niczym nowym, ale teraz przechodziło w stan wyczerpania.

Wierzyć jej się nie chciało, że zaledwie wczoraj siedziała złana potem na spotkaniu w sprawie transportu Martina Novaka. „Więzień specjalnego znaczenia” był abstrakcją, materiałem przygotowanym na potrzeby spotkania, pełnym danych, wykresów i schematów aut i dróg. Potem wybuchły bomby i jedyna osoba przekonana o związku między Martinem Novakiem, Dashem i NAPem, kwitła w holu CDC w oczekiwaniu na nie wiadomo kogo, z kim miała się tu spotkać.

Zerknęła na zegarek.

Godzina 14:44.

Może po prostu o niej zapomniano? Czekają na nią mnóstwo pracy, a wszystko miało związek z szukaniem Sary. Była na tyle blisko Emory, że mogła wrócić do Lydii Ortiz, pielęgniarki z oddziału chirurgicznego, by zapytać, czy nie przypomniała sobie czegoś nowego o Michelle Spivey lub Robercie Hurleyu. Ortiz spędziła z obojgiem trochę czasu, gdy Michelle wychodziła z narkozy. Jakiś szczegół, jakaś rzucona mimochodem uwaga mogły naprowadzić na trop.

Mogła też zapewnić wsparcie Willowi. Beau Ragnersen zabierał go na spotkanie z posłańcem Dasha o czwartej. W związku z tą akcją miała złe przeczucia. Nie tylko dlatego, że AlbertaBanks Park we Flowery Branch leżał przy ulicy, która wciąż nosiła nazwę Jim Crow Road. Martwiło ją, że grupa obserwacyjna nie obstawi wszystkich punktów dostępu. Martwiła się, że z powodu wstrząśnienia mózgu

stan Willa się pogorszy. Ale najbardziej martwił ją Beau Ragnersen. Nie ufała tajnym informatorom. Byli przestępcami i zawsze mieli ukryte motywy. Beau był też narkomanem - czarna heroina to nie żart - a w tym planie odgrywał ważną rolę. Miał w przekonujący sposób przedstawić Willa jako byłego kumpla z wojska, który przechodzi trudny okres w życiu.

W określeniu „trudny okres w życiu” nie było cienia przesady. Dzień rano Faith z trudem rozpoznała Willa. Bez Sary zaczął się cofać do swojej pierwotnej wersji sprzed ich poznania. Niechlujna broda wraz ze szramami na twarzy upodabniała go do zbira. Gdyby Faith spotkała go na ulicy, w pierwszym odruchu upewniłaby się, że jej broń jest widoczna.

Powinna być teraz w tym parku i zapewniać Willowi wsparcie.

Otworzyły się drzwi. Ku swemu zaskoczeniu Faith zobaczyła Aiden Van Zandta. Po chwili zrozumiała, że wcale nie powinna być zaskoczona.

Przytrzymał drzwi stopą i omiótł wzrokiem korytarz. Jego okulary nie trzymały się już na białą taśmę klejącą. Znowu miał na sobie garnitur i krawat, a na szyi identyfikator FBI.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział. - Murphy nie mogła przyjść, ale przesyła pozdrowienia. - Gdy Faith zaśmiała się serdecznie, dodał: - Ona cię lubi. Naprawdę. Przypominasz jej twoją matkę. - Wychylił się na korytarz i podniósł rękę, jakby przywoływał taksówkę. - Powiadomisz ją, że jesteśmy gotowi? - zawołał, po czym zwrócił się do Faith. - Weź swoje rzeczy.

Faith złapała torbę i poszła za nim długim korytarzem. W ostatnim czasie jej życie toczyło się na schodach i korytarzach.

- Skąd Murphy zna moją matkę? - zapytała.

- A skąd ludzie się znajdują? - odpowiedział pytaniem na pytanie i zmienił temat: - Wiadomo coś o waszej zaginionej agentce?

Faith też mogła zmienić temat.

- Czy FBI nadal zaprzecza istnieniu związku między Martinem Novakiem, wybuchami w Emory oraz NAPem?

- Odpowiedź mglista. Spróbuj później.

Faith nigdy nie lubiła tej zabawy.

- Okay, Magic 8-Ball. Szukałam NAPu w Google'u. Nie ma tej organizacji w Internecie. W ogóle nie ma jej nigdzie, co wcale nie oznacza, że nie istnieje. Jest przecież ciemna sieć i tak dalej, ale dlaczego nie ma nic o tym w Internecie?

- Zapytaj później.

Faith miała ochotę go znokautować.

- Przejrzyj akta Michelle i sprawdź, czy kiedykolwiek miała jakiś kontakt z niejakim Beau Ragnersenem.

Van przystanął z ręką opartą o zamknięte drzwi.

- Skąd pomysł, że mogę to zrobić?

- Bo jesteś oficerem łącznikowym FBI w CDC. - Ponieważ Van tego nie sprostował, Faith założyła, że jej intuicja jest słuszna. - Ragnersen z -en na końcu.

- To duńskie nazwisko. Se-n znaczy...

Faith otworzyła drzwi i ogarnęło ją nerwowe podniecenie. Nagle poczuła, że cywil nie powinien mieć tu wstępu. Ogromna przestrzeń przypominała jej centrum kontroli lotów NASA. Wszędzie rzędy pustych boksów z monitorami komputerów i napisami: Ameryka Południowa, Ameryka Łacińska, Europa, Eurazja. Zegary cyfrowe wskazywały czasy ALFA, OSCAR, ZULU. Tylną ścianę pokrywały gigantyczne monitory. W różnych punktach na mapie świata mrugały czerwone, zielone i żółte światełka. W rogu widniał napis RED SKY.

Faith przypuszczała, że czerwona kropka, jaką została oznaczona Atlanta, ma związek z wczorajszym atakiem.

- Dlaczego na wybrzeżu Georgii błyska żółta lampka? - zapytała.

- Huragan Charlene - odparł Van. Pod koniec lipca sztorm uderzył w Tybee Island i szalał w porcie w Savannah. Żywioł wyrządził tak

straszliwe spustoszenie, że gubernator zwołał nadzwyczajne posiedzenie w sprawie wyasygnowania funduszy na usunięcie szkód.

- Żółte światło oznacza, że katastrofa trwa. Red Sky to część aktualnego obrazu sytuacji - wyjaśnił. - Różne wydziały mają różne stopnie dostępu. W tej sali znajduje się centrum Systemu Zarządzania Incydentami. Jeśli nadchodzi potężna burza, powstaje zagrożenie dla zdrowia publicznego albo następuje atak terrorystyczny, ta sala wypełnia się ludźmi. Jak wczoraj, kiedy ani jedno biurko nie stało puste. Mówimy o ponad setce ludzi. Naukowcy, specjaliści, lekarze, współpracownicy wojskowi, obserwatorzy. Stąd jest bezpośrednia linia z Białym Domem, Pentagonem, NORAD, Alice Station, Menwith Hill, Misawa, Buckley. Wszystkie wasze SIGINT z systemu ECHELON wędrują tutaj. Global Incident Team przesyła dane bezpośrednio na te monitory, by reagować w czasie rzeczywistym i wysyłać ludzi i środki tam, gdzie jest potrzeba.

Faith kiwnęła poważnie głową, udając, że cała ta sceneria wyjęta wprost z „Jasona Bourne’a” nie robi na niej wrażenia. Tymczasem skręcało ją, by wyjąć telefon i pstryknąć kilka fotek.

- Świetna sprawa, prawda? - zapytał Van.

Faith wzruszyła ramionami.

- Chyba że tkwisz na wybrzeżu i musisz ratować tyłek.

Van otworzył następne drzwi i przytrzymał je dla niej. Pod ścianą stał rząd małych szafek. Na końcu korytarza znajdowały się zamknięte drzwi, nad którymi paliło się czerwone światło. - Byłaś kiedyś w SCIF?

Sensitive Compartmented Information Facility.

Bezpieczne pomieszczenie do wymiany informacji wrażliwych.

- Tak - skłamała. Widziała jeden z superbezpiecznych pokoi w serialu „Zawód: Amerykanin”, co chyba się liczyło.

Van wyjął z kieszeni telefon i umieścił go w jednej z szafek.

Faith otworzyła torbę. Miała w niej więcej niż komórkę. Musiała

zostawić w szafce laptopa oraz iPada ze względu na zakaz wnoszenia do SCIF urządzeń elektronicznych oraz nagrywających.

- Zawsze zapominam o zegarku - powiedział Van, zdejmując garmina.

Faith odpięła pasek apple watcha. Czuła narastającą nerwowość. Zaczęło do niej docierać, że znalazła się w jednym z najbardziej strzeżonych miejsc w kraju, a teraz Van prowadzi ją do jeszcze bardziej zabezpieczonego pomieszczenia.

Michelle Spivey miała najwyższy certyfikat bezpieczeństwa. Faith pomyślała, że Amanda jakimś cudem wydebiła dla niej dostęp do informacji o projekcie naukowym, nad którym Michelle pracowała przed porwaniem.

NAP nie uprowadziła jej z parkingu z powodu studiów nad krztuścem.

- Gotowa? - Van nacisnął zielony guzik na ścianie.

Rozległ się donośny brzęczyk, a potem drzwi się otworzyły. Van i Faith weszli do środka. Głuchy łomot zamykających się za nimi drzwi zabrzmiał jak zamykanie krypty. Rozbrzmiał kolejny brzęczyk. Czerwone światło nad drzwiami zaczęło się obracać jak sygnał świetlny na dachu policyjnego radiowozu.

Faith wzięła głęboki wdech. W pokoju było osobliwe powietrze. Jedyne wyposażenie stanowiły stół konferencyjny, sześć krzeseł i zegar ścienny.

U szczytu stołu siedziała młoda kobieta. Miała na sobie mundur marynarski koloru khaki bez plakietki z nazwiskiem oraz kolorowe belki, których Faith nie umiała zidentyfikować. Nosła okulary z grubymi szklami, miała krótkie ciemne włosy i reprezentowała najgorszy typ młodości. To znaczy taki, w kontakcie z którym Faith czuła się staro. Na pierwszy rzut oka było widać, że przebywanie tu sprawia jej cholerną radość. Z wielkimi oczami i entuzjastyczną miną przypominała Faith małego JackJacka z „Iniemamocnych”. Przed nią



leżało kilka teczek, a na widok Vana uśmiechnęła się szeroko. Miała na zębach ślady szminki.

Van potarł palcem zęby, dając jej o tym znać, co było bardzo przyzwoite z jego strony.

- To Miranda. A to agentka, o której ci mówiłem - powiedział.

Faith przypuszczała, że to musi wystarczyć za całą prezentację.

Usiadła przy stole, Van zajął miejsce obok.

- Dobrze, zatem jakie czynniki doprowadziły do niewielkiego wzrostu liczebności grup głoszących supremację białej rasy?

Faith poczuła dezorientację. Próbowwała połączyć sens tego pytania z Michelle. Michelle Spivey wzięła ślub z amerykańską lekarką o azjatyckich korzeniach. Postanowiły mieć dziecko, które będzie symbolizować ich pochodzenie.

- Stała się celem z powodu swojej rodziny? - zapytała Faith.

- Przepraszam, ale kto stał się celem? - Miranda z zakłopotaniem spojrzała na Vana.

- To inny temat na inną rozmowę - odparł. - Mów dalej.

- Dobrze. - Miranda potrzebowała chwili, by zebrać myśli. - Panuje ogólny pogląd, że ludzie przyłączają się do grup białych supremacjonistów z powodu wzmożonego napływu imigrantów lub kryzysów ekonomicznych, tak? Reparacje wojenne nałożone na Niemcy na mocy traktatu wersalskiego. Strefa Wspólnego Dobrobytu Wielkiej Azji Wschodniej.

Operacja Wetback.

- Chwileczkę. - Faith też potrzebowała chwili. Nie nadążała za kierunkiem, w jakim szła ta rozmowa. Dotarło do niej, że spotkanie nie dotyczy Michelle Spivey. Chodzi raczej o Niewidzialną Armię Patriotów. O „grupę białych supremacjonistów”. - Zreasumujmy. - Musiała to powtórzyć, by zrozumieć. - Mówisz, że liczba członków grup rasistowskich wzrasta, ponieważ z powodu pogarszających się warunków ekonomicznych i braku miejsc pracy ludzie szukają

winnych i...

- Nie tak szybko. - Miranda otworzyła jedną z teczek i położyła przed Faith czarnobiałą fotografię. Mężczyzna w ciemnym garniturze siedział oparty o biurko z fajką à la Sherlock Holmes w ustach i fryzurą Clarka Kenta. Zdjęcie pochodziło z lat pięćdziesiątych. - To George Lincoln Rockwell, założyciel Amerykańskiej Partii Nazistowskiej. - Położyła drugą fotografię. - Richard Girnt Butler, założyciel Aryjskich Narodów. - Kładąc po kolei następne zdjęcia, wyliczała: Thomas Metzger, przywódca Oporu Białych Aryjczyków. Frazier Glenn Miller, lider Armii Białych Patriotów. Eric Rudolph, powiązany z Armią Boga oraz Ruchem Chrześcijańskiej Tożsamości.

Faith nadal nie nadążała za tokiem tej rozmowy, jednak wiedziała wystarczająco wiele, by dopowiedzieć:

- Rudolph to sprawca zamachu bombowego w Parku Stulecia podczas igrzysk olimpijskich w Atlancie.

- Zgadza się. Celem jego ataków były też kliniki aborcyjne i kluby nocne dla lesbijek. - Miranda położyła na stole fotografię Timothy'ego McVeigha. - Zamachowiec z Oklahoma City. - Na stole znalazła się kolejna fotografia. - Terry Nichols, współnik McVeigha. Co łączy tych wszystkich mężczyzn?

Faith była zbyt skołowana na zastosowanie sokratejskiej metody, dlatego skupiła się na jednym człowieku:

- Wiem o Ericu Rudolphie, ponieważ większość ataków przeprowadził w Georgii. Przyznał się do czterech zamachów bombowych. Do zamordowania policjanta. Pracował jako cieśla. Był przeciwko rządowi, przeciwko homoseksualistom, kobietom, aborcji. Zaprzecza jakimkolwiek związkom z Ruchem Chrześcijańskiej Tożsamości, chociaż jako nastolatek mieszkał na terenie wspólnoty z matką. Kiedy znalazł się na liście FBI dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców, jego brat w proteście odciął sobie rękę piłą tarczową i nagrał to jako wiadomość dla FBI.

- Serio? - Mirandę poruszyła ta ostatnia informacja. - Co się stało z jego ręką?

- Nagrał się na pocztę głosową. FBI nie dostało wiadomości - wyjaśnił Van.

Nagle Faith coś sobie uświadomiła.

- Rudolph był w wojsku, prawda? Przeszedł przez Fort Benning. Zwolnili go za palenie trawki. Ten - Faith wskazała McVeigha - też był w wojsku. Dostał Brązową Gwiazdę za wojnę w Zatoce. Odszedł ze służb specjalnych. - Postukała palcem w zdjęcie Terry'ego Nicholasa. - Został wydalony z armii po kilku miesiącach. Nie mógł dać sobie z tym rady.

- Tak, tak, tak. - Podekscytowana Miranda przesuwiała zdjęcia na stole. - Rockwell był komandorem porucznikiem w marynarce w czasie drugiej wojny światowej i w Korei. Butler służył w siłach powietrznych. Miller walczył w Wietnamie. - Miała więcej zdjęć: mężczyzn w białych kapturach, z opaskami ze swastyką na ramionach, z rękami uniesionymi w geście nazistowskiego pozdrowienia. - Strzelec pokładowy w Wietnamie. Emerytowany podpułkownik. Sierżant sztabowy w siłach powietrznych. Siły rezerwowe straży przybrzeżnej.

- Chwila moment! - Faith musiała przerwać tę wyliczankę. - Mój brat służył w siłach powietrznych przez ostatnich dwadzieścia lat. Może być dupkiem, ale nie jest nazistą.

- Nie wątpię w to - odparła Miranda. - Nie czepiam się armii jako takiej. Moja rodzina ma tradycje wojskowe od czasów wojny amerykańskohiszpańskiej. Służę w marynarce, ale jestem też statystykiem i zapewniam cię, że z matematycznego punktu widzenia ci ludzie to tak zwana wartość odstająca. Trzeba brać pod uwagę liczby. W każdej wielkiej grupie znajdzie się paru złych aktorów. Nauczyciele, lekarze, naukowcy, policjanci, hycle. W każdej grupie zawsze znajdą się czarne owce. A teraz przełoż to na wojsko. Razem

z rezerwistami amerykańskie siły zbrojne liczą ponad dwa miliony ludzi. Jeśli wziąć choćby pół procenta z tego, to mamy...

- Dziesięć tysięcy. - Faith chwyciła się krawędzi stołu. Chciała wstać i wyjść z pokoju. - Musisz wyznaczyć wyraźną granicę między tymi punktami. Nie podobają mi się twoje sugestie.

- Kongresowi też się nie spodobały - oznajmił Van. - Członkowie specjalnego zespołu w Departamencie Bezpieczeństwa Wewnętrznego przygotowali dokument o ruchu białych supremacjonistów w armii i nie tylko stracili finansowanie, ale także zostali zmuszeni do wycofania swoich wniosków.

Faith musiała wstać, ale nie po to, by zakończyć spotkanie. Potrzebowała powietrza. W tym pokoju czuła się jak w celi. Oparła się o ścianę. Skrzyżowała ręce na piersiach. Czekwała.

- Wróćmy do początku - powiedziała Miranda. - Zapytałam, co jest powodem wzrostu liczebności grup białych supremacjonistów. Powiedziałaś, że imigracja i ekonomia, ale tak naprawdę to wojna. Wojna jest wspólnym mianownikiem dla wszystkich tych mężczyzn. Poszli walczyć, wrócili do domu i nic już nie było takie samo. W ich mniemaniu władza ich opuściła. Ich kobiety się zmieniły albo stały się bardziej niezależne. Dzieci stały się obce. Nie wiedzieli, jaki sens nadać światu, któremu nie są potrzebni, i musieli znaleźć winnych tej sytuacji. - Ja obwiniam Żydów - wtrącił Van.

W tej chwili Faith nie miała nastroju na wysłuchiwanie jego specyficznych żartów.

- Dwaj ludzie Hurleya, Sebastian James Monroe i Oliver Reginald Vale, zostali zwolnieni z wojska.

- Robert Jacob Hurley był oficerem uzbrojenia w siłach powietrznych - powiedział Van.

- Co to ma wspólnego z NAPem?

Miranda wertowała dokumenty.

- Tych gości nazywamy nowymi nazistami. Nie są skinheadami. Nie

gołą głów, nie robią tatuaży i nie ubierają się w charakterystyczny sposób. Oni wtapiają się w otoczenie. Koszulki polo i spodnie z Dockers. Mili schludni goście.

Faith przypomniała sobie demonstrantów z pochodniami w Charlottesville. Młodzi mężczyźni wyglądali zwyczajnie, póki nie zaczęli skandować haseł o krwi i ziemi i wrzeszczeć: „Żydzi nas nie zastąpią!”. - Zgromadzenie w Charlottesville... - zaczęła.

- Dlatego są tacy ostrożni w sieci - zauważył Van. - Po Charlottesville Internet zwrócił się przeciwko nim. Ludzie identyfikowali ich na podstawie nagrań wideo. „Ej, to mój dostawca. Czemu kopie w twarz czarną kobietę?”. Stracili pracę, bliscy ich odrzucili, stracili certyfikaty bezpieczeństwa, zostali dyscyplinarnie wydalen. Więc nauczyli się ostrożności. Kiedy kamera się uruchamia, zasłaniają twarze albo noszą maski.

Głos zabrała Miranda:

- Charlottesville było momentem przełomowym. Grupy przyjechały z trzydziestu pięciu stanów. To nie było spontaniczne spotkanie towarzyskie. Wcześniej organizowali mniejsze zgromadzenia w całym kraju, przeważnie jednak w Kalifornii. Zwykle przychodziło dwadzieścia osób, może garstka ludzi z Antify w poszukiwaniu okazji do rozbicia paru głów, może jacyś udawani hipisi pragnący rozsypywać kwiaty, ale media ich ignorowały. Po Charlottesville wszystko się zmieniło. Dostali wiatru w żagle, bo zostali zauważeni. Wrócili do domu pełni energii, zorganizowani, gotowi do działania. Liczba członków wzrosła gwałtownie.

Miranda pokazała Faith inne zdjęcie. Była to kolorowa fotografia młodego mężczyzny z policyjnej kartoteki.

- Brandon Russell, członek Gwardii Narodowej na Florydzie. Należy też do Atomwaffen Division. „Atomwaffen” to „broń atomowa” po niemiecku. W Charlottesville sporo było ludzi z tej grupy. W maju dwa tysiące siedemnastego roku, miesiąc przed zgromadzeniem,

Russell został nakryty w garażu, gdzie urządził laboratorium do produkcji bomb. W jego mieszkaniu znaleziono pełno swastyk, a w sypialni zdjęcie Timothy'ego McVeigha.

- W garażu Russella znaleźli HMTD - dodał Van. - To nadtlenek urotropiny, bardzo wybuchowy związek organiczny. Ta substancja została użyta w dwóch bombach zdetonowanych wczoraj na parkingu w Emory.

Faith przypomniła sobie dymiący krater, który widziała z helikoptera wczoraj po południu. Dziś rano służby nadal przeczesywały ruiny.

Niecałą godzinę temu odnaleziono kolejne ciało.

Skinęła Mirandzie głowę na znak, by kontynuowała.

- Jeśli chodzi o liczniejsze grupy, to mamy Atomwaffen, RAM, czyli Rise Above Movement, Hammerskins, Totenkampf. Ale to nie koniec listy. Czasem grupa liczy dziesięciu ludzi, czasem pięćdziesięciu. Obserwujemy przemiany zjawiska oporu niekierowanego. Ataki na skalę jedenastego września czy siódmego lipca wymagają koordynacji, dyscypliny i pieniędzy. Żadna z tych grup nie dysponuje takimi środkami. Tu dzieje się inaczej. Jeden gość mówi sobie: „Mam dość gadania, wreszcie coś z tym zrobię”. Dylann Roof, Robert Gregory Bowers, Nicholas Giampa, Brandon Russell byli zaangażowani w biały nacjonalizm, ale nie istniał żaden generalny plan. Działali na własną rękę.

- Jak zamachowcy samobójcy - podsunęła Faith.

- Nawet nie w tak wyrafinowany sposób. To może być znudzony dwudziestolatek z całym arsenałem. Pewnego ranka postanawia obwiesić się karabinami i iść do synagogi.

- Ci goście uprawiają kult bohaterów - dodał Van. - Czczą nie tylko McVeigha. Tak zwane samotne wilki są w ich oczach bogami. Przy okazji następnego ataku zajrzyj do Internetu. W ciągu kilku minut pojawią się fanpage'e, fanfiki, dane kontaktowe. Jeśli skurwiel żyje,

podają jego numer więzienny, żeby ludzie ładowali mu konto w kantynie i adres więzienia do korespondencji dla fanów.

Faith nawet nie chciało się pytać, co ci ludzie mają z głową.

- Motywacją strzelca jest rozgłos?

- Na swój sposób tak - odparła Miranda. - To ludzie kompletnie rozczarowani. Czują się zepchnięci na margines, bezsilni, niezrozumiani. Ostatnio coraz więcej mówi się o Wielkiej Wymianie.

- Na pewno już o tym słyszałaś - włączył się Van. - Białe kobiety nie rodzą tylu dzieci, ile przedstawicielki mniejszości. Feminizm niszczy zachodni świat. Biali mężczyźni stają się rognaczami.

- I tak wracamy do tematu wojska - dodała Miranda. - Mężczyźni w tych grupach łakną dyscypliny, potwierdzenia męskości w ramach struktury militarnej. Obserwujemy narastające zjawisko rekrutacji weteranów, żołnierzy w służbie czynnej i rezerwistów. Ci ludzie są im potrzebni przede wszystkim dlatego, że potrafią walczyć. Z drugiej strony dla żołnierza, który ma już za sobą karierę wojskową, szansa na powtórne przeżycie tego samego jest atrakcyjna. W całym kraju jest mnóstwo obozów, na których byli żołnierze trenują młodzież. Musztra, ćwiczenia sprawnościowe, sprzątanie pokoi, ćwiczenia na strzelnicy, obsługa broni. Jeden z największych obozów jest zlokalizowany w pobliżu Devil's Hole<sup>13</sup> w Dolinie Śmierci.

Faith przypomniała sobie zdjęcia w teczce Kate Murphy z dokumentacją poświęconą NAPowi. Przedstawiały młodych mężczyzn biegających w moro.

- W Devil's Hole miał się schronić Charles Manson po wybuchu wojny ras zapowiedzianej ponoć w „Helter Skelter”.

- Właśnie. - Miranda spojrzała na nią z uznaniem. - W trakcie odsiadki Manson korespondował z niejakim Jamesem Masonem, ważnym białym supremacjonistą. Mason napisał książkę „Siege”, czyli „Obleżenie”. Opowiada się w niej zdecydowanie za oporem niekierowanym, bez centralnego ośrodka dyspozycyjnego. Tę książkę

można nazwać biblią współczesnego ruchu na rzecz supremacji białych.

- Co ta biblia nakazuje im robić? - zapytała Faith.

- To samo, co robią talibowie czy AlKaida. Produkują filmy rekrutacyjne na wysokim poziomie. Tworzą fora dyskusyjne w Internecie, gdzie nie tylko akceptuje się wyrażanie nienawiści, lecz wręcz do tego zachęca. Kierują swój przekaz do wściekłych i rozczarowanych młodych mężczyzn, wmawiają im, że są częścią wielkiej sprawy, dlatego powinni walczyć dla przywrócenia białej siły, a jeśli to zrobią, nie będą mogli opędzić się od kobiet.

- Wielu takich facetów jak Hurley, Vale czy Monroe służyło w Iraku i Afganistanie - powiedział Van. - Obserwowali, co robi przeciwnik. Widzieli zniszczenia, jakie może wyrządzić prowizoryczny ładunek wybuchowy. Jak jeden gość, który przeniknie do policji czy jednostki wojskowej, może zabić dziesiątki ludzi. Nauczyli się tego od tamtejszych rebeliantów i wrócili z tą wiedzą do Ameryki.

- Rebelia. - Faith wskazała głową stos wciąż jeszcze zamkniętych teczek. Nadal nie wiedziała, gdzie sytuuje się Dash w tej układance. - Opowiedzcie mi o NAPie.

- Dobrze. - Miranda odetchnęła głęboko. - Są sprytni i inteligentni, co wzmaga nasz niepokój. Nie mówią o sobie w Internecie, to inni są pośrednim źródłem informacji. Na forach, gdzie dyskutują inne grupy, można wyczytać, że NAP planuje coś spektakularnego, że wzniesie drugą Amerykańską Rewolucję. Tak to wszystko przedstawiają, że trudno oddzielić przechwałki od prawdy. - Zrobiła przerwę na kolejny oddech. - Sądzymy, że NAP to survivalowcy. Powodem, dla którego zrobiłam nieco przydługą wstęp na temat działania tych grup, jest nasze przypuszczenie, że NAP tak właśnie działa. Członkowie tworzą niewielką komórkę, są zwolennikami oporu niekierowanego, szkolą tak zwanych żołnierzy, którzy umieszczeni w organach ścigania albo w armii rozpętają świętą



wojnę.

Faith zaschło w ustach.

- Skoro są tacy tajemniczy, to skąd o nich wiesz?

- Ode mnie - powiedział Van. - Zajmuję się monitorowaniem tych grup. Są ich setki, tak jak setki samotnych wilków siedzących w swoich przyczepach i wypluwających z siebie nienawistne teksty o zabiciu wszystkich czarnych i gwałceniu radykalnych feministek. Trafiłem na pierwsze wzmianki o NAPie kilka lat temu. W tym, jak o nich mówili, było coś innego niż do tej pory. Rozesłałem prośbę o informacje i dostałem notatkę służbową z więzienia stanowego w Valdosta, że mają więźnia, w którego nagranych rozmowach telefonicznych często pojawiają się wzmianki o NAPie.

- Adam Humphrey Carter. - Faith w końcu poczuła, że na niektóre z pytań wreszcie uzyskała odpowiedź. - Zwolniliście go przed końcem odsiadki za gwałt, żeby służył wam jako informator.

- Tak. - Van skinął głową. - Te grupy działają zwykle według schematu i na ogół same się wypalają. Wśród członków wciąż trwa walka o władzę. Ktoś nie jest wystarczająco fanatycznym rasistą, innego przyłapują na oglądaniu gejowskich pornosów. Wewnętrzne kłótnie prowadzą do rozwiązania grupy albo do rozłamu. Zasadniczo to popaprańcy i frajerzy. Nie bez powodu jedyne, czego się trzymają, to koloru własnej skóry. - Van pochylił się nad stołem. - Natomiast NAP wydawała się dobrze zorganizowana i skupiona na celu. Sposób, w jaki Carter mówił o Dashu, przypominał to, w jaki sposób ci goście mówią o McVeighu. A my nic o nim nie mieliśmy, żadnych zdjęć, żadnych dokumentów. Absolutnie nic.

Wczoraj wieczorem Faith zderzyła się z tym samym problemem, a przecież Van spędził nad tym o wiele więcej czasu.

- Ktoś mógłby uznać, że skoro Niewidzialnych Patriotów i Dasha nie ma w systemie, to dobrze, ale tak naprawdę to bardzo źle. Z naszego doświadczenia wynika, że im więcej ci faceci mówią, tym

większe z nich palanty. Największe szkody wyrządzają ci najcichsi – stwierdziła Miranda.

Van dodał:

- Tylko dzięki Carterowi przekonaliśmy się, jak niewiele wiemy o NAPie. Dash nie założył tej grupy, ale to on wytyczył jej kierunek. On zarządził ciszę w eterze. W grupach dyskusyjnych nie zdradzają ani imion, ani przynależności. Otacza ich aura tajemniczości, która fascynuje innych białych supremacjonistów. Bomby wybuchły wczoraj, a w grupach dyskusyjnych już mówią, że stoi za tym NAP. Połowa Totenkampfu jest już w drodze do Atlanty, by skorzystać na chaosie. Z kanadyjskiej granicy zawróciliśmy polskiego białego nacjonalistę. Grupa z Arizony usiłowała wynająć prywatny samolot do transportu broni.

- Arizona. - Faith czytała o obywatelskiej stanowej straży granicznej zaledwie kilka godzin wcześniej. - Kto założył NAP? Martin Novak?

- Nieważne, kto przygotował lont. - Van wzruszył ramionami. - To Dash jest zapałką, która go podpali.

- Van ma rację - powiedziała Miranda ze śmiertelną powagą. - Jeśli zapytasz, co nie pozwala mi spać, to świadomość, że Dash coś szykuje, a my nie mamy pojęcia co.

Faith zadała oczywiste pytanie:

- Skoro Dash spędza ci sen z powiek, dlaczego nie wysłać oddziału specjalnego albo...

- FBI nie finansuje przeczuć - odparł Van. - Na wolności jest mnóstwo drani, których trzeba łapać. Musiałem błagać szefostwo na kolanach, żeby pozwolili mi zrobić z Cartera informatora, a on przekazał nam wiele ważnych informacji o innych grupach i możemy wszcząć postępowania w mnóstwie spraw. Ale w kwestii NAPu Carter zawsze nabierał wody w usta. Wyciągnąłem od niego tylko tyle, że planują coś wielkiego i że decyzje podejmuje jeden gość na szczycie

drabiny.

- Dlaczego uprowadzili Michelle Spivey?

- Carter ją uprowadził - odparł Van. - Nie wiemy, czy na polecenie Dasha.

Faith nie miała ochoty na kolejną porcję kitu. Kiwnęła wymownie w stronę teczek leżących przed Mirandą, która dotąd otworzyła dopiero jedną.

- Co jeszcze Pandora trzyma w puszcze? - zapytała.

Van skinął głową.

Miranda otworzyła jedną z teczek.

- To jedyna fotografia Dasha, jaką dysponujemy.

Faith ruszyła przez pokój i poczuła się dziwnie. Nie wiedziała, dlaczego myśl o spojrzeniu na Dasha budzi jej niepokój. Spodziewała się wizerunku z kartoteki policyjnej, ale zamiast tego zobaczyła błyszczące zdjęcie chłopaka w wieku studenckim, który stoi na plaży w spodenkach i Tshircie.

- Zrobiono je latem na zachodnim wybrzeżu Meksyku w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku - oznajmiła Miranda.

Faith podeszła do tej informacji sceptycznie.

- Meksyk nie wydaje się odpowiednim miejscem na wakacje dla przyszłego białego supremacjonisty - zauważyła.

- Można nienawidzić grzesznika, ale kochać grzech - wtrącił sentencjonalnie Van.

Faith przyjrzała się chłopakowi, a raczej młodemu mężczyźnie: koścista twarz, głupawa mina, rzadka kozia bródka, wąsy. Mógłby być jednym z irytujących kumpli jej syna w studenckim bractwie.

Albo jednym z tych niewinnie wyglądających młodych mężczyzn w Charlottesville.

Miranda pokazała następny wizerunek, tym razem o cechach portretu pamięciowego.

- To dostaliśmy od FBI na prośbę o komputerowo postarzony portret Dasha, jak mógłby wyglądać obecnie.

Jakość tego wizerunku nie zrobiła na Faith wrażenia.

- Ile Dash ma teraz lat?

- Ja wiem, pewnie ze czterdzieści pięć. - Miranda wzruszyła ramionami. - Zrobiliśmy bardzo dużo, mając za punkt wyjścia niewiele. Na podstawie punktów orientacyjnych w tle nasi analitycy uważają, że plaża, na której stoi Dash, leży na Isla Mujeres. To szczegółowa wiedza o erozji i kącie padania promieni słonecznych, nie będę cię tym zanudzać, ale ci ludzie to świetni fachowcy.

Faith wróciła do zdjęcia na plaży.

- To nie jest efekt obserwacji. Wygląda raczej jak wyjęte z wakacyjnego albumu.

Van przysunął jej krzesło. Czekał, aż usiadzie, i zaczął mówić.

- W czerwcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku niejaki Norge Garcia przebywał w Mujeres La Familia Resort z żoną i dziećmi. Zwrócił uwagę na, jak to określił, „nadreprezentację” młodych samotnych białych Amerykanów kręcących się w okolicy plaży. Jak wskazuje nazwa ośrodka, to miejsce dla rodzin z dziećmi. Naprawdę przyjazne dla dzieci. Chłopaki z bractwa studenckiego zwykle przebywają w miejscach tylko dla dorosłych, ponieważ tam są też dziewczyny, więc Garcia zaczął rozpytywać, gdzie mieszkają ci chłopcy, co tu porabiają i dlaczego właśnie tutaj. - Van przerwał, by zapytać Faith: - Nadążasz?

- Nie bardzo. Dlaczego ten Garcia w ogóle weszyl? I skąd tyle o nim wiesz?

Van skinął głową z uznaniem.

- Wiem, ponieważ poleciałem do Meksyku, żeby go przesłuchać. A weszyl, bo był inspektorem w Federales. To meksykański odpowiednik FBI z dodatkiem wojska.

Faith wiedziała o Federales dzięki ciężkiemu uzależnieniu od programów telewizyjnych o kartelach narkotykowych.

- A co ma do tego Dash?

Zamiast odpowiedzieć, Van skinął w stronę Mirandy, która przesunęła po blacie inne zdjęcie z plaży. Obiektyw skupił się na grupce dzieci budujących zamek z piasku. Niecałe dziesięć metrów za nimi widniała nieostra sylwetka mężczyzny obwiedziona czerwonym flamastrem. Ciemne włosy, okulary przeciwsłoneczne, mocna budowa ciała. Machał do osoby robiącej zdjęcie. Trzymał ręce w górze. Przypominał semafor. Twarz miał ocienioną daszkiem bejsbolówki, ale jedno było widać bardzo wyraźnie: brak dwóch palców lewej dłoni.

Faith odchyliła się na krześle.

Martin Elias Novak nie miał dwóch palców u lewej dłoni. Stracił je podczas służby jako ekspert od materiałów wybuchowych w armii Stanów Zjednoczonych. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku miał czterdzieści jeden lat.

Spojrzała na Vana, szukając w nim potwierdzenia.

On zaś spytał, wzruszając ramionami:

- Kto z nas ma to powiedzieć?

Faith dała mu znak, by mówił dalej.

- Garcia miał z tym problem. Jakiś tajemniczy mężczyzna bez dwóch palców... Inspektor Garcia nabiera złych przeczuć co do niego. Co ten facet kombinuje? Wokół niego zawsze kręci się grupka młodych chłopaków. Nie jest gościem ośrodka, ale codziennie pojawia się na plaży naprzeciwko, wynajmuje leżak i obserwuje dzieci pluskające się w wodzie. Jest sam, bez żony, bez dzieci. Szósty zmysł podpowiada Garcii, że coś jest nie tak, więc zaczyna zadawać pytania, a miejscowi pracujący w ośrodku mówią mu: „E, nie przejmuj się nim, to tylko Pedo”.

- Pedro? - spytała Faith niepewna, czy dobrze usłyszała.- Nie,

Pedo, jak *pedófilo*.

Faith poczuła gwałtowne ściskanie w żołądku. Oczami wyobraźni zobaczyła tę plażę. Roześmiane dzieci i odrażający typ w średnim wieku obserwujący te dzieci skaczące przez fale.

Poczuła, że kręci głową. W informacjach na temat Martina Novaka nie było wzmianki o pedofilii. Miał córkę, którą wychowywał sam. Służył w wojsku. Owszem, był rabusiem i mordercą, ale to czyniło go przestępcą. Nowa informacja, o ile była prawdziwa, czyniła z niego potwora.

- Nazwali go Pedo z powodu sposobu, w jaki patrzył na dzieci. Czasem dawał im cukierki. Czasem proponował, że popilnuje dzieci, kiedy rodzice szli na spacer.

Faith omal nie krzyknęła.

- I co, pozwalali mu?

- To był koniec lat dziewięćdziesiątych i nikt nie podejrzewał, że schludni biali amerykańscy mężczyźni mogą być pedofilami, a księży nadal uważano za świętych. Cholera, wtedy ciągle myśleliśmy, że strzelanina w Columbine to jednorazowy incydent.

Miranda miała w zanadrzu coś jeszcze.

- To drugie zdjęcie Peda, jakim dysponujemy - powiedziała.

Mężczyzna, którym z całą pewnością był Martin Novak, stał odwrócony od obiektywu, ale Faith rozpoznała Tshirt i sylwetkę z poprzedniego zdjęcia. Lewą rękę bez dwóch palców trzymał wzdłuż ciała i rozmawiał z młodym mężczyzną o kościstej i głupkowatej twarzy z rzadką kozią bródką i wąsami.

Dash.

- Pedo wynajmował willę niecałe trzysta metrów od ośrodka. Zapłacił gotówką, na umowie wynajmu podpisał się Willie Nelson - powiedział Van.

Dał Faith chwilę na przetrwanie tej informacji. W miejscu wypadku Carter i pozostali mężczyźni przedstawili się Willowi

falszywymi imionami muzyków country.

A nikt nie był bardziej country niż Willie Nelson.

- Inspektor Garcia dowiedział się, że pan Nelson prowadzi tak zwane rekolekcje dla młodzieży o określonych poglądach. Co tydzień pojawiali się tam sześciu młodych jankesów z walizkami. Pod koniec tygodnia wyjeżdżali, a ich miejsce zajmowało sześciu nowych. Tak to wyglądało przez całe lato - wyjaśnił Van.

Faith od razu nasunęły się pytania, ale szybko sama sobie odpowiedziała. Przed atakami z jedenastego września Amerykanie, przekraczając granicę w Tijuanie, okazywali tylko prawo jazdy. Nikt nie rejestrował wjazdów i powrotów, nie było programu do rozpoznawania twarzy ani czytników tablic rejestracyjnych. Ani paszportów w wersji cyfrowej.

- To willa, którą wynajmował Pedo. - Miranda pokazała następne zdjęcie. Przedstawiało dwukondygnacyjny dom w opłakanym stanie, ale z ogromną werandą. Na balustradzie wisiały czerwone flagi ze swastykami przewieszane jak schnące ręczniki kąpielowe.

- Garcia nie mógł do nich przeniknąć z oczywistych powodów, ale wezwał posiłki. Zaczęli chodzić za młodymi jankesami z willi. Większość z nich spędzała czas z Pedem na plaży. Jeden siedział w barze w pobliżu toalet. W pewnej chwili do toalety weszła dziesięcioletnia dziewczynka, a chłopak przy barze pomachał do kumpli na plaży. Oni mu odmachnęli. Wtedy on wstał i poszedł do toalety.

Faith zasłoniła dłonią usta.

- Zrobił jej krzywdę? - zapytała po chwili.

- Federales zatrzymali go, zanim doszło do fizycznej napaści. Zakrył jej usta ręką, ale to wszystko. Zawlekli go na komisariat i wsadzili do pokoju przesłuchań, a wtedy młody jankes zaczął mówić.

- Czekał... - Faith musiała to wiedzieć. - To był Dash?

- Bingo - odparł Van. - Garcia wsadził go do pokoju przesłuchań,

żeby skruszał. Kiedy do niego przyszedli, był gotów mówić. Przedstawił się jako Charley Pride.

Kolejny piosenkarz country.

- Dash kajał się i przepraszał, że pomylił toalety. Powiedział, że przesadził z tequilą, nie mówi po hiszpańsku, że to była zwykła pomyłka, a zakrył dziewczynce usta, ponieważ chciała krzyknąć, a on spanikował. Był bardzo grzeczny: tak, proszę pana; nie, proszę pana; przepraszam, proszę pana. Powiedział Garcii, że ma dwadzieścia dwa lata i jest na ostatnim roku na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego. Zaczął później, ponieważ był w wojsku. Przyjechał do Meksyku z kolegą, który chciał uczestniczyć w seminarium. Twierdził, że nic nie wiedział o jego nazistowskich inklinacjach, póki tu nie przyjechał.

- Garcia mu uwierzył? - zapytała Faith.

- Ani trochę, ale nawet Federales potrzebują dowodów, zwłaszcza gdy przyskrzyniają Amerykanina. Zabójstwo Kiki Camareny rzucało długi cień. Więc Garcia musiał wypuścić Dasha i zamknąć śledztwo, ale... - Van uniósł dłoń, dając Faith znać, by jeszcze poczekała z pytaniami. - Dwa tygodnie później Garcia wciąż się irytuje całą tą sytuacją i incognito jedzie do tamtego ośrodka. Ubiera się jak zwyczajny turysta, siada w barze i obserwuje. I wygląda to tak: Pede na plaży z chłopakami, a jeden przy barze. Dziewczynka wchodzi do toalety, tym razem ośmiolatka, a ten przy barze daje sygnał. Ale tym razem do toalety wchodzi inna dziewczynka, na oko dziesięciolatka, i wychodzi stamtąd z pierwszą dziewczynką. Prowadzi ją do szopy, gdzie składuje się deski surfingowe, i zostawia ją w środku. Ci z plaży zjawiają się minutę później. Jeden wchodzi do szopy, a reszta czeka na zewnątrz na swoją kolej.

Faith zacisnęła wargi, żeby nie błagać Vana, by przestał mówić.

- Garcia był tam prywatnie. Chłopaki uciekli sprzed szopy, kiedy się tam pojawił. Dorwał tego, który był w środku, i nie zdążył jeszcze niczego zrobić. - Van urwał na chwilę. - Niczego innego prócz urazu



psychicznego, z którym ta biedna mała będzie się długo zmagać.

- Jakie dane podał ten chłopak? Tim McGraw? - zapytała Faith.

- Garth Brooks - odparł Van. - Ale okazało się to głupim posunięciem, bo w tamtym czasie Brooks był sławny na całym świecie. Po pięciu sekundach Garcia wydobywa z młodego jankesa prawdziwe nazwisko. To Gerald Smith, dwadzieścia jeden lat, mieszkaniec San Diego. Chce wcisnąć Garcii tę samą historyjkę co Dash: „Przepraszam pana, byłem trochę wstawiony; nie wiedziałem, że ta dziewczynka tu jest, myślałem, że to męska toaleta, dlatego miałem fiuta na wierzchu”. - Van pokręcił głową. - Garcia wzywa szefów i wysłała Geralda do aresztu.

Niedługo potem Gerald znika.

- Zabili go inni aresztanci?

- Niestety nie. Garcia uważa, że pozwolono mu wrócić niepostrzeżenie do USA, a Pedo zniknął w tym samym czasie. Reszta młodych jankesów też się ulotniła. Garcia mówił ogólnikowo, ale mam wrażenie, że dla jego przełożonych Gerald i Pedo to był amerykański problem i woleli, by to Ameryka się nimi zajęła.

- Dodam tylko, że wśród białych supremacjonistów nie ma znacząco wyższego odsetka przypadków pedofilii czy molestowania dzieci niż wśród reszty populacji - podsumowała Miranda.

- Co za ulga. - Faith chciała jechać do domu i wziąć bardzo gorący prysznic, by zmyć z siebie smród tych mężczyzn. Miała nadzieję, że w tej chwili wokół Dasha nie ma żadnych dzieci. Nagle coś jej przyszło do głowy. - Jak powiązaliście dzisiejszego Dasha z NAPu z tamtym Dashem z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku z Meksyku?

- Spiłem Cartera - odparł Van. - Zawsze nabierał wody w usta, gdy chodziło o Dasha, ale coś się w nim zmieniło. To było mniej więcej w czasie, kiedy zaczął szarpać smyczą. W połowie drugiej butelki Johnny'ego Walkera zaczął mi opowiadać o służbie Dasha podczas

wojny tym pełnym podziwu przyciszonym tonem, jak Dash był komandosem Navy SEAL i brał udział w tajnych operacjach, póki nie okazało się, że wie za dużo, więc władza nasłała na niego zabójcę i... - Van wykonał charakterystyczny gest naśladujący walenie konia. - Tak czy siak, wyciągnąłem od niego informację, że Dash miał na łydce stary tatuaż. Niebieski kontur, żółty środek i napis: „Wolność nie jest za darmo”. - To tatuaż wojskowy - zauważyła Faith.

- Głównie wojsk lądowych - dopowiedziała Miranda. - Komandosi marynarki wojennej wybierają płetwonurka, szkielet żaby, kotwice, symboliczne trójzęby, napis „Najtwardszy z twardych”. W dziewięćdziesiątym dziewiątym roku przepisy zakazywały marines posiadania tatuażu poniżej kolana. I żaden żołnierz marynarki wojennej nie użyłby koloru symbolizującego tchórzostwo.

- Wrzuciłem ten tatuaż do bazy danych biometrycznych FBI i nic - powiedział Van. - Potem do bazy Interpolu. Zwykle kiedy jest trafienie, klikasz w link i możesz przeczytać nakaz aresztowania, czasem nawet akta sprawy. A ja zobaczyłem tylko nazwisko i numer telefonu: Norge Garcia, *Inspector Jefe de la Policía Federal*. - Van wzruszył ramionami.

- Więc wskoczyłem do samolotu i poleciałem pogadać z człowiekiem.

- Facet pamiętał wiele szczegółów - stwierdziła Faith.

- Nadal miał akta, zdjęcia, notatki, zeznania. To wszystko gdzieś głęboko w nim tkwiło. Dlatego przekazał zdjęcie tatuażu Interpolowi. W dziewięćdziesiątym dziewiątym nie mieli jeszcze komputerów.

Jak tylko się pojawiły, a on je rozgryzł, kazał jednemu ze swoich ludzi wrzucić informację o tatuażu do bazy danych. Czuł, że w związku z Dashem coś mu umknęło. Szósty zmysł. Po dwudziestu latach wciąż miał złe odczucia.

Faith odchyliła się na krześle. Czuła, że za chwilę mózg jej eksploduje od nadmiaru informacji.

- Novak ma córkę. Kiedy jako Pedo przychodził na plażę, miała dziesięć, może jedenaście lat... - Zawiesiła głos, ale Van się nie odezwał. - Dziewczynka, która zaprowadziła dziecko do szopy z deskami surfingowymi, miała około dziesięciu lat. Novak zmusił własną córkę, żeby przyprowadzała małe dzieci dla niego i jego kumpli, tak? Właśnie to przed chwilą powiedziałaś.

Miranda miała jeszcze jedno zdjęcie.

- To najświeższe zdjęcie Gwendolyn Novak, jakim dysponujemy.

Zrobione, kiedy miała dziewiętnaście lat.

Faith spojrzała na kserokopię dowodu tożsamości z Georgia Baptist Hospital. Ze zdjęcia patrzyła na nią nieładna dziewczyna o mysich włosach i smutnych oczach. Faith chciała wyczytać coś z jej smutku. Gwen była stręczycielką ojca. Mieszkała w domu pełnym pedofilów. Niemożliwe, by sama nie padła ofiarą wykorzystywania seksualnego. A potem pomagała wykorzystywać inne dzieci.

- Gwen była sanitariuszką, marzyła o szkole pielęgniarskiej, ale w tamtym momencie nie miała nawet skończonej szkoły średniej. Za to miała już dwoje dzieci, pięcioletnią córkę i dziesięciomiesięcznego syna - oznajmiła Miranda.

- W wieku dziewiętnastu lat? - zapytała Faith i natychmiast zawstydziała się oskarżycielskiego tonu. Sama urodziła Jeremy'ego jako piętnastolatka, a nie wychowywał jej biały rasista i pedofil. - Co z ojcem dzieci?

Miranda pokręciła głową.

- W obu aktach urodzenia ta rubryka jest pusta. Dziewczynka została zapisana do szkoły podstawowej na zachodzie, ale zabrano ją kilka miesięcy później. Opieka społeczna weszła w sprawę malucha, a jeden z sąsiadów podejrzewał maltretowanie, ale Gwen poszła w ślady ojca i zniknęła z pola widzenia. Żadnych kart kredytowych, kont w banku, nawet dokumentacji szkolnej jej córki Joy. Dziewczyna ma teraz piętnaście lat.

- Joy - powtórzyła Faith, czerpiąc z imienia dziewczynki nadzieję, że Gwen chroniła córkę przed dziadkiem gwałcicielem i jego przyjaciółmi. - A co z chłopczykiem?

- Dostaliśmy akt zgonu. Jako przyczynę śmierci wpisano nagłą śmierć łóżeczkową. - Miranda wyciągnęła do Faith rękę z dokumentem. - Mały przestał oddychać we śnie.

Faith nie wzięła od niej aktu zgonu. Czuła, że samo patrzenie na ten kawałek papieru przyniesie jej nieszczęście. Chciała współczuć Gwen z powodu tego, co przeszła w dzieciństwie, ale obecnie była dorosła i przestała być ofiarą. A jeśli umożliwiła pedofilowi dostęp do jej dziecka, to stała się oprawcą. Gorzej niż oprawcą, ponieważ z własnego doświadczenia wiedziała, co czuje bezbronne dziecko, które żyje w stałym zagrożeniu gwałtem.

- Dzięki, Mirando - powiedział Van. - Wiem, że masz inne spotkanie.

- Dzięki - powtórzyła za nim Faith. - To wszystko jest potworne, ale dziękuję za informacje.

- Mam nadzieję, że pomogłam - odparła Miranda.

- Tak, i to bardzo. - Faith chciała sięgnąć po torebkę, ale Van ją zatrzymał.

- Zostaniesz jeszcze chwilę?

Faith znowu usiadła i spojrzała na zegar.

Godzina 15:52.

Beau Ragnersen i Will byli już pewnie w parku. Wysłannik Dasha miał tam być o czwartej. Faith chciała wcisnąć pauzę i przekazać Willowi wszystko, czego się dowiedziała. O wojsku w życiu Dasha. O pedofilii.

Te informacje mogły pomóc Willowi wkręcić się do grupy.

Will mógł też stracić panowanie nad sobą i spuścić łomot człowiekowi Dasha, aż zgodzi się zabrać go do Sary.

Miranda wyszła. Zamknięciu drzwi towarzyszył dźwięk brzęczyka.

Van poczekał na kliknięcie i czerwone światło wskazujące, że pokój znowu jest bezpieczny.

- Dobra, Mitchell, teraz podziel się swoimi przemyśleniami - powiedział.

Faith miała gotową odpowiedź:

- Wywiad marynarki poddał analizie zdjęcia Garcii z plaży, by zweryfikować miejsce i czas. I ty twierdzisz, że nie możesz znaleźć specjalistów do spojrzenia na kikuty lewej dłoni Peda i powiązać go z Martinem Novakiem?

- Wszyscy nasi eksperci mają co robić.

Faith rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Jesteśmy jakieś czterysta metrów od cmentarza, który jeszcze wczoraj był piętrowym parkingiem.

Van nie lubił strofowania, dlatego odparł ofensywnie:

- Carter i Vale nie żyją, a Hurley siedzi w areszcie.

- Dzięki mojemu partnerowi - osadziła go Faith. - Rozumiem ideę oporu niekierowanego i samotnego wilka, ale Martin Novak obrobił banki na pół miliona dolarów. Miranda powiedziała, że jedenasty września wymagał koordynacji, dyscypliny i pieniędzy, a według mnie NAP ma to wszystko, co oznacza, że nie są samotnymi wilkami. To aktywnie działający terroryści. I powiem bez owijania w bawełnę: wasza szefowa jest tak pochłonięta kryciem własnego tyłka, że nie pozwala FBI robić swojej roboty, czyli zaniedbuje swoje obowiązki.

- Ej, a to widziałaś? - Van uniósł identyfikator wiszący mu na szyi. - Tak się składa, że pracuję dla FBI. To wszystko dzisiaj, całe to potajemne spotkanie, to pomoc FBI dla miejscowych organów ścigania. Ponieważ pracuję dla FBI. I prowadzę informatora FBI, który przekazał mi poufne informacje o Dashu. I poleciałem do Meksyku w poszukiwaniu Dasha.

I teraz rozmawiam z tobą, ponieważ ja, agent FBI, chcę znaleźć Dasha.

Faith uznała, że chyba jest mu winna przeprosiny.

Też nie lubiła być strofowana.

- Wiem, że masz w domu dwuletnie dziecko - ciągnął Van. - Ci goście są jak dwuletnie dzieci. Domagają się uwagi i gotowi są zniszczyć wszystko, byle tylko ją dostać.

To było nieczyste zagranie.

- Skąd wiesz o moim dziecku?

Van zignorował jej pytanie.

- McVeigh zainspirował dziesiątki naśladowców. „Manifest Unabombera” ma cztery i pół gwiazdki w Amazonie. Jeśli powiemy prasie, że za wybuchem w Emory stoi Niewidzialna Armia Patriotów, będziemy mieli do czynienia z dziesiątkami naśladowców i Dash zejdzie jeszcze głębiej do podziemia.

Faith już kręciła głową przy ostatnich słowach Vana.

- Dash miał niewiele ponad dwadzieścia lat, wił się w rozmowie z *federale*, groziła mu odsiadka w meksykańskim więzieniu. Nie ma mowy, żeby zmyślał. Może naprawdę studiował na Uniwersytecie w San Diego. Przedstawił się Garcii jako Charley Price. W oparciu o ten wzór można przyjąć, że prawdziwe nazwisko Dasha zaczyna się na P.

- Świetnie. Ty masz stos materacy. Ja znajdę księżniczkę. - Van zdjął okulary i rzucił je na stół. - To jeden dzień, Mitchell. Rozumiem, że boisz się o waszą agentkę. Wszyscy chcemy powrotu Sary Linton, a także powrotu Michelle Spivey. Pracujemy nad jej sprawą od miesiąca i nic. Ale nie myśl sobie, że FBI nie traktuje NAP serio. Nie urządzam spotkań w SCIF z powodu słabości do apodyktycznych i upartych kobiet. - Gdy zaskoczona Faith uniosła brwi, zaczął się sumitować: - Przepraszam, to miał być komplement.

- Bardzo osobliwy - rzuciła kąśliwie.

By zyskać trochę na czasie, zaczął przecierać okulary końcem krawata, i mówił dalej:

- Dowód. Potrzebujemy dowodu. A wszystko, co mamy w tej chwili, to domysły i przeczucia. Myślimy, że to Novak jest na zdjęciu z plaży.

Myślimy, że to Dash z nim rozmawia. Myślimy, że Dash przejął przywództwo w NAPie po aresztowaniu Novaka. Myślimy, że to Dash był wczoraj czwartym człowiekiem w Emory. Myślimy, że to NAP uprowadziła Michelle. Myślimy, że planują coś większego. - Spojrzał na Faith. - A skoro już przerzucamy się teoriami, podzielę się z tobą jedną z moich teorii. Przeczucie mi podpowiada, że Gwen Novak jest żoną Dasha. - O cholera.

- Właśnie. Wprawdzie brak aktu małżeństwa, finansowych powiązań, innych zazębnień, ale umiem dodać dwa do dwóch i wiem, jak bardzo te grupy cenią sobie rodowód. Chcesz przejąć władzę od króla, ożeń się z jego córką.

- Sądysz, że Gwen miała więcej dzieci? - Na samą myśl o tym Faith zrobiło się słabo. - Ale to przecież jej zadanie, prawda? Łowi dzieci dla tatusia i jego kumpli. Może z Dashem znalazła prostsze rozwiązanie.

Sama zaopatruje go w towar.

Van tak intensywnie tarł okulary krawatem, że soczewka się wygięła. - Martin Novak siedzi. Idź do niego i...

- Novak nie odezwał się od ponad roku i raczej nie zacznie nagle mówić. - Odłożył okulary. - Novak chce, żeby wydarzyło się to, co ma się wydarzyć. Ucieszył się na wieść o wczorajszej eksplozji. On chce śmierci ludzi. Chce sparaliżować społeczeństwo, obalić rząd. Rozumie, że po jego aresztowaniu ktoś musiał przejąć przywództwo. Jeśli istnieje jakiś wielki plan, to Novak nie jest jego częścią. I cieszy się z tego. Z radością czeka na to, co nastąpi.

Faith wiedziała, że Van ma rację. Jako członek specjalnego zespołu transportowego spędziła całe godziny na analizowaniu postaci Novaka.

Jego żywiołem był chaos.

- Co robimy? Jaki jest plan?

- Pracuję nad informatorami. Carter nie jest jedynym białym supremacjonistą, z którym robię interesy.

- Carter to twój wielki sukces.

Van skwitował ten przytyk lekkim uśmiechem.

- Znalezienie takich gości to najtrudniejsza część zadania. Kiedy już ich znajdę, stosuję podstawowe reguły wywierania wpływu na ludzi. To elementarz.

- Chcesz mi zaimponować profesjonalizmem?

- Jasne - odparł Van. - Jak robisz z drania tajnego informatora? Proste. Reguła wzajemności. Autorytetu. Niedostępności. Zaangażowania. Konsekwencji. Sympatii. Społecznego dowodu uznania. Szczęśliwie jestem ekspertem w empatii, w sympatii i we wręczaniu gotówki.

Faith musiała zadać to pytanie:

- Nie wiedzą, że jesteś Żydem?

- Wiedzą, ale to nawet zabawne. Dajesz im trochę kasy, ratujesz przed więzieniem, wysłuchujesz zwierzeń bez osądzania, i wszyscy zaczynają taką samą gadkę: „Hitler? Ledwie go znałem”.

Faith zaśmiała się wymuszenie, by nieco rozluźnić atmosferę po tamtej dziwnej uwadze Vana.

- Mam informatorów we wszystkich większych grupach, ale teraz potrzebujemy kogoś w NAPie. Nad tym pracuję. Facet, który zna kogoś, kto zna kogoś. NAP straciła trzech członków. Nie jakichś tam zwyczajnych członków, ale żołnierzy. Nie wiemy, w jakim stanie jest Dash po wypadku. Cokolwiek planuje, ta akcja na pewno wymaga kompetencji. Według Cartera grupa Dasha składa się ze starszych mężczyzn i chłopców. Żołnierze tacy jak Carter, Hurley i Vale byli prawdziwymi przywódcami. Dash będzie musiał zwerbować wykwalifikowanych ludzi, i to szybko.

Faith spojrzała na zegarek.



Godzina 15:58.

Beau i Will pewnie już czekali na posłańca Dasha.

- Dlaczego tu jestem? - zapytała.

- Czy to pytanie egzystencjalne? - Van natychmiast się zorientował, że tym razem nie skłoni jej do śmiechu. - Szefowa chce, żebyście wiedzieli, z jakimi ludźmi macie do czynienia. NAP ma Sarę Linton. Wiemy, że ona jest dla was jak rodzina, a wasza rodzina jest naszą rodziną. - Po tej deklaracji przeszedł do sedna sprawy: - Na dole mam dla ciebie dokumenty ze wszystkim, co wiemy o uprowadzeniu Michelle Spivey. Musiałem ocenzurować informacje ściśle tajne, ale w kwestii jej lokalizacji niewiele tam jest. Może druga para oczu dostrzeże coś, czego nie dostrzegło dwudziestu naszych analityków.

- Dobrze. Mogę przesłać ci raport kryminalistyczny z motelu i protokół z sekcji zwłok. Wszystko, co mamy, jest twoje.

- Wszystko? - zapytał Van.

Faith nie potrafiła go wyczuć. Albo podejrzewała ją o kłamstwo, albo podjął kolejną nieudolną próbę flirtu.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

PONIEDZIAŁEK, 5 SIERPANIA, GODZINA 15:58

Will jęknął, wysiadając z furgonetki Beau Ragnersena. Aspiryna przestała działać, mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Rozejrzał się wokoło i zauważył kilka aut oraz spacerowiczów z psami, ale generalnie w Alberta Banks Park panował przejściowy spokój. Dał znak Beau, by ruszył pierwszy. Beau szedł z rękami w kieszeniach, nie rozglądając się na boki. Will zrobił to samo, przecinając pas starannie przystrzyżonej trawy.

Żaden z nich nie miał na sobie urządzenia lokalizującego. Amanda nie zaproponowała im nadajników, a nawet gdyby, to Will i tak by się nie zgodził. Bardziej martwił się, że nie zdoła uwiarygodnić się swoją historyjką i nie przeniknie do NAPu. Miał się przedstawić jako były żołnierz, który ma osobiste powody do zemsty. Posługiwał się już tą tożsamością i przekonał się boleśnie, że nie zna wojskowego żargonu, a od tamtej pory nie zadał sobie trudu, żeby przećwiczyć tę rolę. W tej chwili mógł tylko udawać milczącego groźnego typu. Milczenie leżało w jego naturze, a groźny stał się w chwili, gdy wprowadzili Sarę.

Wciąż był nieogolony, miał poranione ręce, na głowie bejsbolówkę, a na nosie ciemne okulary przeciwsłoneczne. Pognieciona szara marynarka została w służbowej szafce w pracy. Włożył dzinsy i czarną koszulę z długim rękawem, którą zwykle miał na sobie, gdy szedł na siłownię. Biceps rysował się wyraźnie pod materiałem, a buty do biegania były poplamione rdzawoczerwoną farbą, która przypominała zaschniętą krew.

Farba.

Dwa miesiące temu przerobił łazienkę, by zaskoczyć Sarę. Dopiero

ona uświadomiła mu, że ściany w czekoladowym kolorze pomniejszają optycznie już i tak małe pomieszczenie. Zamontował nową toaletkę, żeby Sara miała gdzie trzymać swój kobiecy arsenał, a także przemaalował ściany na czerwono, by rozjaśnić przestrzeń. A potem pracowicie pokrył je trzema warstwami jasnoszarej farby, ponieważ Sara niemal codziennie miała do czynienia z krwawymi zbrodniami i z pewnością nie chciałyby się kąpać otoczona czerwienią.

Schodząc z utwardzonej ścieżki, Beau wyjął ręce z kieszeni i westchnął głośno. Cały czas miał kwaśną minę, co irytowało Willa. Jasno dawał do zrozumienia, że nie chce tu być, z kolei Amanda jasno dała mu do zrozumienia, że zgnije w więzieniu, jeśli nie pomoże Willowi przeniknąć do NAPu.

Sposób realizacji tego planu wciąż pozostawał wielką niewiadomą.

Beau westchnął ponownie, skręcając w stronę boiska do bejsbolu, a Will przerzucił torbę pełną leków do drugiej ręki i zacisnął pięść. Powtarzał sobie, że walnięcie Beau w kark przy następnym westchnieniu to zdecydowanie zły pomysł.

To wszystko dla Sary. Sama myśl o tym spowodowała, że rozprostował palce. Musiał przekonać do siebie posłańca Dasha. Beau wspomniał o gościu w furgonetce, który służył jako wsparcie podczas transakcji. Will przypuszczał, że ten gość stoi wyżej w hierarchii organizacji, więc to z nim powinien się spotkać. Dash stracił trzech ludzi, a było oczywiste, że planował coś dużego, więc potrzebował uzupełnień. Wyglądało przy tym na to, że lubi pracować z byłymi wojskowymi i policjantami, i właśnie takich ludzi będzie werbował. Pierwszą przeszkodą na drodze Willa było przekonanie Posłańca, żeby zadzwonił do Kierowcy.

Drugą - upewnienie się, że Kierowca nie strzeli mu od razu w głowę.

Rozejrzał się. Ani śladu furgonetki.

Beau znowu skręcił i znowu westchnął.

Pot zalewał Willowi oczy. Dobrze, że miał ciemne okulary, bo słońce ostro prażyło. Żałował, że Faith tu nie ma. Spotkanie, na które wysłała ją Amanda, musiało być bardzo ważne, wiedział jednak, że jeśli coś pójdzie nie tak, zawsze może na nią liczyć.

Dostrzegł tajną agentkę GBI na ławeczce przy placu zabaw. Przed nią stał wózek dziecięcy, miała spuszczoną głowę, siedziała z nosem w telefonie. Inna agentka biegała po utwardzonej ścieżce między kortami tenisowymi i jednym z boisk. Zielone kombi stało na dalekim parkingu z parą agentów udającą kochanków na tajemnej randce. Drugi samochód obserwacyjny parkował przed barem na ulicy, jeszcze jeden przy stacji uzdatniania wody, ale według Willa były bezużyteczne, ponieważ instynkt mu podpowiadał, że Beau go wykiwa.

Czy instynkt słusznie go ostrzegał?

Nie miał złych przeczuć z powodu żalonych westchnień Beau czy tego, jak powłóczył nogami w trawie. Jego czujność budził fakt, że facet jest ćpunem, a ćpuny dbają tylko o to, żeby się naćpać. Amanda pozwoliła Beau wziąć garść tabletek do kieszeni, ale on zaczął wrzucać je do ust jak drażetki jeszcze przed wyjściem z budynku. Żołnierz sił specjalnych umiał liczyć. Will także. W pewnym momencie pigułki się skończą i wtedy Beau może wylądować w celi.

Will próbował myśleć jak Beau. Facet miał trzy wyjścia. Pierwsze: dać sygnał Pośłańcowi Dasha, że Will jest gliniarzem, Poślaniec zabija Willa i koniec historii. Drugie: spróbować uciec. Nie uciekłyby daleko, ale nawet nie zdążyłyby się o tym przekonać. Trzecie wyjście budziło największy niepokój. Beau był wyszkolonym żołnierzem. Jego mózg nie musiał działać na pełnych obrotach, by mięśnie przypomniały sobie, jak zabić człowieka. Will miał wprawdzie nóż w kieszeni, ale wciąż nie władał nim pewnie, a sig sauer wisiał w specjalnej kaburze wewnętrznej przymocowanej do paska z tyłu.

Will był szybki, ale nie ze skręconym karkiem.

- Tędy. - Beau poszedł teraz wzdłuż ogrodzenia okalającego boisko do bejsbolu i spojrzął na zegarek.

Will też.

Godzina 15:58.

Mieli się spotkać z Posłańcem o czwartej. Nie było już odwrotu. Cokolwiek Beau planował, nie będzie w tym improwizacji, najwyraźniej podjął już decyzję. Sprawiał wrażenie zamyślonego, jakby wpadł w refleksyjny nastrój, gdy przeciągał dłonią po drucianej siatce ogrodzenia. Intuicja Willa wysłała kolejne ostrzeżenie.

W obliczu niebezpieczeństwa niektórzy mężczyźni nakręcali się waleniem pięściami w klatkę piersiową, wznoszeniem okrzyków wzmagających żądzę krwi, i byli tak zaślepieni adrenaliną, że biegli wprost pod grad nieprzyjacielskich kul. Byli też tacy, którzy wiedzieli, że jedynym sposobem na przetrwanie piekła jest wprowadzenie się w trans.

Beau należał do tej drugiej kategorii. Jego transformacja była widoczna gołym okiem. To nie był efekt tabletek. Zadziałał trening. Oddech spowolnił, skończyło się niespokojne wiercenie i wzdychanie. Beau roztoczył wokół siebie aurę zen jak buddyjski mnich.

Will rozpoznał te znaki, ponieważ sam miał takie doświadczenie.

- To tu. - Beau wspiął się do trzeciego rzędu odkrytych trybun, usiadł i znów spojrzął na zegarek. - Może dopiero parkuje, stary. Nie zawsze zjawia się punktualnie.

- Gdzie furgonetka?

- A skąd mam wiedzieć? - Beau rozprostował nogi. - Ci goście nie są głupi. Nie podjedzie tutaj i nie pokaże ci swojej twarzy. Od tego ma Posłańca.

Will położył torbę między nimi, usiadł i spojrzął na pole do bejsbolu. Siatka była porządna, okryta czarnym winylem. Will nie znał tego parku, chociaż od zawsze mieszkał w tym mieście. Ani

śladu ćpunów, zużytych igieł, bezdomnych, tylko kobiety w ubraniach od Gucciego na spacerze z zadbanymi pieskami.

Przestudiował już mapę satelitarną tej zielonej przestrzeni o powierzchni ponad dziewięciu hektarów. Cały zespół spędził sporo czasu na opracowaniu strategii, przygotowaniu alternatywnych dróg i scenariuszy, omówieniu najlepszych miejsc do zaparkowania aut i umieszczenia agentek po cywilnemu. Dwanaście kortów tenisowych ze sztucznym oświetleniem. Trzy boiska do bejsbolu. Jedno boisko pokryte kauczukiem. Centrum tenisowe. Ogromna wiata do piknikowania.

Usiłował zorientować się, gdzie jest. Nigdy nie był dobry w rozróżnianiu kierunków, mylił prawą stronę z lewą, wiedział jednak, że siedzą za bazą domową boiska najbardziej oddalonego od głównej drogi. Korty ziemne miał za plecami, co oznaczało, że szkolne boisko do futbolu znajduje się po drugiej stronie parku za drzewami.

Z powodów oczywistych szkoła była terenem wyłączonym z akcji. Wprawdzie ostatni dzwonek rozbrzmiał przed godziną, ale trwały jeszcze zajęcia pozalekcyjne. W budynku została setka dzieci, nauczyciele oraz pracownicy administracji. Posłaniec Dasha mógł przyjść właśnie z tego kierunku. Beau powiedział im, że facet zostawi auto na pobliskim parkingu, ale Beau Ragnersen był kłamliwym ćpunem.

Tu pojawiała się trudność. Gdyby przyszło co do czego, Will nie mógł ścigać Posłańca po szkolnym boisku z bronią w ręku. Agenci nie mogli parkować wozu obserwacyjnego w pobliżu szkoły bez ostrzeżenia ochrony, bo byłoby to zbyt wielkie ryzyko, a ochrona szkoły nie ucieszyłaby się na wieść o tym, że GBI przeprowadza tajną operację na ich terenie. A już na pewno ochroniarze zagotowaliby się z wściekłości na wieść, że wszystko odbywa się w ogólnodostępnym parku.

Will rozpaczliwie pragnął odnaleźć Sarę, ale nie wybaczyłby sobie – ona jemu też – gdyby przypadkiem ucierpiało jakieś dziecko.

- Stary, chyba cierpisz – zauważył Beau.

Will wzruszył ramionami wbrew bolesnym sygnałom, że nie powinien tego robić.

- Wystarczy słowo, koleś, a dam ci Percocet i po krzyku. – Beau sięgnął do kieszeni i podał Willowi białą tabletkę.

Will rozważał wzięcie leku. Nie zażyłby tabletki, ale dobrze byłoby mieć Beau po swojej stronie. Trudniej zabić człowieka, którego się zna. Odmowa byłaby kolejnym przypomnieniem, że jest policjantem, a to policjanci trzymali Beau za gardło.

- Twoja strata. – Beau wrzucił tabletkę do ust, połknął i uśmiechnął się szeroko.

Will spoglądał na boisko. Z kortu za nim dobiegały odgłosy zaciętej rozgrywki. Odwrócił nagle głowę, gdy usłyszał cichy trzask zapalniczki.

Z ust Beau zwisał papieros.

- Odłóż to – powiedział Will.

Beau zmrużył oczy, wypuszczając dym.

- Wyluzuj, bracie.

Will uderzył go w ucho.

Beau zamachał rękami, próbując zachować równowagę. Papieros wypadł mu z ust. Beau zaklął i dotknął palcami ucha, sprawdzając, czy nie krwawi. – Jezu, bracie. Naprawdę musisz wyluzować.

- Nie jestem twoim bratem – odparł Will, co było kolejnym przypomnieniem, że nie stoją po tej samej stronie. – Nigdy więcej nie rób czegoś, co nasunie mi podejrzenie, że dajesz znaki człowiekowi Dasha.

- Wyluzuj, dobra? To nie był znak. – Beau zgasił papierosa czubkiem buta. Odchylił się i oparł o ławki w rzędzie wyżej. Długie westchnienie, jakie z siebie wydobył, miało moc sygnału mgłowego.

Will spojrzał na swoje dłonie. Twarde zetknięcie z uchem Beau otworzyło zasklepione rany na kłykciach. Zaczął skręcać nadgarstek w obie strony, kierując strużkę krwi po dłoni. Tak samo bawił się w dzieciństwie gąsienicami.

Przy którejś z pierwszych wizyt w mieszkaniu Sary trafił tam z krwawiącymi dłońmi. Zaatakował wyjątkową szuję, co było zrozumiałe, choć kłóciło się z wzorcem policjanta, jakim pragnął być. Sara zaprowadziła go na kanapę, przyniosła miskę z ciepłą wodą, obmyła mu rany, zabandażowała dłonie i stwierdziła, że złe postępowanie to nałóg. Można mu albo ulec, albo z nim zerwać.

Wytarł rękę w dzinsy. Przestał się przejmować, jakim gliniarzem będzie. Był tym człowiekiem, który zwróci Sarę jej rodzinie.

- To on - oznajmił Beau.

Posłaniec Dasha pojawił się na parkingu dokładnie tam, gdzie spodziewał się go Beau. Wysiadł z niebieskiego czterodrzwiowego sedana. Furgonetki wciąż nie było. Posłaniec przeciął parking chwiejnym krokiem i obszedł siatkę na tyłach boiska. Krótkie ciemne włosy, biała koszulka polo, krótkie bojówki khaki, białe sportowe buty. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat. Możliwe, że w szkole grał w bejsbol, sądząc z jego zainteresowania boiskiem. Na głowie miał bejsbolówkę włożoną tył na przód, a okulary przeciwsłoneczne przylegały ściśle do twarzy. Z ramienia zwisał niebieski płócienny plecak. Chłopak wyglądał jak członek bractwa studenckiego, który poszukuje dobrze zakrapianej imprezy.

- Poznajesz go? Widziałeś go wcześniej? - zapytał Will.

- Nie, stary, oni wszyscy tak wyglądają. - Beau wstał, podszedł do ogrodzenia, wsadził ręce do kieszeni i czekał.

Will zostawił torbę na trybunie i dołączył do Beau przy siatce. Popatrzył na porysowaną bazę domową. Odczekał kilka sekund. Podniósł głowę i spojrzał na młodego mężczyznę.

Posłaniec zachowywał spokój. Nie śpieszył się. Beau zdążył już



powiedzieć Willowi, jak to zwykle wygląda. Posłaniec szedł za nim, wymieniał zawartość torby Beau na zawartość swojego plecaka, obchodził boisko i wsiadał do samochodu.

Szpiegowski trik w stylu Jamesa Bonda.

Tym razem Beau miał wciągnąć Posłańca w rozmowę i przedstawić Willa jako starego kumpla z wojska. Powiedzieć, że muszą pogadać z Dashem. Posłaniec miał zadzwonić do gościa w furgonetce. Will miał przebić się przez argument typu tojeszczedoustalenia i wymóc zaproszenie na spotkanie z przywódcą.

Tyle że Posłaniec nie był zainteresowany zagranieciem swojej roli.

Przystanął kilkanaście metrów przed nimi.

Will niemal słyszał klik przekładni zębatach w mózgu chłopaka. Powiedziano mu, że w pobliżu trybun będzie jeden człowiek. A zobaczył dwóch. Czy nadal powinien dokonać wymiany?

Posłaniec obejrzał się i popatrzył na swój samochód, omiół wzrokiem parking, potem teren zadrzewiony i korty tenisowe. Zadarł głowę, szukając... właściwie czego? Dronów? Wreszcie znowu skupił się na Willu i Beau, wyjął z kieszeni telefon i powiódł palcem po ekranie.

Przyłożył telefon do ucha i zaczął poruszać ustami.

- Co on robi? - zapytał Will.

- Zamawia pizzę. - Beau wyjął ręce z kieszeni i opuścił je wzdłuż tułowia. Gotowy do walki? Gotowy do ucieczki? Gotowy do dania znaku?

Will znowu rozejrzał się w poszukiwaniu furgonetki. Zobaczył tylko agentki i agentów czekających na sygnał wkroczenia do akcji. Jeśli nie umieli podróżować w czasie, żadne z nich nie było w stanie dotrzeć tu i zrobić coś więcej niż wezwanie koronera.

Will starał się nie wzbudzić podejrzeń, gdy sięgnął za siebie i zacisnął palce na sig sauerze P365. To był kieszonkowy pistolet zaprojektowany do noszenia w ukryciu, ale miał miejsce na dziesięć

naboi w magazynku oraz jeden w komorze. Większość policjantów trenowała strzelanie z broni służbowej, Will spędzał długie godziny na strzelnicy ze swoim sig sauerem. Pistolet miał krótką kolbę, ale idealnie leżał w dłoni. Will mógł wyciągnąć go i strzelić w ciągu sekundy.

Posłaniec skończył rozmowę. Will zgadywał, że wciąż bije się z myślami. Iść czy zostać? Słuchać rozkazów czy ponieść konsekwencje? Był chudy, miał patykowate ręce i nogi, przywykłe raczej do podnoszenia hantli i machania paletką do pingponga, niż do walki z dwoma dorosłymi mężczyznami albo sprintu ratującego życie.

Po chwili znowu ruszył w stronę trybun. Usiłował zachować pozory normalności, ale włożył rękę do kieszeni i niekoniecznie po to, by bawić się przyrodzeniem.

- Jak leci? - zapytał, zwracając się do Willa, ponieważ założył, że Will kieruje tym tandemem.

- Przekaż Dashowi, że musimy pogadać - odezwał się Beau.

Posłaniec najwyraźniej nie chciał współpracować z innym posłańcem. Zignorował Beau i zwrócił się do Willa:

- Wszystko dobrze, bracie?

- On nie jest twoim kontaktem, kutasie. - Beau uderzył Posłańca w klatkę piersiową. - Powiedz Dashowi, że chcę więcej kasy.

- Po co?

- Żeby przelecieć twoją matkę.

Will wyprzedził zdarzenia o dwie sekundy.

Posłaniec zaczął wyciągać broń ze spodni. Beau już unosił ręce, ponieważ też opanował umiejętność przewidywania. Był gotów przejąć broń i użyć jej przeciwko Posłańcowi.

Tyle że bojówki Posłańca okazały się zbyt workowate. Skąd pomysł, żeby chować broń do kieszeni? Ten idiota powinien mieć ją w kaburze albo włożyć do plecaka. A może powinien zwracać baczniejszą uwagę na otoczenie, ponieważ nie miał pojęcia, co

nastąpi, póki Will nie kopnął go celnie w kolano.

Kopniakowi towarzyszył trzask jak przy uderzeniu kija bejsbolowego w piłkę.

Chłopak padł na ziemię.

- Kurwa! - wrzasnął i skulił się na boku, ściskając kolano. Bardziej przejął się widokiem krwi niż uszkodzoną chrząstką. Co było zrozumiałe, ponieważ o znaczeniu chrząstki usłyszy dopiero od chirurga ortopedy za dwadzieścia lat.

- Nieźle, brachu. - Beau pokiwał głową z uznaniem.

Miał w ręku broń, glocka 19, ale to nie był glock Willa. A ponieważ nie mierzył do Willa, Will pozwolił mu go zatrzymać.

- Dzwon do szefa - rzucił Will do Posłańca.

- Ja nie... - Ból odebrał Posłańcowi mowę. - Kurwa, stary, czy moja rzepka powinna się tak ruszać i strzelać?

- Jakbyś otwierał puszkę gulaszu? - zaśmiał się Beau. - Nie, brachu, to poważna sprawa.

- Kurwa!

Will przeszukiwał kieszenie chłopaka i wyciągnął telefon, po czym w wybieranych numerach znalazł ostatnie połączenie. Przy numerze widniała litera G.

Wcisnął zieloną słuchawkę.

Po drugiej stronie zamiast „halo” usłyszał:

- Kev, co jest, do cholery? Mówiłem, że masz to załatwić. Potrzebujemy tych tabletek. To proste zadanie operacyjne.

Will musiał przełknąć ślinę, zanim cokolwiek powiedział. Czy głos na drugim końcu linii należał do Dasha? Facet był zirytowany, jak ojciec, któremu nastoletnie dziecko wgniotło samochód.

- To nie Kev. Beau powiedział, że brakuje wam ludzi. Służyłem z nim w wielkiej piaskownicy. W CSR. - Chodziło o służby poszukiwawczo-ratunkowe. - Zainteresowany czy nie?

Mężczyzna milczał. Zastanawiał się. Potem wypuścił z siebie

mnóstwo powietrza. To nie było westchnienie, lecz oznaka narastającej frustracji, coś w rodzaju: „Jeszcze tego mi dzisiaj brakowało”.

- Daj mi Beau - powiedział w końcu.

Will najpierw rzucił Beau groźne ostrzegawcze spojrzenie, potem podał mu telefon.

Beau zatknął glocka za pasek. Wciąż się uśmiechał. Will nie miał pojęcia, czy jest na haju za sprawą tabletek, czy ucieszyła go nagła przemoc.

- To ja - rzucił do telefonu. - Tak, jestem dupkiem. Tak, rozumiem.

- Zerknął na Willa i uniósł brwi jak uczeń rugany przez nauczyciela.

- Tak, wiem, ale... - Potrząsnął głową. - Posłuchaj, Geraldzie, ja nie...

- Znowu przerwał. - Zamkniesz się na chwilę, palancie, żebym mógł powiedzieć, o co chodzi?

Gerald.

Will otworzył usta. Teraz on westchnął ciężko. Potem powiedział sobie w duchu, że skoro Kevin jest posłańcem, a Gerald jego szefem, to człowiekiem stojącym nad Geraldem może być Dash.

Beau zaśmiał się do telefonu.

- Dash obiecał, że się mną zaopiekuje, jeśli znajdę mu paru porządnych gości. - Posłał Willowi znaczący uśmiech, dając do zrozumienia, że tą informacją nie podzielił się z Amandą. - Nazywa się Jack Wolfe. Siły powietrzne. Twardziel. Moje poręczenie powinno wystarczyć.

A jeśli nie, możesz mi obciągnąć.

Beau szczyrzył zęby, oddając Willowi telefon.

Will miał ochotę roztrzaskać mu telefon na głowie. Stłumił w sobie tę chęć i wrócił do rozmowy z Geraldem.

- To ja - powiedział.

- Wolfe... - Gerald urwał na chwilę, po czym zapytał: - Jak długo tam byłeś, synu?

Miał za młody głos, żeby nazywać Willa synem.

- Wystarczająco długo, by wiedzieć, że to wszystko to jedna wielka ściema.

Beau wybuchnął śmiechem.

Gerald znowu zamilkł. Myślał.

Will także przeprowadzał swoje kalkulacje. Beau zachowywał się ryzykownie. Był za bardzo nakręcony, energicznie bujał się na palcach, ale Will nie mógł nic na to poradzić. Beau i tak zrobi, co miał zrobić. Kevin to co innego. Jeśli Gerald odmówi, Willowi pozostawał Posłaniec. Jeśli będzie musiał, wetknie mu lufę sig sauera do ust i położy palec na spuście.

- Oddzwonię - rzucił Gerald po dłuższej chwili i rozłączył się.

Will sprawdził czas.

Godzina 16:03.

Jeśli to potrwa dłużej niż dwie minuty, będzie wiadomo, że Gerald dociera do szefa poprzez wyżej stojących od niego w hierarchii grupy.

Jeśli krócej, to będzie znaczyło, że zadzwonił do Dasha bezpośrednio.

Ten drugi scenariusz oznaczałby, że Gerald jest prawą ręką Dasha.

Will schował telefon do kieszeni i złapał plecak Kevina.

- Co jest? - zawołał chłopak.

Will dał znak Beau, żeby poszedł z nim na trybuny. Dłonie miał mokre od potu. Każdą komórką ciała pragnął wpatrywać się w telefon i czekać na dzwonek i wreszcie dowiedzieć się, czy jest o krok bliżej od znalezienia Sary, czy od dokopania Kevinowi.

- Stary, chodź tu i daj mi to - powiedział Kevin.

- Zamknij się. - Will otworzył plecak. Udając, że sprawdza paczki banknotów, mruknął pod nosem do Beau: - Dash kazał ci przyprowadzić paru gości, tak? - Beau uniósł kąciki ust w lekkim uśmiechu. - Myślę, że taki facet jak Dash nie ufa wielu ludziom, ale

ufa tobie. Co oznacza, że kłamałeś, gdy mówiłeś, że słabo go znasz.

Beau wsadził ręce do kieszeni. Nie szukał zwady. Po prostu chciał pogrywać sobie z Willem.

- Musiałem zachować jakieś asy w rękawie, prawda, bracie?

- Zaczynij myśleć, gdzie chować różne rzeczy, kiedy strażnicy każą ci złapać się za kostki i kaszlnąć - odparł Will, a gdy Beau zaśmiał się krótko, dodał: - Wyglądam, jakbym żartował? - Will przeliczył pieniądze. W plecaku było co najmniej trzydzieści tysięcy. - Jeśli jeszcze raz wytniesz taki numer... Will nie dokończył swojej groźby, bo przerwał mu sygnał telefonu. Godzina 16:04.

Czuł, że zaraz zwymiotuje z emocji, ale odczekał jeszcze dwa sygnały.

- Tak?

- W porządku, Wolfe - powiedział Gerald. - Podziękuj kumplowi, że za ciebie poręczył. Słowo kapitana Ragnersena wiele znaczy dla szefa.

Will otworzył usta i wciągnął haust powietrza.

- Ile? - zapytał.

- Mogę ci dać dziesięć patyków za drobną robotkę dziś wieczorem.

Taka próba, żeby się przekonać, co jesteś wart.

Will policzył w myślach do pięciu.

- Jak drobna? - zapytał.

- Ryzyko niewielkie. Wejść i wyjść. Już to robiliśmy. Mamy wewnątrz naszego człowieka.

- Ryzyko jest zawsze - powiedział Will. Znowu policzył w myślach do pięciu. Dziesięć patyków to świetne pieniądze. Albo ci goście nie mieli pojęcia, ile wynosi uliczna cena wynajętego bandyty. Postanowił ich docisnąć. - Piętnaście tysięcy.

- Dobra - powiedział Gerald, co oznaczało, że Will powinien zażądać dwudziestu. - Przekaż telefon Kevinowi.

Will starał się ukryć radość, oddając telefon. Był w grze.

Wprawdzie znalazł się dopiero na obrzeżach grupy, ale już po wewnętrznej stronie.

- Tak jest - rzucił do słuchawki Kevin. Z jego głosu zniknęły jęklive tony. - Tak, wiem, gdzie to jest. Mogę tam być za piętnaście... dwadzieścia... dobrze, ale...

Rozmowa została zakończona.

Kevin wsunął telefon do kieszeni.

- Pomóż mi wstać, Slendermanie.

Will złapał go za ramię i podniósł jak szmacianą lalkę.

- Cholera, to boli. - Kevin pokuśtykał w stronę trybun. Krew ściekała mu do buta, a na czubku rzepki pojawiło się coś białego.

Opadł na ławkę i rozsunął zamek torby. Między lekami nie można było ukryć lokalizatora, a Beau dopilnował, żeby wszystko wyglądało jak zwykle i nie budziło podejrzeń. Tabletki zostały przesypane do woreczków strunowych z etykietkami, tubki maści i kremów wyjęte z pudełek i powiązane razem gumkami, a potem opieczętowane.

Kevin zamienił paczki banknotów z plecaka na zawartość torby.

- Dajcie mi swoje telefony i dokumenty - powiedział.

- Wal się - odparł Beau.

Kevin wzruszył ramionami.

- Poręczyłeś za niego. Gerald powiedział, że albo ty i Wolfe jedziecie razem, albo żaden nie jedzie.

- Pojedziemy obaj. - Will rzucił swój portfel na ławkę. - Nie noszę telefonu. Nie pozwolę, żeby rząd mnie śledził.

- Nie ma problemu. Rozumiem cię, brachu.

Portfel Willa ze spreparowanymi w GBI dokumentami otworzył się po wylądowaniu na ławce. Prawo jazdy i karta kredytowa były wystawione na Jacka Phineasa Wolfe'a. O ile NAP nie miała dostępu do serwerów Pentagonu, przebieg służby wojskowej Wolfe'a, sądowy zakaz zbliżania się i dwa protokoły z jazdy pod wpływem przejdą pomyślnie każdą próbę sprawdzenia jego przeszłości.

- No dalej, bracie. Zróbmy to - powiedział Will do Beau.

- Co za idiotyzm. - Beau pokręcił głową, ale położył na ławce swój portfel i telefon.

Will obserwował go bacznie, bo coś mu nie pasowało. Beau za łatwo się poddał. Chociaż naćpany, zdołał wyposażyć się w glocka. Niestety Will nie słyszał kwestii Geralda podczas rozmowy z Beau, nie wiedział też, co Gerald powiedział Kevinowi.

Instykt Willa zawył jak potępieniec.

- Pojedziemy za tobą furgonetką - powiedział Will do Kevina.

- Nie jedziecie ze mną, to Gerald dowodzi misją. Czy nad którymś z was wiszą nakazy aresztowania w Karolinie Północnej?

Karolina Północna?

- Kto zabierze nas do Geralda? - zapytał Will.

- Wstrzymaj konie, bracie. - Kevin włożył oba portfele i telefon Beau do plecaka. - Gerald prześle nam namiary.

Will walczył z chęcią spoglądania gdziekolwiek, byle nie w stronę parkingu. Beau powiedział im, że na każde spotkanie Dash wysyła innego posłańca, ale nie opisał gościa w furgonetce. Było oczywiste, że zna Geralda i skłamał o swoich relacjach z Dashem. Will musiał uznać, że Beau i Gerald znają każdą drogę wyjścia z tego parku i żaden z nich nie będzie się przejmować dziećmi w pobliskiej szkole.

- Co z kasą? - zapytał Beau.

- Daj mi kluczyki do waszej furgonetki. Wsadzę ją pod siedzenie - odparł Kevin.

Beau znowu skapitulował i rzucił Kevinowi kluczyki.

Ręce zwisały mu luźno wzdłuż ciała, czyli ponownie przeszedł w stan zen: skupiony, zwarty i gotowy.

Telefon Kevina zaćwierkał i Will zobaczył znaczek na mapie. Czyli Gerald przesłał dane lokalizacyjne.

- Tamtędy. - Kevin wskazał kierunek, którego Will się spodziewał, to znaczy w stronę drzew. - Na środku boiska skręćcie znowu



w prawo między drzewa i miniecie dom opieki. Czarna furgonetka będzie na was czekać na końcu podjazdu.

- Jakiego boiska? - zapytał Beau.

Nie studiował mapy satelitarnej. Nie siedział godzinami z zespołem najlepiej wyszkolonych tajnych agentów, którzy szukali najdogodniejszej pozycji do monitorowania każdej drogi wiodącej do i z parku.

Każdej prócz tej jednej.

- Boisko do futbolu - odparł Kevin. - Leży za budynkiem szkoły podstawowej.

Will siedział z tyłu wyładowanej ciężarówki. Tak bardzo był zlany potem, że miał wrażenie, jakby siedział w kotle z wrzątkiem. Okna auta były zamalowane na czarno, przepierzenie oddzielało kabinę kierowcy od reszty furgonetki. Paliło się światelko u góry, ale żarówka była tak słaba, że Will widział tylko zarys sylwetek współpasażerów. Jeden mizerny otwór wentylacyjny w suficie tłoczył do środka strumień świeżego powietrza, ale na zewnątrz było prawie czterdzieści stopni, a ponieważ siedzieli w aluminiowej puszcze, żadna ilość powietrza nie chroniła ich przed przegrzaniem.

Pochłonęli wszystkie puszki gatorade z lodówki samochodowej w ciągu dwóch pierwszych godzin jazdy.

Will zerknął na zegarek.

Godzina 19:42.

Ponad trzy godziny jazdy. Mogli już być głęboko na terenie Karoliny Północnej albo Kevin był o wiele lepszym kłamcą, niż wydawało się Willowi, i równie dobrze mogli znajdować się na terenie Alabamy lub Tennessee.

Beau, oparty ramieniem o Willa, zamruczał przez sen. Głowa opadła mu na piersi, a po chwili zaczął chrapać. Naprzeciw nich siedziało czterech młodych mężczyzn. Ich pot pachniał piżmowo i cierpko jak szop, o ile szopy używały dezodorantu Axe Body Spray.

Gerald nie przedstawił ich sobie, gdy kazał wsiadać do samochodu. Chłopcy byli tak do siebie podobni, że Will nazwał ich w myślach Pierwszy, Drugi, Trzeci i Czwarty. Wszyscy trzymali u boku broń. Mieli nie więcej niż osiemnaście lat i byli ubrani na czarno. Na ich twarzach malowały się na przemian to znudzenie, to przerażenie. Musieli być potwornie zmęczeni trzymaniem kolan niemal pod brodą. Najwyraźniej przerażała ich myśl, że przypadkowo mogliby stopą lub nogą musnąć niewłaściwą osobę w niewłaściwy sposób.

Beau był taką niewłaściwą osobą. Will także. Obaj zajmowali tyle miejsca, ile ich czterech.

Z chłopaków emanowała ekscytacja. Świadczyły o tym szybkie spojrzenia po wnętrzu furgonetki i lekkie skinienia głowy, które wymieniali między sobą. Willowi przychodziło do głowy tylko jedno określenie: respekt. Chłopcy spoglądali na prawdziwych bohaterów wojennych i jechali na misję razem z prawdziwymi żołnierzami. Mieli broń u pasa, ubrali się stosownie do okoliczności i nie mogli doczekać się misji.

Ta gotowość budziła w Willu głęboki niepokój. Przypuszczał, że chłopcy jako fani wojskowości wiedzą o wiele więcej o armii niż on. Każdy rodzaj wojsk miał własny żargon. Jedna fałszywa odzywka i Will skończy na kolanach z lufą przy skroni.

Gerald nie był przekonany o ewentualnym pożytku z Jacka Wolfe'a, jednak Will trzymał się myśli, że straciwszy trzech ludzi, Dash desperacko potrzebuje wyszkolonych żołnierzy. Mimo to Gerald otaksował Willa jak kupiec przed zakupem towaru. Zauważył sig sauera za paskiem z tyłu, a potem wziął Beau na bok i zarzucił pytaniami. Jeśli Beau czekał na okazję, by Willa zakapować, to właśnie wtedy był najlepszy moment, jednak Gerald wydał się zadowolony z uzyskanych odpowiedzi. Kiwnął głową i chłopak, którego Will nazwał w myślach Czwartym, przeskanował Willa w poszukiwaniu sygnału lokalizatora GPS. Beau nie został

przeskanowany, a to znaczyło, że Will ma jeszcze sporo do udowodnienia.

I że Beau jest śmierdzącym kłamcą, ponieważ ci ludzie w sposób oczywisty uważali go za członka grupy.

Will miał dużo czasu podczas jazdy, by rozważyć wszystkie możliwe sposoby, w jakie Beau mógł go wykiwać. Lecz Beau był tylko niewielkim fragmentem tej groźnej i ponurej układanki. Will wiedział, że aby dotrzeć do Sary, musi zdobyć zaufanie Geralda. Innego sposobu nie było, jednak nie znając miejsca docelowego, miał za mało przesłanek, by przygotować odpowiednią strategię.

Karolina Północna.

Chcieli obrabować bank? Dzisiaj było już na to za późno. Może przymierzali się do napadu na targowisko albo miejsce realizacji czeków? Po co wyjeżdżać poza granice stanu, skoro wszędzie po drodze jest mnóstwo sklepów? A może wywiozą ich w góry, gdzie Gerald otworzy drzwi i zastrzeli ich wszystkich z AR-15?

Bardzo możliwe, zwłaszcza po zakończeniu misji.

Will założył, że Amanda go szuka. Pewnie wkurzała się na swoich ludzi, tak samo jak Faith. Nie była fanką ślepego przestrzegania przepisów. Niejeden raz widział, jak wykorzystywała fakt, że w aucie miała zamontowany dziecięcy fotelik, i w Alberta Banks Park na wszelki wypadek stanęła na parkingu przed szkołą.

Ale nie było jej tam. A fałszywa biegaczka, fałszywa matka z wózkiem, para na parkingu, agenci w wozach obserwacyjnych – nikt z nich nie zauważył, jak Will znika między drzewami. A nawet gdyby ktoś go dostrzegł, i tak nie byłby w stanie ustalić, z którym miejscem wyjdzie z lasu.

Dom opieki po drugiej stronie boiska futbolowego nie został wzięty pod uwagę na naradzie operacyjnej.

Faith domyśliłaby się w ciągu dwóch sekund.

Will oparł głowę o ścianę furgonetki. Wibracje wywołane

kontaktem kół z drogą wnikały mu do kości ogonowej i czaszki. Wrócił przeszywający ból głowy. Will zacisnął powieki i wciągnął w płuca ciężkie duszne powietrze. Pomyślał o odzyskaniu Sary. Co jej powie. Jak będzie wyglądało ich życie po tej historii.

Problem polegał na tym, że rodzina Sary była w jej życiu najważniejsza.

Will nie miał wątpliwości, że Cathy go nienawidzi i nawet nie próbowała udawać, że jest inaczej. Eddie przynajmniej się starał, ale po tym wszystkim pewnie mu się odechce. Will nigdy nie liczył, że wpasuje się w rodzinę Sary, miał tylko nadzieję, że skończy jak poniewierający się ostatni kawałek puzzli, dla którego nikt nie umie znaleźć miejsca, ale którego nikt nie ma serca wyrzucić.

Kiedy ostatni raz widział Cathy Linton, nawet nie była w stanie wymówić jego imienia.

Furgonetka wpadła w koleinę i nagły wstrząs wyrwał ze snu Beau. Podrapał się po jądrach, rękawem wytarł strużkę śliny, otworzył lodówkę i natychmiast zamknął ją z impetem.

- Który z was, fiutki, wypił ostatni gatorade?

- Przy drzwiach jest jeszcze jeden. Trochę ciepły - powiedział Trzeci.

Beau natychmiast przejrzał szczeniaka i kopnął go w pizczel.

- Myślisz, że nigdy nie musiałem pić szczyn, chłoptasiu?

Nikt się nie zaśmiał, a chłopcy pograżyli się w rozważaniach, jak bardzo zdesperowany musi być człowiek, aby wypić własny mocz.

Po chwili Czwarty zadał pytanie, którego Will tak bardzo się obawiał.

- Jak tam było?

Beau wskazał Willa.

- To on widział prawdziwą akcję.

Will z najwyższym wysiłkiem zapanował nad sobą i nie zdzielił Beau w kark.

- No, nie daj się prosić, stary. Jak tam było? - ponaglił go Trzeci.

Will podniósł wzrok na przyćmione światło i odchrząknął. Chłopcy byli uzbrojeni i jechali zmierzyć się z niebezpieczną sytuacją. Najbardziej bali się tego, że popełnią jakiś błąd, który sprowokuje kumpli do drwin. W ich szczeniackich umysłach nie było miejsca na rozważania o śmierci. Jak dotąd życie za mało ich skrzywdziło, by rozumieli jego wartość.

- Nie po to patrzyłem na śmierć kolegów, żeby bawić bandę zasrańców wojennymi opowieściami.

- Święta prawda - zachichotał Beau.

Chłopcy nie potrafili ukryć rozczarowania. Czwarty jęknął. Trzeci uderzał potylicą w metalową ścianę furgonetki. Drugi zaczął obgryzać paznokcie. Pierwszy zmienił pozycję, usiłując rozciągnąć zdrtwiałą nogę bez kontaktu fizycznego z innymi.

Z tyłu furgonetki było ciasno, ale wszyscy czterej usadowili się tak, żeby zachować między sobą centymetry odstępu. W tym wieku nie dotykało się innego faceta, chyba że chciało mu się zrobić krzywdę. Chłopcy gadali o bzykaniu dziewczyn, które nigdy nawet nie słyszały ich imion. Przechwalali się akrobacjami na deskorolce albo rozwaleniem roweru w trakcie skomplikowanej ewolucji, jakby nigdy nie robili w gacie ze strachu. I wciąż nie mogli dojść do ładu z tym całym ładunkiem wściekłości, pożądania i gniewu, które wybuchały w nich tak samo nagle, jak od jednej iskry płonie las.

Will był taki sam w ich wieku i desperacko szukał wokół siebie męskiego wzorca. Widział na ulicy gościa na luzie i próbował naśladować jego chód. Słyszał mężczyznę flirtującego z kobietą i powtarzał jego tekst, zaczepiając nieznaną dziewczynę. A przynajmniej opowiadał kolegom, że to zrobił. I że to zadziało. I że dziewczyna okazała się fantastyczna.

- Zabijanie ludzi jest do dupy - powiedział. - Cholernie do dupy.

I nienawidzisz siebie za to.

Beau nie skomentował tego żadnym głupim żartem. Słuchał. Wszyscy słuchali.

Will ważył słowa. Dla tych ludzi był Jackiem Wolfe'em, ekszołnierzem rozczarowanym życiem. Doświadczenia człowieka, w którego się wcielał, nie były jego doświadczeniami, ale coś go z nim łączyło. Nie zawsze zabijanie jest do dupy, przecież nie żałował, że zastrzelił Sebastiana Jamesa Monroe. Jednak Monroe nie był pierwszym człowiekiem, którego zabił.

- W odebraniu życia drugiemu człowiekowi nie ma niczego chwalebego - powiedział.

Po tych słowach atmosfera w furgonetce zgęstniała. Jedyńm dźwiękiem był odgłos opon toczących się po asfalcie.

- Ludzie mówią, że jesteś silny albo że jesteś bohaterem, ale to nieprawda. - Will otarł usta wierzchem dłoni. - Nawet jeśli gość na to zasłużył. Nawet jeśli musiałeś go zabić, zanim on zabije ciebie, czujesz się jak śmieć.

Siedzący obok niego Beau zaczął zginać i rozciągać ręce.

- Ludzie ciągle o to pytają, ale nie możesz wyznaczyć im prawdy, ponieważ bohaterowie tego nie robią.

- Święta prawda - mruknął Beau.

Will pochylił się do przodu, by durne dzieciaki lepiej go usłyszały.

- Nie jest spoko, kiedy to się zdarza. Wszędzie bryzga krew, wpada ci do oczu, widzisz kości i chrząstki. Myślisz, że jesteś gotowy na takie gówno, bo miliony razy grałeś w Call of Duty, ale doświadczyć tego osobiście to zupełnie inna historia. Krew ma metaliczny zapach. Dostaje się między zęby. Czujesz ją w gardle. Wchodzi do płuc.

- O cholera - szepnął Trzeci.

Beau przyglądał się swoim dłoniom i kręcił głową.

- Człowiek, którego zabiłeś, miał rodzinę, tak jak ty ją masz - ciągnął Will. - Miał swoje życie. Ty masz życie. Może miał dzieci. Może narzeczoną, może dziewczynę, może chorą matkę, a może

umierał z tęsknoty za domem, jak ty w każdej sekundzie rozłąki. – Spojrzał na każdego z nich po kolei. Słuchali go z szeroko otwartymi oczami. Chłonęli każde słowo. – Dlatego to wszystko jest do dupy. Ponieważ...

Urwał i potrząsnął głową. Już im wyjaśnił dlaczego. Miał nadzieję, że ci czterej nie będą musieli poczuć tego na własnej skórze.

Beau pociągnął nosem i wytarł go.

Ciszę przewał Drugi.

– Ponieważ co, stary? – zapytał.

Will zapatrzył się w zaciemnione okno, słysząc chrypliwy oddech Beau.

– Ponieważ co? – nie odpuszczał Drugi.

– Ponieważ zabijając kogoś, zabijasz część siebie – odezwał się Beau.

Zapadła cisza, w której dał się słyszeć tylko szum kół. Nie było więcej pytań. Will śledził upływ czasu. Dziesięć minut, piętnaście. Poczuł, że furgonetka wchodzi w łagodny zakręt. To musiał być zjazd z autostrady.

Will wpatrywał się w zegarek.

Godzina 19:49.

Furgonetka zwolniła i weszła w kolejny zakręt, tym razem ostrzejszy. Możliwe, że wjechali w boczną ulicę. Will przechylił się i trącił Beau ramieniem. Naprzeciwko nich chłopcy najwyższym wysiłkiem starali się zachować odstępy między nimi.

Przez kilka kolejnych minut furgonetka jechała z prędkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, a Will nasłuchiwał odgłosów innych aut. Od czasu do czasu dobiegał go szum, czyli nadal znajdowali się blisko autostrady. A może to była droga międzystanowa? Lub już tak długo siedział w tej furgonetce, że słuch mu się stępił?

W pewnym momencie poczuł, że podłoga się przechyliła, znak, że

furgonetka wjechała na rampę, i usłyszał dudnienie silnika na biegu jałowym. Blisko, prawdopodobnie tuż przy furgonetce. Potem rozległ się warkot i zgrzyt łańcucha o metal. Szczęk hamulców zapobiegających samoistnemu cofaniu.

Will rozpoznał ten dźwięk. By zarobić na studia, w college'u pracował w firmie przewozowej, dlatego wiedział, jak brzmią otwierające się w górę drzwi ładowni.

Furgonetka poruszyła się, gdy Gerald wysiadł z kabiny i zaczął z kimś rozmawiać. Will nie mógł rozróżnić słów. Przypuszczał, że właśnie odbywa się transakcja.

„Ryzyko niewielkie. Wejść i wyjść. Już to robiliśmy. Mamy wewnątrz swojego człowieka”.

Drzwi furgonetki w końcu zostały otwarte. Will spodziewał się oślepiającego światła, ale przywitała go jeszcze głębsza ciemność. Gerald wjechał tyłem wprost do rampy załadowniczej, a czarna gruba przesłona wokół otwartych drzwi uniemożliwiła Willowi rzucenie okiem na otoczenie. W stronę wyjścia zmierzał mężczyzna, który wyglądał, jakby przed chwilą wyszedł z siłowni. Był odwrócony plecami do Willa, a w ręku trzymał kopertę tak mocno wypchaną banknotami, że nie dała się zamknąć. Miał na sobie czerwoną bejsbolówkę, workowate szorty i czarny Tshirt Nike.

- Chodźcie - cichym głosem polecił Gerald, gestem nakazując pośpiech.

Cała czwórka młodych wyskoczyła z furgonetki i rozpierzchnęła się w różnych kierunkach. Trzymali broń w gotowości, jakby za chwilę miała się rozpętać powtórka z legendarnej strzelaniny w O.K. Corral.

Wychodząc z furgonetki, Will rozejrzał się po magazynie. Większość światel była wyłączona, ale nieliczne punkty świetlne pozwalały zorientować się w przestrzeni. Magazyn miał wielkość boiska do futbolu. Rzędy metalowych regałów mieściły zamknięte i zaklejone tekturowe pudła o sporych rozmiarach. Na każdym z nich



widniał stempel z numerami odpowiadającymi oznaczeniom na półkach. Każdy karton miał plastikową koszulkę z etykietą wysyłkową w środku.

Will musiał zdobyć jedną z nich. Na etykiecie znajdowały się informacje dotyczące zawartości przesyłki, adres nadawcy i odbiorcy, nazwa firmy i kontakty.

- Beau. - Gerald wskazał mu głową tył magazynu.

Nisko pochylony Beau skradał się z glockiem skierowanym w dół, rozglądając się za ochroniarzami lub intruzami, którzy mogliby sprawić kłopoty.

- Wolfe. - Gerald położył dłoń na ramieniu Willa. - Tędy - dodał cicho.

Will zobaczył łazienki, pokój socjalny pracowników, biuro spedycyjne, drzwi, które prawdopodobnie prowadziły do części administracyjnej magazynu. Wyjął sig sauera, skierował w dół i ruszył schylony w stronę łazienki.

Zanim tam wszedł, obejrzał się za siebie. Zobaczył otwarte drzwi drugiego stanowiska załadunkowego, przy którym tyłem stała ciężarówka wyładowana po sufit pudłami wyglądającymi identycznie jak te na półkach. Drugi i Trzeci zaczęli ją rozładowywać. Cokolwiek znajdowało się w środku, było na tyle ciężkie, że przeniesienie jednego pudła wymagało dwóch par rąk. Gerald podszedł do regałów i spoglądając na trzymaną w dłoni kartkę, wyszukiwał właściwe numery. Wreszcie wskazał środkowy rząd, a Pierwszy i Czwarty zaczęli zdejmować pudła z półek.

Po co wlamywać się do magazynu, by zamienić kartonowe pudła?

Gerald zauważył spojrzenie Willa.

Will wszedł do damskiej łazienki i sprawdził kabiny. Potrzebował czegoś - plakietki z imieniem, gazety - co pomogłoby w ustaleniu obecnego położenia. W łazience stały szafki. Wszystkie były otwarte i puste. Sprawdził męską łazienkę z taki samym rezultatem i wrócił

do magazynu. Ciężarówka była sukcesywnie opróżniania, a z półek znikwały kolejne pudła.

Drzwi biura były zamknięte. Will zajrzał do środka przez szybę. Wszędzie leżały papiery, ale było zbyt ciemno, by dostrzec logo czy adresy.

Za jego plecami chłopcy zwijali się jak w ukropie. Wyładowali z ciężarówki wszystkie pudła i załadowali połowę nowych. Działali rutynowo, czyli nie robili tego pierwszy raz. Towarzyszyła im obawa, ale nie było w nich przerażenia. Ich nerwowa energia brała się raczej z ekscytującej świadomości popełniania przestępstwa.

Will wszedł do pomieszczenia socjalnego. Były tam automaty z napojami, batonami i tym podobne, aneks kuchenny, zlew, dwie lodówki, stoły i krzesła dla około trzydziestu osób.

I jeden człowiek siedzący przy stole obok automatu z colą.

Strażnik.

Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że nie żyje, ale po chwili Will zorientował się, że po prostu śpi z odrzuconą do tyłu głową i otwartymi szeroko ustami. Czapka zasłaniała mu oczy i nos, a ręce spoczywały na wielkim brzuchu. Miał czarny mundur bez logo i plakietki z imieniem, czarne buty robocze i białe skarpetki sportowe.

Will zaczął się powoli wycofywać, ale wtedy zauważył identyfikator wiszący na smyczy na szyi mężczyzny.

Identyfikator był odwrócony. Miał biały spód, a druga strona powinna zawierać nazwisko strażnika, nazwę firmy i adres.

Will bił się z myślami.

Słyszał dźwięk zamykającej się klapy ładowni, co oznaczało, że załadowali już furgonetkę, i pewnie go szukali.

Włożył sig sauera do kabury i otworzył nóż.

Postąpił krok w stronę śpiącego strażnika, który chrapał donośnie pogrążony w głębokim śnie. To nie była zwykła drzemka, musiał spać

już od dłuższego czasu.

Will zrobił kolejny krok i mlasnął językiem, sprawdzając, na jaki poziom hałasu może sobie pozwolić, zanim strażnik się ocknie. Zgrzyt rolowanych drzwi go nie obudził. Postąpiwszy krok bliżej, Will poczuł mocny odór alkoholu i znowu mlasnął językiem, ale strażnik ani drgnął.

Jeszcze jeden krok i Will znalazł się przy nim, po czym wyciągnął rękę, by obciąć identyfikator.

- Pssst! - usłyszał nagle za plecami.

W drzwiach stał Gerald i wściekle kręcił głową, gestem nakazując Willowi, by zostawił faceta w spokoju. Miał w oczach strach. Widocznie myślał, że Will zamierza poderżnąć strażnikowi gardło.

- Wolfe. - Machnął do Willa, przyzywając go do siebie.

Will spojrzał na identyfikator. Cholera! Niewiele brakowało.

Gerald pokrzyżował mu plany. Ale cel, który mu przyświecał, nie polegał na ustaleniu adresu magazynu, lecz na utworzeniu sobie drogi do NAPu.

Wycofywał się z pomieszczenia socjalnego, ciągle trzymając w dłoni nóż i z niespełnionym pragnieniem wpatrując się w identyfikator strażnika. Omiótł wzrokiem pomieszczenie w poszukiwaniu czegoś charakterystycznego, ale zobaczył tylko zwyczajowe tablice ostrzegawcze i informacyjne o zasadach BHP, apteczkę pierwszej pomocy i stanowisko do płukania oczu. Nie było tu nic, co odróżniałoby to pomieszczenie od tysięcy innych pomieszczeń socjalnych w magazynach w całym kraju.

Will pobiegł za Geraldem do samochodu i jego wzrok przykuły pudła na metalowej półce. Wszystkie były oznaczone tym samym numerem: 4935-876.

- Wolfe. - Gerald znowu położył mu rękę na ramieniu. Mówił ściszym głosem. - Następnym razem skonsultuj się ze mną, zanim zrobisz coś takiego.

Will skinął głową i wsiadł do furgonetki. Czterej chłopcy już siedzieli w środku, Beau zajął miejsce za siedzeniem kierowcy. Milczał, wpatrzony w swoje dłonie. Wszyscy milczeli. Spodziewali się najgorszego, może nawet w skrytości ducha na to liczyli, ale nie wiedzieli, jak sobie poradzić z rozczarowaniem.

Droga powrotna minęła w całkowitej ciszy. Trwała około czterech godzin, co Will na końcu podróży sprawdził na swoim zegarku. Pierwszy, Drugi, Trzeci i Czwarty zasnęli, a spięty Beau siedział obok niego. Myślał intensywnie. Może planował, jak się z tego wywinąć, kiedy furgonetka się zatrzyma. Biec? Walczyć? Zabić?

Will też myślał, ale nie o tym.

4935–876.

Numery na bokach pudeł.

Powtarzał je w myślach jak mantrę. Koła toczyły się miarowo po nawierzchni. Chłopcy spali. Kość ogonowa bolała Willa coraz bardziej od siedzenia na metalowej podłodze. Kiedy furgonetka w końcu się zatrzymała, zegarek Willa wskazywał północ.

Chłopcy spali dalej. Beau stęknął, przesuając się po podłodze. Odłamek w plecach pewnie go zabijał. Przestał sięgać do kieszeni godzinę temu. Albo wyczerpał zapas tabletek, albo chciał zachować trzeźwość umysłu przed wielką niewiadomą.

Gerald otworzył drzwi furgonetki. Stali na początku podjazdu do domu opieki. Miał ich portfele, telefon Beau i kluczyki.

- Bardzo dziękuję za wykonanie zadania. Pieniądze są pod siedzeniem twojego wozu. Miło robi się z wami interesy, panowie.

Beau wziął od niego swoje rzeczy i zaczął chować je do kieszeni.

Gerald ruszył w stronę kabiny furgonetki. Drzwi były otwarte. Silnik pracował na jałowym biegu.

Chce odjechać. Nie może teraz odjechać, pomyślał Will.

- To wszystko? - zapytał.

Gerald odwrócił się powoli. Otaksował Willa uważnym spojrzeniem.

Był niezdecydowany. Po długiej jak wieczność chwili powiedział:

- Chce pan więcej, majorze Wolfe?

Major.

Sprawdzili zawartość jego portfela. Sprawdzili przeszłość Jacka Phineasa Wolfe'a, honorowo zwolnionego z wojska oficera, byłego żołnierza wojsk powietrznodesantowych.

Beau odchrząknął.

- Nie przesadzaj. Daj mu spokój.

Will nie wiedział, do kogo Beau kieruje te słowa.

- Co to za gadka, Ragnersen? - zapytał Gerald. - Wycofujesz swoje poparcie?

Will wstrzymał oddech, spodziewając się wsypy.

Beau zwlekał z odpowiedzią. W końcu skinął głową tylko raz i niezdecydowanie. To skinienie było odpowiednikiem wzruszenia ramionami.

Will pomyślał o sig sauerze za paskiem. Pocił się tak obficie, że skórzana kabura przykleiła się do koszuli.

- No, Ragnersen. - Geralda najwyraźniej nie satysfakcjonowała ta odpowiedź. - Uważasz, że ma to, czego nam potrzeba, czy nie?

Will spojrzał w ziemię, oceniając dystans między nim a Geraldem. Pomyślał o czterech śpiących w furgonetce chłopakach, o starszych ludziach w domu opieki, o samochodach, które mogą przejeżdżać drogą.

- Ma jak cholera. - Beau uśmiechnął się szeroko. - Wolfe częściej ratował mi tyłek na pustyni niż ty drapałeś się po jajach.

Will zachował obojętny wyraz twarzy, nie dając poznać po sobie ani złości, ani ulgi. Złapał Beau za ramię jak starego kumpla, a żelaznym uściskiem palców dał mu do zrozumienia, że później zapłaci za te brednie.

Gerald założył ręce.

- Jak beznadziejne jest twoje życie? - zapytał Willa, a gdy jedyną

odpowiedzią było wzruszenie ramionami, dodał: - Chcesz wszystko porzucić? Opuścić miasto? Nie oglądać się wstecz?

Will potarł się po brodzie. Serce waliło mu tak mocno, że czuł puls nawet w koniuszkach palców. To była ta chwila. Jego ostatnia szansa na odnalezienie Dasha. Jedyna szansa na ocalenie Sary.

- Ile dostanę? - zapytał.

- Dwieście pięćdziesiąt.

- Ja pierdzielę - syknął Beau.

- Co mam zrobić? - zapytał Will.

- Dowiesz się w swoim czasie - odparł Gerald. - Jeśli dołączysz, musisz być gotowy zostawić za sobą całe swoje poprzednie życie. Nie pakuj bagażu. Nie mów nikomu, co robisz. Zapłata nie bez powodu jest taka wysoka. Zrobisz z nami tę robotę i znikniesz po jej wykonaniu. Nie będziesz mógł wrócić do starego życia, a jeśli spróbujesz, to zajmiemy się tobą, twoją rodziną, twoją kobietą. Każdym, kto mógłby coś chlapanąć. Jasne?

Will udawał, że się zastanawia. Pieniądze były wariackie. Absolutnie wariackie. Po świecie chodziły setki drani, którzy udusiliby własną matkę za jedną czwartą tej kwoty. Takie pieniądze proponowali ludzie, którzy wiedzieli, że nie będą musieli ich płacić.

- Kiedy? - zapytał.

- Jutro - odparł Gerald. - Punktualnie o trzeciej po południu. Przy zjeździe sto dwadzieścia dziewięć z międzystanowej osiemdziesiątki piątki. Stacja Citgo. Zawiozę cię na spotkanie z szefem. Sprawdzi cię, upewni się, czy mu pasujesz.

Spotka się z Dashem.

- Jeśli cię zaakceptuje, wchodzisz do gry - dla jasności dopowiedział Gerald.

- A jeśli nie? - zapytał Beau.

Gerald wzruszył ramionami.

- Niektóre wojny warte są ofiar. Szef wprowadzi cię w temat.

Uwierz, że nie będzie musiał długo cię przekonywać. A kiedy będziemy się ulatniać, możesz pójść z nami. Misja, w której weźmiesz udział, wojna, którą prowadzimy, to sprawa wielkiej wagi.

Will zacisnął szczęki. W głowie słyszał coraz głośniejszą syrenę.

To nie był zwykły sygnał ostrzegawczy.

To był potężny krzyk:

„Sara!-Sara!-Sara!-Sara!”.

Do rozmowy wtrącił się Beau:

- Co to za misja?

- Chcesz w to wejść? - odpowiedział pytaniem zaskoczony Gerard.

- Wykluczone, nawet za podwójną stawkę - odparł Beau.

Gerald zwrócił się do Willa:

- Przemyśl to, żołnierzu. Nie naciskam. Jeśli chcesz w to wejść, musisz w tym być na sto procent. Przyjedź jutro. Zjazd sto dwadzieścia dziewięć, trzecia po południu. Dowiesz się, co będziesz robił, kiedy przyjdzie na to czas. Pasuje?

Will policzył w myślach do pięciu, potem do dziesięciu. I skinął głową.

Gerald zrobił to samo.

Umowa została zawarta.

Will ruszył podjazdem w stronę domu opieki. Słyszał za sobą trzask zamykanych drzwi furgonetki. Okrążył budynek, spojrzał w kamerę monitoringu, by jego twarz była wyraźnie widoczna. Głowę miał wypełnioną numerami.

4935-876, 129 przy I-85 o 15:00.

Po chwili dobiegł go odgłos kroków Beau.

- Kawał sukinsyna z ciebie - rzucił Will.

- A żebyś wiedział. - Beau wydawał się nieporuszony złością Willa i świadomością, dokąd idą.

- Powinieneś biec. Wiesz, że będą na ciebie czekać przy ciężarówce - dodał Will.

- Ty powinieneś zrobić to samo, Robocopie. - Beau przyśpieszył, by dotrzymać kroku Willowi. - Nie bądź głupi. Wiesz, że wyskoczyli z taką forszą, bo zapłacą ci kulką w tył głowy. Nie ryzykuj życia dla dorwania tych gnid.

- Co oni planują?

- Myślisz, że dzielą się ze mną swoimi pomysłami?

Will nie zwalniał kroku. Beau sądził, że jest bez reszty oddany swojej pracy. Nie miał pojęcia, że chodzi o Sarę.

- Brachu, zaczekaj. - Beau szedł za Willem między drzewami. - Posłuchaj mnie, dobrze? Dash to bezwzględny zabójca. Nie żartuję. Walczyłem z takimi gostkami. Dla niego jesteś gównem wartym, ot, przypadkowa ofiara. Jeśli z nieba zaczną spadać kule, ty będziesz jego parasolem. Will poczuł ukłucie na czole. Plasnął się w nie, zabijając komara.

- A te głodne kawałki, które opowiadałeś w furgonetce? - mówił dalej Beau. - Rozumiem to, brachu. To samo kotłuje mi się w głowie codziennie rano, kiedy zwlekam się z łóżka. Albo jesteś zabójcą, albo samobójcą.

- To nie ja sprzedaję czarną heroinę - skwitował Will. Weszli na boisko do futbolu. Trawa była mokra. Zraszacze nawodniły ziemię. Nie potrzebował kazania od ćpuna, któremu groziło dwadzieścia lat odsiadki. - Chcesz komuś pomóc? Pomóż sobie, brachu.

- Ja tylko próbuję... - Beau nie dostał szansy na dokończenie zdania.

Nagle wokół rozbłysły gigantyczne świetliki. To były latarki. Zaroiło się od agentów. Broń w gotowości, kamizelki kuloodporne. Will nie rozpoznał ich twarzy, ponieważ nie pracowali w GBI. Wszyscy wywrzaskiwali słowa, które uczyli się wywrzaskiwać w Quantico.

- FBI! FBI! Na ziemię! Na ziemię!

Will uniósł ręce, ale odepchnęli go na bok.

Rzucili Beau na trawę, nie zdążył nawet pisnąć. Wykręcili mu ręce



do tyłu i rozładowali Glocka 19, a telefon i portfel rzucili na ziemię.

Agent w okularach klęknął przy Beau.

- Kapitanie Ragnersen, aresztuję pana za posiadanie nielegalnej broni palnej na obszarze ochrony dzikiej przyrody.

- Kurwa! - wyrzucił z siebie Beau. Poszukał wzrokiem Willa. - Mieliśmy umowę.

Will odszedł. Jego sportowe buty nasiąkły wodą z mokrej trawy, a w duchu niestrudzenie powtarzał swoją mantrę:

4935-876, 129 przy I-85 o 15:00.

Księżyc wyjrzał zza chmury. Will kluczył między drzewami. Czuł wszechogarniające wyczerpanie. Zastanawiał się, na co właśnie przystał.

Ci ludzie byli terrorystami, a Dash to na dodatek psychopata. Zdetonował bomby w szpitalu, zorganizował uprowadzenie uczoney z CDC. Jego ludzie porwali Sarę na oczach Willa, a Dash zastrzelił człowieka z jego Glocka. Gość będący prawą ręką Dasha przeniósł pudła z magazynu, wypełnione... no właśnie, czym?

Materiały wybuchowe były najbardziej logicznym wyjaśnieniem. Pudła mogły pojechać dokądkolwiek. W kraju było mnóstwo szkół, biur i hoteli. Will nie zdołał wykraść listu przewozowego i nie udało mu się obciąć ochroniarzowi identyfikatora. Magazyn mógł znajdować się gdziekolwiek. Jedynym sposobem powstrzymania tych ludzi przed realizacją zabójczych zamiarów to przeniknięcie do grupy. Jednak nie na powstrzymaniu zależało mu najbardziej „Jak beznadziejne jest twoje życie?”.

Bez Sary wcale nie miał życia.

Idąc wzdłuż boiska do bejsbolu, przeciągał dłonią po metalowej siatce ogrodzenia. Minął korty tenisowe. Zobaczył na parkingu furgonetkę Beau. Obok stała srebrna Honda Acura z włączonymi światłami mijania. Silnik wozu pracował na jałowym biegu. Z tyłu

unosily się opary, silnik wydmuchiwał gorące powietrze przez nadkola.

4935–876, 129 przy I-85 o 15:00.

Otworzył drzwi. Pochylił się i wślizgnął na siedzenie, krzywiąc się z bólu. Zamknął oczy. Klimatyzacja działała na pełnych obrotach. Pot na jego twarzy zaczął się schładzać.

- I jak? - zapytała Amanda.

Skinął głową.

- Wszedłem do gry.

WTOREK, 6 SIERPANIA 2019 ROKU

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

WTOREK, 6 SIERPANIA, GODZINA 7:00

Faith usiadła przy kuchennym stole i zawołała:

- Boże drogi, jakie te borówki pyszne! No nie wierzę!

Zastygła w oczekiwaniu na tupot stóp Emmy, ale na próżno.

Dziesięć minut temu jej córka dostała napadu płaczu z powodu pałeczek serowych. Zanim Faith zdołała zażegnać kryzys, Emma wdrapała się po schodach na piętro i zamknęła w sypialni. Na listwie nad drzwiami leżał spinacz służący do otwierania drzwi z zewnątrz w sytuacjach awaryjnych, ale kiedy Faith usłyszała, jak Emma śpiewa swoim pluszakiem, pomyślała, że w sumie idzie ku dobremu.

Wstała od stołu, zaczęła ładować zmywarke i sprawdziła godzinę. Niedługo jej matka przyjeżdżała po Emmę. Jeśli ukochana córka Faith w tej chwili zdejmowała z siebie ubrania, Evelyn trafi na scenę morderstwa i samobójstwa jednocześnie. W najlepszym wypadku Emma będzie bosa, bo Faith nie miała nadprogramowej godziny na skłonienie małej do wsunięcia lewej stopy do lewego bucika i prawej do prawego.

Wciągnęła głęboko powietrze, by się uspokoić, i próbowała przywołać wspomnienia aniołka, jakiego zastała wczoraj po powrocie do domu. Emma zawsze chłoneła jej nastroje jak gąbka. Wiadomość o zniknięciu Willa wprawiała Faith w nerwowy dygot. Dash był potworem. W szeregach NAPu roiło się od potworów. Planowali dokonać jakiejś potworności. Co, jeśli Will nie zdoła ich nabrać? Miał tylko dwie godziny na przygotowanie fałszywej tożsamości. Co, jeśli wszystko sknoci? Co jeśli Beau zmieni front dla własnej korzyści? Co, jeśli jej partner i przyjaciel leżał już martwy w płytkim grobie?

Wczoraj Emma dostroiła się do jej nastroju, do tego, że była

zamyślona i trochę nieobecna. Córka nie buntowała się, była jak do rany przyłóż i powiedziała tyle słodkich rzeczy, że Faith przemknęło przez głowę, by uwiecznić te chwile stosownym wpisem w albumie córki. Nawet kąpiel, zazwyczaj kończąca się łzami Emmy albo ich obu, przebiegła spokojnie. Na dodatek córce wystarczyły tylko dwie bajeczki przed snem, a jedynym pluszakiem, któremu Faith musiała zaśpiewać „You’re Welcome” z animacji „Vaiana: Skarb oceanu”, był Pan Żółwik.

I wzniosła się na wyżyny swoich umiejętności wokalnych.

Potem włączyła lampkę nocną, zgasiła górne światła i zostawiła uchylone drzwi na zwyczajową szerokość dwudziestu centymetrów.

A potem w Emmie obudził się demon.

Zamknęła zmywarkę. Nasłuchiwała, czy z pokoju na górze nie dobiegnie dźwięk tłuczenia czegoś, płaczu albo satanicznego głosu wołającego: „Cudowny dzień na egzorcyzmy!”.

Żadne dźwięki nie uruchomiły dzwonka alarmowego, ale bez względu na wszystko Faith musiała posprzątać. Wrzuciła do ust resztkę borówek i włożyła miseczkę do zmywarki. Przetarła lepiący się blat i stół. Na kolanach zmyła podłogę. Obwączała śmieci w wiadrze i uznała, że mogą poczekać. Umyła ręce nad zlewem.

Przed pójściem na górę musiała zrobić jeszcze jedno.

Podeszła do biurka i ułożyła w stos dokumenty ze śledztwa w sprawie Michelle Spivey. Emma nie potrzebowała nowej książeczki do kolorowania. Faith miała kopię ponad dwustu stron fotografii, zeznań świadków i wyników prześwietlania rozmaitych osób. Jeśli klucz do znalezienia Sary znajdował się w tych papierach, to był świetnie ukryty. Cenzorska ingerencja Vana w treść zamieniła strony w planszę do układania szalonych historii. Istotne słowa były zamazane czarnymi paskami.

*Spivey widziano..... z..... w.....*

Van ukrył przed nią mnóstwo informacji.

Amanda również.

Wczoraj wieczorem odmówiła wyjaśnienia, dlaczego pozwoliła FBI aresztować Beau Ragnersena, na co Faith z takim impetem trzasnęła telefonem, że nabiła sobie siniaka. Była wściekła także na siebie. To ona jak idiotka podsunęła Aidenowi Van Zandtowi nazwisko Beau Ragnersena. Wczoraj poprosiła, żeby sprawdził, czy gość występuje w dokumentach dotyczących pracy Michelle Spivey. Najwyraźniej Van coś znalazł, ale nie chciał podzielić się z nią swoimi odkryciami. Jej żywiołowa reakcja nadawała się na temat kolejnego wpisu do dziecięcego albumu Emmy:

*Miałaś dwa latka, kiedy pierwszy raz usłyszałaś, jak mamusia krzyczy w poduszkę „skurwiel!”.*

- O nie. - Faith zobaczyła na biurku nasadkę mazaka.

Tylko nasadkę. Mazaka nie było.

Popędziła schodami na górę. Drzwi do pokoju były otwarte, a Emma siedziała na podłodze otoczona kolorowymi mazakami. Próbowwała wkładać je do pudełka. Dno pudełka było otwarte, więc mazaki wypadały jej na kolana, skąd ponownie je zbierała. Mina Emmy zdradzała zachwyty odkryciem niewyczerpanego źródła kolorowych mazaków. - Gdzie są twoje buty? - zapytała Faith.

Emma uśmiechnęła się szeroko do wypadających z pudełka mazaków.

- Może w kieszeni?

- Nie ma ich w twoich kieszeniach. - Faith zajrzała do szafy, pod łóżko, do komody, do szafek nocnych, pod przewijak. Ani śladu butów, ale za to dokopała się niezliczonych par rękawiczek, które Emma posiadała minionej zimy. - Wkładaj buty, zanim przyjdzie babcia.

- Babcia już jest! - Evelyn zaanonsowała swoje przyście i zaczęła wchodzić po schodach.

Faith poczuła się jak koszykarz wykończony brutalnym meczem.

- Straszny dzisiaj skwar. - Matka Faith miała na sobie modne

lniane spodnie i pasującą do nich bluzkę bez rękawów. Pocałowała Faith policzek i zwróciła się do Emmy: - Włóż buciki, skarbie.

- Znasz niejaką Kate Murphy? - zapytała Faith.

Evelyn nie zastanawiała się ani sekundy. Ona знаła wszystkich.

- Była partnerką Maggie w czasach, kiedy jeszcze ryliśmy formularze skargi na kamiennych tabliczkach. Uczestniczyła w procesie, w którym zapadł wyrok zmuszający FBI do wysłania kobiet agentek w teren. Porządna dziewczyna. Gdzie masz plecak, skarbie?

Faith nie wierzyła własnym oczom. Emma miała na nogach buty, i to włożone jak należy.

Czyżby stała za tym czarna magia?

- Mandy zna Kate lepiej niż ja - dodała Evelyn. - Pośpiesz się, misiaczku. Faith patrzyła, jak Emma kręci się w kółko, usiłując włożyć plecak.

- A tego jej chłopaka, Aiden Van Zandta?

Evelyn zmarszczyła nos.

- Nie ufam facetom w okularach. Nie mogą normalnie widzieć?

Faith wydała z siebie długie i ciężkie westchnienie.

Matka opacznie zrozumiała tę irytację.

- Och, kochanie, on nie jest w twoim typie. Poza tym jego ojciec był obleśnym kobieciarzem.

- Masz jego numer telefonu?

- Ha! Ha! - Evelyn podniosła wnuczkę i posadziła ją sobie na biodrze. Ucałowała Faith w policzek, zeszła po schodach i zniknęła za drzwiami.

Faith pomyślała o buzi swojej córki, ciemnych, prawie czarnych włosach i jasnobrązowych oczach. Ślicznej śniadej cerze. Mała nie odziedziczyła genów rodziny Mitchellów, której przedstawiciele mieli bardzo jasną, wręcz mleczną karnację.

Victor, ojciec Emmy, należał do trzeciej generacji Amerykanów

meksykańskiego pochodzenia. Nie interesował się swoim pochodzeniem, chyba że z jakiegoś powodu korzystnie było je podkreślić. Mówił po hiszpańsku o wiele gorzej niż Faith z tą swoją szkolną hiszpańszczyzną. Ledwie umiał zamówić dobrą margaritę i zapominał o szeptaniu *palabras sucias* w trakcie *echando un polvo*. Powinna wiedzieć, że nic z tego nie będzie, kiedy pierwszy raz zobaczyła, jak chodzi po sypialni w podkoszulku wetkniętym w bokserki.

Posłała łóżko Emmy, poprawiła prześcieradło, odłożyła Pana Żółwika na swoje miejsce i skompletowała skarpetki. Jakimś cudem znalazła mazak bez nasadki. I ogarnęła ją melancholia. Pod nieobecność Emmy dom zawsze wydawał się inny. Był czystszy, bez wątplenia spokojniejszy, ale strasznie pusty. Poskładała ubranka i ułożyła je w stos, zebrała kolorowe kredki i zniosła je na dół.

Zatrzymała się w holu. Za szkłem w górnej części drzwi pojawiła się nagle głowa Willa. Will nie zapukał, po prostu tam stał. Rzadko do niej przychodził, chyba że w sytuacjach awaryjnych. Nagle zobaczyła, jak głowa Willa odwraca się w stronę podjazdu.

- Nie uciekaj! - Musiała przełożyć kredki do jednej ręki, żeby otworzyć drzwi.

Will miał na sobie to samo ubranie co wczoraj, czyli luźne džinsy i czarną koszulę z długim rękawem. Spojrzał na nią. A właściwie przez nią. Miał przekrwione oczy, w ogóle wyglądał okropnie. Nigdy przedtem Faith nie chciała tak bardzo kogoś przytulić jak Willa w tej chwili. Ale oni się nie przytulali. Kiedy siedział, czasem ścisnęła go za ramię. Czasem kuksała w bok jak brata. Teraz bała się, że nawet łagodne klepnięcie w ramię powali go na ziemię.

Will się nie odzywał, więc powiedziała:

- Wejdz.

Poszedł za nią do kuchni. Nie miała pojęcia, dlaczego tu jest. Było oczywiste, że spędził bezsenłą noc. Miał podkrążone oczy,



a jednodniowy zarost zmienił się w brodę. W tej chwili powinien być w siedzibie firmy, gdzie zespół pracował przez całą noc, gromadząc mapy oraz informacje topograficzne o okolicach stacji Citgo przy zjeździe sto dwadzieścia dziewięć.

Za osiem godzin Willa czekało spotkanie z Geraldem.

Co robił u niej?

- Siadaj. - Faith rzuciła na blat kredki. - Zjesz śniadanie?

- Nie, dzięki. - Skrzywił się, siadając na krześle.

Faith nie pamiętała, by kiedykolwiek rezygnował ze śniadania. A teraz zaczął układać kredki kolorami.

- Ten chłopak z boiska do bejsbolu, Kevin Jones, z parku pojechał do centrum handlowego. Zanim nasi ludzie się tam znaleźli, zdążył przekazać torbę z lekami. Śledzili go do domu jego rodziców. Jest pod stałą całodobową obserwacją, ale nie możemy go przymknąć przed końcem sprawy.

Will kiwał głową, jakby to wszystko już wiedział.

- Stracili z oczu czarną furgonetkę, kiedy odjechała spod domu opieki - powiedział.

Faith skwitowała jego słowa takim samym kiwnięciem głowy. Amanda opowiedziała jej, co zaszło. Furgonetka szybko opuściła dzielnicę mieszkalną w pobliżu domu opieki. Kierowca zgasił światła i skierował się na teren wiejski, gdzie helikopter byłby widoczny jak światło latarni morskiej. Cztery wozy pościgowe dotarły tylko do wąskich wiejskich dróg. Kierowcy zaczęli zostawać w tyle coraz bardziej, aż w końcu furgonetka zniknęła im z pola widzenia.

- Godzinę temu znaleźli ją na polu - ciągnął Will. - Została spalona, nie ma tablic rejestracyjnych ani numerów identyfikacyjnych. Jest jeszcze za gorąca dla śledczych. Nie pamiętam żadnych szczegółów. Kiedy do niej wsiadałem i z niej wysiadałem, nie patrzyłem na rejestrację.

Nie mam listu przewozowego ani...

Złamał w palcach jedną z kredek i spojrział na wyszczerbione krawędzie. Kredka miała kolor rozbielonej pomarańczy. Ten odcień producent nazwał „cielistym”. Faith go nienawidziła.

- Ile trwało, zanim domyśliłaś się, co zaszło? - zapytał.

Chodziło mu o jego zniknięcie w parku. Dwie sekundy w Google Earth wyjawiały Faith, co się stało.

- Ja byłabym przy szkole.

Will przycisnął dłoń do żeber, jakby musiał przytrzymać kości, żeby się nie przemieściły.

Znała tylko jeden sposób, by mu pomóc. Idąc do biurka, położyła mu rękę na ramieniu.

Znalazła akta Michelle Spivey, położyła je na stole przed Willem i usiadła.

- Badanie krwi Michelle przed operacją w szpitalu wykazało obecność nieznannej substancji. Nie jest to narkotyk, ale prawdopodobnie czegoś toksycznego. Uważają, że właśnie ta substancja spowodowała pęknięcie wyrostka.

Will wertował kartki z kadrami z uprowadzenia Michelle. Parking. Samochód Michelle. Torebka, którą upuściła, gdy Carter wciągnął ją do furgonetki.

- Dlaczego wszystko jest zaczerwienione? - zapytał, wskazując raporty.

- Nasi przyjaciele z FBI. - Faith pokazała mu jedną z najbardziej ocenzurowanych stron. - Coś w tym wszystkim szczególnie mnie uderzyło, i to dwukrotnie. Tu jest napisane MH JACK SERV. - Wskazała palcem linijkę tekstu. - To musi być skrót od Maynard H. Jackson Service Road.

- Lotnisko.

- Właśnie. - Faith przewróciła kartkę. - Jeśli zacząć stąd, w tej linijce jest „Hurley”, potem „zgięta wół”, dalej „ból i wymioty”. Sprawdziłam, to symptomy...

- Zapalenia wyrostka - dopowiedział Will.

- Właśnie. - Faith odchyliła się na krześle. - Michelle i Hurley musieli być na lotnisku, kiedy ona źle się poczuła. Ciągle się zastanawiam, dlaczego przywieźli ją do Emory. Pewnie potwornie ją bolało. Musieli zabrać ją do szpitala, ale nie mogli ryzykować i zawieźć ją do szpitala w pobliżu lotniska.

- Uważasz, że cokolwiek NAP planuje, wydarzy się na lotnisku. - Will podrapał się w brodę. - Z pewnością Michelle nie byłaby im potrzebna do rekonesansu, gdyby wybrali lotnisko na miejsce ataku, skoro w Internecie są mapy i nagrania wideo z hal i terminali. Na wideo można zobaczyć obraz z kolejki dojazdowej z lotniska. Twarz Michelle pokazywały wszystkie media, więc bardzo ryzykowali, pojawiając się z nią w publicznym miejscu. Muszą szykować coś, na czym tylko ona się zna.

- Ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi przewija się codziennie przez to lotnisko. To ze sto milionów rocznie - zauważyła Faith.

- Loty transportowe - powiedział Will. - UPS, DHL, FedEx przerzucają pudła dzień i noc. Na pudłach z magazynu były numery 4935-876.

- Amanda przekazała je sześciu agencjom do sprawdzenia, ale jeszcze nigdzie nie wypłynęły. Rozmiar kartonów jest standardowy. Wziąwszy pod uwagę, że musiało je przetranszportować dwóch facetów, zakładamy, że zostały wzmocnione, ale to nie zawęży nam pola manewru.

Will wciąż drapał się po brodzie, generując dźwięk przypominający skrobienie paznokci o tablicę.

Nie myślał jasno. Inaczej powiedziałaby, że lotnisko w Atlancie jest główną bramą wjazdową do Stanów Zjednoczonych. Na jego terenie CDC miało urządzenia skanujące zagranicznych pasażerów na obecność wirusów SARSy, eboli lub innych chorób. Generalnie chodziło o niedopuszczenie do rozprzestrzeniania się po kraju różnych złych rzeczy.

A jeśli Dash planował wyekspediować coś straszliwego z kraju?

- Jest coś jeszcze. - Faith wyjęła z wiszącej na krześle torby notes. Nie miała pozwolenia na zapisywanie czegokolwiek w SCIFie, ale przed opuszczeniem terenu CDC przycupnęła w łazience i nagrała wszystko, co zapamiętała, a potem to spisała.

Bez niepotrzebnych wstępów zaczęła czytać, robiąc Willowi powtórkę z przyspieszonego kursu, jaki odbyła poprzedniego dnia. Scharakteryzowała najbardziej aktywne grupy i doktrynę oporu niekierowanego, a Will co jakiś czas kiwał głową, jakby to, co mówiła, miało sens.

Przestał kiwać, gdy dotarła do pobytu Dasha i Martina Novaka w Meksyku.

- Dash jest pedofilem? - Wypowiedział to słowo bez obrzydzenia, jakiego Faith oczekiwała. Spojrzał w okno. Oczy mu zalśniły w porannym świetle.

Faith złościła własna bezradność. Musiała to powstrzymać, jakoś naprawić.

- Myślałem... - W głosie Willa rozbrzmiały nieznane nuty. - Martwiłem się... z powodu gwałtu. Z możliwości gwałtu.

Faith uniosła dłoń do ust pod wpływem... czego? Zaskoczenia? Szoku? Ulgi?

Nie wpadła na to wcześniej. Adam Humphrey Carter nie żył, Vale i Monroe nie żyli, Hurley był aresztowany. I chociaż świadomość, że Sara jest przetrzymywana przez pedofila, była dojmująco bolesna, to chora skłonność Dasha oznaczała, że z jego strony Sarze raczej nie groził gwałt.

Will wytarł nos wierzchem dłoni. Podniósł wzrok, ale nie spojrzał na Faith. Wyglądał na człowieka kompletnie złamanego. Gdyby ktoś powiedział jej, że właśnie spadł z urwiska, uwierzyłaby na słowo.

Wstała od stołu, podeszła do zlewu i odkręciła wodę, ale nie miała nic do umycia, więc wyjęła ze zmywarki talerz.

- Gerald Smith - powiedział Will.

Pokiwała głową, zachęcając go, by wrócił do rozmowy o śledztwie.

- Dwudziestojednolatek, który wywinął się z aresztu w Meksyku, może być tym samym Geraldem, którego spotkałem wczoraj wieczorem. Wiek by się zgadzał. Masz rysopis?

- Nie. - Faith wytarła nos ramieniem, skrobiąc talerz. - To, że wciąż się znają, ma sens. Tacy goście trzymają się razem.

- Mam prośbę.

Faith zakręciła wodę i zaczęła wycierać talerz, stojąc plecami do Willa.

- Mów.

- Wydaje mi się, że... to znaczy wiem, że... - Zamilkł i odetchnął głęboko. - Matka Sary mnie nienawidzi.

Faith włożyła talerz do zmywarki, zamknęła drzwiczki i znowu przetarła blat.

- Wiem, że Sara chciałaby, żebym się nimi zajął, nie sądzisz?

Pokręciła głową, ponieważ wcale tak nie sądziła.

- To sprawa rodzinna i zapewne przeżywa się to z najbliższymi. - Musiała na niego spojrzeć, choćby dlatego, że wyraz jego twarzy mógł pomóc jej to lepiej zrozumieć.

- Tak, ale chodzi o to, żeby ich poinformować. Niewiele jest do przekazania, ale zawsze. Mogę im powiedzieć... my możemy im powiedzieć. Tak byłoby łatwiej. Postęp jest, prawda? Tak się przynajmniej wydaje. Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli zrobimy to oboje. Ale może...

- Dobrze. - Faith omal się nie popłakała, ale tym razem wiedziała, z jakiego powodu. To była ulga. - Pojadę z tobą porozmawiać z rodzicami Sary.

Faith stała obok Willa ze wzrokiem wlepionym w cyfry nad drzwiami windy. Nie mogłaby zliczyć, ile razy była w mieszkaniu Sary. Tylko z pięciorgiem ludzi na ziemi mogła zostawić swoją córkę.

Drugą osobą po Evelyn na liście nie był ani ojciec Emmy, ani meksykańska babcia, ani nawet jej starszy brat. Faith zawsze korzystała z okazji, gdy mogła zostawić córkę pod opieką dyplomowanej pediatry.

Łzy napłynęły jej do oczu. Głęboko zanurzyła się w tej sprawie, ponieważ to był najlepszy sposób, by pomóc odnaleźć Sarę. Dzięki temu nie zadreślała się ustawicznie myślami, że Sara może zostać skrzywdzona. Zgwałcona. Torturowana. Ranna. Zamordowana.

Gdyby tak się stało, jak wyjaśni to Emmie?

Gdy drzwi windy się otworzyły, Faith otarła łzy. W domu pozwalała sobie na płacz w spiżarni. Wiedziała, że jeśli ma przez to przejść bez publicznego załamania się, to musi to zrobić jak najszybciej.

Weszła do holu i zapukała do drzwi.

W mieszkaniu toczyła się rozmowa między dwiema kobietami. Miały podobne głosy i sposób mówienia. Faith poczuła ściskanie w gardle.

Jedna z nich brzmiała zupełnie jak Sara.

- Will? - Kobieta, która stanęła w otwartych drzwiach, wyglądała na zaskoczoną. Miała na sobie dresowe spodnie i biały Tshirt, była boso i bez stanika. Spontanicznie objęła Willa i wtuliła mu twarz w szyję. - Bardzo mi przykro, że spotykamy się w takich okolicznościach.

Faith nie potrafiła powiedzieć, czy Will zna tę kobietę, czy nie. Na pewno nie wiedział, co zrobić z rękami. Ostatecznie dotknął palcami jej łopatek.

- Nie mamy żadnych nowych wieści - oznajmił.

- To chyba dobrze, prawda? W tej sytuacji „nic” jest chyba lepsze niż „coś”? Ty jesteś Faith? - Kobieta wyciągnęła do niej rękę. - Jestem Tessa, siostra Sary.

Faith poczuła się idiotycznie, bo od razu powinna się tego domyślić. Tessa musiała wskoczyć do samolotu natychmiast po otrzymaniu

informacji o siostrze. Podróż z Południowej Afryki była wyczerpująca, ale Tessa nie wykazywała żadnych oznak zmęczenia. Sara była atrakcyjna, lecz jej młodsza siostra okazała się wręcz zniewalająca. Idealna porcelanowa cera i lśniące jasnorude włosy... Była w wieku Faith, ale wyglądała o niebo lepiej. Kobięce piersi nie miały prawa sterceć tak wysoko po urodzeniu dziecka! A jednak...

- Wejdźcie. - W głosie Tessy wyczuwało się miękki południowy akcent. - Przepraszam, że nie przedstawiłam się, jak należy. To przez jet lag i... Zamknij drzwi, Will. Mamo, zobacz, kto przyszedł.

Cathy Linton zmywała naczynia, a na widok Faith skinęła jej lekko na powitanie.

- Sara opowiadała mi o tobie. Boże, przystojniak z ciebie. Ale to... - Tessa pogładziła Willa po policzku - na pewno jej się nie spodoba.

Poczerwieniał pod warstwą zarostu i powtórzył:

- Nie mamy żadnych nowych wieści.

- Chcieliśmy przekazać wam informacje o aktualnym stanie śledztwa - doprecyzowała Faith.

- Musieliśmy wyłączyć telewizor, bo plotą tylko bzdury - powiedziała Tessa. - Poczekamy na tatę. Dobrze, mamo?

- Dobrze - odparła niechętnie Cathy.

- Wyszedł z psami - wyjaśniła Tessa. - Ta mała sunia jest cudna. Mamo, lubisz Betty, prawda?

Cathy nie odpowiedziała. Zachowywała się jak skunks, który nie przestaje pryskać na Willa cuchnącą wydzielinę.

Will odchrząknął.

- Muszę wziąć trochę rzeczy - powiedział.

Tessa odprowadziła go wzrokiem. Kiedy zniknął za drzwiami sypialni, odczekała jeszcze kilka sekund i zwróciła się do matki:

- Co ty wyprawiasz, do cholery?

Cathy zignorowała ją i spytała Faith:

- Napijesz się kawy?

- Ja... - Faith czuła się jak między młotem a kowadłem. - Nie, dzięki...Cathy już napełniała kubek. Wyjęła drugi z szafki.

- Przypuszczam, że on dodaje śmietanki?

- On pije... - Tessa i Faith powiedziały to jednocześnie.

- Will pije rano gorącą czekoladę - dokończyła Tessa.

Cathy zmarszczyła gniewnie brwi.

- Nie ma sześciu lat. Nie może pić czekolady na śniadanie - powiedziała.

- W drodze do pracy je krakersa, a potem kupuje burrito w automacie w pracy - wyjaśniła Tessa.

- I to niby lepiej?

Faith modliła się w duchu o czapkę niewidkę.

- Powiedz mi - Cathy wycelowała palec w stronę Tessy - skąd tyle wiesz o dziecie tego człowieka?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

Faith udawała zainteresowanie wystrojem przestronnego salonu Sary.

- W tej chwili musimy trzymać się razem jako rodzina, a on nie jest naszą rodziną.

- Mamo, na miłość boską, tylko siebie posłuchaj. Nawet nie potrafisz wymówić imienia Willa.

- Nie przypominam sobie, żebyś po pięciu latach studiów humanistycznych zdobyła certyfikat psychoterapeuty.

Faith zapadła się na kanapie i otworzyła czasopismo pediatryczne leżące na stoliku kawowym.

- Właśnie przez takie twoje zachowanie Sara nie rozmawia z tobą o nim - powiedziała Tessa.

- To nie...

- Jeszcze nie skończyłam - przerwała jej Tessa. - Przez półtora roku robiłaś wszystko, żeby go od Sary odsunąć, bo...

- ...bo wciąż był żonaty - dokończyła Cathy. - Jeśli mężczyzna



zdradza żonę, to...

- Will jest dobrym człowiekiem. Bardzo dobrym człowiekiem.

- Gdyby tak było, gdyby naprawdę ją kochał, poprosiłby ją o rękę. Wspólne mieszkanie do niczego jeszcze nie zobowiązuje. To nie jest prawdziwy związek, to spanie pod jednym dachem z seksem w pakiecie.

- Och, mamó, ja pierdolę.

- Właśnie.

Faith oddała się lekturze artykułu: „Rumień palców wywołany działaniem *mycoplasma pneumoniae*”.

- Mamó, nie uchronisz Sary przed życiem - perswadowała Tessa. - Odpychasz Willa, bo panicznie się boisz, że ją opuści, złamie jej serce albo zdradzi, czy też pewnego dnia pójdzie wyjąć korespondencję ze skrzynki i... - Przestań.

Tessa zamilkła, ale tylko na chwilę.

- Sara wybrała Willa, dlatego wszedł do naszej rodziny. Nauczyłaś nas tej zasady, więc sama zacznij się do niej stosować.

Faith znowu zaczęła modlić się w duchu, by cisza, która zapadła, oznaczała koniec tego koszmaru.

- Dobrze - odezwała się Cathy, chociaż w tonie jej głosu nie było pojednawczych nut. - Ty jesteś ekspertką, mądralo. Co według ciebie mam zrobić? Co uszczęśliwiłoby Sarę? Przyjęcie na jego cześć? Adoptowanie go?

Ciężkie westchnienie Tessy wskazywało, że właśnie się poddała.

- Zrób mu chociaż tej przeklętej gorącej czekolady.

Faith usłyszała odgłos stawiania rondla na kuchni. Syk gazu. Otwieranie i zamykanie szafek. Drzwi lodówki zostały otwarte z takim impetem, że butelki w środku zabrzęczały.

Ukradkiem rzuciła okiem na obie kobiety. Cathy nalewała mleko do rondelka. Tessa stała ze skrzyżowanymi ramionami wpatrzona w drzwi wejściowe. Jedyne, co mogło pogorszyć sprawę, to

wznowienie kłótni.

Co Will porabiał w sypialni tak długo?

Wyjęła z torby telefon i wysłała mu wiadomość:

*GDZIE QRWA JESTES???*

Raport doręczenia przyszedł natychmiast, ale Will nie odpowiedział. Faith była pewna, że słyszał kłótnię, bo matka i córka nie ściszyły głosów. Pewnie wychodził teraz przez okno. Jedyne, czego nie znosił bardziej niż opowiadanie o własnych uczuciach, to słuchanie innych, gdy mówią o swoich uczuciach.

Trzasnęły drzwiczki szafki, potem mleko wróciło na swoje miejsce w lodówce.

Faith oparła łokcie na kolanach i otworzyła pocztę. Było to co zwykle: prośby o dokumenty, pytanie z biura prokuratora stanowego. Amanda nie przysłała jej listy rzeczy do zrobienia, co należało uznać za cud. Wraz z zespołem zajmowała się logistyką spotkania Willa na stacji Citgo. Studiowała mapy, skarbowe rejestry karne, granice nieruchomości. To, co zdarzyło się wczoraj w parku, nie mogło się powtórzyć. Amanda miała prowadzić jeden z wozów pościgowych, a Faith chciała jej towarzyszyć.

Frontowe drzwi się otworzyły i Betty zaszczekała dwukrotnie, potem zakręciła młynka pośrodku pokoju. Dwa charty Sary wbiegły truchtem do kuchni i rzuciły się do misek z wodą.

Faith dotąd nie spotkała ojca Sary, ale zupełnie inaczej wyobrażała sobie Eddiego Lintona. Pierwsze, co rzuciło jej się w oczy, to krzaczaste brwi sterczące na wszystkie strony. Potem dzinsy z obciętymi nogawkami. Spod ich postrzępionych brzegów wyglądały białe kieszenie. Miał mocno owłosione nogi. Tshirt raczej pożółkły niż biały z dziurkami w kołnierzyku. I rozpadające się buty do tenisa.

- Tato, to Faith, przyjaciółka Sary - przedstawiła ją Tessa.

Faith wstała, by uścisnąć mu dłoń.

- Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach.

Skinął głową.

- Wiele o pani słyszałem. Pani córka ma na imię Emma, tak?

- Sara jest jej ulubioną opiekunką - powiedziała Faith i uprzedzając jego pytanie, dodała: - Nie mamy żadnych nowych wieści, ale chcieliśmy przekazać informację o naszych działaniach.

- My? - zapytał Eddie.

Betty znowu szczerknęła, gdy na korytarzu stał Will. Jego zboląła mina świadczyła, że dokładnie wysłuchał kłótnię. Miał na sobie czarną koszulę i czarne dżinsy, na nogach ciasno zasznurowane glany, a na ramieniu torbę sportową. Wyglądał jak włamywacz. Taki, który zamordowałby człowieka dla biżuterii po babci.

- Może usiądziemy? - Faith chciała jak najszybciej mieć tę rozmowę z głowy.

W salonie stały dwie kanapy. Rodzice Sary stali naprzeciwko Faith. Tessa siedziała skulona na jednym końcu kanapy. Cathy postawiła na stoliku kubek z gorącą czekoladą i zajęła miejsce na drugim końcu.

Eddie stał pośrodku. Czekał, aż Faith usiądzie.

Zaczerpnęła powietrza, gotowa zacząć.

- Chwileczkę - rzucił Eddie i machnął do Willa. - Podejdz, synu.

Podeszwy butów Willa zaskrzypiały na drewnianej podłodze. Usiadł obok Faith. Zauważyła, że skrzywił się lekko, odchylając się do tyłu. Betty natychmiast wskoczyła mu na kolana i umościła się na jego nodze.

Cathy przesunęła kubek w stronę Willa. Wyglądał na dezorientowanego tym gestem.

- To gorąca czekolada - wyjaśniła Tessa. - Założę się, że nigdy nie piłeś prawdziwej. Sara ma drugi fakultet z chemii organicznej, ale nie umie gotować mleka.

By ją uciszyć, Eddie dotknął jej nogi i zwrócił się do Faith:

- Proszę mówić.

Wzięła kolejny głęboki wdech i zaczęła:

- Dziękuję, panie Linton. Najpierw muszę wam podziękować, że nie rozmawialiście z mediami. Wasze milczenie to jeden z niezbędnych warunków, by nasze śledztwo się powiodło.

Stoicki wyraz ich twarzy powiedział Faith, że ten wstęp był im zupełnie niepotrzebny.

Wzięła trzeci głęboki wdech. Nie mogła zdradzić szczegółów wiadomości zaszyfrowanej przez Sarę w liście leków, ale mogła powiedzieć to: - Mamy potwierdzenie, że wczoraj rano Sara nadal żyła.

Eddie przycisnął dłoń do serca. Żona i córka przysunęły się do niego z obu stron. Wszyscy ujęli się za ręce.

- Co to za potwierdzenie? - zapytała Tessa.

- Wolno mi tylko powiedzieć, że Sara robi wszystko, co w jej mocy, by do was wrócić.

Eddie pokiwał głową, jakby właśnie tego się spodziewał.

- To sprytna dziewczyna. Wie, jak o siebie zadbać.

Cathy zacisnęła usta. Wbiła wzrok w blat stolika kawowego.

- Powiedziałaś, że dostaliście potwierdzenie wczoraj rano. Od tamtej pory nic? - zapytała Tessa.

- Nic, ale nie spodziewaliśmy się kolejnej wiadomości. Uważamy, że znamy nazwę grupy, która ją uprowadziła.

- Grupy? - powtórzyła Tessa. Miała to samo spojrzenie co Sara, gdy zaczynała kojarzyć fakty. - Wystąpili już z żądaniem okupu? Przesłali dowód życia? Jeśli chcą pieniędzy, zdobędziemy je. Dlaczego nie...

- Tessie - upomniał ją Eddie. - Daj Faith odpowiedzieć na twoje pytania.

- To nie jest taka grupa. Nie porwali jej dla okupu - odparła Faith.

- Więc czego chcą? - dopytywała Tessa. - To, co mówisz, nie ma dla mnie sensu. Porwała ją jakaś grupa, ale dlaczego? Czy to ma związek z bombami w Emory? Co z tą drugą zaginioną lekarką? Pracowała w CDC, a kampus w Emory mieści się przy tej samej ulicy.

- Doceniam pytania, ale nie mogę na nie odpowiedzieć. - Faith starała się jak najszybciej mieć to już za sobą. Tessa była równie bystra jak jej siostra. - Żadna z tych informacji nie jest znana opinii publicznej i tak musi pozostać. Nie chcecie na pewno usłyszeć tych pytań zadawanych w mediach i serwisach informacyjnych.

- Do grobu nas wpędzą swoimi bezużytecznymi spekulacjami - stwierdził Eddie.

- Błagam, nie mówmy o grobach - odezwała się cicho Cathy.

Tessa spojrzała w okno. Łzy potoczyły się jej po policzkach.

Faith podjęła kolejną próbę:

- Zostałam upoważniona do tego, by przekazać wam, że opracowujemy plan, który ma doprowadzić do zlokalizowania miejsca pobytu Sary.

- Plan... - Tessa z namysłem spojrzała na Willa, na jego ubranie i brodę. Wyglądało na to, że Sara niczego nie ukrywała przed siostrą i wyjawiała, że Will często pracuje pod przykrywką. Że naraża życie dla ratowania innych. Że wraca do domu z ranami i krwiami, a następnego ranka wychodzi i robi to samo.

- To niebezpieczne? Ten wasz plan? - zapytała.

- Wszystko, co robimy... - zaczęła Faith.

- Nie - Tessa weszła jej w słowo. - Pytam Willa. To niebezpieczne?

- Nie. To nie jest niebezpieczne - odparł.

Jednak Tessa nie dała się zbyć:

- Nie sądzę, by Sara chciała, żeby ktoś ryzykował dla niej zdrowie czy życie. Rozumiesz, co mówię? Uważałyby, że nie warto.

Will zignorował tę uwagę. Drapał Betty za uszami, w ten sposób wycofując się z rozmowy.

- Kiedy będzie wiadomo, czy plan się powiódł? - zapytał Eddie.

- Tego nie mogę powiedzieć. - Faith i tak już powiedziała za dużo. - Nie chcę was zwodzić, nigdy nie ma stuprocentowej gwarancji powodzenia. Ale musicie wiedzieć, że robimy wszystko, co w naszej

mocy. Sara wiele dla nas znaczy jako koleżanka, jako przyjaciółka... - Nie ciągnęła tej wyliczanki. - Wszyscy chcemy ją odzyskać.

- Tak, ale nie chcemy, by ktoś przy tym ucierpiał - stwierdziła Tessa.

Faith skinęła głową, lecz nie na znak zgody. Ponieważ chodziło o Sarę, sprawa nabrała wymiaru osobistego, ale niebezpieczeństwo było wpisane w ich pracę. Faith w pełni zdawała sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmuje, codziennie przypinając odznakę.

- Dobrze, dziękuję. - Cathy nie puszczała dłoni męża. - Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałabym teraz pomodlić się z rodziną.

- Oczywiście. - Faith wstała i zarzuciła torbę na ramię.

Will nie był w stanie podnieść się tak szybko. Przycisnął Betty do piersi i przesunął się do krawędzi kanapy. Skwitował swoją ślamazarność nieoczekiwanym wybuchem nerwowego śmiechu.

- Will? - Cathy wyciągnęła do niego rękę. - Zostań.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

WTOREK, 6 SIERPANIA, GODZINA 12:40

Sara robiła wypadki dookoła izby, podciągawszy prowizoryczną togę z prześcieradła. W głowie tłukły jej się nieustannie słowa piosenki „Baby Got Back”. Tak naprawdę nie miała tyłka, pomyślała jednak, że gdyby się pojawił, to Will by go docenił, więc do zestawu codziennych ćwiczeń zaczęła dodawać dziesięć minut przeznaczonych wyłącznie na ćwiczenie mięśni pośladkowych. Jednak z marnym skutkiem, bo przemiana wody w wino nie nastąpiła.

Była żona Willa miała pupę jak trzeba. I biodra. I wszystko inne. Angie wyglądała jak Jennifer Lopez w wideoklipie do piosenki „Ain't Your Mama”, chociaż nigdy w życiu nie ćwiczyła. Miała geny, które rozkwitały karmione chipsami i tanim winem, chociaż i tak wraz z upływem czasu narastający deficyt kolagenu doprowadza takie kobiety do upadku. I to w sensie dosłownym, bo tego rodzaju skóra wyglądała świetnie tylko do czasu, aż zaczyna wiotczeć i opadać. Poza tym Sara obiektywnie mogła stwierdzić, że ma lepsze piersi niż Angie, chociaż i tak „pośród ślepców jednooki królem”.

- Co za głupoty - mruknęła i dała sobie spokój z ćwiczeniami na pupę.

W ścięgnach podkolanowych czuła mrowienie. Straciła poczucie czasu. Burczało jej w brzuchu, chociaż nie wiedziała, czy to pora lunchu. Wegetariańskie śniadanie składało się z twardej bułeczki i jeszcze twardszego kawałka sera. W dającej się przewidzieć przyszłości dyzenteria jej nie groziła. Czuła, że na zewnątrz temperatura rośnie, a w środku chata coraz bardziej przypominała piekarnik nagrzewany palącymi promieniami słońca, przez co zalewała się potem.

Najgorsze, że dzieci w baraku potrzebowały jej pomocy.

Antybiotyki i maści dotarły wczoraj wieczorem. Tabletki były w woreczkach strunowych, a nie w zapieczętowanych buteleczkach, ale Gwen zapewniła ją, że leki są prawdziwe.

Owszem, zapewniła, jednak wątpliwości nie rozwiała.

Dzisiaj rano Sara oczekiwała, że może nawet u większości dzieci stan zdrowia się ustabilizuje, a przynajmniej dojdzie do przesilenia, niestety badania chorych wykazały coś przeciwnego. Stan Benjamina pogorszył się, a u najstarszej pacjentki, dwunastoletniej dziewczynki, pojawiły się nowe symptomy. Stan dwóch czterolatek nie uległ zmianie, stabilne były tylko jedenastolatka i dziesięciolatka.

Czy stała za tym Gwen?

Wczoraj w Konstrukcji udowodniła, że nie będzie marnować medykamentów na pacjenta, który według niej nie ma szans na wyzdrowienie. Sara mogła tylko bezradnie patrzeć, jak gołymi rękami morduje młodego chłopaka. Obraz jej drżących ramion, gdy całą swoją wagą napierała na nos i usta Tommy'ego, wrył się jej w pamięć. Ciągle czuła na dłoniach chłód jego palców, kiedy w końcu życie z niego uszło, przerwane tak brutalnie i gwałtownie.

Adriel, najmłodsza córka Gwen, była w grupie najbardziej chorych dzieci. Infekcja w lewej siatkówce objęła też prawą. Z powodu obustronnego zapalenia płuc jej oddech brzmiał jak szelest suchych liści. Sara jednak nie posądzała Gwen, by mogła świadomie dopuścić do uduszenia się córki.

Z drugiej strony to właśnie jej ojciec stworzył NAP, a ona urodziła Dashowi siedmioro dzieci. Wiedziała o wszystkim, co dzieje się w Obozie. Wyglądało na to, że kieruje kucharkami, sprawuje kontrolę nad dziećmi, do tego publicznie dawała wyraz swojej niechęci do Sary.

To oznaczało, że Sara powinna wzmóc czujność. Dash był strasznym człowiekiem, ale mężczyźni bywali straszni



w przewidywalny sposób.

Rozwścieczona kobieta była zdolna do wyrządzenia krzywdy psychicznej, której skutki trwały o wiele dłużej niż gojenie się ran fizycznych.

Zza drzwi dobiegło głośnie kliknięcie.

To nie był dźwięk otwieranej kłódki. Uruchomił się generator w szklarni. Sara słuchała tłumionego szumu silnika wydmuchującego spaliny. Hałas dochodził stamtąd przez całą noc. Ilość ciepła wydzielanego przez to urządzenie była trudna do ukrycia przed helikopterem penetrującym okolicę, co groziło dekonspiracją. Albo też, pomyślała Sara, cokolwiek dzieje się w szklarni, zbliża się ku końcowi.

Musiała dostać się do środka.

Rozważała wszelkie złe scenariusze powiązane z tym miejscem. W tych górach na pewno można uprawiać marihuanę. Rzeki dostarczały odpowiedniej ilości wody do upraw hydroponicznych, ale generator musiałby pracować na okrągło, by zasilać lampy, wentylację i system kontroli wilgotności. Gdy weźmie się pod uwagę, że jest to nielegalny i zagrożony wysokimi karami proceder, ryzyko stawało się zbyt duże w porównaniu ze spodziewanymi zyskami.

Bardziej prawdopodobnie brzmiało przypuszczenie, że w szklarni produkowano bomby. Konstrukcja, w której Tommy uległ wypadkowi, imitowała prawdziwy budynek. Trudno powiedzieć, jaki konkretnie, ale co najmniej dwupiętrowy z balkonem ze schodami pośrodku, które rozchodziły się w prawo i w lewo. Sara wiedziała, że mężczyźni, którzy trenowali wewnątrz Konstrukcji i przygotowywali się do misji, byli przekonani, że prowadzą wojnę. Może Dash planował tajną operację, podczas której mieli wślizgnąć się do jakiegoś budynku, podłożyć kilka bomb, wymknąć się i czekać na spektakularny i niszczycielski efekt.

Co wyjaśniałoby istnienie Konstrukcji, lecz nie szklarni i namiotu

termoizolacyjnego, ponieważ do produkcji materiałów wybuchowych nie potrzeba osłoniętego szklanego budynku. Wystarczyłaby naprawdę niewielka przestrzeń. Można uznać za pewnik, że w tej chwili wielu ludzi w różnych miejscach świata konstruowało w piwnicach, garażach oraz mieszkaniach pasy szahida i ładunki wybuchowe.

Michelle nie pasowała do tego schematu. Była specjalistką w dziedzinie chorób zakaźnych. Dash nie uprowadził jej przypadkowo. W CDC badali najgroźniejsze wirusy, w tym również takie, o których wiedziała tylko wąska grupa specjalistów.

A może tylko i wyłącznie Michelle Spivey.

Chemik amator mógłby zsyntetyzować wiele paskudnych biologicznych substancji, ale wykorzystanie ich to całkiem inna sprawa. Przechowywanie, transport i dostarczenie na odpowiednio przygotowane miejsce odbioru nie było czymś prostym i łatwym. Tego typu logistyczne problemy sprawiały, że terroryzm biologiczny był bardzo trudny w realizacji, może nawet niewykonalnym dla ludzi spoza kręgów rządowych. O wiele taniej było skonstruować bombę i zmagazynować sporą ilość amunicji.

Dash już udowodnił, że umie skonstruować i zdetonować bomby, przez co giną ludzie, jak to stało się w szpitalu. Sara widziała zadowolenie na jego twarzy, gdy w telewizji podawano uaktualnioną liczbę ofiar.

Zadowolenie, lecz nie radość.

Do Sary wróciło to samo pytanie, jakie zadawała sobie od wczoraj: co planuje Dash?

Zaczęła analizować swoje obserwacje na jego temat. Na pewno miał zdolności przywódcze i organizacyjne, były to jego cechy nadrzędne, prymarne. Obóz nie powstał z dnia na dzień, nie doszło do tego na skutek spontanicznej decyzji. Najpierw skryształizowała się idea wspólnoty, potem został stworzony podporządkowany jej

i długofalowy plan, który z czasem wcielił się w życie. I tak powstała świetnie zorganizowana wspólnota. Dwie oddzielone strefy. Szklarnia. Konstrukcja. Łatwo dostępne jedzenie. Stroje kobiet i mężczyzn. Całkowite posłuszeństwo członków wspólnoty zwolenników wobec przywódcy. Ścisłe przestrzeganie zasad.

Zasad ustanawianych przez Dasha.

Potrafił tworzyć skuteczne strategie i długoterminowe plany, co większości przestępców stwarza o wiele większe kłopoty, niż w powszechnej opinii mogłoby się zdawać. Poza tym przekroczył trzydziestkę, jedną z najważniejszych cezur w życiu przestępcy. Sara dawała mu około czterdziestu pięciu lat. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto odebrał staranne wykształcenie, ale reprezentował ten typ inteligencji, który doskonale się sprawdzał w realizacji tak bardzo specyficznego celu. Nie można przekonać grupy ludzi do rezygnacji z dobrodziejstw współczesnej cywilizacji, jeśli nie dysponuje się sporą dozą inteligencji emocjonalnej. Za tym musi iść wysoki poziom arogancji. Ludzie nie wierzą człowiekowi, jeśli on sam nie przekona ich, że wierzy w siebie.

Sara usiłowała wpasować Gwen do tego równania. Niechętnie przypisywała innym kobietom cechy lady Makbet, ale w Gwen od początku wyczuwała coś złowieszczonego. Miała swój udział w wybuchu epidemii odry, używała Biblii do straszenia dzieci, wykazała bezduszny brak poszanowania dla życia. Sara wątpiła, czy Gwen nadaje się na pielęgniarkę, skoro bez żadnych oporów moralnych i skutecznie wykonywała brudną robotę dla Dasha i za Dasha. Wystarczyło przyzwalające skinienie głowy męża, by po jego odejściu udusiła Tommy'ego.

Sara z łatwością wyobrażała sobie, jak Gwen przymilnością i pochlebstwami popycha Dasha ku coraz bardziej spektakularnym aktom terroryzmu. Nie wątpiła, że każdy szczegół jego planu zyskał jej akceptację.

Może nawet sama dodała do niego kilka budzących grozę elementów.

Tylko co planował Dash?

Zaczęła chodzić po izbie, tym razem dla poćwiczenia mózgu, nie mięśni pośladków.

Po jedenastym września eksplozje i bomby nie zagościły na stałe w życiu przeciętnych Amerykanów, jednak nie były też czymś tak całkiem niespodziewanym. Przerażenie i szok, wywołane każdym kolejnym atakiem, stopniowo traciły na intensywności. Amerykanów nadal przerażały masowe zabójstwa, strzelaniny w miejscach publicznych i w szkołach, ale dość szybko się z tego otrząsali i wracali do codziennego życia, aż do następnej informacji o kolejnym ataku.

Sara przypuszczała, że Dash zdaje sobie sprawę z malejącego efektu krwawych aktów przemocy. Przy tym za każdym razem, kiedy próbowała rozumować jak on, dochodziła do wniosku, że najbardziej zależy mu na sławie.

Co kierowało jej myśli z powrotem ku Michelle.

I powracał motyw spektakularnie skutecznego ataku biologicznego.

Jeśli ktoś chciał wzbudzić w ludziach autentyczne przerażenie, to wąglik z jego dziewięćdziesięcioprocentową skutecznością wydawał się wysoce odpowiedni. Wąglikowe ataki w USA w dwa tysiące pierwszym roku sparaliżowały pocztę i część administracji państwowej. Endospory można rozpylić w aerozolu, ale ludzie nie zarażaliby się wąglikiem od siebie. Poza tym z powodu wcześniejszych ataków znalezienie źródła szczepu bakterii stało się praktycznie niemożliwe.

Inną ewentualnością był popularny botoks, czyli jad kiełbasiany, ale zdobycie go wiązałoby się z koniecznością włamania do wszystkich gabinetów chirurgów plastycznych w kraju, a zdobyta ilość tej substancji wystarczyłaby do uśmiercenia zaledwie garstki ludzi.

I każdej z tych osób należałoby wykonać osobny zastrzyk, więc...

Sara krążyła po izbie. Jej mózg pracował na najwyższych obrotach.

W myślach odświeżała podstawową wiedzę o tym, jak natura może cię zabić, zdobytą na studiach medycznych. Riketsje. Buniawirusy. Wirus Marburg. *Chlamydia psittaci*. Wszystkie niezwykle groźnie i prawie niemożliwe do wykorzystania jako broń. Szczepionki, antybiotyki i procedury kwarantanny chroniły przed rozprzestrzenianiem się wirusów i bakterii wśród licznej populacji.

Dashowi zależało na skali rażenia.

Istniały tak zwane bioczynniki, wśród nich rycyna, enterotoksyna gronkowcowa typu B, toksyna otulinowa, saksytocyna i mnóstwo mykotoksyn, lecz posiadanie, przenoszenie i użycie tych substancji było ściśle regulowane i kontrolowane przez specjalną agencję. Jednak taka agencja wcale nie była konieczna do tego, by powstawały toksyny, bo większość z nich można pozyskać w zwykłej kuchni, więc sekretna szklarnia wcale nie była do tego potrzebna. Poza tym do osiągnięcia spektakularnych efektów naprawdę nie potrzeba wymyślnej toksyny.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku radykalny odłam sekty Rajneesha bez trudu wyprodukował taką ilość *Salmonella enterica Typhimurium*, że wystarczyło do zatrucia siedmiuset pięćdziesięciu osób w stanie Oregon. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim w Chicago niezidentyfikowany dotąd truciciel zaprawił kapsułki z tylenolem cyjankiem potasu. Po tym ataku na zawsze zmienił się sposób pakowania leków.

Sara rozmyślała nad Konstrukcją, w której zginął Tommy. Dwie kondygnacje. Otwarta przestrzeń główna, balkon na całej długości piętra. Schody pośrodku.

Czy węglika można umieścić w klimatyzacji?

Gdyby tak było, ktoś już by tego próbował.

Bakteria legionelli występowała naturalnie w ciepłej wodzie.

Nie przenosiła się z człowieka na człowieka, zarażenie się nią było loterią, poza tym śmiertelność u osób zarażonych wynosiła tylko około dziesięciu procent.

- Cholera - powiedziała do siebie Sara.

Wróciła do punktu wyjścia.

Zatrzymała się. Czowała, że za chwilę dostanie skurczu mięśni. Nie była w stanie zrobić kolejnych wypadów. Wyleciały jej z głowy słowa wszystkich piosenek prócz tej o kelnerce w barze. Tylko Will mógł jej podać tytuł piosenki. Zanuciłaby ją, on by stwierdził, że to do niczego niepodobne, a na koniec i tak zgadłby tytuł.

Przycisnęła palce do oczu.

Nie mogła sobie pozwolić na kolejny atak płaczu. Faza tęsknoty za Willem minęła, Sara wróciła do zamartwiania się o niego. Czy widział serduszko, które narysowała dla niego w motelu? Czy dowiedział się o szyfrze ukrytym w liście leków?

Tessa powinna być już w Atlancie. Sara chciała, by siostra go wsparła. Nikt nigdy go nie wspierał. Sara chciała, by Tessa zapewniła go, że wszystko będzie dobrze. Chciała - bardzo tego potrzebowała - by matka przyjęła Willa do rodziny, która będzie go chronić, ponieważ z każdą godziną Sara była coraz bliższa pogodzenia się z faktem, że więcej swoich bliskich nie zobaczy.

- Szefie. - Zza drzwi dobiegł głos Lance'a. Sara usłyszała, jak podnosi się z belki, na której siedział. Od dwóch dni pilnował jej bez chwili przerwy.

Jak zwykle Dash odpowiedział mu za cicho, by mogła wychwycić słowa. Jego szepty wzmogły w niej tęsknotę za niskim męskim głosem Willa.

- Tak jest - odpowiedział Lance.

Sara wsłuchiwała się w dźwięk klucza wsuwanego do zamka w kłódce. Niecierpliwie czekała na przechadzkę, jak jej psy, gdy wracała po pracy do domu.

W końcu rozległ się szcęk kłódki i drzwi się otworzyły. Dash stał na kłodzie, która służyła za stopień. Miał przekrzywiony temblak. Ręka wisiała mu za nisko.

- Doktor Earnshaw, za chwilę idę na lunch z rodziną. Moje córki bardzo proszą, żeby zjadła pani z nami.

Sara miała ochotę ucałować każdą z jego córek.

Poprawiła togę i wyszła z chaty na słońce. W zetknięciu z rozpalonym powietrzem pot zaczął odparowywać ze skóry. Porzuciła już tęsknotę za czystym ubraniem. W tej chwili marzyła tylko o zanurzeniu się wraz z głową w przejrzystej wodzie.

Dash poprawił temblak. Węzeł zostawił ślad na jego szyi.

- Słyszałem, że dzieci nie reagują na pani troskę i starania - zagadnął.

- Nie reagują na leki - odparła Sara. - Jest pan pewien, że są legalne i oryginalne? Czarny rynek nie zawsze...

- Doceniam pani troskę, doktor Earnshaw. Nasze źródło nie sprzedałoby nam podrobionego towaru.

„Nasze źródło”.

Sara zachodziła w głowę, czy tym źródłem jest Beau. Czy siedzi już w areszcie? Czy Will wie, że ona staje na głowie, by do niego dotrzeć?

- Powoli! - zawołał Dash.

Lance się potknął. Sara przyjrzała mu się bacznie, gdy odzyskiwał równowagę. Jej strażnik wyglądał jak żywy trup. Błady, z opadającymi powiekami, krótkim i płytkim oddechem. Przez całą noc słyszała, jak biega do swojej prowizorycznej toalety. Powinien jechać do lekarza. Dyzenteria zabijała w ciągu roku około stu tysięcy ludzi na świecie.

- Gwen mówi, że Adriel miała niespokojną noc - powiedział Dash.

- Martwię się, że u dzieci rozwijają się objawy wtórne. To jakiś rodzaj infekcji wirusowej albo bakteryjnej. - Odruchowo pochyliła się, gdy wyciągnął rękę w jej stronę, ale Dash chciał tylko odsunąć

wiszącą nisko gałąź. – Chciałabym obejrzeć je ponownie.

– Dostanie pani tyle czasu w baraku, ile będzie pani potrzebować.

– Dziękuję. – W głosie Sary pojawiła się wdzięczność. Zależało jej na zdrowiu dzieci, ale myśl o wyjściu z chaty budziła euforię. – Najgorzej jest z Benjaminem.

– Gwen powiedziałaaby: „Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie<sup>14</sup>”.

Sara widziała na własne oczy, że Gwen nie dba o to, kto cierpi, jeśli to cierpienie ma służyć celom wytyczonym przez Dasha.

– Jeśli Bóg istnieje – ciągnął Dash – i wie o cierpieniu naszych najdroższych jagniątek, to nie jest Bogiem, jakiego szukam i chciałbym poznać.

Matka Sary uznałaby za komiczne, że jej córka podjęła polemikę teologiczną w tej kwestii.

– Bóg dał nam narzędzia, by pomóc im wszystkim, ale odmówiono im dostępu do tych narzędzi.

– Pani zadziorność jest jednym z powodów, dla których cieszę się z pani obecności u nas, doktor Earnshaw – zaśmiał się Dash.

Sara spojrzała w ziemię, by nie widział, jak przewraca oczami. Wiedziała, że w końcu nazwie ją zadziorną.

Dotarli na polanę. Czują, jak słońce pali jej odsłonięte ramię. Kobiety pilnowały garnków na otwartym ogniu. Niektóre szykowały posiłki, inne gotowały prześcieradła, ubrania i nieskończoną liczbę wielorazowych pieluch. Gwen stała z rękami wspartymi na biodrach i pokrzykiwała na przestraszone podwładne. Na jej widok Sara poczuła ściskanie w żołądku. Jeśli ta kobieta naprawdę była pielęgniarką, dobrze wiedziała, co robi, kiedy odebrała Tommy’emu prawo do spokojnego zakończenia jego krótkiego życia.

– Doktor Earnshaw, pamięta pani moje urocze młode damy – odezwał się Dash.

Dziewczynki siedziały na jednej z długich ław przy stole



piknikowym. Sara przypomniała sobie po kolei ich imiona: Esther, Charity, Grace, Hannah i Joy o Czujnym Spojrzeniu. Uprzejmie powitały ją chóralnym:

- Dzień dobry, doktor Earnshaw.

Gadatliwa Grace energicznie przesunęła się na ławce, robiąc Sarze miejsce obok siebie. Omal nie zapiszczała z radości, gdy spełniło się jej życzenie. Sara pogładziła ją po rzadkich i rozwichrzonych włosach. Zobaczyła na jej czole dwa małe wgłębienia, stare ślady po ospie wietrznej. - Dziękuję, siostry - powiedział Dash.

Kobiety odeszły od ognisk i przyniosły posiłek. Stek dla Dasha, miseczki z potrawką dla dziewczynek, a dla Sary talerz z serem, krakersami i owocami. Burczało jej w brzuchu, ale myśl o zjedzeniu kolejnej porcji sera sprawiła, że zrobiło jej się niedobrze.

- Doktor Earnshaw, gdzie pani poznała swojego męża? - zapytała Grace.

- W szpitalu, w którym pracuję - odparła bez namysłu, od razu zdając sobie sprawę, że powiedziała nieprawdę. Jeffreya poznała w szkole średniej na meczu futbolu.

To Willa poznała w szpitalu.

- W co była pani ubrana? - dociekała Grace.

- Uhm. - Czuła, że znowu się roztkliwia. Ugryzła kęs krakersa i przeżuwała go powoli, by zebrać się w sobie. - W szpitalu lekarze noszą specjalne stroje. Zielone spodnie, do nich koszulka w takim samym kolorze.

- I biały fartuch - dodała Esther. Pamiętała wczorajszą opowieść Sary o ceremonii białego fartucha.

- Tak - potwierdziła Sara. - I biały fartuch. I stetoskop. I czarne gumowe wygodne klapki, bo lekarze przez cały dzień stoją albo chodzą i bolą ich stopy.

Grace znowu nakierowała rozmowę na swój ulubiony temat:

- Miała pani suknię ślubną, kiedy wychodziła pani za mąż w sadzie?

- W sądzie - poprawiła ją Joy mentorskim tonem, jakim kiedyś Sara często zwracała się do młodszej siostry. - To miejsce, gdzie siedzi sędzia. Sędzia może udzielać ludziom ślubów.

- Papa Martin idzie do sądu - dodała Edna z poważną miną. - Sędzia zrobi coś takiego, że tata Martin nigdy nie wróci.

Dash chrząknął i z dezaprobatą pokręcił głową.

Sara powtarzała sobie w duchu, że przeanalizuje to wszystko po powrocie do chaty. „Papa Martin” to oczywiście Martin Novak, bankowy rabuś, który czekał na ogłoszenie wyroku, co miało się stać za kilka tygodni. Sara wiedziała z różnych uwag rzucanych przez Faith, że Novak spędził jakiś czas w szeregach grupy antyrządowej na południowej granicy Stanów. Jeśli był ojcem Gwen, to jej małżeństwo z Dashem legitymizowało go jako jego następcę. Oznaczało również, że Gwen nasiąkała ideologią rasistowską NAPu już od dzieciństwa.

Grace pociągnęła nosem, dając wszystkim do zrozumienia, że czuje się urażona. Wydęła usta.

- Ja tylko pytałam o sukienkę.

Sara pogładziła ją po włosach. Pomyślała o ulubionej czarnej sukience Willa. O jego uszczęśliwionym spojrzeniu, jakim ją obdarzał za każdym razem, gdy robiła się dla niego na bóstwo: układała włosy, goliła nogi, skubała brwi i wkładała wysokie obcasy.

Prawdę powiedziawszy, zawsze był szczęśliwy, kiedy robiła coś specjalnie dla niego.

- Włożyłam zwykłą sukienkę, ale tutaj - wskazała linię szyi - były naszyte ładne małe kwiatki. Mój mąż lubi... lubił, kiedy nosiłam rozpuszczone włosy, więc spływały mi na ramiona, chociaż było bardzo gorąco. Na nogach miałam wysokie szpilki, które strasznie mnie cisnęły - powiedziała, by zaspokoić ciekawość Grace.

- Jak wysokie? - To pytanie padło niespodziewanie z ust Joy, która natychmiast się zarumieniła. - To znaczy... jest pani wysoka,

a mężczyźni tego nie lubią. Tak słyszałam.

- Właściwi mężczyźni lubią - odparła Sara. Jako nastolatka przekonała się o tym na własnej skórze, kiedy czekała, aż chłopcy dogonią ją wzrostem. - Właściwego mężczyznę nie onieśmiela kobieta, która dobrze się czuje w swojej skórze.

- Amen - skwitował Dash i wysunął rękę z temblaka, by pokroić stek. Nóż miał długie ząbkowane ostrze.

Sarze przemknęło przez myśl pytanie, czy liczą tu sztuczce po uprzątnięciu stołu.

- Ja chcę mieć na swoim ślubie białą sukienkę, kwiaty i konie - oznajmiła Grace.

Joy przewróciła oczami.

- I lody - dodała Grace.

- Lody dostaniesz dzisiaj - powiedział Dash.

Po tej deklaracji dziewczynki wydały z siebie okrzyki radości. Dash zwrócił się do Sary:

- Chcemy uczcić zakończenie pewnej pracy. To co stworzyliśmy, jest naszym największym osiągnięciem. - Uśmiechnął się chytrze, wiedząc, że przykuł uwagę Sary. - Jutrzejszy dzień jest dla nas bardzo ważny.

Sara nie dała mu satysfakcji i nie zadała oczywistego w tej sytuacji pytania.

- Posłuchajcie tatusia, moje małe - zaczął Dash, nabijając ziemniaka na widelec. - Dzisiaj wieczorem musicie poświęcić nam wszystkie swoje myśli. Cieszcie się świętowaniem i lodami, ale pamiętajcie, że przed nami ważna misja. Wszystko, nad czym pracowaliśmy przez trzy ostatnie lata, ziści się jutro.

Trzy lata?

- Tatuś i jego ludzie wyjdą jutro do tego grzesznego świata i przypomną ludziom, co Twórcy Konstytucji mieli na myśli, kiedy napisali ten wspaniały dokument.

- Jeden naród poddany Bogu - powiedziała Grace.

- Właśnie - potwierdził Dash, chociaż te słowa pochodziły z przysięgi na wierność sztandarowi USA, nie z Konstytucji. - Kraj musi się opamiętać. Nadszedł czas przesłania wiadomości. Zeszliśmy z właściwej ścieżki do tego stopnia, że biali ludzie już nie znają swojego miejsca.

Wsadził do ust ziemniaka. Było jasne, że nie skończył jeszcze przemowy, ale do pełni zadowolenia potrzebował udziału Sary.

Która odchrząknęła i spytała:

- O jaką wiadomość chodzi?

Dash sięgnął po szklanę wody, zwlekając z odpowiedzią.

- Wiadomość będzie jasna i wyraźna: białego człowieka nie można pokonać. Żadna rasa nie zdoła tego uczynić. Ani żaden typ kobiety. Nikt i nic.

Sara czekała, aż objawi się prawdziwy Dash. Dostrzegła na jego twarzy pierwsze symptomy. Uwydatnienie kości policzkowych, zapal i entuzjizm w oczach.

- Ci ludzie, ci mieszkańcy próbują nas wyrugować i unicestwić. Infiltrują naszą kulturę swoją muzyką i prostymi zasadami. Wykorzystują nasze kobiety. Sprzedają im fałszywe stereotypy ich tożsamości i miejsca w społeczeństwie.

- Jak Michelle - podsunęła Edna.

- Tak! - Dash huknął pięściami w stół i maska opadła do końca. - Michelle to przykład kobiety, której egoistyczne i hedonistyczne pobudki niszczą naturalny porządek rzeczy. I dla przykładu powinna być ukarana. W tym kraju czarownice palono na stosie.

W Salem nie spalono żadnej czarownicy, pomyślała Sara. Oskarżeni o czary zostali powieszani lub zmiażdżeni kamieniami.

- To mężczyzna decyduje, co jest najlepsze dla jego rodziny. - Dash znowu walnął pięściami w stół. - Zastanówcie się, co nas tu przywiodło. Biali mężczyźni sprawujący białą władzę chronili białe

społeczeństwo przez tysiące lat.

Sara zagryzła wargi, by go nie nakręcać swoim sprzeciwem.

Dash dostrzegł jej powściągliwość. Wytarł usta płócienną serwetką, ponownie wszedł w rolę i uśmiechnął się do Sary.

- Nie jestem rasistą. Jestem za swoją rasą. Nie jestem seksistą. Jestem za swoją płcią. - Wzruszył ramionami, jakby logika tego wywodu wystarczyła za całe wyjaśnienie. - Biały mężczyzna jest spychany na margines. Nasza hojność i nasza wspaniałomyślność narażają nas na wymarcie. Oddaliśmy zbyt wiele praw kobietom, czarnym i śniadym. Skusiliśmy ich nadzieją szans, a oni zagarnęli dla siebie zbyt wiele.

Dziewczynki patrzyły na ojca, jakby wygłaszał „Kazanie na górze”, natomiast Sara odebrała to jako tandetną neonazistowską psychologię dla mas. Dash potknął się na jednej z wielu pułapek teorii kontaktu. Otóż poziom uprzedzeń spada, kiedy rozsądni ludzie tworzą ze sobą autentyczną więź interpersonalną, dlatego trudno jest podtrzymywać stereotyp o całej rasie, gdy nawiązało się bezpośredni kontakt z takim przedstawicielem tej rasy, który zadaje kłam owemu stereotypowi. Natomiast jedną z największych przeszkód do osiągnięcia porozumienia jest odmawianie grupie przeciwnej statusu równego naszej grupie.

- Doktor Earnshaw. - Dash odłożył widelec i oparł się łokciami o stół. - Jest pani wykształconą kobietą i czytała pani podręczniki do historii, z których jasno wynika, że każdy wielki skok w rozwoju, od rewolucji przemysłowej po erę cyfrową i erę Internetu aż po to, co jeszcze nastąpi, jest zasługą białych mężczyzn.

Sara natychmiast miała w zanadrzu kilka faktów zaprzeczających tezie Dasha, ale kłótnia z człowiekiem nieuznającym podstawowych prawd nie miała sensu. Kolejny słaby punkt w teorii kontaktu.

- Nawet nasza biegłość w technologii jest bronią obosieczną. Praca wykonywana przez mężczyzn staje się powoli niepotrzebna. - Dash

wycelował palec w Sarę. - Najpopularniejszym zajęciem dla mężczyzn bez studiów jest kierowanie pojazdami. Co się stanie, jeśli transport zdominują pojazdy autonomiczne? Technologia, innowacja, edukacja. Biali mężczyźni tracą pracę, przestają zarabiać i tracą godność. Kiedy kobiety kontrolują finanse domowe, mężczyźni staczają się, sięgają po alkohol i narkotyki, zostawiają rodziny, porzucają dzieci. Nie możemy do tego dopuścić.

Sara przypuszczała, że szacunek dla żony i docenianie jej w świecie Dasha nie wchodziło w rachubę.

Perorował dalej:

- Od dwustu lat amerykańscy politycy przyjmują i ugłaskują czarnych i śniadych. Republikanie, demokraci, liberałowie, niezależni... wszyscy to robią. Dajemy mieszkańcom szkoły, a oni chcą białych szkół. Pozwalamy im jeździć autobusem, a oni chcą siedzieć z przodu. Płacimy im, żeby nas zabawiali, a oni chcą wepchnąć nam do gardła swoje pieprzone poglądy.

- Tatusiu - wyszeptała Grace, jakby przeklinanie było najcięższym z jego grzechów.

- Przyjmują, przyjmują, przyjmują! - Dash rytmicznie walił pięścią w stół przy każdym słowie. - Czystej wody, czystego powietrza i jedzenia nie wystarczy dla wszystkich. Nie każdy może mieszkać w ładnym domu z wielkim telewizorem. Pozwalając tym kundlom uwierzyć, że należy im się to wszystko, co mają biali, znaleźliśmy się w punkcie zwrotnym. Nie możemy dopuścić, by przejęli od nas władzę. Kolejna luka w teorii kontaktu: strach przed konkurencją.

- Dlatego Twórcy Konstytucji przyznali prawo do posiadania i noszenia broni w Drugiej Poprawce. Dlatego możemy chwycić za broń i powiedzieć rządowi, że się myli. Biali ludzie są jedynymi, którym to prawo przysługuje. Tylko nasze życie się liczy.

Sara przygryzła wargi. Twórcy amerykańskiej konstytucji nie napisali Drugiej Poprawki. Oni tylko opracowali procedurę

wprowadzania poprawek do konstytucji.

- Nasz rząd na własną zgubę przestał czuwać nad dobrem białej rodziny. A to podstawy ekonomii. Jeśli troszczycie się o nas, wszystko inne układa się jak trzeba. Resztek wystarczy dla pozostałych. Jest pani lekarką, więc zna pani fakty naukowe. Przewaga genetyczna wyznaczyła białemu człowiekowi rolę przywódcy pozostałych ludów na świecie. Nie możemy pozwolić sobie na zredukowanie nas do roli obywateli drugiej czy trzeciej klasy.

Tego Sara nie mogła przemilczeć. W historii medycyny roiło się od bzdur. Studia nad tak zwanymi humorami, upuszczanie krwi, frenologia, kobieca histeria. W gruncie rzeczy były to raczej nieszkodliwe wariactwa, ale amerykański ruch eugeniczny, który powstał w sferach naukowych, zainspirował potworności dokonane przez niemieckich nazistów. Ciężka dysleksja Willa kwalifikowałaby go do przymusowej sterylizacji lub wręcz eliminacji fizycznej.

- Nie byłoby fajnie posmakować losu mniejszości, co? - rzuciła.

- Pani obraca to w żart, ale zarazem trafia w punkt mojego rozumowania. Białe kobiety, z ich aborcjami, antykoncepcją i karierami, egoistycznie przedkładają własny interes nad zachowanie i pomnażanie rasy. Krzyżowanie ras, mieszańcy międzyrasowi, jak zwał, tak zwał. Każdy problem, z jakim boryka się ten kraj, można sprowadzić do nadciągającej Wielkiej Wymiany.

Oczy Dasha zapłonęły przy ostatnich słowach. Sara wiedziała, skąd u człowieka tak wściekłego jak Dash, tak wyobcowanego i odizolowanego, wzięła się filozofia nienawiści traktowana jako metoda rozwiązywania problemów.

„To nie twoja wina, bracie. To wina wszystkich innych”.

- Moje panie - zaczął Dash, koncentrując na sobie uwagę córek. - Słuchajcie uważnie, ponieważ to najważniejsza lekcja, jakiej tata wam udzieli. Rasy układają się w piramidę. Na szczycie piramidy zawsze stoi biały mężczyzna. Poniżej stoi podporządkowana mu biała

kobieta, której zadaniem jest służyć tylko jednemu panu. A jeszcze niżej macie różne rasy. Nie wszyscy ludzie na ziemi są równi.

- To prawda nie jest oczywista? Myślałam, że wszyscy ludzie stworzeni są jako równi sobie. - Sara odwołała się do wersów otwierających Deklarację Niepodległości Stanów Zjednoczonych.

Dash wycelował w nią palec.

- Nie chce chyba pani polemizować z Konstytucją, doktor Earnshaw.

Sara miała ochotę westchnąć ciężko, ale się opanowała. Dash uosabiał wyobrażenie głupca o tym, jak powinien mówić człowiek inteligentny. Jego filozofia nie miała znaczenia. Jego obrzydliwy rasizm, seksizm i ksenofobia nie miały znaczenia. W tej chwili liczyła się tylko szklarnia, Konstrukcja i Wiadomość, jaką planował wysłać światu.

„Wszystko, nad czym pracowaliśmy przez trzy ostatnie lata, ziści się jutro”.

- Co pan ma zamiar z tym zrobić? - zapytała.

- Wiadomość. Prześlemy Wiadomość. Będą ofiary, wiele ofiar, a ja zawsze boleję nad stratami w ludziach, ale musimy je zaakceptować, jeśli zależy nam na prawdziwej konstruktywnej zmianie. Mieszkańcy, kundli, opiekunowie kundli plenią się jak chwasty, które od czasu do czasu trzeba usuwać. To bardzo smutne, ale taka jest naturalna kolej rzeczy. Czasem trzeba drastycznie przyciąć krzew róży, by otrzymać piękne kwiaty.

W tym kwiecistym języku Sara wyczuła groźbę.

- Jakie będą straty? - zapytała.

- Ogromne. Wątpię, by historycy kiedykolwiek ustalili rzeczywistą liczbę. - Dash znowu sięgnął po sztucę i odkroił kawałek steku. - Coś pani powiem, doktor Earnshaw. Ja dotrzymuję słowa. Powiedziałem, że panią uwolnię i mówiłem serio. Potrzebujemy świadka naszej Wiadomości. Uważam, że taka elokwentna i troskliwa



kobieta jak pani mogłaby zaprezentować przekonujące argumenty w naszym imieniu.

Sara usiłowała nie przywiązywać się do tej deklaracji.

Czy Dash dawał jej fałszywą nadzieję?

- Tatusiu, kiedy będziemy wiedzieć, że Wiadomość odniosła skutek? - zapytała Joy.

- Dowiesz się, kiedy przyjdzie czas. - Ta odpowiedź padła z ust Gwen. Stała za Edną, ściskając ją palcami za ramiona. Sroga mina matki wzbudziła strach na twarzach jej córek. - Jedzcie, bo nie dostaniecie wieczorem lodów.

Dziewczynki posłusznie chwyciły łyżki.

Gwen wytarła ręce w fartuch i usiadła na ławce. Miała tę samą potrawę co dziewczynki, ale zamiast z miski jadła z talerza. Sara zauważyła na jej dłoniach wysypkę. Wycierana fartuchem skóra była obtarta do żywego mięsa. Sara nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę z Gwen, ale zapytała:

- Co z Benjaminem? Poprawiło mu się?

Gwen zacisnęła usta w cienką linię. Już nie próbowała ukrywać wrogości wobec Sary.

- Jego los leży w rękach Pana.

- Może zmienię mu leki albo dozowanie - zaproponowała Sara. - Mogę przebadać ponownie resztę dzieci. Z chęcią pomogę je umyć, zmienić im pościel, zrobić cokolwiek, żeby poprawić im samopoczucie. Na pewno jesteś zmęczona.

- Nie jestem zmęczona. - Gwen sięgnęła po łyżkę. - Wrócisz do chaty, gdzie twoje miejsce.

- Powiedziałem doktor Earnshaw, że może spędzić w baraku tyle czasu, ile uzna za stosowne - oznajmił Dash.

Gwen zacisnęła pięść na łyżce i skrzyżowała spojrzenie z Dashem.

Czyżby zazdrość?

- Gwendolyn, pamiętajmy, że doktor Earnshaw jest tu gościem -

oznajmił. Powinniśmy skorzystać z każdej pomocy, jaką oferuje.

Tym stwierdzeniem Dash skutecznie uciszył Gwen, która manifestowała swoją złość w milczeniu. Tak szybko wkładała jedzenie do ust, że sos kapał jej po brodzie. Dzieci odczuwały jej nastrój. Niektóre dziewczynki wyglądały, jakby chciały się rozplakać. Dolna warga Grace zaczęła drżeć.

Sara zapragnęła ukarać Gwen za cierpienie, które wyrządziła.

- Dziewczynki, wiecie już, jak poznałam swojego męża. A czy wiecie, jak wasza mama poznała tatę? Założę się, że to bardzo romantyczna historia.

Łyżka Gwen zawisła między talerzem a ustami.

Sara natychmiast tego pożałowała. Owszem, pytanie miało dopiec Gwen, ale prosta matematyka sprawiała, że okazało się okrutne. Joy miała piętnaście lat. Gwen przekroczyła trzydziestkę. Dash skończył czterdziestkę kilka lat temu.

- No cóż... - Dash poprawił temblak, chociaż sposób, w jaki poruszał rękami, zdradzał, że już go nie potrzebuje. - To bardzo zabawne pytanie, prawda, moje panny?

Dziewczynki zamarły w oczekiwaniu. Najwyraźniej nigdy wcześniej nie słyszały tej opowieści z życia rodziców.

- Zakochaliśmy się w sobie w szkole średniej. Co wy na to?

Grace wydała z siebie długie westchnienie. Dla dziewczynki w jej wieku ta wersja brzmiała romantycznie, ale Grace nie brała pod uwagę różnicy wieku. Owszem, mogli się spotkać, gdyby Dash pracował w szkole, kiedy Gwen do niej chodziła, ale w uwiedzeniu nieletniej nie ma ani krzty romantyzmu.

- Papa Martin nas sobie przedstawił. Prawda, kochanie? - powiedział Dash.

Martin Novak.

Bankowy rabuś miał ponad sześćdziesiąt lat. Dash mógł być dla niego jak syn. A potem syn Novaka ożenił się z jego nieletnią córką.

- Byliśmy na plaży - ciągnął Dash, przecząc historii o spotkaniu w szkole średniej. - Wasza mama szła wzdłuż brzegu. Woda omywała jej stopy. Patrzyłem na nią pod słońce i wyglądała jak otoczona aureolą. - Puścił oko do Sary. - Od tamtej pory już jej nie zdjęła.

Sara przełknęła ślinę, czemu towarzyszyło nieprzyjemne wrażenie okruchów szkła w gardle.

- Chciałabym iść do baraku. Mogę? - zapytała.

Łyżka wypadła Gwen z ręki i wpadła do talerza z metalicznym szczękiem.

- Nie mam nic przeciwko temu, doktor Earnshaw - odparł Dash, patrząc na Gwen. - Joy, odprowadź panią doktor. Mama i ja musimy omówić plany wieczornej uroczystości.

- Dobrze, tatusiu. - Joy ruszyła w stronę baraku ze spuszczoną głową, wpatrzona w swoje stopy. Sara trzymała się kilka kroków za nią. Czują do siebie obrzydzenie. Gwen się należało, ale jej córki były niewinne. Z zasady nie sprawiała celowo ludziom przykrości. Z drugiej strony nie była też lekarką, który życzyłaby swoim pacjentom śmierci.

To jednak nie usprawiedliwiało jej zachowania. Zastanawiała się, jak przeprosić Joy. Spośród wszystkich dzieci właśnie ona była doskonale świadoma konsekwencji.

Zanim zdołała się odezwać, dziewczyna przerwała milczenie i bąknęła:

- Ona się martwi.

Sara przypuszczała, że Joy mówi o Gwen.

- O Adriel? - zapytała.

Joy pokręciła głową przecząco, ale niczego nie wyjaśniła.

- Wiesz - zaczęła Sara - dopiero teraz sobie uświadomiłam, że Benjamin jest jedynym małym chłopcem, jakiego widziałam w tej części Obozu. Jest ich więcej w drugiej części?

- Tylko mali. - Joy nadal mówiła cicho, chociaż w pobliżu nie było

nikogo. – Tatuś odsyła ich stąd, kiedy kończą dwanaście lat.

Serce Sary załomotało w piersi. Przychodził jej do głowy tylko jeden powód, dla którego dorosły mężczyzna odsyła wszystkich chłopców, zanim wejdą w wiek dojrzewania.

Nie chciał konkurentów.

– Wiesz, dokąd jadą? – zapytała.

– Do Arizony. Tam przygotowują się do wojny.

Arizona. Wszystkie elementy, które przemawiały za obecnością Martina Novaka w tej układance, właśnie znalazły swoje miejsce. Sara modliła się w duchu, by Will i Faith wpadli na te same tropy. Bankowy rabuś siedział i groziło mu dożywocie. Jeśli w grę wchodził jakiś układ, właśnie nadszedł najlepszy moment.

Joy stanęła przy umywalce przed barakiem i odkręciła wodę dla Sary. – Czy oni umrą? – zapytała.

Sara uznała, że dziewczynie chodzi o jedenaścioro dzieci w baraku.

– Jeszcze nie wiem, co im jest, ale pracuję nad tym.

Joy otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale nagle wykrzywiła twarz z bólu i przycisnęła dłonie do brzucha, opierając się o kabinę prysznicową.

– Brzuch mnie boli.

– Masz okres? – Gdy Joy spłoszyła, Sara dodała: – Skarbie, nie ma się czego wstydzić. To naturalne. Nieprzyjemne, ale naturalne. – Pogładziła Joy po ramieniu, czekając na jej reakcję. – Mogę dać ci środek przeciwbólowy.

– To nie... – Zdanie przerwał strumień wymiocin lecących z ust Joy.

Sara odskoczyła, ale nie na tyle szybko, by uratować buty. Odwróciła się i odszukała wzrokiem Gwen, która besztowała jedną z kucharek. Młodsze dziewczynki siedziały przy piknikowym stole ze spuszczoneymi głowami, próbując wtopić się w tło.

– Chodźmy do środka. – Sara pomogła wejść Joy po schodach. W baraku nie było nikogo prócz chorych dzieci. Sara przypuszczała,

że trzy opiekunki, które widziała poprzednio, mają przerwę na lunch. Dla niej nawet dobrze się złożyło. Joy była wystarczająco duża, by mieć świadomość tego, co dzieje się w Obozie.

- Usiądź tutaj. - Sara pomogła Joy położyć się na wolnym łóżku.

- Powiesz mi, co cię boli?

W odpowiedzi Joy złapała się za żołądek.

Sara sprawdziła jej ciśnienie krwi, które okazało się niskie, i temperaturę, która okazała się normalna. Osłuchiwała klatkę piersiową i jamę brzuszną. Sprawdziła źrenice. Joy miała ciężkie powieki, z trudem otwierała oczy. Z gardła dobiegł cichy trzask, gdy próbowała przełykać ślinę.

- Chorowałaś już na odrę? - zapytała Sara.

Joy skinęła głową.

- Zaraz wracam. - Sara znalazła dzbanek z wodą i napełniła szklanekę, a potem rozejrzała się po sali. Większość dzieci spała, a te, które nie spały, obserwowały ją uważnie.

Joy próbowała usiąść, ale po nagłym zawrocie głowy osunęła się na poduszkę. Sara przytrzymała jej szklanekę. Joy wciąż zaciskała szczęki i trzymała rękę na brzuchu.

Było kilka badań, które Sara mogła zlecić w każdym szpitalu, by ustalić, co jej dolega, ale w obecnej sytuacji musiała radzić sobie bez tego.

Usiadła obok dziewczyny na łóżku.

- Joy, musimy porozmawiać.

- Nie chciałam... - Joy zalała się łzami. - Przepraszam, że na panią zwymiotowałam.

- Dobrze, że to nie był szpinak. To byłby dopiero koszmar. - Gdy Joy nawet nie próbowała się uśmiechnąć, spytała: - Od kiedy źle się czujesz?

- Od... - Joy zamknęła oczy, gdy przez jej ciało przepłynęła kolejna fala bólu. - Od wczorajszego wieczora.

- Jesteś pewna, że to nie okres?

Joy potwierdziła skinieniem.

- Uprawiasz seks?

Joy zareagowała wzorcowym wręcz zawstydzeniem.

- Ja nigdy... to znaczy nie zrobiłabym tego. Nie, proszę pani. Chłopcy nie mogą kręcić się wokół nas i tatusia... - Energicznie pokręciła głową.

Sara została okłamana w sprawie doświadczeń seksualnych niemal tyle razy, ile razy została obrzygana.

- Nacisnę tutaj, dobrze? Powiedz mi, jeśli coś się zboli.

Joy obserwowała drogę dłoni Sary po swoim ciele i poczerwieniała gwałtownie, gdy dotarły poniżej linii bikini. Sara nie miała wziernika, by zbadać ją ginekologicznie, poza tym, chociaż gardziła Gwen, nie mogłaby zbadać Joy bez zgody matki.

Przynajmniej nie w ciągu najbliższych trzydziestu minut.

W przypadku dziewczynki w wieku Joy w pierwszym rzędzie Sara martwiła się o to, czy nie zachodzi przypadek ciąży pozamacicznej.

Doświadczywszy tego na własnej skórze, wiedziała, że konsekwencje zwłoki w działaniu mogą być tragiczne. W grę wchodziło też zapalenie wyrostka. Cysta na jajniku. Niedrożność jelit. Atak kamicy nerkowej. Skręt przydatków. Guz. Wszystko wymagało narzędzi diagnostycznych, którymi Sara nie dysponowała, i operacji, której nie była w stanie wykonać.

- Muszę porozmawiać z twoją mamą - powiedziała.

- Nie! - Spanikowana Joy gwałtownie usiadła na łóżku i osłabiona nagłym spadkiem ciśnienia kurczowo chwyciła się kurczowo Sary. - Proszę, niech mi pani pozwoli zostać tu na chwilę. Parę minut.

Proszę.

Joy bała się matki, co wzbudziło w Sarze strach o wszystkie dzieci Gwen.

- Dobrze, już dobrze. - Łagodnie pomogła Joy położyć się

z powrotem. – Czy twoja mama cię krzywdzi?

Oczy dziewczyny zaszklily się od łez.

– Wścieka się, to wszystko. Czasem... czasem nie robimy tego, co do nas należy, i wtedy jest jej trudniej. Ona ma mnóstwo... obowiązków.

Sara pogładziła ją po głowie.

– Czy twój tata kiedykolwiek...

– Czy ja... Czy wszystko ze mną dobrze? – Joy ciągle trzymała się za brzuch. – Niech mi pani powie. Dlaczego to tak boli?

Sara czuła, że jej medycznopediatryczny instynkt uruchamia serię alarmów. W innych okolicznościach dzwoniłaby już do opieki społecznej i upewniła się, że Joy nie wróci do rodziców przed końcem drobiazgowego dochodzenia.

Niestety, to nie były normalne okoliczności, i Sara nie miała wpływu na nic prócz tego, w jaki sposób odpowie przerażonej dziewczynie. – Prawdopodobnie zjadłś coś, co ci zaszkodziło.

Ta wersja była najmniej prawdopodobna, ponieważ wszystkie dziewczynki jadły to samo, a symptomy wystąpiły tylko u Joy.

– Czy jest pani pewna? – Joy ciągle wyglądała na przerażoną.

– Myślę, że potrzebujesz odpoczynku. Kiedy odpoczniesz, poczujesz się lepiej. Zgoda?

Joy ułożyła się wygodniej na łóżku i zamknęła oczy.

Sarę gryzło sumienie. Z pacjentami w wieku Joy była zwykle szczerą. Powiedziałyby, że nie wie, co jej jest, ale zrobi wszystko, by odkryć przyczynę dolegliwości i poprawić jej samopoczucie. Ale w tej nienormalnej sytuacji postawienie diagnozy było niemożliwe, mogła więc tylko czekać, aż dolegliwości same miną albo pojawią się kolejne symptomy.

No i mogła się przydać pozostałym pacjentom.

– Pójdę do innych dzieci, dobrze? – powiedziała.

– Michelle... – Joy sprawiała wrażenie, że chce pochwycić to słowo

i wepchnąć je sobie z powrotem do gardła.

Sara przysunęła się do niej.

- Widziałaś ją? - spytała, próbując zapanować nad desperacją w głosie.

- Ja... - Joy zamknęła oczy. Odwróciła głowę. - Przepraszam.

Od chwili uprowadzenia Sara przekroczyła wiele granic, ale ta wydawała się inna. Dziewczyna wyglądała na autentycznie przestraszoną. Wiedziała o czymś ważnym i miała świadomość, że podzielenie się tą informacją z Sarą sprowadzi na nią kłopoty.

- Już dobrze, kochanie. Spróbuj zasnąć.- Ona jest... - Joy przełknęła ślinę - tu... za... - W szklarni? - zapytała Sara.

- Nie, w lesie. Mama zostawiła ją w lesie.

W pierwszej chwili do Sary nie dotarł sens tych słów, ale ciało zareagowało, zanim zdołał to zrobić umysł. Serce jej zadrżało i to drżenie rozeszło się aż do rąk i nóg. Słowa „mama zostawiła ją w lesie” dzwoniły jej w uszach.

Gwen przykuła Michelle do pala? Zostawiła w metalowej skrzyni, żeby umarła z przegrzania? Oba scenariusze wydawały się prawdopodobne w przypadku kobiety, która gołymi rękami udusiła młodego chłopaka. - Spróbuj zasnąć. - Ucałowała Joy w skroń. - Wyjdę na chwilę odetchnąć świeżym powietrzem.

Joy wydała z siebie ciężkie westchnienie.

Sara przeszła przez barak do tylnych drzwi i otworzyła je. Za nimi nie było schodów, tylko ponadmetrowy spadek. Zeskoczyła na ziemię. Zabrudzone buty zniknęły w wysokiej trawie. Uniosła togę i weszła do lasu.

Otoczył ją świergot ptaków. Rozejrzała się. Na ambonach nie było strażników. Ani jednego młodego mężczyzny ze strzelbą, nożem, pistoletem. Miarowe buczenie generatora wskazywało, że szklarnia jest po prawej. Sara poszła w lewo.

W pewnej chwili uderzył ją w nos nie dający się pomylić z niczym



innym zapach gnijącego mięsa.

Ciało Michelle Spivey zostało porzucone około trzydziestu metrów za barakiem, leżało na lewym boku zaplątane w bujne krzaki jeżyn. Kręgosłup był wygięty, lewe kolano podkurczone, a prawa noga sterczała prosto. Wyglądało to tak, jakby ktoś wyrzucił Michelle niczym worek śmieci. Prawa ręka zasłaniała głowę, rozcapierzone palce w daremnym wysiłku czepiały się powietrza. Z mięśni powoli uchodził tlen, w miarę jak stężenie pośmiertne paraliżowało ciało. Najpierw powieki, potem szczękę i szyję. Biorąc pod uwagę wiek i masę mięśniową oraz bardzo wysoką temperaturę otoczenia, Michelle mogła nie żyć już od czterech godzin.

Sara odwróciła się w stronę baraku.

Drzwi się zamknęły. Nikt nie nadchodził. Nikt nawet nie zauważył, że zniknęła.

Mogła uciec, ale nie rozważała tego nawet przez sekundę. Michelle Spivey była już złamana, gdy wypadek samochodowy sprowadził Sarę do jej świata. W tym czasie wypowiedziała zaledwie kilka zdań, zadźgała mężczyznę, była uległą współniczką Dasha. Ale także matką, żoną, lekarką, człowiekiem. To była chwila na zadumę, słowo upamiętniające życie Michelle.

Tego też Sara nie miała zamiaru zrobić.

Opadła na kolana. Złapała kołnierzyk szaty Michelle i rozerwała materiał na plecach. Sterczące żebra przypominały fiszbiny wieloryba, czerwone pręgi pokrywały cienką skórę na kręgosłupie. Ciało Michelle nosiło ślady noża, wielu ciosów w nerki. Żółtawe siniaki wskazywały, że od ostatniego pobicia minął co najmniej tydzień. Na ranach pojawiły się już strupy. Ślady poparzeń były świeższe.

Sara wiedziała, jak wygląda ślad po przypalaniu papierosem.

Rozdarła suknię do samego końca. Michelle miała poplamione majtki. Jej ciało zaczęło przeciekać. Upał topił zawarty w skórze

tłuszcz, który wytaczał się z niej i tworzył oleistą plamę.

Cała lewa strona ciała Michelle miała ciemnofioletowy kolor. Wyglądało to tak, jakby ktoś zanurzył je do połowy w kadzi z atramentem. Kiedy serce przestaje bić, krew zawsze przemieszcza się w najniższe miejsce. *Livor mortis*, czyli plamy pośmiertne, to łacińskie określenie miejscowego zabarwienia skóry pod wpływem grawitacyjnego opadania ciężkich komórek krwi. Ten proces przyśpiesza w wysokiej temperaturze. Plama, która biegła od biodra w dół i na rękę pod głową, wskazywała, że Michelle umarła dokładnie tu, gdzie leżała.

Wyrzucona do lasu jak śmieć.

Była rozdęta od bakterii, która opanowała jej ciało. To nie upał wywołał największe spustoszenia. Gwen skłamała, mówiąc, że daje Michelle antybiotyki. A może antybiotyki nie zadziałały. Tak czy siak, odpowiedzialność spoczywała na Gwen. Sara dobrze wiedziała, kto zostawił Michelle w lesie na pewną śmierć.

Michelle umierała w męczarniach. Trawiona gorączką, raz po raz traciła przytomność, traciła orientację, pewnie miała halucynacje. Z powodu sepsy jej brzuch napuchł tak, że popękała skóra, a między pęknięciami Sara dopatrzyła się wyblakłych śladów rozstępów, pamiątki sprzed dwunastu lat, gdy brzuch Michelle powiększał się wraz z rosnącym w niej dzieckiem.

Ashley.

Sara pamiętała imię córki Michelle z artykułu w gazecie.

Zamknęła oczy i zwróciła twarz ku słońcu. Skwar otworzył pory jej skóry. Próbowwała coś poczuć, ale niepohamowana brutalność skierowana przeciwko ciężko chorej i bezbronnej kobiecie stępiła jej odczucia. Nie potrafiła ocenić, ile trwała agonía Michelle, ale miejsce zostało w taki sposób wybrane, by spotęgować jej cierpienie. Z dala od Obozu, między kolczastymi zaroślami jeżyn, bita i zmaltretowana. Jeden kłęb bólu.

Nagle usłyszała, że drzwi baraku się otwierają.

Pochyliła głowę. Zastłaniały ją jeżyny, ale nie wiedziała, jak długo uda jej się ukryć. Działała szybko, oglądając ciało Michelle w poszukiwaniu przebarwień wywołanych substancjami chemicznymi, jakichkolwiek wskazówek, co ta uczona mogła robić w szklarni. Powąchała jej włosy. Obejrzała paznokcie. Stężenie nie pozwoliło zajrzeć do ust Michelle, ale Sara zajrzała w dziąsła, do uszu i do nosa.

- Doktor Earnshaw? - Dash osłonił oczy przed jaskrawym słońcem, co zawęziło mu pole widzenia. - Jest pani tam?

Sara wsunęła dłonie do kieszeni Michelle, pod stanik, pod brzeg majtek. Już miała się poddać, gdy jej uwagę zwróciła szczególna pozycja lewej dłoni. Palce były zgięte, ale kciuk wyprostowany jak u autostopowicza zatrzymującego samochody.

Taki uścisk po śmierci był rzadkością. Mógł być wynikiem chemicznych reakcji zachodzących w organizmie pod wpływem skrajnego przerażenia. Michelle miała wystarczająco dużo czasu na rozmyślanie o własnej śmierci. Włożyła dłoń pod zgięte kolano, nie dopuszczając w ten sposób do rozprostowania palców. To było jej świadome działanie.

Musiała coś napisać po wewnętrznej stronie dłoni.

- Doktor Earnshaw? - Dash powoli odwracał głowę, omiatając wzrokiem kolejne fragmenty lasu.

Sara pochyliła się nad ciałem Michelle, by lepiej przyjrzeć się jej ręce. Siłą woli powstrzymała wymioty. Woń gnijących tkanek była obrzydliwa. Sara wstrzymała oddech. Pomyślała, że Michelle mogła napisać czarnym markerem dwa słowa albo jedno długie. Spod opuszków wyglądały tylko dolne krawędzie liter. Palce Michelle zastłaniały resztę.

- Gdzie pani jest, doktor Earnshaw?

Głos Dasha był spokojny, ale wiedziała, że to się może zmienić

w każdej chwili.

Próbowała podważyć palce Michelle i wyprostować je, ale za bardzo się pociła i nie miała pewnego chwytu. By poradzić sobie ze stężeniem pośmiertnym, miała tylko jedno wyjście, a mianowicie wyłamać rękę w nadgarstku. Mięśnie stwardniały już jak plastik. Jedną ręką Sara złapała przedramię Michelle, drugą jej pięść, po czym skręciła dłonie w przeciwnych kierunkach.

Wysięk się opłacił. Usłyszała głośny trzask.

- Lance? - Dash też usłyszał ten dźwięk. - Bracie, przyjdiesz tu do mnie?

Sara chwyciła palce Michelle. Paznokcie odchyliły się, ale nie ustąpiły ani trochę. Sara próbowała podważyć je kciukiem.

Dash zeskoczył z tylnych drzwi baraku. Po chwili ziemi dotknęła druga para stóp. Działo się to niecałe trzydzieści metrów od niej, a wokół była wysoka trawa i gęste drzewa. Dash mówił coś do Lance'a. Sara była zbyt przerażona, by go zrozumieć. Serce łomotało jej w piersi jak szalone, mroczki latały przed oczami. Musiała otworzyć dłoń Michelle. Musiała przeczytać te słowa. Rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu kijka, którym mogłaby podważyć zaciśnięte palce, ale nic nie zobaczyła.

Musiała użyć własnych ust.

- Doktor Earnshaw? - zawołał Dash, a Lance zakasłał.

Zbliżali się.

Sara złapała przednimi zębami kłęb pierwszego kłykcia Michelle.

Pociągnęła za palec.

Chrup.

Palec środkowy. Chrup.

Palec serdeczny.

Chrup.

- Doktor Earnshaw?

Dash stanął jakieś dwa metry od niej. Jego głos brzmiał nosowo.

Zobaczyła, że zatkał nos, by nie czuć smrodu. Lance stał za nim. Beknął potężnie i zwymiotował pod drzewo.

Westchnienie Dasha zabrzmiało przez zatkany nos jak klakson auta.

- Doktor Earnshaw? - powtórzył.

- Ona nie żyje. - Sara zdążyła pochylić się nad ciałem Michelle i wydała z siebie donośny jęk, udając rozpacz. - Pozwoliliście jej umrzeć. Była sama.

- Przykro mi, że tak to panią wstrząsnęło. Była kobietą pełną wad, ale pod koniec się zrehabilitowała - powiedział Dash.

Sara próbowała zamknąć dłoń Michelle, choć poprzedniego kształtu nie mogła już przywrócić.

- Nie przeciągajmy tego, dobrze? Ten zapach jest wstrętny. Poza tym powiedziałem, że... że może pani zostać w baraku. Wracajmy. Tam jest chłodno i może pani...

Sara podniosła się z ziemi.

- Pani doktor! - zawołał Dash, ale Sara już biegła w stronę baraku.

Wdrapała się na górę. W środku stała Gwen. Wyglądała na zaniepokojoną, ale ona zawsze tak wyglądała.

Sara podeszła do szafki z lekami i znalazła spirytus do odkażania. Wetknęła pod pachę złożone prześcieradło i ruszyła ku frontowym drzwiom.

- Doktor Earnshaw. - Dash wyjął rękę z temblaka, by wspiać się do drzwi. - Gdyby pani mogła...

Sara z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi. Przystąpiła wymiociny Joy i skierowała się ku prysznicowi na zewnątrz. Oporna zasuwka nie chciała się przesunąć. Sara mocowała się z nią przez chwilę. Klęła pod nosem, póki drżącymi palcami nie pokonała oporu materii. Przewiesiła czyste prześcieradło przez ścianę kabiny, odkręciła butelkę ze spirytusem i wlała go sobie do ust.

Drzwi baraku się otworzyły. U szczytu schodów stanął Dash.

- Och, przepraszam. - Odwrócił się od niej i zasłonił oczy. - Miałem nadzieję...

Resztę zdania Sara zagłuszyła bulgotaniem. Przepłukiwała usta, usiłując zabić bakterie, które mogły się na nią przenieść podczas kontaktu z rozkładającym się ciałem Michelle. Spryskała twarz, szyję i ręce.

- Doktor Earnshaw? - Dash podjął kolejną próbę nawiązania rozmowy. - Czy moglibyśmy omówić...

- Daj mi spokój. - Sara walczyła ze swoją togą, przeklinając węzeł, pognieciony materiał, ból wywołany próbą uwolnienia się z tej idiotycznej szaty. Dash spróbował znowu.

- Naprawdę musimy...

- Powiedziałam: daj mi, kurwa, spokój! - Odkręciła wodę i chwyciła mydło.

Dash czmychnął ze schodów. Tyle zostało z jego dumy białego mężczyzny, gdy kobieta była gotowa rozerwać go na strzępy.

Gwen otworzyła drzwi baraku, spojrzała na Sarę i pobiegła za mężem.

Sara ustawiła wodę na najwyższą temperaturę, jaką mogła znieść. Próbowwała wytworzyć pianę, namydłając się tutejszym mydłem. Miała wrażenie, że dotyka ciała milionami ziarenek piasku.

Czekała na pojawienie się Lance'a, ale został w baraku z dziećmi. A może z klimatyzacją. Zerknęła na niego, kiedy truchtała w stronę baraku. Patrzył na nią spod ciężkich powiek. Miał bladą skórę. Pewnie złapał wirusa pokarmowego jak Joy, chyba że po Obozie krążyło coś innego. Coś, nad czym Michelle pracowała w szklarni.

Sara splunęła na podłogę pod prysznicem. Środek odkażający wciąż palił jej dziąsła. Otworzyła usta, by złapać wodę i pozwolić jej spłynąć do gardła. Skóra ją piekła. Czuła, jak pod prysznicem oblewa się potem.

Michelle Spivey przeszła przez piekło. Została zgwałcona, pobita

i zmuszona do pracy w szklarni. A na koniec wyrzucona jak worek, by umarła w skwarze.

Michelle знаła się na sepsie, najpowszechniejszej przyczynie śmierci hospitalizowanych ludzi. Sara wyobrażała sobie, że do samego końca monitorowała objawy w uproszczonej skali SOFA, która służy ocenie niewydolności narządów w sepsie: ciśnienie krwi, oddychanie, czynności umysłowe. Im wyższy wynik, tym większe ryzyko śmierci. Nie mając dostępu do ciśnieniomierza z rękawem, Michelle mogła obserwować swój oddech i objawy neurologiczne. Wiedziała nie tylko to, że nadchodzi śmierć, ale także jak będzie przebiegała.

Jednym z jej ostatnich świadomych działań było znalezienie czarnego markera i napisanie wiadomości po wewnętrznej stronie dłoni.

Dwa słowa.

Wiele możliwych znaczeń.

Trumna? Urządzenie do obniżania opłat telefonicznych? Program telewizyjny? Film? Rodzaj eksperymentalnego przedstawienia teatralnego? Ostrzeżenie wydane przez FDA? Walizka z kodami nuklearnymi?

Sara zmieniła pozycję, by strumień wody spadł jej na głowę tysiącami gorących igieł.

W informatyce ten termin oznaczał system o nieznanym mechanizmie działania, lecz znanej funkcjonalności. Albo rodzaj oprogramowania. Albo rodzaj testowania oprogramowania.

Włożyła palce we włosy, usiłując rozplątać skołtunione kosmyki.

W lotnictwie tak nazywano rejestrator parametrów lotu i rozmów pilotów. Urządzenie miało pomarańczowy kolor, ale jego popularna nazwa brzmiała tak, jak owe dwa słowa, które Michelle napisała we wnętrzu dłoni.

CZARNA SKRZYNKA

Co się za nimi kryło? Dlaczego Michelle wybrała akurat te słowa? Sara nie skorzystała z szansy ucieczki, naraziła zdrowie, naraziła życie, lecz w imię czego? Wciąż dręczyło ją to samo pytanie. Tyle że teraz zegar odliczał kurczący się czas, jaki pozostał na szukanie odpowiedzi.

Dash powiedział jej to osobiście.

Wiadomość zostanie dostarczona jutro.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

WTOREK, 6 SIERPANIA, GODZINA 14:50

Will oparł głowę o drzwi samochodu. Jechał międzystanową osiemdziesiątką piątką. Podczas godzinnego kursu taksówką do zjazdu numer sto dwadzieścia dziewięć poczuł obezwładniające wyczerpanie. Z każdym kilometrem coraz bardziej zapadał się na siedzeniu. Kolana przyciskał do ścianki oddzielającej przednie siedzenia od tylnych, a czaszka wibrowała w zetknięciu z drgającą szybą.

Kiedyś Sara chciała wyjść wcześniej z przyjęcia. Znajomy, który miał ich odwiedzić, nie był na to gotowy, więc wezwała taksówkę. Will wsiadł i omal nie dostał ataku serca na widok taksometru, który już na powitanie wskazywał pięć dolarów. Dlatego do poznania Sary jak ognia unikał taksówek.

Wyprostował się na siedzeniu i podrapał po kłującej brodzie. Odczuł to tak, jakby dotknął opuszkami palców metalowego czyścika. Obca szorstkość na twarzy przypomniła mu, że musi się odciąć od własnej tożsamości. Mężczyzna, który kochał Sarę, nie mógł jej uratować. To zadanie mógł wykonać tylko Jack Phineas Wolfe, były żołnierz rozczarowany i wkurzony na cały świat.

Spojrzał na swoje dłonie. Przycisnął kciuk do kłykcia, aż pojawiła się strużka świeżej krwi.

Pierwszą przeszkodą dla Wolfe'a był Gerald. Jeśli nie uda mu się przekonać drugiego po Dashu, że Wolfe jest gotów na wszystko, to najpewniej skończy z kulą w głowie.

Will raczej nie brał pod uwagę tej ostateczności, bo zdobył u Geralda kredyt zaufania podczas akcji w magazynie. Fakt, że Wolfe miał zamiar zadźgać strażnika za piętnaście patyków, był

dostatecznym dowodem na to, że jest przydatny dla grupy.

Prawdziwym wyzwaniem miał być Dash. Bliski osiągnięcia celu lider NAPu mógł być bardzo podejrzliwy, zwłaszcza wobec rekruta. Był rasistą, pedofilem i wielokrotnym zabójcą. Zainspirował swoją ideologią ludzi tak różnych jak Robert Hurley i Adam Humphrey Carter. Will przypuszczał, że Dash jest klasycznym oszustem i manipulatorem, który zawsze szuka w innych słabości, by w stosownym momencie je wykorzystać.

Zastanawiał się, w jakie słabości wyposażyć Wolfe'a.

Pedofilia wydawała się najbardziej oczywistą drogą przeniknięcia do grupy, ale język pedofilów był równie skomplikowany i tajemny jak żargon wojskowych. Ludzie, którzy gwałcili dzieci, nieustannie ewoluowali. Namierzali się i komunikowali w Darknecie, a także zachowywali wzmożoną czujność w miejscach publicznych. To nie było tak łatwe jak powiedzenie, że dziecko wyglądało dorosłe na swój wiek.

Will zdecydowanie odrzucił tę drogę uwiarygodnienia się w oczach Dasha.

Przypomniawszy sobie informacje o NAPie zdobyte przez Faith. Ci ludzie szanowali armię, a Wolfe był wyszkolonym żołnierzem, którego nie czekały już żadne bitwy. Może czuł się przemielony i wypluty przez system, brakowało mu pieniędzy, nie mógł znaleźć pracy ani zatrzymać przy sobie kobiety. Był wściekły, że jego życie rozpadło się na kawałki. Rwał się do walki. Może był hazardzistą, który stracił oszczędności życia. Oskarżał o swoje niepowodzenia życiowe wszystkich prócz siebie. Will pokręcił głową.

Motywacja finansowa była zbyt łatwa. Dash nie zaufałby wynajętemu zbirowi. On szukał wojowników walczących o sprawę.

Beau Ragnersen był człowiekiem poszukującym celu, dlatego tak łatwo uległ Amandzie, jemu, Kevinowi, każdemu, kto pchnął go w jakimś kierunku. Odprężył się dopiero wtedy, gdy Gerald zamknął

ich w furgonetce. I trwał z ramieniem przyciśniętym do ramienia Willa, mając naprzeciwko czterech uzbrojonych chłopaczków. On jeden w tym podekscytowanym towarzystwie zasnął spokojnie i głęboko.

Jego wiercenie się, ciężkie wzdychanie i powłóczenie nogami zniknęło. Zmienne zachowanie Beau było dla Willa znakiem, że facet go zdradzi. Beau Ragnersen czuł się kompletny tylko wtedy, kiedy był częścią zespołu. Jak wielu byłych żołnierzy rozpaczliwie poszukiwał czegoś, co wypełni pustkę, którą zostawiła mu w sercu wojna.

Ten rodzaj desperacji mógł być kluczem dla Jacka Wolfe'a do infiltracji NAPu. Może Dash zapragnie wypełnić pustkę w piersi Wolfe'a. Wtedy użyje argumentów rasistowskich, religijnych czy jakichkolwiek innych, które sprawią, że kolejny człowiek stanie u jego boku. Gdy się ma do czynienia z takimi gośćmi, to nie jest ważne, w co się wierzy, ale komu się wierzy.

Will znowu zerknął na swoje dłonie. Potarł kciukiem palec serdeczny. Kawałki Jacka Wolfe'a, które z takim pietyzmem pozszywał, zaczynały się pruć.

Zrobiłby wszystko, byle tylko odzyskać Sarę. Jeśli będzie musiał zastrzelić więcej ludzi, zrobi to bez wahania. Nie walczył tylko dla siebie. Cała rodzina Sary czekała, by przywiózł ją z powrotem do domu. Liczyli na niego. Prosilili Boga o pomoc. Modlili się, by nie doznała krzywdy.

Will nigdy przedtem się nie modlił. Kiedy był chłopcem, w każdy niedzielny poranek po dzieci z domu dziecka przyjeżdżał autobus zamówiony przez wielebnego z pobliskiego kościoła. Większość podopiecznych z radością korzystała z okazji wyrwania się z placówki, ale on zawsze zostawał. Okazja do spędzenia czasu w samotności, choćby tylko paru godzin, była dla niego ważniejsza niż wysłuchiwanie nauk i jedzenie cieniutkiego płątka chlebowego.

Teraz usiłował przypomnieć sobie modlitwę Cathy. Recytowała ją,

jakby pisała list:

- Drogi Ojciec niebieski, prosimy o Twoje błogosławieństwo w potrzebie...

Wiedział, że należy pochylić głowę, ale dalszych wskazówek szukał u Tessy. Modliła się z zamkniętymi oczami, więc on zrobił to samo. Milczała, więc on też milczał. Rytuał modlitwy przyniósł mu ukojenie. Miękka intonacja Cathy, bliskość innych ludzi, którym zależało na tym samym co jemu...

Gdy trzymał drobną dłoń Cathy, bał się wielu rzeczy: że nie znajdzie Sary; że jeśli jej rodzina więcej jej nie zobaczy, to będzie jego wina; że Gerald zabije go już na stacji Citgo; że Dash zastrzeli go, zanim w ogóle zobaczy Sarę; że Michelle Spivey rozpozna go i rzuci się na niego, jak rzuciła się na Cartera; że Dash nie zabije go od razu, ponieważ będzie chciał, żeby Sara patrzyła na jego śmierć.

Najgorszy scenariusz wyglądał tak: pokona wszystkie przeszkody, przeskoczy Geralda, potem przekona Dasha, by przyjął go do swojej owczarni, i w końcu znajdzie Sarę. Ale nie będzie w stanie jej pomóc z powodu strachu.

Dręczyło go wspomnienie strachu, który sparaliżował go na miejscu wypadku. Dotarł do bmw i kiedy wkładał kluczyk do schowka, zobaczył, jak Hurley przystawia broń do głowy Sary. Zamiast zareagować, zamiast przekręcić kluczyk, otworzyć schowek, wyciągnąć glocka i zabić zbirów, zamarł w bezruchu.

Ponieważ się bał.

Zacisnął zęby. Major Jack Wolfe. Siły powietrzne. Dwie tury w Iraku. Dwa zatrzymania za jazdę po pijanemu. Jeden zakaz zbliżania się w ostatnim miejscu pracy. Ponad trzydzieści sześć tysięcy dolarów długu na karcie kredytowej.

Taksówka zbliżała się do zjazdu. Will rozpoznał logo stacji benzynowej i fastfoodowych restauracji. Zjazd numer sto dwadzieścia dziewięć prowadził do Braselton. Ponad trzydzieści kilometrów

kwadratowych leżących na obszarze czterech hrabstw w granicach Metropolitalnego Obszaru Statystycznego Atlanty. Liczba mieszkańców: niecałe dziesięć tysięcy, osiemdziesiąt trzy procent białych, cztery procent żyjących poniżej granicy ubóstwa. Jeden posterunek policji. Czterech gliniarzy. Jeden szpital. Jedna winiarnia dla klientów z wyższej półki. Teren pagórkowaty, porośnięty w dużej części gęstymi lasami, co dotyczyło niemal każdego miasta w Georgii, które leży w bliskości pasma Appalachów. Obszar Chattahoochee National Forest wisiał na górze stanu jak odwrócony parasol.

Od znaku stacji Citgo dzieliły Willa dwa czerwone światła. Słuchał silnika na jałowym biegu. Dopiero teraz, kiedy było już za późno na zmianę zdania, umysł podsunął mu scenariusz najgorszy z najgorszych.

Dash mógł udawać nieprzytomnego po wypadku. Mógł zobaczyć jego twarz. Mógł dobrze wiedzieć, co się szykuje, i już planował neutralizację zagrożenia.

Myśli Willa powędrowały jeszcze niżej w otchłań piekła.

Sara mogła już nie żyć.

Taksówkarz zajechał na stację Citgo. Z dwunastu dystrybutorów paliwa cztery były zajęte. Will rozpoznał w jednym z klientów agenta GBI z południa stanu. Czerwone mini Faith stało przed kontenerem na śmieci. Na ramionach miała narzucony koc i udawała, że karmi dziecko. Amanda powinna być w środku, z laską jak zgarbiona staruszka. Po obu końcach drogi biegnącej przed Citgo stały dwa nieoznakowane wozy. Dwóch agentów kryło się w lesie za budynkiem.

Amandzie to nie wystarczyło.

Will miał nadajnik GPS w skórzanej kaburze na plecach. Cieniutki kawałek plastiku został zaszyty w podszewce. Na razie był wyłączony na wypadek, gdyby znów przeszukali go na obecność sygnału. Will poświęcił pół godziny na ćwiczenie sięgania do tyłu i włączania

nadajnika po omacku, aż mięśnie zapamiętały całą sekwencję ruchów.

Nie zamierzał dotknąć tego diabelstwa, póki nie zobaczy Sary. Nie miał gwarancji, że Dash trzyma ją przy sobie. Równie dobrze mogła znajdować się trzysta kilometrów stąd. Gdyby wezwał wsparcie za wcześniej, mógłby ją stracić na zawsze.

- Tu może być? - zapytał taksówkarz.

Will zapłacił za kurs sto dwadzieścia dolarów, co bolało jak diabli, chociaż to nie były jego pieniądze. Przy wysiadaniu czuł, jak bardzo zeszywniały mu nogi. Rozciągnął kręgosłup, uniósł ramiona, poprawił kaburę i rozejrzał się, szukając wzrokiem Geralda.

Spojrzał na zegarek.

Godzina 15:02.

Na stację podjechał kolejny samochód. Ktoś wszedł do sklepu. Will podszedł do pompy, włożył ręce do kieszeni i kopnął w krawężnik. Miał na sobie strój, który pasował do stylu prezentowanego przez chłopaków z akcji w magazynie. Czarne spodnie, czarna koszula z długim rękawem, czarne glany. Pomysł wydawał się dobry do czasu, gdy znalazł się na widoku. Biorąc pod uwagę jego wzrost, umięśnienie i karnację, mniej przypominał wojowniczego ninja, a bardziej faceta, który za chwilę otworzy ogień.

- Wolfe?

Will rozpoznał Trzeciego z wczoraj. Chłopak przebrał się w krótkie spodenki i pamiątkowy Tshirt z koncertu Ushera. Przyjechał jasnoczerwoną kia soul. Nie było to najlepsze auto do wtopienia się w tło, ale świetnie pasowało do klimatu muzyki Ushera. Gdyby zatrzymała go policja, Trzeci wyglądałby jak każdy zblazowany gówniarz z miasta.

- Wejdz do sklepu. Poczekaaj przy tylnych drzwiach - zwrócił się do Willa i odszedł, nie czekając na jego reakcję.

Agent GBI przy dystrybutorze gazu wsiadł do auta i pojechał za

czerwoną kiał w stronę drogi międzystanowej.

Will ruszył do sklepu. Czuł na sobie wzrok Faith, która śledziła każdy jego ruch. Budynek był typowym sklepem ogólnospożywczym przy drodze międzystanowej, długim lecz niezbyt szerokim, o niskim suficie i przeszklonym froncie. Po otwarciu drzwi poczuł zapach pieczonych hot dogów. Amanda stała przy samoobsługowych automatach do kawy. Jej nienaganna zwykle fryzura była w nieładzie. Okulary do czytania leżały nisko na nosie. Ciężko wsparta na lasce udawała, że nie ma pojęcia, którego przycisku użyć.

Chłopak stojący za ladą zerknął na Willa z nad telefonu. To był Drugi. Miał na sobie niebieską koszulkę polo z pomarańczowoczerwonym trójkątnym logo Citgo na piersi. Lekko skinął głową, wskazując tył sklepu.

Will znalazł tylne wyjście obok lodówek z napojami. Chwycił za klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Podczas nauki w college'u miał się wielu prac, a jedną z nich była praca w sklepie ogólnospożywczym. Zakładał, że za drzwiami zobaczy długi korytarz, niewielkie biuro i zagraconą przestrzeń magazynową. Wyjście bezpieczeństwa było wyposażone w alarm, ale zawsze można oszukać system magnesem i kawałkiem gumy do żucia.

Oparł się o chłodziarkę. Od drzwi poczuł podmuch zimnego powietrza. Spojrzał na zegarek.

Godzina 15:05.

- Młody człowieku? - Amanda przywołała Drugiego do automatu z kawą i zaczęła perorować o niszczącym wpływie komputerów na świat. Nie mogła wiedzieć, że Drugi należy do NAPu, po prostu chciała uwiarygodnić przydługą obecność w sklepie. Will wiedział, że trzyma naładowanego pięciostrzałowego smitha and wessona w torebce w woreczku Crown Royal. Mogła wyjąć go niemal tak szybko jak agenci, którzy dobywali glocka z kabury u boku.

Will usłyszał dwukrotne pukanie w drzwi.

W odpowiedzi także zastukał dwa razy i czekał, aż usłyszał trzask zamka.

Otworzył drzwi i zobaczył długi korytarz, nieduże biuro i zagracony magazyn. A także magnes na czujniku alarmu przymocowany taśmą klejącą zamiast gumą do żucia. To pewnie mądrzejsze. Guma nigdy tak dobrze nie kleiła, jak się wydawało.

Pierwszy czekał na zewnątrz. Był najmłodszy i najniższy z całej czwórki, ale być może najgroźniejszy, ponieważ miał coś do udowodnienia. Nie zamienili ani słowa. Pierwszy trzymał urządzenie wykrywające sygnał lokalizatorów. Will uniósł ręce i pozwolił Pierwszemu poczuć swoistą satysfakcję.

Było jasne, że Pierwszy dobrze się bawi. Cała dramaturgia rodem z „Mission Impossible” musiała wprawiać tych chłopaków w stan bliski orgazmu. Gdyby dorosły Will nie wiedział, że to rasistowskie gnojki i przestępcy, nastoletni Will bardzo by im zazdrościł.

Pierwszy zakończył machanie wykrywaczem, zostawił urządzenie przy tylnych drzwiach i dał znak Willowi, by ruszył za nim do lasu. Will znowu włożył ręce do kieszeni. To był umówiony sygnał dla dwóch kryjących się między drzewami agentów, że jak dotąd wszystko idzie bez zakłóceń. Faith przeanalizowała wszelkie potencjalne drogi ucieczki w promieniu trzech kilometrów. Mając Citgo za plecami, Will wiedział, że droga przez las zaprowadzi go do dzielnicy mieszkaniowej o kształcie litery L, gdzie na ulicy parkowały dwa wozy pościgowe. To miejsce wydawało się najbardziej oczywiste na spotkanie z Geraldem.

Kiedy dotarli do Chardonnay Trace, Will miał twarz mokrą od potu. Przechodząc przez ulicę za Pierwszym, ciągle trzymał ręce w kieszeniach. Tutejsze domy były duże i stały na dużych działkach. W tym miejscu hałas z drogi międzystanowej był już mocno stłumiony.

Pierwszy przyśpieszył kroku, przeszedł wzdłuż ogrodzenia jednego



z domów i skierował się w stronę następnej połaci zieleni.

Wciąż znajdowali się w strefie ucieczki.

Will orientował się w położeniu po dźwięku klaksonów dobiegających z głównej drogi. Mapy satelitarne wskazywały wiele fragmentów terenu wykarczowanych pod centra handlowe i outlety. Gdyby szli cały czas prosto, znaleźliby się na terenach uprawnych.

Co było dalej, tego Will już nie wiedział.

Pierwszy zatrzymał się przy drzewie, wyjął telefon i sprawdził współrzędne na mapie. Czerwony znaczek wskazywał, że są już blisko celu, i skinął na Willa, że idą dalej.

Will zadarł głowę. Nad nimi rozpościerał się gęsty baldachim liści. Załoga śmigłowca nie byłaby w stanie dojrzeć, co dzieje się w lesie. Jeśli pilot zniżyłby się na tyle, by móc użyć kamery termowizyjnej, Pierwszy rzuciłby się do ucieczki, Will musiałby pognać za nim i nigdy więcej nie zobaczyłby Sary.

Pierwszy wsunął telefon do kieszeni. Na ziemi leżał motocykl terenowy Tao Tao DB20 110. Chłodzony powietrzem, jednocylindrowy, czterosurowy, dopuszczony do ruchu ulicznego, ale bez tablic rejestracyjnych. Plastikowe siodełko nad tylnym kołem przypominało płetwę.

Pierwszy wykonał kiepską robotę, maskując motor liśćmi i połamanymi gałązkami, które teraz zaczął usuwać. Will nie kiwnął palcem, by mu pomóc. Pomyślał o wyjęciu rąk z kieszeni. Dwaj agenci, pierwotnie znajdujący się za sklepem, podążali za nimi w pewnej odległości. Szli na piechotę, ale według Willa nie to było największym problemem.

Jeden motor. Dwa kaski.

Will umiał prowadzić motor. Martwiła go myśl o rękach Pierwszego, które zapewne obejmą go w pasie podczas jazdy przez las. Ten uścisk nie pomoże w regeneracji tego, co zostało uszkodzone w klatce piersiowej Willa. Miał w kieszeni cztery awaryjne aspiryny

od Amandy schowane w plastikowym woreczku, ale wiedział z doświadczenia, że trzeba czekać przynajmniej pół godziny, by lek zadziałał.

Pierwszy był niższy od niego o trzydzieści centymetrów i co najmniej dwadzieścia kilogramów lżejszy. Zamiast mięśni miał głównie dziecięcy tłuszcz. Gdyby Will usiadł z tyłu, plastikowa płetwa mogłaby się pod nim złamać albo przednie koło przestałoby dotykać ziemi.

Odtwarzanie sceny z „Uwierz w ducha”, w której Patrick Swayze pomaga Demi Moore przy kole garncarskim, było problematyczne dla nich obu. Will pamiętał o odstępach, jakie Pierwszy, Drugi, Trzeci i Czwarty zachowali między sobą w furgonetce. Najwyraźniej mieli w umyśle jasny obraz gejów i żaden z nich nie chciał przekroczyć tej granicy. A przynajmniej nie w obecności kumpli.

Problem Pierwszego okazał się rozwiązaniem dla problemu Willa.

- Chcesz się do mnie przytulać na tym siodełku, mała księżniczko?

- zapytał, wkładając kask.

Pierwszemu opadła szczęka.

- Nie, stary. Cholera, nie. Będę się trzymał siodełka. - Dodał jeszcze jedno „cholera” na dowód, że mówi poważnie.

Will zapiął kask ciasno pod brodą. Nie miał gwarancji, że nie wpadnie w koleinę albo nie podskoczy na jakiejś nierówności. W takiej sytuacji Pierwszy odruchowo złapie go w pól, a wtedy on rozbije się na pierwszym drzewie.

Pierwszy próbował postawić motocykl, a Will jakoś nie kwapił się do pomocy. Wcale nie dlatego, że z Jacka Wolfe’a to kawał sukinsyna. Jeśli już miał narazić swoje żebra, to nie po to, by pomóc młodemu nazistowskiemu debilowi ratować twarz.

Chłopak w końcu dźwignął motor z ziemi. Will zajął miejsce na siodełku i czekał, aż Pierwszy usiądzie za nim. Tłumik był usytuowany tuż pod siedzeniem. Willa ciekawiło, co stanie się

najpierw: czy Pierwszy spadnie z motoru, czy gorące powietrze rozmiękczy mu skórę palców. Szczęśliwie to był problem Pierwszego.

Ustawił bieg w pozycji neutralnej. Uruchomił rozrusznik elektryczny, zadowolony, że nie musi używać rozrusznika nożnego. Zwiększył obroty silnika, zmuszając go do wycia i pisków. Jeśli agenci zgubili go w lesie, to teraz mogli usłyszeć, gdzie jest. Dobrze, że to nie on będzie musiał po raz drugi poinformować Amandę, że go zgubili.

Pierwszy wskazał kierunek jazdy w głąb lasu. Will przekręcił przepustnicę o kilka milimetrów, powoli puścił sprzęgło i tylna opona zaczęła się ślizgać. Will poczuł na ramionach rękę Pierwszego. Tego wariantu żaden z nich nie brał pod uwagę.

Will wjechał w las, pochylając się nad kierownicą przy każdym ostrym skręcie między drzewami. Otworzył przepustnicę trochę mocniej. Palcami dotknął czułego miejsca sprzęgła. Motor nabrał przyśpieszenia, gdy Will zaczął zmieniać biegi. Zastanawiał się, czy maszyna należy do Pierwszego. Kiedyś w końcu dotrą do miejsca przeznaczenia, a Faith zlokalizuje motor, nawet gdyby miała przeczesać każdy centymetr tego lasu.

Amanda zmusi chłopaka do mówienia.

On znajdzie Sarę.

Motor zakrztusił się nieco, gdy zaczęli piąć się na wzgórze, zostawiając las za sobą. Jechali teraz wśród pól uprawnych, które po jakimś czasie przeszły w kolejny las. W pewnym momencie Pierwszy pokazał Willowi, by skręcił w przecinkę, nad którą górowały słupy wysokiego napięcia. Will przestał już zwracać uwagę na ból. Puścił sprzęgło. Uznał, że najlepszym sposobem na przetrzymanie tej jazdy jest jak najszybsze jej zakończenie. Pierwszy wbijał mu palce w skórę ramion jak szpony. Raz po raz tyłek odskakiwał mu od plastikowego siodełka. Will tak parł naprzód, że nawet nie czuł, kiedy Pierwszy szaleńczo klepał go po plecach, by zwolnił.

Droga wyłoniła się nagle. Pierwszy uderzył twarzą w tył kasku Willa, gdy ten gwałtownie wcisnął tylny hamulec. Kiedy motor stanął, Will piętą opuścił podpórkę i oderwał obolałe palce od kierownicy.

Pierwszy chwiejnie zsiadł z motoru. Miał rozciętą i zakrwawioną wargę, pobladał jak kreda. Wyglądał, jakby nie wiedział, czy wymiotować, czy się zsikać.

Will zdjął kask. W zasięgu wzroku miał trzy domy. Każdy stał na co najmniej dwuhektarowej działce. Spojrzał na zegarek. Godzina 15:58.

Faith wpadnie w panikę, natomiast Amanda we wściekłość, zwłaszcza kiedy się zorientuje, że Will wcale nie zamierza uruchomić lokalizatora. – Jest – powiedział Pierwszy i wytarł usta, rozmazując krew po brodzie.

Will spojrzał w górę drogi. Czwórka był jedynym, którego dzisiaj nie widział, ale to nie Czwórka podjechał białą furgonetką.

– Wsiadaj na tył, Wolfe – rzucił Gerald.

Will otworzył tylne drzwi. W środku nie było siedzeń, tylko skrzynki ze sprzętem do malowania, na szczęście działała klimatyzacja. Gdy Will wdrapał się do środka, Pierwszy zamknął drzwi. Tym razem chłopak postanowił jechać z przodu.

Okna były zaciemnione jak w tamtej furgonetce. W lodówce turystycznej Will znalazł lód i wodę. Opróżnił dwie butelki jedna po drugiej i przyłożył lód do karku. Włożył rękę do kieszeni i namacał woreczek z aspiryną. Plastik był mokry z zewnątrz od jego potu. W upale tabletki zamieniły się w papkę. Zastanawiał się, jak wilgoć mogła wpłynąć na działanie baterii nadajnika. Zębami odgryzł porcję zwilgotniałych tabletek i popił zimną wodą.

Zamknął oczy i odchylił głowę. Rozwahał, co może się wydarzyć, gdy te drzwi otworzą się ponownie. Gerald go zastrzeli. Gerald zabierze go do Dasha. Dash go zastrzeli. Dash przywita go w szeregach NAPu. Sara jest przetrzymywana gdzie indziej. Sara jest tam, dokąd właśnie go wiozą.

„Drogi Ojczy niebieski, prosimy o Twe błogosławieństwo w potrzebie”.

Czuł, że temperatura powoli spada i staje się znośniejsza, a przekonanie, że jadą przez wiejskie tereny, nie uległo zmianie. Gerald korzystał z bocznych dróg, jedne były utwardzone, inne szutrowe. Will miał wrażenie, że jadą pod górę. A może uległ złudzeniu i Gerald po prostu jeździł w kółko.

Niemal po godzinie jazdy furgonetka w końcu stanęła, kierowca uruchomił wsteczny bieg, samochód cofnął się i silnik zgasł. Will usłyszał uderzenia drobnych kamyczków w boki furgonetki. Co najmniej kilka kilometrów wcześniej zjechali z równej drogi.

Godzina 17:03.

Pierwszy otworzył drzwi. Will poczuł, jakby słońce przewierciło mu się do mózgu i zacisnął powieki. Zaczął przesuwac się po podłodze furgonetki, aż trafił stopami na krawędź zderzaka. Spoglądał w ziemię, czekając, aż oczy przyzwyczają się do blasku. Furgonetka nie była jedynym pojazdem, który tu dotarł. Głębokie ślady opon wskazywały, że niedawno przejechała tędy ciężarówka.

Ciężarówka podjechała tyłem pod motel, w którym Sara zostawiła mu wiadomość.

- Świetnie, nie? - zapytał Pierwszy.

Will podrapał się po brodzie i rozejrzał dookoła.

Pierwszy zrobił to samo. Stał się dla niego czymś między pasożytem a cieniem.

Will ruszył, Pierwszy poszedł w jego ślady. Na jeden długi krok Willa przypadały dwa kroki chłopaka.

Will wiedział, że musi przestać przejmować się Pierwszym, bo to go tylko rozprasza. Doszedł do wniosku, że znajdują się w punkcie etapowym. Pięć czarnych furgonetek stało w jednym rzędzie, na stojaku wisiały dwa tuziny AR-15. Trzej mężczyźni uzupełniali magazynki pełnopłaszczowymi nabojami o masie trzech i pół grama

z ołowianym rdzeniem, pokrytymi metalowym płaszczem. Takie naboje nie deformowały się po uderzeniu, co działo się z nabojami z wgłębieniem wierzchołkowym, więc prócz trafienia celu można było trafić jeszcze inny cel na linii strzału.

Z nieznanego Willowi powodu naboje były układane w rzędach na ręcznikach frotté. Mężczyźni pracujący przy nich mieli na rękach czarne nitrylowe rękawiczki. Naładowane magazynki przekazywali kolejnym mężczyznom w rękawiczkach, którzy pakowali je do plastikowych kontenerów rozmiaru pudełek na akta. Do tej pory zdążyli napełnić osiem takich kontenerów. W każdym mieściło się około tysiąca nabołów. Dwaj mężczyźni z podkładkami z klipsem w rękach nadzorowali przebieg prac. Dwaj kolejni nosili w górę wzgórze lodówki turystyczne napełnione butelkami gatorade. Inna grupa odpoczywała przy stole piknikowym. Wszyscy mieli na sobie czarne polowe uniformy i rękawiczki. Will naliczył w sumie szesnastu. Większość miała ponad dwadzieścia lat, a kilku starszych o włosach przyprószonych siwizną wydawało im polecenia.

Nikt nie żartował, wszyscy działali w skupieniu. Will czuł, że są gotowi opuścić to miejsce w jednej chwili.

Tylko gdzie tak naprawdę się znajdowali?

Na pewno w górach. Wszędzie wokół rosły drzewa, śpiewały ptaki, w pobliżu szumiała rzeka, a może tylko strumień. Uwagę Willa przykuł blaszany magazyn tuż za furgonetkami. Drzwi były otwarte. W środku stały zapieczętowane kartony jednakowej wielkości. Na każdym wisiała plastikowa koszulka z listem przewozowym w środku. Każdy był oznaczony takim samym numerem.

4935–876.

- Wolfe. - Gerald skończył rozmowę z mężczyzną z podkładką i zamachał do Willa. - Od razu damy ci zadanie, żołnierzu. Pasuje?

Will chrząknął i uniósł lekko brodę.

- Tobie też, Dobie - dodał Gerald.

- Super! - chłopak, którego Will nazwał Pierwszym, wysforował się przed nich.

Dobie.

Gerald powoli zaczął wchodzić na wzgórze, a Will w duchu analizował sytuację. Wszyscy byli uzbrojeni, a jego sig sauer mieścił dziesięć naboju w magazynku i jeden z komorze. Nim zdążyłby sięgnąć do kabury, już by nie żył. Dopadł go ten sam niepokój, który go dręczył w miejscu wypadku. Co, jeśli Sara była na szczycie wzgórza? Co, jeśli znajdzie ją związaną? Co, jeśli znajdzie ją martwą? Co, jeśli w ogóle jej nie znajdzie?

Dotknął dłonią policzka. Broda stała się jego talizmanem. Wystarczyło potrząsnąć ją palcami, by zmienić się w Jacka Wolfe'a.

- Co to za dzieciak? - zapytał.

- Dobie? - Gerald obserwował, jak chłopak wspina się na wzgórze. Stopy ślizgały mu się w trawie. Nagle podskoczył i zniknął za wierzchołkiem. - Jest jak oni wszyscy. Młody, głupi i napalony.

Will zacisnął zęby. Nie umiał pogodzić obrazu głupiego chłopaka z tym, co wiedział na temat takich grup jak NAP. Czy Dobie był lubującym się w przemocy rasistą, który marzy o wymordowaniu wszystkich Żydów, czy raczej dryfującym bez celu młodym człowiekiem, który spotkał na swojej drodze nieodpowiednich ludzi w nieodpowiednim czasie? W tym momencie to nie miało znaczenia.

- Popatrzysz kilka razy, zanim pozwolimy ci w to wejść - oznajmił Gerald.

Will nie zapytał, co ma na myśli, ponieważ zobaczył to na szczycie wzgórza.

Dwukondygnacyjna drewniana budowla była tylko szkieletem. Szarość drewna zdradzała, że konstrukcja jest wystawiona na działanie żywiołów co najmniej od pół roku. Na ziemi leżały płyty ze sklejki. Przerwy w konstrukcji imitowały drzwi. Okien nie było. Balkon na kondygnacji był ogrodzony balustradą. Schody otwarte,

małe, więc niepraktyczne, a pośrodku rozchodziły się w lewo i w prawo. W różnych miejscach stały kartonowe sylwetki zbirów z tarczą strzelniczą. Zamiast sufitu wisiały u góry połączone płachty brezentu w dwóch warstwach. Jedna była kamuflażem, druga służyła jako termoizolacja uniemożliwiająca wykrycie przez kamery termowizyjne. Wzniesienie tej konstrukcji i jej ukrycie kosztowało mnóstwo wysiłku. Will ocenił łączną powierzchnię budowli na dwa przepisowe boiska do bejsbolu.

Naliczył ośmiu wartowników. Wszyscy byli wyposażeni jak do ataku. Za przezroczystymi goglami widział tylko ich oczy. Pięciu kolejnych znajdowało się wewnątrz budowli, dwaj na parterze, a trzech wbiegali po schodach na balkon z AR-15 na ramieniu. Mieli ugięte kolana. Na podeście obrócili się jednocześnie w idealnej synchronii i znów ruszyli biegiem po schodach w stronę balkonu. Po kilku krokach prowadzący uniósł pięść i wszyscy znieruchomieli. Po chwili prowadzący ruszył naprzód sam, pochylając się nisko. Po trzech krokach znalazł się pod ścianą. Udał, że otwiera drzwi. Wszyscy otworzyli ogień.

Will zobaczył, że Dobie podskakuje w rytm strzałów.

- Ale super, bracie.

Nie bał się. Był podekscytowany.

Dla Willa było oczywiste, że nie jest to pierwszy szturm na ten budynek. Drewno było pochłapane pomarańczową, czerwoną i niebieską farbą. Szturmujący używali amunicji ćwiczebnej, którą nie można zabić. Will strzelał takimi niezmywalnymi nabojami podczas treningów. GBI wymagało od agentów zaliczenia symulacji walki z aktywnym strzelcem w budynkach szkolnych, opustoszałych domach czy magazynach. Agencja wynajmowała aktorów do ról czarnych charakterów oraz cywilów. Podczas ćwiczeń zwykle puszczały muzykę na cały regulator. Towarzyszyły temu migoczące światła, które czasem wyłączano.



W takich warunkach nie można używać prawdziwych naboji. Poziom adrenaliny za bardzo się podnosi. Straszaki też nie wchodziły w rachubę. Wrażenie musiało być takie samo, dlatego używali niebieskich zestawów modyfikujących do zastąpienia suwadła w karabinach oraz blokady zamków i komór w broni kalibru dziewięć milimetrów. Magazynki były z przezroczystego plastiku. Zbijaki, czyli atrapy nabojów, były wypełnione barwnikiem, by od razu było widać, czy ćwiczący trafił do celu, czy też zabił swojego partnera. Trafienie takim nabojem bolało jak cholera, dlatego agenci wkładali czarne kominiarki, hełmy, gogle, usztywnione kamizelki, rękawiczki i ochraniacze na genitalia. Nie było lepszej metody treningu przed wejściem w prawdziwy świat prawdziwej przemocy.

Właśnie to robili mężczyźni wewnątrz tego budynku.

Hotelowy hol? Biurowiec? Synagoga? Meczet? Mężczyźni wchodzili z poziomu parteru, nie przez piwnicę czy strefę załadunku. Oczywiście, szturmujących czekało spotkanie z ochroniarzami, ale trzynastu facetów przeciwko dwóm emerytowanym gliniarzom dorabiającym do chudej emerytury to nie była uczciwa rywalizacja. Nie mówiąc o tłumie cywilów, którzy będą w środku podczas prawdziwego ataku.

Ci ludzie planowali dokonanie masakry.

- Gotowy do przebrania? - zapytał Gerald.

Will był gotowy uruchomić nadajnik w kaburze. Wiedział, że szykuje się coś strasznego. Tych ludzi należało powstrzymać.

Ale co z Sarą?

Na ziemi leżał stos wyposażenia taktycznego. Była tam broń palna położona na trawie i typowe dla funkcjonariuszy organów ścigania Glocki 19, ale wśród nich nie dopatrył się swojego. Nic nie wyglądało jak należy. Magazynki naładowane w połowie, niektóre AR-15 były powalane ziemią, a zestawy do przezbrajania rozłożone na części. Ktoś znał się na rzeczy wystarczająco dobrze, by zamówić,

co trzeba, ale nie poświęcił czasu na poinstruowanie ludzi, jak się z tym wszystkim obchodzić.

Dobie już zapinał hełm.

- Najpierw kominiarka - rzucił Will.

Dobie spąsował i zdjął hełm. Obserwował każdy ruch Willa, tak jak Will obserwował zachowanie Tessy podczas modlitwy odmawianej przez Cathy.

Chłopak był tak nakręcony, że nie mógł ustać spokojnie. Czy dlatego przyłączył się do NAPu? Udawanie żołnierza dawało niezłego kopa, ale celem musztry i ćwiczeń było przygotowanie żołnierza do prawdziwej walki. Will wiedział z całą pewnością, że Dobie nie jest na to gotów. Obserwując ćwiczących w makiecie budynku, wcale nie nabrał przekonania, że będą lepsi od Dobiego. Jednak odebranie życia wielu ludziom nie wymagało ani umiejętności, ani fartu. Warunkiem koniecznym był element zaskoczenia i dojmujący impuls, który nakazuje pociągnąć za spust.

Will zacisnął pas i sprawdził broń. Musiał się upewnić, że w magazynkach i komorach są ślepe naboje, ponieważ nie ufał tym ludziom. Zgodnie z regulaminem powinien wyjąć z kabury sig sauera i opróżnić komorę, bo podczas ćwiczeń obowiązywał restrykcyjny zakaz posiadania ostrej amunicji.

Jednak dla Willa to nie były ćwiczenia.

- Wolfe, jesteś w teamie C. - Gerald wskazał schody. - Idź na lewo.

Will zachodził w głowę, dlaczego trzech ludzi zwraca się w tym samym kierunku, narażając się na atak od tyłu. Kolejny błąd. Zespoły nie ćwiczą po kolei. Albo trenują wszystkie razem, albo żaden.

- Ale super, stary, nie? - Dobie ciągle podskakiwał jak ćpun po metamfetaminie. Jediną odsłoniętą częścią twarzy chłopaka były wytrzeszczone oczy za goglami. Jego kamizelka nosiła ślady co najmniej sześciu trafień amunicją ćwiczebną. Ochraniacz na genitalia przypominał barwne testy Rorschacha. Dobie powinien się

zaniepokoić. To nie była zabawa w paintball. W pewnym momencie mieli zdobyć prawdziwy budynek w prawdziwym życiu. Prawdopodobnie ma się to wydarzyć lada dzień, jeśli kontakt Faith w FBI miał rację co do krążących pogłosek.

Will nasunął kominiarkę na nos i poprawił gogle.

- Jest różnica między strzelaniem do kawałka kartonu a zabiciem prawdziwego człowieka - powiedział Dobiemu.

- Tak, tak, tak - wyskandował Dobie spod kominiarki. - Rozumiem, bracie.

Will miał ochotę własnoręcznie nauczyć młodego gnojka rozumu, ale zamiast tego pokazał mu, jak trzymać karabin.

- Połóż palec tutaj, równolegle do kabłąka spustu. Nigdy, pod żadnym pozorem, nie dotykaj spustu, jeśli nie jesteś gotowy zabić.

- On ma rację, bracie. - Dołączył do nich nowy mężczyzna w pełnym rynsztunku i zaczął wydawać polecenia. - Alpha, przejmujesz pałeczkę. Zabezpieczasz parter. Bravo i Charlie, jesteście drugim uderzeniem. Idziecie schodami na górę. Bravo na prawo. Charlie na lewo. - Dla Willa doprecyzował: - Jesteś Charlie. My idziemy na tył. Czekamy na sygnał. Dobie otworzy drzwi. Ruszajcie.

Nie pobiegli schodami na górę. Wszyscy stali przed makietą. Will spojrzał w dół. Trawa była zdeptana przez dziesiątki mężczyzn stojących w tym miejscu i czekających na wejście. Otwór w ścianie miał szerokość dwuskrzydłowych drzwi.

Ćwiczący powinni użyć prawdziwych drzwi, bo w prawdziwym budynku nie widać, co dzieje się za ścianami, ani nie można zajrzeć przez drzwi i zauważyć złych ludzi. Papierowe cele na środku pomieszczenia były pokryte farbą. Pewnie nie zmieniali ich położenia w trakcie jednego treningu. Przed wtargnięciem należało znać podstawowe fakty o tym miejscu. Gdzie stoją meble? Jakie przeszkody trzeba pokonać? Ilu w przybliżeniu ludzi znajduje się w środku? W jakim kierunku ruszą, kiedy nad ich głowami zaczną

świstać kule? Którędy będzie można stamtąd wyjść? Kto jest celem? Jak zadbać o bezpieczeństwo swoje i grupy? - Dobrze, bracia. - Gerald miał w rękach stoper. - Naprzód! - krzyknął.

Do środka wbiegło ośmiu pochylnych mężczyzn z wycelowaną bronią. Dwa cele zostały trafione dwoma strzałami. Mężczyźni rozdzielili się na cztery pary, ubezpieczając każdą z czterech ścian. Poruszali się cicho, bezszelestnie, dając sobie sygnały rękami, klepiąc kolegę w nogę, dając sygnał „stop” lub „ruszaj”. Wyimaginowane drzwi zostały otwarte, a spusty naciśnięte. Farba zabarwiła drzewa przed konstrukcją. Magazynek został przeładowany.

- Naprzód! - powtórzył Gerald.

Trzej mężczyźni przed Willem ruszyli do przodu, za nimi Dobie. Will trzymał broń skierowaną ku ziemi. Adrenalina zalała mu ciało. Pole widzenia się zawężyło. Serce łomotało. Musiał zacząć kontrolować oddech.

Temu służył trening. Po to człowiek ćwiczył w pełnym rynsztunku, chował się za prawdziwymi ścianami i otwierał prawdziwe drzwi, by nauczyć głupie ciało unikalnych odruchów i reakcji.

Grupa Brava wbiegła po schodach i skręciła w prawo. Grupa Charliego trzymała się za nimi. Will zobaczył na podłodze dwie napisane sprayem litery:

LG

Dobie skręcił w przeciwną stronę niż Bravo. Will szedł tuż za nim. Pobiegli wzdłuż balkonu i zatrzymali się przed fałszywymi drzwiami. Na sklejkę na podłodze widniała następna litera:

G

Dobie spojrzał na grupę Brava, dostał sygnał i udał, że otwiera drzwi.

Will nie podniósł karabinu. Dobie zaczął strzelać do otworu. Naciskał spust, póki nie opróżnił magazynka.

- Dobra, to wszystko. Dwadzieścia osiem sekund! - zawołał Gerald.

Will miał wrażenie, że wszystko trwało co najmniej dziesięć minut. Serce chciało mu wyskoczyć z piersi, upał dokuczał coraz bardziej.

Zdjął hełm, kominiarękę i gogle.

Nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

- Powiedz mi, bracie, dlaczego nie strzelałeś?

Will spojrzał na niego. Też pozbył się osłon z twarzy.

Średni wzrost, średnia waga. Brązowe oczy, brązowe włosy.

Kciuk trzymał za sprzączką paska, ale miał ramię zgięte pod dziwnym kątem. Nie trzymał tak ręki nawykowo, raczej próbował odciążyć ramię, ponieważ dwa dni temu został postrzelony.

A potem jego ludzie uprowadzili Sarę.

Dash ścisnął ramię Willa jeszcze mocniej.

- Majorze Wolfe?

Will musiał coś powiedzieć. Nie mógł po prostu mruknąć i kiwnąć głową. Potarł brodę, przywołując tożsamość Jacka Wolfe'a.

- Nie dotykaj spustu, jeśli nie chcesz zabić. - Wzruszył ramionami.

- Tu nie było kogo zabijać.

- Aha, idziesz za swoją radą - odparł Dash.

- Trening robi swoje - mruknął Will. Całą uwagę skierował na szukanie w twarzy Dasha jakichkolwiek oznak, że go rozpoznaje. - Jeśli strzelasz, strzelaj tak, żeby zabić.

- Może pójdziesz ze mną? Planujemy małą uroczystość. Założę się, że takie wielkoludy jak ty uwielbiają krwiste steki.

Will poczuł nagły skurcz żołądka. Powinien włączyć nadajnik. Dash tu był. Bez niego cały plan spaliłby na panewce.

Tylko co z Sarą?

- Chodźmy. - Gdy Dash zaczął schodzić po schodach, mężczyźni rozstąpili się przed nim. - Przetrenuj zespół pierwszy. Mają zejść poniżej dziesięciu sekund - zwrócił się do Geralda.

- Tak jest. - Gerald zsalutował. Mężczyźni na zapleczu zaczęli wkładać kominiarki i hełmy. Było ich szesnastu, wszyscy uzbrojeni

w Glocki i karabiny.

- Nigdy dotąd nie byłem w drugim zespole - powiedział Will.

Dash skwitował te słowa wybuchem śmiechu.

- To dla ciebie dobra wiadomość, bracie. W pierwszej fali zawsze są najwyższe straty. Generałowie nazywają ich mięsem armatnim.

Dash powiedział to w obecności swoich ludzi. Ten jawny brak szacunku dla ich życia nie zrobił na nich wrażenia. Wręcz przeciwnie, wyglądali na pobudzonych do działania.

- Po uroczystości zrobimy jeszcze jedną rundę - oznajmił Dash.- Uroczystości?

- Jutro ruszamy. Mamy światu Wiadomość do przekazania. Nie może czekać ani dnia dłużej.

Will poczuł w żołądku serię ukłuć.

- Nie przejmuj się, Wolfe. Przekonałem się, że wiesz, co robisz. - Dash rzucił sprzęt na stos. Nie zamienił broni treningowej na prawdziwą. Niebieska plastikowa nakładka wystająca z kabury kłuła w oczy.

Will rozpoznał uchwyt swojego Glocka 19. Dash wyjął jego broń z auta Sary, zabił nią dwóch ludzi i prawdopodobnie groził Sarze. Bez względu na to, co się stanie potem, Will miał zamiar odebrać Glocka i wepchnąć Dashowi lufę do gardła.

- Do tej misji ćwiczyliśmy ponad tysiąc godzin.

Will skinął głową, chociaż liczba podana przez Dasha była idiotyczna. Elitarna jednostka SEAL Team Six ćwiczyła tylko przez kilka dni przed atakiem na posiadłość, w której ukrywał się Bin Laden.

- Stworzyliśmy tu coś ważnego. Nasza społeczność jest młoda, ale zdeterminowana. Będą straty w ludziach, będą ofiary, ale Wiadomość jest ważniejsza od pojedynczego człowieka. Przekonasz się o tym, kiedy poznasz resztę grupy. Chcę, żebyś usiadł z moją rodziną. Żebyś nas poznał. Zrozumiesz, o co walczymy.

Will wątpił, czy Dash jest gotów poświęcić siebie. Megalomani używali wielkich słów, ale zawsze wychodzili z tego bez szwanku. Największe ofiary mieli ponieść „bracia”. którzy byli przekonani, że bieganie w czarnym stroju bojowym i w pełnym rynsztunku czyni z nich prawdziwych żołnierzy gotowych do wojny.

- Sporo tu młodych chłopaków - zauważył.

- Dlatego potrzebujemy twardych i zaprawionych w boju żołnierzy do szkolenia tych młodziaków. Może mógłbyś być jednym z tych żołnierzy, majorze Wolfe.

Will wzruszył ramionami, sugerując niezdecydowanie. Wchodzili w głąb lasu i zauważył dwóch mężczyzn z karabinami. Na jednym z drzew znajdowała się platforma. Siwowłosa mężczyzna opierał się o barierkę. Na ramieniu miał AR-15.

Jego sig sauer dałby radę zdjąć jednego z nich, zanim Will zostałby zastrzelony. Jeśli mieli w magazynkach tę samą pełnopłaszczową amunicję, jaką widział w punkcie etapowym, kula przeszłaby mu przez pierś jak przez wodę i trafiła Dasha prosto w głowę.

- Tędy, majorze. - Dash prowadził Willa w stronę wyraźnej ścieżki. Dobie gonił za nimi jak szczeniak, a zespoły B i C wlokły się kilka metrów za nimi.

- Myślę, że ci się tu spodoba. - Dash szedł ramieniem w ramię z Willem, chociaż ścieżka była wąska. - Gerald powiedział, że jesteś kumplem Beau.

- Tak, ale nie jestem... - Will pokazał gest wkłuwania igły w żyłę.

- To nie moja bajka.

- A co jest twoją bajką, bracie?

Will wzruszył ramionami. Nie mógł podać Dashowi odpowiedzi na tacy. - Ćwierć miliona dolarów to mnóstwo pieniędzy - zauważył Dash.

Will czuł na sobie jego taksujące spojrzenie.

- Co z nimi zrobisz, majorze Wolfe?

Pytanie nie było łatwe, chociaż Dash rzucił je jakby od niechcienia. Will dał sobie chwilę do namysłu. To nie był odpowiedni moment na tyradę Jacka Wolfe'a o wyższości białej rasy albo o rządzie, który zawiódł go na całej linii.

- Może pojedę w takie miejsce jak tutaj. Tylko ja i nikt więcej.

- Nie wzięłbyś ze sobą kobiety?

Will pokręcił głową, zerkając na Dobiego który przysłuchiwał się rozmowie z najwyższym skupieniem.

- Nie lubię komplikacji.

Dash pokiwał głową, lecz Will nie wyczytał z jego twarzy, czy trafił z odpowiedzią. Bez względu na wszystko nie mógł jej cofnąć. Dotarli do polany. Między drzewami rosnącymi na jej skraju stały nieduże chaty. Kobiety gotowały na otwartym ogniu, napełniały miski i talerze. Naliczył osiem kobiet. Trzech starszych mężczyzn na platformach między drzewami. Trzech na ziemi. Dwanaście młodszych kobiet krzątało się wokół stołów. Ustawiały naczynia, kładły sztuce. Dookoła biegała gromada dzieci. Kręciły się wokół własnej osi, śmiały się i pokrzykiwały. Will nie był w stanie ich zliczyć.

- Lubisz dzieci? - zapytał Dash.

Will poczuł, jakby oddech uwiązł mu w płucach. Skoro tu były dzieci, to w pobliżu mogła być Sara. Problem polegał na tym, że przy tylu dzieciach nie mógłby zacząć strzelać. Niektóre z nich dopiero zaczynały chodzić.

- Majorze Wolfe? - Dash nalegał na odpowiedź.

Will zorientował się, że Dash patrzy na dziewczynki. Potem pomyślał, że taki człowiek jak Dash nie uzna jego odpowiedzi za dziwną i niepokojącą.

- Ładne są te małe blondyneczki.

- Moje dziewczynki kochają tatusia - zachichotał Dash.

Will musiał wznieść się ponad uczucie odrazy.



- Ile jest twoich?

Dash zajął mu w oczy.

- Każda z nich należy do mnie.

Te słowa zabrzmiały jak groźba. Will z trudem się powstrzymał przed zaciśnięciem pięści. Powoli odwrócił głowę i spojrzał na Dobiego. Chłopak włożył do ust źdźbło trawy, potem machnął ręką, by odgonić muchę. - Czy ktoś go szkoli? - zapytał Will.

Dash uśmiechnął się znacząco, jakby w końcu zrozumiał majora Wolfe'a.

- Możesz go mieć, jeśli chcesz.

- Jasne. - Will pokiwał głową.

Dobie próbował złapać muchę w locie.

- Dobie, bracie, miej na oku majora Wolfe'a! - zawołał Dash i poklepał Willa po ramieniu. - Znajdę cię po uroczystości, przyjacielu. Wtedy zacznie się faza prawdziwego działania.

Will skinął głową bez słowa. Wsadził ręce do kieszeni, obserwując Dasha, który ruszył w stronę dzieci, a one pobiegły w jego kierunku z krzykiem:

- Tatuś! Tatuś! Tatuś!

Poczuł w ustach żółć i splunął na ziemię, by pozbyć się obrzydliwego smaku. Dash nie szkolił swoich zabawkowych żołnierzyków. Miał tylko jeden plan: zamordować jak najwięcej ludzi. Gdyby Will musiał zgadywać, powiedziała by, że jedynym „bratem”, który naprawdę przeciwiczył wyjście z budynku cało, był pedofil i rasista prowadzący całą resztę na pewną śmierć. To była misja samobójcza. I tyle.

Pomyślał o nadajniku GPS. Czas na znalezienie Sary bezlitośnie uciekał. Will dał sobie jeszcze piętnaście minut. Później nie byłby już mężczyzną, do którego Sara chciałaby wrócić.

- Widziałeś te kule, stary? - zapytał podekscytowany Dobie. - Spryskali je solanką po szynce wieprzowej, na wypadek gdybyśmy

trafili jakichś muzułmanów.

Nic bardziej idiotycznego nie mogłoby przyjść im do głowy. Pod wpływem soli metal korodował, a broń była z metalu. Ci ludzie najwyraźniej lubili zatykać pistolety i karabiny.

- Dash coś mówił, bracie? Powiedział ci, co będziemy robić? - zapytał Dobie. - Nikt nic nie wie. W kółko mówi o Wiadomości, my ćwiczymy, ale...

- Zamknij się. - Will omiół wzrokiem polanę. Dotąd naliczył czterdziestu mężczyzn, czterdziestu jeden razem z Dobiem. Kobiety gotujące coś na ogniu były starsze, ale dwanaście krzątających się wokół stołów miało niewiele ponad dwadzieścia lat. Nawet z tej odległości widział, że są ładne. To wyjaśniało, co trzyma tu Dobiego i jego trzech przyjaciół.

- No powiedz, bracie. Jesteśmy teraz zespołem. Powiedz, co mówił Dash - powtarzał Dobie błagalnie.

Na drugim końcu polany Will ujrzał długi niski budynek. Przy schodach była umywalka i kabina prysznicowa. Okna budynku zasłaniał biały papier.

Patrzył, jak otwierają się drzwi budynku.

- Przynies parę gatorade - polecił Dobiemu.

- Dash kazał mieć na ciebie oko.

Z budynku wyszła kobieta. Wysoka, smukła, w białej sukni, z włosami okrytymi białym szalem.

Dobie zaczął coś mówić, ale Will zdzielił go otwartą dłonią w twarz i chłopak runął tyłem na ziemię.

Kobieta usiadła na schodach i zaczęła wkładać buty.

Will wstrzymał oddech.

- Kurwa, stary. Za co? - jęknął Dobie.

Kobieta spojrzała w niebo. Jej jasna skóra była spalona słońcem.

Will zapomniał o wydechu. Płuca zaczęły mu wariować.

- Stary, kurwa, co z tobą?

Kobieta wytarła twarz rękawem sukni i zdjęła z głowy szal, a długie kasztanowe włosy opadły jej na ramiona.

Sara.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

WTOREK, 6 SIERPANIA, GODZINA 17:32

Sara złożyła prowizoryczny szal w staranną kostkę i owinęła głowę jedną z serwet w nadziei okiełznania loków po umyciu głowy. Miała ochotę ukryć twarz w materiale i zapłakać nad Michelle i Tommym oraz wszystkimi potwornościami, jakich była świadkiem. Jedynym uczuciem, jakie w sobie odnajdowała, była rozpacz.

Stan dzieci się nie poprawiał. Joy ciągle spała. Troje dorosłych zjawilo się w baraku, zgłaszając nudności, zmęczenie i kłopoty z oddychaniem. Benjamin popadł w stupor. Dyzenteria Lance'a minęła, ale bełkotał i skarżył się na podwójne widzenie. Symptomy mogły wskazywać wszystko od choroby odkleszczowej, przez zespół GuillainaBarrégo po jaskrę lub zbiorową psychozę.

Nic, co zastosowała Sara, nie zadziało. Leki mogły być złe. Antybiotyki i środki profilaktyczne mogły zostać nieprawidłowo oznakowane, były placebo albo trucizną.

Trucizna.

Czyżby Gwen była Aniołem Ciemności?

Podczas swojej kariery medycznej Sara wiele słyszała o przyspieszaniu śmierci nieuleczalnie chorych pacjentów. Pragnienie skrócenia komuś cierpień wydawało się czymś naturalnym, jednak bez względu na tragizm sytuacji nigdy nie natknęła się na osobę, która pod wpływem impulsu podjęłaby takie działania. Dzieci w baraku były chore, ale istniały leki, metody leczenia, które mogły je uratować. Dwa dni temu założyła, że Adriel będzie chroniona przez własną matkę. Dzisiaj wiedziała już, że Gwen nieobce jest zabójstwo, jeśli miało przynieść korzyść jej i mężowi. Ta kobieta dzieliła łóżko z wielokrotnym mordercą, a dzieci wychowywała

metodą zastraszania. Bóg jeden wiedział, do czego jeszcze była zdolna.

Omiotła wzrokiem polanę. Kobiety biegały w tę i z powrotem zajęte przygotowaniami do przyjęcia i schodzeniem Gwen z drogi. Wieczorna uroczystość miała być zwieńczeniem przygotowań do przesłania Wiadomości. Jeśli wszystko pójdzie po myśli Dasha, jutro świat się zmieni. Sara miała być Świadkiem. Wzdrygnęła się na myśl, z czym to mogło się wiązać. Dash zapowiedział tyle ofiar, że nikt nie będzie w stanie oszacować ich liczby. Sara znajdowała się o metry od szklarni, ale wejście do środka nie powstrzymałoby rozwoju wypadków. Obciążyłyby ją tylko straszliwą świadomością tego, co ma nastąpić.

Nigdy nie czuła się tak samotna, jak w tym zapomnianym przez Boga i ludzi zakątku gór.

Wstała i zeszła ze schodów. Przecięła trawiastą polanę. Widząc tyle nowych twarzy, straciła już rachubę. Młode kobiety nakrywały do stołu. Mali chłopcy dołączyli do gromadki córek Dasha. Uzbrojeni mężczyźni wciąż stali na staży. Buczenie generatora ucichło kilka godzin temu. Teraz słyszała głośne „trach, trach” dobiegające zza szczytu wzgórza.

Uznała, że to oznacza intensyfikację treningów.

Przestała wydobywać z zakamarków pamięci teksty piosenek i zastąpiła je mantrą:

„Czarna skrzynka, szklarnia, Kryjówka, Wiadomość, jutro”.

Wróciła do swojej teorii czynnika biologicznego, by przemyśleć ją na nowo. Przedtem za bardzo skupiła się na chorobach zakaźnych, z którymi wiązała się praca Michelle w CDC. Tymczasem w ramach CDC działało też laboratorium chemii klinicznej, które pełniło rolę światowego laboratorium referencyjnego dla pewnych chorób zakaźnych. Ich Narodowy Program Biomonitoringu badał poziom narażenia na laseczki węgliką, jadu kiełbasianego, pałeczki krztuśca

czy aflatoksyny. Michelle musiała mieć głęboką wiedzę chemiczną, by przetransferować te dane na praktyczne metody leczenia.

Na roku przygotowującym do studiów medycznych Sara wybrała chemię jako przedmiot dodatkowy. Wiedziała, że termit powstaje ze zmieszania glinu z tlenkami metali. Kwas naftenowy w połączeniu z kwasem palmitynowym tworzą napalm. Ogrzewanie fosforanu wapnia z piaskiem i koksem daje fosfor biały, lepłą, woskową substancję tak bardzo podatną na samozapłon, że należy ją przechowywać pod wodą.

Każdą z tych substancji można zsyntetyzować w przemysłowym laboratorium... albo w szklarni z urządzonym w środku laboratorium. Przy umiejętnym obchodzeniu się z tymi substancjami można umieścić wkład z amunicją zapalającą we wszystkim, od ręcznego granatu przez pocisk aż po „czarną skrzynkę”. Eksplozja takiego ładunku miałaby katastrofalne skutki, zwłaszcza na gęsto zaludnionym obszarze. Fosfor może wypalić skórę i organy wewnętrzne. Polewanie termitu wodą wywołuje eksplozję parową i rozprysk gorących fragmentów we wszystkich kierunkach. Napalm powoduje szereg skutków, od poparzeń po śmierć przez uduszenie.

Jeśli Dash planował zdetonowanie czarnej skrzynki w budynku typu Konstrukcja, ofiary byłyby liczone w tysiącach.

- Co z nią? - zapytała Gwen, chowając ręce za fartuch. Stała przy stole z kilkoma maszynkami do lodów na blacie i kręciła je ręcznie. - Adriel. Co z nią? Lepiej?

Sara wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową, manifestując w ten sposób swoje prawdziwe emocje.

- Czemu pytasz? I tak nie zrobisz nic, żeby jej pomóc.

Gwen uruchomiła jedną z maszynek. Kawałki soli kamiennej spadły na stół. Powietrze wypełnił aromat świeżej wanilii. Sara pomyślała, że podobny zapach wydziela cyjanek po przetworzeniu przez ciało.

- Witam, moje panie. - Dash wyszczerzył zęby w szerokim

uśmiechu. Ledwie szedł, ponieważ Esther i Grace wczepiły się w jego nogi, chichocząc jak opętane.

- Wszystko dobrze, doktor Earnshaw? - zapytał.

Sara skinęła głową. Nie odezwała się do niego od momentu, w którym kazała mu się odczepić. Przypuszczała, że jak większość megalomanów nie mógł znieść sprzeciwu.

- Jak nasi pacjenci? - nie dawał za wygraną.

- Nie jestem zadowolona z postępów. Jest pan pewien, że leki są...

Grace zapiszczała, gdy matka napełniła lodami dwa nieduże papierowe kubeczki.

- Podziel się z siostrą - poleciła.

Dziewczynki pobiegły do dzieci, piszcząc z radości.

- Nie jestem lekarzem specjalistą, doktor Earnshaw, ale czy mam rację, gdy powiem, że małe dzieci często chorują bez powodu? - odparł Dash.

Sarę zirytowała każda część jego pytania.

- Jako lekarz specjalista mogę powiedzieć, że symptomy występujące u dzieci to nie są następstwa zakażenia odrą.

- Hm - mruknął Dash, udając namysł, chociaż nie miał pojęcia, o czym mowa.

- Chyba powinienes coś powiedzieć, zanim zaczniemy - odezwała się Gwen.

Dash uśmiechnął się do żony.

- Jeśli pani nie ma nic przeciwko temu, doktor Earnshaw, chciałbym, aby pani poszła ze mną.

Nie poprowadził jej w stronę miejsca piknikowego. Zamiast tego wskazał jej chatę służącą za więzienie. Jeśli uważał, że zamknięcie Sary jest dla niej karą, to się mylił.

- Piękny wieczór. Wreszcie upał zelżeje - zagadnął.

Sara milczała. Broń w kaburze Dasha wyglądała inaczej. Poznała niebieską nakładkę, która umożliwiała dostosowanie broni do

amunicji ćwiczebnej.

- Przykro mi poruszać tę kwestię, pani doktor, ale wygląda na to, że zdenerwowała pani moją żonę.

Sara przygryzła wargę. Dotąd Dash jej nie upominał.

- Nie mogę dopuścić do niesnasek w Obozie, zwłaszcza nie dziś wieczorem. Nasza jutrzejsza akcja jest zbyt ważna.

Sara odwróciła się, by na niego spojrzeć.

Zobaczyła wyraźnie, że Dash nie da za wygraną. Uśmiechał się, ale jeden kącik ust powędrował wyżej niż drugi. To nie była opadająca maska. To było radosne wyczekiwanie na spektakl okrucieństwa.

- Wziąwszy pod uwagę coraz mniej znaczącą pomoc Michelle, miałem nadzieję, że przejmie pani jej zadanie jako naszego Świadka.

W pierwszej chwili Sara odwróciła wzrok, besztając się w duchu za zabawę w rosyjską ruletkę. Była zakładniczką. On był mordercą. Na jej oczach zastrzelił człowieka. Wiedziała, że podłożył bomby w Emory. Planował jeszcze bardziej spektakularną potworność. Stawanie okoniem i prowokowanie Dasha było najkrótszą drogą do śmierci.

- Gwen twierdzi, że dałem pani za wiele swobody.

Sara patrzyła, jak wyjmuje broń z kabury. Niebieska nakładka modyfikująca rzucała się w oczy. Dash nie miał pojęcia, że Sara wie o nieszkodliwości naboju barwiących. Bawiło go, że może nią manipulować.

- Ma pan rację. - Sara próbowała go udobruchać. Broń Dasha nie stanowiła dla niej zagrożenia, ale na polanie znajdowało się trzydziestu sześciu mężczyzn z prawdziwą bronią. - Byłam rozstrojona z powodu dzieci. Nie powinnam odzywać się do Gwen w ten sposób. Albo do pana.

- Nie robię tego dla siebie. - Dash nie wycelował do niej, zamiast tego ważył broń na dłoni. - Tak między nami, to nieczęsto spotykam osoby dorównujące mi intelektualnie. Być może pozwoliłem sobie na



zbyt wiele potyczek słownych z panią. - Ja...

Dash wycelował jej w brzuch.

- Skończmy to nad rzeką - powiedział.

- Jeszcze chwila. - Sara spojrzała ponad jego ramieniem, jakby czekała na czyjąś pomoc. Dziewczynki siedziały przy stole. Otaczali je mężczyźni ubrani na czarno. Młodszy i starsi, wszyscy gładko ogoleni z wyjątkiem jednego.

Łzy napłynęły jej do oczu. Wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Doktor Earnshaw? - odezwał się Dash.

Sara zasłoniła dłonią usta.

Will?

Przy stole piknikowym. Żartujący z dziewczynkami.

Czy to naprawdę on?

- Doktor...- zaczął Dash.

- Przepraszam! - wyrzuciła z siebie Sara. - Przepraszam, bardzo przepraszam. - Złożyła trzęsące się ręce jak do modlitwy. - Proszę mi wybaczyć. Przepraszam. Tak mi przykro. - Nie mogła przestać błagać. Czy Will ją zauważył? Nawet nie spoglądał w tę stronę. - Poprawię się. Obiecuję. Proszę. Niech mi pan pozwoli... Powiedział pan, że jestem Świadkiem. Powiem im, że jesteście... jesteście społecznością. Rodziną.

Dash zmrużył oczy. Jej skrucha przyszła za późno.

- Proszę. - Ręce Sary trzęsły się tak bardzo, że nie mogła utrzymać ich razem. Will odwrócił się od niej. Zobaczyła jego plecy i szerokie ramiona. - Dash, błagam... - Pierwszy raz zwróciła się do niego po imieniu. - Przepraszam. Nie rób mi krzywdy. Błagam. Nie chcę tego. Błagam, nie.

- O co chodzi? Boi się pani, że ją zgwałcę?

- Nie. - Sara była tak zdesperowana, że omal nie wykrzyczała tego słowa. - Nie, oczywiście, że nie. Ja tylko...

- Zapewniłem panią, że nikt pani nie tknie.

- Wiem, ale... - Z jej gardła wydobył się szloch. Spojrzała w stronę Willa, błagając w duchu, by się obejrzał. - Proszę... Zobaczyłam broń i pomyślałam...

- Przestrzegamy umów Konwencji Genewskiej. - Dash zamachał bronią. - Powiedziałem, że nie jesteśmy zwierzętami. Jesteśmy żołnierzami.

- Wiem, wiem. Ale tak mi przykro. Nie powinnam tego mówić.

Denerwuję się z powodu dzieci. Są bardzo chore. A Michelle... Odwróć się, odwróć się, odwróć się...

- Doktor Earnshaw, jestem żonaty.

- Wiem. - Sara nie próbowała ocierać łez. - Przepraszam. Do tej pory powinnam już znać cię lepiej. Teraz wiem, że nigdy byś nie... Jesteś uczciwym człowiekiem. Zawsze dotrzymujesz słowa.

- Właśnie.

- Dash, tak mi przykro. Ja... zobaczyłam broń i spanikowałam, bo mój... mój mąż został zastrzelony właśnie z takiej broni. - Nie miała pojęcia, skąd przyszło jej to do głowy, ale najwyraźniej Dashowi spodobała się ta odpowiedź.

- Na pewno zastrzelił go brudny mieszaniec.

- Boję się broni - ciągnęła Sara. - Przeraza mnie. Jest wszędzie.

Wszędzie. Tak się boję. Cały czas. Przepraszam, że nie jestem...

Dash westchnął teatralnie, powoli wsadził broń do kabury i poprawił zapięcie na rzep.

- Doktor Earnshaw, gorąco pragnę, by takie dobre białe kobiety jak pani przestały się bać. - Położył jej dłoń na ramieniu. - Kiedy świat zostanie oczyszczony z mieszańców i ich promotorów, skończą się przestępstwa, jakie odebrały pani męża. Policjanci na ulicach znowu będą bezpieczni. Prawo i porządek zostaną przywrócone. Będzie pani ostatnią taką wdową.

Sara kiwnęła głową. Nie była w stanie wykrztusić słowa. Trzęsła się na całym ciele. Spojrzała w ziemię. Łzy spłynęły jej na koniuszek

nosa. Dash poklepał ją po ramieniu.

- Niech się pani ogarnie, pani doktor. Lepiej, żeby dzieci nie widziały pani w takim stanie.

Sara dzwoniła zębami, idąc za Dashem na polanę. Ledwie była w stanie unosić nogi. Każdy nerw miała na wierzchu. Nie czując nic przez tak długi czas, teraz nie mogła przestać czuć wszystkiego. Wbiła wzrok w ziemię. Bała się, że jeśli spojrzy na Willa, załamie się i zemdleje.

Przy stole Gwen pouczała dziewczynki w kwestii dobrych manier. Sara pozwoliła sobie zerknąć na twarz Willa. Miał włosy sklezione potem. Sińce pod oczami. I odstręczającą brodę.

Poczuła nagły zawrót głowy. Wróciło do niej wspomnienie gwałciciela. Rozlało się po całym ciele.

Gęsta broda cuchnąca papierosami i smażeniną.

Lepka blada skóra.

Zawartość żołądka podeszła jej do gardła. Wysiłkiem woli powstrzymała wymioty. Oczy ją paliły.

- Proszę usiąść, doktor Earnshaw. - Dash strzepnął serwetkę i położył ją sobie na kolanach. - Majorze Wolfe, to nasza pani doktor pediatra. Mieliśmy tu chore dzieci. Na szczęście większość moich córek przetrwała najgorsze.

Will mruknął coś niewyraźnie. Intensywnie wpatrywał się w stek i nie podniósł wzroku znad talerza.

Sara zajęła miejsce obok Grace. Will siedział na drugim końcu stołu po przeciwnej stronie. Przy nim siedział jakiś nastolatek. Wyprostowany, ze skrzyżowanymi ramionami, wyraźnie naśladował pozę Willa.

Sara wbiła paznokcie w dłonie. Z trudem wróciła do rzeczywistości. To tylko paskudna broda. Sara nie była przykuta do sedesu w kabinie. Will nigdy by jej nie skrzywdził. Kochał go. On kochał ją. Znalazł się tu z jej powodu. Żeby ją uratować.

Omiotła wzrokiem polanę. Strażnicy w lesie. Karabiny, glocki, noże myśliwskie i dzieci.

Jak Will miał zamiar ją ocalić?

Dash wyjaśnił Sarze:

- Major Wolfe służył w siłach powietrznych z naszym przyjacielem Beau.

Sara wciąż nie mogła zapanować nad drżeniem rąk. Skupiła się na jedzeniu. Znowu dostała ser i krakersy. Obok jej talerza leżało jabłko. Inne kobiety miały miseczki z potrawką. Mężczyźni dostali steki, ziemniaki, butelki wody i gatorade.

- Po naszej ostatniej akcji zabrakło nam paru żołnierzy - ciągnął Dash. - Jestem pewien, że major walnie przyczyni się do wysłania naszej Wiadomości.

Sara nie mogła dłużej ignorować Willa. Zmusiła się, by na niego spojrzeć. Spojrzeć naprawdę i naprawdę zobaczyć.

Kroił stek. Ze środka wyciekła krew. Sara dostrzegła jego obrzydzenie. Will zdecydowanie wolał mięso ugotowane na podszwę. Na urodziny zaprosiła go kiedyś na steki do jednej z najlepszych restauracji w Atlancie i ze zgrozą patrzyła, jak polewa ketchupem porcję najlepszej wołowiny japońskiej za dziewięćdziesiąt dolarów.

W końcu odzyskała normalny oddech. Zakręciło się jej w głowie od nagłego dopływu tlenu.

Tego wspomnienia powinna się kurczowo uchwycić. Właśnie na tę kolację pierwszy raz włożyła czarną sukienkę, którą Will tak lubił. Zmysłowym głosem przeczytała mu menu. Nie pozwoliła sprawdzić cen, ponieważ natychmiast wyliczyłyby, ile porcji steków mógłby zjeść za tyle samo w Waffle House.

- Doktor Earnshaw? - Dash zbyt łatwo wyczuwał jej nastroje. Musiała skończyć z tym emocjonalnym rollercoasterem.

- Przepraszam. - Odłamała kawałek sera i z wysiłkiem włożyła go

do ust. Nie mogła zapanować nad strumieniem łez ciekących po policzkach. W tamtej restauracji namówiła Willa do skosztowania jej ulubionej szkockiej, a on omal nie wypluł płuc. Przez cały wieczór trzymali się za ręce, a potem obściskiwali się w aucie jak para nastolatków. – Tatusiu, zapytasz majora Wolfe’a, czy ma żonę? – poprosiła Grace. – Ty sama właśnie to zrobiłaś, cukiereczku – uśmiechnął się Dash.

Grace podskoczyła z ekscytacji.

– Majorze Wolfe, ma pan żonę? – zapytała.

Will przeżuwał kęs steku jak charty Sary przeżuwały gorzkie lekarstwo na robaczyce serca. Przełknął go głośno.

– Nie – odparł.

Z Grace uleciało powietrze.

– Ale kiedyś – Will przełknął ślinę – byłem na ślubie.

Sara wiedziała, że ledwie wziął udział we własnym ślubie. Cały ten cyrk był dla niego wyzwaniem.

– Na przyjęciu podawali świeże muffinki – dodał.

– Och... – Grace była zaintrygowana. – Jakie muffinki?

– Z kawałkami czekolady. Z wiórkami kokosowymi. Z żurawiną. Z borówkami. Z trocinami. – Will podrapał się po ohydnej brodzie. Dziewczynki nie wiedziały, czy żartuje, czy mówi poważnie. – A znacie dowcip o dwóch muffinkach w piekarniku?

Podeksytowana Grace była w stanie tylko potrząsnąć głową.

– Pierwsza muffinka rozgląda się po piekarniku i mówi: „Rany, ale tutaj gorąco”. – Will wytarł usta, potęgując napięcie u małych słuchaczek. – Na to druga muffinka zaczyna krzyczeć: „Na pomoc! Ta muffinka gada!”.

Dziewczynki nie nawykły do żartów. Przez chwilę panowała cisza, którą przerwał wybuch dziecięcego śmiechu. Nawet Gwen pozwoliła sobie na uśmiech. Grace chichrała się tak bardzo, że Sara musiała ją przytrzymać, ratując przed upadkiem z ławki.

Dash zabębnił palcami w stół i dziewczynki natychmiast umilkły. Sara pomyślała o chłopcach przed okresem dojrzewania, których Dash odsyłał z Obozu.

Nie tolerował konkurentów.

- Nie posądzałem pana o poczucie humoru, majorze Wolfe
- stwierdził.

Sara podjęła próbę rozładowania napięcia.

- Grace, czy mówiłam ci już o...
- Dobie - Dash wszedł jej w słowo - odprowadzisz doktor Earnshaw do jej chaty? Obawiam się, że Lance nadal źle się czuje. Majorze Wolfe, dotrzyma mu pan towarzystwa. Trening z zespołem odbędzie pan później. I tak lepiej przeprowadzić trening w ciemnościach. Przyślę kogoś po pana, kiedy wszystko będzie gotowe.

Przez ciało Sary przepłynęła fala gorąca. Will zabierze ją do chaty. Tego głupawego chłopaka kręcącego się przy nim mógł z łatwością ogłuszyć i unieszkodliwić. Mogliby uciec, ale dokąd? Will musiał mieć plan. Zawsze miał plan. Splotła dłonie pod stołem, by zapanować nad ich drżeniem.

Dobie wstał. Po chwili usiadł, gdy zorientował się, że Will do niego nie dołącza.

Sara czuła narastającą irytację. Co on wyprawia? To była dla nich szansa. Mogli pobiec do lasu i...

Dać się zastrzelić mężczyznom na ambonach. Albo strażnikom ukrytym w lesie. Will mógłby odpowiedzieć ogniem i zabić jedno z dzieci.

Łzy znowu popłynęły jej z oczu.

Will zakręcił butelką Gatorade i opróżnił ją do końca. Dobie zrobił to samo. Przelykał płyn jak bocian. Will w końcu wstał, a jego nastoletni cień ruszył za nim dokoła stołu.

Will złapał Sarę za ramię.

Krzyknęła, chociaż nie poczuła bólu.

- Delikatnie, majorze Wolfe - upomniał go Dash. - Doktor Earnshaw jest bardzo istotną częścią naszej Wiadomości. - Skinął w stronę Dobiego. - Miej oczy szeroko otwarte.

Sara wstała. Czuła, że za chwilę kolana odmówią jej posłuszeństwa. Poszła przodem przez polanę w stronę chaty. Wróciło do niej wspomnienie sprzed dwóch dni, kiedy szła w stronę swojego bmw, zdając sobie sprawę, że zostanie uprowadzona.

Co teraz? Co teraz?

Słyszała za plecami pewne kroki Willa. Dobie włókł się wolniej. Chciała się odwrócić. Chciała zatrzymać świat i utonąć w objęciach Willa na kilka sekund.

Znaleźli się przed chatą. Sara weszła na kłodę. Will musnął jej plecy, a ona zadrżała pod tym dotykiem.

Zamknęła za sobą drzwi.

- Stary, to jakaś kara dla nas. - Głos Dobiego rozbrzmiał bardzo blisko, gdy chłopak manipulował przy kłodce. Sara chciała krzyknąć.

Klucz miał tylko Dash. - Miałem ochotę na lody - przyznał.

- Idź i weź porcję - zaproponował Will.

- Mowy nie ma, brachu. Dash rozerwałby mnie na strzępy. - Ziewnął głośno i szeroko. - Rany, ale jestem wykończony.

- To adrenalina. - Will usiadł na kłodzie pod drzwiami. Miał inny głos: niższy, twardszy, ostrzejszy. - Idź i odpręż się. Spędzimy tu trochę czasu.

Sara położyła się na brzuchu. Spojrzała przez szparę pod drzwiami. Zobaczyła Willa. Był tak blisko, że mogła wsunąć rękę pod drzwi i dotknąć go. Serce zabiło jej nerwowo z tęsknoty pomieszanej ze strachem. Chłopak mógł to zauważyć. Czy powinna ryzykować? Wystarczyłoby jej lekkie dotknięcie pleców Willa, by znów zyskać oparcie.

Powinna czy nie?

Dobie ziewnął.

- Myślę, że... - Kolejne ziewnięcie nie pozwoliło mu dokończyć zdania.- Jutro wielki dzień - stwierdził Will.

- Tak, Wiadomość. Cokolwiek to znaczy. - Dobie rytmicznie uderzał potylicą w drzwi chaty, wprawiając kłódkę w ruch. - Dash ci powiedział, co robimy?

Niemal widziała, jak Will pokręcił głową, a potem usłyszała, jak spytał:

- A ty wiesz?

Teraz Dobie z pewnością pokręcił głową. Szczęk kłódki ustał.

- Muszę przyznać, że mam obawy, stary - mówił dalej Will. - Niełatwo robić takie rzeczy. Zginą ludzie. Na postoju pośrednim naliczyłem około dziesięciu tysięcy naboju. Trzydzieści sześć AR-15. Czterdziestu ludzi. Pięć czarnych furgonetek. Dwa zespoły trenujące wtargnięcie do hotelu, meczetu, biurowca czy... sam nie wiem.

Sara poczuła, jakby ktoś włączył jej w głowie przełącznik. Will właśnie informował ją, co widział.

- Bravo idzie w jednym kierunku, Charlie w drugim - ciągnął. - My jesteśmy Charlie, tak? Czyli jest nas sześciu w grupie drugiej. A co z trzydziestoma dwoma gośćmi w pierwszej grupie? Jakie mają zadanie, skoro my wchodzimy po nich? I ciągle się zastanawiam, po co pokrywać amunicję solanką z wieprzowiny. Trup to trup, nie? A te pudła, które podmieniliśmy w magazynie?

Czyżby czarne skrzynki?

- Po co zastępować jedne pudła takimi samymi pudłami? Brązowe kartony z listami przewozowymi w plastikowych koszulkach na dokumenty. Te, które ukradliśmy, stoją w blaszanym magazynie na drugim końcu konstrukcji do ćwiczeń. Co się stało z tymi, które zostawiliśmy w magazynie?

- Nie wiem - wymamrotał Dobie, jakby odpływał w sen.

- Ćwiczymy ten sam manewr - mówił dalej Will. - Schodami w górę, tam jedni w lewo, drudzy w prawo. To wygląda jak litera T.



Na podłodze po jednej stronie napisali sprayem LG, a po drugiej tylko G. Co to oznacza? Litery LG są blisko szczytu schodów, ale G na drugim końcu balkonu. Może to jednak nie jest L. To może być duże I.

Dobie cmoknął.

- To wariactwo. Zgadzasz się, bracie? - zapytał Will.

Dobie nie odpowiedział. Miał głęboki regularny oddech. Sara spojrzała pod drzwiami, ale widziała tylko jego chude ramiona.

Słyszała, jak Will pstryka palcami, co zabrzmiało jak trzask suchej gałązki.

- Dobie? - powiedział. A po chwili: - Ej, chłopcze?

Sara zobaczyła, że Will bierze go na ręce jak dziecko. Odwrócił się od niej i wszedł do lasu. Widziała, jak znika po kawałku: nogi, ramiona, czubek głowy. Czekala. I czekała. Uklękła, przycisnęła dłoń do drzwi. Co on robił? Odchodził? Wróci?

- Saro? - W szparze pod drzwiami pojawiła się dłoń Willa. Przebierał palcami, szukając jej palców. - Saro, jesteś tam?

Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Była tylko w stanie pochylić się i przycisnąć wargi do jego pięknej dłoni.

- Saro, wszystko w porządku? - z napięciem w głosie spytał Will.

Załkała cicho, wtulając twarz we wnętrze jego ręki. Wylała się z niej cała tęsknota, która wzbierała od dwóch dni.

Kocham cię. Potrzebuję cię. Tęskniłam za tobą. Nie zostawiaj mnie, proszę.

- Jestem tu. - Will odchrząknął. Pociągnął nosem. - Jestem.

Sara rozplakała się bardziej, wiedząc, że on próbuje powstrzymać się od płaczu.

- Skarbie... - urwał, zawieszając się na tym słowie. Znowu odchrząknął. - Czy to... nowa sukienka?

Zaśmiała się przez łzy.

- Podkreśla twoją zaczerwienioną skórę - dodał.

Znowu się zaśmiała. Ujęła jego dłoń obiema rękami.

- Sama ją sobie zrobiłam.

- Naprawdę? Tego bym nie zgadł. Jest taka... piękna.

Sara oparła czoło o drzwi. Zamknęła oczy, przeklinając dzielące ich deski. Wyobraziła sobie, że opiera mu głowę na ramieniu. Że on obejmuje ją w pasie. - Co z Dobiem? Może nas usłyszeć?

- Hm, z tym się wiąże śmieszna historia. Brałem tabletki, które dostałem od Amandy. - Will urwał. - Myślę, że to percocet.

- Co? - Sara była tak wstrząśnięta, że jej obawy zeszły na drugi plan.

- Amanda powiedziała, że to aspiryna, ale potem się zorientowałem, że to ten sam lek, który dała Beau, gdy szliśmy do parku. - Will przezornie pominął szczegóły. - Tak czy siak, wszystkie tabletki rozpadły się w woreczku, bo za bardzo się spociłem, ale wsypałem Dobiemu mniej więcej dwie i pół tabletki do gatorade. - Urwał na chwilę. - Zabiłem go?

- Uhm... nie. - Sara potrząsnęła głową w staniej najwyższej frustracji. Dlaczego, do cholery, Will opowiada jej tę idiotyczną historyjkę o Dobiem?

Serce w niej zamarło.

Will mówił jej o tym, ponieważ nie miał nic innego do powiedzenia.

Nie miał planu. A przynajmniej takiego planu, który wyrwałby ją z tego piekła. Widział Konstrukcję. Informacja o kartonowych pudłach była dla niej czymś nowym. Dziesięć tysięcy sztuk amunicji spryskanej solanką po wieprzowinie. Czterdziestu uzbrojonych mężczyzn. Wszystko przygotowane z myślą o ataku, który miał nastąpić gdzieś - nie wiadomo gdzie - jutro.

- Mam w kaburze nadajnik. Próbowałem go włączyć, ale wydaje mi się, że w baterii mogło nastąpić zwarcie. Albo jesteśmy za wysoko w górach. Nadajnik nie ma połączenia z satelitą. Pracuje poza systemem sieci komórkowej.

Sara przywarła do drzwi. Splotła palce z palcami Willa.

Złapał ją za rękę.

- Mógłbym zastrzelić wielu ludzi, ale...

- Dzieci. - Sara wiedziała, że jest coś więcej. Jedynym sposobem powstrzymania Dasha było udawanie, że Will jest majorem Wolfe'em, którego Dash potrzebował na Misji.

Każdą cząstką siebie pragnęła znaleźć się jak najdalej stąd.

- Dash chce, żebym była jego Świadkiem, cokolwiek to znaczy.

Obiecał, że jutro mnie uwolni.

Will milczał, ale przez dzielące ich drzwi wyczuła jego sceptycyzm. Wzięła głęboki wdech.

- Da się tu wytrzymać. Nie robi mi krzywdy. Nikt nie robi mi krzywdy. I są tu dzieci. Bardzo chore dzieci, Will. Myślałam, że to odra. I to rzeczywiście była odra, ale teraz to już coś innego. Nie wiem, co się z nimi dzieje. Coraz to nowi ludzie chorują, a ja muszę tu zostać, żeby się nimi zająć.

Michelle pracowała nad czymś w szklarni. Szklarnia jest...

- Po drugiej stronie ścieżki - dokończył Will. - Widziałem. Namiot termoizolacyjny. Przed nim dwaj strażnicy. Jeden między drzewami. Nie wiem, kto tam jeszcze jest. Teraz nie mogę tam wejść. Może potem, ale nie wiem.

Sara czuła, że pogrąża się w rozpacz.

- Michelle napisała wiadomość na dłoni. Przeczytałam ją, kiedy... kiedy znalazłam jej ciało. - Zagryzła wargi, by nie wybuchnąć płaczem.

- Napisała słowa CZARNA SKRZYŃKA.

- Czarna skrzynka - powtórzył. - Jak w samolocie?

- Tego nie wiem. To może być bomba. Może czynnik biologiczny. Musimy ich powstrzymać, Will. Nie możesz się o mnie martwić. Tu chodzi o więcej istnień niż jedno. Na pewno widziałeś, co zrobili w Emory. Znam Dasha. Planuje coś o wiele bardziej spektakularnego.

To ma być jego Wiadomość. Chce zamordować setki, może tysiące ludzi.

Will nie odpowiedział. Sara wiedziała, że już to wszystko analizował, sprawdził słabe punkty, szukał możliwości. Stąd można było wyjść tylko w jeden sposób: ruszając naprzód. Will nie martwił się niebezpieczeństwem, jakie grozi mu jutro. Dręczyła go myśl, że będzie musiał zostawić Sarę.

- Już dobrze. - Sara nie mogła być silna dla siebie, musiała jednak być silna dla niego. - Nic mi nie będzie, skarbie.

Will westchnął ciężko.

- Kochany - zaczęła Sara z coraz bardziej ściśniętym gardłem. - Nic mi nie będzie. Wyjdziemy z tego oboje. Wiem, że tak będzie.

Znowu odchrząknął. Robił to samo co ona. Próbował się trzymać i być silny dla niej.

- Twoja rodzina modliła się za ciebie - powiedział po dłuższej chwili. - Twoja mama poprosiła mnie, żebym do nich dołączył. Wszyscy opuściliśmy głowy. Myślę, że zrobiłem to jak należy.

Sara zamknęła oczy. Przyjęli go do swojego kręgu.

- Twoja siostra jest bardzo wylewna. Ciągłe dotyka innych ludzi.

Sara uśmiechnęła się na myśl o minie Willa, gdy został skonfrontowany ze stylem bycia Tessy.

- Będziesz musiał do tego przywyknąć.

- Tak. - Will znowu pociągnął nosem. - Wiesz, muszę ci coś powiedzieć. Wyznać coś jeszcze. - Celowo przedłużał, budując napięcie. - Oglądałem odcinek „Buffy”, w którym Giles wylatuje, bo zadarł z Cruciantum.

Sara pozwoliła sobie na chwilę wejść w tę żartobliwą konwencję.

- Ty sukinsynu.

Jego śmiech był wymuszony.

- Nie było cię przez dwa dni. Co miałem robić?

Sara upajała się niskim brzmieniem jego głosu. Szorstkość

zniknęła. To był jej Will.

- Kochany, znasz tę piosenkę? Jest facet: „you were at a motel bar, but you got too big for your britches”; i dziewczyna: „yeah, I was at the bar and it was great, loser, but I’m outta here”<sup>15</sup>?

Will zaklął pod nosem.

- A potem on...

- „Don’t You Want Me” - przerwał jej. - The Human League. I to się działo w koktajlbarze.

- Cholera, niewiele brakowało. - Tym razem Sara nie musiała nawet udawać ulgi. - Jeszcze jedno...

- Saro, jeśli spieprzysz kolejną piosenkę, przysięgam, że sobie idę.

Uśmiechnęła się szeroko, ponieważ wreszcie poczuła się normalnie.

- Nie chodzi o piosenkę. Chodzi o te porosty, które hodujesz na twarzy.

- Skarbie, to moje przebranie.

- Jest ohydne i musi zniknąć. - Uśmiech Sary też zaczął znikać. Wyczerpywały się tematy, które mogli poruszyć, unikając rozmowy o rzeczach, które naprawdę miały znaczenie.

- Co teraz? Nie podoba ci się mój strój?

Sara spojrzała na ich dłonie.

Jego lewa. Jej prawa.

- Dziękuję - powiedziała.

- Za co?

- Że pozwalasz mi się kochać.

Will umilkł. Zacisnął tylko mocniej palce na jej dłoni.

Sara tyle razy pomstowała na Willa za milczenie, ale w tej bezcennej chwili słowa były niepotrzebne. Will gładził kciukiem wnętrze jej dłoni. Delikatnie wędrował wzdłuż linii papilarnych i wgłębień, potem przycisnął nadgarstek w miejscu, gdzie puls był najbardziej wyczuwalny.

Zamknęła oczy. Oparła głowę o drzwi. Słuchała bicia własnego

serca w komfortowej ciszy, póki Will nie musiał już iść.

# **CZEŚĆ TRZECIA**

ŚRODA, 7 SIERPANIA 2019 ROKU  
GODZINA PRZED WYSŁANIEM WIADOMOŚCI

# ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ŚRODA, 7 SIERPANIA, GODZINA 8:58

Faith spojrzała na zegarek.

Godzina 8:58.

Siedziała na ławce w terminalu międzynarodowego lotniska w Atlancie i podierała głowę dłonią. Ucho ją paliło od telefonu komórkowego. Amanda była wściekła, odkąd wczoraj po południu stracili kontakt z Willem, a jej furia sięgnęła zenitu, kiedy otrzymała polecenie streszczenia sprawy gubernatorowi na Kapitolu. Dzisiaj rano.

- Wszystko, co do tej pory ustaliliśmy, wskazuje na lotnisko. Michelle Spivey była tu przed wybuchem bomb. Dash, Hurley, Carter i Vale musieli być z nią. Co planowali? Dlaczego ryzykowali zdemaskowanie? Udało im się? Istnieje druga część planu? - mówiła Amanda do Faith.

Nie musiała przypominać tych pytań, bo uwierały Faith jak kamień w butcie, gdy przebijała się przez miasto w porannym szczycie, by dotrzeć na lotnisko.

- Sterczenie tu i oglądanie bandy żarłocznych polityków, którzy opychają się ciasteczkami, to ostatnia rzecz, jaką powinnam teraz robić - wyrzuciła z siebie oburzona.

W tle Faith słyszała echo kroków i głosów niosących się po marmurowym atrium Kapitolu. Gubernator zwołał nadzwyczajną sesję, podczas której miało się odbyć głosowanie nad sfinansowaniem robót koniecznych po ostatnim huraganie. W gmachu nie było bufetu, ale tam, gdzie politycy, tam zawsze są lobbyści gotowi przekupić ich darmowym jedzeniem. - Lyle Davenport nie wybrał numeru telefonu adwokata z książki telefonicznej.



Faith poczuła w ustach gorzki posmak. Davenport był tym gówniarzem, który przyjechał czerwona kłosa na spotkanie z Willem na stacji Citgo. Amanda wysłała za nim patrol drogowy, by go zatrzymał za nadmierną prędkość. Policjanci przeszukali jego auto i znaleźli niezarejestrowaną broń, a chłopak już trzymał w ręku wizytówkę swojego adwokata, gdy kazano mu założyć ręce za głowę.

- Po nocy w areszcie Davenport nawet się nie zająknął o Dashu czy NAPie. Za trzy godziny zostanie postawiony w stan oskarżenia. Pierwsze wykroczenie, biały chłopak z przedmieścia, może zostać zwolniony za kaucją - powiedziała Faith.

- Jeśli zdradzimy prokuratorowi, kim jest Davenport, Will będzie spalony. - Amanda okrasiała tę uwagę wyjątkowo plugawym przekleństwem.

Faith zawtórowała jej, puszczając w duchu równie soczystą wiązanke. Jej złość nie ograniczyła się wyłącznie do smarkatego matoła, który powołał się na swoje prawa. Faith spędziła dwie godziny w śmigłowcu i tylko dzięki ogromnej wytrwałości w końcu wypatrzyła, posługując się lornetką, motocykl terenowy, którym Will opuścił teren o średnicy ponad trzech kilometrów. Żaden z okolicznych mieszkańców nie rozpoznał pojazdu. Nikt nie zeznał, by widział nastolatka i mężczyznę na drodze, nie mówiąc już o innym pojeździe, do którego mogliby się przesiąść. Numer identyfikacyjny motocykla został usunięty szlifierką.

- Technicy spróbują odzyskać numery z użyciem kwasu. Jeśli to nie zadziała, mam inne pomysły - powiedziała Faith.

Usłyszała w tle gromki wybuch śmiechu. Grupa mężczyzn kompletnie zagłuszyła odpowiedź Amandy, która musiała się od nich oddalić. W Kapitolu trudno było o prywatność. Złota Kopała tak naprawdę była komorą pogłosową.

- Pogadaj z szefostwem lotniska - poleciła Amanda, jakby Faith nie przyjechała na lotnisko w tym właśnie celu. - Nie obchodzi mnie, co

zrobisz i jakimi kłamstwami się posłużysz, ale dowiedz się, co Michelle Spivey robiła na drodze dojazdowej w niedzielę rano i natychmiast poinformuj mnie o tym. Natychmiast.

Dźwięki w tle urwały się nagle.

Faith sprawdziła godzinę.

Godzina 9:01.

Komendant komisariatu policji na lotnisku był już spóźniony. Faith czuła, że i tak nie okaże się zbyt pomocny. Każdy miał pod sobą kawałek lotniska. Człowiek nie mógł się wysrać bez uzgodnienia z FAA, czyli federalnym nadzorem lotniczym, TSA, czyli agencją do spraw bezpieczeństwa transportu, Departamentem Bezpieczeństwa, a także z różnymi agencjami organów ścigania w hrabstwach Fulton i Clayton oraz w miastach Atlanta, College Park i Hapeville.

I było jeszcze FBI.

Faith przypuszczała, że Van skonfiskował wszystkie istotne dla sprawy nagrania Michelle Spivey z kamer monitoringu. Cały dzisiejszy poranek wyglądał jak najgorsza wersja Dnia Świstaka. Will znowu zniknął. Sara wciąż była zaginiona. Michelle Spivey również. Nie mieli więcej tropów. I nie mieli pojęcia, co planuje Dash. Przez całą noc Faith chodziła po pokoju, przeklinała, wściekała się i szukała bezużytecznych informacji w Internecie.

Ani przez chwilę nie wierzyła w nadajnik w kaburze Willa. Urządzenie było za cienkie, do tego nie było wodoodporne. Sygnał działał w oparciu o starą sieć 3G. Wbrew wyraźnym poleceniom Amandy Will nie zamierzał włączyć nadajnika przed odnalezieniem Sary. Bóg raczył wiedzieć, gdzie był i co robił. Może został ranny, a może leżał martwy w jakimś dole. Dash był psychopatą i mordercą, Michelle z zimną krwią zadźgała człowieka, a Sara nie miała możliwości, by się przed nimi ochronić. NAP budził takie przerażenie, że kobiecie, która miała kierować monitorowaniem ich działań, zaczęła dokuczać bezsenność.

Faith odchyliła głowę na oparcie ławki. Wpatrywała się w niebieski neon układający się w esyfloresy na wysokim suficie. Wszystkie agencje w stanie Georgia zostały postawione w stan najwyższej gotowości, ale nikt nie wiedział, czego szukać, tak samo jak w przypadku raportu o możliwości ataku Bin Ladena na terytorium USA. Prezydencka odprawa odbyła się na miesiąc przed atakami z jedenastego września, ale przez to, co agencje wywiadu nazwały „porażką wyobraźni”, nikt nie przypuszczał, że ktokolwiek zdobędzie się na tak zuchwałą akcję.

Przenikliwe zawodzenie niemowlaka wyrwało Faith z przygnębienia. Świadomość, że to nie ona musi uspokajać zawodzące dziecko, przyniosła jej nieco ukojenia.

Popatrzyła na ogromną strefę kontroli bezpieczeństwa. Komendant lotniskowego komisariatu powinien przejść przez stanowisko kontroli pracowników. Pasażerowie powoli przelewali się przez osiem otwartych linii. Wyjmowali rzeczy z toreb, zdejmowali buty, unosili ręce, przechodząc przez skanery. Faith nie mogła uwierzyć, że o tej porze na lotnisku panuje tak wielki ruch. Terminal międzynarodowy był olbrzymi, rozmiarem niemal dorównywał boisku do piłki nożnej, miał też wielki balkon na całej długości drugiej kondygnacji atrium. Mieściły się tam bary szybkiej obsługi, restauracja rybna, księgarnia i liczne kawiarnie. Samoloty czekały u wylotu rękawów, by unieść ludzi daleko od codzienności.

Faith nigdy nie leciała za granicę. Policyjna pensja wraz ze skłonnością do rodzenia nieślubnych dzieci znacznie uszczuplały jej budżet na podróże.

- Co za spotkanie.

Faith nawet się nie odwróciła. Brzmienie głosu Aideny Van Zandta wwierciło się jej w mózg jak szczypawka.

Van Zandt usiadł obok niej i wytarł okulary krawatem.

- Dzień dobry, agentko Mitchell.

Faith przeszła od razu do rzeczy.

- Dlaczego tu jesteś?

- Jest tu nas wielu.

Faith przyjrzała się bliżej pasażerom w terminalu i zobaczyła to, na co wcześniej nie zwróciła uwagi. Dwaj biznesmeni z walizkami na kółkach u szczytu schodów. Po prawej kobieta oparta o poręcz balkonu i wpatrzona w ekran telefonu. Po lewej następny biznesman rozmawiający przez telefon. Na parterze dwie kobiety jedzące śniadanie w księgarnianej kawiarence. Mężczyzna w mundurze TSA stojący przy wejściu dla ochrony.

Fakt, że siedziała tu dopiero od piętnastu minut, w żaden sposób nie usprawiedliwiał jej gapiostwa. Jak mogła nie zauważyć, że ci ludzie mają charakterystyczne słuchawki douszne, ulubiony model agentów FBI. Natychmiast dodała dwa do dwóch. Na rasistowskich forach ktoś widocznie coś chlapnął. Michelle Spivey była na tym lotnisku w ostatnią niedzielę, więc FBI też się tu zjawilo.

Tak jak Faith.

Pomyślała, że może powinna zadzwonić do Amandy na Kapitol, nie chciała jednak dostać po głowie za informowanie szefowej o czymś, o czym najpewniej już wiedziała. Jeśli Amanda wymieniała jakieś informacje z FBI, to ewidentnie postanowiła nie dzielić się nimi ze swoją podwładną.

- Macie tu wielu agentów - rzuciła.

- Lubię o nich myśleć jak o mojej paczce.

Faith wołała nie pytać, co dokładnie miał na myśli. Głowę zaprzętała jej inna kwestia.

- Kiedy prawo do nienawiści stało się warunkowe? - zapytała.

- Możesz to doprecyzować?

- Poczytałam o antyrządowych grupach i obywatelskich milicjach.-  
Aha.

- W konflikcie Bundy'ego z rządem federalnym członkowie milicji

mierz yli z broni palnej do agentów federalnych i nie ponieśli konsekwencji. Kiedy w Standing Rock rdzenni mieszkańcy Ameryki stali z transparentami i wznosili okrzyki, zostali poszczuci psami i oblani wodą z armatek wodnych.

- Jedno i drugie jest prawdą.

- To mi przypomina zdarzenie z wczesnego dzieciństwa mojego syna. Wszystkie dzieci to robią. W pewnym momencie dociera do nich, że świat nie jest sprawiedliwy. I to je wkurza, nie mieści się w ich małych głowach, więc burzą się przeciwko temu: „To nie fair, to nie fair, to nie fair”.

- Brzmi znajomo. - Van pokiwał głową.

Faith nie zapytała, jak dobrze to zna. Bardziej martwiła się o swoją s niadą córkę. Uzbrojonym członkom grup takich jak NAP skrzywdzenie jej córki mogło ujść na sucho.

- Wiele w życiu przeszłam, ale to, co mnie spotkało, nie miało nic wspólnego z kolorem mojej skóry. Mam dość tego, że świat jest fair tylko dla niektórych ludzi. To nie w porządku. To nieamerykańskie.

Van zamyślił się na chwilę.

- To dość prowokacyjna teza jak na przedstawicielkę organów ścigania - skonstatował.

Faith wzruszyła ramionami.

- Prowokator zawsze pozostanie prowokatorem.

Patrzyła, jak mały chłopiec domaga się od matki paczki ciasteczek. Dwie agentki w księgarni udawały, że tego nie widzą.

Wróciła do pierwszego pytania, na które Van nie miał zamiaru odpowiedzieć.

Dlaczego z nią rozmawiał?

FBI aresztowało Beau dwa dni temu. Przypuszczała, że skoro Beau sypał dla jednej agencji, mógł sypać i dla drugiej. A to oznaczało, że Van wiedział o planie infiltracji NAPu przez Willa pod przykrywką. Albo Murphy przysłała go tu po informacje, albo sam próbował coś

zwęszyć.

Postanowiła sprawdzić swoje teorie.

- To jest moment, w którym mówisz mi, jak Michelle spotkała Beau i co udało się wam z niego wyciągnąć, odkąd sprzątnęliście go nam sprzed nosa.

- A ja myślałem, że to ten moment, w którym ja cię pytam, czy mogę ci kupić kawę.

Faith musiała zdusić to w zarodku.

- Posłuchaj: przez ostatnich dwadzieścia lat zajmowałam się wychowywaniem dzieci. W mojej szafie i komodzie nie ma ani jednego ciucha, który nie nosiłby na sobie śladów jakichś wydzielin. Oszukuję przy grze w Węże i drabiny. Poświęciłam życie własnego syna, by wygrać w Fortnite. Zniszczę każdego kretyna, który twierdzi, że Jodie Whittaker nie jest najlepszym Doktorem Who i będę cytować każdą linijkę z „Krainy lodu”, aż wypłaczesz oczy.

- Czyżbyś sądziła, że spodziewam się po tobie starannego wieszania prania i składania ubrań w kostkę?

- Opuść sobie.

Van zaśmiał się z rozbawieniem.

- Dobra, Mitchell. Chodź za mną.

Faith przewiesiła przez ramię torbę z laptopem. Kiedy szli w stronę bramek, spojrzała na balkon. Agent rozmawiający przez telefon śledził ich wzrokiem, a biznesmeni ruszyli z walizkami.

Van skręcił w prawo i poprowadził ją długim nijakim korytarzem. Odznaka Vana bardzo się przydała, ponieważ otwierała wszystkie drzwi w każdym chronionym budynku. Faith usłyszała donośne brzęczenie, po czym znalazła się w zaciemnionym pomieszczeniu z kilkudziesięcioma olbrzymimi kolorowymi monitorami i rzędami biur z ludźmi wpatrzonymi w ekrany.

Zagryzła wargi. Będzie musiała skończyć z wtykaniem szpil temu facetowi za sam jego dostęp do sekretnych rządowych pomieszczeń

kontrolnych.

- To centrum dowodzenia hali F - oznajmił Van. - Te dla hali T i od A do E są jeszcze bardziej spektakularne. Poza tym mamy terminale północny i południowy, kolejkę dojazdową na lotnisko, parkingi. Jasny gwint, tylko nie każ mi zaczynać od parkingu. Tam jest jak w tej grze Frogger.

Faith bardziej interesowało to, co ma przed oczami. Każda bramka, każda restauracja, każde wejście do toalety było obserwowane przez co najmniej dwie kamery. Obiektywy kamer pokrywały nawet teren na zewnątrz lotniska aż po drogi pomocnicze.

Van zatrzymał się przy pustym biurku, postukał w klawiaturę i na monitorze pojawił się obraz sprzed międzynarodowego terminalu. Van przełączał tak długo, aż wreszcie zobaczył ujęcia sąsiednich budynków i pokazał Faith ulicę.

- Maynard H. Jackson Service Road - powiedziała. Patrzyła, jak srebrny chevrolet malibu sunie nią powoli. Miał przyciemnione okna, ale była w stanie dojrzeć dwie osoby z tyłu i dwie z przodu. Spojrzała na znacznik czasu. - To z niedzieli rano, pięć godzin przed wybuchem bomb.

Malibu stanął. Kamera miała wysoką rozdzielczość, nie była jednak szkłem powiększającym. Faith mogła tylko domyślić się na podstawie platynowego koloru włosów i drobnej sylwetki, że kobieta, która wysiadła z auta, to Michelle Spivey.

Michelle zrobiła cztery kroki, po czym zaczęła zataczać się na trawnik.

Van zatrzymał obraz.

- Zachorowała wcześniej. To drugi raz, kiedy kierowca zatrzymuje się z jej powodu.

Faith pokiwała głową, ale widziała to inaczej. Siedziała kiedyś za kierownicą, gdy komuś zebrało się na wymioty, ale nie sunęła powoli, nie toczyła się jakiś czas, nim się zatrzymała, tylko gwałtownie

wcisnęła hamulec i wypchnęła człowieka za drzwi.

- Sądzymy, że wyrostek bolał Spivey od jakiegoś czasu. Zemdląca z bólu, a potem... - Van wcisnął inny klawisz i Faith zobaczyła kierowcę biegnącego do Michelle. Był wysoki i szczupły, prawdopodobnie Robert Hurley. Podniósł bezwładną Michelle i umieścił na przednim siedzeniu, obiegnął wóz, usiadł za kierownicę i odjechał. - To wszystko - powiedział Van.

- Hm - mruknęła Faith powątpiewająco. To nie było wszystko.

Obraz został zmontowany.

Oto co pokazał jej Van: samochód się zatrzymał. Michelle wysiadła. Zrobiła cztery kroki. Osunęła na ziemię. Kiedy padała na ziemię, Hurley już wysiadał z auta i trzymał coś w rękach.

Potem obraz przeskoczył o sekundę i trzynaście setnych do przodu. Michelle już leżała na ziemi.

Hurley umieścił coś na siedzeniu auta. To „coś” było na tyle ciężkie, że musiał użyć obu rąk.

Właśnie tej części nagrania Van nie chciał pokazać Faith: że Hurley zaczął wysiadać z auta, by dołączyć do Michelle, i niósł coś ciężkiego albo nieporęcznego, na przykład szczypce przegubowe, którymi można wyciąć dziurę w ogrodzeniu.

- Czy siatka jest pod napięciem? - zapytała Faith.

Van potrząsnął głową.

Wskazała budynek, w stronę którego zmierzała Michelle.

- Co to jest?

- Air Chef, gdzie przygotowują jedzenie do samolotów. A raczej produkt jedzeniopodobny. - Van wędrował palcem po monitorze, identyfikując białe kwadraty. - Firma sprzątająca samoloty i ochroniarska. Utrzymanie hali. Warsztat mechaniczny. Szyldy i reklamy. Obsługa Delt.

Van działał jak MapQuest. Faith wskazała jedyny kwadrat, którego nie zlokalizował.



- A to co?
- Budynek rządowy.
- CDC? - zapytała.

Van zmrużył oczy i spojrzał na monitor.

- Serio?

Faith powiększyła obraz i ustawiła zoom na drzwi budynku. Nie zobaczyła żadnej tablicy ani innej wskazówki na temat mieszczącej się tam instytucji, ale jej uwagę zwróciły nadzwyczajne zabezpieczenia i pokazała je Vanowi:

- Kamera. Czytnik kart. Skaner linii papilarnych.
- Nie mów.

- W dniu uprowadzenia Michelle wyszła z pracy wcześniej, odebrała córkę ze szkoły i pojechały na zakupy. W miejscu porwania nie znaleziono jej torebki. Tam musiał być jej identyfikator z CDC. - Tak?

Faith przysunęła się do monitora. W drzwiach nie było nawet klamki. Nad ościeżnicą paliło się czerwone światelko. Co kryło się za tymi drzwiami, że ludzie z NAPu ryzykowali zdemaskowanie, przywożąc tu Michelle? Że ryzykowali, zawożąc ją do szpitala, jakby naprawdę dbali o jej zdrowie i życie? Czy planowali przywieźć ją z powrotem na lotnisko po operacji? Skaner linii papilarnych, pomyślała Faith, reaguje tylko wtedy, gdy dłoń należy do żywego człowieka.

Faith wstała i spojrzała na Vana. W pomieszczeniu było tak ciemno, a monitor był tak jasny, że zobaczyła swoje odbicie w jego okularach.

- Ułatwiłeś mi spotkanie w CDC. Dałeś mi akta Michelle, które przywiodły mnie na lotnisko. Dla mnie ustawiłeś to zmontowane nagranie, zanim tu weszliśmy.

- Zmontowane?

- Michelle i Hurley mieli wsiąść razem. Hurley miał wyciąć szczypcami dziurę w ogrodzeniu. Michelle miała użyć swojego

identyfikatora i odcisku palca w skanerze biometrycznym do otwarcia drzwi, po czym oboje mieli wejść do budynku.

- Tak myślisz?

- Oto co myślę: twoja szefowa i moja szefowa się przyjaźnią, ale są rozgrywającymi w różnych konferencjach. Więc twoja szefowa poleciła ci, żebyś coś mi powiedział, ale nie wszystko, natomiast ty uważasz, że mogę ci pomóc, dlatego każde nasze przekłete zetknięcie staje się pouczającą lekcją.

- Podoba mi się, że znasz się na futbolu.

Faith syknęła, wypuszczając powietrze przez zęby. Amanda czekała na nią na Kapitolu, a ona miała odkryć, co się stało z Michelle na lotnisku. W tej chwili miała tylko to, co zawsze: przypuszczenia i przeczucia. Jediną taktyką, jaka działała w kontakcie z tym irytującym dupkiem z FBI, była szczerść, więc postanowiła wyłożyć kawę na ławę:

- Jest coś, czego nie powinnam ci mówić, bo tak by wolała moja szefowa. A jednak ci powiem: przepadł mój partner. Przeniknął pod przykrywką do NAPu, ostatni raz widzieliśmy go wczoraj o trzeciej po południu. Martwię się, bo cokolwiek Dash planuje, wydarzy się dzisiaj, może za chwilę, i coś mi mówi, że ty czujesz to samo.

Van kiwnął głową, jakby właśnie tego się spodziewał.

- Pozwól, że kupię ci tę kawę.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ŚRODA, 7 SIERPNIA, GODZINA 8:56

Sara siedziała w chacie wsparta plecami o drzwi. Miała w rękach kieszonkowy nóż Willa. Wsunął go jej przez szparę pod drzwiami, zanim odszedł wczoraj wieczorem. Raz po raz naciskała przycisk i otwierała ostrze. Rytmiczny dźwięk metalu ją uspokajał. Po tylu dniach, po tylu zmarnowanych godzinach i pogrążaniu się w poczuciu kompletnej bezradności, nóż dał jej poczucie siły. Dash nie wiedział, że Sara go ma, tak samo Gwen. Wartownik pod drzwiami też nie miał pojęcia, że jest uzbrojona. Mogła tym nożem każdego zranić, a nawet zabić.

W motelu Michelle udzieliła jej praktycznej wskazówki, gdy krajała Cartera.

Żyła szyjna. Tchawica. Tętnica pachowa. Serce. Płuca.

Sara złożyła nóż, ponownie wcisnęła przycisk i ostrze wyskoczyło z rękojeści.

Czuła Willa na tym nożu. Czuła go po drugiej stronie drzwi. Na swojej dłoni. Nasycił swoją obecnością każdy zakamarek chaty. Przypomniała sobie, jak pierwszy raz szła po domu po śmierci Jeffreya. Jednym z najbardziej druzgocących doświadczeń związanych ze stratą męża było to, że nie straciła jego rzeczy. Meble do sypialni wybrali razem. Ogromny telewizor, który Jeffrey zawiesił nad kominkiem. Narzędzia w garażu. Jego zapach w pościeli, na ręcznikach, w jego szafie i na jej skórze. Każdy przedmiot, każdy zapach brutalnie kojarzył się ze stratą.

Przypomniała sobie scenę sprzed trzech dni - miała wrażenie, że to było całe życie temu - kiedy patrzyła, jak matka obierała fasolkę szparagową w kuchni Belli. Cathy miała rację. Sary nie rozstrajała

emocjonalna niemożność pożegnania się z Jeffreyem. Sarę przerażała perspektywa zatrzymania Willa.

Znowu schowała ostrze i przyjrzała się liniom na podłodze, sprawdzając swój prymitywny zegar słoneczny. Niebieskawe światło przenikające przez szczeliny w ścianach dawno nabrało żółtego odcienia. Która mogła być godzina? Ósma trzydzieści? Dziewiąta rano?

Oparła głowę o surowe deski. Była zmęczona brakiem aktywności fizycznej. Próbowwała zgrać się z naturalnym rytmem życia w Obozie. Gotujące kobiety. Dziewczynki kręcące się dookoła własnej osi jak bączki. Gwen piorunująca wzrokiem przy najmniejszym odstępstwie od rutyny czy pomyłce.

Nie wierzyła w teorię aury, ale czuła, że coś się wokół niej zmieniło. Brakowało jej odgłosów wystrzałów, które zawsze się rozlegały, gdy mężczyźni trenowali w Konstrukcji? Brakowało jej chichotów i wesołych krzyków dzieci? Woni palącego się drewna, szykowanych na ogniu potraw i gotującego się prania?

Odeszli? Czy odesłanie swoich zwolenników było częścią Wiadomości Dasha? Czy Sara miała dać świadectwo o istnieniu w górach utopijnej wspólnoty, która przeniosła się w inne miejsce?

Wstała. Wsunęła nóż do stanika. Fiszbiny dźgały ją w bok, więc nóż w staniku został dodany do długiej listy niedogodności.

Ochota na ruch, na chodzenie ulotniła się wraz z Willem. Podparła się pod boki. O tej porze Dash zwykle otwierał drzwi, ale nie dziś. Przypuszczała, że opuścił Obóz i przekazywał światu Wiadomość. Albo próbował.

Musiała wierzyć, że Will go powstrzyma. Nie pokładał wielkiej wiary w GPS, ale wiedziała, że nie odpuści, póki nie unieszkodliwi Dasha.

Przycisnęła dłonie do drzwi, sprawdzając kłódkę, i usłyszała zgrzytanie metalu o metal. Zawiasy zaskrzypiały, ale nie ustąpiły.

Gwen miała klucz. Po tej wiedźmie można się było spodziewać, że zostawi Sarę, by ugotowała się w rozgrzanej chacie.

Pomyślała o wartowniku i nadstawiła uszu. Nie raczył się jej przedstawić, gdy przyszedł zastąpić Willa. Przypuszczała, że Lance został w baraku, a ten nowy, ten NieLance siedział przez całą noc na kłodzie pod drzwiami. Był przysadzisty i ewidentnie cierpiał na bezdech senny. Między donośnymi chrapnięciami budził się, w panice łapiąc gwałtownie powietrze z donośnym bulgotem.

Sara opadła na kolana i spojrzała przez szparę pod drzwiami. NieLance miał szerokie bary, widziała więc tylko jego czarną koszulę.

- Halo? - zawołała i czekała na reakcję, ale odpowiedziała jej cisza.

- Możesz otworzyć drzwi?

Nadal nic.

Pomyślała o nożu w staniku. Dłoń Willa ledwie zmieściła się w szparze, ale ona mogła wysunąć rękę po sam łokieć. I mogła dźgnąć NieLance'a poniżej lewego ramienia. Ostrze było wystarczająco długie, by dosięgło serca.

- Halo? - Jednak zrezygnowała z morderstwa. Wyciągnęła rękę najdalej, jak mogła, i wyprostowała palce, by stuknąć NieLance'a. - Ha... NieLance poleciał bezwładnie do przodu, uderzając głową w ziemię.

Sara cofnęła się zaskoczona. Nasłuchiwała, czekała, przyłożyła oko do szpary.

Siła bezwładności obróciła NieLance'a na bok, był w pozycji pół leżącej, pół siedzącej, a karabin leżał obok niego. Podczas upadku wylot lufy rozorał NieLance'owi skórę na szyi.

Sara przyglądała się ranie, jak ogląda się dzieło sztuki. Czekala na krew, ale z głębokiego rozcięcia nie wypłynęła ani jedna kropla krwi, ponieważ serce NieLance'a przestało bić co najmniej kilka godzin wcześniej. Steżenie pośmiertne już usztywniło mu mięśnie wokół kostek pojawiły się plamy opadowe, a spodnie były mokre od moczu

i brudne od kału.

NieLance nie żył.

Uklękła i otrzepała ręce, a serce łomotało jej w piersi. Czyżby NieLance'a zabił bezdech senny? A może coś innego?

Nagle owładnęło nią upiorne wrażenie, że coś jest nie tak. Wzdrygnęła się, a włoski na rękach stanęły jej dęba. Wyteżyła wszystkie zmysły, by wyłapać oznaki codziennego życia Obozu. Zapachy, dźwięki, poczucie, że nie jest sama.

Instykt podpowiadał jej coś innego.

Wstała, poszła na drugi koniec chaty i sprawdziła ściany. Znalazła miejsce z przerdzewiałymi gwoździami, gdzie deski ugięły się pod naciskiem jej dłoni. Przeniosła ciężar ciała na pięty i napała z całej siły.

Pchała, póki nie poczuła w mięśniach ramion palącego bólu.

- Cholera - mruknęła.

Kilka drzazg weszło jej pod skórę, a jedna z desek się przesunęła, niestety za mało. Przynajmniej tyle było dobrego, że do środka wpadło więcej światła słonecznego.

Wytarła brudne ręce w sukienkę, a drzazgi zakłuły ją jak maleńkie igiełki. Powtórzyła próbę, pchała z całych sił, aż deska zaczęła pękać.

Wciąż za mało, by mogła się uwolnić.

Spojrzała na zakrwawione dłonie, cofnęła się o krok i z największą siłą, na jaką było ją stać, kopnęła deski.

Drewno puściło. Tym razem trzask był o wiele głośniejszy, jakby piorun przeszył drzewo.

Czekała, nasłuchując dźwięków z zewnątrz. Wartownicy powinni być na ambonach, a uzbrojeni żołnierze w lesie. A także Gwen, Grace, Esther, Charity, Edna, Hannah i Joy.

Nic.

Ponowiła próbę. Kopnęła w ścianę raz, drugi, trzeci. Była już złana potem, gdy wreszcie zdołała zrobić w ścianie wyrwę na tyle dużą, by

się przez nią przecisnąć.

Ostrożnie dotknęła stopami ziemi. Za chatą powietrze wydawało się bardziej rześkie. Jeszcze nie do końca to do niej docierało, ale rozumiała, że jest wolna.

Nikt nie przybiegł. Nikt nie próbował jej zatrzymać ani zastrzelić.

Omiotła wzrokiem teren za chatą. Poszycie lasu było gęste, porośnięte bluszczem i sumakiem jadowitym.

Szklarnia.

Sara obeszła chatę i ruszyła ścieżką. Stąpała niepewnie, czujnie rozglądając się na boki. Żaden uzbrojony mężczyzna nie zaszedł jej drogi, nikt jej nie zatrzymał, ambony były puste. Uniosła sukienkę, by przekroczyć zwaloną kłodę. Powietrze gęstniało od wilgoci. Omiatała wzrokiem las, wypatrując szklarni. Widziała ją dwa razy i za każdym razem był to szczęśliwy traf. Przystanąła, nasłuchując szumu wody. Po chwili zorientowała się, że rzekę ma po prawej ręce. Z lewej dobiegło ją kocie miauczenie.

Odwróciła się i postąpiła kilka kroków w głąb ścieżki. Zatrzymała się i znowu zaczęła nasłuchiwać.

To nie było miauczenie kociaka.

To był płacz dziecka.

Rzuciła się w stronę polany, zanim mózg podjął racjonalną decyzję. Ścieżka zwęziła się, a dziecięcy płacz brzmiał coraz wyraźniej. Sara miała wrażenie, że biegnie na ruchomej bieżni, a z każdym jej krokiem polana coraz bardziej się oddala.

- Na pomoc! - rozległo się ciche wołanie.

Sara podążała za głosem serca. Przez całe zawodowe życie odpowiadała na wołania dzieci. Wiedziała, kiedy się boją, kiedy szukają współczucia, kiedy są przerażone myślą o śmierci.

W końcu dotarła na polanę. Okręciła się dookoła na starannie utrzymanej trawie, jak przedtem robiły to dziewczynki niezliczoną ilość razy. Tyle że to, co zobaczyła, nie było takie jak przedtem.

Dręczyło ją upiorne wrażenie, że coś jest nie tak. Skóra jej cierpła na widok otwartych chat i tłących się jeszcze ogni w części kuchennej. Nie było kobiet ani dzieci, tylko dywan białego konfetti zaściewającego trawę. Podmuchy wiatr unosiły je nad ziemię. Kawalek białego materiału wzniósł się jak piórko i opadł, a przed oczami Sary mignęła bosa stopa, biała noga, dłoń zaciśnięta na grudzie ziemi, twarz zwrócona ku słońcu.

Zachwiała się. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Serce podeszło do gardła.

To nie było konfetti.

Białe sukienki. Wysokie kołnierzyki. Długie rękawy. Młode i stare twarze wzdymane od bezlitosnych promieni słońca.

- Och nie... - Padła na kolana przycisnęła czoło do ziemi i zaszlochała rozpaczliwie, a nawał myśli przetoczył się przez głowę. Próbowwała odsunąć od siebie prawdę, ale w końcu musiała ją zaakceptować.

Zaczęła przemieszczać się po trawie na czworakach. Drżącymi palcami sprawdzała puls, odgarniała jedwabiste blond włosy z niewidzących oczu.

Esther. Edna. Charity. Kucharki. Młode kobiety, które nakrywały do stołów. Mężczyźni z ambon. Strażnicy kryjący się w lesie.

Martwi.

- Na pomoc - wyszeptwała Grace.

Leżała pod jednym ze stołów, a jej drobne ciało było zwinięte w kłębek.

Sara wzięła ją w ramiona i przytuliła, a powieki Grace uniosły się nieco. Miała rozszerzone źrenice. Wpatrywała się w Sarę i poruszyła bezgłośnie ustami.

- Skarbie. - Sara pogładziła ją po włosach i przycisnęła wargi do jej czoła. - Co się stało? Powiedz mi, proszę, co się stało.

Grace próbowała coś powiedzieć, ale z gardła zamiast słów



wydobył się bulgot. Ramiona opadły bezwładnie. Nogi ciążyły jak kamienie.

- Trzymaj się, aniołku. - Sara podniosła ją i ruszyła w stronę baraku. - Trzymaj się.

Kątem oka zobaczyła więcej białych plam na ziemi. Białe sukienki. Wzdęte brzuchy. Spastyczne mięśnie. Oznaki śmierci w męczarniach.

Drzwi baraku były otwarte. Już na dole schodów Sara czuła woń ciał. Położyła Grace na ziemi.

- Zaraz wracam, skarbie. Zostań tutaj.

Ta prośba była zbędna, bo Grace nie mogła się ruszać ani mówić. Sara wpadła do baraku. Benjamin. Joy. Lance. Adriel. Sprawdziła każde z nich. Tylko w Joy tliło się jeszcze życie.

Sara złapała ją za ramiona i potrząsnęła.

- Joy! Joy! Co oni zrobili?

Dziewczyna nie poruszyła oczami. Jej brzuch był okrągły jak piłka. Miała zwiotczące rysy twarzy, ale była przytomna. Z kącika ust ciekła jej ślina, od której zawilgotniała poduszka. Ręce miała bezwładne, nogi sparaliżowane, nie mogła ruszać głową.

- Nie, nie - powtarzała Sara szeptem.

Wypadła z barak, zbiegła po schodach i minęła Grace. Jej kroki dudniły echem po polanie. Odnalazła ścieżkę i ruszyła ku rzece. Szum wodospadu stał się intensywniejszy.

Obróciła się dookoła w poszukiwaniu szklarni.

- Gdzie jesteś? - krzyknęła.

Wreszcie dostrzegła, że promień słońca odbijał się od szkła.

Ruszyła w jego stronę przez zarośla. W poszyciu zobaczyła ciała dwóch mężczyzn w czarnych ubraniach. Trzeci spadł z ambony i złamał sobie kark. Miał nienaturalnie wykręconą głowę i rozrzucone szeroko ramiona.

Poszła dalej. Szkło odbijające słoneczny blask naprowadzało ją jak latarnia morska, a gryzący odór śmierci przyprawiał o mdłości.

Otworzyła usta, by złapać oddech. Niemal poczuła na języku smażące się w słońcu wydzieliny z ciał. Im bliżej była, tym bardziej łzawiły jej oczy. Docierała do epicentrum śmierci. Cokolwiek Michelle wyprodukowała w szklarni, pierwszymi ofiarami tego czegoś byli ludzie pracujący w środku.

Sara zamknęła usta. Ciała przed szklarnią zaczęły się topić w tym ukropie. Skóra zsuwała się z kości, oczy były wybałuszone, szeroko otwarte usta odsłaniały zaschniętą krew wymieszaną z wymiocinami, które przyschły do ścianek gardła.

Młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni w białych kitlach laboratoryjnych. Ich twarze zastygły w niemym świadectwie ich męczeńskiej śmierci.

Umierali sparaliżowani, ale w pełni świadomi tego, co się dzieje. Że powoli się duszą i nie ma dla nich ratunku.

Sara wiedziała, co ich zabiło.

Naparła na drzwi szklarni. Wejście blokowało leżące na ziemi ciało mężczyzny, więc musiała odsunąć je nogą. Gdy weszła do namiotu termoizolacyjnego, skwar omal nie ściał jej z nóg. Elektryczność została odcięta, więc klimatyzatory nie działały, a termoizolacja i szkło zadziałały jak wzmacniacz promieni słonecznych, co doprowadziło niemal do zagotowania się tego wszystkiego, co było w szklarni i miało organiczną budowę.

Zobaczyła to, czego się spodziewała.

Klasyczne laboratorium.

Zlewki i kolby, stojaki, pipety, szczypcy, palniki, lampy próżniowe, probówki, kroplomierze, termometry.

Spryskiwacze z przezroczystą cieczą leżały rozrzucone na stole. Na metalowych stelażach leżał surowiec. Sara odsunęła na bok torby z zepsutymi jabłkami i zgniłymi ziemniakami.

**CZARNA SKRZYŃKA.**

Na długiej liście potencjalnych możliwości, którą sporządziła Sara,

to była ostatnia rzecz, jaką spodziewała się znaleźć na drugim końcu wiadomości od Michelle. Małe pudełko z HBAT było w rzeczywistości białe. CZARNA SKRZYŃKA w rzeczywistości była czarnym prostokątem, który okalał ostrzeżenie wydane przez FDA, czyli Agencję Żywności i Leków:

**UWAGA! ZACHOWAĆ SZCZEGÓLNA OSTROŻNOŚĆ!**

**SUROWICA KOŃSKA WYMAGA STOPNIOWEGO ZWIĘKSZANIA  
DAWKI W CELU ZAPOBIEŻENIA UCZULENIU I ZA-  
GROŻENIU ŚMIERCIA**

Sara otworzyła pudełko. Mieszcząca się w środku fiolka pochodziła ze strategicznych zapasów Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej USA. Ta agencja rządowa gromadziła i kontrolowała zestawy antybiotyków, szczepionek i antytoksyn, które wysyłano w eskorcie uzbrojonych strażników na wypadek ataku biologicznego.

„Atak biologiczny” wydawał się łagodnym określeniem na opis tego, co planował Dash, dlatego przewidywał, że historycy nigdy nie będą w stanie podać dokładnej liczby śmiertelnych ofiar dzisiejszego ataku. „Wiadomość” okazała się straszliwą i bezlitosną śmiercią. Sara trzymała w dłoni jedyną rzecz, która mogła to zatrzymać.

HBAT był antytoksyną wyprodukowaną do leczenia botulizmu, zatrucia jedną z najsilniejszych znanych człowiekowi neurotoksyn.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ŚRODA, 7 SIERPANIA, GODZINA 8:58

Will siedział z tyłu furgonetki, zaciskając dłonie na AR-15. Z jednej strony miał Dobiego, z drugiej Dasha. Naprzeciwko nich zajęli miejsca trzech mężczyźni z zespołu Bravo. Wszyscy mieli na sobie strój bojowy, z kamizelkami włącznie, które mogą zatrzymać śrut z wiatrówki, ale nie prawdziwą kulę. Kominiarki mieli podniesione, by łatwiej było im znieść upał. Lufy karabinów skierowali w sufit. Broń w kaburze i noże myśliwskie w pochwach stukały o metalową podłogę, gdy koła toczyły się po asfalcie.

Jechali powoli prawdopodobnie drogą międzystanową w porannym szczycie, kiedy kierowcy ciągle zatrzymują się i ruszają. Możliwe, że zmierzali do Atlanty. A może nie.

Will zerknął na zegarek.

Godzina 8:58.

Furgonetka wyjechała z obozowiska dwie godziny temu. Will nie miał już sposobności powrotu na polanę. Do północy ćwiczyli zajmowanie budynku, spali razem, załatwiali się razem, razem też zjedli śniadanie. Świat się zawęził, w obozie zapadła niesamowita cisza. Słońce jeszcze nie wzeszło, kiedy zostali poinformowani, że czas przygotować się do bitwy.

Gwen była jedyną kobietą, która nadzorowała ich wyjazd. Ubrana w białą suknię podała im zimne śniadanie, wyrecytowała modlitwę i pobłogosławiła. Przeczytała krótki werset z Biblii, ostrzeżenie o dokonującym się zniszczeniu, ucisku i fałszu na ulicach. Wszyscy skłonili głowy i splekli ręce. Modlitwa Gwen w niczym nie przypominała pokornej prośby Cathy o powrót Sary do rodziny. W głosie Gwen dominowały nienawiść i święte oburzenie, kiedy

nakazywała Bogu, by uwolnił świat od mieszańców i ich protektorów.

- Krew i ziemia! - krzyknęła, uniósłszy pięść.

- Krew i ziemia!- odpowiedzieli unisono wszyscy prócz Willa.

W sumie czterdziestu uzbrojonych po zęby mężczyzn, całych na czarno. Zmieścili się w pięciu furgonetkach zmierzających drogą międzystanową ku miejscu, w którym wkrótce miał się rozegrać spektakl nieopisanej przemocy.

- Kurwa. - Dobie wiercił się na podłodze obok Willa. Był posępny i dezorientowany. Nie pojmował, dlaczego obudził się w lesie. Był zły, że stracił ćwiczenia. I wściekły na Willa, że mu dokucza z tego powodu. Najwyraźniej nie doszedł jeszcze do siebie po końskiej dawce percocetu.

Wciąż był chłopcem, ale tak samo żądnym zabijania jak pozostali mężczyźni.

Will odwrócił wzrok od zbolącej twarzy chłopaka.

Widział już skutki masowej strzelaniny. Z oczywistych przyczyn media zawsze skupiały się na liczbie ofiar, ale w tej chwili Will myślał o ocalałych. O tych z koszmarnymi uszkodzeniami mózgu, z amputowanymi kończynami, głębokimi bliznami, ranami, których nie można wyleczyć. Niektórzy będą żyli w ciągłym strachu. Innych sparaliżuje poczucie winy. Przeżyją, ale ich życie już nigdy nie będzie takie samo.

Chyba że on powstrzyma zabójców.

- Kurwa - mruknął znowu Dobie, który wyraźnie chciał zwrócić na siebie uwagę.

Will zniżył głos do szeptu:

- Nie musisz tego robić.

- Cholera. - Dobie z irytacją skrzyżował ramiona. - A co mam robić, bracie? Siedzieć na kasie w Kwiki Mart jak jakiś Arabus?

Will nie mógł znieść jego widoku. Wiedział, że to, czego najbardziej nienawidzi w Dobie, buzowało w nim samym, kiedy miał

osiemnaście lat. Psychika Dobiego pozbawiona była tak zwanej autonomii wewnętrznej, która pozwala postrzegać siebie jako indywidualną istotę funkcjonującą w zbiorowości i podejmować samodzielne decyzje, nie miał też moralnego kompasu. Był tylko naładowaną bronią, która czeka, aż ktoś skieruje ją w dowolnym kierunku.

Kompasem dla Willa stała się Amanda. Pojawiła się w jego życiu pół roku po tym, jak został zmuszony do opuszczenia domu dziecka. Spał na ulicy, kradł jedzenie, pracował dla drani, którzy płacili mu za draństwo. Amanda wyciągnęła go z tego bagna, pchnęła do college'u i zmusiła, by wstąpił do GBI. Dzięki niej stał się mężczyzną, z którym chciała się związać taka kobieta jak Sara.

Teraz powiedział Dobiemu to, co usłyszał przed laty od Amandy:

- Rób, co słuszne, nie to, co łatwe.

- Amen, bracie - skwitował Dash.

Will zazgrzytał zębami tak energicznie, że zaboląła go szczęka.

Dwanaście ostatnich godzin spędził na szukaniu okazji do zabicia tego zła wcielonego, tyle że Dash ani przez chwilę nie był sam. Gerald chodził za nim jak cień, przynajmniej dwaj „bracia” zawsze otaczali go z dwóch stron. Niebieska amunicja ćwiczebna do glocka 19 - broni Willa - została wymieniona na ostrą amunicję, zanim Will wrócił spod chaty Sary. Nawet teraz Dash odruchowo sprawdzał komorę, upewniając się, że broń jest naładowana. Will nie miał nic przeciwko misji samobójczej, ale musiał mieć chociaż dziesięć procent szans powodzenia.

- Dzisiaj wykonujemy dzieło Boga, majorze Wolfe - powiedział Dash.

Will chrząknął. Nie musiał już udawać majora Wolfe'a. Wsunął palce pod kamizelkę na brzuchu. Trzymał tam złożoną chustkę, którą Sara miała na głowie. Znalazł ją na szczycie schodów, gdzie siedziała Sara. W środku był rudy włos, a Will pocierał palcami brzeg

materiału. Wciąż czuł na dłoni dotyk jej warg.

„Kochany...”.

Dash postukał kolbą karabinu w podłogę furgonetki. Za każdym razem, gdy czuł, że jego ludzie zaczynają odpływać w sen, zaczynał kolejną motywacyjną przemowę.

- Bracia, dzisiaj odzyskamy godność. To nasza Wiadomość. Nie pozwolimy się ignorować. Jesteśmy przywódcami świata!

Pod wpływem jego słów mężczyźni zastukali butami w podłogę i wzniesli pięści, zagrzewając się do walki.

Tymczasem Will planował, co zrobi po dotarciu na miejsce akcji.

Zaraz po otwarciu drzwi zastrzelili z glocka i sig sauera tyłu ludzi, ilu zdoła. Karabin niósł ze sobą za duże ryzyko. Nie wiedział, ilu cywilów znajdzie się na miejscu wydarzeń. Fakt, że każdy jego cel miał na sobie czarny uniform, pozwalała na identyfikację tych „braci” jako wrogów. Niekończące się ćwiczenia dały im zbyt dużą pewność siebie. Will był przekonany, że wpadną w panikę, gdy w ich stronę polecą kule.

W glocku miał szesnaście naboji, w sig sauerze jedenaście. Dwa dodatkowe magazynki przypięte do paska powiększyły liczbę naboji o trzydzieści.

Czterdziestu ludzi. Pięćdziesiąt siedem kul. Dwa pierwsze strzały trafią w serce Dasha.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ŚRODA, 7 SIERPANIA, GODZINA 9:17

Faith mieszała swoją czarną kawę. Van wciąż stał przy kontuarze, dodając nieprawdopodobne ilości cukru do mocha latte. Amanda zbombardowała Faith trzema esemesami, w których domagała się najświeższych wieści. To oznaczało, że jeszcze czeka na rozmowę z gubernatorem, więc pewnie przemierza korytarz Kapitolu niczym pobudzona wariatka, bredząca o tym, jak wszyscy marnują jej czas.

Faith odpowiedziała zwięzłym:

*Pracuję nad tym.*

Amanda zareagowała natychmiastowym strzałem:

*Pracuj bardziej.*

Faith odłożyła telefon ekranem do dołu, popatrując, jak Van dodaje do latte czekoladową posypkę, a potem przekazała mu informację, którą pewnie sam już uzyskał od Beau Ragnersena: że Will przeniknął do NAPu pod przykrywką. Wiedzieli, że NAP planuje dzisiaj coś spektakularnego. Zachowała dla siebie informację, że Will odjechał ze stacji Citgo na niewykrywalnym motocyklu terenowym. I że Lyle Davenport, kierowca czerwonej kii, z którym Will spotkał się na stacji, skorzystał z prawa do odmowy zeznań. I że nadajnik Willa prawdopodobnie nie działa.

Z jej doświadczenia wynikało, że skuteczne kłamstwo wymaga okraszenia go kilkoma prawdami, które należy mieć w zanadrzu na wypadek wywołania do tablicy.

Van skończył tuning swojej mocha latte, usiadł przy stoliku i pociągnął pierwszy łyk. Faith spodziewała się jakiejś okrągłej gadki, ale ku jej zaskoczeniu z miejsca przeszedł do meritum:

- W zeszłym roku we wrześniu Beau został przyjęty do szpitala



Emory z powodu botulizmu przyrannego.

Faith rozumiała poszczególne słowa, ale razem nie miały dla niej sensu. - Botulizm przyranny? - powtórzyła.

- *Clostridium botulinum* to bakteria, która występuje w glebie i wodzie. W pewnych warunkach staje się neurotoksyną botulinową, inaczej botulizmem.

Faith wiedziała o botulizmie tylko tyle, że należy się go wystrzegać.

- W jakich warunkach?

- U Beau doszło do przebicia mięśnia strzykawką z czarną heroiną zanieczyszczoną ziemią. Botulizm przyranny występuje bardzo rzadko, rocznie notuje się w Stanach około dwudziestu przypadków. Beau pojawił się na izbie przyjęć z opadającymi powiekami, paraliżem twarzy, porażeniem mięśni i niewydolnością oddechową. Na podstawie śladów po igłach na rękach lekarze założyli, że przedawkował opiaty, więc podali mu narcen i jego stan się pogorszył.

Faith zdała sobie sprawę, że nawet nie umie sformułować pytania, co było do niej niepodobne.

- Botulizm jest trudny do zdiagnozowania - ciągnął Van. - O ile lekarz jakimś cudem szybciej na to nie wpadnie, jest ostatnią ewentualnością braną pod uwagę. Symptomy botulizmu można pomylić z wieloma innymi przypadłościami, dlatego nie można wykluczyć, że z jego powodu umiera więcej ludzi, niż to wynika z raportów.

Faith nadal nie miała pytań. Jej telefon brzęczał na stole. Amanda pewnie została zaproszona do gabinetu gubernatora i domagała się najnowszych ustaleń, ale Faith potrzebowała więcej informacji od Vana. - Mów dalej - powiedziała.

- CDC to jedyna agencja rządowa, która wie, jak przeprowadzić testy na botulizm i nadzoruje HBAT, antytoksynę neutralizującą działanie trucizny. - Van bawił się kubkiem, trzymając go w obu

dłoniach. - Nie wystarczy wstrzyknąć antytoksynę, by choremu się poprawiło. Lek otrzymuje się z końskiego serum. Pierwszym był koń o imieniu First Flight, jeśli to cię interesuje. FDA umieściła serum w czarnych skrzynkach. Trzeba je rozcieńczyć innym lekiem i podawać bardzo wolno dożylnie, kontrolując stan pacjenta, by leczenie nie doprowadziło do zgonu. Nieważne, w jakim stanie znajduje się pacjent, ale jeśli jest podłączony do respiratora lub ma porażone kończyny, prawdopodobieństwo całkowitego cofnięcia objawów jest niewielkie. Kiedy neurotoksyna zaatakuje układ nerwowy, jest już pozamiatane. Beau miał szczęście, że Michelle zdążyła to wychwycić, zanim doszło do trwałego uszkodzenia.

Faith nie bardzo wiedziała, w czym Van upatruje szczęśliwego trafu.

- I w podziękę za uratowane życie umieścił ją na celowniku Dasha?  
- rzuciła zjadliwie.

- To nie było tak. Adam Humphrey Carter jako jedyny odwiedzał Beau na oddziale intensywnej terapii. Wiemy z dokumentacji Michelle, kiedy dokładnie przebywała w szpitalu. Pewnego razu fiut Carter przyszedł do Beau i zachował się jak fiut. Michelle poczuła się zagrożona i poprosiła personel o wezwanie ochrony, która udzieliła fiutowi ostrzeżenia i sporządziła raport wewnętrzny.

Faith wreszcie miała konkretne pytanie:

- I nie raczyłeś mi tego powiedzieć dwa dni temu, gdy prosiłam o sprawdzenie, czy Michelle miała styczność z Beau Ragnersenem?

- Dwa dni temu o tym nie wiedziałem. Spivey miała tysiące akt pacjentów i pracowała nad setkami projektów, w tym wieloma tajnymi. Nazwisko Ragnersen się wyróżniało. Wczoraj rano pogrzebałem trochę w Emory, pogadałem z personelem na intensywnej terapii, skonfrontowałem to z ochroną. Raport wewnętrzny był... hm, wewnętrzny. Musiałem osobiście grzebać w szafach na dokumenty, żeby znaleźć to, co mnie interesowało.

Powściągliwość Kate Murphy w nazywaniu uprowadzenia Michelle Spivey operacją NAPu zamiast przypadkiem o podłożu seksualnym nagle nabrało sensu.

- Czy Carter porwał i zgwałcił Michelle z zemsty za wezwanie ochrony w szpitalu, czy porwał ją dla NAPu? - zapytała Faith.

- Nad tym się zastanawialiśmy - odparł Van. - Carter nienawidził kobiet. Chciał je ukarać za... no, za wszystko. Nienawiść do kobiet to żaden nowy i wariacki pomysł, to standard u psycholi. Jeśli przyjąć, że Carter uprowadził Michelle, by ją ukarać za naślanie ochrony, wtedy sensu nabiera fakt, że zachował ją przy życiu. Po prostu mógł dłużej ją torturować. To sprawa o porwanie i gwałt. Otwarta i zamknięta.

- Co wpłynęło na zmianę waszego zdania?

- Wybuch bomb, a także wypadek, w którym twój partner powięzł Dasha z Carterem i resztą. Ostatnim ogniwem okazało się powiadomienie z RISC, które dostałem w niedzielę wieczorem. To... - Baza Osób Szczególnej Uwagi - dopowiedziała Faith.

- Właśnie. Dane Michelle już były w RISC. Sieć jest połączona z serwerami na terenie całego kraju. Aktualizacje nie następują w czasie rzeczywistym, ale dostajemy je szybciej, niż mogłabyś się spodziewać. Powiadomienie z RISC przyszło na mój telefon około szóstej wieczorem w niedzielę, dziewięć godzin po tym, jak program do rozpoznawania twarzy namierzył Michelle na tej drodze dojazdowej, tego dnia, w tym miejscu, przed tym budynkiem.

Telefon Faith ożywił się wraz z nadejściem kolejnej wiadomości.

Amanda pewnie chodziła już po marmurowych ścianach Kapitolu.

- Co to jest „ten budynek”? - ponagliła Vana.

Rozejrzał się dokoła i zniżył głos.

- To stacja kwarantanny CDC, część krajowych zapasów strategicznych. Na nasze potrzeby możesz ją uznać za arsenał medyczny na wypadek ataków biologicznych. CDC gromadzi gotowe

zestawy ratunkowe, które można wysłać w każdej chwili po otrzymaniu powiadomienia o nagłej potrzebie. W zestawie są między innymi antidotum, antytoksyny i antybiotyki. Wszystkie twoje ulubione anty- na nadchodzącą apokalipsę.

- Trzymają tam HBAT?

- Tak.

- Czy Michelle była tam, żeby wykraść antytoksynę albo ją zniszczyć? - Faith złożyła w całość wszystkie odpowiedzi, zanim usłyszała je od Vana. - Dash miał już dwie bomby rurowe gotowe do odpalenia, kiedy wywieźli Michelle z Emory. Nie jeździsz ot tak sobie po mieście z materiałami wybuchowymi w bagażniku. Pewnie planował użycie bomb do wysadzenia stacji kwarantanny, ale Michelle zachorowała i plan szlag trafił, więc postanowił zdetonować je na parkingu.

- Podoba mi się, że myślisz jak terrorysta.

- Dash nie mógł umieścić bomb na zewnątrz budynku? - zapytała Faith i znowu sama sobie odpowiedziała: - Budynek jest wzmocniony, prawda? Zabezpieczenia, stalowe drzwi. Jedyne drzwi do środka wiodła przez Michelle. Potrzebowali jej danych biometrycznych, by otworzyć drzwi.

- Czyżby? - zapytał Van.

- Są inne stacje kwarantanny?

- Tak, ale... - Van nie dokończył.

Dla osiemdziesięciu procent populacji USA Atlanta znajdowała się w zasięgu dwóch godzin lotu, dlatego składowanie tych substancji właśnie tutaj, na najbardziej ruchliwym lotnisku świata, miało sens.

- Jak szybko umiera się od zatrucia botuliną? - zapytała Faith.

- Zależy od stężenia toksyny. Botulina, inaczej jad kiełbasiany, w najczystszej formie zabija w ciągu sekund. W przypadku czegoś mniej zjadliwego, jak występująca w naturze substancja skażająca pożywienie, to może trwać kilka dni, a nawet tygodni. Tak czy

inaczej, bez leczenia raczej już po tobie, bo neurotoksyna powoli paraliżuje wszystko. Powieki, mięśnie twarzy, nawet gałki oczne. Zwykle zachowujesz świadomość, ale nie możesz mówić, mózg desperacko wysyła sygnały do mięśni, ale nie reagują na impulsy. W końcu przestają działać wszystkie organy odpowiedzialne za oddychanie i po prostu się dusisz.

Faith otworzyła usta z przerażenia.

- Zwierzęta też mogą zachorować, przeważnie ryby i te, które żywią się rybami. Jest pięć rodzajów szczepów, które atakują ludzi. Występuje botulizm pokarmowy, inhalacyjny, jatrogenny, na szczęście nie można się nim zarazić od innego człowieka. Poziom toksyczności ma coś wspólnego z temperaturą i poziomem tlenu. Jest też botulizm dziecięcy, uzależniony od flory bakteryjnej niemowląt.

Faith poczuła supeł w brzuchu.

- Mówimy o wyjątkowo paskudnej bakterii, Mitchell - ciągnął Van.

- Jeden kilogram toksyny wystarczy, by zabić całą ludzkość.

Faith przypomniała sobie o kartonach, które Will podmienił z ludźmi Dasha w magazynie. Dużo pudeł o sporych rozmiarach. Do podniesienia jednego kartonu trzeba było dwóch silnych mężczyzn, a kilogram to naprawdę niewiele.

- Czyli tak... - Faith musiała omówić to dokładnie. - Carter odwiedził Beau w szpitalu i usłyszał o botulizmie przyrannym. Wiedział, że to śmiertelne zagrożenie. A także wiedział, co się działo z Beau, zanim lekarze postawili właściwą diagnozę, prawda? - Tak.

- Więc najpewniej to Carter powiedział Dashowi o botulizmie, a Dash, zamiast się przerazić, wpadł na pomysł, żeby wykorzystać to jako broń.

- Takie przyjęliśmy założenie.

Faith bała się kolejnej odpowiedzi, musiała jednak zapytać:

- Czy Michelle mogła wyprodukować tyle botuliny, by wystarczyło do ataku na wielką skalę?

- Krótka odpowiedź brzmi: tak.
- Chcę usłyszeć dłuższą wersję.
- Mamy nadzieję, że w tym scenariuszu Michelle zdołała oszukać naukę.

- Macie nadzieję?

- Ludzie z NAPu przetrzymywali ją ponad miesiąc. Była gwałcona i maltretowana, a jej wygląd wskazuje, że ją głodzili. Po pęknięciu wyrostka prawdopodobnie wdała się sepsa. W motelu wpadła w szal i zadźgała Cartera. Wiemy, że groził jej córce. - Van oparł łokcie na stole. - Powiem bez owijania w bawełnę. Michelle Spivey to silna, inteligentna kobieta, ale nasi profilerzy i psychiatrzy nie mają pewności, czy nie załamała się pod wpływem tortur fizycznych i psychicznych, jakim została poddana.

Faith wątpiła, by ktokolwiek to wytrzymał.

- Myślisz, że sterroryzowana Michelle mogła wyprodukować prawdziwą toksynę?

- Myślę, że Dash zmuszał ją, by próbowała, póki nie zyskał absolutnej pewności, że każda kropla, którą od niej dostał, jest tym, o co mu chodziło.

- Zaraz, ale widzę tu pewien problem. Powiedziałeś, że CDC jest jedyną agencją, która wie, jak przeprowadzać testy na obecność botuliny. Michelle mogła sfalszować test.

- Jest inny test na botulizm. - Van wzruszył ramionami, gdy Faith nie próbowała zgadnąć jaki. - Podaj botulinę testowej grupie ludzi i przekonaj się, czy umrą.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ŚRODA, 7 SIERPNIA, GODZINA 9:23

Sara otworzyła pudełko z HBAT i rozwinęła kartkę ze wskazówkami na temat dawkowania.

*20 ml rozcieńczonych w 0,9% chlorku sodu w proporcji 1:10 wprowadzić do wolumetrycznej pompy infuzyjnej i podawać w tempie 0,5 ml/min przez pierwszych 30 minut...*

Spojrzała w sufit. Myślała, że po odejściu Willa spod chaty wylała już wszystkie łzy, ale bardzo się myliła.

Nie mogła już pomóc ani Grace, ani Joy, ani nikomu innemu.

Wychodząc ze szklarni, ścisnęła w dłoni bezużyteczną fiolkę serum. Białe konfetti na polanie sprawiło, że zaniósła się szlochem. Podeszła do Grace. Dziewczynka już nie oddychała. Poszła do baraku do Joy. Nastolatka jeszcze żyła, ale ciężkie chrapliwe oddechy zdradzały, że zostało jej kilka minut.

Sara usiadła przy niej i zapłakała bezgłośnie. Czuwała przy Joy aż do chwili jej śmierci.

CZARNA SKRZYŃKA.

Ostrzeżenie FDA. Wyrok śmierci. Trumna.

Spojrzała na fiolkę antytoksyny, którą wciąż ścisnęła kurczowo w dłoni. Metalowa obwódka wokół zamknięcia została przerwana, w gumowym korku była dziurka po igle.

Czy ona też została zarażona? Pierwszego dnia w Obozie była zbyt wstrząśnięta, by cokolwiek zjeść, a potem Dash narzucił jej dietę wegetariańską. Czy już wtedy planował uczynić z niej swojego Świadka?

Śmierć była jej świadectwem. Śmierć była Wiadomością.

„Zginie tylu, że historycy nie będą w stanie oszacować liczby ofiar”.

Nie wszyscy ludzie w Obozie zostali otruci wczoraj wieczorem. Stopień rozkładu ciał opowiedział Sarze historię tej zagłady. Byli truci grupami od pięciu do dziesięciu osób. Na tym polegało upiorne piękno botulizmu: każdy człowiek reagował na toksynę inaczej, dlatego nawet w warunkach szpitalnych trudno postawić właściwą diagnozę. Symptomy były różne, podobne do tych, które występują w innych dolegliwościach. Jeden pacjent mógł umrzeć w ciągu kilku godzin, drugi po kilku tygodniach, a inny wyjść z tego cało. Dash eksperymentował na ludziach, którzy mu ufali i nad którymi sprawował władzę. Wiedział, że systematycznie morduje swoich zwolenników, spożywając z nimi wspólne posiłki, nauczając i wygłaszając ogniste mowy przeciwko mieszkańcom. Patrzył, jak powoli ulegają działaniu trucizny, którą ich karmił.

Sara doszła do wniosku, że pacjentem zero był Benjamin. Opadające powieki Lance'a i zaburzenia mowy wskazywały, że otrzymywał wolniej działającą wersję toksyny. Wcześniejszy ból brzucha u Joy świadczyłby, że jej otrucie nastąpiło w trzeciej lub czwartej serii. Michelle dysponowała wystarczającą wiedzą, by kontrolować moc dawki. Wczoraj wieczorem inne dzieci wyglądały na zdrowe, musiały więc przed pójściem spać dostać zastrzyk z szybko działającą toksyną.

Sara ukryła twarz w dłoniach. Nie pojmowała, jak Dash mógł zamordować własne dzieci. Granie roli dobrego ojca przychodziło mu z niezmierną łatwością.

Tyle że Dash nie ubrudziłby sobie rąk czymś takim. To Gwen musiała podać dziewczynkom toksynę. A może dodała ją do lodów. Odpowiadała za organizację życia w Obozie. Była partnerką Dasha we wszystkim, co robił.

Jego Aniołem Ciemności.

Jego lady Makbet.

Sara czuła, że musi się ruszyć. Wymordowanie ludzi



przebywających w Obozie to zaledwie jeden z punktów planu. Następny punkt to rozpylenie toksyny wśród niespodziewających się tego ludzi, których Dash nazywał mieszkańcami i ich protektorami. Chciała wierzyć, że Will zdoła go powstrzymać, ale był otoczony uzbrojonymi mężczyznami gotowymi poświęcić życie dla NAPu i dla sprawy.

Musiała znaleźć sposób na powiadomienie Faith i Amandy. Dash komunikował się stąd ze światem. Pierwszego poranka w Obozie zapytała go o liczbę ofiar w Emory, a on skwapliwie udzielił jej odpowiedzi.

Gdzieś na terenie musiał być telefon, tablet lub komputer.

Wyszła z baraku i ruszyła na wzgórze. Chciała biec, ale była kompletnie rozbita i cała się trzęsała na myśl o tej potwornej i kompletnie bezsensownej przemocy. Słodkie dziewczynki kręcące się w kółko w białych sukienkach. Śmiech Grace, która omal nie spadła z ławki, gdy usłyszała żart Willa.

Otarła oczy wierzchem dłoni. Skórę miała szorstką od soli we łzach.

Zobaczyła Konstrukcję. Pomyślała o mężczyznach, którzy godzinami tu trenowali. Dwa zespoły ćwiczyły wejście w zsynchronizowanych i następujących po sobie fazach. Naboje, o których powiedział jej Will, nie zostały spryskane wieprzową solanką, tylko pokryto je warstwą botuliny. Dashowi nie wystarczało samo zabijanie. Chciał zyskać pewność, że każdy ocalały z ataku umrze taką samą potworną śmiercią, jak jego bracia i siostry w Obozie.

Na myśl o niewinnych dzieciach znowu zaczęła płakać. Czy Gwen naprawdę się uśmiechała, gdy podawała Esther i Grace lody w kubeczkach? Jej też proponowała porcję, i na pewno z lekkim uśmieszkiem... Nie umiała rozstrzygnąć, czy Gwen uśmiechała się na myśl o oferowanej truciznie, czy o tym, co Sara zobaczy nazajutrz, gdy wyjdzie z chaty.

Nagle usłyszała ryk silnika.

Serce podeszło jej do gardła.

Pobiegła na grzbiet wzgórza i zobaczyła zielonego sedana stojącego obok blaszanego magazynu. Z rury wydechowej buchały spaliny, samochód trząśł się w rytm pracy silnika.

- Zaczekaj! - Rzuciła się w dół zbocza, machając rękami. - Zaczekaj!

Samochód nie ruszał. Drzwi po stronie kierowcy były otwarte, a za kierownicą siedziała Gwen i trzymała stopę na gazie. Auto pracowało na biegu jałowym, a Gwen wisiała na pasach bezpieczeństwa. Oczy miała w półprzymknięte. Wyciągała rękę, by złapać za klamkę, ale tylko muskała ją opuszkami palców i nie była w stanie zamknąć drzwi.

Sara kopnęła je, by znalazły się całkiem poza jej zasięgiem. Na tylnym siedzeniu leżała walizka. Gwen miała na sobie dżinsy i białą bluzkę, do tego starannie ułożone włosy, cienie na powiekach, róż na policzkach i pomalowane usta.

Malowała się, kiedy umierały jej dzieci.

- Wiedziałaś - wykrztusiła Sara ze ściśniętym gardłem.

Kucharki. Barak. Dzieci. Jej własne dzieci. Gwen wiedziała, co Michelle robi w szklarni. Wiedziała, że mężczyźni ćwiczą we wnętrzu Konstrukcji, przygotowują się do misji, wybierają się na wojnę.

- Wiedziałaś! - Sara złapała ją za ramię, wyciągnęła z auta i sięgnęła do stanika po ukryty tam nóż. - Zabiłaś je!

- Dash... - Gwen spojrzała na Sarę spod ciężkich powiek. Jej szczęka opadała bezwładnie, brzuch był wzdęty tak samo jak u Joy, u Grace i reszty ludzi, których zamordowała w Obozie.

Sara przysiadła na piętach i położyła nóż na kolanach. Spodziewała się, że zobaczy na twarzy Gwen strach, ale dojrzała tylko to samo zimne spojrzenie, jakie miała, gdy dusiła Tommy'ego.

- Dash... - Ślina poleciała jej w kąciku ust. - Czy on... mnie... też...

otruł?

Sara zaśmiała się z niedowierzaniem, po czym oznajmiła: - Oczywiście, że ciebie też otruł, głupia suko.

- Ale... - Gwen przełknęła ślinę. - Ale... on...

Sara pochyliła się nad Gwen i zbliżyła twarz do jej twarzy. Dzielili je tylko centymetry.

- Dokąd jedzie Dash? Co planuje?

Oczy Gwen powoli skierowały się w lewo.

Wcześniej Sara upuściła na ziemię fiolkę z antidotum.

- Chcesz tego? - Podniosła HBAT, by Gwen mogła przeczytać etykietkę. - Powiedz mi, dokąd jada, a uratuję ci życie.

- Dzie... ci...

- Nie udawaj, że martwisz się o dzieci. - Sara przytrzymała jej powieki, by Gwen mogła na nią patrzeć. - One nie żyją, Gwen. Wiem, że je zamordowałaś.

- On... obie... obiecał. - Gwen lewo już mówiła. Oczy miała nieruchome.

- Co ci obiecał? - Sara nie dawała za wygraną. - Powiedz mi!

- My... - Piers Gwen unosiła się spazmatycznie, gdy płuca walczyły o haust powietrza. - Mielśmy... począć... nowe... dzie...

Końcówka ostatniego słowa uwięzła jej w gardle, bo struny głosowe odmówiły posłuszeństwa. Gwen już tylko bulgotała tak samo jak Grace, zanim udławiła się własną śliną.

Sara miała nadzieję, że Gwen będzie świadoma do ostatniej chwili.

Sprawdziła jej kieszenie, potem zajrzała do auta. Telefon leżał między siedzeniami.

Otworzyła go i zobaczyła godzinę.

Godzina 9:49.

Palce jej dygotały, gdy wybierała numer. Bulgotanie Gwen trwało. Sara wciąż trzymała nóż Willa i w chwili miłosierdzia naszła ją myśli, by wbić ostrze w szyję Gwen i skrócić jej męki. Ale ta kobieta nie

zasługiwała na litość.

Ruszyła w stronę blaszanego magazynu zasłuchana w sygnał telefonu.

- Mitchell - odezwała się Faith.

Na dźwięk głosu przyjaciółki Sara poczuła ściskanie w gardle.

- Faith, to ja - z wielkim trudem wydobyła z siebie.

- Sara?!

- Ja... - Spojrzała na swoje dłonie, wstrząsały nią niekontrolowane dreszcze. - Jestem w górach na jakimś zamkniętym terenie. Wszyscy nie żyją. Dash zmusił Michelle do zsyntetyzowania botuliny. Zabił ich wszystkich.

- Zaczekaj. - Faith zasłoniła dłonią telefon i przekazała tę informację komuś obok.

- Nie wiem, gdzie jest Will - ciągnęła Sara. - Wyjechał z Dashem i pozostałymi mężczyznami, ruszyli w drogę chyba dziś rano. Było ich... - Urwała na chwilę, odtwarzając w pamięci słowa Willa. - Czterdziestu mężczyzn uzbrojonych w AR-15. Mieli ponad dziesięć tysięcy naboju. Na rozkaz Dasha zostały spryskane botuliną.

- Jezu - syknęła Faith. - Przełączę cię na głośnik. Jest ze mną człowiek z FBI. Namierzamy sygnał twojego telefonu.

- Pudła z magazynu są tutaj. - Sara zerwała jeden z listów przewozowych. - Nadawca to Whisting Company w Karolinie Północnej. Adresat: ACS, Inc. 1642 Airport Parkway. I jakiś numer, to chyba numer partii: dwa tysiące.

- Sprawdzamy adres - powiedziała Faith. - Możesz otworzyć pudło?

Sara już przecinała taśmę nożem Willa. Zawartość pudła była owinięta plastikowym workiem. W pierwszej chwili nie bardzo wiedziała, na co patrzy, wreszcie powiedziała:

- To aluminiowe pojemniki. Takie, w jakie pakuje się mrożone jedzenie.

- O Boże! - zawołała Faith. - Air Chef Services. Przygotowują

posiłki do samolotów. Dash zanieczyścił pojemniki botuliną. Zamierza otruć setki tysięcy ludzi.

- Czekaj. - Sara puściła się pędem pod górę. - Jest coś jeszcze. Dash zbudował makietę dwukondygnacyjnego budynku. Ma powierzchnię co najmniej połowy boiska do futbolu. Jego ludzie podzieleni na zespoły ćwiczyli wchodzenie tam w pełnym rynsztunku. Dwa zespoły, dwie fazy ataku. - Jak wygląda ta konstrukcja?

Sara wbiegła do środka. Okrążyła ją, szukając wskazówek, które pomogłyby zidentyfikować cel.

- Na drugiej kondygnacji jest balkon. Schody zaczynają się pośrodku pomieszczenia, w połowie wysokości mają podest, gdzie rozdzielają się na dwie części. Jedna biegnie w lewo, druga w prawo.

- Widzisz coś jeszcze?

Znalazła się na podeście, gdzie schody się rozdzielały, i spojrzała w prawo.

- Na podłodze u szczytu schodów po prawej są namalowane litery LG albo IG. - Pobiegnęła w drugą stronę. - Jeśli iść schodami w lewo, a potem do końca korytarza, przed otworem, który chyba udaje drzwi, jest napisana sprayem wielka litera G.

- Drzwi? Okien nie ma?

- Tylko drzwi. Pięcioro drzwi po prawej, troje po lewej. Naprzeciwko schodów jeszcze czworo, troje w holu za podestem, gdzie schody się rozdzielają. - Sara spojrzała przez barierkę na dół. - Nie wiem, co to ma przypominać. Hotelowy hol? Will przypuszczał, że może synagoga albo...

- Zaraz, ja wiem, co opisujesz. To jest atrium.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ŚRODA, 7 SIERPANIA, GODZINA 9:58

- Zostały dwie minuty, bracia. - Dash odciągnął zamek glocka, by się upewnić, że w komorze jest nabój. - Pamiętajcie o naszej sprawie, przyjaciele. Pamiętajcie o poświęceniu naszych rodzin, które nas tu zaprowadziło.

Dokoła rozległ się szmer poparcia. Mężczyźni byli mocno poruszeni tymi słowami... i absolutnie gotowi do wyrządzenia zła.

- To, co uczynimy dzisiaj, stanie się pierwszym krokiem w naszym marszu ku oczyszczeniu kraju z mieszańców i ich protektorów - ciągnął Dash. - Musimy zniszczyć zgniłe i zdemoralizowane społeczeństwo, by stworzyć nowe wcielenie nas samych zgodne z intencjami naszych Ojców Założycieli. Ten kraj się odrodzi. My się odrodzimy. To nasza Wiadomość. Skąpiemy się we krwi owieczek i zasiejemy nasze ziarno na pustyni.

Odpowiedziały mu entuzjastyczne okrzyki.

- Krew i ziemia! Krew i ziemia!

Will spojrzał na zegarek.

Godzina 9:58.

Pięć czarnych furgonetek. Czterdziestu uzbrojonych ludzi.

W myślach powtarzał sekwencję działań, które miały nastąpić po dotarciu na miejsce przeznaczenia.

Zespół Pierwszy, złożony z większości ludzi Dasha, wchodzi pierwszy. Mięso armatnie, jak nazwał ich Dash. Will przypuszczał, że ochrona w miejscu akcji jest solidna. Do budynku dostanie się może połowa.

Druga połowa zostanie wyeliminowana na parterze.

Wtedy wkracza Zespół Drugi.

Bravo w stronę LG. Charlie w stronę G.

Nie mógł pozwolić, by dotarli tak daleko. Musiał zlikwidować ich tyłu, ilu zdoła, zanim przekroczą drzwi wejściowe.

Zlikwidować.

Nie potrafił zredukować tych mężczyzn do „strat w ludziach”. Musiał strzelić im w pierś, w plecy, w głowę. Nie byli papierowymi celami z kółkami namalowanymi na ciele. Spędził z nimi ostatnich szesnaście godzin, znał ich imiona, dowiedział się, co lubią, a czego nie, poznał ich kiepskie żarty i życiowe historie.

Nie mieli pojęcia, że zamierza ich zabić.

- Cholera. - Dobiemu tak pociły się dłonie, że nie był w stanie przesunąć zamka broni. - Co się dzieje?

Will wpatrywał się w zamknięte drzwi furgonetki. Celowo posadził Dobiego za sobą. Podczas wysiadania chciał być drugi. Chciał zastrzelić Dasha, potem zlikwidować resztę grupy Bravo i Charlie.

Furgonetka stanęła, skręciła gwałtownie i zaczęła się cofać.

Will spojrzał na zegarek.

Godzina 9:59.

- Spokojnie, bracia - powiedział Dash.

Wszyscy opuścili kominiarki i zapięli hełmy. Will rozpiął koszulę i wyjął chustkę Sary. Tylko wtedy mógł mieć nikłą nadzieję, że nie zastrzeli go jeden z tych porządnych gości, gdy zawiąże sobie tę chustę pod szyją.

Furgonetka zatrzymała się z piskiem hamulców.

- Jeszcze nie, bracia! - nakazał Dash.

Obok nich stanęła kolejna furgonetka, potem następna, w sumie cztery. Czas na przemowy motywacyjne i modlitwy minął. Drzwi otworzyły się z hukiem, rozległ się tupot nóg po betonie oraz strzały z karabinów glocków, donośne trach, trach, trach górujące nad przeraźliwymi krzykami kobiet i mężczyzn, którym śmierć nagle zajrzała w oczy. Emanująca z ich głosów panika wwiercała się

Willowi w uszy.

Gerald walnął w bok furgonetki.

Will obwiązał szyję białą chustką. Serce mu przyspieszyło, czuł się tak, jakby miał w piersiach stoper.

Cyk, cyk, cyk.

Drzwi się otworzyły.

Słońce ich oślepiło. Will zmrużył oczy. Zobaczył chodnik, betonowe stopnie, starannie przystrzyżoną trawę, wysokie drzewa i białe filary podtrzymujące wapien.

Zespoły Bravo i Charlie były już w ruchu.

Will walnął Dobiego łokciem w twarz. Głowa mu odskoczyła, chłopak walnął w ścianę furgonetki.

- Naprzód! - wrzasnął Dash, strzelając z biodra z AR-15.

Wyskakując z furgonetki, Will czuł się tak, jakby na chwilę zawisł w powietrzu. Pierwsze spojrzenie skierował na cel akcji:

Lśniaca złota kopuła. Czterokondygnacyjny portyk. Neoklasycystyczny styl. Skrzydła wschodnie i zachodnie mieszczące sale zgromadzenia ustawodawczego.

Znajdowali się przed Kapitołem Stanu Georgia.

- Naprzód! - Gerald upajał się poczuciem radosnej furii, bo właśnie zastrzelił jednego z policjantów strzegących Kapitolu. Czerwona mgiełka wystrzeliła z głowy zabitego, Gerald strzelił drugiemu w brzuch, a kula odłupała kawałek wapienia. Cywile krzyczeli, wypadali z budynku, biegli pochyleni po trawniku. Gerald otworzył do nich ogień.

Tłum ludzi dostał się wprost pod grad kul.

Will strzelił Geraldowi w twarz.

Usłyszał za sobą kobiecy krzyk.

- Uciekaj stąd! - mocno ją odepchnął, wypatrując Dasha.

Omiatał wzrokiem twarze ludzi i strzelał do każdego mężczyzny w czarnej kominiarce. Koło jego głowy przemknęła ze świstem kula.



Zdjął martwemu policjantowi kapelusz i włożył go sobie na głowę. Rzucił karabin na ziemię, wyjął z kabury sig sauera, a z glocka zastrzelił następnego w kominiarce. Jakiś mężczyzna w garniturze wpadł na niego z impetem.

- Rusz się! - krzyknął i pchnął go w bok.

Wybiegający z budynku spanikowany tłum porwał go z powrotem w stronę chodnika. Will okręcił się, szukając celu. Zastrzelił kolejnego mężczyznę w kominiarce, potem następnego. Wycelował do trzeciego.

Zobaczył jego otwarte szeroko oczy.

Daryl.

Lubił wędkować. Żona zostawiła go dwa lata temu. Dzieci nie chciały z nim rozmawiać, gdy do nich dzwonił.

Strzelił Darylowi w pierś, wymierzył do następnego ukrytego za kominiarką. I jeszcze jednego.

Oliver, który nienawidził czekolady. Rick, który kochał buldożki francuskie. Jenner, który przez całą noc nerwowo pytał o godzinę.

Pierś. Pierś. Głowa.

- Proszę! - krzyknęła jakaś kobieta.

Glock Willa niemal dotykał jej twarzy. Zamek był odciągnięty. Magazynek okazał się pusty.

- Biegnij - warknął Will, wyrzucił magazynek i włożył nowy.

Gdzie, do cholery, jest Dash?

Omiótł wzrokiem okolice wejścia. Niebieskie sukienki, czarne garnitury, czerwone krawaty, krew, kości, tkanka mózgowa na chodnikach, na trawie. Zobaczył ciała leżące na rabatach oparte plecami o drzewa, o pomniki generałów konfederacji i segregacjonistów.

Ani śladu Dasha.

Przeskoczył przez rozbite szkło w drzwiach wejściowych i wbiegł do Kapitolu.

Ciała, odłamki, chaos. Do czterokondygnacyjnego atrium światło wpadało przez okna sufitowe. Wszędzie wokół latały kule. Will przywarł do ściany i poczuł na plecach chłód marmuru. Podłoga była zasłana ciałami, głównie cywilów. Sześciu mężczyzn w kominiarkach zostało powalonych u podstawy schodów. To oznaczało, że dwunastu, może dwudziestu kilku dotarło na drugą kondygnację. Albo na trzecią, gdzie legislatorzy obradowali w wielkiej wyłożonej dębowym drewnem sali.

Albo na czwartą, gdzie znajdowała się galeria.

Dotarli tam, by oczyścić kraj z mieszańców i ich protektorów.

Gdy usłyszał za sobą skrzypnięcie buta, odwrócił się.

Czarnoskóra mężczyzna. Niebieski garnitur. Ręce w górze.

Will pchnął go w stronę wyjścia i znowu odwrócił się gwałtownie. Trzej mężczyźni kulili się ze strachu pod zamkniętymi drzwiami. Byli to politycy z amerykańskimi flagami w klapach marynarki. Skrobali w drewniane drzwi, by ktoś wpuścił ich do środka. Jeden z nich trzymał sztywno rękę, a pomiędzy palców sączyła się krew.

Machnął do nich, wskazując wyjście. Rozległ się tupot uciekających z budynku mężczyzn, a Will starał się wychwycić inne dźwięki.

Strzelanina ustała.

Will omiótł wzrokiem ogromne pomieszczenie, które miało podobne wymiary jak konstrukcja w Obozie. Spojrzał na trzy poziomy balkonów, szukając śladów Dasha. Schylił się, gdy w atrium przytłumionym echem rozległy się strzały. Zespół Pierwszy dotarł do Izby Reprezentantów. Senat znajdował się po drugiej stronie rotundy. Tłumione strzały wyjawily Willowi, że ludzie Dasha dotarli w oba miejsca.

Pochylony przebiegł przez otwartą przestrzeń, przestępując przez potłuczone szkło i leżące ciała. Okazałe schody dzieliły przestrzeń na pół. Rzeźbiony marmur, czerwony dywan, boazerie. Papiery, buty, rozbite okulary, kałuże krwi, kawałki zębów i kości. Rozcięte gardła.

Ciała leżące jedno na drugim tam, gdzie pojedyncza kula zabiła dwoje, troje, gdzieniegdzie nawet czworo ludzi.

Dwie ranne kobiety łkały na schodach. Na widok Willa skuliły się i schowały głowy w ramionach. Zastępca szeryfa zapiął pasek na nodze, by zatrzymać krwawienie. Uniósł broń i wycelował do Willa, ale komora była pusta. Mimo to pociągnął za spust. Suchy trzask kurka złał się w jedno z łomotem serca Willa.

Wbiegł po schodach na podest tym szybkim krokiem wypraktykowanym w Obozie.

Teraz już wiedział. Litery LG oznaczały gabinet wicegubernatora.

Litera G odnosiła się do gubernatora stanu.

Zespół Bravo został zlikwidowany, zanim dotarł do drzwi. Klatki piersiowe ziały otwartymi ranami od broni palnej. Kępki białej wyściółki wystawały z piankowych kamizelek. Jeden miał odstrzeloną szczękę, drugi stracił ramię. Will przeszedł nad oderwaną kulami ręką. Palce wciąż zaciskały się na rękojeści noża myśliwskiego, w które wyposażeni byli wszyscy „bracia”.

Zespół Charlie zniknął z pola widzenia. Will kucnął i w tej pozycji pokonał resztę schodów, kryjąc się za marmurową balustradą. Chciał wyrzucić zza rogu, ale powstrzymał go huk wystrzału.

Zastygł w bezruchu. Hałas dobiegł z kondygnacji bezpośrednio nad nim, a kule wydawały trzask jak płonące węgle. Działy tam niedobitki Zespołu Pierwszego. Albo zabijali maruderów w Izbie Reprezentantów, albo komuś udało się zdobyć broń i odpowiedział ogniem.

W tej chwili Dash mógł już być w gabinecie gubernatora, mierzyć mu w głowę i przedstawiać żądania:

**BIAŁA SIŁA**

**ŚMIERĆ PROTEKTOROM MIESZAŃCÓW**

**KREW I ZIEMIA**

Will ponownie zerknął zza balustrady.

I zorientował się, że patrzy wprost w wylot lufy pięciostrzałowego rewolweru smith and wesson.

Amanda.

Właśnie kładła palec na spuście, gdy rozpoznała Willa i powoli przesunęła palec na kabłąk spustowy. Will zobaczył, jak otwiera usta, by nabrać powietrza.

Schował glocka do kabury, a w dłoni trzymał sig sauera. Balkon był pusty, w zasięgu wzroku ani jednego człowieka w czarnej kominiarce, żadnych skulonych czy chowających się cywilów.

Żadnych policjantów prócz niego i Amandy.

Strzały umilkły. Cisza w atrium dzwoniła w uszach. Will poczuł się jak w grobowcu. Na tle wysokich okien zobaczył przesuwające się sylwetki. Na dachu był oddział SWAT. W oddali rozległy się syreny.

- Gdzie Dash? - zapytała Amanda.

Will odszukał wzrokiem gabinet gubernatora. Dwóch funkcjonariuszy drogówki stało na straży z bronią półautomatyczną. Jeden z nich był ranny. Strużka krwi sączyła się z otworu po kuli w bicepsie. - Will?

Pokręcił głową, usiłując poskładać wszystko w całość. Ostatni raz widział Dasha przy furgonetce. Z budynku wybiegali cywile, a Gerald strzelał do nich jak do kaczek. Dash też otworzył ogień. Strzelał z biodra i krzyczał na swoich ludzi, by parli naprzód. Ludzka fala, wylewająca się w budynku, zagarnęła Willa. Zamiast zabić Dasha, zapewnił osłonę uciekającym.

Kiedy mógł znowu rozejrzeć się za nim, Dash zniknął.

Nagle dotarły do niego twarde fakty.

- To tchórz, nie wojownik. Nigdy nie zamierzał wejść do środka.

Po tych słowach puścił się pędem schodami w dół, przeskakując po trzy stopnie naraz. Pogalopował po marmurowej posadzce, okrążył leżące ciała, przeskoczył przez szklane drzwi z wybitymi szybami i wybiegł na zewnątrz.

Zbiegł z betonowych schodów. Kręcił się w kółko, omiatając wzrokiem teren wokół Kapitolu w poszukiwaniu Dasha. Widok, jaki ukazał się jego oczom, przyprawił go o mdłości.

Parkowe otoczenie gmachu zamieniło się w piekło. Ranni jęczeli, płakali, krzyczeli, wielu ludzi kule przeszły na wylot. Niektórzy stracili oko, inni mieli ziejące rany w klatce piersiowej.

Zobaczył Dasha na trawniku po wschodniej stronie. Krył się w cieniu ogromnego derenia.

Kłęczał, ale nie był ranny. Gorączkowo przeszukiwał kieszenie zabitego mężczyzny.

Ten psychopata zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach, trenował swoich ludzi do upadłego, posłał ich rzeź, ale nie przemyślał jednego: jak ucieknie z miejsca zdarzenia bez kluczyków.

Will uniósł sig sauera, wycelował w serce Dasha, zgrał muszkę ze szczerbinką i krzyknął:

- Nie ruszaj się!

Dash gwałtownie podniósł głowę.

- Policja! Ręce do góry!

Dash rzucił się na ziemię. Will wystrzelił dwukrotnie, zanim zorientował się, co zaszło. Dash zamierzał wykorzystać krwawiącą kobietę. Złapał ją za ramię i pociągnął, by klękała i zasłoniła go swoim ciałem. Była ranna w nogę. Dash tak mocno przycisnął jej nóż myśliwski do szyi, że z uszkodzonej skóry popłynęła krew, zabarwiając kołnierzyk białej bluzki.

Na jej twarzy malowało się śmiertelne przerażenie. Przeżyła chwile strachu, a teraz sparaliżowało ją widmo nieuchronnej śmierci.

- Puść ją. - Will ruszył w kierunku Dasha, mierząc do niego z glocka i sig sauera. - Natychmiast.

- Dwa pistolety - powiedział Dash, chowając twarz za barkiem kobiety. - Myślisz, że dasz radę strzelić, Wolfie?

Will potrzebował jeszcze czterech kroków, by pościć Dasha martwego na ziemię.

- Myślę, że cię zabiję, zanim weźmiesz następny oddech.

- Ej, dupku! - To wrzeszczał Dobie.

Kawałki betonu wystrzeliły Willowi spod nóg.

Chłopak do niego strzelał. Druga kula przeleciała daleko, a trzecia trafiła w okno. Jedynym powodem, dla którego nie padł martwy tam, gdzie stał, był odrzut, po którym Dobie stracił równowagę i poleciał w głąb furgonetki.

Will przycupnął za metalowym pojemnikiem na śmieci, gdy Dobie gramolił się z powrotem do drzwi.

- Wyłaź, przeklęty tchórze! - krzyknął do Willa.

Will celował do Dasha z glocka, a teraz wycelował sig sauera w Dobiego. Jego ramiona utworzyły boki trójkąta, którego wierzchołkami byli oni trzej.

- Odłóż broń, Dobie! - zawołał. - W tej chwili!

- Wal się, dupku. - Dobie wysiadł z furgonetki i mierzył do Willa.

Oddział SWAT był na dachu. Amanda stała w drzwiach Kapitolu, uzbrojona w pięciopalcowy rewolwer. Na ulicy wyły syreny. Ciała leżały wszędzie. Ktoś w końcu mógł zabić tego chłopaka.

- Nie strzelać! - zawołał Will chropawym głosem. - Jestem z GBI! Nie strzelać!

Dash szczyrzył zęby w szerokim uśmiechu, upajając się koszmarem. Widział uzbrojonych ludzi poruszających się po ulicy, widział snajperów na dachu. Był skryty w cieniu, klęczał, zasłaniając się zakładniczką.

Jedyna kula, która miała szansę go dosięgnąć, znajdowała się w magazynku Willa.

- Dobie. - Will trzymał Dasha na muszce, ale przemawiał do chłopaka. - Proszę cię, odłóż broń.

- Zabiję cię, pieprzona świni! - Dobie gotował się z wściekłości

z powodu zdrady Willa. – Byłeś moim kumplem!

– Wciąż jestem twoim kumplem, Dobie. – Will wstał zza pojemnika. Czekał na kulkę albo od Dobiego, albo od snajpera ze SWAT. Kiedy to nie nastąpiło, zrobił krok w stronę chłopaka, potem jeszcze jeden. Nie spuszczał wzroku z Dasha, chociaż oddalał się od niego. – Dobie, połóż karabin na ziemi. Proszę – powtórzył.

– Wal się!

Dash uśmiechał się triumfalnie. Will miał ochotę zedrzeć mu ten uśmiezek z twarzy jednym czystym strzałem między zęby. Dash wciąż przystawiał kobiecie nóż do gardła, a jej twarz pokrywała krew wymieszana ze łzami. Starła się nie oddychać i nie poruszać.

Will analizował sytuację. Dash miał glocka. Gdyby choć na chwilę spuścić go z oczu, poderznąłby kobiecie gardło, sięgnął po broń i zastrzelił Willa.

Dash najwyraźniej kalkulował podobnie, dlatego uśmiezek nie zniknął mu z twarzy.

– Trudna sytuacja, bracie.

Will skinął głową raz, jakby przyznawał mu rację. Dash nie wiedział, że w roztrzaskanych drzwiach wejściowych stoi Amanda. Nie wiedział, że Amanda widzi jego głowę pod innym i znacznie lepszym do strzału kątem, nie wiedział też, że strzela lepiej od Willa.

– Spójrz na mnie, kurwa! – krzyknął Dobie.

Will przesunął się bliżej chłopaka, ale nie odwracał wzroku od Dasha. Zobaczył to, co prawdopodobnie widziała też Amanda. Zakładniczka nie była jedynym problemem. Za Dashem leżeli niewinni ludzie, cywile rozsiani na trawniku Kapitolu jak kawałki drewna wyrzuconego na brzeg.

„Mieszkańcy i ich protektorzy”.

Sekretarki. Politycy. Policjanci. Woźni. Asystenci.

– Okłamałeś mnie! – wrzeszczał Dobie do Willa. – Zaufałem ci, a ty mnie okłamałeś!

- Proszę. - Willa dzieliło od Dobiego jeszcze półtora metra. Przeniósł spojrzenie z Dasha na chłopaka, wiedząc, że wystawia się Dashowi. - To koniec, Dobie. Proszę, odłóż... Kula snajpera roztrzaskała chłopakowi głowę.

Karabin wypadł mu z rąk.

Will odwrócił twarz, ale czuł w powietrzu metaliczny zapach krwi.

Czuł, jak jej drobinki muskają mu skórę jak cieniutki woal.

Odgłos ciała padającego na ziemię odebrał jak śmiertelny cios zadany mu prosto w serce.

Spojrzał na chodnik. Strużka krwi tworzyła wokół jego buta powiększającą się plamę. Krew Dobiego. Miał ją na ramieniu, na brodzie. Podniósł wzrok.

Dash ani drgnął. Nadal zasłaniał się kobietą jak tarczą, tylko jeszcze bardziej schylił głowę. Wciąż miał glocka u boku. I zadowoloną z siebie minę.

Nie zabił zakładniczki, nie próbował zabić Willa, ponieważ czegoś chciał.

Will domyślił się, o co mu chodzi, zanim ujrzał odpowiedź. Ludzie trzymali w dłoniach telefony i nagrywali wszystko, co się dzieje. Mimo zakrwawionych rąk, mimo leżących wokół martwych ciał, wciąż filmowali.

Przedramieniem starł krew Dobiego z twarzy i powiedział:

- Puść tę kobietę.

- Niedoczekanie twoje, bracie. - Gdy Dash wzmocnił uścisk, zakładniczka krzyknęła z bólu, ale pozostała w bezruchu. - Dziś rano straciłem moje aniołki. Będziemy potrzebowali nowych sióstr, by odbudować naszą wspólnotę.

Will zacisnął szczęki.

Kobiety w Obozie.

Rano tylko Gwen podawała mężczyznom śniadanie, a jedzenie było zimne. Czy dlatego, że kobiety, które gotowały, prały i rodziły dzieci,



już wtedy nie żyły?

- Nasza Sprawa wymaga czystości, bracie. Nieskażonego rodowodu. Przewodzimy ludziom własnym przykładem. Oczyszczamy świat poczynając od nas samych. Kroczymy triumfalnie w imię ostatnich wdów rewolucji.

- Kobiety. Dzieci. Czy one... - zaczął Will.

- Oczyszczone. - Uśmiezek Dasha przeszedł w uśmiech od ucha do ucha. - Drzewo wolności musi być od czasu do czasu podlane krwią patriotów i tyranów. To jego naturalny nawóz.

Will nie mógł oddychać. Skwar palił mu skórę. Miał wrażenie, że mózg mu płonie.

Czy Dash poświęcił Sarę?

- To słowa Thomasa Jeffersona, ojca Deklaracji Niepodległości, jednego z twórców naszej Konstytucji - powiedział Dash.

Willowi spływała do oczu krew Dobiego.

Zamrugał i spytał:

- Zabiłeś je? Powiedz, czy...

- Jestem Douglas Shinn, prawowity przywódca Niewidzialnej Armii Patriotów. - Odwrócił głowę, by mówić wprost do nagrywających go kamer. - Jako namaszczony prorok Martina Eliasa Novaka, wzywam białych mężczyzn żyjących w tym kraju do przyjrzenia się naszemu dziełu i świętowania masakry dokonanej przez NAP. Dołączcie do mnie, bracia. Dołączcie do mnie, by odzyskać należną wam pozycję. Czekają was niewyobrażalne bogactwa i towarzystwo porządnych białych kobiet.

Sara?

- Musimy powstrzymać roznoszących choroby śniadych i czarnych mieszańców, degeneratów, którzy będą gwałcić i mordować nasze dzieci.

Will spojrzał na szyję zakładniczki. Szczupła, z takim samym delikatnym wgłębieniem jak u Sary.

- Dołączcie do mnie, by przywrócić naturalny porządek świata, bracia. Sięgnijcie po broń i wzniescie pięści. Obwieścimy światu, że nie damy się zastraszyć.

Will przesunął palec w stronę spustu glocka. W tej chwili liczył się tylko nóż. W lśniącym ostrzu odbijał się błękit nieba. Krew płynąca z rany na szyi była ciemnoczerwona. Pole widzenia Willa zawężyło się wyłącznie do stalowego ostrza. Dash trzymał rękojeść mocno i pewnie. Nie było w nim strachu, bo wreszcie znalazł się tam, gdzie zawsze pragnął być: w centrum uwagi całego świata.

- Dzisiaj, bracia - ciągnął swoją przemowę - wypisaliśmy nasze imiona własną krwią na terenie Kapitolu. Składamy ofiarę w imię większego dobra. Niechaj wszyscy mieszkańcy i ich protektorzy wezmą pod rozwagę nasze męstwo w walce. Biała krew! Biała siła! Biała Ameryka! Na zawsze!

Czubek ostrza poruszył się nieznacznie.

Will pociągnął za spust.

Eksplozja prochu strzelniczego napełniła mu uszy świstem, a błysk, który pojawił się na końcu lufy, oślepił go na chwilę. Poczuł żar pustej łuski wypadającej z glocka.

Świst naboju zastąpił przeraźliwy krzyk. Zakładniczka rozpaczliwie zaczęła się czołgać, byle być jak najdalej. W ręce trzymała nóż.

Dash leżał na boku z szeroko otwartymi oczami i ustami.

Żył.

Will chybił o kilka centymetrów. Kula rozorała Dashowi skórę głowy nad uchem. Krew płynęła obficie na ziemię jak woda.

„Krew i ziemia”.

Will patrzył na niego przez przyrządy celownicze glocka. Metalowe karby stworzyły ramę dla bieli czaszki Dasha, uszkodzonych naczyń krwionośnych, żółtawego tłuszczu i czarnych mieszków włosowych.

Dash sięgnął ręką do rany i zbadał palcami jej głębokość. Dotknął gładkiej kości. Już nie miał w oczach tego zimnego jak stal

spojrzenia.

Przewrócił się na plecy, ściskając głowę.

- Kurwa! - krzyknął. - Kurwa!

Amanda zabrała mu glocka, założyła kajdanki na nadgarstki. Zdjęła żakiet, kucnęła i owinęła nim głowę Dasha.

Will powinien jej pomóc. Wokół niego cierpieli ludzie. Teren wokół Kapitolu zamienił się w cmentarz. Ale nie mógł się ruszyć. Ciało miał jak z granitu.

Kobiety w Obozie. Dzieci. Dobie.

Sara?

Wciąż celował w głowę Dasha. Nie zdjął palca ze spustu. Łokcie miał lekko ugięte, by zaabsorbowały energię odrzutu. Stopy trzymał w pozycji strzeleckiej, ponieważ całym swoim jestestwem pragnął zastrzelić tego faceta.

- Wilburze! - zawołała Amanda.

Pociągnął nosem. Krew Dobiego spłynęła mu do ust, utkwiała między zębami, weszła do płuc wraz z oddechem. Czuł, że każdy mięsień między mózgiem a palcem rwał się do działania, podczas gdy on usiłował znaleźć choćby jeden powód, dla którego miałby nie zamordować Dasha z zimną krwią.

- Z Sarą wszystko w porządku - powiedziała Amanda. - Faith rozmawiała z nią przez telefon. Nic jej nie jest.

Sara?

- Will - powtórzyła Amanda. - Oddychaj.

Wyobraźnia podsunęła mu obraz, w którym rozplynęła się cała jego furia.

Przeniósł się w inne miejsce. Kapitol, trawa, drzewa zniknęły.

Stał w mieszkaniu Sary. Za chwilę miała go po raz pierwszy pocałować.

Nie tak powinno wtedy się to potoczyć.

To on dawno temu powinien pocałować ją pierwszy, ale nie był

pewien, czy ona tego chce, i nie wiedział, gdzie podziąć ręce, i był tak przejęty, tak przerażony i tak twardy, że na samą myśl o tym, jak miękkie będą jej wargi, trząsł się na całym ciele jak galareta.

Sara przysunęła usta do jego ucha i wyszeptała: „Oddychaj...”.

- Wilburze? - Amanda pstryknęła palcami.

To był dźwięk przypominający kliknięcie włącznika światła.

Kapitol. Trawa. Drzewa. Pomniki.

Otworzył usta i powietrze wypełniło mu płuca.

Zdjął palec ze spustu.

Włożył broń do kabury.

Kiwnął Amandzie głową.

Amanda odpowiedziała mu skinieniem.

Zaczął chłonać wszystkimi zmysłami świat dookoła niego. Służby ratownicze. Wozy strażackie. Wycie syren. Miejskowa policja. Biuro szeryfa. Policja drogowa. Każdy przedstawiciel organów ścigania, który znajdował się w pobliżu, na dźwięk strzałów ruszył w ich kierunku.

To byli ci dobrzy goście.

- Dzięki Sarze i Faith mieliśmy trzy minuty, by wyprzedzić atak. Część ludzi udało się wyprowadzić, część ukryć na miejscu. Sale posiedzeń były puste, ale nie wiem, ilu... - Amanda zawiesiła głos. Nie musiała kończyć zdania. Nie można było policzyć ofiar. Część leżała na trawniku. Część w budynku. Nawet ranni wyglądali jak ludzie balansujący na granicy życia i śmierci.

- Proszę pani? - drżący głos Dasha stał się wyższy o oktawę. - Potrzebuję pomocy. Kula, która mnie trafiła...

- To powierzchowna rana. - Amanda zmierzyła go surowym wzrokiem. - Przeżyjesz. Przynajmniej do czasu procesu i wyroku.

- Pani nie rozumie. - Dash szczął zębami. Łzy zalśniły w kącikach oczu. - Proszę wezwać kogoś z CDC. Nie chcę umrzeć taką śmiercią jak oni.

# EPILOG

CZTERY DNI PÓŹNIEJ  
NIEDZIELA, 11 SIERPNIA, GODZINA 10:17

Sarę obudził pies chłęczący wodę z miski w kuchni. Zmrużyła oczy, by spojrzeć na zegarek, ale na nadgarstku zegarka nie było. Odwróciła się, by sprawdzić, czy Will leży obok niej, ale jego też nie było.

Jak zwykle wstał bladym świtem. Słuchała, jak wsypuje czekoladę z saszetki do kubka, mówi do psów, rozciąga się, sprawdza pocztę, ponieważ sypialnia przylegała do kuchni i Sara nigdy nie mogła sobie pospać, gdy zostawała u niego na noc.

Przytuliła się do jego poduszki. Ciągle czuła w pościeli jego zapach. Po tylu godzinach w chacie, które straciła na wyobrażanie sobie, na ile sposobów będzie się z nim kochać, przez trzy ostatnie noce była w stanie tylko płakać w jego ramionach.

Will wydawał się zadowolony, że może po prostu trzymać ją w objęciach. Śmierć Dobiego nadal mu ciążyła. Fakt, że nawet rozmawiał o tym z Sarą, był dowodem na jego stan emocjonalny. Dręczyły go rozmaite „gdyby”. Gdyby zastrzelił Dasha przed otwarciem drzwi furgonetki. Gdyby zastrzelił Dasha na zewnątrz zamiast próbować usunąć ludzi z drogi. Gdyby nie spudłował dwa razy, kiedy zobaczył Dasha na trawniku przed Kapitołem.

Gdyby udało mu się przekonać Dobiego do odłożenia broni, zanim kula snajpera położyła kres wypełnionemu nienawiścią krótkiemu życiu chłopaka.

Chociaż Sara uznała zasadność wyborów, jakich dokonał Will, nie próbowała racjonalizować jego działań ani rozmywać odpowiedzialności. Wiedziała, że Will sam musi się z tym uporać.

Znała z własnego doświadczenia sytuacje, w których najbardziej racjonalne decyzje podjęte na bazie najlepszej wiedzy mogły przynieść najgorsze możliwe skutki. Nosiła w sobie wspomnienie każdego pacjenta, którego straciła. Teraz Benjamin, Grace, Joy, Adriel i wszystkie pozostałe białe konfetti dołączyły do niezapomnianych dusz żyjących w zakamarku jej serca.

Spojrzała na zegarek przy łóżku.

Godzina 10:21.

Za dwie godziny spotykali się z jej rodziną na lunchu. Już zbyt długo izolowała się u Willa. Chciała uciec przed nieustannym zalewem informacji, jakie jej ojciec śledził na bieżąco w telewizji.

Eddie obsesyjnie chciał się dowiedzieć czegoś więcej o Dashu, o Gwen i Martinie Novaku, o ocalałych „braciach”, którzy nadal głosili swoją nienawistną, rasistowską i mizoginiczną propagandę, kiedy tylko znalazł się reporter podtykający im mikrofon pod nos.

Czterdzieści sześć ofiar śmiertelnych na Kapitolu. Dziewięćdziesiąt trzy osoby ranne. Wszyscy zostali zainfekowani botulizmem od kul pokrytych roztworem z botuliną. I wszyscy otrzymali szczepionkę z HBAT. Nawet Dash.

Na szczęście nie doszło do zakażeń poprzez jedzenie z Air Chef. Aluminiowe pojemniki były już ładowane na taśmociągi, gdy do wytwórni wpadli agenci FBI. Testy wykazały, że botulina znajdowała się na dnie każdego pojemnika. Gdyby jedzenie zostało przygotowane i załadowane do samolotów, każdy pasażer, który spożył posiłek na pokładzie jednego z tysięcy samolotów odlatujących z Hartsfield, zostałby zainfekowany toksyną.

Przypuszczano, że porywacze Michelle Spivey zabrali ją tamtego dnia na lotnisko, by Dash mógł wysadzić w powietrze strategiczne zapasy HBAT. Bez antytoksyny śmierć zebrałaby straszliwe żniwo. Botulina to powolna i nieprzewidywalna toksyna. Jak powiedział Dash, historycy nie byłiby w stanie oszacować całkowitej liczby ofiar

tego ataku. Sara mogła sobie tylko wyobrazić jego wściekłość, gdy Michelle zasłała i upadła dosłownie kilka metrów przed miejscem docelowym.

A może wcale nie wpadł we wściekłość.

Może kiedy wioził Michelle do szpitala Emory, przekonał sam siebie, że HBAT nie jest taka ważna. Miał dwie bomby gotowe do odpalenia.

Miał szpitalny parking, na którym roіło się od personelu i odwiedzających.

„Bracia, przejdźmy do planu B”.

Najbardziej zastanawiało Sarę, jak Dash wszedł w posiadanie fiolki z HBAT. Gwen wiedziała, co jest w fiolce, co oznaczało, że Dash też wiedział, a to z kolei oznaczało, że prawdopodobnie trzymali zapasy na wypadek zarażenia. Przepływ substancji kontrolowały agencje rządowe, była dostępna dla cywilów wyłącznie za pośrednictwem Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego lub CDC.

Beau Ragnersen w końcu dostarczył odpowiedzi. Fiolka z HBAT pochodziła z jego prywatnego składu.

Za rządów Saddama Husseina iracka armia wyprodukowała dziewiętnaście tysięcy litrów botuliny. Dziesięć tysięcy litrów toksyny wykorzystano w bombach lotniczych, pociskach odłamkowych i głowicach bojowych. Testowali działanie neurotoksyn na irańskich jeńcach wojennych. Od tamtego czasu antytoksyna HBAT znalazła się w standardowym wyposażeniu armii USA. Beau Ragnersen przeschmugłował jedną fiolkę z Afganistanu na pamiątkę. Poza antytoksyną miał wszystkie leki na wszystko: od zatrucia chlorem po zarażenie węglikiem. Chociaż Beau zaprzeczył jakimkolwiek związkom z NAPem, fakt, że przekazał antytoksynę, był wystarczającą poszlaką, by powiązać go z wielokrotnym zabójstwem pierwszego stopnia oraz udziałem w spisku mającym na celu popełnienie dwóch aktów terrorystycznych na terenie kraju.

Amanda wierzyła, że prędzej czy później Beau zdecyduje się powiedzieć prawdę.

Will uważał, że do głosu dojdzie raczej nihilizm Beau i faceta czeka kara śmierci.

Sara przewróciła się na plecy i wbiła wzrok w sufit. Przed jej oczami przesuwaly się twarze chorych dzieci z baraku. Benjamin, Adriel, Martha, Jenny, Sally. Infekcja oczu, katar, suchy kaszel. Prawdopodobnie przetrwałyby epidemię odry, aczkolwiek z trwałymi śladami.

Zadawała sobie pytanie, kiedy Gwen uznała, że nie opłaca się ich ratować. W przypadku Tommy'ego nie chciała marnować zapasów na beznadziejny przypadek. Walizka w jej aucie była pełna leków, które Gwen zabrała z baraku. W bagażniku leżały kolejne białe sukienki wraz z listą hoteli między północną Georgią a Arizoną, gdzie Gwen najwyraźniej planowała spotkanie z Dashem po przekazaniu Wiadomości. Nowy Obóz. Nowi bracia, nowe siostry. Nowe dzieci.

Gdyby Gwen zastanowiła się nad tym przez chwilę, wiedziałyby, że Dash już z nią skończył. Częste ciąże i porody, karmienie piersią, brak odpowiedniej opieki medycznej i właściwego odżywiania, wyeksploatowały jej ciało ponad miarę i zminimalizowały szansę na kolejne dzieci, które mogłaby Dashowi urodzić.

„Siostro, przejdźmy do planu B”.

Sara nie cieszyła się ze śmierci Gwen, ale też nie była w stanie jej opłakiwać. Po latach molestowania przez Martina Novaka, a potem Dasha, po uczynieniu własnych dzieci obiektami molestowania, po rozciągnięciu tego na cały Obóz, Gwen wyczerpała wszystkie możliwości zaspokojenia mężczyzn w swoim życiu.

Esther. Charity. Edna. Grace. Hannah. Joy. Adriel.

U wszystkich dzieci z Obozu wykonano sekcję zwłok. U wszystkich wykryto ślady wykorzystywania seksualnego i przemocy fizycznej.

Sara zakryła oczy dłońmi. Zadręczała się własnymi „gdyby”. Gdyby



wcześniej się zorientowała, że dzieci są wykorzystywane. Gdyby powięzała opadające powieki, porażenie mięśni, niewyraźną mowę. Gdyby skonfrontowała się z Gwen. Gdyby powstrzymała Dasha. Gdyby zdołała wdrzeć się wcześniej do szklarni i zniszczyć botulinę, zanim ktokolwiek został nią zainfekowany.

Gdybygdymygdymy.

Sara od dzieciństwa wiedziała o botulizmie, ale w niebezpośredni sposób. Każdego lata Cathy zaprawiała warzywa. Tessę i Sarę bardziej zajmowała kłótnia, która z nich będzie odczytywać temperaturę, niż pytanie, dlaczego temperatura przy zaprawach w ogóle ma znaczenie.

Na studiach medycznych dowiedziała się, że hipotonia, inaczej zespół dziecka wiotkiego, może być objawem botulizmu dziecięcego, ale same objawy – senność, zmniejszona zdolność ssania, stłumiony płacz, ograniczenie spontanicznych ruchów – trudno było przełożyć na dorosłych.

O neurotoksynach czytała tylko raz, w „Journal of American Medical Examiners”. Więzień zmarł nagle w niewyjaśnionych okolicznościach. Strażnicy znaleźli pod jego pryczą worek z więziennym winem. Wytwarzano je, fermentując ziemniaka, garść landrynek i kawałek chleba w skarpetce. Szczelnie zamknięta torba i niska temperatura wytworzyły warunki do powstania botuliny.

Pies Willa zaszczekał w kuchni. Echo rozeszło się w mikroskopijnym korytarzyku i dotarło do sypialni. Sara słyszała, jak Betty uderza głową w klapkę psich drzwiczek. To było jej normalne poranne zachowanie. Chihuahua Betty używała psich drzwi jako wejścia do domu, ale konsekwentnie odmawiała korzystania z nich przy wychodzeniu. Biła głową w klapkę, póki Will albo Sara nie wstali i nie otworzyli jej „ludzkich” drzwi.

Betty zaszczekała ponownie.

Sara zamknęła oczy. Pod powiekami miała obraz białego konfetti.

Wstała i wypuściła Betty. Telewizor w kuchni był włączony, ale wyciszony.

W programie znowu przedstawiano sylwetki Gwen i Martina Novaka. Sara cieszyła się, że dźwięk jest wyłączony. Nie musiała słuchać Novaka, który rozmawiał przez telefon w rządowej kryjówce. Bankowy rabuś w pełni korzystał z pierwszej poprawki za zgodą systemu prawnego, który według niego był nieodwracalnie zdeprawowany.

Jego podróż do Meksyku była ilustrowana zdjęciami i mapami. MSNBC dotarło do inspektora Norge Garcii, który z radością opowiedział o tym, jak wyrzucił ze swojego kraju amerykańskich rasistów i pedofilów.

Na ekranie obraz zmienił się, zanim Sara zdążyła odwrócić wzrok. Odruchowo złapała się za gardło.

Dash.

Na pasku na dole widniały jego prawdziwe dane.

Douglas Alejandro Shinn.

Wyłączyła telewizor. Znała już tę historię.

Domysły Faith okazały się błędne. Przydomek Dasha powstał od pierwszych liter jego imion i nazwiska. Pierwsze imię dostał po ojcu Douglasie. Drugie imię - Alejandro - było ukłonem w stronę matki. Nazwisko Shinn wywodziło się ze średniowiecznej angielszczyzny i oznaczało garbarza lub handlarza skórami.

Sztucznie oficjalny język Dasha i jego amatorskie rozumienie historii Stanów Zjednoczonych w końcu znalazły swoje wyjaśnienie. Jego ojciec przekroczył sześćdziesiątkę i pracował dla amerykańskiej firmy naftowej w Neuquén Basin w Argentynie, gdzie spotkał trzydziestoletnią matkę Dasha. Pobrali się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku. Dash urodził się rok później. Rodzina mieszkała w Ameryce Łacińskiej przez dwanaście lat, a potem przenieśli się do Teksasu, gdzie Dash wiódł nudne życie chłopaka

z wyższej klasy średniej.

Co uczyniło jego nienawiść do imigrantów i mniejszości jeszcze bardziej nonsensowną. Sam ucieleśniał to wszystko, co według niego było nie tak z Ameryką.

„To nie ty, bracie. To cała reszta”.

W wieku siedemnastu lat Douglas Alejandro Shinn został aresztowany w Urugwaju za molestowanie dziewięcioletniej dziewczynki. W wieku dwudziestu trzech lat został oskarżony przez policję kolumbijską o gwałt na dwunastolatce. W innych krajach pojawiły się wobec niego kolejne oskarżenia, ale zarzuty zostały wycofane. Pieniądze Dasha oraz biegła znajomość hiszpańskiego i angielskiego zadziałały na jego korzyść. Wymiennie posługiwał się argentyńskim i amerykańskim paszportem, unikając sytuacji, w której jego odciski palców lub DNA powiązałyby go z jakimkolwiek przestępstwem popełnionym w Stanach Zjednoczonych.

Czy źródłem wściekłości Dasha była jego pedofilia? Wobec gwałcicieli dzieci Sara żywiła wyłącznie odrazę, jednak chciała zrozumieć, dlaczego Dash, syn zamożnego Amerykanina i imigrantki, która odniosła w życiu sukces, był tak pełen nienawiści.

Will wskazywał na Martina Novaka. Ojciec Dasha umarł, kiedy chłopak miał kilkanaście lat, i wtedy Novak wszedł w buty jego ojca. Zwabił go do swojej owczarni, podsuwając mu własną, wtedy jedenastoletnią córkę.

Jedną z najbardziej przygnębiających części tej tragedii był fakt, że ostatecznie Dash otrzymał to, czego tak pragnął, a mianowicie powszechną uwagę. Nagranie z jego przemową wygłoszoną przed Kapitołem miało ponad dziesięć milionów odsłon na YouTube. Jego manifest znaleziono w Obozie. Treść była już dostępna w Internecie. W tym elaboracie Dash rozwinął tezy, którymi bombardował Sarę podczas jej przymusowego pobytu w Obozie. Kapitalizm zrujnował Amerykę. Dostęp do antykoncepcji i aborcji dał kobietom za wiele

władzy. Biali mężczyźni byli stopniowo marginalizowani. Mniejszości zyskiwały w kraju coraz większe wpływy, zmieniając wartości judeochrześcijańskie. Jediną drogą ocalenia świata była jego destrukcja.

Co gorsza, chociaż zaskoczenia w tym nie było, wszystkie media wyłaziły ze skóry, by pokazać „drugą stronę”, jakby rasizm był zjawiskiem, które należy raczej tolerować i zrozumieć, niż potępić i odrzucić. Powtarzano nagranie, jak Martin Novak chropawym głosem pomstuje przez telefon na mieszanie się ras. Zdeklarowani naziści w garniturach i krawatach pojawiali się w studiach telewizyjnych obok poważanych naukowców zajmujących się Holocaustem oraz specjalistów od przestępstw z nienawiści, co przydawało im znaczenia. Gorące dyskusje powodowały gwałtowny wzrost oglądalności i liczby tweetów podających dalej te treści. W Internecie zaroilo się od memów, instagramowych wpisów i nagrań na YouTube, gdzie wszyscy wrzeszczeli na siebie, zapominając, że jedni i drudzy są Amerykanami.

Według Sary tego typu programy prześcigały się w jednym: w czynieniu z nienawiści chodliwego towaru.

Betty wskoczyła do środka przez psie drzwiczki. Skrobała pazurkami drewnianą podłogę, gdy skręciła pod kątem prostym do sypialni, a potem wypadła stamtąd jak strzała i popędziła do salonu w poszukiwaniu chartów Sary. Ściany w mieszkaniu były tak cienkie, że Sara słyszała pobrzękiwanie ich obroży, gdy Betty mościła się między nimi.

Usiadła przy stole. Wzięła kilka głębokich oddechów, uwalniając ciało od drżenia, które ogarniało ją za każdym razem, gdy pozwoliła sobie za długo myśleć o Dashu.

Otworzyła laptop.

Miała mnóstwo służbowych maili do przeczytania. Przewinęła je, aż trafiła na maila z konta Faith na Gmailu. Uśmiechnęła się, oglądając

nagranie, na którym Emma daje trzyminutowy wykład na temat różnicy między mozzarellą a serem szwajcarskim.

Włożyła okulary, by przeczytać treść wiadomości. Faith przekleiła kilka linijek z raportu z sekcji zwłok Michelle Spivey.

*W tkankach mięśniowych obecność toksyny botulinowej... podwyższony poziom HBAT wokół śladów po igłach między palcami lewej i prawej stopy, jak wskazano powyżej.*

Sara zdjęła okulary. Potrzebowała chwili na przeanalizowanie tej informacji. Wyglądało na to, że Michelle podawano mikrodawkę antytoksyny, dlatego metalowa uszczelka fiolki z HBAT została otwarta. Prawdopodobnie od początku wiedziała, że Dash zamierza ją otruć. A może sama wstrzyknęła sobie toksynę, by wreszcie z tym skończyć. Miała w domu żonę i dziecko, którym groziło niebezpieczeństwo ze strony NAPu. Początkowo pewnie myślała, że zdoła powstrzymać atak, a wtedy Dash nasłał na nią Cartera, by nad nią popracował. Ślady po przypalaniu papierosami i otwarte rany mówiły same za siebie. Michelle wytrzymała dwadzieścia dziewięć dni, zanim w końcu dała Dashowi to, czego chciał.

To był kolejny powód, dla którego Sara nie mogła oglądać wiadomości. Reporterzy uparcie drążyli kwestię winy Michelle. To ona wyprodukowała toksynę. Ona uzbroiła Dasha w broń biologiczną. Sarze niedobrze się robiło na widok rozmaitych ekspertów i komentatorów w studiu telewizyjnym i zwyczajnych Amerykanów przepytanych w trakcie sondy ulicznej, którzy z wielką pewnością siebie twierdzili, że na miejscu Michelle okazaliby się silniejsi.

Silniejsi.

Tylu ludzi uważało się za niezwyciężonych.

Do czasu, gdy nie doświadczą na sobie gwałtu.

- Skarbie? - W miseczce przy drzwiach wejściowych zadzwięczały klucze Willa. Uśmiechnął się, wchodząc do kuchni, i pocałował ją w czubek głowy. - Przepraszam, ale musiałem iść do banku po

gotówkę na lunch. Nie chciałem cię obudzić.

Sara przesunęła dłoń po jego gładko ogolonej twarzy.

- Betty mnie obudziła. Znowu.

Will nie podjął tematu. Wyjął z lodówki dżem i masło orzechowe, by zrobić sobie kanapkę, ponieważ nie wytrzymałby półtorej godziny do lunchu.

Sara patrzyła na mięśnie jego chudych pleców i ramion. Koszula lepiła mu się do ciała. Odczuwalna temperatura sięgała prawie czterdzieści stopni Celsjusza, ale termostat w klimatyzatorze wskazywał dziesięć stopni mniej.

Przeniosła wzrok na jego palce rozdzielające kromki chleba. Pomyślała o tym, jak trzymała go za rękę pod drzwiami chaty.

Jego lewa dłoń. Jej prawa.

Zupełnie jak pierwszy raz na korytarzu w Grady. Spletli wtedy palce. On kciukiem pogładził jej skórę. Ona zamknęła oczy, upajając się myślą o pocałunku, objęciach, byciu z nim - może nawet do końca życia.

Wróciła do niej jedna z wielu pretensji wygłaszanych przez Cathy w kuchni Belli: „Na co, do diabła, jeszcze czekasz?”.

- Will?

Mruknął coś niewyraźnie, wyjmując z szuflady nóż.

- Dlaczego płacisz za wszystko gotówką? - zapytała.

- Pewnie z przyzwyczajenia. - Wytarł nóż mokrym ręcznikiem papierowym. Zmywarka była starsza od nich obojga. - W college'u starałem się o kartę kredytową, ale rodzice zastępczy ukradli mi numer ubezpieczenia społecznego i zrujnowali moje szanse na kredyt. Pewnie teraz bym dostał kartę, ale kiedy sprawdzałem ostatni raz, okazało się, że nie mam nawet oceny zdolności kredytowej.

Sara była i przerażona, i zdezorientowana.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

Will wzruszył ramionami, milcząco przyznając się w ten sposób, że

nie powiedział jej o wielu rzeczach.

- Jak dostałeś kredyt hipoteczny?

- Nie dostałem. - Will rozsmarował masło orzechowe na kromce. - Kupiłem dom za gotówkę na aukcji. Odnawiałem go, kiedy miałem pieniądze, ale parcela jest więcej warta niż on. To samo z moim autem. Stało spalone na pustej działce. Zapłaciłem jakiemuś bezdomnemu gościowi, żeby pomógł mi przenieść wrak przez ulicę. Nie był taki ciężki, jak mogłoby się wydawać.

- To... - Sarze zabrakło słów.

Zawsze uważała Willa raczej za oszczędnego niż skąpego, ale nigdy dotąd nie próbowała postawić się w jego sytuacji finansowej. Przy każdym trudnym doświadczeniu uciekała pod opiekuńcze skrzydła swoich bliskich. On zdany był wyłącznie na siebie, nawet kiedy żył jeszcze ze swoją toksyczną żoną. Nigdy nie mógł uciec do domu, ponieważ dominstytucja kazał mu spadać, kiedy skończył osiemnaście lat.

Krzesło, na którym siedział, stół, ten pokój, ten domek, to było wszystko, co miał.

I Sara.

- To nic takiego - dokończył za nią i pochylił się, by precyzyjnie pokryć kromkę masłem orzechowym, zanim drugą posmaruje dżemem.

- Lubię swoje auto.

- W lodówce jest nowy słoik dżemu - przypomniała Sara.

- Tu jeszcze sporo zostało. - Nożem wyskrobał resztkę dżemu na dnie słoika. Dzwonienie metalu o szkło brzmiało jak dzwony Armii Zbawienia. - Skarbie?

Will znowu coś mruknął. Przewrócił słoik do góry dnem i potrząsnął nim nad chlebem, a po ściance słoika spłynęła jedna dżemowa łza. Will pochłonął kanapkę w dwóch kęsach. Chleb i masło orzechowe wróciły do szafki. Dżem wrócił do lodówki, ponieważ to co zostało,

wystarczy jeszcze na posmarowanie jednej dziesiątej kromki.

- Lubisz pracę w GBI? - zapytała.

Skinął głową, wycierając blat mokrym ręcznikiem papierowym.

Sara czekała na rozwinięcie odpowiedzi albo chociaż zainteresowanie, dlaczego o to pyta. Zaraz jednak przypomniała sobie, że przecież to Will. - Dlaczego ją lubisz? - zapytała.

Przewiesił mokry ręcznik papierowy przez krawędź zlewu, by wysechł i odwrócił się. Sara wiedziała, że chce coś powiedzieć, co wcale nie oznaczało, że powie.

Po długim namyśle znowu wzruszył ramionami.

- Lubię polowanie.

- Polowanie?

- Ściganie złoczyńców. Poczucie, że ich przechytryłem. Wiem, że robię głupie rzeczy i ryzykuję. - Spoglądał na nią uważnie, usiłując odczytać jej reakcję. - Przepraszam.

- Za co przepraszasz?

Zamiast odpowiedzi dostała kolejne wzruszenie ramion.

- Myślisz, że nie zauważyłam, ile w tobie chęci rywalizacji? Nawet dżemowi nie odpuściłeś. - Tylko poważna mina Willa powstrzymała ją przed wybuchem śmiechu. - Will, nie ma w tym nic bulwersującego. Wiem, że czerpiesz wielką satysfakcję z pracy. To, że jesteś w niej świetny, jest jedną z wielu rzeczy, które w tobie uwielbiam.

Will położył dłoń na kontuarze. Był zakłopotany. Nigdy nie rozumiał, dlaczego Sara nie krzyczy na niego za to wszystko, za co według niego powinna się pieklić.

- Ile masz pieniędzy? - zapytała.

Wyjął z kieszeni spodni portfel.

- Ile potrzebujesz?

- Nie o to mi chodziło. Pytam, ile masz pieniędzy w ogóle.

Zamknął portfel.

Sara otworzyła plik w laptopie i wskazała kwotę na dole arkusza



kalkulacyjnego.

- To moja wartość netto.

Will poblądł.

- Czy to ci przeszkadza?

- Uhm. - Wyglądał, jakby chciał zapaść się pod ziemię. - Nie ma w tym nic bulwersującego.

- Ale czy nie czujesz się... - Sara nie mogła znieść, że jej myśli znowu powędrowały w stronę Dasha. - Mniej wart?

- Mniej wart? - Wyciągnął rękę i wystukał na klawiaturze kilka cyfr. - Tyle mniej więcej mam. Minus dom. To przecież jest mniej.

Sara widziała to wyraźnie.

- Czy to ci przeszkadza? - zapytała.

Will podrapał się po brodzie, co robił zawsze, gdy się niepokoił.

- Jestem agentem i z pensją agenta pewnie niczego więcej się nie dorobię. Nie chcę posady Amandy. Nie chcę utknąć za biurkiem.

- Za biurkiem byłbyś nieszczęśliwy. Skarbie, od lat nieodmienne się cieszę, że praca, którą kocham, przynosi mi niezłe dochody, ale pobory nijak się mają do prawdziwego sukcesu. Według mnie prawdziwy sukces jest wtedy, gdy człowiek spełnia się w pracy, znajduje sens w tym, co robi.

- Okay. Dobrze. - Will pokiwał głową, jakby to kończyło rozmowę. - Muszę wziąć prysznic, zanim...

- Zaczekaj. - Sara czuła w sercu dziwne drżenie. - Musimy pogadać z agentem nieruchomości, żeby wycenił twój dom - wyrzuciła to z siebie, nim zdążyła ugryźć się w język.

Will wpatrywał się w nią bez słowa.

Ona też milczała. Nie tak planowała poprowadzić tę rozmowę, ale wyglądało na to, że właśnie ją toczyli.

- Bez względu na wysokość kwoty, zamierzam wydać tyle samo na przerobienie twojego domu.

Will wciąż nie reagował.

- Nie mogę się wyspać, kiedy tłuczesz się po kuchni.

- Co? - Teraz zareagował. Irytacją. - Mogę zachowywać się ciszej.

Nie ma potrzeby...

- Chcę drugiej kondygnacji. Chcę wielkiej wanny. Takiej, która pomieści więcej niż pięć centymetrów wody. I chcę mieć swoją garderobę. Nie zamierzam dzielić z tobą łazienki, więc ty możesz sobie wziąć łazienkę dla gości.

- Łazienkę dla gości? - Zaśmiał się. - Jaka duża ma być ta rezydencja?

- Zatrudnię fachowego wykonawcę.

- To żart? - zapytał z przerażeniem w oczach.

- Ty możesz zająć się pracami wykończeniowymi. To wszystko. Ja zapłacę innym, żeby zrobili resztę.

Will zaśmiał się niedowierzająco.

- Jaja sobie ze mnie robisz?

- Została jeszcze jedna sprawa. Posłuchaj mnie uważnie. - Sara zawiesiła na chwilę głos. - Jeśli mamy żyć razem, to ja muszę kontrolować termostat.

Will otworzył usta, żeby zaprotestować, ale nagle dotarło do niego, co powiedziała.

„Jeśli mamy żyć razem”.

Zamknął usta.

Do kuchni weszła Betty i położyła się obok lodówki. Will patrzył, jak przewraca się na grzbiet, wyraźnie domagając się jego uwagi.

Milczał, ale inaczej niż zwykle. Coś było nie tak. Sara była jakaś inna. Zakłopotana. Z wypiekami na policzkach. Uderzyła w niego za mocno. Nie znosił presji. Niedawno wrócili z piekła. A ona mówi, że zdemoluje jego mały domek za swoje pieniądze. Byli szczęśliwi w dotychczasowym układzie. Dlaczego zawsze próbowała naprawiać coś, co i tak doskonale działało?

- Will - zaczęła, szukając odpowiednich słów na przeprosiny. -

Wcale nie musimy...

- Zgoda - wszedł jej w słowo - ale będziemy musieli pobrać się w kościele. Chcę, żeby twoja matka była szczęśliwa.

## PODZIĘKOWANIA

W pierwszej kolejności dziękuję tym osobom co zawsze: Kate Elton i Victorii Sanders. Pragnę również podziękować wspaniałym kobietom z zespołu VSA kierowanego przez niezłomną Bernadette BakerBaughman, a także Hilary Zaitz Michael i Sylvie Rabineau z WME. Dziękuję drużynie z wydawnictwa HarperCollins: Liate Stehlik, Emily Krump, Kaitlin Hairi, Kathryn Gordon, Virginii Stanley, Heidi RichterGinger, Kathryn Cheshire, Elizabeth Dawson, Mirandzie Mettes, Annemieke Tetteroo, Chantal Hattink, Alice Krogh Scott oraz Adamowi Humphreyowi, mojemu serdecznemu przyjacielowi od trzynastu lat, który wspaniałomyślnie wypożyczył mi swoje imię na użytek mojej fabuły.

David Harper ponownie pomógł mi uwiarygodnić Sarę jako lekarzkę. Dziękuję, Davidzie, za niemal dwadzieścia lat darmowych studiów medycznych. Przepraszam/nie przepraszam, że wciąż zabijam swoich pacjentów. Dziękuję Staceyowi Abramsowi i Davidowi Ralstonowi za wgląd w miejsce ich pracy. Przyjaciołom z GBI jestem nieodmiennie wdzięczna za ich wkład w moją pracę, a jako mieszkanka stanu Georgia dziękuję im za profesjonalizm i sumienność. Emerytowanej agentce specjalnej Donie Roberts chcę powiedzieć, że niezmiernie doceniam jej pracę dla uczynienia świata lepszym. Dziękuję zespołowi CDC za odpowiedzi na moje pytania. Dziękuję koleżance po piórze Carolinie De Robertis alias *Dr Palabras Sucias*, za pomoc w hiszpańskim. Michelle

Spivey i Teresa Lee bardzo chciały znaleźć się w tej książce (i wesprzeć akcję Save the Libraries), więc mam nadzieję, że są zadowolone z ról, jakie im przydzieliłam, tak jak Decatur Library jest zadowolona z funduszy przez was ofiarowanych na pomoc dzieciom

w nauce czytania.

Co do intrygi, to z oczywistych powodów pozwoliłam sobie na swobodę w korzystaniu z dostępnych źródeł. Jeśli czytelnik chciałby dokładniej przestudiować zebrany przeze mnie materiał, może zajrzeć na stronę: [karinslaughter.com/tlwreferences](http://karinslaughter.com/tlwreferences). Jeśli ktoś zechce zaśpiewać razem z Sarą, to musi wiedzieć, że śpiewa utwory Joan Armatrading, Beastie Boys, Dolly Parton, Bronski Beat, Patti Smith, Edie Brickell, Red Hot Chili Peppers.

Jak zwykle dziękuję DA, mojej miłości, oraz mojemu tacie, który pozwolił mi w tym roku zaopiekować się sobą przez pięć minut, co omal nie doprowadziło nas oboje do szaleństwa. Nie róbmy tego więcej, tato.

**PRZEWRÓĆ STRONĘ, ŻEBY PRZECZYTAĆ  
POUFNY RAPORT GBI  
NA TEMAT WILLA TRENTA...**

BIURO ŚLEDCZE



STANU GEORGIA

**POUFNE**

[Poufny raport GBI na temat Willa Trenta]

IMIE I NAZWISKO: Wilbur (Will) Trent

RANGA: agent specjalny

LOKALIZACJA: Atlanta, Georgia

WZROST: 190 cm

WAGA: 83,9 kg

CECHY: sprawny fizycznie, umiędziony; włosy ciemny blond; twarz trójkątna; sylwetka nieco przyciężona.

Sposób bycia i zachowanie skromne, co sprawia, że jest bardzo dobrym kandydatem do pracy pod przykrywką, lepszym od agentów wyróżniających się prezencją i zachowaniem charakterystycznym dla przedstawicieli organów ścigania, przez co trudniej im wtopić się w tło.

Trudne dzieciństwo Trenta oraz kryminalna przeszłość w wieku młodocianym wytworzyły w nim łatwość w kontaktach ze światem przestępczym, którą zachował do dziś. Tej umiejętności nie posiada wielu jego rówieśników wywodzących się z tak zwanych normalnych domów.

TEMPO SPÓDZINKUNE: 52 uderzenia/min.

LATA SŁUŻBY: 15

PARTENER: Faith Mitchell (pracowała w departamencie policji w Atlancie)

Trent i Mitchell stanowią zgraną parę, pierwszy raz pracowali jako partnerzy przy sprawie zabójstwa nastolatki z zamożnej rodziny początkowo zidentyfikowanej jako Emma Simpson.

Ze względu na zdolności interpersonalne Mitchell dopelniane analitycznym podejściem Trenta rekomenduje się dalsze utrzymanie ich jako zespołu.

Przełożeni powinni wiedzieć, że matka Mitchell - kapitan Evelyn Mitchell (obecnie na emeryturze) - pracowała w policji w Atlancie przez prawie czterdzieści lat i była bliską koleżanką zastępczyni dyrektora Amandy Wagner. Obecnie nie wiadomo na temat częstotliwości ich kontaktów.



POUFNE

PRZEŁOŻONY: Amanda Wagner

Jako szefowa Special Criminal Apprehension Team, Wagner jest bezpośrednią przełożoną Trenta i ma szczególną uciążliwość motywowania go do maksymalnego wykorzystywania jego specyficznych umiejętności.

Nie jest jasne, w jakich okolicznościach nastąpiło spotkanie Wagner i Trenta, ale to ona zwerbowała go do GBI prosto z college'u i przez cały czas wykazuje zainteresowanie przebiegiem jego kariery.

----- OCENA -----

POCHODZENIE: Trudne

Will Trent został porzucony w szpitalu jako niemowlę. Pierwsze lata życia spędził w rodzinach zastępczych, był często przenoszony z rodziny do rodziny.

Od szóstego roku życia przebywał głównie w domu dziecka w Atlancie, ale był wielokrotnie odrzucony jako kandydat do adopcji. Możliwe, że niemożność zbudowania kluczowych relacji w pierwszych okresach życia w połączeniu z odrzuceniem w dzieciństwie przyczyniły się do tego, że rozwinęły się w nim takie cechy, jak nieufność oraz nieumiejętność budowania związków w dorosłym życiu. Rozważając jego udział w operacjach, należy brać pod uwagę jego instynktowną skrytość i nieufność w kontaktach osobistych.

Jego rodzice zmarli i Trent pozostawał pod opieką państwa do ukończenia osiemnastego roku życia. Stamtąd przeniósł się do schroniska dla bezdomnych, gdzie nabył wiele praktycznych umiejętności, pracując jako robotnik fizyczny. W wieku osiemnastu lat został skazany za kradzież sklepową, ale od tamtego czasu jego kartoteka pozostaje czysta.

Wczesne zetknięcie z ekstremalną biedą i uzależnieniem pozostawiły w nim silną awersję do alkoholu, papierosów i narkotyków, o czym należy pamiętać, rozważając potencjalne cele jego pracy pod przykrywką.

Trent uzyskał tytuł PhD na Iwo Egg University na Florydzie. Przez trzy lata był żonaty z ekspaliantką Angie Polacki (zwolniona z przyczyn zdrowotnych), którą poznał w domu dziecka w Atlancie w wieku około jedenastu lat. To ona do pewnego stopnia wzięła na siebie rolę jego obrończyni, ale niepotwierdzone dowody wskazują, że ich związek był relacją dyfunkcyjną i toksyczną.





**POUFNE**

opartą na rozrachunkach i powrotach. Trent i Polaski są rozwiedzeni.

Trent pozostaje obecnie w związku z Sara Linton, lekarzka medycyny sądowej w GBI, wdową po szefie policji w hrabstwie Grant Jeffreyu Tolliverze, zamordowanym dwa lata przed spotkaniem Trenta i Linton. Doktor Linton może wpływać stabilizująco na życie Trenta. Trent i Linton poznali się, kiedy Linton, wtedy lekarzka w Grady Hospital, opiekowała się ofiarą doniesionego potrącenia, którego sprawca zbiegł z miejsca wypadku, a co okazało się przypadkiem uprowadzenia i brutalnych tortur.

**WZNIKNOŚĆ DO SŁUŻBY:** Wysoka

Doświadczeń rozwiązywania spraw prowadzonych przez agenta specjalnego Trenta wynosi 8%, o 15% więcej niż przeciętna w GBI.

Doskonały snajper, biegły w posługiwaniu się różnymi rodzajami broni. Trent pomyślnie przeszedł test Hogan's Alley w Quantico.

Ma pełne kwalifikacje do prowadzenia negocjacji z osobami przetrzymującymi zakładników, w zakresie prowadzenia pojazdów taktycznych i uprzywilejowanych, walki w terroryzmie oraz wysoką uciekliwość przetrwania.

Prócz cech predestynujących go do służby w GBI, Trent dysponuje uciekliwościami praktycznymi, które nabył jako pracownik budowlany przed wstąpieniem w szeregi GBI. Wrodzony talent do rozłożenia maszyny na części i złożenia jej na nowo, dobrze ilustruje jego podejście do pracy policyjnej - Trent metodycznie rozkłada przestępstwa na czynniki pierwsze, analizuje każdy z nich, odtwarzając przebieg zdarzenia, i podaje spójne logiczne rozwiązanie.

**CECHY SPECYFICZNE (dla identyfikacji):** Wiele

Blizna nad górną wargą i na szyi, ślady po przypaleniu papierosów, rażenia prądem oraz po ranach ciętych, wszystkie powstałe w dzieciństwie.

Widoczna blizna na podudziu po operacji otwartego złamania.

Słabo widoczna blizna na przedramieniu powstała w wyniku rany zadanej nożem lub innym ostrym narzędziem.

Drobna blizna na dłoni od gwóźdźniarki.

**WZNIKNOŚĆ DO TAJNYCH OPERACJI:** Wysoka

Agent specjalny Trent ma znakomite doświadczenie w pracy w terenie oraz nieregularny przebieg służby.

**POUFNE**

Jest odporny psychicznie, ma umiejętność krytycznego analizowania i kategoryzowania informacji.

Wykazuje empatię i potrafi stosować techniki lustrzane w celu nawiązania dobrych stosunków z potencjalnymi celami i informatorami; ma wybitną zdolność zrzucenia winy na innych osób, co prawdopodobnie ma swoje źródło w jego trudnym dzieciństwie, kiedy szybko rozpoznanie w obcych przyjaciela lub wroga było kluczem do przetrwania.

Treni ma skłonność do niezależności z tendencją do zachowań "samotnego wilka".

Podsumowując cechy charakteru, umiejętności i doświadczenie czynią go szczególnie przydatnym do pracy pod przykrywką o wysokim stopniu ryzyka.



Fot.: Alison Rosa

KARIN SLAUGHTER jest jedną z najpoczytniejszych i uznanych autorek kryminałów i thrillerów. Jej książki, opublikowane dotąd w stu dwudziestu krajach, osiągnęły w sumie nakład ponad

trzydziestu pięciu milionów egzemplarzy. Karin Slaughter ma na koncie dziewiętnaście tytułów, wśród nich jest cykl o Grant County, seria o Willu Trencie, *Miasto glin* nominowane do nagrody im. Edgara Allana Poe, a także powieści z listy bestsellerów „Sunday Timesa”: *Moje śliczne*, *Dobra córka*, *Układanka*. Jest pomysłodawczynią i założycielką Save the Libraries, organizacji non profit, której celem jest wspieranie bibliotek oraz ich cyfryzacja. Urodzona w Georgii, Karin Slaughter mieszka w Atlancie. Obecnie trwają przygotowania do przeniesienia na ekran kinowy i telewizyjny trzech jej powieści (*Układanka*, *Dobra córka*, *Miasto glin*).

[www.KarinSlaughter.com](http://www.KarinSlaughter.com)

- 1) Centers for Disease Control and Prevention. (Przyp. red.). ↵
- 2) „Cześć, mała, tatuś w domu?”. Cytat z piosenki Bruce’a Springsteena „I’m on Fire”. (Przyp. red.). ↵
- 3) „Mała, niedługo staniesz się kobietą”. Tytuł utworu zespołu Urge Overkill. (Przyp. red.). ↵
- 4) „Nie stój tak blisko mnie”. Tytuł utworu zespołu The Police. (Przyp. red.). ↵
- 5) „Saro, uśmiechnij się”. Tytuł utworu Daryl Hall & John Oates. (Przyp. red.). ↵
- 6) „Masz włosy dziecka, lecz oczy kobiety...”. Tak brzmi pierwszy wers utworu „Sara Smile” Daryla Halla & Johna Oatesa. (Przyp. red.). ↵
- 7) W ang. oryginale: IPA – The Invisible Patriot Army. (Przyp. red.). ↵
- 8) Biblia Tysiąclecia, Księga Izajasza 45,7, Pallottinum 1990. (Przyp. tłum.). ↵
- 9) „Eliksir miłości... Więcej, skarbie, a będzie gładko i ślisko”. Fragment utworu „Whatta Man” zespołu Salt-N-Pepa. (Przyp. tłum.). ↵
- 10) „Od siódmej do siódmej otwierał mnie jak SevenEleven”. Fragment utworu „Whatta Man” zespołu Salt-N-Pepa. (Przyp. tłum.). ↵
- 11) Biblia Tysiąclecia, Druga Księga Królewska 2,23. (Przyp. tłum.). ↵
- 12) Aluzja do IPA, akronimu angielskiej nazwy organizacji. (Przyp. red.). ↵
- 13) Devil’s Hole – zbiornik wodny w Dolinie Śmierci w stanie Nevada. (Przyp. red.). ↵
- 14) Biblia Tysiąclecia, Ewangelia wg św. Marka 10,14, Wydawnictwo Pallottinum 1990. (Przyp. tłum.). ↵
- 15) Są to przeinaczone przez Sarę cytaty z utworu „Don’t You Want Me” zespołu The Human League. (Przyp. red.). ↵